

TAMI HOAG

I w proch się obrócisz

Z angielskiego przełożył Janusz Skowron

Tytuł oryginału *ASHES TO ASHES*



Mary Read

Podziękowania

Pragnę wyrazić moje podziękowania i serdeczną wdzięczność przede wszystkim dla Larry'ego Brubakera, specjalnego agenta FBI, za tak życzliwe udostępnienie mi swego czasu i wiedzy zawodowej. Oświadczam jednoznacznie, że nie był wzorcem dla postaci Vinca Walsha! (Przykro mi, Bru.) Jednocześnie muszę tu poinformować czytelników, że w trakcie pisania tej książki zaszło wiele zmian w obrębie jednostek FBI, znanych poprzednio (podobnie jak w niniejszej książce) jako Wydział Śledczy i CASKU (Wydział Śledczy Do Spraw Uprowadzeń Nieletnich i Seryjnych Morderstw). Obecnie funkcjonują one pod wspólną nazwą: Krajowe Centrum Analiz Niebezpiecznych Przestępstw, a pracujący w nim agenci już nie urzędują dwadzieścia metrów pod ziemią w Akademii FBI w Quantico. Poszli dosłownie do góry i w swym miejscu pracy mają teraz okna, co nie jest tak interesujące dla pisarzy, ale podoba się samym agentom.

Przekazuję również szczerze wyrazy wdzięczności niżej wymienionym pracownikom służb policyjnych i sądownictwa za to, iż poświęcali swój czas na udzielenie odpowiedzi na moje liczne pytania. Podobnie jak i w innych utworach, starałam się jak najbardziej by profesje przedstawione w tej książce wyglądały zgodnie z rzeczywistością. Biorę na siebie wszelkie moje błędy jak również nieścisłości wprowadzone w imię fikcji literackiej.

Frances James, Program Opieki Nad Ofiarami Przestępstw i Świadcami Hrabstwa Hennepin.

Donna Dunn, Program Opieki Nad Ofiarami Przestępstw Hrabstwa Olmsted.

Sierżant Bernie Martinson, Policja Miejska Minneapolis.

Specjalny Agent Regionalny FBI Roger Wheeler.

Porucznik Dale Barsness, Policja Miejska Minneapolis.

Detektyw John Reed, Urząd Szeryfa Hrabstwa Hennepin.

Andi Sisco: Milion podziękowań za umożliwianie mi kontaktów. Jesteś prawdziwym brylantem.

Diva Karyn, inaczej Elizabeth Grayson: Specjalne podziękowania za cenne sugestie

dotyczące pewnego opisanego tu szczególnie ponurego fetyszu. Jakże tu można mówić, że autorzy kryminałów zmonopolizowali wiedzę na wszelkie odrażające tematy?

Eileen Dryer, autorka książki „Brain Dead”: Dziękuję za stałą pomoc, techniczną i nie tylko.

Diva Bush, inaczej Kim Cates: Dzięki za jeszcze więcej tego samego.

Specjalne podziękowania, Rocket, za twoje wsparcie, wspólne przeżywanie, dodawanie otuchy i za sporadycznego kopniaka w tyłek. Nieszczęście uwielbia towarzystwo.

Niniejszym składam serdeczne podziękowania następującym wydawcom za pozwolenie cytowania opublikowanych przez nich prac.

Cytat na stronie I pochodzi z książki „Symbolika zła” Paula Ricoeura (Tom XVII serii „Religijna perspektywa” Copyright 1967 by Paul Ricoeur. Wznowienie copyright 1995. Cytat przedrukowano za zezwoleniem HarperCollins Publishers, Inc.

Cytaty na str. 150 oraz 225-226 przedrukowane za zezwoleniem wydawnictwa Scribner wchodzącego w skład firmy wydawniczej Simon Schuster pochodzą z książki „Mindhunter” („Tworzenie Profilu Psychologicznego”) Johna Douglasa i Johna Olshakera. Copyright 1995 by Mindhunters, Inc.

Cytat ze stron 228-229 pochodzi z książki „Seryjni mordercy: rosące zagrożenie” Joela Norrisa. Przedruku dokonano za zezwoleniem wydawnictwa Dobleday wchodzącego w skład Random House, Inc.

Niektórzy ludzie rodzą się mordercami. Inni dopiero się nimi stają. Czasami bywa też, że żądza zabijania wywodzi się z tak skomplikowanej płątaniny motywów sięgających nieszczęśliwego dzieciństwa i pełnego niebezpieczeństw okresu dojrzewania, że nikt w końcu nie wie, czy jest to tendencja wrodzona, czy nabyta.

Wydobywa ciało z bagażnika samochodu jak zwinięty w rulon stary dywan, który nadaje się tylko na śmietnik. Szura podszwami po asfalcie parkingu i zaraz stąpa niemal bezgłośnie po zaschniętej trawie i twardym gruncie. Jak na listopad w Minneapolis noc jest pogodna. Wirujący wiatr porywa suche liście, a nagie gałęzie drzew uderzają o siebie z łoskotem niczym wrzucone do worka kości.

Wie, że sam należy do tej ostatniej kategorii morderców. Przez wiele godzin, dni, miesięcy i lat analizował swój pociąg i jego początki. Wie, kim jest, i akceptuje tę prawdę o sobie. Nigdy nie prześladowało go poczucie winy ani wyrzuty sumienia. Według niego sumienie, zasady czy prawa nie mają dla jednostki żadnego praktycznego sensu, lecz jedynie ograniczają jej możliwości.

„Człowiek akceptuje zasady etyki ze strachu, a nie z miłości” – Paul Ricoeur, *Symbolika zła*.

Jego Prawdziwe ja jest posłuszne tylko jego własnym zasadom: dominacji, manipulacji, kontroli.

Z góry przypatruje się wszystkiemu sierp księżycy. Białe światło z trudem przenika przez płątaninę gałęzi. Układa ciało w odpowiedni sposób i odszukuje na górnej części klatki piersiowej ślad w kształcie dwóch splecionych liter X. On rozlewa łatwopalny płyn, czując się tak, jakby odprawiał jakąś ceremonię. Namaszczenie martwych. Symbolika zła. Jego prawdziwe ja akceptuje zło jako równoznaczne z władzą. To właśnie podsyca w nim wewnętrzny płomień.

– I w proch się obrócisz – mówi.

Rozlegają się znajome, charakterystyczne dźwięki, wzmacnione jeszcze przez jego własne podniecenie. Potarcie zapalki o draskę, suchy odgłos, gdy zapalka zajmuje się płomieniem i cicha eksplozja zapalającego się płynu, kiedy ogień przystępuje do swego

dzieła. Patrząc na płomienie, przypomina sobie niedawno słyszane jęki bólu i strachu. Pamięta drzenie w jej głosie, gdy błagała o darowanie życia. Pamięta dokładnie wysokość i brzmienie każdego okrzyku, kiedy ją torturował. Wyborna muzyka życia i śmierci.

Przez ułamek sekundy pozwala sobie na zachwycanie się tym wspomnieniem. Rozkoszuje się ciepłem płomieni, które pieścą jego twarz jak języki pożądania. Zamyka oczy, słuchając skwierczenia i syku tkanki, i wciąga głęboko w nozdrza zapach przypalanego ciała.

Pobudzony, podekscytowany wydobywa ze spodni swój nabrzmiaty członek i masturbuje się gwałtownie. Doprowadza się niemal do orgazmu, ale powstrzymuje wytrysk. Poczeka z tym do chwili, kiedy będzie mógł świętować bez zahamowań.

Jego cel jest już niemal w zasięgu ręki. Ma plan, dokładnie przemyślany plan, który perfekcyjnie zrealizuje. Jego imię będzie potępione i pamiętane łącznie z imionami innych wielkich: Bundy'go, Kempera, Dusiciela z Bostonu i Mordercy znad Green River. Tutejsza prasa już nadała mu imię: Kremator.

Uśmiecha się. Ten fakt napawa go dumą. Zapala kolejną zapałkę i trzyma ją tuż przed sobą, wpatrując się w płomień, zachwycając się jego złowrogim, zmysłowym falowaniem. Przysuwa ogienek bliżej do twarzy, otwiera usta i połyka go.

Potem odwraca się i odchodzi. Jego myśli już są zajęte następną sprawą.

Morderstwo

Ten widok wrył się głęboko w jej pamięć, pozostał w jej oczach. Mruga, żeby powstrzymać łzy, ale ciągle to widzi. Ciało skręcające się w powolnej agonii, jakby walczyło ze swym okropnym losem. Pomarańczowe płomienie – tło tego koszmarnego widowiska.

Płomienie.

Rzuca się do biegu. Palący ból w płucach, nogach, oczach i gardle. Gdzieś, w jakimś zakątku wyobraźni, dostrzega w miejscu martwego ciała samą siebie. Może tak właśnie wygląda śmierć. Może to właśnie jej ciało się paliło, a obecna świadomość była jej duszą usiłującą się wyrwać z płomieni piekielnych. Wielokrotnie słyszała od innych, że tak skończy.

Słyszysz zbliżający się z niedaleka dźwięk syreny i widzi niesamowite rozbłyśki niebiesko-czerwonych świateł, rozcinających ciemności nocy. Biegnie ku ulicy, łkając i potykając się. Upada, tłukąc boleśnie prawe kolano o zamarzniętą ziemię, ale zmusza się do powstania na równe nogi i biegnie dalej.

Biegnij, biegnij, biegnij, biegnij, biegnij, biegnij.

– Stać! Policja!

Radiowóz jeszcze się kołysze na poboczu. Drzwi samochodu są otwarte, a policjant stoi na bulwarze ze skierowaną wprost ku niej bronią.

– Pomocy! – charczy ona z trudem. – Pomocy! – powtarza, ledwie go widząc przez łzy.

Nogi uginają się pod ciężarem jej ciała i pod ciężarem strachu, i serca, które łomocze i tłucze się w piersiach niby jakiś wielki, napęczniały stwór.

Policjant w mgnieniu oka jest przy niej, chowa do kabury broń i osuwa się na kolana, by jej pomóc.

Musi być jakiś nowy, myśli jak przez mgłę. Znała czternastolatków, którzy lepiej od niego znaleźliby się w takiej sytuacji. Przecież mogłaby odebrać mu broń. Gdyby miała nóż, cóż prostszego niż poderwać się i go dźgnąć.

Pomaga jej usiąść, przytrzymując ją dłońmi za ramiona. Gdzieś w dali rozlega się wycie syren.

– Co się stało? Co ci jest? – pyta. Ma twarz anioła.

– Widziałam go – wyrzuciła z siebie, dygocząc i czując, jak żółć podływa jej do gardła. Byłam tam. O Jezu! Cholera. Widziałam go!

– Kogo widziałaś?

– Krematora.

Dlaczego zawsze muszę się znaleźć tam, gdzie nie trzeba? – mruknęła do siebie Kate Conlan.

Poprzedniego dnia wróciła z czegoś, co teoretycznie było urlopem, a w rzeczywistości powodowaną wyrzutami sumienia podróżą do piekielnego lunaparku, czyli Las Vegas, dokąd pojechała odwiedzić rodziców. Dziś spóźniła się do pracy, bolała ją głowa i w dodatku miała ochotę udusić pewnego sierżanta z sekcji przestępstw na tle seksualnym za to, że wystraszył jednego z jej klientów. Policjant rozłożył sprawę i teraz ona razem z prokuratorem musieli ponosić konsekwencje jego błędu. Na domiar złego jej modnie toporny obcas w nowiutkich zamszowych pantofelkach rozchwiał się po twardym spotkaniu ze schodami parkingu przy Czwartej Alei.

A teraz to. Nerwus.

Chyba nikt inny nie zwrócił uwagi na to, że facet chodzi po obrzeżach obszernego atrialnego holu w siedzibie władz hrabstwa Hennepin jak zdenerwowany kot. Wyglądał na blisko czterdzieści lat, był raczej szczupłej budowy i miał nieco więcej niż jej metr siedemdziesiąt wzrostu. Wyraźnie był nadmiernie spięty. Pewnie ostatnio doznał jakiegoś niepowodzenia osobistego czy emocjonalnego, na przykład stracił pracę albo dziewczynę. Był albo rozwiedziony, albo w separacji, ale nie bezdomny. Raczej mieszkał sam, jego wygniecione ubranie bowiem nie wyglądało na wyrzucone przez kogoś łachy, a buty były w zbyt dobrym stanie jak na bezdomnego. Pocił się niczym grubas w saunie, nie zdejmował jednak płaszcza, tylko chodził nerwowo wokół zagracojonej hol pretensjonalnej nowoczesnej rzeźby, symboliczny kształt, stworzony ze stopionych pistoletów. Mruczał coś do siebie, przytrzymując dłońią połę marynarki z grubego płótna. Myśliwski płaszcz. Twarz ściągnięta od wewnętrznego napięcia.

Kate zsunęła najpierw but z ruszającym się obcasem, a potem drugi, nawet na chwilę nie odrywając oczu od faceta. Wsunęła dłoń do torebki i wyjęła telefon komórkowy. W tej samej chwili jedna z kobiet, pracująca w budce informacyjnej o sześć metrów od niej, dostrzegła Nerwusa.

Do diabła.

Kate wyprostowała się powoli, przyciskając klawisz szybkiego dostępu. Nie mogła zadzwonić po ochronę z telefonu nie należącego do biura. Najbliższy strażnik był po drugiej stronie atrium. Stał z uśmiechem na twarzy, prowadząc wesołą rozmowę z gościem. Kobieta z informacji ruszyła w kierunku Nerwusa, przechylając nieco głowę, jakby jej ciążyła utapiowana blond fryzura.

Do cholery.

W słuchawce rozległ się sygnał. Jeden, drugi. Kate szła powoli w stronę Nerwusa z telefonem w jednej ręce i pantoflem w drugiej.

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – zapytała recepcjonistka o trzy metry od Nerwusa.

Kate już widziała, jak krwawa plama pojawia się na jej jedwabnej bluzce w kolorze kości słoniowej.

Nerwus odwrócił się gwałtownie.

– Czy mogę w czymś pomóc? – powtórzyła kobieta.

Czwarty sygnał...

Jakaś Latynoska z drepczącym za nią kilkuletnim dzieckiem przeszła pomiędzy Kate a Nerwusem. Kate wydawało się, że widzi zaczynające się drgawki, jakby jego ciało usiłowało powstrzymać wściekłość, rozpacz czy jeszcze coś innego, co go napędzało lub też pożerało żywcem.

Piąty sygnał...

– Biuro prokuratora hrabstwa Hennepin...

Do cholery!

Jego ruchy były łatwe do odczytania: rozstawienie nóg, sięgnięcie pod poję marynarki, jeszcze szersze otwarcie oczu.

– Na ziemię! – krzyknęła Kate, wypuszczając telefon.

Kobieta z informacji zamarła bez ruchu.

– Zapłacicie, kurwa, za to! – wrzasnął Nerwus, rzucając się ku kobiecie i chwytając ją wolną dłonią za rękę.

Szarpnął informatorkę ku sobie, wyciągając jednocześnie przed siebie dłoń, w której tkwił pistolet. Huk wystrzału wypełnił potężnym echem wysokie wnętrze atrium, ogłuszając ludzi i tłumiąc ich okrzyki przerażenia. Teraz już wszyscy go widzieli.

Kate wpadła na niego od tyłu i jak młotkiem uderzyła go w skroń obcasem pantofla. Krzyknął zaskoczony i wykonał szybki zamach, trafiając ją mocno prawym łokciem w żebra.

Schwytana przez niego kobieta wrzeszczała bez ustanku, ale po chwili zabrakło jej sił

w nogach, a może straciła przytomność, i osunęła się na posadzkę pociągając za sobą napastnika. Przyklęknął na jedno kolano, klnąc bez ustanku, i znowu pociągnął za spust. Tym razem kula odbiła się od twardej posadzki i poleciała Bóg jeden wie gdzie.

Kate upadła razem z Nerwusem, trzymając go lewą ręką za kołnierz płaszcza. Nie mogła pozwolić mu się wyrwać. Bestia, którą dusił w swoim wnętrzu, uwolniła się. Gdyby udało mu się wyszarpnąć, to byłyby o wiele większe problemy niż zbłąkane kule.

Trudno jej było utrzymać się na nogach w śliskich rajstopach, ale zdołała wstać i przytrzymać go, kiedy też z trudem się podniósł. Znowu zamachnęła się pantoflem i walnęła Nerwusa w ucho. Obrócił się, chcąc ją uderzyć na odlew pistoletem. Kate chwyciła go za rękę, pociągnęła ją do góry, i broń wypaliła, posyłając kulę ku dwudziestu piętom biur i sal sądowych.

Usiłując się oswobodzić, mężczyzna podstawił jej nogę i napał na nią. Upadli z rozmachem i potoczyli się jedno przez drugie po metalowych stopniach ruchomych schodów aż do poziomu ulicy, gdzie powitały ich krzyki: „Stać! Policja!”

Kate spojrzała na groźne miny policjantów przymglonym z bólu wzrokiem.

– Najwyższy czas, do cholery – mruknęła.

– Hej, popatrzcie – zawołał jeden z zastępców prokuratora. – Idzie Brudna Harriet!

– Bardzo śmieszne, Logan – powiedziała Kate. – Wyczytałeś to w książce, co?

– Muszą zaangażować Rene Russo, żeby cię zagrała w Filmie.

– Powiem im, że tak mówiłeś.

Bolały ją całe plecy i biodro. Odmówiła udania się do szpitala na oddział doraźnej pomocy, tylko pokuśtykała do toalety, gdzie przeczesała swe bujne rudawo-złote włosy, ściągnęła je w kucyk, zmyła krew, wyrzuciła do kosza podarte czarne rajstopy i wróciła do biura. Nie miała żadnych obrażeń wartych prześwietlenia czy szwów, a poza tym i tak straciła już połowę przedpołudnia. Wiedziała, jaką cenę zapłaci za odgrywanie twardziela: wieczór z tabletką tylenolu, zimnym dżinem i gorącą kąpielą zamiast prawdziwych środków przeciwbólowych. Już teraz zdawała sobie sprawę z tego, że nie będzie to zbyt przyjemne.

Przemknęło Kate przez myśl, że w jej wieku już nie powinna zajmować się chwytaniem szaleńców i spadaniem z nimi po ruchomych schodach, ale uparcie odrzucała opinię, że mając czterdzieści dwa lata, można być za starym na pewne sprawy. Poza tym miała za sobą dopiero pięć lat tego, co nazywała swoją drugą dorosłością. Drugi zawód, druga próba prowadzenia uregulowanego trybu życia i stałego rytmu pracy.

Jedyną rzeczą, za którą tęskniła w drodze do domu z nierzeczywistego świata Las

Vegas, był powrót do przyjemnego, normalnego, względnie zdrowego życia, które sobie ułożyła. Spokój i cisza. Znane problemy zawodowe, z którymi musiała sobie radzić jako opiekun w programie pomocy dla ofiar i świadków. Kurs gotowania, którego nie chciała przerwać.

I co z tego? To akurat ona musiała być jedyną osobą, która wypatrzyła Nerwusa. Zawsze właśnie jej zdarzało się coś takiego.

Uprowadzony przez sekretarkę o jej przybyciu prokurator okręgowy osobiście otworzył drzwi. Był to wysoki, przystojny mężczyzna o władczym sposobie bycia i bujnej czuprynie szpakowatych włosów, które zaczesywał do tyłu z wysokiego czoła. Okulary o okrągłych szklach w drucianej oprawce na orlim nosie nadawały mu wygląd intelektualisty i pozwalały ukryć fakt, że niebieskie oczy są osadzone zbyt głęboko i zbyt blisko siebie.

Kiedyś osobiście występował jako świetny oskarżyciel, ale obecnie tylko od czasu do czasu przyjmował głośniejsze sprawy. Jego praca polegała głównie na pełnieniu funkcji administracyjnych i politycznych, czyli nadzorowaniu przeładowanego obowiązkami zespołu prokuratorów, usiłujących poradzić sobie z narastającą liczbą spraw karnych. W porach lunchu i wieczorami można go było zobaczyć w towarzystwie członków elity władzy Minneapolis, jak zabiega o kontakty i fawory. Stanowiło tajemnicę poliszynela, że marzy mu się fotel senatora.

– Wejdz, Kate – zaprosił spoglądając na nią z zatroskaną miną.

Położył swą wielką dłoń na jej ramieniu i podprowadził ją do krzesła.

– Jak się czujesz? Zostałem poinformowany o tym, co się wydarzyło dzisiaj rano na dole. Mój Boże, mogłaś zginąć! Co za odwaga!

– Wcale nie – zaprotestowała Kate, usiłując usunąć się spod jego ręki.

Usiadła na krześle dla gości, i założyła nogę na nogę i natychmiast poczuła jego wzrok na nagich odsłoniętych udach. Obciągnęła dyskretnie brzeg czarnej spódnicy, klnąc w duchu, że nie znalazła zapasowej pary rajstop, które, jak się jej wydawało, powinny być w szufladzie biurka.

– Po prostu zareagowałam odruchowo. To wszystko. A jak się czuje pani Sabin?

– Bardzo dobrze – odpowiedział najwyraźniej nie myśląc nawet o pytaniu.

Wciąż przyglądając się Kate uważnie, podciągnął nogawkę prążkowanych spodni i przysiadł na rogu biurka.

– Tylko zareagowałaś odruchowo? W sposób, którego cię nauczyli w FBI?.

Zdecydowanie robiło na nim wrażenie, że w przeszłości pracowała jako agentka. Dla niej ta przeszłość była niczym poprzednie wcielenie. Kate mogła sobie wyobrazić lubieżne

fantazje, wypełniające jego umysł. Zabawy w dominację, czarna skóra, kajdanki, chłosta. Brrr.

Odwróciła się ku siedzącemu na sąsiednim krześle swemu bezpośredniemu przełożonemu: dyrektorowi wydziału usług prawnych. Kluchowaty, korpulentny, w wygniecionym ubraniu, Rob Marshall był przeciwieństwem Sabina. Jego okrągłą jak dynia głowę wieńczyły rzednące włosy, tak krótko przycięte, że bardziej wyglądały na rdzawą plamę niż na fryzurę. Miał rumianą, poznaczoną bliznami po dawnych wypryskach twarz i za krótki nos.

Marshall był jej szefem od osiemnastu miesięcy. Objął wtedy swe obowiązki po przyjeździe z Madison w stanie Wisconsin, gdzie pracował na podobnym stanowisku. Przez cały ten czas nie najlepiej udawało im się wypracować jakąś równowagę pomiędzy swoimi osobowościami i stylem pracy. Kate wprost nie znosiła Marshalla, który był pozbawionym kręgosłupa lizusem i miał tendencje do wtrącania się w najdrobniejsze szczegóły, co bardzo naruszało jej potrzebę zachowania autonomii. Wiedziała też, że szef uważa ją za zarozumiałą i arogancką, ale przyjmowała to jako komplement. Z drugiej strony starała się pamiętać o jego wrażliwości na los ofiar, co miało zrównoważyć jego wady. Poza pełnieniem obowiązków administracyjnych często brał udział w spotkaniach z poszkodowanymi, a w godzinach nadliczbowych pracował w grupie pomocy ofiarom przestępstw.

Spojrzał teraz na nią z ukosa zza swych pozbawionych oprawek okularów i wyduł usta, jakby właśnie ugryzł się w język.

– Mogłaś zginąć. Dlaczego po prostu nie wezwałaś ochrony?

– Nie było na to czasu.

– To instynkt, Rob! – powiedział Sabin, odsłaniając w uśmiechu duże białe zęby. – Jestem pewien, że ani ty ani ja nie możemy mieć nadziei, iż reakcje kogoś o tak wyostrzonym instynkcie jak Kate. Nic dziwnego, to ta jej przeszłość.

Kate powstrzymała się od tego, by mu po raz kolejny przypomnieć, że przez większość lat pracy w FBI siedziała przy biurku w sekcji studiów behawioralnych w NCAVC, czyli Krajowym Centrum Analiz Kryminologicznych. Już nawet nie próbowała sobie przypomnieć, jak dawno temu odeszła od pracy operacyjnej.

– Pani burmistrz będzie chciała dać ci nagrodę – powiedział Sabin z ożywieniem.

W takim wypadku również jego zdjęcia trafiłyby do gazet, Kate jednak wołała uniknąć rozgłosu. Jej zadaniem było podawanie ręki ofiarom zbrodni i świadkom. Miała ich przeprowadzać pod swoją opieką przez instytucje systemu sprawiedliwości i dodawać im otuchy. Było prawdopodobne, że niektórzy z jej klientów wystraszą się, kiedy się dowiedzą,

że jest obiektem zainteresowania mediów.

– Wolalabym tego uniknąć. Nie wydaje mi się, żeby to był najlepszy pomysł w wypadku kogoś zajmującego się taką pracą jak ja, prawda, Rob?

– Kate ma rację, panie Sabin – przytaknął jej Marshall ze służalczym uśmiechem.

Kiedy coś go niepokoiło, zawsze miał taki wyraz twarzy; jego oczy wtedy niemal zniknęły. Kate nazywała tę minę uśmiechem lizusa.

– Biorąc pod uwagę te wszystkie sprawy, lepiej, żeby jej zdjęcia nie ukazywały się w prasie.

– No cóż sądzę, że tak – zgodził się Sabin z nutą rozczarowania w głosie. – W każdym razie nie wezwaliśmy cię tutaj z powodu tego, co się wydarzyło rano, Kate. Dajemy ci pod opiekę świadka.

– Więc po co te uroczyste wstępy? – zapytała.

Większość klientów trafiała do niej w sposób automatyczny. Współpracowała z sześcioma prokuratorami i dostawała wszystkie przypadki z ich spraw z wyjątkiem spraw o zabójstwo. Te ostatnie były przydzielane przez Marshalla, ale to również nie wymagało niczego poza rozmową telefoniczną lub w jej gabinecie. Nigdy się nie zdarzało się, żeby Sabin musiał osobiście mieszać się w takie sprawy.

– Czy znana ci jest sprawa zamordowania dwóch prostytutek, pamiętasz, miało to miejsce tej jesieni? – zapytał Sabin. – Tych, których ciała zostały spalone?

– Tak, oczywiście.

– Doszło do następnego. Wczoraj w nocy.

Kate przesunęła oczami od jednej ponurej twarzy do drugiej. Za plecami Sabina widziała z wysokości dwudziestego drugiego piętra panoramę centrum Minneapolis.

– Ta nie była prostytutką – powiedziała.

– Skąd o tym wiedziałaś?

Bo gdyby tak było, to nie poświęcałbyś tej sprawie swojego czasu, pomyślała, ale odparła tylko:

– Udało mi się zgadnąć.

– Nie słyszałaś tego gdzieś na mieście?

– Na mieście? – powtórzyła, dziwiąc się w duchu, że używa tego potocznego wyrażenia, rodem z gangsterskiego filmu. – Nawet nie wiedziałam o tym, że doszło do morderstwa.

Sabin podszedł do swojego biurka. Teraz już wyraźnie było widać, że jest zaniepokojony.

– Istnieje możliwość, że ofiarą była Jillian Bondurant. Córka Petera Bonduranta.

– O – mruknęła ironicznie Kate.

A więc istotnie nie było to kolejne morderstwo prostytutki. Mniejsza z tym, że dwie pierwsze ofiary też miały jakichś ojców. Ten ojciec był ważną osobą.

Rob poprawił się niezręcznie na swoim krześle. Może to rzeczywiście prawda, że nosi spodnie za ciasne w pasie, pomyślała Kate.

– W pobliżu ciała znaleziono jej prawo jazdy – powiedział jej szef.

– I potwierdzono, że zaginęła?

– Jadła kolację z ojcem w jego domu w piątek wieczorem. Od tamtej pory jej nie widziano.

– Co nie znaczy, że to ona.

– Nie, ale tak właśnie było z pierwszymi dwiema – odparł Sabin. – Papiery zostawione przy ciałach ofiar zgadzały się z ich tożsamością.

Setki pytań zaczęły się kłębić w myślach Kate. Pytań o to, jak wyglądały miejsca zbrodni, i o informacje, które policja ujawniła w sprawie dwóch pierwszych morderstw, oraz o te utajnione. Teraz po raz pierwszy usłyszała o tym, że obok ciał zostawiano dowody tożsamości. Co to znaczyło? Po co morderca miałby palić ciała, tak żeby były nierozpoznawalne, a jednocześnie zostawiać na miejscu przestępstwa dokumenty ofiar?

– Przypuszczam, że policja sprawdza jej kartę dentystyczną – powiedziała.

Obydwoj mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Niestety, to nie jest możliwe – odparł Marshall. – Mamy tylko... ciało.

– Jezu! – westchnęła Kate, czując przeszywający ją zimny dreszcz. – Tamtym nie obcinał głów. O niczym takim nie słyszałam.

– Nie, nie robił tego – potwierdził Marshall.

Znowu zmrugał oczy i przechylił głowę.

– Co o tym sądzisz, Kate? Masz doświadczenie w tego rodzaju sprawach.

– Widać wyraźnie, że rośnie jego poziom agresji. To może znaczyć, że facet przygotowuje się do czegoś wielkiego. W pierwszych dwóch przypadkach, były jakieś uszkodzenia ciała wskazujące na motyw seksualny, prawda?

– Uznano, że przyczyną śmierci tych kobiet było uduszenie pętlą – powiedział Sabin. – Na pewno nie muszę ci mówić, Kate, że mimo iż uduszenie uchodzi z pewnością za dość drastyczną formę zabójstwa, to pozbawienie głowy może spowodować panikę w mieście. Szczególnie jeżeli ofiarą jest przyzwoita, żyjąca młoda kobieta, która nigdy nie naruszyła prawa. Mój Boże! Córka jednego z najważniejszych ludzi w całym stanie. Musimy szybko

znaleźć zabójcę. Jesteśmy w stanie tego dokonać. Mamy świadka.

– I tu jest rola dla mnie – domyśliła się Kate. – Więc o co chodzi?

– Ona się nazywa Angie DiMarco – oznajmił Marshall. – Wybiegła z parku, akurat kiedy nadjechał pierwszy radiowóz.

– Kto go wezwał?

– Jakiś anonimowy informator, który dzwonił z telefonu komórkowego – powiedział Sabin i zaczął wypychać językiem wargi, jakby ssał bolący ząb. – Peter Bondurant jest przyjacielem pani burmistrz. Też go znam. Omal nie odchodzi od zmysłów z rozpaczy na myśl, że tą ofiarą może być Jillian, więc życzy sobie, żeby sprawa została rozwiązana jak najszybciej. W tej chwili jest już formowana specjalna grupa śledcza. Skontaktowaliśmy się z twoimi dawnymi kolegami z FBI. Mają przysłać kogoś z wydziału śledczego. Wyraźnie widać, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą.

A w dodatku dobiera się wam do dupy bogaty biznesmen, dodała w myśli Kate.

– Już krążą pierwsze plotki – dodał ponuro Sabin. – W policji są takie przecieki, że można by spuścić całą wodę z Missisipi.

Lampka sygnalizacyjna na jego telefonie migotała jak szalona jednak nie było wcale słychać dzwonka.

– Rozmawiałem z Greerem i z panią burmistrz – ciągnął. – Bierzemy się od razu ostro do sprawy.

– Dlatego wezwaliśmy ciebie, Kate – wtrącił Marshall, poprawiając się znowu na krześle. – Nie możemy czekać z przydzieleniem kogoś do tego świadka do chwili dokonania aresztowania. DiMarco jest teraz jedynym ogniwiem łączącym nas z zabójcą. Chcemy, żeby ktoś zajął się nią już w tej chwili. Żeby miała opiekę podczas przesłuchań przez policję. Musi być ktoś, kto ją pouczy, jak nie należy rozmawiać z prasą. Ktoś, kto pomoże utrzymać kontakt między nią a prokuraturą i będzie miał na nią oko.

– Wygląda na to, że szukacie opiekunki do dzieci. Prowadzę teraz inne sprawy.

– Odciążymy cię, przyjmujemy niektóre sprawy.

– Ale nie Willisa – zaprotestowała, zaraz jednak skrzywiła twarz w grymasie niechęci.

– Chociaż, prawdę mówiąc, chciałabym się go pozbyć. Tylko absolutnie nie Melanie Hessler.

– Ja mógłbym przejąć Hessler, Kate – zaproponował Marshall. – Byłem przy wstępnym spotkaniu, znam tę sprawę.

– Nie.

– Pracowałem z wieloma ofiarami gwałtu.

– Nie – powiedziała takim tonem, jakby to ona była szefem i jakby podejmowanie

decyzji należało do niej.

Sabin wyglądał na poirytowanego.

– Co to za sprawa? – zapytał.

– Melanie Hessler została zgwałcona przez dwóch mężczyzn w centrum miasta, w uliczce za księgarnią, w której pracuje – wyjaśniła Kate. – Jest bardzo słaba psychicznie i przeraża ją sama myśl o rozprawie. Nie zniosłaby tego, że ją opuszczam, a wreszcie że przekazuję jej sprawę mężczyźnie. Ona mnie potrzebuje. Nie pozwolę sobie odebrać Melani.

Rob westchnął głośno.

– W porządku – rzucił niecierpliwie Sabin. – Ale nasz przypadek to teraz numer jeden. Nieważne, ile rzecz będzie wymagała zachodów. Musimy dopaść tego wariata. Natychmiast.

Ta ofiara na pewno zasłużyła na więcej niż półtorej minuty informacji w wiadomościach o szóstej, pomyślała Kate. Ciekawe, ile musiałoby zginąć prostytutek, żeby Ted Sabin uznał, że sprawa jest równie pilna. Skinęła głową w milczeniu, usiłując zignorować niepokój wypełniający jej piersi ołowianym ciężarem.

To tylko jeszcze jeden świadek, próbowała się uspokoić. Po prostu kolejna sprawa. Powrót do normalnych problemów zawodowych.

Nie, do diabła.

Zamordowano córkę miliardera, sprawa nabierała charakteru politycznego. Seryjny morderca i członek przysłany z Quantico, z wydziału śledczego. Miała nadzieję, że to nie będzie ktoś, kto pracował tam pięć lat temu. Była to jednak wąła nadzieja.

Niespodziewanie przyszło jej do głowy, że Las Vegas to mimo wszystko nie takie znów najgorsze miejsce.

3

– To się wydarzyło w nocy. Było ciemno. Ile mogła zobaczyć? – zapytała Kate.

Szli w trójkę podziemnym przejściem, które prowadziło pod Piątą Ulicą, łącząc siedzibę władz hrabstwa Hennepin z przyprawiającą o depresję brzydką kamienną budowlą, siedzibą władz miejskich Minneapolis i policji miejskiej. Podziemny korytarz był pełen ludzi. Nikt nie miał ochoty wychodzić na powierzchnię, gdzie ponury ranek zamienił się w równie ponury dzień. Nisko płynące ołowiane chmury nieprzerwanie smagały miasto zimnym deszczem. Listopad – piękny miesiąc w Minnesocie.

– Powiedziała policji, że go widziała – przypomniał Rob, drepcząc u jej boku. Miał za krótkie nogi w stosunku do reszty ciała, więc chociaż był średniego wzrostu, idąc szybko kiwał się jak karzeł. Miejmy nadzieję, że widziała mordercę na tyle dobrze, żeby go rozpoznać – dodał.

– Chcę mieć portret pamięciowy przed konferencją prasową – oznajmił Sabin.

Kate zacisnęła zęby. No jasne, przecież to miała być popisowa sprawa.

– Dobry portret wymaga czasu, Ted. Warto poczekać, żeby mieć poprawny rysunek.

– No tak, ale im szybciej dostaniemy opis i portret, tym lepiej.

Oczywiście wyobraźni widziała Sabina, jak wyciska informacje ze świadka, a potem odrzuca go od siebie jak szmatę.

– Zrobimy wszystko, co się da, żeby przyspieszyć sprawę, panie Sabin – obiecał Rob.

Kate spojrzała na niego z obrzydzeniem.

Budynek władz miejskich był niegdyś siedzibą sądu hrabstwa Hennepin. Został pomyślany tak, aby przytłaczać odwiedzających swą wielkością. Wejście od strony Czwartej Ulicy, z którego Kate rzadko korzystała, wyglądało jak wejście do pałacu: wspaniałe marmurowe schody, świetne witraże i olbrzymia alegoryczna rzeźba – Ojca Rzek, Missisipi. Sam budynek zawsze kojarzył się Kate ze starym szpitalem o posadzkach wykładanych płytkami i okładzinach z białego marmuru. Całość wywierała wrażenie pustki, chociaż budynek pękał w szwach od policjantów i przestępców, urzędników miejskich, reporterów i obywateli szukających sprawiedliwości lub przywileju.

Na czas remontu stałych pomieszczeń wydział śledczy policji miejskiej ulokowano w

szeregu brzydkich pokoiów u najdalszego końca przepaścistego holu. Pierwszym pomieszczeniem była sala recepcyjna podzielona prowizorycznymi przepierzeniami. Wszędzie stały tu kartoteki i pudła z dokumentami. Każdy wolny kąt wypełniały obdrapane szare metalowe szafki na dokumenty. Obok drzwi do składziku na narzędzia, który służył teraz jako biuro detektywom z sekcji przestępstw na tle seksualnym wisiała kartka z napisem:

Święto Indyka

27 listopada

Pub „U Patricka”

godz. 16.00

Sabin niedbałym gestem przywitał recepcjonistkę i skrzywił się do wydziału zabójstw. Znaleźli się w pomieszczeniu zastawionym brzydkimi metalowymi biurkami o barwie brudnego kitu. Tylko przy niektórych z nich widać było pracujących detektywów, na większości zalegały stosy papierów. Notatki, zdjęcia i rysunki były również przypięte pinezkami lub przyklejone taśmą do ścian i szafek. Umieszczona obok drzwi wywieszka głosiła: „wydział zabójstw – zabezpiecz broń”.

Sam Kovac, który właśnie przyciskał słuchawkę telefonu do ucha, skrzywił się na ich widok i jednocześnie wykonał zapraszający gest ręką. Kovac, który miał za sobą osiemnaście lat pracy w wydziale, wyglądał na typowego policjanta z tradycyjnym wąsem i krótko ostrzyżonymi włosami. Siwizna gęsto przetykała ten wąs i ciemnoblonde czuprynę.

– Tak, zdaję sobie sprawę z tego, że spotykasz się z siostrą mojej drugiej żony, Sid. – Wyciągnął nową paczkę papierosów salemów z leżącego na biurku kartonu i niezgrabnie usiłował otworzyć celofanowe opakowanie. Był w samej koszuli i miał rozluźniony krawat. – Ale to nie powód żebyś otrzymywał poufne informacje na temat morderstwa. Mogę ci tylko współczuć. Tak? Tak? Tak powiedziała? No więc, jak myślisz, dlaczego ją zostawiłem? – Uhum, uhum. Naprawdę? – Przytrzymał zębami brzeg paczki papierosów i rozerwał ją. – Słyszałeś to, Sid? Tak samo będę obdzierał ciebie ze skóry, jeśli zobaczę w druku chociaż jedno słowo. Rozumiesz mnie? Chcesz informacji? To przyjdź na konferencję prasową jak wszyscy inni. Tak? No i nawzajem.

Cisnął z impetem słuchawkę i wciąż jeszcze skrzywiony spojrzał na prokuratora. Jego zielonkawo-brązowe oczy, przypominające barwą wilgotną korę, były przekrwione, ale zdecydowane, i iskrzyły się inteligencją.

– Cholerne gryziopórki. Ta sprawa będzie brzydsza niż moja ciotka Selma, a ona jest

taka paskudna, że nawet buldog by się porzygał.

– Mają nazwisko Bonduranta? – zapytał Sabin.

– Jasne, że mają.

Wyjął papierosa z paczki, włożył do ust i nie zapalając go, zaczął przerzucać sterty papierów na biurku.

– Rzucili się na tę sprawę jak muchy na psie gówno – burknął, zerkając na nich przez ramię. – Cześć, Kate. Jezu, co ci się stało?

– Długo by o tym mówić. Na pewno dowiesz się dziś wieczorem u Patricka. Gdzie jest nasz świadek?

– W innym pokoju.

– Czy rysownik już z nią pracuje? – zapytał Sabin.

Kovac parsknął jak niezadowolony koń.

– Ona nawet z nami nie chce współpracować. Ta obywatelka nie wydaje się szczególnie zachwycona faktem, że znalazła się tutaj w centrum uwagi.

– Ale nie przysparza chyba jakichś problemów, prawda? – zapytał z niepokojem w głosie Marshall, błyskając służalczym uśmiechem w kierunku Sabina. – Przypuszczam, że jest po prostu w szoku, panie Sabin. Kate doprowadzi ją do porządku.

– Co pan sądzi o tym świadku, detektywie? – zapytał Sabin.

Kovac wziął z biurka zapalniczkę i wyświechtaną teczkę i ruszył ku drzwiom. Zmęczony życiem i pokancerowany wewnętrznie, przypominał uliczną skrzynkę na listy: solidną i kanciastą, pełniącą raczej funkcje praktyczne niż zdobnicze. Jego brązowe spodnie były powypychane i trochę za długie, a ich mankiety załamywały się na przetartych butach.

– O, niezły z niej numerek – odparł z przekąsem. – Podała nam to, co i tak można wyczytać z prawa jazdy. Mówi, że mieszka w Phillips, ale nie ma kluczy do mieszkania i nie potrafi powiedzieć, kto je ma. Jeżeli ona nie jest notowana, to wygolę sobie dupę i pomaluję na niebiesko.

– Więc sprawdzaliście ją, tak? I co? – zapytała Kate, starając się dotrzymać kroku Kovacowi. Sabin i Marshall zostali z tyłu za nimi.

Już dawno się przekonała, że powinna podtrzymywać przyjazne stosunki z policjantami, którzy prowadzą jej sprawy. Korzystniej było mieć w nich sprzymierzeńców, niż adwersarzy. Poza tym lubiła dobrych policjantów, takich jak Sam. Wykonywali ciężką robotę bez szansy na czyjąkolwiek wdzięczność i za niewielkie pieniądze z jednego staromodnego powodu: wierzyli, że ich praca jest potrzebna. Przez te pięć lat udało jej się nawiązać z Kovacem nić porozumienia.

– Próbowałem ją sprawdzić pod nazwiskiem, którego akurat używa – powiedział – ale pieprzony komputer nawalił. Zanosi się na wspaniały dzień. Mam w tym tygodniu nocne dyżury, więc teraz powinienem spać w swoim łóżku. Pracuję w nocy. Mam dość tych bzdur o działaniu zespołowym. Potrzebuję, do cholery, jednego partnera i trochę spokoju. Wiesz o co mi chodzi. Prawie już się zdecydowałem na przejście do przestępstw seksualnych.

– I zrezygnowałbyś z całej tej sławy i chwały? – zapytała złośliwie Kate, trącając go lekko łokciem.

Spojrzał na nią, przechylając głowę porozumiewawczo, a w jego oczach pojawiła się iskra cierpkiego humoru.

– Cholera, lubię, jak moi sztywni mają jasną sytuację.

– Tak o tobie mówią, Sam – odparła Kati żartem.

Dobrze wiedziała, że jest najlepszym śledczym w miejscowej policji i porządnym człowiekiem, oddanym pracy i nie cierpiącym różnych rozgrywek politycznych.

Kovac zaśmiał się krótko i otworzył drzwi do niewielkiego pomieszczenia, w którego ścianie umieszczono weneckie lustro. Po jego drugiej stronie stała oparta o ścianę detektyw Nikki Liska. Siedząca przy stole dziewczyna patrzyła na policjantkę bynajmniej nie speszona jej spojrzeniem. To źle wróżyło: sytuacja już stawała się konfliktowa. Stół był zastawiony puszkami z wodą mineralną i papierowymi kubkami po kawie oraz nie dojezdzonymi resztkami pączków.

Niekój drzemiący gdzieś głęboko w piersi Kate wzmógł się jeszcze bardziej, gdy przyjrzała się scenie za lustrem. Dziewczyna wyglądała na jakieś piętnaście albo szesnaście lat, była szczupła i blada, miała mały nos i obfite dojrzałe usta drogiej call-girl, oraz wąską owalną twarz o nieco zbyt spiczastym podbródku, co sprawiało, że zachowując całkiem neutralną minę Angie, mogła sprawiać wrażenie nastawionej wrogo. Jej nieco egzotyczne, słowiańsko-skośne oczy wyglądały w tej twarzy o dwadzieścia lat za staro.

– Przecież to dziecko – powiedziała do Marshalla speszona Kate z pretensją w głosie.
– Nie zajmuję się dziećmi. Wiesz o tym.

– Chcemy, żebyś się nią zajęła, Kate.

– Dlaczego? Macie cały wydział do spraw nieletnich. Przecież wiesz, że sprawy o morderstwo to dla tych z wydziału chleb powszedni.

– To jest inny przypadek. Nie chodzi o jakąś tam strzelaninę ulicznych gangów – odparł takim tonem, jakby najbardziej okrutne przestępstwa w mieście należały do tej samej kategorii, co drobne kradzieże w sklepach i wykroczenia drogowe. – Tu mamy do czynienia z seryjnym mordercą.

Nawet w ich zawodzie, w którym morderstwo było sprawą rutynową, termin „seryjny morderca” robił wrażenie. Kate ciekawiło czy poszukiwany przez nich przestępca świadom tego, rozkoszuje się tym przydomkiem, czy może jest zbyt zatopiony w swoim prywatnym mikroświecie polowania i zabijania. Widywała obydwa typy. Cóż, w końcu nie stanowiło to żadnej różnicy dla ich ofiar.

Znowu spojrzała na dziewczynę, której ścieżka przecięła się ze ścieżką mordercy. Angie DiMarco wpatrywała się gniewnie w lustro. Każdy skrawek jej ciała emanował niechęcią. Podniosła ze stołu grube czarne pióro i wystudiowanym ruchem przesunęła nim powoli tam i z powrotem po swojej pełnej dolnej wardze ruchem jednocześnie zniecierpliwionym i zmysłowym.

Sabin stał bokiem do Kate, jakby pozował rysownikowi sporządzającemu jego portret do wybicia na monecie.

– Zajmowałaś się tego rodzaju sprawami, Kate. Kiedy byłaś w FBI. Masz osiągnięcia. Wiesz, czego się spodziewać po takim śledztwie i po mediach. Być może znasz agenta, którego przysyłają z wydziału śledczego. To mogłoby nam pomóc. Najdrobniejszy szczegół, jaki tylko da się zdobyć, może być przydatny.

– Zajmowałam się tam ofiarami, ale martwymi – odparła. Nie podobało jej się to, że narasta w niej niepokój. Nie podobał jej się sam fakt zaistnienia tego uczucia, ale nie miała ochoty badać jego źródła. Jest wielka różnica pomiędzy tymi zajęciami a pracą z dzieckiem – dodała. – Ostatnio słyszałam, że martwi są bardziej skłonni do współpracy niż nastolatki.

– Jesteś opiekunem świadków – wtrącił szybko Marshall skomlącym tonem. – A ona jest świadkiem.

Kovac, który oparty o ścianę słyszał ich rozmowy, posłał Kate blady uśmiech.

– Wiesz, Ruda, że człowiek nie wybiera sobie rodziny ani świadków. Sam bym wolał, żeby tamtej nocy z parku wybiegła Matka Teresa.

– A ja nie – odparła Kate. – Obrona dowiodłaby, że ma kataraktę i chorobę Alzheimera, i orzekła, że każdy, kto uważa iż człowiek może powstać z martwych trzy dni po śmierci, jest co najmniej niewiarygodnym świadkiem.

– Pieprzeni adwokaci – mruknął Kovac, przygryzając wąsa.

– Matka Teresa nie żyje – oznajmił z rozbawieniem w głosie Marshall.

Kate i Kovac skrzywili się z politowaniem, a Sabin chrząknął i spojrzął wymownie na zegarek.

– Musimy ruszyć sprawę z miejsca. Chcę usłyszeć, co ta dziewczyna ma do powiedzenia.

Kate uniosła jedną brew.

– Myślisz, że ona tak po prostu ci to powie? Za mało wychodzisz z biura, Ted.

– Byłoby lepiej dla niej, gdyby nam powiedziała – odparł Sabin groźnym tonem i ruszył ku drzwiom.

Kate jeszcze raz spojrzała w lustro. Chociaż dziewczyna nie mogła jej widzieć, miała wrażenie, że czuje na sobie jej wzrok. Jezu, nastolatka. Równie dobrze mogli jej, Kate, przydzielić Marsjanina. Nie miała dziecka, a obecność tej dziewczyny była jak wyrzut, że tego nie chce albo nie potrzebuje.

Spojrzała na bladą twarz Angie i ujrzała w niej taki gniew, wrogość i znajomość świata, jakie nie powinny być dane żadnemu dziecku w tym wieku. Dostrzegła też strach. Ukryty pod wszystkim innym, ukryty w głębi tej istoty niby ważna tajemnica. Nie chciała się przyznać sama przed sobą, co w jej własnej duszy umożliwiło rozpoznanie tego strachu.

Angie DiMarco rzuciła okiem na policjantkę, która akurat spoglądała na zegarek. Potem znowu spojrzała w lustro weneckie i wsunęła ukradkiem pióro pod sweter.

– To dziecko – mruknęła znowu Kate, wychodząc na korytarz w ślad za Sabinem i Marshalllem. – Sama nie byłam zbyt dobra w tej roli.

– Świetnie się składa – rzucił Kovac, przepuszczając ją w drzwiach. – Jej też to nie wychodzi.

Kiedy weszli do pokoju przesłuchań, Nikki Liska, niewysoka blondynka o wysportowanej sylwetce i ostrzyżonych na chłopaka włosach, oderwała się od ściany i powitała ich znużonym uśmiechem.

Wyglądała jak – Dzwoneczek z *Piotrusia Pana* na sterydach, przynajmniej tak twierdził Kovac, nadając jej przyzwisko Tinks.

– Witamy w gabinecie krzywych lusterek – powiedziała. – Ktoś chce kawy?

– Dla mnie bezkofeinową, Nikki, i taką samą dla naszej przyjaciółki – powiedziała Kate spokojnie, nie odrywając oczu od dziewczyny i pośpiesznie usiłując zaplanować jakąś strategię.

Kovac opadł na krzesło, oparł się łokciem o blat stołu i zaczął zbierać z niego rozsypane drobiny czekolady.

– Kate, to jest Angie DiMarco – powiedział jakby od niechcenia. – Angie, to jest Kate Conlan z programu opieki nad ofiarami i świadkami. Została przydzielona do twojej sprawy.

– Nie ma żadnej mojej sprawy – odburknęła dziewczyna. – A ci to co za jedni?

– Prokurator okręgowy Ted Sabin i Rob Marshall z programu opieki.

Kovac wskazał na każdego z osobna, kiedy siadali przy stole naprzeciwko cennego świadka. Sabin zaserwował dziewczynie najzyczliwszą minę, na jaką potrafił się zdobyć.

– Bardzo nas interesuje, co masz do powiedzenia, Angie. Ten morderca to niebezpieczny człowiek.

– Pieprzenie – mruknęła dziewczyna i popatrzyła znowu na Kovaca, zatrzymując wzrok na jego ustach. – Mogę zapalić?

Kovac wyjął papierosa z ust i spojrzał na niego.

– Do diabła, nawet ja nie mogę palić. Jest zakaz w całym budynku. Miałem właśnie wyjść.

– To mnie wkurza. Siedzę kurwa w tym pieprzonym pokoju przez prawie pół nocy i nie mogę nawet, kurwa, zapalić!

Odchyliła się na krześle i skrzyżowała ramiona na piersiach. Jej ciemne, rozdzielone po środku włosy były przetłuszczone i opadały luźno do ramion. Zbyt obfity makijaż rozmazał się pod oczami Angie. Miała na sobie wytartą dzinsową kurtkę od Calvina Kleina, która kiedyś chyba należała do kogoś imieniem Rick, bo takie imię było wypisane drukowanymi literami niespierzalnym atramentem nad lewą przednią kieszenią. Siedziała w kurtce pomimo panującego w pokoju ciepła. Kate przypuszczała, że chce w ten sposób zachować poczucie bezpieczeństwa albo ukryć ślady po igle.

– Och, na rany boskie, Sam, daj jej papierosa – powiedziała Kate, podciągając rękawy swetra. – Siadła na krześle obok dziewczyny. Mnie też daj. Jak nas nakryją, to wszyscy będziemy mieli przechlapane. A zresztą co nam mogą zrobić? Każą nam się wynosić z tej dziury?

Obserwowała dziewczynę kątem oka, kiedy Kovac wytrząsał dwa papierosy z paczki. Poobgryzane do mięsa paznokcie Angie były pomalowane na metaliczny, zimny niebieski kolor. Wzięła papierosa drżącą ręką. Miała mnóstwo tanich pierścionków ze srebra, a w dwóch miejscach na jej dłoni widniały prymitywne tatuaże: krzyż koło kciuka, a na grzbiecie litera A z wysoko nakreśloną poprzeczką. Nadgarstek zdobił profesjonalnie wykonany tatuaż, przedstawiający cierniową bransoletkę, wyrysowaną delikatnym, niebieskim tuszem.

– Siedzisz tu już tak długo, Angie? – zapytała Kate, zaciągając się papierosem.

Smakował jak wyschnięte łąjno. Sama nie wiedziała, dlaczego wróciła do tego nałogu podczas studiów, w college'u. Pewnie taka jest cena za opinię równej facetki. Teraz płaciła za to uzależnieniem.

– Tak – odparła dziewczyna, wypuszczając pod sufit chmurę dymu. – I nie chcą mi dać adwokata.

– Nie potrzebujesz adwokata, Angie – wtrącił Kovac życzliwym tonem. – Nie jesteś o nic oskarżona.

– To dlaczego nie mogę się stąd wynieść?

– Mamy parę problemów do rozwiązania. Na przykład sprawę twojej tożsamości.

– Podałam wam swoje nazwisko.

Kovac wyjął dokumenty z teczki i podał je Kate, unosząc znacząco brwi.

– Masz dwadzieścia jeden lat – przeczytała z powagą, strząsając popiół z papierosa do pustej filiżanki po kawie.

– Tak jest tam napisane.

– I że jesteś z Milwaukee.

– Byłam. Wyjechałam stamtąd.

– Masz tam jakąś rodzinę?

– Nikt nie żyje.

– Przykro mi to słyszeć.

– Wątpię.

– Masz tu może krewnych? Ciotki, wujów, kuzynów, jakichś powinowatych? Kogokolwiek do kogo moglibyśmy zadzwonić, żeby ci pomógł przez to przejść?

– Nie. Jestem sierotą. Och, ja biedna! – Dziewczyna parsknęła sarkastycznym śmiechem. – Nie potrzebuję żadnej rodziny.

– Nie mamy twojego stałego adresu, Angie – wtrącił Kovac. – Powinnaś uświadomić sobie, co się stało. Jesteś niewinną osobą, która może zidentyfikować mordercę. Musimy wiedzieć, gdzie cię znaleźć.

Przewróciła oczami tak, jak potrafią to robić tylko nastolatki, chcąc wyrazić jednocześnie niedowierzanie i zniecierpliwienie.

– Przecież dałam wam swój adres.

– Podałaś mi adres mieszkania, do którego nie masz kluczy, i nie znasz nawet nazwiska osoby, z którą mieszkasz.

– Już powiedziałam! Poderwała się z krzesła i odwróciła od Kovaca, rozsypując na podłogę popiół z papierosa. Niebieski sweter, który miała pod kurtką, był przycięty albo się zbiegł, bo odsłaniał jej pępek z kolczykiem i kolejny tatuaż: trzy krople krwi niknące pod paskiem jej brudnych dżinsów. Ona się nazywa Molly. Poznałam ją na imprezie. Powiedziała, że mogę pomieszkać u niej, póki sobie czegoś nie znajdę – wyjaśniła, odwracając się do nich wszystkich plecami.

Kate zauważyła, że jej głos lekko drży. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do

pokoju weszła Liska z kawą.

– Angie, nikt nie ma zamiaru cię tu przetrzymywać – powiedziała Kate. – Ale zależy nam na twoim bezpieczeństwie.

Dziewczyna odwróciła się do niej gwałtownie i obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu.

– Wam zależy tylko na tym, żebym zeznawała przeciwko temu wariatowi, Krematorowi. Myślicie, że mi odbiło? Znajdzie mnie i też załatwi!

– Twoja współpraca będzie konieczna – oświadczył Sabin oficjalnym tonem, dając wyraźnie do zrozumienia, że to on tutaj decyduje. – Jesteś naszym jedynym świadkiem. Z tego, co wiemy, ten człowiek zamordował już trzy kobiety.

Kate posłała mu ostre spojrzenie.

– Moim obowiązkiem jest między innymi dopilnowanie, żebyś była bezpieczna, Angie – wyjaśniła Kate, usiłując zachować spokój. – Jeżeli potrzebujesz jakiegoś mieszkania, możemy ci to załatwić. Masz pracę?

– Nie – odparła, znowu się odwracając. – Szukałam – dodała niemal przepraszająco.

Przesunęła się w kąt pokoju, gdzie leżał jej brudny plecak. Kate byłaby gotowa się założyć, że mieścił się w nim cały majątek dziewczyny.

– Ciężko jest zaczynać w nowym mieście – powiedziała cicho. – Człowiek nie ma orientacji ani żadnych kontaktów. Trudno stanąć na nogi i nadać życiu jakiś bieg.

Dziewczyna pochyliła głowę i włożyła kciuk do ust. Jej twarz skryła się za opadającymi luźno włosami.

– Trzeba pieniędzy, żeby się urządzić – dodała Kate. – Pieniądzy na jedzenie, jakieś mieszkanie, ubrania, na wszystko.

– Jakoś sobie radzę.

Kate domyślała się jak. Wiedziała, jaki jest los bezdomnych nastolatek. Żeby przetrwać, robią wszystko. Żebrzą, kradną, sprzedają prochy. Sprzedają się same. Raz, dwa, dziesięć razy. Na świecie nie brakuje degeneratów, którzy bardzo chętnie żerują na nieletnich bez domu i wszelkich perspektyw.

Liska postawiła parujące filiżanki na stole i nachyliła się do ucha Kovaca.

– Elwood odszukał zarządcę domu. Ten facet mówi, że mieszkanie jest puste, a jeżeli ta mała tam mieszka, to on żąda pięciuset dolarów zaliczki albo wniesie skargę o naruszenie własności.

– Co za humanitarne podejście.

– Więc Elwood mówi mu: „Pięćset? To po ile to wychodzi? Po jednym zielonym za

karalucha?”

Kate słuchała ich szeptanej wymiany zdań nie spuszczać oczu z Angie.

– Masz już wystarczająco ciężkie życie, a tu jeszcze stałaś się świadkiem morderstwa.

Nie podnosząc głowy, dziewczyna pociągnęła nosem i podniosła papierosa do ust.

– Nie widziałam, jak ją zabił.

– A co widziałaś? – wtrącił się Sabin. – Musimy to wiedzieć, panno DiMarco. Każda minuta jest istotna dla śledztwa. Ten człowiek to seryjny morderca.

– Zdaje mi się, że wszyscy o tym wiemy, Ted – wtrąciła Kate, ledwie kryjąc gniew. – Naprawdę nie musisz nam o tym przypominać co dwie minuty.

Rob Marshall skrzywił się, a Sabin, z irytacją spojrzął jej prosto w oczy. Zależało mu na odkryciu jakiejś rewelacji, zanim pośpieszy na spotkanie z panią burmistrz. Chciał pojawić się przed kamerami na konferencji prasowej, aby podać nazwisko i rysopis mordercy oraz oznajmić, że wkrótce nastąpi jego aresztowanie.

– Ona chyba nie potrafi się zdecydować, czy współpracować z nami, czy nie – powiedział. – Uważam, że trzeba jej uświadomić powagę sytuacji.

– Widziała, jak ktoś podpala zwłoki, więc sądzę, że doskonale rozumie powagę sytuacji – odparła Kate.

Kątem oka dostrzegła, że zdołała zainteresować dziewczynę. Może zostaniemy przyjaciółkami i zamieszkamy razem na ulicy, kiedy Sabin mnie wyrzuci z pracy za publiczne kwestionowanie jego opinii, pomyślała z ironią. Do licha, co za pomysły przychodzą mi do głowy! – napomniała się w duchu. Przecież wcale nie chciałam tej sprawy.

– Co robiłaś w parku o tej porze, Angie? – zapytał Marshall, ocierając czoło chusteczką.

Spojrziała mu prosto w oczy.

– Zajmowałam się, kurwa, swoimi sprawami.

– Możesz zdjąć kurtkę, jeśli chcesz – powiedział z nieśmiałym uśmiechem.

– Nie chcę.

Marshall napiął mięśnie twarzy i jego uśmiech przerodził się w brzydki grymas.

– Świetnie. Jeżeli chcesz w niej siedzieć, to proszę bardzo. Po prostu wydaje mi się, że tu jest gorąco. Więc może powiesz nam swoimi słowami, jak doszło do tego, że byłaś w nocy w parku?

Dziewczyna patrzyła na niego z nie skrywaną wrogością.

– Powiedziałabym ci, żebyś pocałował mnie w dupę, ale jesteś taki, kurwa, paskudny, że musiałbyś zapłacić z góry.

Twarz Marshalla pokryła się szkarłatnym rumieńcem.

W tym samym momencie rozległ się sygnał pagera i wszyscy oprócz dziewczyny sięgnęli do kieszeni. Sabin nachmurzył się, kiedy przeczytał informację na wyświetlaczu swojego aparatu i znów spojrzął na zegarek.

– Czy dobrze widziałaś tego człowieka, Angie? – zapytał Marshall spięty. – Mogłabyś nam bardzo pomóc. Wiem, że przeżyłaś okropne chwile...

– Gównu wiesz – przerwała mu dziewczyna.

Na lewej skroni Marshalla pojawiła się pulsująca żyła. Czoło błyszczało mu od pokrywających je gęsto kropielek potu.

– Właśnie dlatego pytamy o to ciebie – powiedziała spokojnie Kate, wypuszczając powoli obłok dymu z ust. Mogłoby się wydawać, że wcale jej się nie śpieszy. – Dobrze go widziałaś?

Angie wpatrywała się w nią przez chwilę w milczeniu, potem przeniosła wzrok na Sabina, następnie na Liskę i Kovaca i znowu wróciła wzrokiem do Roba Marshalla. Badała ich, oceniała.

– Widziałam go w świetle ognia – odparła w końcu, opuszczając spojrzenie. – Podpalili ciało i powiedział: „I w proch się obrócisz.”

– Czy rozpoznałabyś go, gdybyś jeszcze raz go zobaczyła? – zapytał Sabin.

– Jasne – mruknęła, podnosząc znowu papierosa do ust. Zaciągnęła się i jego koniec rozjarzył się na tle jej bladej twarzy niby piekielny ognek. – To diabeł – dodała, wydechając dym.

– I po co było to wszystko? – przystąpiła do natarcia Kate, gdy tylko wyszli z pokoju przesłuchań na korytarz.

– Miałem cię zapytać o to samo, Kate – wybuchnął Sabin z wściekłą miną. – Przecież zależy nam na jej współpracy.

– I myślisz, że w tym celu trzeba ją tak naciskać, jakbyś położył na niej tonę cegieł? Muszę ci powiedzieć, że to na nią akurat w ogóle nie działało, jeśli sam tego nie zauważyłeś.

– Jak mogło działać, skoro się wtrącałaś za każdym razem, kiedy zaczynałem robić jakieś postępy?

– Siła prowokuje opór, Ted. Poza tym wtrącam się, bo na tym właśnie polega moja praca – odparła, dobrze wiedząc o tym, że ściąga na siebie gniew wysoko postawionej osoby.

Miał prawo odsunąć ją od sprawy. To by było całkiem niezłe. Już teraz cała ta historia wyglądała na szczytowy absurd. Nie miała ochoty w tym ugrzęznąć.

– Sam mnie do tego wciągnąłeś. Chciałeś, żebyśmy się zaprzyjaźniła z tą dziewczyną,

pamiętasz? To i tak jest wystarczające trudne, a ty jeszcze chcesz, żebyśmy używali przeciwko niej zespołowego nacisku. Ona musi chcieć powiedzieć nam, co widziała. Musi wierzyć, że się nią zaopiekujemy. Naprawdę sądzisz, że ona myśli, że nie wydusisz z niej wszystkiego co się da, a potem nie zostawisz jej własnemu losowi? Jak, według ciebie, takie dziecko jak Angie kończy swój udział w takiej sprawie?

– Najpierw nie chciałaś przyjąć tej sprawy dlatego, że Angie jest dzieckiem, a teraz nagle okazujesz się fachowcem w tej dziedzinie – zirytował się Sabin.

– Chciałaś, żebym zajęła się sprawą z racji moich umiejętności i doświadczenia. Wobec tego musisz mi zaufać, że wywiążę się z powierzonego zadania. Wiem, jak przeprowadzać rozmowy ze świadkiem.

Sabin przerwał spór, zwracając się do Kovaca:

– Mówiłeś, że została zatrzymana, kiedy uciekała z miejsca przestępstwa?

– Niezupełnie.

– Przecież wybiegła z parku, gdy przyjechał pierwszy radiowóz – zdenerwował się Sabin. – Uciekała od płonącego ciała. To sprawia, że jest podejrzana. Potrząśnijcie ją. Zagroźcie jej, wystraszcicie na tyle, żeby powiedziała prawdę. Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie. Za dwie minuty mam spotkanie z szefem i panią burmistrz. Na piątą jest zwołana konferencja prasowa. Do tej pory chcę mieć rysopis mordercy.

Oddalił się od nich, poprawiając marynarkę i poruszając ramionami jak bokser, który właśnie skończył piątą rundę. Kate spojrzała na Kovaca. Miał kwaśną minę.

– Widzisz, z jakim syfem muszę tutaj dawać sobie radę – powiedział.

– Ty? – parsknęła Kate. – On może mnie wylać, ale i tak mam gdzieś, że w tej chwili idzie na spotkanie z samą Janet Reno. Stanowisko nie daje mu uprawnień do nękania świadka ani ciebie, żebyś to zrobił za niego. Jeżeli spróbujesz zdeptać to dziecko sam, to będziesz miał u mnie przechłapanie na całe życie.

Kovac skrzywił się jeszcze bardziej.

– Jezu, Kate, taka szycha mówi, żeby ją przymknąć, więc co mam zrobić? Zagrać mu na nosie? Jak się będę stawiał, to mi urwie jaja.

– Pogram nimi w tenisa.

– Przykro mi, Kate. Zostałaś przegłosowana. Sabin może wykastrować nie tylko mnie, ale i moją emeryturę. Popatrz na to od pozytywnej strony. Ona się będzie czuła w pudle jak w pierwszorzędnym hotelu.

Kate spojrzała na swojego szefa, szukając u niego poparcia.

– Tu wchodzi w grę nadzwyczajne okoliczności, Kate – powiedział Marshall,

przestępując z nogi na nogę.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale wiem również, że gdyby ta dziewczyna widziała, jak ten wariat podpala ciało kolejnej prostytutki, to nie byłoby konferencji prasowej, a Ted Sabin nawet by nie wiedział, jak ona się nazywa. Ale to nie zmienia tego, co my widzieliśmy, Rob. Nie zmienia tego, kim ona jest i jak należy się nią zająć. Ona spodziewa się złego traktowania. To jej daje powód, żeby odmówić współpracy.

Marshall wyglądał tak, jakby był jednocześnie zły i trochę rozbawiony.

– Zdawało mi się, że nie chciałaś przyjąć tej sprawy – przypomniał.

– Bo nie chciałam. Osobiście nie mam ochoty ugrzęznąć po szyję w bagnie, ale skoro już w nim jestem, to traktuję sprawę poważnie. Pozwól mi wykonywać moje obowiązki, albo przydziel mnie do czegoś innego. Nie pozwolę traktować się jak marionetki ze związanymi rękami. Nawet jeżeli to robi jego ekscelencja – powiedziała, nieco blefując.

Rzeczywiście początkowo nie chciała się podjąć tego zadania, ale była najlepszym fachowcem od takich przypadków, a przynajmniej tak uważał Sabin. Ten sam Sabin, którego okropnie podniecała myśl, że była kiedyś agentką FBI. Czuła obrzydzenie, myśląc o jego obsesji na tym punkcie, ale równocześnie dobrze wiedziała, że zyskuje dzięki temu pewną możliwość nacisku na Sabina i tym samym na Marshalla.

Prawdziwy problem polegał na tym, ile to ją będzie kosztowało. A poza tym dlaczego miałyby się angażować tak bardzo, żeby zapłacić tę cenę? Cała sprawa pachniała brzydko na kilometr i Kate przeczuwała komplikacje, które mogły ją oplatać niczym macki ośmiornicy. Powinna się trzymać jak najdalej od całej sprawy. Powinna tak zrobić, gdyby miała choć odrobinę rozsądku i nie dostrzegła obronnej postawy Angie DiMarco i jej strachu.

– Co Sabin może nam zrobić, Rob? – zapytała. – Obciąć głowy i podpalić zwłoki?

– To nie jest ani trochę śmieszne.

– Wcale nie o to mi chodziło. Pokaż, że masz chociaż odrobinę kręgosłupa, i spróbuj mu się sprzeciwić, na rany boskie.

Marshall westchnął i wsunął kciuk za pasek spodni.

– Porozmawiam z nim i zobaczę, co się da zrobić. Może do piątej dziewczyna znajdzie tego faceta w albumie z notowanymi – powiedział bez przekonania w głosie.

– Na pewno masz nadal kontakty w Wisconsin – podsunęła Kate. – Może mógłbyś ją namierzyć. Na przykład zdobyć informację jak się naprawdę nazywa.

– Zadzwoń w parę miejsc. Czy to wszystko? – zapytał z odcieniem ironii w głosie.

Kate udawała, że tego nie dostrzega. Dobrze widziała, że ma zapędy kierownicze, ale wcale nie miała sobie tego za złe, przynajmniej jeśli chodziło o jej szefa. On sam nigdy nie

przedstawiał jej żadnych inspirujących pomysłów.

Odszedł z przegraną miną.

– Ten twój szef to prawdziwy człowiek czynu – rzucił cierpko Kovac.

– Pewnie Sabin trzyma jego jaja w swoim gabinecie w słoju z formaliną.

– Ale ja i tak nie mam ochoty, żeby powiększył kolekcję o moje. Zobaczymy, czy do piątej uda ci się wydobyć coś z tej dziewczyny oprócz kłamstw i sarkazmu. – Klepnął Kate w ramię gestem wyrażającym zarazem pokrzepienie i współczucie. – Pora iść, Ruda, masz kupę roboty – dodał i wszedł do toalety.

Kate odprowadziła go wzrokiem z pochmurną miną. Znowu wróciła do niej ta sama myśl: dlaczego to ja zawsze muszę być niewłaściwą osobą na niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie?

Agent specjalny John Quinn przeszedł z samolotu do budynku portu lotniczego metropolii Minneapolis – St.Paul, znanej pod nazwą Twin Cities. Lotnisko było szare i smutne, podobnie jak wszystkie inne lotniska, które do tej pory widział. Jedynym weselszym elementem wyróżniającym się w ponurym i zmęczonym podróżą tłumie był widok rodziny świętującej przyjazd do domu wystrzyżonego krótko chłopaka w niebieskim mundurze lotnika.

Quinn poczuł ukłucie zazdrości. Jego zazdrość zdawała się mieć tyle samo lat, co on sam, czyli czterdzieści cztery. Członkowie jego rodziny byli bardziej nastawieni na kłótnie niż świętowanie. Nie widział ich od lat. Za bardzo zajęty, oddalony, odsunięty. Zanedbano się ich wstydzący, jak powiedziałaby jego ojciec, i zresztą miałby rację.

Dostrzegł agenta, który stał pod ścianą sali przeznaczonej dla osób oczekujących pasażerów. Vince Walsh. Wyczytał w papierach, że Walsh ma pięćdziesiąt dwa lata i niezły rejestr sukcesów na koncie. W czerwcu miał odejść na emeryturę. Z wyglądu można mu było dać sześćdziesiąt dwa lata, a jego cera miała kolor modeliny. Głębokie bruzdy na policzkach i czole znaczyły zwiotczałą twarz. Wyglądał na człowieka, którego w życiu spotyka zbyt wiele stresów, co nieuchronnie musi się skończyć zawałem serca. Patrząc na niego, można było odnieść wrażenie, że wolałby robić w tej chwili coś innego niż odbierać z lotniska jakiegoś gwiazdora analizy psychologicznej z Quantico.

Quinn zmobilizował resztki energii i przybrał właściwą minę. Trzeba się dostosować do sytuacji: wyglądać ugodowo, nie agresywnie, wytworzyć nastrój pewnego koleżeństwa, lecz nie zbytnej poufałości. Ramiona opadały mu ze zmęczenia, ale nawet nie próbował nadać im bardziej dziarskiego wyglądu.

– Pan jest Walsh?

– A pan Quinn – odparł obojętnie Walsh, zanim Quinn wydobyl legitymację z wewnętrznej kieszeni marynarki. – Ma pan bagaż?

– Tyle, co tu widać – odparł Quinn, wskazując swoje rzeczy.

Miał ze sobą solidnie wypchaną torbę na ubrania i teczkę, w której mieścił się laptop i gruby plik dokumentów. Walsh nie zaproponował pomocy w niesieniu bagażu.

– Cieszę się, że mnie podwiesz – powiedział Quinn, przechodząc na „ty” gdy już ruszyli w głąb korytarza. – Będę mógł dzięki temu zabrać się od razu do roboty, zamiast błąkać się godzinę po mieście.

– Nie ma sprawy.

„Nie ma sprawy” – powtórzył w myślach Quinn. Niezbyt ciekawy początek, ale nic nie mógł na to poradzić. Będzie musiał później rozpracować tego gościa. Teraz liczyło się to, że mógł z marszu zabrać się do roboty. Góra uznała tę sprawę za priorytetową. Zawsze była jakaś sprawa, jedna po drugiej, a potem następna, i jeszcze jedna, i zaraz czekała kolejna... Wstrząsnął się ze zmęczenia i od razu poczuł palenie w żołądku.

W milczeniu ruszyli do głównego terminalu i wjechali windą jedną kondygnację do góry, a potem przeszli przez ulicę na parking, gdzie Walsh zostawił swojego taurusa na miejscu zarezerwowanym dla inwalidów.

Quinn umieścił torbę i teczkę w bagażniku i zajął miejsce w samochodzie. Wnętrze pojazdu wypełniał odór papierosów, od których beżowa tapicerka nabrała tego samego odcienia szarości, co kierowca samochodu.

Kiedy wjeżdżali na autostradę stanową numer pięć, Walsh sięgnął do kieszeni po paczkę chesterfieldów i wyciągnął z niej jednego ustami.

– Można? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, przysunął do papierosa płomień zapalniczki.

Quinn opuścił odrobinę szybę.

– To twój samochód.

– Jeszcze przez siedem miesięcy – odparł Walsh, zaciągając się głęboko dymem i tłumiąc kaszel.

– O Jezu, nie mogę się pozbyć tego przekłętego przeziębienia.

– Obrzydliwa pogoda – zgodził się Quinn i od razu dodał w myślach „albo rak płuc”.

Szare niebo zdawało się ciążyć nad miastem, jakby było z ołowiu. Deszcz przy temperaturze sześciu stopni Celsjusza. Wszystkie rośliny zmarły albo całkiem zginęły i już tak miało zostać do wiosny, która, jak podejrzewał, nadejdzie po bardzo długim czasie. W stanie Wirginia już w lutym można było zauważyć oznaki budzącej się do życia przyrody.

– Nie jest tak najgorzej – powiedział Walsh. – Mogłoby sypać śniegiem jak cholera. Parę lat temu była taka śnieżycyca na Halloween. Ale nam to narobiło. Tamtej zimy napadało chyba ze trzy metry śniegu. Stopniał dopiero w maju. Nie znoszę tego miasta.

Quinn nie zapytał go, czemu wobec tego tu został, bo nie miał ochoty wysłuchiwać znanej litanii narzekań na FBI albo podobnej litanii pretensji człowieka, któremu się nie

układa w małżeństwie i ma pod bokiem teściów. Wcale nie chciał słyszeć o tym, dlaczego taki facet jak Walsh nie znosi swojego życia. Miał swoje własne problemy, o których Walsh też nie chciałby nic wiedzieć.

– Niestety, utopia nie istnieje, Vince.

– Mnie wystarczy Scottsdale w Arizonie. Już nigdy w życiu nie chcę marznąć. Jak tylko przyjdzie czerwiec, wynoszę się stąd. Z dala od tego miasta i od tej cholernej pracy.

Rzucił okiem na Quinna, jakby podejrzewał, że może być jakimś kapusiem z centrali, który zaraz zadzwoni z donosem do jego przełożonego.

– Ta robota potrafi dać człowiekowi w kość – zgodził się Quinn. – Mnie najbardziej wkurzają kombinacje polityczne – powiedział, trafiając precyzyjnie w czułe miejsce Walsh. – Jak się działa w polu, to człowiekowi dają popalić z dwóch stron. Dostaje za swoje od miejscowych funkcjonariuszy i od góry.

– Zgadza się. Żałuję, że się jeszcze stąd nie wyniosłem. W tej sprawie będziemy zbierali jednego kopa w dupę po drugim.

– Już się zaczęło?

– Przecież przyjechałeś, no nie?

Walsh wziął z siedzenia segregator i podał go Quinnowi.

– Zdjęcia z miejsca zbrodni. Pomyślałem, że będziesz chciał je zobaczyć. Weź, napatrz się.

Quinn wziął do ręki teczkę, nie odrywając od Walsh'a spojrzenia ciemnych oczu.

– Coś ci nie pasuje, że tu jestem, Vince? – zapytał wprost.

Złagodził to pytanie, robiąc minę trochę w stylu: jestem równy gość, a trochę udając zmieszanie, którego wcale nie czuł. Był w podobnej sytuacji wiele razy i znał każdą możliwą reakcję na swoje pojawienie się: szczere zadowolenie, pełne hipokryzji przywitanie, skrywaną irytację, otwartą wrogość.

Walsh należał do trzeciej kategorii: ale próbował udawać, że jest szczery.

– Nie, do diabła – odparł w końcu. – Jeżeli nie nakryjemy tego gnojka jak najszybciej, to wszystkim nam przypną tarcze strzelnicze do pleców. Nie przeszkadza mi, że masz większy kłopot niż ja.

– Ale to w dalszym ciągu twoja sprawa. Jestem tutaj tylko do pomocy.

– Dobre sobie. To samo próbowałem wytłumaczyć naszemu porucznikowi.

Quinn zamilkł, by ułożyć w myślach jakąś strategię postępowania. Wyglądało na to, że będzie musiał dać sobie radę bez Walsh'a, chociaż ten powinien być świetny w swoim fachu, skoro ASAC, czyli tutejszy agent specjalny, powierzył mu tę sprawę. Jeżeli Peter Bondurant

potrafił dotrzeć do grubych ryb w Waszyngtonie, to z pewnością miejscowi funkcjonariusze nie mieli ochoty mu się narażać. Według przesłanej faksem dokumentacji, Walsh od lat cieszył się znakomitą reputacją. Może miał o kilka lat służby za dużo. O kilka spraw za dużo i za dużo politycznych rozgrywek.

Quinn już wyobrażał sobie, jakie panują w tym mieście układy polityczne. Doszło do trzech zabójstw, co według przepisów ledwie wystarczało, by zakwalifikować je jako seryjne morderstwa. W normalnych przypadkach na tym etapie sprawy zasięgnięto by jego opinii telefonicznie, jeśliby się z nim w ogóle konsultowano. Wiedział z doświadczenia, że takie sprawy są rozwiązywane za pomocą sił lokalnych, aż do chwili, kiedy się okazuje, że liczba zabójstw rośnie niepowstrzymanie. On sam miał na głowie osiemdziesiąt pięć spraw, więc musiał przyznawać priorytet najgorszym przypadkom. Sytuacja, w których dochodziło do trzech zabójstw, rzadko zmuszała go do wyjazdu na miejsce wydarzenia. Jego fizyczna obecność tutaj zdawała się niepotrzebna, co jeszcze bardziej potęgowało frustrację i wyczerpanie. Zamknął na moment oczy, by się opanować.

– Ten wasz pan Bondurant ma przyjaciół na bardzo wysokich stanowiskach – powiedział. – Co to za jeden?

– To zawodnik wagi superciężkiej. Właściciel firmy komputerowej Paragon, która podpisuje dużo kontraktów z armią. Odgrażał się, że się wyniesie ze stanu, więc gubernator i wszyscy tutejsi politycy stanęli w kolejce, żeby całować go w dupę. Podobno ma miliard dolarów majątku albo i więcej.

– Widziałeś go kiedyś?

– Nie, nie zadał sobie trudu, żeby dotrzeć do ciebie przez nasze biuro. Słyszałem, że trafił od razu na samą górę.

Wszystko by się zgadzało, pomyślał Quinn. W kilka godzin zapakowano go do samolotu lecącego do Minneapolis. Nikt nie przejmował się panującą zasadą przydzielania spraw według klucza terytorialnego. Tak samo nikogo nie obchodziły aktualnie prowadzone przez niego sprawy. Nie było też zwykłych biurokratycznych problemów, związanych z akceptacją planu wyjazdu.

Ciekawe, czy Bondurant zażądał, żeby przysłano właśnie jego. Było o nim dość głośno przez ostatni rok. Wcale tego nie chciał. To prasa upodobała sobie go jako bohatera. Odpowiadał wyobrażeniu dziennikarzy o tym, jak powinien wyglądać agent specjalny z wydziału śledczego: solidnie zbudowany, emanujący energią, ciemnowłosy, zdecydowany. Dobrze wychodził na zdjęciach i nieźle wypadł w telewizji. Sam George Clooney mógłby go grać w filmach. Czasami przydawał mu się ten wygląd. Przy niektórych okazjach było to dość

przyjemne, ale coraz częściej przysparzało mu samych kłopotów.

– Facet nie tracił czasu – ciągnął Walsh. – Dziewczyna nawet jeszcze dobrze nie ostygła. Nie wiedzą nawet, czy to na pewno jego córka. W końcu nie ma głowy, no i w ogóle. Ale wiesz, ludzie z kasą się nie chrzanią. Nie muszą.

– Co wiadomo na temat tożsamości ofiary?

– Mają jej prawo jazdy. Będą próbowali zdjąć odciski palców, ale podobno ręce są nieźle przypalone. Lekarz sądowy zażądał wydania kart leczenia Jillian Bondurant. Chce sprawdzić wszystkie znaki szczególne czy złamane kości, żeby zobaczyć, czy coś będzie się zgadzało. Wiemy, że ciało pasuje, jeżeli chodzi o wielkość i budowę. Wiemy też, że Jillian Bondurant jadła kolację z ojcem w piątek wieczorem. Wyszła z jego domu około północy i od tamtej pory nikt jej nie widział.

– A samochód dziewczyny?

– Jeszcze go nie znaleźli. Dzisiaj ma być sekcja zwłok. Może uda się porównać zawartość żołądka z posiłkiem, który Bondurant jadła z ojcem tamtego wieczoru, chociaż wątpię w to. Facet musiałby ją zabić niemal zaraz potem. Ale ten świr ma inny sposób działania. Dzisiaj o piątej jest konferencja prasowa. Gazety zresztą i tak już cały czas piszą o sprawie. Nawet nadano temu gnojkwowi przezwisko: Kremator. Dobrze, co?

– Słyszałem, że próbują znaleźć podobieństwa z kilkoma morderstwami sprzed paru lat. Jest między nimi jakiś związek?

– To te morderstwa z Wirth Park. Nie ma żadnego związku, chociaż jest parę podobieństw. Tamte ofiary to były czarne kobiety plus jeden Azjata transwestyta, który oberwał przez pomyłkę. prostytutki albo osoby wyglądające na prostytutki. Tutaj dwie pierwsze ofiary były prostytutkami, ale zawsze znajdzie się ktoś, kto zabija prostytutki. Są łatwym łupem. Tamte ofiary były czarne, a te są białe. Więc wskazuje to na innego zabójcę, prawda?

– Owszem, mordercy popełniający seryjne zbrodnie na tle seksualnym, ogólnie rzecz biorąc, nie wychodzą poza obręb własnej grupy etnicznej.

– W każdym razie skazali, pewnego faceta za jedno z tych morderstw w Wirth Park i umorzyli śledztwo w sprawie pozostałych. Mieli mordercę, ale zabrakło im konkretnych dowodów, żeby ciągnąć sprawę we wszystkich przypadkach. A zresztą ile wyroków dożywocia może odsiedzieć jeden człowiek? Rozmawiałem dzisiaj rano z facetem z wydziału zabójstw – dodał Walsh zgniatając niedopałek papierosa w przepelnionej popielniczce. – Mówi, że nie ma co do tego wątpliwości. Tu chodzi na pewno o jakiegoś innego drania. Ale prawdę mówiąc, nie wiem o wiele więcej o tych morderstwach niż ty. Do dzisiaj nie mieli nic

poza dwiema zabitymi dziwkami. Przeczytałem o nich w gazecie jak wszyscy inni. Ale na pewno tamten facet nie odcinał nikomu głowy. No i w ten sposób jesteście w lesie.

Przerwał, jakby naraz zde gustowany tą niezamierzoną grą słów.

Quinn spojrział przez okno. Szare niebo, deszcz, pozbawione liści drzewa, tak czarne i ponure, jakby zostały osmalone. Zatrzymał się na chwilę w myślach nad tymi bezimiennymi, pozbawionymi twarzy ofiarami, które nie były na tyle ważne, żeby zasłużyć na coś więcej poza mechanicznym zaszufladkowaniem. Za życia zaznały radości i smutku, a w drodze na śmierć prawdopodobnie przerażenia i bólu. Miały rodziny i przyjaciół, którzy pewnie nosili po nich żałobę i tęsknili za nimi. Jednak prasa i, ogólnie rzecz biorąc, społeczeństwo zredukowały ich życie i śmierć do najniższego, najbardziej podłego wspólnego mianownika: dwie zabite dziwki. Quinn widział do tej pory setki ofiar i pamiętał każdą z nich.

Westchnął, i roztarł sobie czoło, usiłując powstrzymać tępy ból, który chyba już na stałe zagnieździł mu się w głowie. Był zbyt zmęczony, aby dbać o wymogi dyplomacji właściwe na początku tego rodzaju sprawy. Odczuwał ten rodzaj zmęczenia, który przenika człowieka do szpiku kości i obciąża jak ołów. W ostatnich kilku latach widział za wiele martwych ciał. Ich nazwiska pojawiały się nocami w jego myślach, kiedy usiłował zasnąć. Liczenie zwłok przed zaśnięciem, jak to nazywał. Nie gwarantowało ono słodkich snów.

– Chcesz jechać najpierw do hotelu czy do biura? – zapytał Walsh.

Czy to, czego on chciał, miało jakieś znaczenie? Wszystko, czego chciał w życiu, już dawno znalazło się poza jego zasięgiem.

– Muszę jechać na miejsce zbrodni – powiedział, czując ponury ciężar nie otwartej teczki z fotografiami, która spoczywała na jego kolanach. – Chcę zobaczyć, gdzie ją porzucił.

Park wyglądał niczym obozowisko zajmowane poprzedniego dnia przez skautów. Żółta taśma, rozciągnięta od drzewa do drzewa jak wstążka, broniła dostępu do poczerńiałego od ognia skrawka gruntu. Trawa dookoła była zdeptana, a opadłe z drzew liście, wgniecione w ziemię, przypominały mokre skrawki papieru. Dookoła poniewierały się pomięte papierowe kubki po kawie, wywiane przez wiatr ze stojącego na skraju asfaltowej dróżki pojemnika na śmieci.

Wysiedli obydwaj, gdy tylko Walsh zaparkował samochód. Quinn obrzucił uważnym spojrzeniem cały teren. Miejsce zbrodni było nieco poniżej, w płytkim zagłębieniu, które stanowiło doskonałą kryjówkę. Z zapadnięciem zmroku porośnięty gęsto mieszanym drzewostanem park z pewnością przeistaczał się w swoisty odizolowany świat. Najbliższe budynki mieszkalne, zgrabne, jednorodzinne domy, należące do dosyć zamożnych ludzi, stały

w znacznym oddaleniu od miejsca zbrodni, a centrum Minneapolis ze swoimi drapaczami chmur znajdowało się o kilka mil na północ. Nawet niewielki parking, gdzie się zatrzymali, był przesłonięty przez drzewa i coś, co na wiosnę stawało się pewnie pięknym żywopłotem z bzu, skrywającym niewielką zamkniętą na klucz szopę i pojazdy służby parkowej, które zatrzymywały się tam w razie potrzeby.

Nie znany im przestępca prawdopodobnie zaparkował w tym samym miejscu i zniósł ciało w dół po stoku, żeby dopełnić swej ceremonii. Quinn podniósł głowę, by spojrzeć na lampę sodową, umieszczoną na ciemnym słupku w pobliżu szopy. Jej szkło było rozbite, ale na ziemi nie leżały żadne odłamki.

– Czy wiadomo, od jak dawna nie ma tego światła?

Walsh podniósł głowę, krzywiąc twarz pod kroplami deszczu.

– Będziesz musiał zapytać policji.

Pewnie najwyżej parę dni, pomyślał Quinn. Nie na tyle długo, żeby służba parkowa zabrała się do naprawy. Jeżeli uszkodzenie lampy było dziełem przestępcy, który przygotowywał się do swej wizyty o północy... jeżeli przyszedł tutaj wcześniej, rozbił lampę i posprzątał szkło, żeby nikt nie zauważył, iż lampa jest zniszczona, i nie wymienił jej zbyt szybko... jeżeli wszystko, w rzeczywistości tak właśnie przebiegało, to mieli do czynienia z wysokim poziomem planowania i premedytacji. Także doświadczenia. *Modus operandi* jest wyuczonym zachowaniem. Przestępca dochodzi metodą prób i błędów do tego, co robić a czego nie robić podczas popełniania przestępstwa. Wraz z upływem czasu i powtarzaniem aktów przestępstwa jego metody ulegają udoskonaleniu.

Nie zwracając uwagi na krople deszczu siekące go po odsłoniętej głowie, Quinn ruszył w dół stoku, myśląc o tym, że zabójca musiał iść tędy, trzymając w ramionach martwe ciało. Była to spora odległość, jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt jardów. Z pewnością zespół badający miejsce zbrodni dysponował dokładnymi pomiarami. Trzeba dużej siły, żeby tak daleko przenieść podobny ciężar. Sposób, w jaki morderca niósł zwłoki, musiał zależeć od tego, ile czasu upłynęło od śmierci ofiary. Najłatwiej byłoby mu nieść ciało przerzucone przez ramię, o ile jeszcze nie nastąpiło stężenie pośmiertne albo – przeciwnie – już ustąpiło. Jeżeli niósł zwłoki w ten sposób, to należało założyć, że mógł być różnej budowy ciała. Nawet niezbyt postawny mężczyzna potrafi sobie poradzić z takim zadaniem. Jeżeli zaś niósł ofiarę w ramionach, to sam musi być dość masywny. Quinn miał nadzieję, że po sekcji zwłok będą wiedzieli więcej na ten temat.

– Co zbadali tu fachowcy? – zapytał, wydechając w chłodne powietrze kłęby pary.

Walsh szedł pośpiesznie trzy kroki za nim, pokasłując.

– Wszystko. Cały ten fragment parku łącznie z parkingiem i szopą. Ludzie z wydziału zabójstw sprowadzili swoich własnych speców od badania miejsca zbrodni i ruchome laboratorium z BCA – powiedział, używając skróconej nazwy Stanowego Biura Kryminalistycznego. – Byli bardzo dokładni w tej robocie.

– Kiedy zaczęło padać?

– Dzisiaj rano.

– Cholera – mruknął Quinn. – A wczoraj wieczorem grunt był twardy czy miękki?

– Twardy jak skała. Nie znaleźli żadnych odcisków butów. Mają trochę śmieci: kawałki papieru, niedopałki i tym podobne. Ale to w końcu, do diabła, publiczny park. Każdy mógł zostawić takie rzeczy.

– Czy na dwóch pierwszych miejscach zbrodni znaleziono coś charakterystycznego?

– Prawa jazdy ofiar. Nic poza tym, z tego, co wiem.

– Kto robi testy laboratoryjne?

– BCA. Mają znakomity sprzęt.

– Tak słyszałem.

– Mogą się skontaktować z laboratorium FBI, gdyby potrzebowali pomocy albo wyjaśnienia czegokolwiek.

Quinn zatrzymał się tuż przed poczerniałym miejscem, na którym poprzedniej nocy płonął ogień i gdzie zostało porzucone ciało. Czuł w piersiach narastający tępy ucisk. Tak było zawsze na miejscu zbrodni. Nigdy nie próbował analizować, czy to doznanie jest czymś równie mistycznym bądź romantycznym, jak poczucie zła lub czegoś tak psychologicznie głębokiego, jak przeniesione poczucie winy. Było po prostu częścią jego ja. Przypuszczał, że powinien je akceptować jako dowód swojego człowieczeństwa. Mimo tych wszystkich zwłok, które już widział, wciąż jeszcze nie można by go uznać za całkowicie znieczulonego.

Chociaż może byłoby lepiej dla niego, gdyby tak się stało.

Po raz pierwszy otworzył teczkę, którą dał mu Walsh, i spojrzał na fotografie umieszczone w plastikowych osłonkach. Każdy przeciętny człowiek doznałby wstrząsu, widząc tego rodzaju kolekcję. Umieszczone obok ciała halogenowe lampy, które rozświetlały nocny mrok, nadawały zdjęciom niesamowitą artystyczną otoczkę. Takie samo wrażenie sprawiało osmalone ciało i stopione tkaniny z ubrania ofiary. Kolor na tle braku koloru, niesamowita żywość zachowanego trójkątnego fragmentu czerwonej spódnicy w zestawieniu z ponurym faktem gwałtownej śmierci jej właścicielki.

– Czy poprzednie dwie ofiary miały na sobie ubranie?

– Nie wiem.

– Chcę obejrzeć również tamte zdjęcia. I w ogóle zobaczyć wszystko, czym dysponujemy. Masz moją listę?

– Przefaksowałem ją detektywom z wydziału zabójstw. Postarają się zebrać wszystko na spotkanie grupy specjalnej. Cholerny widok, co? – Wskazał fotografie ruchem głowy. – Wystarczy, żeby człowiekowi przeszła ochota na grilla.

Quinn nadal w milczeniu przyglądał się zdjęciom. Z powodu gorąca wytworzonego przez ogień mięśnie i ścięgna kończyn skurczyły się, podciągając ramiona i nogi ofiary, przez co ciało leżało w pozycji kojarzącej się makabrycznie z ruchem.

Co za surrealistyczny widok, pomyślał. Jego mózg chciał wierzyć, że Quinn patrzy na porzuconego manekina, na coś, co zbyt późno zostało wyciągnięte ze spalarni w domu towarowym Macy'ego. On jednak wiedział, że to coś, było niedawno żywym ciałem, a nie plastikiem, że trzy dni temu ta kobieta żyła. Chodziła, jadła posiłki, słuchała muzyki, rozmawiała z przyjaciółmi i przestrzegała nudnych codziennych rytuałów nie mając pojęcia, że jej życie już prawie dobiega końca.

Zwłoki leżały stopami w kierunku śródmieścia, co, jak Quinn przypuszczał, mogło mieć jakieś znaczenie, jeżeli głowa została porzucona albo zakopana w pobliżu. Jedną z bardziej odrażających spraw, jakie badał przed laty, polegała między innymi na dekapitacji dwóch ofiar. Zabójca, mężczyzna o nazwiskiem Ed Kemper, pogrzebał głowy w ogródku swojego rodzinnego domu, tuż pod oknem sypialni matki. Jak potem wyznał, był to głupi żart. Jego matka, przez którą czuł się emocjonalnie pokrzywdzony od wczesnego dzieciństwa, zawsze „chciała, żeby ludzie na nią patrzyli”.

Jednak głowa tej ofiary nie została znaleziona, a grunt był zbyt twardy, by zabójca mógł ją zakopać gdzieś w pobliżu.

– Istnieje dużo teorii na temat, dlaczego je pali – powiedział Walsh.

Kołysał się lekko, przenosząc ciężar ciała z palców na pięty i z powrotem. Panowało przenikliwe zimno.

– Niektórzy sądzą, że on po prostu naśladuje morderstwa z Wirth Park. Inni, że jest w nich jakaś symbolika: kurwy płoną w ogniu piekielnym czy coś takiego. Jeszcze inni myślą, że morderca próbuje zatrzeć ślady i jednocześnie tożsamość ofiary.

– Więc po co miałyby zostawiać prawa jazdy, jeżeli nie chce, żeby denatki zostały zidentyfikowane? – wtrącił Quinn. – Teraz z kolei zabrał głowę. I tak piekielnie trudno będzie rozpoznać ofiarę, wcale nie musiał jej palić. A mimo to zostawił prawo jazdy.

– Więc myślisz, że próbuje zatrzeć dowody śladowe?

– Być może. Czego używał do podpalenia?

– Alkoholu. Jakiejś wysokoprocentowej wódki czy czegoś takiego.

– Zatem istnieje większe prawdopodobieństwo, że ogień nie należy do *modus operandi* zabójcy, lecz jest jego autografem – powiedział Quinn. – Może usiłuje usunąć mikroślady, ale jeżeli tylko o to mu chodzi, to dlaczego nie używa benzyny? Jest tania. Łatwo ją kupić bez większych kontaktów z innymi osobami albo w ogóle bez żadnego kontaktu. Wybiera alkohol raczej z powodów emocjonalnych niż praktycznych. To część rytuału, realizacja wymyślonego scenariusza.

– Może facet dużo pije.

– Nie, pijak nie marnuje alkoholu, a to dla pijaka byłoby właśnie marnowaniem dobrej wódki. Może pije przed ruszeniem na łowy. Albo pije w fazie tortur i morderstwa, ale nie jest pijakiem. Pijak popełniałby błędy. A wygląda na to, że ten facet do tej pory nie popełnił żadnego.

W każdym razie żadnego, który ktoś by zauważył, dodał w duchu, znowu myśląc o dwóch prostytutkach, których śmierć poprzedziła śmierć denatki. Kto prowadził ich sprawy? Dobry policjant czy byle jaki? W każdej jednostce zdarzali się tacy i tacy. Widywał policjantów, którzy wzruszali ramionami i na wpół śpiąco prowadzili śledztwo, jeżeli uważali, że ofiara nie jest warta ich czasu. Widywał też policjantów-weteranów, którzy załamywali się i płakali nad gwałtowną śmiercią kogoś, obok kogo większość porządnych obywateli nie zechciałaby usiąść w autobusie.

Zamknął teczkę. Krople deszczu rozbijały się o jego czoło i ściekały mu po nosie.

– Tych innych, nie zostawił tutaj, prawda?

– Nie. Jedna została znaleziona w parku Minnehaha, a druga w parku Powderhorn. To różne części miasta.

Quinn pomyślał, że musi zobaczyć plan, aby sprawdzić, gdzie znajduje się każde z miejsc w stosunku do tych, w których ostatni raz widziano ofiary. Mógłby spróbować wtedy określić zarówno terytorium na którym zabójca wypatrywał ofiar oraz, o ile było ono odmienne, terytorium, na którym je porzucał. W punkcie dowodzenia grupy specjalnej na pewno wisiały mapy oznakowane wbitymi w szpilkami o czerwonych łebkach. Tak to zwykle robiono. Nie było potrzeby pytać o szczegóły. Miał w pamięci mnóstwo map najeżonych szpilkami, a także następujące po sobie ciurkiem polowania na morderców oraz punkty dowodzenia; wszystkie one wyglądały i pachniały podobnie. Pamiętał policjantów, którzy podobnie wyglądali i podobnie mówili i od których czuć było papierosami i taną wodą kolońską. Już nie potrafił sobie przypomnieć, w jakich miastach działy się poszczególne sprawy, ale miał w pamięci każdą z ofiar. Znowu ogarnęła go fala zmęczenia, aż poczuł, że

nie pragnie niczego więcej, tylko położyć się tam, gdzie stoi, wprost na ziemi.

Znowu rzucił okiem na Walsha, którego chwycił w kolejny atak głębokiego kaszlu.

– Chodźmy – powiedział. – Już dość tu widziałem.

Już dość widział i tyle. A jednak dopiero po chwili zdobył się na to, żeby ruszyć z miejsca i ruszyć do samochodu w ślad za Walshem.

W sali konferencyjnej urzędu burmistrza panowała napięta atmosfera. Ponure podniecenie, oczekiwanie, niepokój i skrywana energia. Zawsze są tacy, którzy postrzegają morderstwo jako tragedię, i tacy, którzy wyczuwają w nim swą zawodową szansę. W ciągu najbliższej godziny jedni mieli oddzielić się od drugich i miało stać się wiadome, które osoby odgrywają tutaj największą rolę. Przez ten czas Quinn musiał je rozgryźć, zdecydować, jak nimi grać, i przypisać im odpowiednią rolę i właściwe miejsce w swym planie.

Wyprostował plecy, unosząc obolałe ramiona, zadarł podbródek i wszedł do środka. Przedstawienie zaczynało się. Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu, gdy tylko ukazał się w drzwiach. Podczas lotu wyuczył się na pamięć nazwisk niektórych najważniejszych miejscowych osobistości, przeglądając faksy, które nadeszły do jego biura. Teraz usiłował je sobie przypomnieć, żeby odróżnić te od setek innych nazwisk, które poznał w setkach sal konferencyjnych w całym kraju.

Dostrzegłszy go, burmistrz Minneapolis podeszła do niego zdecydowanym krokiem, pociągając za sobą łańcuszek pomniejszych figur. Grace Noble przypominała z wyglądu operową walkirię. Miała nieco ponad pięćdziesiąt lat, masywny jak pień drzewa tułów i ufryzowane na kształt hełmu blond włosy. Brakowało jej w zasadzie górnej wargi, ale narysowała ją sobie i wypełniła czerwoną szminką, której kolor pasował do koloru jej kostiumu.

– Agent specjalny Quinn – powiedziała, wyciągając ku niemu szeroką, pomarszczoną dłoń o pomalowanych na czerwono paznokciach. – Czytałam wszystko o panu. Kiedy tylko dostaliśmy odpowiedź od waszego dyrektora, wysłałam Cynthię do biblioteki, żeby mi przyniosła każdy artykuł na pana temat, jaki tylko mają.

Zareagował na to uśmiechem, który jego znajomi nazywali „rewolwerowym” wyrażał pewność siebie, był fascynujący, ale czuło się w nim wyraźny błysk stali.

– Pani burmistrz Noble. Powinienem powiedzieć, żeby nie wierzyła pani we wszystko, co wydrukowane, ale odkryłem, że ma to pewne zalety, gdy ludzie sądzą, iż potrafię czytać w ich myślach.

– Z pewnością nie musi pan umieć czytać w myślach, żeby wiedzieć, jak bardzo

jesteśmy panu wdzięczni za przybycie.

– Zrobię, co będę w stanie, żeby pomóc. A więc rozmawiała pani z dyrektorem?

Poklepała go po ramieniu macierzyńskim gestem.

– Nie, mój drogi. To Peter z nim rozmawiał. Peter Bondurant. Tak się składa, że są starymi przyjaciółmi.

– Czy pan Bondurant jest tutaj?

– Nie, nie czuł się na siłach stanąć przed prasą. Jeszcze nie. Nie wiedząc... – Opuściła nieco ramiona, przytłoczona ciężarem sytuacji. – Mój Boże, co z nim będzie, jeżeli to rzeczywiście Jillie...

W tej chwili pojawił się u jej boku niski czarnoskóry mężczyzna o posturze sztangisty, w szytym na miarę szarym garniturze.

– Dick Greer, szef policji – przedstawił się zwięźle, wysuwając energicznie dłoń. – Cieszymy się, że do nas dołączyłeś, John. Jesteśmy gotowi, żeby nakryć tego łajdaka.

Mówił tak, jakby miał coś wspólnego z tropieniem przestępców, chociaż było oczywiste, że jako szef policji miejskiej jest raczej administratorem i politykiem, a także rzecznikiem swojej instytucji. Prawdopodobnie ludzie działający na pierwszej linii mówili między sobą, że szef Greer nie potrafi odszukać po ciemku nawet własnego fiuta.

Quinn słuchał kolejnych nazwisk i tytułów przedstawianych mu osób: zastępca szefa, zastępca burmistrza, zastępca prokuratora okręgowego, dyrektor Stanowego Biura Bezpieczeństwa Publicznego, prokurator miejski i sekretarze prasowi. Do diabła, o wiele za dużo polityków, pomyślał Quinn. Poza tym byli obecni przedstawiciele trzech instytucji, które miały razem utworzyć grupę specjalną: szeryf hrabstwa Hennepin, detektyw z jego biura i agent specjalny ze Stanowego Biura Kryminalistycznego w towarzystwie jednego ze swoich podwładnych oraz porucznik z wydziału zabójstw policji miejskiej.

Quinn witał każdego mocnym uściskiem dłoni, nie okazując emocji. Ludzie ze Środkowego Zachodu mają tendencję do pewnej oschłości i nie bardzo ufają tym, którzy różnią się od nich. Na Północnym Wschodzie okazałby więcej twardości. Na Zachodnim Wybrzeżu byłby czarujący, sympatyczny, całym sercem gotów do współpracy. Do różnej roboty potrzeba różnych koni, jak mawiał jego ojciec. Które z tych wcieleń było prawdziwym Johnem Quinem? Nawet on sam już tego nie wiedział.

...i mój mąż Edwyn Noble – zakończyła prezentację pani burmistrz.

– Jestem tutaj z przyczyn zawodowych, panie Quinn – wyjaśnił Noble. – Peter Bondurant jest nie tylko moim przyjacielem, ale i klientem.

Quinn spojrzał uważnie na stojącego przed nim mężczyznę. Metr osiemdziesiąt pięć

do metra dziewięćdziesiąt wzrostu, kościsty jak karykaturalny szkielet, szepiony za pomocą stawów i ścięgien. Za szeroki jak na jego twarz uśmiech. Noble wyglądał na nieco młodszego od żony. Skronie miał tknięte siwizną.

– Więc pan Bondurant przysłał swojego adwokata? – rzucił pytająco Quinn.

– Tak, jestem osobistym doradcą Petera. Przyszedłem tutaj w jego imieniu.

– A dlaczego?

– Przeżył okropny wstrząs.

– Nie wątpię. Czy pan Bondurant złożył już oświadczenie na policji?

Noble odchylił się, jakby to pytanie fizycznie go odepchnęło.

– Oświadczenie dotyczące czego?

Quinn wzruszył nonszalancko ramionami.

– Zwykłych spraw: kiedy ostatni raz widział córkę, w jakim była wtedy stanie psychicznym. Jak układały się ich stosunki.

Wydatne kości policzkowe Noble'a okrył rumieniec.

– Czy pan sugeruje, że pan Bondurant jest podejrzanym w sprawie własnej córki? – zapytał szorstkim, przyciszonym głosem, obrzucając pośpiesznie wzrokiem salę, żeby zobaczyć, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Wcale nie – odparł Quinn niewinnym tonem. – Przykro mi, jeżeli mnie pan źle zrozumiał. Potrzebujemy wszystkich elementów układanki, jakie tylko jesteśmy w stanie zdobyć, żeby stworzyć sobie jasny obraz. I tyle. Rozumie pan chyba?

Mina Noble'a nie wyrażała zadowolenia.

Quinn wiedział z doświadczenia, że rodzice ofiar morderstwa z reguły przesiadują na policji, domagając się wyjaśnień i bez przerwy przeszkadzając detektywom. Po charakterystyce Bonduranta, którą słyszał z ust Walsh, Quinn spodziewał się zobaczyć go miotającego się po urzędzie burmistrza jak rozjuszony byk. Peter Bondurant jednak najpierw dotarł do dyrektora FBI, a potem przysłał w swoim zastępstwie osobistego doradcę prawnego.

– Peter Bondurant jest jednym z najwspanialszych ludzi, jakich znam – oznajmił Noble.

– Jestem pewna, Edwyn, że pan Quinn nie miał zamiaru sugerować nic innego – powiedziała burmistrz, klepiąc męża po ramieniu.

Noble jednak nie zamierzał rezygnować.

– Zapewniono Petera, że jest pan najlepszym człowiekiem do tego zadania.

– Jestem bardzo dobry w tym, co robię, panie Noble – odparł Quinn. – A jednym z powodów, dla których tak się dzieje, jest to, że nie obawiam się wykonywać swoich

obowiązków. Z pewnością, pan Bondurant będzie z tego zadowolony.

Nie dodał już nic więcej, by nie antagonizować ludzi Bonduranta. Gdyby obraził kogoś takiego jak on, trafiłby na dywanik w wydziale odpowiedzialności dyscyplinarnej FBI albo jeszcze gorzej. Z drugiej strony, ponieważ Bondurant ściągnął go tutaj jak psa na smyczy, chciał pokazać wyraźnie, że nie pozwoli sobą manipulować.

– Czas ucieka. Siadajmy i bierzmy się do roboty – oznajmiła burmistrz, zapędzając zgromadzonych obecnych mężczyzn do stołu, jakby była nauczycielką strofującą pierwszoklasistów.

Stała na swoim miejscu za stołem, a pozostali zajęli miejsca według ważności pełnionych funkcji. Burmistrz już zaczerpnęła powietrza, żeby zagaić zebranie, kiedy do sali weszło jeszcze czworo ludzi.

– Ted, już mieliśmy zaczynać bez was – przywitała ich pani Noble i skrzywiła się, zde gustowana ich niepunktualnością.

– Mieliśmy pewne komplikacje – odparł Sabin, podchodząc wprost do Quinna. – Panie Quinn, jestem Ted Sabin, prokurator hrabstwa Hennepin. Miło mi pana poznać.

Quinn podniósł się niezgrabnie, przenosząc wzrok nad ramieniem Sabina na podążającą za nim niechętnie kobietę. Mruknął coś na powitanie, potrząsając ręką prokuratora. Następnym przybyłym był wąsaty policjant, który przedstawił się jako Kovac. Quinn znał skądś to nazwisko. Towarzyszący im pękaty mężczyzna przedstawił się również wspominając przy tym, że słyszał kiedyś prelekcję wygłoszoną przez Quinna.

– A to jest Kate Conlan z naszego programu opieki nad ofiarami i świadkami – oznajmił Sabin. – Być może...

– Już się znamy – powiedzieli oboje jednocześnie.

Kate spojrzała Quinnowi w oczy tylko na chwilę, ponieważ wydawało jej się, że tak trzeba: rozpoznać go, ale nie zareagować, a potem przeniosła wzrok z niego gdzie indziej, tłumiąc w sobie chęć westchnienia, zaklęcia albo nawet wyjścia z sali.

Nie mogła powiedzieć, że zaskoczył ją jego widok. Było tylko osiemnastu agentów przydzielonych do CASKU, czyli wydziału śledczego ds. uprowadzeń nieletnich i seryjnych zabójstw. Quinn był obecnie w wydziale figurą numer jeden, a w dodatku zabójstwa na tle seksualnym były jego specjalnością. Miała więc niewielkie szanse go uniknąć, szczególnie przy tak cholernym pechu, jak tego dnia. Do diabła, powinna była się spodziewać, że go tu spotka.

– Pracowaliście razem? – zapytał Sabin, nie bardzo wiedząc czy powinien być zadowolony, czy rozczarowany.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza, Kate usiadła na krześle.

– Tak – potwierdziła. – Dawno temu.

Quinn przyjrzał jej się. Nikt nie był w stanie go zaskoczyć. Nigdy. Całe życie pracował nad tym, żeby dojść do takiej umiejętności panowania nad sobą. A jednak gdy pojawiła się Kate Conlan, ziemia zakotłosała mu się pod nogami. Wcale go to nie zachwycało. Skinął głową i odchrząknął.

– Tak. Brakuje nam ciebie, Kate.

Komu? – chciała zapytać, ale powstrzymała się.

– Wątpię – odparła. – Biuro jest jak chińska armia. Ludzie mogą maszerować wprost do morza przez cały rok, a i tak nadal będzie dużo chętnych, żeby ich zastąpić.

Nieświadoma niezręcznej sytuacji, jaka wytworzyła się na przeciwnym końcu stołu, pani burmistrz rozpoczęła posiedzenie. Konferencja prasowa miała się odbyć już za niecałą godzinę. Politycy musieli się przygotować: kto ma zabrać głos pierwszy? Kto ma gdzie stać? Kto co powiedzieć? Zniecierpliwieni tymi proceduralnymi dyskusjami policjanci przyglądali wąsy i bębnilo palcami w stół.

– Musimy sformułować jasne oświadczenie – oznajmił Greer, rozgrzewając się, by dać popis swych oratorskich talentów. – Niech ten łajdak wie, że nie spoczniemy, dopóki nie wpadnie w nasze ręce. Niech się dowie od razu, że mamy tutaj czołowego specjalistę z FBI i połączone siły czterech instytucji, które pracują nad tą sprawą dzień i noc.

– Trzeba ogłosić, że pan Bondurant ustanawia nagrodę stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów za informacje, które pomogą w aresztowaniu przestępcy – dodał Edwyn Noble, skinąwszy głową.

Quinn wstał odrywając swą uwagę od Kate.

– Szczerze mówiąc, nie radziłbym robić żadnej z tych rzeczy.

Greer zastygł, a Edwyn Noble popatrzył na niego groźnie. Ogólnie rzecz biorąc, cała elita polityczna spojrziała na niego z dezaprobatą.

– Nie miałem jeszcze sposobności dokładnie przestudiować sprawy – zaczął Quinn – co jest wystarczającym powodem, żeby zaczekać. Musimy mieć jakąś koncepcję, kim może być zabójca, jak pracuje jego umysł. Dawanie w tym momencie na oślep popisu siły może być ruchem w złym kierunku.

– Na czym opiera pan takie stwierdzenie? – zapytał Greer, napinając potężne ramiona.

– Sam pan powiedział, że jeszcze nie przestudiował sprawy.

– Mamy do czynienia z zabójcą, który daje przedstawienie. Widziałem zdjęcia z ostatniego miejsca zbrodni. Przeniósł ciało w publicznie dostępne miejsce po to, żeby

wstrząsnąć ludźmi. Przyciągnął uwagę do miejsca zbrodni, wznecając ogień. To prawdopodobnie znaczy, że zależy mu na widowni, a jeżeli tak rzeczywiście jest, to musimy być bardzo ostrożni w kwestii tego, jak mu tę widownię zapewnić. Radziłbym poczekać. Sprowadzić dzisiejszą konferencję prasową do koniecznego minimum. Zapewnić opinię publiczną, że robicie wszystko, aby zidentyfikować i aresztować zabójcę, ale nie wchodzić w szczegóły. Radzę zmniejszyć liczbę osób przy mównicy: szef Greer, burmistrz Noble i pan Sabin, to wystarczy. Nie wdawać się w szczegóły dotyczące grupy specjalnej i pana Bonduranta. Proszę w ogóle nie mówić o FBI ani nie wymieniać mojego nazwiska. Ani też nie przyjmować żadnych pytań.

Jak było do przewidzenia, większość obecnych uniosła brwi ze zdziwieniem. Wiedział z doświadczenia, że niektórzy z nich spodziewają się, iż będzie próbował ściągnąć na siebie uwagę: waśniak z FBI, który chce trafić do nagłówek gazet. Bez wątplenia niektórzy z nich chcieli pokazać go na konferencji prasowej jak trofeum: patrzcie, kogo mamy po naszej stronie: to dopiero superagent! W żadnym wypadku nie spodziewano się, że będzie minimalizował swoją rolę.

– Na tym etapie rozgrywki nie powinniśmy stwarzać sytuacji, którą on może postrzegać jako osobiste wyzwanie – powiedział ujmując się rękami pod boki i przygotowując do odparcia nieuniknionych zarzutów. – O tyle, o ile to możliwe, będę się trzymał w cieniu. Postaram się unikać mediów, jeśli tylko się da, w każdym razie do momentu, kiedy uznam, że korzystniej będzie postąpić inaczej.

Słuchający go politycy wyglądali na zbitych z tropu. Niczego nie uwielbiali bardziej niż pokazywania się na forum publicznym i przyciągania uwagi mediów, a co za tym idzie, społeczeństwa. Greer napinał lekko mięśnie twarzy, wyraźnie niezadowolony z perspektywy utraty poklasku.

– Ludzie w mieście są bliscy paniki – oświadczył. – Zginęły trzy kobiety, jedna z nich została pozbawiona głowy. Telefon u mnie nie przestaje dzwonić. Trzeba wydać oświadczenie. Ludzie muszą się dowiedzieć, że tropimy tego potwora, angażując w to wszystkie siły, jakimi dysponujemy.

Burmistrz przytaknęła ruchem głowy.

– Jestem skłonna zgodzić się z Dickiem. W mieście odbywają się konferencje biznesowe, turyści przyjeżdżają na przedstawienia, koncerty, na przedświąteczne zakupy...

– Że już nawet nie wspomnimy o zaniepokojeniu społeczeństwa rosnącą liczbą przestępstw – wtrącił zastępca burmistrza.

– Sprawa już i tak przedstawiała się źle, kiedy informacje o zabójstwie tych dwóch

prostytutetek dostały się do gazet – dodał sekretarz prasowy. – Teraz z kolei zginęła, córka prominentnego obywatela. Ludzie zaczynają myśleć, że skoro jej się to przytrafiło, to może się też przytrafić każdemu. Takie wiadomości wytwarzają atmosferę strachu.

– Dajcie tylko człowiekowi poczucie ważności i siły, a wtedy miasto będzie rzeczywiście miało powody do paniki – odparł wprost Quinn.

– A czy nie jest równie prawdopodobne, że minimalizowanie sprawy w mediach może wzbudzić jego gniew? Skłonić go do popełnienia jeszcze większej liczby przestępstw po to, by ściągnąć na siebie więcej uwagi? – zapytał Greer. – Skąd pan wie, że publiczna demonstracja siły i otwarta ofensywa nie wystraszy go i nie wystawi nam na cel?

– Nie wiem tego. Nie wiem, co ten człowiek może zrobić, i pan również tego nie wie. Potrzebujemy czasu, żeby spróbować do tego dojść. Jak mi wiadomo, zamordował trzy kobiety, i za każdym razem robi się coraz śmielszy i bardziej nonszalancki. Mogę o nim powiedzieć przynajmniej tyle, że nie da się łatwo zastraszyć. Być może w końcu przyciągniemy go do sprawy, na pewno obserwuje nasze postępy, ale musimy wszystko kontrolować i mieć otwarte opcje. Nagroda jest za duża – dodał, spoglądając na Edwyna Noble'a. Radziłbym na początek obniżyć ją do nie więcej niż pięćdziesięciu tysięcy.

– Pan wybaczy, panie Quinn – odparł Noble spięty – ale to jest decyzja pana Bonduranta.

– Tak, zgadza się, i on z pewnością sądzi, że informacje na temat morderstwa jego córki są warte każdej ceny. Ja jednak podchodzę do tego w następujący sposób, panie Noble: ludzie bywają na ogół gotowi dostarczyć informacji za o wiele mniej niż sto pięćdziesiąt tysięcy. Ta niezwykle wysoka suma zwabi masę maniaków i ludzi, którzy dla pieniędzy gotowi byłiby sprzedać własną matkę. Zacznijmy więc od pięćdziesięciu. Potem w ramach naszej strategii możemy uznać, że sumę należy zwiększyć.

Noble westchnął głęboko i odsunął krzesło.

– Będę musiał to omówić z Peterem.

Wyplątał swe długie ciało zza stołu i przeszedł przez salę do stojącego pod przeciwległą ścianą stolika z telefonem.

– Na zewnątrz koczują wszyscy dziennikarze, jacy tylko są w Twin Cities – oznajmiła burmistrz. – Oczekują chyba czegoś więcej niż zwykłego oświadczenia.

– To ich zmartwienie – odparł Quinn. – Należy ich traktować jako nasze narzędzia, a nie gości. Nie mają prawa dowiedzieć się o szczegółach śledztwa. Zwołała pani wprawdzie konferencję prasową, ale niczego im pani nie obiecywała.

Mina pani burmistrz zdradzała, że ma na ten temat inne zdanie. Quinn zebrał resztki

cierpliwości. Trochę dyplomacji, napomniał się w myślach. Spokojnie. Nie strać panowania nad sobą. Jezu, jak był tym zmęczony.

– A może pani coś obiecała?

Grace Noble spojrzała na Sabina.

– Spodziewaliśmy się, że będziemy mieli portret pamięciowy...

– Nasz świadek jest, ogólnie mówiąc, mało skłonny do współpracy – wtrącił Sabin, zerkając niezyczliwie w stronę Kate.

– Tym świadkiem jest wystraszone dziecko, które widziało, jak jakiś psychopata podpalał pozbawione głowy zwłoki – odparła ostro Kate. – Ostatnią rzeczą, która zaprzęta teraz myśli dziewczyny jest realizowanie pańskiego planu pracy... proszę pana.

– Czy dobrze się przyjrzała temu człowiekowi? – zapytał Quinn.

Kate rozłożyła ręce.

– Mówi, że go widziała. Jest zmęczona, wystraszona i wściekła, w dodatku słusznie, na traktowanie, z jakim się tu spotkała. Takie czynniki nie skłaniają do wytworzenia atmosfery współpracy.

Widać było, że Sabin szykuje kontrę, ale Quinn był szybszy.

– To wystarczy: nie mamy portretu.

– Nie mamy portretu – powtórzyła za nim Kate.

– Więc proszę nie poruszać tej sprawy – powiedział Quinn, zwracając się znów do pani burmistrz. – Proszę zwrócić uwagę prasy w innym kierunku. Mogą im państwo dać fotografię Jillian Bondurant oraz zdjęcie jej samochodu i zaapelować do mieszkańców, żeby dzwonili na gorącą linię, jeżeli widzieli ją albo samochód później niż w piątek wieczorem. Proszę nie mówić o świadku. Naczelną sprawą powinno być to, w jaki sposób wasze działania i reakcje będą odbierane przez zabójcę, a nie przez media.

Grace Noble zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Panie Quinn...

– Zazwyczaj nie wchodzę do spraw na tak wczesnym etapie – przerwał jej, tracąc znowu odrobinę samokontroli – ale skoro tu już jestem, to chcę zrobić wszystko, co mogę, aby uspokoić nastroje i doprowadzić do szybkiego i pozytywnego zakończenia śledztwa. Dlatego będę wam doradzał, co robić, jeśli chodzi o działania śledcze i postępowanie wobec prasy. Nie musicie mnie słuchać, ale zapewniam, że opieram się na swoim bogatym doświadczeniu. Zostałem wyznaczony do tej sprawy osobiście przez dyrektora FBI. Może zechcieliby państwo zwrócić uwagę na to, zanim odrzucicie moje sugestie.

Kate obserwowała Quinna, który cofnął się o dwa kroki od stołu, jakby tym samym

wycofywał się z rozmowy, i obrócił się do niej bokiem, udając, że patrzy przez okno: subtelna groźba. Wyjaśnił, że nie jest byle kim, i teraz rzucał zgromadzonym wyzwanie, żeby ośmielili się to zakwestionować. Podparł się autorytetem swojego najwyższego przełożonego, więc pośrednio prowokował ich, by zwrócili się przeciw samemu dyrektorowi FBI.

To był cały Quinn. Znała tego faceta tak dobrze, że chyba nie można go było lepiej poznać. Był mistrzem manipulacji. Potrafił w mgnieniu oka rozszyfrowywać ludzi i zmieniać barwy jak kameleon. Potrafił grać zarówno swymi przeciwnikami, jak i współpracownikami z błyskotliwością i wirtuozerią Mozarta, przeciągając ich na swoją stronę urokiem albo groźbą, fortem lub brutalną siłą swej inteligencji. Był bystry, przebiegły, a jeśli zachodziła taka potrzeba, również bezlitosny. Ale kto kryje się naprawdę za tymi przemyślnymi maskami i wyrafinowanymi strategiami? Czy on sam to wie? – pomyślała. Kiedyś potrafiła to przejrzeć, a przynajmniej tak jej się zdawało.

Zmienił się przez te pięć lat pod względem fizycznym. Gęste ciemne włosy były teraz przetykane srebrzystymi nitkami i przystrzyżone krótko niemal po wojskowemu. Wyglądał na szczuplejszego, wychudzonego przez pracę. Kate zauważyła, że nadal przywiązuje wagę do ubioru: tym razem miał na sobie drogi włoski garnitur. Chociaż marynarka trochę zwisała z jego szerokich ramion, a spodnie były odrobinę wypchane, to jednak wyglądał elegancko i nie stracił nic ze swej fizycznej atrakcyjności. Rysy twarzy wyostrzyły mu się, a pod brązowymi oczami pojawiły się ciemne kręgi. Wyglądał tak, jakby kipiał zniecierpliwieniem, chociaż Kate nie potrafiłaby rozpoznać, czy jest ono autentyczne, czy też udawane dla doraźnych celów.

– Więc co o tym sądzisz, Kate? – zwrócił się do niej niespodziewanie Sabin.

– Ja?

– Pracowałaś w tej samej jednostce, co agent Quinn. Więc co sądzisz?

Już czuła na sobie wzrok Quinna i wszystkich innych obecnych w sali osób.

– Przepraszam, ale jestem tutaj wyłącznie w charakterze opiekuna. Nawet nie wiem, po co w ogóle się tu znalazłam. To John jest fachowcem...

– Nie, pan Sabin ma rację, Kate – przerwał tę wypowiedź Quinn. – Pochylił się w jej kierunku, oparty dłońmi o blat stołu. Miała wrażenie, że czuje na twarzy żar jego czarnych jak węgielki oczu. Byłaś pracownikiem dawnej sekcji studiów behawioralnych. Masz więc doświadczenia w tego rodzaju sprawach niż ktokolwiek tutaj, z wyjątkiem mnie. Jakie jest twoje zdanie?

Kate wbiła w niego wzrok, nie próbując ukryć złości. Najpierw Sabin pakuje ją w tę sytuację, a potem dołącza do niego Quinn. Zdrajca! No, ale w końcu czego mogła się po nim

spodziewać?

– Jeśli chodzi o tę sprawę, to nie mam podstaw do sformułowania fachowej opinii – zaczęła sztywno. – Zdaję sobie jednak sprawę z tego, jakie kwalifikacje i umiejętności zawodowe posiada agent Quinn. Osobiście myślę, że popełnialiby państwo błąd, odrzucając jego rady.

Quinn spojrzał na panią burmistrz i szefa policji.

– Nie można zawrócić rzeki – powiedział cicho. – Jeżeli teraz ujawni się za wiele informacji, potem nie będzie już jak tego odkręcić. Jeżeli zajdzie potrzeba, możecie państwo zwołać na jutro kolejną konferencję prasową. Proszę tylko dać grupie specjalnej szansę na zebranie sił i rozpoczęcie pracy.

Edwyn Noble wrócił od telefonu z poważną miną.

– Pan Bondurant mówi, że zrobi wszystko, co tylko zaproponuje agent Quinn. Ustanowimy nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy.

O czwartej czterdzieści osiem ogłoszono przerwę w spotkaniu. Członkowie miejscowych władz weszli do gabinetu pani burmistrz, w celu dokonania ostatnich przygotowań przed stawieniem czoła prasie, a policjanci zbili się w grupkę przy stole, żeby omówić sprawę sformowania grupy specjalnej.

– Sabin nie jest z ciebie zadowolony, Kate – oznajmił Rob dyskretnym szeptem, jakby ktokolwiek z obecnych mógł być zainteresowany jego słowami.

– Mam dla niego propozycję, żeby pocałował mnie w dupę, ale wtedy padłby na kolana w ułamku sekundy.

– Kate... – obruszył się Rob, zaczerwieniony ze zmieszania.

– Wciągnął mnie w to, więc teraz niech ponosi konsekwencje – powiedziała, zmierzając ku drzwiom. – Sprawdź, co się dzieje z Angie. Może znalazła coś w albumach. Będziesz na konferencji?

– Tak.

Och, to dobrze, pomyślała. Musiała gdzieś dyskretnie umieścić dziewczynę, kiedy wszyscy będą zajęci innymi sprawami. Ale dokąd miała ją zabrać? Wszystko wskazywało na to, że jej miejsce jest w schronisku dla nieletnich, ale do tej pory nie byli w stanie udowodnić, że rzeczywiście jest nieletnią.

– Więc pracowałaś z Quinnem? – zapytał Rob tym samym dyskretnym tonem, idąc za nią ku drzwiom. – Słyszałem go kiedyś na jednej konferencji.

– Zgadza się. Imponujący to jego drugie imię.

Stojący pod przeciwległą stroną sali Quinn, który akurat rozmawiał z porucznikiem z wydziału zabójstw, odwrócił głowę i wbił w nią wzrok, jakby jakiś cudem dosłyszał jej słowa. W tej samej chwili rozległ się sygnał pagera Roba Marshalla. Przeprosił Kate i odszedł do telefonu. Wyglądał na zawiedzionego, że stracił okazję porozmawiania z Quinnem.

Kate natomiast wcale na tym nie zależało. Gdy tylko dojrzała, że Quinn kieruje się w jej stronę, odwróciła się i ruszyła ku drzwiom.

– Kate!

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem i strząsnęła jego dłoń z ramienia.

– Dziękuję ci za pomoc – powiedział cicho.

Skinął przy tym głową w taki sposób, że wyglądał jak skruszony chłopiec, ale Kate dobrze wiedziała, że to tylko pozory.

– Och, tak, świetnie. Czy mogę liczyć na przydział kołnierza ortopedycznego jutro, kiedy tutaj wmaszerujesz i powiesz im, żeby sprowokowali tego sukinsyna, po to, żeby go złapać?

Zamrugnął oczami, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi.

– Nie mam pojęcia, co chcesz przez to powiedzieć, Kate. Wiesz przecież nie gorzej ode mnie, jak ważna jest aktywna postawa w takiej sytuacji, kiedy przyjdzie na to odpowiednia pora.

Miała ochotę zapytać go, czy mówi o mordercy, czy o politykach, ale powstrzymała się. Proaktywne teorie Quinna rozciągały się na wszystkie aspekty życia.

– Nie uprawiaj ze mną swoich gier intelektualnych, John – szepnęła. – Wcale nie miałam zamiaru ci pomagać. Sam to ze mnie wyciągnąłeś, co bynajmniej mnie nie cieszy. Myślisz, że możesz manipulować ludźmi jak pionkami na szachownicy?

– Cel uświęca środki.

– Tak jest zawsze, prawda?

– Wiesz, że miałem rację.

– Tak, ale jakoś dziwnie nie wydajesz mi się z tego powodu mniejszym palantem – powiedziała, robiąc krok ku drzwiom. – Przepraszam, ale mam robotę. Jeżeli chcesz uprawiać gry w dominację, to dziękuję ci bardzo, ale wyklucz mnie ze swojego planu działania.

– Mnie też było miło z tobą porozmawiać – mruknął, kiedy ruszyła w stronę drzwi.

Odprowadził ją wzrokiem, patrząc na jej falujące łagodnie rudawozłote włosy. Dopiero teraz uświadomił sobie, że Kate ma wyraźny siniak na policzku i rozciętą wargę. Wcześniej widział ją taką, jaką pamiętał sprzed lat: jako żonę swojego dawnego przyjaciela i jedyną kobietę, którą kiedykolwiek naprawdę pragnął kochać.

Sala jest pełna ludzi. Metropolia Twin Cities przeżywa inwazję reporterów. Dwie poważne gazety, pół tuzina stacji telewizyjnych i niezliczona liczba stacji radiowych. Sprawa zwabiła wielu dziennikarzy również z innych miast.

Przyciągnął ich uwagę. Daje mu to rozkoszne poczucie władzy. Szczególnie ekscytują go dźwięki: przynaglające lub gniewne głosy, szuranie stóp, brzęczenie silniczków kamer.

Szkoda, że czekał tak długo z publicznym wystąpieniem. Jego pierwsze morderstwa były prywatne, ukryte, odległe zarówno w czasie, jak i w przestrzeni, a ciała zakopywane w płytkich grobach. To teraz jest o wiele lepsze.

Reporterzy zabiegają o dogodne miejsca. Kamerzyści i fotografowie obstawiają pierwszą linię zgromadzenia. Oślepiające sztuczne światło nadaje scenerii niesamowity biały blask. On stoi tuż obok grupy dziennikarzy, razem z innymi widzami, na obrzeżach zgromadzenia.

Pani burmistrz wchodzi na podium. Jest rzeczniką społeczności, która wyraża kolektywne moralne oburzenie bezsensownymi aktami przemocy. Prokurator okręgowy powtarza jak papuga słowa pani burmistrz i obiecuje karę. Szef policji składa oświadczenie na temat powołania grupy specjalnej.

Nie słuchają żadnych pytań, chociaż reporterzy hałaśliwie domagają się potwierdzenia tożsamości ofiary i podania drastycznych szczegółów przestępstwa. Ci pismacy są jak ścierwojady, które niecierpliwie czekają na szansę pożywienia się padliną po uczcie drapieżnika. Wykrzykują pytania, wołają „dekapitacja”. Przywołują plotki o jakimś świadku.

Rajcuje go myśl o tym, że ktoś obserwował jego tajemne poczynania. Jest przekonany, iż każdy, kto byłby świadkiem tych czynów, czułby się podniecony tak samo jak on. Podniecony w trudny do zrozumienia sposób, tak jak wtedy, gdy będąc dzieckiem siedział w zamkniętej na klucz w szafie i słuchał, jak matka uprawia seks z nie znajomymi mu mężczyznami. To podniecenie, które instynktownie uważa się, za coś zakazanego, a jednocześnie niemożliwego do opanowania.

Pytania i znowu pytania ze strony mediów.

Żadnych odpowiedzi. Żadnych komentarzy.

Widzi Johna Quinna, który stoi nieco na uboczu w grupie policjantów, i czuje przyływ dumy. Zna reputację Quinna i jego teorie. FBI wysłało swojego najlepszego człowieka na poszukiwanie Krematora.

Pragnie, żeby agent wszedł na podium, chce usłyszeć jego głos i poznać jego myśli, ale Quinn nie rusza się. Reporterzy chyba się nie orientują, kim jest ten znajdujący się poza centrum uwagi człowiek. Przedstawiciele władz odchodzą od podium otoczeni przez umundurowanych policjantów. Konferencja prasowa dobiegła końca.

Ogarnia go przytłaczające uczucie rozczarowania. Spodziewał się więcej. Chciał więcej. Potrzebuje więcej. Przewidywał, że oni będą potrzebowali więcej.

Wzdryga się na myśl, że pozwolił sobie na takie oczekiwania, dopuścił, by jego odczucia była uzależnione od decyzji innych ludzi. To niedopuszczalne zachowanie. Przecież jest proaktywny, a nie reaktywny.

Reporterzy poddają się i śpieszą do drzwi. Muszą pisać artykuły, szukać informatorów. Grupka, wśród której stoi, topnieje, rozpada się i zaczyna przemieszczać. On także się wycofuje. Po prostu jeszcze jedna anonimowa twarz.

– Chodź, mała. Spadamy stąd.

Angie spojrzała nieufnie znad leżących na stole albumów z fotografiami. Strąkowane włosy przesłaniały jej połowę twarzy. Wstała, spoglądając nerwowo to na Kate, to na Liskę, jakby spodziewała się, że policjantka wyjmie broń i uniemożliwi jej ucieczkę.

– Masz zgodę? – zapytała Liska. – Gdzie jest Kovac?

– No wiesz, Kovac jest z porucznikiem na konferencji prasowej. Omawiają sprawę grupy specjalnej.

– Chciałabym się tam załapać – wyznała szczerze Liska.

– Masz rację. Taka sprawa to dobry początek kariery – zgodziła się Kate.

Początek albo koniec, dodała w duchu, myśląc o tym, w jakie tarapaty pakuje się sama, zabierając Angie DiMarco, i w jakie kłopoty pakuje Liskę.

Cel uświęca środki, jak twierdzi Quinn. Jej cel przynajmniej był szlachetny, nie miał służyć manipulacji innymi.

Racjonalizacja: klucz do czystego sumienia, pomyślała.

– Jest telewizja? – zapytała Liska.

– Tak są tam jeszcze w tej chwili – powiedziała, Kate, obserwując kątem oka, jak jej podopieczna ściąga ze stołu zostawioną przez kogoś zapalniczkę do papierosów i wsuwa ją do kieszeni kurtki. Jezu! Nieletnia i w dodatku złodziejka. – Wygląda na to, że trzeba się stąd

ulotnić – dodała.

– No to wiej, póki nie jest za późno. Jesteś dzisiaj podwójną atrakcją – odparła Liska. – Słyszałam, że dokonałaś rano z jakiegoś wariacko-bohaterskiego wyczynu. Jak pismaki nie dorwą cię z jednego powodu, to dopadną z drugiego.

– Moje życie jest o wiele za bardzo podniecające.

– Dokąd mnie zabierasz? – zapytała Angie, gdy już doszły do drzwi. Zatrzymała się, szelki plecaka miała przerzucone przez jedno ramię.

– Na kolację. Jestem piekielnie głodna, a ty też wyglądasz, jakbyś od dłuższego czasu nic nie jadła.

– Ale twój szef powiedział...

– Do diabła z nim. Dobrze by było, gdyby go ktoś przymknął na parę dni. Może wtedy wykształciłby w sobie trochę empatii. Chodźmy.

Angie rzuciła jeszcze raz okiem na Liskę i wyszła szybko z pomieszczenia poprawiając plecak.

– Będziesz miała przez to kłopoty?

– A czy to ciebie coś obchodzi?

– Jak cię wyrzucą z roboty, wcale mnie to nie zmartwi.

– Tak trzymaj. Słuchaj, musimy wejść na górę, do mojego pokoju. Jeżeli ktoś mnie zatrzyma po drodze, to wyświadczyć nam obydwo przysługę i udawaj, że nie jesteśmy razem. Nie chcę, żeby prasa dodała dwa do dwóch. Ty też na pewno nie chcesz, żeby się dowiedzieli, kim jesteś. Możesz mi wierzyć, że tak będzie lepiej.

Angie posłała jej chytre spojrzenie.

– Mogłabym się dostać do „Hard Copy”? Podobno płacą za takie rzeczy.

– Jak rozłożysz Sabinowi sprawę, to ci załatwi, że będą tobie mówić w telewizji w programie „Poszukiwani”. Oczywiście, jeżeli nasz sympatyczny seryjny morderca nie załatwi ci najpierw miejsca w programie „Nierozwiązane Zagadki”. Skoro jednak masz gdzieś, to co mówię, weź pod uwagę chociaż to: naprawdę nie warto pokazywać się w telewizji i pozwolić, by zdjęcie trafiło do gazet.

– Próbujesz mnie nastraszyć?

– Po prostu mówię ci, jak jest.

Dotarły do przejścia wiodącego do siedziby władz miejskich. Kate zrobiła groźną minę, idąc tak szybko, jak pozwalały jej na to ból i zeszywnienie mięśni po porannej utarczce w holu. Czas uciekał. Jeśli miejscowi oficjele przyjęli radę Johna i jakoś zdołali się opanować, to konferencja prasowa musiała wkrótce się skończyć. Kate wiedziała, że wtedy z

pewnością niektórzy dziennikarze ruszą za Greerem, ale większość podzieli się na grupy podążające za panią burmistrz i Tedem Sabinem, zakładając, że łatwiej dadzą sobie radę z urzędnikiem niż z zawodowym policjantem. W każdej chwili teren przed siedzibą władz miejskich mógł się zarość od dziennikarzy.

Jeżeli dotarliby tutaj w ślad za Sabinem i któryś z nich by ją rozpoznał albo gdyby ktoś zawołał ją po nazwisku czy wskazał tej krwiożerczej zgrai, pismacy na pewno by się na nią rzucili, żeby wydobyć informacje na temat porannego incydentu. Byłoby jeszcze gorzej gdyby ktoś wpadł na pomysł, że ona może mieć coś wspólnego z plotkami na temat istnienia świadka ostatniego morderstwa. Wtedy mogłaby uznać ostatnie kilka godzin za jeden z najbardziej parszywych momentów w swojej karierze. No i najbliższe kilka dni zapowiadałyby się co najmniej równie parszywie.

Okazało się jednak, że przynajmniej pod tym względem miała tego dnia szczęście, gdyż tylko trzy osoby próbowały ją zatrzymać w drodze na dwudzieste pierwsze piętro. Wszystkie wygłaszały dowcipne komentarze na temat jej porannego wyczynu. Odpierała te ataki ironicznym spojrzeniem i ciętymi uwagami, nawet nie zwalniając kroku.

– O co im chodzi? – zapytała Angie, kiedy wysiadły z windy. Jej ciekawość przemogła demonstrowaną na siłę obojętność.

– O nic.

– Mówią o tobie Terminator. Co zrobiłaś? Zabiłaś kogoś? – zapytała Angie z miną wyrażającą mieszaninę niedowierzania i ostrożności, a zarazem pełnego zazdrości podziwu.

– Nic podobnego. Chociaż muszę przyznać, że miałam dzisiaj taką pokusę.

Wystukała szyfr na zamku elektronicznym w drzwiach wiodących do wydziału prawnego, a potem otworzyła zamknięte na klucz drzwi do swojego pokoju i ręką dała znak Angie, by weszła.

– Wiesz, nie musisz nigdzie mnie zabierać – powiedziała dziewczyna, siadając na wolnym krześle. – Potrafię sama o siebie zadbać. Te wolny kraj, a ja nie jestem przestępcą... ani dzieckiem – dodała po chwili.

– Nawet nie wracajmy do tego tematu – odparła Kate, przeglądając swe nie otwarte przesyłki. – Wiesz, na czym polega sytuacja, Angie. Potrzebny ci jest bezpieczny lokal, w którym mogłabyś zamieszkać.

– Mogę zamieszkać z moją koleżanką, Michele...

– Zdawało mi się, że ma na imię Molly.

Angie zacisnęła mocno usta i zmrużyła oczy.

– Nawet nie próbuj pieprzyć takich głupot – rzuciła Kate, nie wiedząc, czy przyniesie

to właściwy efekt. – Nie masz żadnej przyjaciółki i żadnego mieszkania w Phillips. Prawdę mówiąc, to całkiem niezły pomysł, żeby wybrać taką dziadowską dzielnicę. Kto by się przyznawał do tego, że tam mieszka, gdyby naprawdę tak nie było?

– Twierdzisz, że kłamię?

– Myślę, że masz jakiś własny plan – odparła spokojnie Kate, przebiegła równocześnie wzrokiem leżącą na jej biurku notatkę: „Rozmawiałem z Sabinem. Świadek do Phoenix House. R.M.” – A więc pozwolenie. Dziwne, że Rob nie wspomniał o tym, kiedy się widzieli u pani burmistrz. Rozpoznała charakter pisma recepcjonistki. Brak godziny. Decyzja została prawdopodobnie wydana tuż przed konferencją prasową, więc wszystkie jej wybiegi nie były na nic potrzebne. No cóż. – Twój plan sprowadza się pewnie do tego, żeby nie dać się zamknąć w więzieniu albo w poprawczaku – dodała.

– Nie jestem...

– Daj sobie spokój.

Nacisnęła guzik telefonu i przesłuchała nagrane wiadomości. Ludzie, którzy usiłowali ją znaleźć w ciągu popołudnia, byli albo zniecierpliwieni, albo zawiedzeni. Dzwonili reporterzy poszukujący bohaterki porannej strzelaniny. Przewijała do przodu każdą z takich wiadomości. W przerwach pomiędzy głosami prasowych ogarów pojawiały się normalne informacje. David Willis: jej obecny nieznośny klient. Dalej przewodniczący stowarzyszenia walczącego o prawa ofiar. Następnie mąż kobiety, która rzekomo została napadnięta, choć Kate miała przeczucie, że ta para wymyśliła całą historię, aby wyłudzić pieniądze z ubezpieczenia. Telefonujący mężczyzna miał na swoim koncie szereg aresztowań za drobne wykroczenia, związane z narkotykami.

– Kate. – Wzdrygnęła się na dźwięk ponurego męskiego głosu. – Mówi Quinn... John. Jestem w hotelu Radisson...

Mówił tak, jakby spodziewał się jej telefonu. Po prostu.

– Kto to? – zapytała Angie. – Narzeczony?

– Nie, nie – odparła Kate, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. – Chodźmy stąd. Jestem piekielnie głodna.

Wzięła głęboki oddech, a potem wypuściła powietrze i wstała z krzesła. Wiedziała, że pozwoliła się zaskoczyć, chociaż cały czas pracowała nad tym, żeby uniknąć podobnej sytuacji. Kolejne wykroczenie, obciążające konto Quinna. Nie mogła pozwolić na to, by się do niej zbliżył. Wiedziała, że trochę tu pobędzie i zniknie. Najwyżej parę dni. Został przysłany, ponieważ Peter Bondurant miał wysoko postawionych przyjaciół. Było to działanie na pokaz, demonstrowanie życzliwości, czy, jak można by to ująć, całowanie w dupę.

Nie musiał tu wcale przyjeżdżać. Wiadomo było, że nie zostanie długo. Nie potrzebowała żadnego kontaktu z Quinnem podczas jego pobytu. Już nie pracowała w FBI. Nie była też członkiem grupy specjalnej, a on nie był jej zwierzchnikiem.

Boże, Kate, wygląda na to, że się go boisz, pomyślała z niechęcią, wyjeżdżając swoją toyotą 4 runner na Czwartą Aleję. Quinn należał do historii, a ona była dorosłą osobą, a nie jakąś tam dorastającą panienką, która zerwała z najbardziej atrakcyjnym facetem z całej klasy i teraz nie może się zdobyć na to, by znaleźć się z nim twarzą w twarz na jednej lekcji.

– Dokąd idziemy? – zapytała Angie, przestawiając radio na stację nadającą alternatywnego rocka.

Rozległo się zawrozczenie Alanis Morissette, z bębenkami w tle skarżące się na byłego narzeczonego.

– Do Dzielnicy Północnej. Co chcesz jeść? Wygląda na to, że przydałoby ci się trochę tłuszczu. Jakaś bomba cholesterolowa. Żeberka? Pizza? Hamburgery? Spaghetti?

Dziewczyna wzruszyła ramionami w sposób, który od zarania dziejów skłaniał rodziców nastolatków do rozważania argumentów za i przeciw mordowaniu swojego potomstwa.

– Wszystko mi jedno. Żeby tylko był bar. Muszę się napić.

– Nie przeginaj, mała.

– Co? Mam przecież prawo jazdy. – Rozparła się na siedzeniu i oparła stopy na desce rozdzielczej. – Dasz zajarać?

– Nie mam. Rzuciłam palenie.

– Kiedy?

– W osiemdziesiątym pierwszym. Od czasu do czasu mam kryzys. Zabierz buty z deski.

Angie westchnęła głęboko lokując się bokiem na siedzeniu.

– Dlaczego zabierasz mnie na kolację? Przecież mnie nie lubisz. Nie wolałabyś pojechać do domu? Do męża?

– Jestem rozwiedziona.

– Z tym gościem, co się nagrał? Z Quinnem?

– Nie. I nic ci do tego.

– Masz dzieci?

Kate milczała przez chwilę, zastanawiając się, czy zdoła przemóc wahanie lub też poczucie winy wywołane tym pytaniem.

– Mam kota.

– Więc mieszkasz w Dzielnicy Północnej?

Kate zerknęła na nią z ukosa, odrywając na chwilę wzrok od pełnej samochodów ulicy.

– Lepiej porozmawiajmy o tobie. Kto to jest Rick?

– Kto?

– Podpisał się na twojej kurtce.

– Taka już była.

Mogło to znaczyć tylko jedno: tak się nazywał ten, któremu ją ukradła.

– Od jak dawna jesteś w Minneapolis?

– Już trochę.

– Ile miałaś lat, kiedy umarli twoi rodzice?

– Trzynaście.

– To jak długo jesteś sama?

Dziewczyna popatrzyła na nią wściekłym wzrokiem.

– Osiem lat. Nie wyszedł ci ten numer.

– Ale warto było spróbować – oświadczyła Kate, wzruszając ramionami. – A co im się stało? Wypadek?

– No – przytaknęła cicho Angie, patrząc wprost przed siebie. – Wypadek.

Coś się za tym kryje, pomyślała Kate, pokonując skomplikowane skrzyżowanie, by wydobyć się z Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy na aleję Hennepin. Potrafiła się domyślić pewnych kluczowych elementów tej historii: alkohol, złe traktowanie, seria niefortunnych okoliczności, zaburzenia emocjonalne. Prawie każde dziecko ulicy miało za sobą jakiś jej wariant. Tak samo jak każdy człowiek siedzący w więzieniu. Życie rodzinne jest pożywką dla tego rodzaju psychologicznych bakterii, które wypaczają umysł i pozerają nadzieję. Bywało też na odwrót. Znała wielu ludzi pracujących w policji albo w służbach socjalnych, którzy wywodzili się z podobnego środowiska, ludzi, którzy doszli do podobnych rozstajów dróg, ale skręcili w inną niż ci poprzedni stronę.

Znowu wbrew samej sobie pomyślała o Quinnie.

Deszcz przerodził się w gęstą, przykrą mgłę. Piesi zniknęli z ulic. Zamieszкана przez „yuppies” i ludzi podążających za najnowszymi trendami mody Dzielnica Północna, której centralnym punktem było skrzyżowanie Lake Street i Hennepin Avenue, wbrew swojej nazwie znajdowała się w pewnej odległości na południe od centrum Minneapolis. Wielka liczba sklepów, restauracji, kawiarni i kin z ambitnym repertuarem wskazywała na to, że dzielnica przeżywa okres nowej prosperity.

Nie dalej niż o rzut kamieniem na wschód rozciągał się inny świat: dzielnica Whittier,

która od niedawna stała się terytorium czarnych gangów, strzelanin z jadących samochodów i policyjnych nalotów na handlarzy narkotyków.

Od zachodu Dzielnica Północna była ograniczona przez jeziora Calhoun i Isles. Dom, w którym Kate dorastała i który teraz był jej własnością, znajdował się tylko o dwie przecznice od jeziora Calhoun. Jej rodzice zakupili ten wzniesiony w tradycyjnym stylu budynek kilkadziesiąt lat przedtem, nim okolica stała się modna.

Kate postanowiła zabrać Angie do pubu La Loon, położonego z dala od ruchliwego Calhoun Square. Z zadowoleniem stwierdziła, że parking przy pubie jest prawie pusty. Nie miała nastroju na przebywanie w hałasie, pośród tłumu ludzi, a poza tym zdawała sobie sprawę z tego, że jej podopieczna mogłaby wykorzystać taką sytuację, by się dalej maskować. Dla Kate wystarczający problem stanowił sam wiek dziewczyny.

Ciemne i ciepłe wnętrze pubu było wyposażone w drewniane sprzęty z mosiężnymi elementami i staroświecki bar. Poza kilkoma stałymi bywalcami na sali nie było gości. Kate zrezygnowała z boksu na rzecz stolika w rogu sali. Usiadła na krześle stojącym w kącie, by dobrze widzieć całe wnętrze. Oto miejsce dla ludzi cierpiących na manię prześladowczą. Jak się okazało, nie było to zachowanie obce także Angie DiMarco: nie usiadła naprzeciwko Kate, plecami do sali, lecz zajęła miejsce z boku, plecami do ściany, żeby widzieć każdą zbliżającą się do stolika osobę.

Kelnerka przyniosła im karty i przyjęła zamówienie na napoje. Kate miała ochotę na solidną szklankę dżinu, ale poprzestała na chardonnay. Angie zamówiła rum z coca-colą.

– Jest pełnoletnia – zapewniła Kate, widząc pytający wzrok kelnerki.

Chytry uśmieszek tryumfu pojawił się na twarzy dziewczyny.

– Myślałam, że nie chcesz, żebym piła.

– Och, do diabła z tym – mruknęła Kate, wyjmując z torebki buteleczkę tylenolu. – To cię chyba nie zdemoralizuje.

Dziewczyna odprężyła się. Widać było, że jest nieco rozbawiona, ale też troszkę rozczarowana faktem, że nie doszło do starcia.

– Nie jesteś podobna do żadnej z tych bab z opieki, jakie znałam.

– A ile ich znałaś?

– Kilka. To były albo suki, albo takie słodziutkie paniusie, że chciało mi się rzygać.

– No cóż, wiele osób pewnie powiedziałyby ci, że zaliczam się do którejś z tych kategorii.

– Ale jesteś inna. Zresztą, nie wiem. – Angie poddała się, nie umiejąc precyzyjnie sformułować tego, co miała na myśli. – Wygląda na to, jakbyś coś w życiu przeszła, no wiesz,

coś w tym stylu.

– Powiedzmy po prostu, że nie trafiłam do tego zawodu normalną drogą.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nie bawię się w głupoty i nie daję sobie wciskać kitu.

– Skoro tak, to kto cię pobił?

– To przekraczało zakres moich obowiązków – odparła Kate, wkładając do ust tabletkę tylenolu i popijając ją wodą. – Żałuj, że nie widziałaś, jak ja go urządziłam. No więc co? Znalazałaś w albumie jakieś znajome twarze?

Nastrój Angie zmienił się wraz ze zmianą tematu. Opuściła kąciki wydatnych ust i wbiła wzrok w stolik.

– Nie. Powiedziałałabym ci, gdybym coś zobaczyła.

– Powiedziałałabyś? – mruknęła Kate, prowokując ponure spojrzenie dziewczyny. – Rano będą chcieli, żebyś popracowała z rysownikiem. Jak myślisz, jak wam pójdzie? Widziałaś tamtego na tyle dobrze, żeby go opisać?

– Widziałam go w świetle ognia.

– W jakiej odległości od niego byłaś?

– No, nie wiem – odparła Angie, przesuwając obgryzionym paznokciem wzdłuż rysy na blacie stolika. – Niedaleko. Szłam na skróty przez park i musiałam się wysikać, więc przykucnęłam za krzakami. No i wtedy on zszedł po stoku... i niósł to...

Spięta, zagryzła dolną wargę, opuszczając niżej głowę. Wyraźnie miała nadzieję, że włosy przesłonią jej twarz na tyle, iż Kate nie będzie w stanie odczytać z niej żadnych emocji. Kate czekała cierpliwie, dobrze rozumiejąc, że dziewczyna przeżywa trudne chwile. Nawet u dobrze obeznanej z życiem ulicy młodej osoby taki widok musiał wywołać niewyobrażalny wstrząs. Najpierw to, a potem drugi wstrząs, spowodowany przeżyciami na posterunku policji i pogłębiony przez zmęczenie. To wszystko w końcu musiało dać znać o sobie.

Chcę być przy niej, kiedy się załamie, pomyślała Kate, chociaż wcale nie lubiła takich momentów w swojej pracy. System opieki prawnej z założenia ma faworyzować ofiarę, ale często w trakcie postępowania ofiary stają się ofiarami po raz wtóry. Pracownik opieki jest wówczas jak w potrzasku: będąc sam pracownikiem wymiaru sprawiedliwości, teoretycznie ma chronić obywatela wciąganego w tryby systemu tegoż samego wymiaru sprawiedliwości.

Kiedy kelnerka wróciła z drinkami, Kate zamówiła cheeseburgera i frytki dla siebie i Angie, i oddała kartę.

– Ja... ja nie wiedziałam, co on niesie – wyszeptwała Angie, kiedy kelnerka znalazła się poza zasięgiem jej głosu. – Po prostu zauważyłam, że ktoś idzie, i pomyślałam, że muszę się

schować.

Jak zwierzę, które również wie, że w nocy krążą groźne drapieżniki.

– Park musi być w nocy nieprzyjemnym miejscem – zauważyła Kate, obracając w dłoni kieliszek. – Wszyscy lubią chodzić do parku w dzień. Myślimy, że tak tam ładnie, że dobrze jest wyrwać się z miasta. A potem, kiedy nadchodzi noc, park staje się groźny niczym las z „Czarownika z krainy Oz”. Nikt nie chce tam przybywać w ciemnościach. Więc co ty robiłaś w parku Angie?

– Już mówiłam, że szłam na skróty.

– Szłaś na skróty? Skąd i dokąd o takiej porze? – spytała Kate, nadal nie zdradzając żadnych emocji.

Angie pochyliła się nad swoim drinkiem i pociągnęła długi łyk przez słomkę. Widać było, że jest napięta i próbuje wyprzeć strach, na nowo przywołując złość.

– Angie, przeżyłam to i owo. Widziałam rzeczy, w które nawet ty byś nie uwierzyła. Nic, co mi powiesz, z pewnością mnie nie zaszokuje.

Dziewczyna wydobyła z siebie wymuszony śmiech i spojrzała na telewizor, zawieszony nad jednym końcem kontuaru. Prowadzący lokalny program informacyjny Paul Magers relacjonował poważnym tonem wydarzenie w siedzibie lokalnych władz, gdzie jakiś niezrównoważony psychicznie mężczyzna wpadł w szał. Na ekranie pojawiło się zdjęcie zatrzymanego, a komentator poinformował o niedawnym rozpadzie małżeństwie tego człowieka. Na tydzień przed incydentem jego żona zabrała dzieci i razem z nimi skryła się przed nim w schronisku.

Czynniki wzmacniające stres, skomentowała w myślach Kate.

– Nikogo tu nie obchodzi, czy łamałaś prawo, Angie – podjęła znowu. – Przez to morderstwo wszystko inne staje się mało ważne: włamanie, prostytutka albo kłusowanie wiewiórek, co zresztą osobiście uważam za przysługę dla społeczeństwa. W zeszłym miesiącu miałam wiewiórkę u siebie na strychu. Co za paskudztwo! To po prostu szczur z kudłatym ogonem.

Nie wydobyła z dziewczyny żadnej reakcji. Żadnego uśmiechu. Ani śladu młodzieńczego oburzenia na tak okrutny stosunek do zwierząt.

– Nie próbuję cię naciskać, Angie. Rozmawiam z tobą jako twój opiekun. Im szybciej wyjaśnisz wszystko, co zaszło wczoraj wieczorem, tym lepiej dla wszystkich związanych z tym osób, nie wyłączając ciebie. Prokurator omal nie odchodzi od zmysłów w związku z tą sprawą. Próbował przekonać sierżanta Kovaca, że powinien traktować cię jako podejrzaną.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy z przestraszenia.

– Niech się ode mnie odpieprzy! Nic nie zrobiłam!

– Kovac ci wierzy i dlatego właśnie jeszcze nie siedzisz w celi. Poza tym ja bym na to nie pozwoliła. Ale chodzi o poważną sprawę, Angie. Ten człowiek to wróg publiczny numer jeden, a ty jesteś jedyną osobą, która go widziała i mimo to pozostała przy życiu. Tylko ty możesz o nim opowiedzieć, więc jesteś teraz ważną figurą.

Dziewczyna oparła się łokciami o stół i ukryła twarz w dłoniach.

– O Boże, co za bagno – mruknęła.

– Dobrze to ujęłaś, moja droga – zgodziła się z nią Kate. – Ale powiem ci wprost, o co tu chodzi. Ten wariat będzie nadal zabijał, dopóki go ktoś nie powstrzyma. Może ty mogłabyś w tym pomóc.

Zamilkła. Czekwała na reakcję dziewczyny, dosłownie wstrzymując oddech. Gdyby tak mogła zmusić ją siłą woli do podjęcia decyzji! Przesłonięta dłońmi twarz Angie była czerwona od powstrzymywanych emocji. Kate widziała napięcie w szczupłych ramionach i wyczuwała oczekiwanie dziewczyny, które zagęszczało otaczającą je atmosferę.

Niestety, nic w tej sprawie nie ma być jasne ani proste, pomyślała Kate, słysząc dobiegający z torebki sygnał pagera. Przelotna okazja zniknęła. Zakłęła cicho, wsuwając rękę do torby, wściekła na niedogodności powodowane przez nowoczesną technikę.

– Pomyśl o tym, Angie – powiedziała, wstając z krzesła. – Tu chodzi o ciebie, a ja jestem po to, żeby ci pomóc.

Przy okazji zaś chodzi również o mnie, dodała w myślach, idąc do automatu telefonicznego, umieszczonego we wnętrzu koła toalet.

Nie. Nic w tej sprawie nie miało być jasne ani proste.

– Co, do diabła, zrobiłaś z moim świadkiem, Ruda? – rzucił do słuchawki Kovac.

Stał w prosektorium oparty o ścianę i przyciskał ramieniem do ucha słuchawkę telefonu. Wsunął rękę pod chirurgiczny fartuch, który włożył na ubranie, wyjął z kieszeni marynarki mały słoiczek maści mentolowej i odrobinę jej rozsmarował wokół każdego nozdrza.

– Przyszło mi do głowy, że dobrze byłoby ją potraktować jak człowieka i zaproponować jej prawdziwy posiłek, w odróżnieniu od tego gówna, które serwujecie ludziom w waszej stołówce – odpada Kate.

– Nie lubisz pączków? Co z ciebie za Amerykanka?

– Taka Amerykanka, która przynajmniej częściowo rozumie pojęcie prawa obywatelskie. – No jasne, dobra, w porządku. Zatkanął sobie palcem wolne ucho, gdy z głębi prosektorium doleciał jęk ostrzonej piły do kości. – Jak Sabin zapyta, to mu powiem, że przechwyciłaś dziewczynę, zanim zdążyłem ją przymknąć, co jest zresztą prawdą. Lepiej, żeby dorwał twoją śliczną dupeczkę niż mojego małego.

– Nie przejmuj się Sabinem. Mam jego zgodę.

– A masz jego zdjęcie, kiedy je podpisywał? Albo notarialne potwierdzenie?

– O Boże, ale z ciebie paranoik.

– A jak myślisz, w jaki sposób dałem radę tak długo wytrzymać w tej robocie?

– Na pewno nie przez całowanie w dupę przełożonych i skrupulatne wykonywanie rozkazów. Jestem tego pewna jak cholera.

Kovac nie potrafił powstrzymać się od śmiechu. Kate nazywała rzeczy po imieniu i w dodatku miała rację. Prowadził swoje sprawy w sposób, który uważał za najlepszy, nie licząc na ewentualny rozgłos czy awans.

– Więc dokąd zabierasz tego aniołka po waszej wspaniałej uczcie?

– Kazali mi ją zabrać do Phoenix House. Powinna być w zakładzie dla młodocianych, ale nie da się tego zrobić. Muszą ją gdzieś umieścić, a według papierów jest dorosła. Zrobiłeś jej zdjęcie?

– Tak. Przekażę je wydziałowi do spraw nieletnich. Zobaczymy, czy ktoś ją zna. Poślę

też jedną odbitkę tym z obyczajówki.

– Jeżeli dasz mi fotografię, ja też wykorzystam swoje chody.

– Zrobi się. Informuj mnie na bieżąco. Chcę mieć tę panienkę na oku – Podniósł nieco głos, żeby być słyszalnym przez szum wody lejącej się do zlewozmywaka z nierdzewnej stali.

– Muszę iść. Doktor Śmierć zaraz będzie krajała nasze podpieczone stworzenie.

– Jezu, Sam, ale ty jesteś subtelny.

– No wiesz, muszę sobie jakoś dawać radę. Wiesz, o czym mówię.

– Tak, wiem. Tylko uważaj, żeby nie usłyszeli cię nieodpowiedni ludzie. Powołano już grupę specjalną?

– Tak. Jak tylko pozbędziemy się grubych ryb, będziemy mogli zaczynać.

Spojrzał na przeciwległy skraj sali, gdzie stali pogrążeni w rozmowie Quinn, doktor Maggie Stone i agent ze Stanowego Biura Kryminalistycznego, nazwiskiem Hamill. Wszyscy mieli na sobie chirurgiczne fartuchy i obuwie.

– Więc co to za historia z tobą i tym gwiazdorem z Quantico?

W słuchawce zapadła na chwilę cisza.

– O co ci chodzi? – odezwała się w końcu Kate.

– O co ci chodzi, o co ci chodzi? Co to za układ? Co się wydarzyło? Co to za historia?

Kolejna chwila ciszy. Tym razem trwająca tylko ułamek sekundy.

– Znałam go, to wszystko. Pracowałam w dziale badań w sekcji studiów behawioralnych. Ludzie z badań behawioralnych i z sekcji śledczej ciągle się spotykają. Poza tym on był kiedyś przyjacielem Stevena... mojego byłego męża.

Dorzuciła tę informację na końcu, jakby chciała, aby pomyślał, że przyszło jej to do głowy z opóźnieniem. Kovac postanowił przemyśleć sprawę później. „Był kiedyś przyjacielem Stevena”. To jeszcze nie cała historia, pomyślał, patrząc, jak Liska odchodzi od leżącego na stole ciała i kieruje się w jego stronę. Wyglądała na zniecierpliwioną i bliską mdłości. Kovac podał Kate numer swojego pagera z prośbą, by się z nim kontaktowała, i odłożył słuchawkę.

– Wszystko gotowe – oznajmiła Liska, wyjmując z kieszeni obszernego blezera słoiczek maści Vicks VapoRub. Otworzyła go, podsunęła sobie pod nos i głęboko wciągnęła powietrza.

– Boże, co za odór – mruknęła, idąc z Kovacem w stronę stołu. – Miałam już topielców i pijaków znalezionych w pojemnikach na śmieci. Raz trafiłam na faceta, który przeleżał w bagażniku chryslera cały weekend Czwartego Lipca. Ale żaden z nich tak nie cuchnął.

Rzeczywiście, odór był niemal namacalny. Przypominał niewidzialną pięść, która wciska się do ust, przetacza po języku i zalega w głębi gardła. W pomieszczeniu panował chłód, ale ani stały podmuch czystego, rześkiego powietrza z wentylacji, ani dezodorujące perfumy, ani chemiczne odświeżacze powietrza nie były w stanie usunąć zapachu przypieczonego ludzkiego ciała i organów wewnętrznych.

– Nie ma to jak grzanki – mruknął Kovac.

Liska spojrzała na niego mrużąc lekko oczy.

– Skończ z takimi dowcipami, bo ci obrzygam buty.

– Ale jesteś miękka.

– Jak stąd wyjdziemy, to kopnę cię za to w dupę.

W pomieszczeniu stały trzy stoły, z których dwa skrajne były zajęte. Minęli pierwszy, na którym pomocnik anatomopatologa wkładał plastikowy woreczek, pełen organów wewnętrznych do otwartej jamy brzusznej mężczyzny o pożółkłych paznokciach u nóg. Przy każdym ze stołów zawieszono wagę podobną do tych, których używa się w supermarketach do ważenia winogron czy papryki. Różnica polegała na tym, że tu wag używano do ważenia serc i mózgów.

– Chcieliście, żebym zaczęła imprezę bez was? – zapytała Maggie Stone, lekarz sądowy hrabstwa Hennepin.

Większość pracowników centrum medycznego hrabstwa Hennepin uważała, że Maggie Stone ma nie całkiem po kolei w głowie. Podejrzewała wszystkich o wszystko, przy dobrej pogodzie jeździła harleyem i, jak było ogólnie wiadomo, nosiła przy sobie broń. Jeśli jednak chodziło o umiejętności zawodowe, nie było lepszego specjalisty od niej.

Ludzie, którzy znali ją w spokojniejszym okresie jej życia, twierdzili, że włosy Maggie mają naturalnie myszowato-brązowy kolor. Kovac nie miał dobrej pamięci do takich szczegółów, co było jednym z powodów, dla których już dwa razy się rozwiódł. Zauważył jednak, że doktor Stone, która już dawno przekroczyła czterdziestkę, ostatnio zmieniła się z kobiety o płomiennorudej fryzurze w platynową blondynkę. Jej krótko przystrzyżone włosy były ułożone w taki sposób, że wyglądała, jakby przed chwilą akurat wygrzebała się z łóżka i okropnie się czegoś wystraszyła.

Maggie spojrzała na Kovaca, poprawiając maleńki mikrofon, przypięty do kołnierza jej roboczego stroju. Miała niesamowicie przezroczyste zielone oczy.

– Masz złapać tego sukinsyna – rzuciła, mierząc w Kovaca skalpelem.

Jej ton wskazywał wyraźnie, że jeśli on tego nie zrobi, to sama się tym zajmie. Odwróciła się do nadpalonego ciała, które leżało przykurczone niby modliszka na wykonanej

z nierdzewnej stali powierzchni stołu. Widać było, że jest gotowa do pracy.

– No dobra, Lars. Zobaczmy, czy da się ją trochę wyprostować.

Podeszła do jednego końca stołu i delikatnie, a jednak mocno przytrzymała zwłoki, podczas gdy jej asystent, zwalisty Szwed, chwycił za kostki zmarłej. Zaczęli rozciągać zwłoki przy wtórze takich trzasków, jakby ktoś łamał pieczone skrzydełka kurczaka.

Liska odwróciła się, zakrywając usta dłonią. Kovac ani drgnął. Stojący po drugiej stronie stołu Quinn miał kamienny wyraz twarzy. Patrzył na ciało, które dopiero miało zdradzić swoje sekrety. Hamill, jeden z dwóch agentów BCA przydzielonych do grupy specjalnej, wbił wzrok w sufit. Był to niski, schludnie ubrany mężczyzna o silnej budowie ciała jaką miewają biegacze i z wyraźnymi zakolami łysiny nad czołem.

– Doktor Stone cofnęła się od stołu i podniosła kartę.

– Doktor Maggie Stone – powiedziała cicho, rozpoczynając nagrywanie swych spostrzeżeń, chociaż brzmiało to tak, jakby zwracała się do nieżyjącej kobiety.

– Sprawa nr 11-7820. Nieznana kobieta. Rasa biała. Głowa została odcięta od ciała i dotąd jej nie znaleziono. Ciało ma sto trzydzieści pięć centymetrów długości i waży pięćdziesiąt pięć kilogramów.

Pomiary długości ciała i wagi zostały przeprowadzone wcześniej. Sporządzono już komplet zdjęć rentgenowskich i fotografii, a doktor Stone uważnie zbadała powierzchnię ciała laserem, żeby oświetlić i zebrać dowody śladowe. Teraz zaczęła studiować poszczególne fragmenty ciała, opisując szczegółowo wszystko, co widzi, każdą ranę i każdy znak.

Spalone ubranie nadal ściśle przylegało do zwłok. Stopiło się pod wpływem gorąca i przykleiło do ciała. Dobra przestroga przeciwko noszeniu syntetycznych tkanin.

Lekarka opisała poważne uszkodzenie szyi ofiary, spekulując, że dokonano go za pomocą ząbkowanego ostrza.

– Pośmiertnie? – zapytał Quinn.

Stone wpatrzyła się w ziejącą ranę, jakby usiłowała zajrzeć wprost do serca martwej kobiety.

– Tak – powiedziała w końcu.

Niżej na szyi widać było liczne znaki po pętli. Nie pojedynczą czerwoną bruzdę, ale pasy, które wskazywały, że sznur był luzowany i zaciskany podczas torturowania ofiary. Prawdopodobnie powodem zejścia było właśnie uduszenie spowodowane zaciskaniem pętli, chociaż z powodu dokonanej dekapitacji było to trudne do udowodnienia. Najbardziej przekonującym dowodem, że śmierć została spowodowana przez uduszenie, byłoby stwierdzenie zgniecenia kości gnykowej w górnej części krtani, która jednak znajdowała się

powyżej linii dekapitacji. Podobnie nie było szansy na znalezienie innego wyraźnego dowodu na to, że śmierć nastąpiła przez uduszenie, a mianowicie krwawych wybroczyn w gałkach ocznych.

– Z poprzednimi zabawiał się tak samo? – zapytał Quinn wskazując ślady pętli na gardle denatki.

Stone skinęła głową i przesunęła się wzdłuż zwłok.

– A czy uszkodzenia ciała przez ogień są w przybliżeniu podobne do tamtych?

– Tak.

– Denatki też były ubrane?

– Tak. Przypuszczamy, że ubierał je po dokonaniu zabójstwa. Na zwłokach znajdowały się rany, które nie miały odpowiadających sobie uszkodzeń w ubraniach, przynajmniej w tych ich fragmentach, które nie zostały zniszczone przez ogień.

– I ofiary nie były we własnej odzieży – wtrącił Kovac. – To on ją wybierał. Zawsze syntetyczne materiały. Ogień topi je i likwiduje dowody śladowe na ciele.

Pewnie to ma dla Quinna jakieś znaczenie, pomyślał z irytacją. Zdawał sobie sprawę z tego, jak cenne może być ustalenie profilu psychologicznego mordercy, ale tradycyjny policjant w głębi jego duszy czuł niechęć na myśl, że ci maniacy od profili czasami wyrażają za wiele uznania dla tych bestii. Niekiedy zabójcy robią różne rzeczy ot, tak sobie, niekiedy z ciekawości bądź powodowani czystym złem, albo dlatego, że wiedzą, iż przysporzy to kłopoty w śledztwie.

– Będą odciski palców?

– Nie – odparła krótko Stone, oglądając zewnętrzną stronę lewej dłoni. Wierzchnia warstwa skóry, która przybrała kolor przybrudzonej kości słoniowej łuszczyła się. Niższa warstwa była czerwona. W miejscach, gdzie skóra została całkiem spalona prześwitywały kości stawów. – W każdym razie to nie będą dobre odciski – dodała. – Przypuszczam, że ułożył zwłoki z dłońmi splecionymi na klatce piersiowej albo brzuchu. Ogień od razu zamienił bluzkę w gorącą masę, która wtopiła się w opuszki palców, zanim ścięgnięta w ramionach zaczęły się napinać i odciągać ręce od ciała.

– Czy istnieje jakaś możliwość oddzielenia reszty tkaniny od palców? – zapytał Quinn.
– Te resztki mogą mieć na sobie odbicie linii papilarnych.

– Nie mamy tutaj takich możliwości. Chyba że wasi ludzie w Waszyngtonie będą mieli ochotę spróbować. Możemy odciąć ręce, zapakować i wysłać do nich.

– Powiem Walshowi, żeby tam zadzwonił.

Walsh wykręcił się wcześniej od uczestnictwa w sekcji, kaszląc jak gruźlik. Zresztą

cała grupa specjalna nie musiała być przy tym obecna, gdyż następnego dnia wszyscy i tak mieli otrzymać relację z jej przebiegu i uzyskać dostęp do raportów i zdjęć.

Stone metodycznie badała ciało. Skóra na nagich nogach ofiary była przypalona i pokryta nieregularnymi plamami pęcherzy w miejscach, gdzie płonął łatwopalny płyn.

– Znaki po pętli na prawej i lewej kostce – powiedziała lekarka.

Przesuwała dłonią po stopach ofiary delikatnie, niemal pieszczotliwie. A więc jednak odczuwała jakieś emocje.

Kovac przyjrzał się ranom powstałym przez zaciskanie więzów na kostkach ofiary, starając się przy tym nie widzieć oczyma wyobraźni kobiety przywiązanej do łóżka w izbie tortur jakiegoś maniaka, kobieta tak bardzo pragnęła się uwolnić, że sznury aż wycisnęły bruzdy w jej ciele.

– Już odesłaliśmy włókna do laboratorium BCA – oznajmiła Stone. – Zdaje się, że są takie same jak w poprzednich przypadkach: biała polipropylenowa linka. Piekalnie mocna. Można ją kupić w każdym sklepie, z materiałami biurowymi. Sprzedaje się tego tyle w mieście, że wystarczyłoby do Księżyca i z powrotem. Nie ma szansy, żeby gdzieś dotrzeć tym tropem.

– Głębokie nacięcia o wyglądzie podwójnej litery X na podeszwach obydwu stóp – podjęła, wracając do badania.

Zmierzyła i zapisała każde cięcie, a potem opisała ślady, które wyglądały na przypalenia od papierosów na opuszkach wszystkich palców u nóg.

– Tortura czy uszkodzenie ciała dla ukrycia tożsamości ofiary? – zapytał Hamill.

– Może jedno i drugie – powiedziała Liska.

– Wygląda na to, że zrobił jej to za życia – oznajmiła Stone.

– Co za sukinsyn! – mruknął Kovac.

– Gdyby się uwolniła, nie byłaby w stanie biec – powiedział Quinn. – Kilka lat temu był taki przypadek w Kanadzie. Podcięto ofierze ścięgna Achillesa, żeby nie mogła uciec. Czy poprzednie ofiary miały podobne rany?

– Były torturowane na różne sposoby – odparła Stone. – Nie całkiem tak samo. Mogę panu dostarczyć kopie moich raportów.

– Już je mam, dziękuję.

Ubrania ofiary nie dawały się usunąć bez odrywania z nimi skóry. Razem ze swoim pomocnikiem Stone przystąpiła do przecinania i odrywania materiału. Usuwała ostrożnie stopione włókna za pomocą szczypiec, klnąc co chwila pod nosem.

Kovac czekał w napięciu, gdy usuwali z lewej strony klatki piersiowej ofiary resztki

bluzki razem z warstwą ciała.

Stone spojrzała wprost na niego.

– No i jest – oświadczyła.

– Co? – zapytał Quinn, podchodząc bliżej.

Kovac zbliżył się również i spojrzał na dzieło zabójcy.

– Pewien szczegół, który udało nam się ukryć przed tymi parszywymi dziennikarzami.

Ten układ ran klutych, widzisz?

Skupiona grupka ośmiu znaków, mierzących od jednego do dwóch i pół centymetra długości znaczyła klatkę piersiową zmarłej w okolicy serca.

– Te dwie pierwsze też to miały – stwierdził Kovac zerkając na Quinna. – Również zostały uduszone, a rany klute zostały zadane potem.

– W takim samym układzie?

– Tak. Jak gwiazda. Widzisz?

Zatrzymał dłoń kilka centymetrów nad zwłokami i zakreślił palcem w powietrzu kontur ran.

– Te dłuższe znaki tworzą jeden X, a krótsze drugi. Smokey Joe znowu atakuje.

– Są też inne podobieństwa – powiedziała Stone. – Spójrzcie tutaj: odcięcie sutków razem z otoczką.

– Po śmierci? – zapytał Quinn.

– Nie – odparła i zwróciła się do swojego asystenta: – Odwróćmy ją, Lars. Zobaczmy, co znajdziemy z drugiej strony.

Przed podpaleniem zwłoki zostały ułożone na plecach i dlatego uszkodzenia spowodowane przez płomień ograniczone były do przedniej części ciała. Stone usunęła zachowane fragmenty ubrania i umieściła je w woreczkach. Kawałek czerwonej spódnicy ze spandeksu. Strzęp bladozielonej bluzki. Ani śladu bielizny.

– Mhm – mruknęła Stone, spoglądając na Kovaca. – Na prawym pośladku brakuje fragmentu ciała.

– Robił to samo z poprzednimi? – zapytał Quinn.

– Tak. W pierwszym przypadku wyciął kawałek z prawej piersi. A w drugim również z prawego pośladka.

– Usuwa ślady po ugryzieniu? – zapytał Hamill.

– Być może – odparł Quinn. – Gryzienie przy tego rodzaju zabójstwach nie jest niczym niezwykłym. Czy są jakieś ślady w tkance? Tacy jak on nie chwytają zębami dla pieszczoty.

Stone wzięła do ręki małą miarkę, żeby dokładnie zmierzyć rany.

– Jeżeli były jakieś wybroczyny, to je wyciął. Brakuje sporo mięśnia.

– Jezu! – mruknął Kovac, spoglądając na wyraźny ciemnoczerwony prostokąt na ciele ofiary, który pozostał po precyzyjnym wycięciu tkanki małym ostrym nożem.

– Co ten typ sobie wyobraża? Że jest z niego, kurwa, jakiś pieprzony Hannibal Lecter?

– Każdy ma jakiegoś idola – powiedział Quinn.

Przypadek nr 11-7820, nieznana kobieta rasy białej, nie cierpiała na żadne zagrażające życiu dolegliwości. Była zdrowa pod każdym względem. Dobrze odżywiona, z pięcioma czy siedmioma kilogramami nadwagi jak to się zdarza u większości ludzi. Doktor Stone nie potrafiła jednak określić, co ofiara zjadła na ostatni posiłek. Jeżeli była nią Jillian, znaczyło to, że zdążyła przed śmiercią stawić kolację, którą jadła z ojcem. W zwłokach nie znaleziono żadnych wad wrodzonych. Według oceny doktor Stone, ofiara miała dwadzieścia do dwudziestu pięciu lat. Młoda kobieta, która miała jeszcze większość życia przed sobą aż do chwili, gdy jej ścieżki skrzyżowały się ze ścieżkami niewłaściwej osoby. Ten typ zabójcy rzadko wybiera ofiary, które są bliskie śmierci.

Quinn rozmyślał nad tym, stojąc na mokrym asfalcie przy drzwiach dostawczych kostnicy. Wilgotny nocny chłód przesączał się przez jego ubranie aż do wnętrza ciała. Mgła zwiślała nad miastem jak delikatny, biały całun.

Za wiele ofiar zbrodni było młodymi kobietami, ładnymi, młodymi kobietami, zwyczajnymi młodymi kobietami, kobietami, którym wszystko się dobrze układało, i kobietami, które nie miały w życiu nic, poza strzępem nadziei na coś lepszego. Wszystkie one zostały zniszczone jak lalki, wykorzystane i wyrzucone, jakby ich życie nie miało żadnego znaczenia.

– Mam nadzieję, że nie jesteś przywiązany do tego garnituru – powiedział Kovac, podchodząc do Quinna i wyjmując z paczki mentolowego salema.

Quinn spojrział na swoje ubranie wiedząc, że odór śmierci przeniknął każde włókno.

– Ryzyko zawodowe. Nie miałem czasu się przebrać.

– Ja też. To doprowadzało do szału moje żony.

– Żony?

– Kolejne. Nie obie naraz. Dwie. Wiesz, jak to jest, taka praca i w ogóle... w każdym razie moja druga żona nazywała moje ubrania trupimi, mówiła tak na wszystko, w czym chodziłem na miejsca zbrodni czy na sekcję zwłok i tak dalej. Kazała mi się rozbierać w garażu. Ktoś mógłby pomyśleć, że potem paliła te ubrania albo wyrzucała je na śmieci czy

coś takiego, bo za cholere nie pozwoliłaby mi ich znowu włożyć, ale nie. Pakowała je w kartony i zanosila do punktu zbiórki jakiejś organizacji charytatywnej, bo, jak mówiła, nadawały się jeszcze do noszenia. – Pokręcił głową. – Dzięki niej różni nieszczęśnicy z całego Minneapolis chodzili w tych ubraniach i czuć było od nich trupem. Jesteś żonaty?

Quinn pokręcił głową.

– Rozwiedziony?

– Kiedyś. Dawno temu.

Tak dawno temu, że krótka próba małżeńskiego życia wydawała mu się teraz czymś bliższym na wpół zapomnianemu nieprzyjemnemu snu niż prawdziwemu wspomnieniu. Przypominanie sobie tego było jak grzebanie się w kupce popiołów, w resztkach dawno ostygłej uczuciowej ruiny, złożonej z frustracji, poczucia przegranej i żalu. Jednak gdy myślał o Kate, odczuwał to wszystko o wiele silniej.

– Każdy coś ma na koncie – powiedział Kovac. – Taka robota.

Wyciągnął do niego paczkę z papierosami, ale Quinn odmówił.

– Jezu, muszę się pozbyć tego zapachu z ust – mruknął, Kovac, wciągając haust dymu i przytrzymując go przed wydechem, żeby wchłonąć jak największą dawkę smoły i nikotyny.

Wypuścił w końcu dym, który rozmył się we mgle.

– Myślisz, że to Jillian Bondurant?

– Niewykluczone, ale równie dobrze to może nie być ona. Ten ktoś zadał sobie piekielnie dużo trudu, żebyśmy nie dali rady zdjąć odcisków palców.

– Ale zostawił jej prawo jazdy. Może uprowadził dziewczynę, dopiero później zorientował się, kim ona jest, i postanowił ją przytrzymać, żeby wymusić okup – zaczął spekulować Kovac. – Tymczasem dopadł inną kobietę i załatwił ją, a potem zostawił prawo jazdy Bondurant przy ciele, żeby pokazać, co się z nią może stać, jeżeli tata nie wysupła forsy. Zmrużył oczy, jakby odtwarzał w myślach swój scenariusz. – Nie wiadomo nam o żadnym żądaniu okupu, a poza tym zaginęła w piątek – ciągnął. – Chociaż jednak... Ale ty tak nie myślisz?

– Nigdy się nie spotkałem z podobnym przebiegiem wydarzeń. To wszystko. Z reguły, jeżeli chodzi o ten typ morderstwa, zabójcy przyświeca tylko jeden cel: realizację swoich fantazji. To nie ma zazwyczaj nic wspólnego z pieniędzmi – odparł Quinn, zwracając się bardziej twarzą do Kovaca.

Już wcześniej uznał, że Kovac jest tym członkiem grupy specjalnej, na którego współpracy najbardziej mu zależy. To on kierował działaniami śledczymi, a jego wiedza z zakresu podobnych przypadków, znajomość miasta i mieszkających w nim przestępców

mogły się okazać bezcenne. Kłopot polegał na tym, że Quinn nie miał już dość energii, aby odgrywać przedstawienie pod tytułem „Jestem takim samym glina jak ty”. Dlatego postanowił zagrać bardziej wprost.

– Z ustalaniem portretu psychologicznego przestępcy sprawa polega na tym, że jest to proaktywne narzędzie, oparte na reaktywnym wykorzystaniu wiedzy zdobytej na podstawie przeszłych wydarzeń, a nie żadna precyzyjna nauka. Każdy przypadek może potencjalnie przedstawiać coś, czego nigdy wcześniej nie widzieliśmy.

– Ale słyszałem, że jesteś w tym całkiem dobry – odezwał się Kovac. – Przyskrzynyłeś tego mordercę dzieci w Kolorado dzięki temu, że się jąkał.

Quinn wzruszył ramionami.

– Czasami wszystkie elementy układanki pasują do siebie. Ile jeszcze może potrwać, zanim zdobędziesz karty zdrowia Bondurant?

Kovac przewrócił oczami.

– Powinienem zmienić nazwisko na Murphy. Jedno z praw Murphy’ego mówi: „Nic nigdy nie jest łatwe”. Okazuje się, że większość jej papierów jest we Francji – odparł, wymawiając słowo „Francja” tak, jakby to była jakaś nieznaną planetą w innej galaktyce. – Jej matka rozwiodła się z Peterem Bondurantem jedenaście lat temu i wyszła za faceta, który ma międzynarodową firmę budowlaną. Zamieszkali we Francji. Matka już nie żyje, a ojczym mieszka tam nadal. Jillian wróciła kilka lat temu i zapisała się na uniwersytet. To znaczy nasz uniwersytet stanowy. FBI mogłoby pomóc wydobyć te dokumenty za pośrednictwem naszego attaché prawnego w Paryżu.

– Wiem. Walsh już nad tym pracuje. Na razie spróbujemy porozmawiać ze wszystkimi, którzy byli zaprzyjaźnieni z Jillian. Dowiemy się, czy miała jakieś pieprzyki, znamiona, blizny lub tatuaże. Zdobędziemy zdjęcia. Jak dotąd nie znaleźliśmy nikogo, kto by się z nią przyjaźnił. Nie wiadomo nam też nic o żadnym chłopaku. Zdaje się, że nie była zbyt towarzyską osobą.

– A rozmawialiście z jej ojcem?

– Jest zanadto przejęty, żeby z nami rozmawiać – powiedział Kovac, krzywiąc twarz w grymasie niechęci. – Zanadto przejęty. Tak to ujął jego adwokat. Gdybym ja myślał, że ktoś załatwił moje dziecko, to byłbym przejęty jak cholera. Nie przepuściłbym ani jednemu policjantowi. Siedziałbym im na karku i robiłbym wszystko, co tylko bym mógł, żeby nakryć tego sukinsyna. – Spojrzał na Quinna, unosząc jedną brew. – A ty?

– Przewróciłbym świat do góry nogami i porządnie nim potrząsnął.

– No jasne, do cholery. Idę do domu Bonduranta, żeby powiedzieć, że to może być

Jillian. A on robi taką minę, jakbym go trzasnął w łeb kijem do baseballu. „O Boże, o Boże”, powtarza, aż mi się zdaje, że zaraz będzie rzygał. Więc nie zdziwiłem się specjalnie, kiedy mnie na chwilę przeprosił. Tymczasem ten sukinsyn wezwał swojego adwokata, a sam już nawet nie wystawił nosa z gabinetu. Całą następną godzinę rozmawiałem z Bondurantem za pośrednictwem Noble’a.

– I co ci powiedział?

– Że Jillian była w domu w piątek wieczorem na kolacji i że nie widział jej od tamtej pory. Wyszła około północy. Jeden z sąsiadów potwierdził to. Sąsiedzi, którzy mieszkają naprzeciwko, właśnie wracali do domu z przyjęcia. Jej saab wyjechał na ulicę, akurat kiedy skręcali do domu o jedenastej pięćdziesiąt. Pieprzony Peter Bondurant Nadziany – mruknął Kovac. – Ale ja mam szczęście. Zanim skończymy z tą sprawą, odeślą mnie do wypisywania mandatów za parkowanie. – Dokończył papierosa, upuścił niedopałek na asfalt i roztarł go czubkiem pantofla. – Niedobrze, że testy DNA trwają tak cholernie długo – powiedział, znowu wracając do sprawy identyfikacji ofiary. – Sześć tygodni albo i osiem. Za długo, cholera.

– Sprawdzacie informacje o zaginionych osobach?

– Tak, z Minnesoty, Wisconsin, Iowy i obydwu Dakot. Skontaktowaliśmy się nawet z Kanadyjczykami. Na razie nic nie pasuje. Może znajdzie się głowa – powiedział z nadzieją w głosie, jakby chodziło o odszukanie zgubionych okularów albo portfela.

– Może.

– No, dość tego syfu na dzisiaj. Jestem głodny jak wilk – rzucił niespodziewanie, zapinając szczelnie marynarkę, jakby głód i zimno były dla niego tym samym. – Znam knajpę z doskonałym meksykańskim jedzeniem na wynos. Takie ostre, że usuwa z ust smak nieboszczyka. Wpadniemy tam po drodze do twojego hotelu.

Odeszli od drzwi dostawczych, akurat gdy podjechał ambulans bez włączonych świateł ostrzegawczych i bez syreny. A więc kolejny klient. Kovac wyjął z kieszeni kluczyki spoglądając na Quinna z ukosa.

– Więc znałeś naszą Kate?

– Tak – odparł Quinn, patrząc przed siebie, w mgłę. Gdzie ona teraz może być? – zadał sobie w duchu pytanie. – Czy myśli o mnie? W innym wcieleniu – dodał po chwili.

Kate ostrożnie zanurzyła obolałe ciało w starej wannie na czterech nogach, usiłując pozbyć się napięcia, które nagromadziło się w niej w ciągu dnia. Drażyło ją boleśnie gdzieś z samego wnętrza, promieniując dalej, do mięśni. Wyobrażała sobie, że teraz uchodzi z wody wraz z parą i aromatem lawendy. Przed nią na mosiężnej ażurowej półce, leżącej w poprzek wanny, stała okazała szklanka dzinu Bombay Sapphire z tonikiem. Kate pociągnęła solidny łyk, ułożyła się wygodniej i zamknęła oczy.

Specjaliści zajmujący się rozładowywaniem stresów spoglądają niechętnym okiem na alkohol, ostrzegając, że prowadzi wspomagającą się nim osobę prostą drogę do uzależnienia i zmarnowania sobie życia. Kate bywała już na drodze do zmarnowania życia, a jeżeli kiedykolwiek miałaby się stać alkoholiczką, to zapewne doszłoby do tego kilka lat wcześniej. Dokładnie pięć. Tak się jednak nie stało, więc znowu piła dzin i czekała na przyjemne odrętwienie, które ze sobą przynosił.

Przez ułamek sekundy znowu widziała oczyma wyobraźni serię twarzy z tamtego ponurego okresu jej życia. Twarz Stevena, która w ciągu owego okropnego roku stała się zimną, pełną gniewu i żalu. Smutną twarz lekarza, wyczerpanego i odrętwiałego przez nadmiar tragedii z którymi się stykał. Śliczną twarzyczkę córki, która pojawiła się i zniknęła w mgnieniu oka. Twarz Quinna: wyrazistą, pełną współczucia i namiętności... a potem zagniewaną, obojętną, należącą tylko do wspomnień.

Znowu, tak jak zawsze w podobnych momentach, zaskoczyło ją nagłe ukłucie bólu przebijającego się przez otulinę czasu. Jakąś częścią swej duszy pragnęła, żeby to uczucie się przytępiło, ale inna kazała jej mieć nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie. Nieskończony cykl winy: potrzeba ucieczki od niej i równie rozpaczliwa potrzeba jej odczuwania.

Otworzyła oczy i zapatrzyła się w okno łazienki umieszczone w ścianie na wprost. Prostokąt nocnej ciemności nad zakrywającą dolną część okna zasłoną, mrok za mleczną szybą.

Zaleczyła w końcu stare rany i nadała nowy tok swemu życiu. To wiele, bardzo wiele. Jak jednak łatwo dawało się rozdrapać te stare rany. Jak upokarzające było to, że tak naprawdę nigdy nie pozbyła się bólu związanego ze wspomnieniem o Johnie Quinnie. Czuła

się jak idiotka, jak dziecko. Wszystko przez to, że dałam się zaskoczyć, pomyślała.

Jutro będzie lepiej, obiecała sobie w duchu. Obudzę się z jasnym umysłem, skoncentrowana. Nie dopuszczę do żadnych niespodzianek. Nie ma sensu grzebać się w przeszłości, kiedy teraźniejszość wymaga całej mojej uwagi.

Przecież zawsze była rozsądna, z wyjątkiem kilku krótkich miesięcy w ciągu najgorszego roku w jej życiu.

Oddalili się od siebie ze Stevenem. Byłaby to sytuacja do zniesienia, gdyby wszystko inne pozostało bez zmian, wkrótce jednak Emily zaraziła się niebezpiecznym szczepem grypy i po kilku dniach ich śliczne, radosne dziecko odeszło. Steven obwiniął o to Kate, twierdząc, że powinna była wcześniej zorientować się w tym, jak ciężki jest stan Emili. Kate też się obwinięła, pomimo zapewnień doktora, że to nie była jej wina, że nie mogła tego przewidzieć. Tak bardzo potrzebowała kogoś, kto by ją przytulił, kto by jej zapewnił oparcie i rozgrzeszenie...

Rogiem wiszącego z tyłu ręcznika przetarła oczy i nos, a potem naląła sobie kolejnego drinka. Nie mogła zapanować nad przeszłością. Ale mogła za to przynajmniej wmówić sobie, że do pewnego stopnia panuje nad teraźniejszością.

Wróciła myślami do swojej klientki. Co za idiotyczne słowo: klientka. Można by pomyśleć, że ta dziewczyna ją wybrała, wynajęła ją, a przecież Angie DiMarco nie zrobiła ani jednego ani drugiego. W dodatku wyglądała na niezłe ziółko. Kate była zbyt doświadczona w sprawach tego świata, żeby mieć złudzenia, iż gdzieś pod całą tą skorupą kryje się złote serce. Bardziej prawdopodobne się zdawało, że dziewczynę zraniło, wypaczyło życie, jeszcze mniej przyjemne niż życie bezpańskiego kota. Jak ludzie mogą sprowadzać na świat dziecko i dopuścić, by znalazło się w takim stanie? – pomyślała z irytacją i jednocześnie nieprzyjemnym ukłuciem zazdrości.

W gruncie rzeczy odkrywanie, kim jest Angie DiMarco ani dlaczego ma tak spaczoną osobowość, nie należało do jej obowiązków. Ale im więcej wiedziała o swojej klientce, tym lepiej była w stanie ją zrozumieć, a dzięki temu odpowiednio działać i reagować. Manipulować. Wydobyć z niej to, na czym zależy Sabinowi.

Wyciągnęła korek z wanny, wytarła się ręcznikiem i otuliła szlafrokiem z miękkiego aksamitu. Podeszła z resztą drinka w dłoni do swojego maleńkiego, staroświeckiego biurka w sypialni. To było jej kobiece sanktuarium. Odcienie brzoskwiniowe i głęboka, ciemna zieleń nadawały pokojowi ciepły przytulny charakter. Z głośników małej wieży, umieszczonej na regale, płynęły dźwięki miłego głosu Nancy Griffith. Thor, norweski leśny kot, który uznał łóżko Kate za swe wyłączne terytorium, leżał z królewskim dostojeństwem na środku

puchowej kołdry. Spojrzał na swą panią z wyższością robiąc znudzoną minę księcia, następcy tronu.

Kate usiadła na krześle, podwijając pod siebie jedną nogę, wyjęła czystą kartkę z szuflady w biurka i zaczęła pisać.

Angie DiMarco.

Nazwisko? Prawdopodobnie fałszywe. Należy do jakiejś kobiety w Wisconsin. Zlecić komuś sprawdzenie tego w rejestrze zaginionych pojazdów w Wisconsin.

Rodzina nie żyje. W przenośni czy dosłownie?

Wykorzystywanie? Prawdopodobne. Seksualne? Wysoce prawdopodobne.

Tatuaze: liczne – profesjonalne i amatorskie.

Znaczenie?

Znaczenie poszczególnych tatuaży?

Przekłuwanie ciała: moda czy coś więcej?

Kompulsywne zachowania: ogryza paznokcie. Pali.

Alkohol? Ile? Jak często?

Narkotyki? Być może. Chuda, blada, zaniedbana. Jednak za duża zdolność koncentracji, jak na narkomankę.

Była w stanie nakreślić tylko szkic osobowości Angie. Ich spotkanie trwało zbyt krótko i towarzyszył mu zbyt duży stres, wywołany przez okoliczności. Kate domyślała się, jakie wnioski mógłby ktoś wyciągnąć na temat jej osobowości, gdyby to ona znalazła się na miejscu Angie. Stres wyzwala w każdym człowieku wrodzone instynkty popychające do walki lub ucieczki. Fakt jednak, że to rozumiała, nie sprawiał, że dziewczyna wydawała jej się sympatyczniejsza.

Na szczęście szefowa Phoenix House przywykła do wszelkiego rodzaju wrogich postaw. Jej pensjonariuszkami były kobiety, które z własnego wyboru albo z przymusu znalazły się na manowcach życia i teraz chciałyby wyprostować swoje ścieżki.

Angie wcale nie była wdzięczna za dach nad głową, który jej zapewniono. Napadła na Kate w niezrozumiale gwałtowny sposób.

– A co będzie, jeżeli nie zechcę tutaj zostać?

– Angie, nie masz dokąd pójść.

– Wcale tego nie wiesz.

– Nie zmuszaj mnie, żebym się powtarzała – rzuciła Kate zniecierpliwionym tonem.

Toni Urskine, szefowa Phoenix House, wysłuchiwała tego fragmentu ich rozmowy, stojąc w drzwiach, z grymasem na twarzy. Po chwili odeszła, zostawiając je same w pomieszczeniu o ścianach wyłożonych tandetną boazerią, wyposażonym w zbieraninę mebli. Chaotycznie dobrane pseudomalowidła, pochodzące z garażowych aukcji, sprawiały, że całość miała wygląd pokoju w jakimś podrzędnym hoteliku.

– Nie masz stałego adresu – podjęła Kate. – Mówisz, że twoja rodzina nie żyje. Nie potrafiłaś wymienić choćby jednej osoby, która zechciałaby cię przyjąć. Potrzebujesz jakiegoś miejsca, gdzie miałabyś zamieszkać. Możesz tu zostać. Trzy posiłki dziennie, łóżko, łazienka. O co ci chodzi?

Angie trzepnęła dłonią poplamioną poduszczkę leżącą na wytartej otomanie z kraciastym obiciem.

– To jest, kurwa, chlew. O to mi chodzi.

– Och, przepraszam, do tej pory mieszkałaś w Hiltonie? Twój fałszywy adres nie wskazywał na tak dobrą dzielnicę.

– Jak ci się tu tak bardzo podoba, to sama zostań.

– Ja nie muszę tutaj zostawać. Nie jestem bezdomnym świadkiem morderstwa.

– Ja też, kurwa, nie chcę nim być! – wykrzyknęła dziewczyna. – Jej oczy zabłyśły nagle od łez. Odwróciła się od Kate i przyłożyła dłonie do powiek. Skurczyła się w sobie tak, że chude ciało przypominało przecinek. – Nie, nie, nie – zajęczała cicho. – Nie teraz...

Ta nagła zmiana nastroju zupełnie zaskoczyła Kate. Przecież właśnie o to jej chodziło. Chciała, żeby pękła twarda skorupa, pod którą chroniła się dziewczyna. Teraz jednak, gdy już do tego doszło, wcale nie była pewna, jak postąpić. Nie spodziewała się, że przełom nastąpi akurat w tej chwili.

Podeszła do Angie z wahaniem. Czuła się niezręcznie i gnębiło ją poczucie winy.

– Angie...

– Nie – szepnęła dziewczyna bardziej do siebie niż do Kate. – Nie teraz. Proszę, proszę.

– Nie powinnaś się tak czuć, Angie – odezwała się Kate łagodnie.

Stała blisko dziewczyny, ale nawet nie próbowała jej dotknąć.

– Masz za sobą piekielny dzień. Też bym płakała. Ale popłaczę później. Nie jestem w tym zbyt dobra. Cieknie mi z nosa. Obrzydliwe.

– Dla... dlaczego ja... nie mogę zostać z tobą?

Było to tak zaskakujące pytanie, że Kate poczuła się tak, jakby ktoś oszołomił ją uderzeniem w głowę. Wyglądało na to, jakby Angie nigdy w życiu nie spędziła nawet dnia poza domem. Jak gdyby nigdy nie przebywała wśród obcych ludzi. Prawdopodobnie mieszkała na ulicy od Bóg wie kiedy, robiąc Bóg wie jakie rzeczy, żeby przetrwać, a tu nagle taka słabość. Kate nie była w stanie nic z tego zrozumieć.

Nie zdążyła się jeszcze zdobyć na żadną odpowiedź, gdy Angie pokręciła głową, otarła łzy z twarzy rękawem kurtki i gwałtownie zaczerpnęła oddechu. Maską znowu wróciła na jej twarz. Ulotna szansa dotarcia do wnętrza dziewczyny przepadła.

– Mniejsza z tym. Można by, kurwa, pomyśleć, że cię coś obchodzi, co się ze mną stanie.

– Angie, obchodzi mnie to, co się z tobą dzieje, bo inaczej nie pracowałabym tu, gdzie pracuję.

– Tak, właśnie. To twoja praca.

– Posłuchaj – Kate nie miała już siły na sprzeczki. – Tu jest lepiej niż w kartonowym pudle na ulicy. Spróbuj przez kilka dni. Jeśli ci się nie będzie podobało, postaram się załatwić coś innego. Masz mój numer telefonu. Zadzwoń, jeżeli będziesz mnie potrzebowała albo jeżeli będziesz chciała po prostu porozmawiać. W każdej chwili. Mówię poważnie. Jestem po twojej stronie. Przyjadę po ciebie rano.

Angie milczała. Stała z ponurą miną w swojej za dużej dżinsowej kurtce, która kiedyś należała do kogoś innego.

– Postaraj się trochę przespać – poradziła Kate.

Zostawiła dziewczynę samą, wpatrzoną w okno, za którym widać było światła sąsiedniego domu. Myśląc teraz o tym, poczuła odruch współczucia. Dziecko pozbawione rodziny, zaglądale do okna cudzych okien. Dziecko, które nie ma nikogo.

– To dlatego nie zajmuję się małolatami – powiedziała do swojego kota. – Zepsułyby mi opinię twardej baby.

Thor zamruczał i przetoczył się na grzbiet, wystawiając do pieszczot swój futrzasty brzuch. Kate spełniła jego niemałą prośbę, odczuwając przyjemność z kontaktu z żywą istotą, która ją na swój sposób lubiła. Nadal jednak myślała o Angie DiMarco spędzającej bezsenność w domu pełnym obcych ludzi. Angie, której życie obchodziło innych tylko dlatego, że wiedziała coś o mordercy.

Kiedy Quinn wszedł do swojego pokoju w hotelu Radisson Plaza, na aparacie

telefonicznym migało światelko sygnalizujące nagrane informacje. Wrzucił torebkę z kolacją z meksykańskiej restauracji do stojącego pod biurkiem kosza na śmieci, a potem zadzwonił do hotelowej restauracji i zamówił zupę z dzikiego ryżu i kanapkę z indykiem, których i tak, jak sądził, miał nie zjeść. Jego żołądek już nie był w stanie poradzić sobie z meksykańskimi daniami.

Rozebrał się, włożył wszystko oprócz butów do plastikowego worka z hotelowej pralni i wystawił go przed drzwi. Którego z pracowników pralni czekała przykra niespodzianka.

Odkręcił prysznic, aż woda waliła przez sitko z siłą pocisku, i nastawił ją na najwyższą temperaturę, jaką był w stanie znieść. Wyszorował całe ciało, umył włosy, a potem stanął pod strumieniem wody, wystawiając na jej uderzenia naprężone od stresu ramiona. Następnie obrócił się i poddał strumieniowi wody twarz i klatkę piersiową. Jego myśli wciąż pełne były obrazów widzianych w ciągu dnia. Pojawiały się bezładnie: zebranie, adwokat Bonduranta, pośpieszna droga na lotnisko, taśma ogradzająca miejsce zbrodni, która trzepotała na wietrze pomiędzy grubymi pniami klonów. Kate.

Kate. Pięć lat to dużo czasu. W ciągu pięciu lat ustabilizowała się w nowym zawodzie, zorganizowała sobie nowe życie. Zasługiwała na to po tym wszystkim, co przeszła w Wirginii.

A co on zbudował w czasie tych pięciu lat poza swą reputacją i mnóstwem nie wykorzystanego urlopu?

Nic. Miał dom, porsche i szafę pełną markowych garniturów. Resztę pieniędzy odkładał na czas emerytury, która pewnie miała się skończyć rozległym zawałem serca dwa miesiące po odejściu z FBI, bo poza pracą nie miał w życiu nic. Oczywiście byłoby tak, pod warunkiem, że praca nie zabiłaby go wcześniej.

Zakręcił wodę, wyszedł z kabiny i wytarł się do sucha. Miał wysportowane, muskularne ciało. W przeciwieństwie do większości mężczyzn po czterdziestce, był teraz szczuplejszy niż dawniej. Już nie pamiętał, kiedy przyjemność jedzenia ustąpiła obojętności. Niegdyś było nawet tak, że uważał się za wyrafinowanego kucharza. Teraz jadł, bo musiał. Ćwiczenia fizyczne, które uprawiał, żeby rozładować męczące go napięcie, pomagały również spalać wszystkie kalorie.

Ostry zapach tłustego meksykańskiego dania wypełniał pokój. Lepsze w końcu to, niż odór spalonego ciała. Wiedział jednak z doświadczenia, że kiedy obudzi się o trzeciej nad ranem, woń leżącego w koszu jedzenia nie będzie zbyt przyjemna. Ogarnęła go fala niemiłych wspomnień o innych pokojach hotelowych w innych miastach i o innych kolacjach, które kupował po to, żeby usunąć nieprzyjemny zapach i smak śmierci. Przypomniawszy sobie, jak

budził się nocami z bijącym sercem w hotelowych łóżkach, spocony od dręczących go koszmarów.

Poczuł uderzenie strachu, jakby ktoś trafił go pięścią w żołądek. Usiadł na brzegu łóżka, ubrany w spodenki gimnastyczne i szarą koszulkę z nadrukiem Akademii FBI. Ukrył na chwilę twarz w dłoniach, bojąc się ataku: uczucia pustki, zawrotów głowy i dreszczy, które zaczynały się gdzieś w głębi, a potem promieniowały na zewnątrz wzdłuż ramion i nóg. Bał się stwierdzić, że nie zostało już nic, co było naprawdę nim samym, bał się, że już nawet tego nie zauważy.

Zaklął, wściekł na samego siebie, i sięgnął w głąb duszy, by zwalczyć ten strach. Robił tak wiele razy w ciągu ostatniego roku. A może minęły już dwa takie lata? Mierzył czas sprawami, a sprawy z kolei mierzył liczbą ciał. Nawiedzał go powracający sen, w którym widział siebie zamkniętego w białym pokoju, jak wyrывa sobie jeden po drugim włosy z głowy i nazywa każdy z nich imionami znanych mu ofiar, a potem własną śliną przykleja te włosy do ściany.

Włączył telewizor, żeby zagłuszyć głos strachu, i wykręcił numer telefonu, żeby odsłuchać pocztę głosową. Siedem telefonów dotyczyło innych ciągnących się za nim spraw: seria rabunków w Miami, połączonych z torturowaniem na śmierć homoseksualistów; otrucie pięciu starszych kobiet w Charlotte w Północnej Karolinie; sprawa uprowadzenia, dziecka w Blacksburg w Wirginii, która do tej pory, to znaczy do ósmej dziewiętnaście wieczorem czasu wschodniego, zmieniła się w sprawę zabójstwa, gdyż znaleziono ciało porwanej dziewczynki ukryte w lesistym wąwozie.

Do diabła, powinien tam być. A może powinien być w Georgii, gdzie matka czworga dzieci została pobita na śmierć młotkiem z kulistą główką. W ciągu ostatnich pięciu lat miały miejsce trzy podobne morderstwa. A może powinien być w Anglii, by współpracować ze Scotland Yardem w sprawie dziewięciu okaleczonych ciał z wylupionymi oczami i zaszytymi dratwą ustami, ciał, które znaleziono na dziedzińcu opuszczonej rzeźni.

– Panie Quinn, tu Edwyn Noble...

– Skąd masz ten numer? – mruknął dosyć głośno Quinn.

Nie był zachwycony dostępem Noble'a do dochodzenia. Fakt, że Nobel był mężem pani burmistrz, dawał mu taką możliwość wglądu w sprawę, jakiej nie miał żaden inny adwokat w całym mieście. W dodatku te możliwości jeszcze się zwiększały dzięki temu, że był doradcą prawnym Petera Bonduranta.

– Dzwonię w imieniu pana Bonduranta. Peter bardzo chciałby spotkać się z panem jutro rano, jeśli jest to możliwe. Proszę dać mi o tym znać telefonicznie dzisiaj wieczorem.

Noble podał na zakończenie swój numer telefonu, a potem już tylko nagrany uwodzicielski głos poinformował Quinna, że nie ma więcej wiadomości. Odłożył słuchawkę na widełki, nie zamierzając nawet podnieść jej na nowo, by zadzwonić do Noble'a. Niech sobie poczeka. Jeżeli ma coś istotnego w związku ze sprawą, może zadzwonić do Kovaca albo do porucznika Fowlera z wydziału zabójstw. Quinn nie odpowiedział też na żaden inny telefon, postanawiając poczekać, aż minie pora kolacji.

Informacje o ostatnim morderstwie były w czołówce wiadomości telewizyjnych o dziesiątej. Najpierw pokazano ekipę policyjną, która przeczesywała miejsce, gdzie znaleziono ciało, a potem relację z konferencji prasowej. Pojawiło się też zdjęcie Jillian Bondurant stojącej obok czerwonego saaba. W sumie poświęcono sprawie dobre trzy i pół minuty. Przeciętna informacja w wiadomościach zabierała mniej niż połowę tego czasu.

Quinn wyjął z teczki segregatory zawierające dokumenty dotyczące dwóch pierwszych morderstw i położył je na biurku. Kopie raportów ze śledztwa i zdjęć z miejsca zbrodni. Raporty z sekcji zwłok, raporty laboratoryjne, wstępne i dalsze raporty śledcze. Wycinki prasowe zarówno z „Minneapolis Star Tribune”, jak i z „St. Paul Pioneer Press”. Opisy i zdjęcia miejsc zbrodni.

Od razu na początku zastrzegł, że nie chce żadnych informacji na temat przypuszczalnych sprawców. Przeglądając dokumenty, stwierdził, że stało się zgodnie z jego życzeniem. Nie mógł dopuścić do tego, by czyjekolwiek spekulacje zaciemniały jego osąd lub sterowały analizę w takim czy innym kierunku. Był jeszcze jeden powód, dla którego wolałby opracowywać profil przestępcy, będąc w swoim pokoju w Quantico. Tutaj znajdował się zbyt blisko, sprawa osaczała go zewsząd. Osoby w nią zamieszane mogły sprowokować reakcje, jakich by nie doznawał, mając przed sobą słowa – słowa opisujące fakty. Znalazł się w strefie działania zbyt wielu bezwartościowych bodźców, zbyt wiele rzeczy go rozpraszało.

Tak zbyt wiele rzeczy go rozpraszało, na przykład Kate. Kate, która nie zadzwoniła i, prawdę mówiąc, nie miała ku temu żadnego powodu. Z wyjątkiem tego, że kiedyś łączyło ich coś bardzo wyjątkowego, czego się wyrzekli i pozwolili, by to umarło.

Nic bardziej nie przeszkadza mężczyźnie w działaniu niż nie dające się naprawić błędy przeszłości. Jedynym sposobem, który Quinn odkrył na radzenie sobie z przeszłością, było usiłowanie zapanowania nad terażniejszością, co oznaczało zanurzenie się z głową w bieżące sprawy. Skupiał się na panowaniu nad terażniejszością i trzeźwością swojego umysłu, ale kiedy noce ciągnęły się bez końca, a jego umysł wypełniał się myślami na temat szczegółów setek morderstw, czuł, że traci kontrolę nad jednym i nad drugim.

Angie siedziała w nogach niewielkiego twardego łóżka, wtulając plecy w róg pokoju. Chropowaty tynk urażał ją w plecy przez workowatą flanelową nocną koszulę. Podciągnęła kolana pod brodę i mocno splotła ramiona wokół nóg. Była sama w zamkniętym pokoju. Jedyne światło, które wpadało przez okno, pochodziło ze stojącej dość daleko latarni ulicznej.

Phoenix House był domem dla kobiet „zaczynających wszystko od początku”. Tak przynajmniej głosiła tablica na trawniku przed domem. Schronisko, było dużą starą budowlą o skrzypiących podłogach, bez żadnych specjalnych wygód. Kate zostawiła ją tam pomiędzy byłymi narkomankami i byłymi dziwkami oraz kobietami, które usiłowały uciec od bijących je niemiłosiernie partnerów.

Angie zajrzała wcześniej do dużego salonu, pełnego tandetnych mebli, gdzie niektóre z pensjonariuszek oglądały telewizję. Jakie te baby muszą być głupie, pomyślała. Ona sama nauczyła się w życiu przynajmniej tego, że człowiek może uciec od otaczających go warunków, ale nie od tego, kim jest. Indywidualna prawda o człowieku jest jak cień: nie można go odrzucić, zmienić czy się go pozbyć.

Czuła, jak ten cień przesuwają się teraz nad nią. Zimny i czarny. Zadrżała na całym ciele, a w jej oczach pojawiły się łzy. Walczyła z tym cały dzień i całą noc. Myślała, że to dziwne uczucie połknie ją na oczach Kate, co jeszcze bardziej wzmagало jej przerażenie. Nie mogła stracić panowania nad sobą, kiedy ktoś na nią patrzył, wszystko jedno kto. Wtedy wszyscy by wiedzieli, że jest stuknięta, że czegoś jej brakuje. Odesłaliby ją do wariatkowa. Tam byłaby sama.

Teraz była sama.

Drżenie zaczęło się gdzieś w głębi jej duszy, a potem wyrwało się z zamknięcia i zaczęło się rozszerzać, wypełniając ją uczuciem niesamowitej pustki. Jednocześnie czuła, jak jej świadomość kurczy się bez ustanku; miała wrażenie, że jej ciało jest tylko skorupą, a ona sama maleńką, zamkniętą w niej istotą. Groził jej upadek w jakąś ciemną przepaść, z której nigdy nie miała się wydostać.

Nazywała tę przepaść Zoną. Zona była jej starym wrogiem. Mimo, że dobrze ją znała, nigdy nie potrafiła uwolnić się od strachu przed nią. Wiedziała, że jeżeli jej od siebie nie odepchnie, straci panowanie nad sytuacją, a samokontrola była wszystkim, co się dla niej liczyło. Gdyby nie przezwyciężyła Zony, straciłaby masę czasu. Mogłaby zagubić się sama i co by się wtedy stało?

To coś wstrząsało nią teraz, więc zaczęła płakać. Cichutko. Jak zawsze cichutko. Nie mogła pozwolić na to, by ktokolwiek ją usłyszał. Nie mogła pozwolić im się dowiedzieć, jak bardzo się boi. Otworzyła szeroko usta, ale zdusiła w sobie łkanie, aż zaczęło ją boleć gardło.

Przycisnęła twarz do kolan, zamykając mocno oczy. Palące łzy spływały jej z oczu i zsuwały się po nagim udzie.

Oczyrna wyobraźni widziała palące się ciało. Uciekała od tego widoku. Biegła i biegła, ale nigdzie nie mogła dotrzeć. W jej myślach zwłoki stawały się nią samą, ale nie czuła gorąca płomieni. Powitałaby ból z przyjemnością, lecz nie potrafiła go wywołać samą siłą wyobraźni. Cały czas czuła, jak robi się coraz mniejsza w skorupie swojego ciała.

Powstrzymaj to! Powstrzymaj! Powstrzymaj! – myślała.

Uszczypnęła się mocno w udo, aż obgryzione nierówno paznokcie wbiły się jej w ciało. Czuła jednak, że Zona nie przestaje jej wsysać.

„Wiesz, co musisz zrobić” – dobiegł ją Głos. Rozwijał się w jej myślach jak czarna wstążka. Zadrzała na jego dźwięk. Przenikał ją, rysując jej ciało mieszaniną strachu i pragnienia.

„Wiesz, co musisz zrobić”.

W panice przyciągnęła do siebie plecak, otworzyła drżącymi rękami zamek i wsunęła dłoń do wewnętrznej kieszeni w poszukiwaniu potrzebnej jej rzeczy. Zacisnęła palce na plastikowym kluczu, kryjącym nożyk do otwierania kartonów.

Dygocząc i tłumiąc łkanie, przesunęła się do smugi światła padającej na łóżko i podciągnęła lewy rękaw flanelowej koszuli, odsłaniając chudą białą rękę, poznaczoną paskami wąskich blizn, które biegły jedna koło drugiej pokrywając jej ramiona niby pręty metalowego ogrodzenia. Ostrze wysunęło się z końcówki klucza jak język węża. Przesunęła nim po delikatnej skórze blisko łokcia.

Ból był ostry i rozkoszny. Jak zwarcie elektryzującego strachu, który wypełniał jej mózg. Z rany wykwitła kropla krwi – połyskliwy czarny koralik w świetle księżyca. Angie patrzyła na nią jak zahipnotyzowana, czując przyływ ogarniającego ją spokoju.

Panowanie nad sytuacją. Na tym polega życie. Na bólu i panowaniu nad sytuacją. Już dawno poznała tę prawdę.

– Zastanawiam się nad zmianą nazwiska – mówi. – Co byś powiedziała na Elvisa? Elvis Nagel.

Jego towarzyszka nie odpowiada. Bierze parę damskich majtek z pełnego pudła i przykłada je do twarzy, kryjąc nos w tkaninie i wciągając głęboko zapach pochwy. Podoba mu się to. Zapach nie stymuluje go równie silnie, jak dźwięk, zawsze jednak...

– Rozumiesz? To jest anagram. Elvis Nagel, czyli Evil's Angel, Anioł Zła.

Na ekranach trzech telewizorów widać odtwarzane z kaset wiadomości lokalnych

stacji telewizyjnych, nadawane o szóstej po południu. Głosy zlewają się w bezładną kakofonię, która brzmi dla niego podniecająco. Wspólnym elementem, który łączy wszystkie programy, jest wrażenie pośpiechu. Pośpiech podsycza strach. Strach go podnieca. Nadzwyczaj lubi odgłosy strachu. Pulsujące napięcie, skryte pod niby to opanowanym tonem. Nie kontrolowane zmiany w wysokości i tonie głosu człowieka, który się boi.

Na dwóch ekranach pokazuje się pani burmistrz. Paskudna krowa. Patrzy na nią, myśląc, jak by to było, gdyby odciął jej wargi jeszcze za życia. Może by ją zmusił, żeby je zjadła. Wyimaginowany obraz podnieca go. Fantazjowanie zawsze tak na niego działa.

Nastawia głośniej dwa telewizory i podchodzi do ustawionej na regale wieży stereofonicznej. Wybiera z półki kasetę i wkłada ją do magnetofonu. Staje pośrodku suterenu pokoju, patrząc na ekrany telewizorów, na ponure twarze spikerów i na pokazywane pod różnym kątem twarze osób obecnych na konferencji prasowej. Chłonie te dźwięki: gadania reporterów, echo niosące się po przepaścistej sali, pośpiech. Jednocześnie z głośników wieży wydobywa się głos prawdziwego niepohamowanego przerażenia. Błaganie. Wzywaniu Boga. Błaganie o śmierć. Jego triumf.

To on jest w samym centrum. On, dyrygent tej makabrycznej opery. Narasta w nim wielkie, olbrzymie, nabrzmiewające seksualne podniecenie które sięga zenitu, domagając się rozładowania. On spogląda na swą towarzyszkę na ten wieczór, zastanawiając się przez chwilę nad taką możliwością, ale opanowuje żądzę.

Opanowanie jest wszystkim, opanowanie równa się władzy. On sam jest działaniem. Oni wszyscy są tylko reakcją. Chce widzieć strach w ich twarzach, słyszeć go w ich głosach. W głosach policjantów, detektywów z grupy specjalnej, w głosie Johna Quinna. Szczególnie Johna Quinna, który nawet się nie odezwał na konferencji prasowej, tak jakby chciał, żeby Kremator pomyślał, iż nie zasłużył na jego osobistą uwagę.

Ale on zapracuje na uwagę Quinna. Zdobędzie ich szacunek. Będzie miał wszystko, czego chce, bo panuje nad sytuacją.

Przycisza telewizory do jednostajnego mamrotania, ale nie wyłącza ich całkiem, żeby nie powracać do ciszy. Cisza jest tym, czego się boi. Wyłącza wieżę, ale wkłada do kieszeni miniaturowy dyktafon z umieszczoną wewnątrz taśmą.

– Wychodzę. Mam ciebie dość. Nudzisz mnie.

Podchodzi do manekina, z którym się zabawiał, wypróbowując różne kombinacje ubrań swoich ofiar.

– To nie znaczy, że mi się nie podobasz – dodaje cicho.

Pochyla się i całuje ją, wkładając język do jej otwartych ust. Potem zdejmuje z tułowia

manekina głowę swojej ostatniej ofiary, wkłada ją z powrotem do foliowej torebki i odnosi do pralni, gdzie kładzie ją ostrożnie na półce lodówki.

Noc jest gęsta od mgły, ulice są czarne i połyskują wilgocią w blasku latarni. Jak londyńska noc w czasach Kuby Rozpruwacza. Odpowiednia na polowanie.

Uśmiecha się na tę myśl jadąc w kierunku jeziora. Jego uśmiech poszerza się jeszcze bardziej, kiedy naciska klawisz odtwarzania na dyktafonie i przykłada go do ucha. Rozlegające się krzyki są wypaczoną parafrazą miłosnego szeptu kochanki. Namiętność i pożądanie przetworzone w nienawiść i strach. Dwa bieguny podobnych uczuć. Różnica polega na panowaniu.

– Jak gryzpiórki nas tu znajdą, to jestem gotów zjeść własne slipy – zadeklarował Kovac, obracając się wokół własnej osi.

Jedna ściana pomieszczenia była wyklejona zdjęciami przedstawiającymi nagie kobiety, zajmujące się różnymi erotycznymi czynnościami, a pozostałe trzy obite tanią czerwoną tapetą, która w najlepszym wypadku przypominała zjedzony przez mole aksamit.

– Coś mi mówi, że kiedyś tu się zdarzały takie rzeczy – zauważył ironicznie Quinn. Pociągnął nosem rozpoznając woń myszy, tanich perfum i wilgotnej bielizny. – Za okazijną cenę – dodał.

– Jak nas tu zobaczą, to jesteśmy spaleni w robocie – dodał Elwood Knutson, sierżant z wydziału zabójstw.

Wyciągnął zza kontuaru wielki ceramiczny penis i uniósł go do góry, pokazując wszystkim.

– Jezu, Sam – skrzywiła się Liska. – Rzeczywiście umiesz wybrać właściwe miejsce.

– Daj mi spokój! Myślisz, że ja przesiaduję w salonach masażu?

– No pewnie.

– Bardzo śmieszne. Zawdzięczamy ten piękny prezent urzędowi szeryfa hrabstwa Hennepin, a konkretnie detektywowi Adlerowi. Przyjmij wyrazy wdzięczności, mięśniaku.

Adler, osiłek o hebanowej skórze i z gęstą czupryną stalowoszarych loków, uśmiechnął się nieśmiało i uniósł rękę w geście podziękowania.

– Moja siostra pracuje w Norwest Banku. Położyli rękę na tym budynku, kiedy obyczajówka zamknęła w lecie cały interes. Lokalizacja jest doskonała, cena odpowiednia, to znaczy nic się nie płaci, a prasa straciła zainteresowanie tym lokalem, jak tylko dziwki się wyniosły. Nikt nie będzie podejrzewał, że właśnie tu się spotykamy.

No i o to chodzi, przyznał w duchu Quinn, ruszając wąskim korytarzem. Idący przed nim Kovac zapalił światło w czterech mniejszych pomieszczeniach po obydwu stronach korytarza. Grupa specjalna musiała mieć warunki do wykonywania swojej pracy bez zakłóceń, bez wleczenia za sobą ogona reporterów. Jej członkowie potrzebowali miejsca, gdzie mogliby się odizolować i zminimalizować przecieki.

A jeżeli przecieki następowałyby nadal, to Elwood miał rację, mówiąc, że prasa upiecze ich zawodową przyszłość na publicznym ognisku.

– Bardzo mi się tu podoba – rzekł Kovac, wracając korytarzem do pierwszego pomieszczenia. – Rozbijamy obóz.

Liska zmarszczyła nos.

– Nie można tego najpierw oblać lizolem?

– Jasne, Dzwoneczku. Ty się zajmij wystrojem, a my wszyscy rozwiążemy problem morderstw.

– Odpieprz się, Kojak. Mam nadzieję, że ty pierwszy złapiesz syfa od deski klozetowej.

– Nie, to raczej będzie nasz misiek z „Reader’s Digest” w ręku. Jak zarazki zobaczą jego włochatą dupę, to od razu się do niej zlecą. W tym jego futrze pewnie mieszka cała jakaś cywilizacja.

Elwood, który z rozmiarów i sylwetki przypominał mniej więcej małego niedźwiedzia grizzly, uniósł dostojnie głowę.

– W imieniu wszystkich włochatych ludzi na świecie oświadczam, że zostaliśmy obrażeni.

– Tak? – mruknął Kovac. – No to zabierz swoją obrazę na zewnątrz i przynieś nasze rzeczy. Nie ma czasu.

Przed budynkiem stały dwa należące do policji, nie oznakowane samochody dostawcze, które załadowano wszelkimi niezbędnymi biurowymi meblami i sprzętami. Wkrótce wszystko znalazło się w dawnym salonie masażu „Czuły Dotyk”, łącznie z pudłami materiałów piśmiennych, ekspresem do kawy i, co najważniejsze, kartonami zawierającymi teczkę z dokumentami dotyczącymi morderstw przypisywanych zabójcy, którego detektywi nazywali między sobą Joe Podpalacz.

Quinn pracował razem z innymi, po prostu jak jeden z członków grupy. Próbował się wtopić w zespół niby wolny strzelec, który przechodzi z jednego klubu baseballowego do drugiego, sprowadzany przez działaczy, żeby zdobyć punkty w ważnym meczu, a potem odsyłany do innej drużyny, która znalazła się w potrzebie. Żarty rzucane pod adresem Quinna, przez członków grupy robiły wrażenie wymuszonych. Równie sztucznie wyglądał ich życzliwy stosunek do niego. Quinn wiedział, że po jakimś czasie niektórzy będą uważali, iż go poznali, chociaż w rzeczywistości nie miało to być prawdą.

Robił jednak wszystko, co do niego należało, wiedząc, że i tak żadna z otaczających go osób nie będzie w stanie tego zauważyć. Podobnie osoby pracujące razem z tym seryjnym

mordercą nic o nim nie wiedziały ani o nic go nie podejrzewały. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie są krótkowzroczni i widzą tylko swoje własne małe światy. Skupiają się wyłącznie na tym, co jest istotne dla nich samych. Rozkładająca się dusza człowieka pracującego przy sąsiednim biurku wcale ich nie obchodzi – aż do momentu, gdy ta zaraza dotknie ich własnego życia.

W krótkim czasie „Czuły Dotyk” został przekształcony z burdelu w taktyczny punkt dowodzenia. Do dziewiętej zameldowali się wszyscy członkowie grupy specjalnej: sześciu detektywów z policji miejskiej Minneapolis, trzech z urzędu szeryfa, dwóch ze Stanowego Biura Kryminalistycznego, a poza tym Quinn i Walsh.

Ten ostatni wyglądał tak, jakby przechodził właśnie atak malarii.

Kovac wprowadził wszystkich w szczegóły trzech morderstw kończąc na opisie sekcji zwłok ostatniej ofiary. Wspomagał się przy tym zdjęciami, które zostały pośpiesznie wywołane i powiększone w policyjnym laboratorium.

– Będziemy mieli dzisiaj niektóre wstępne wyniki badań laboratoryjnych – powiedział, podając zdjęcia siedzącym wokół stołu ludziom. – Na razie znamy grupę krwi – O, odczyn negatywny, podobnie jak Jillian Bondurant i masa ludzi na całym świecie. Zwróćcie uwagę na zdjęcia ran powstałych przez usunięcie z ciała fragmentów tkanki. Stwierdziliśmy podobne rany w przypadku dwóch pierwszych ofiar. Być może przestępca wycina ślady ugryzień. Jednak w przypadku ostatniej ofiary mógł wyciąć jakieś znaki szczególne, które mogłyby potwierdzić lub podważyć jej tożsamość: blizny, znamiona i tak dalej.

– Tatuaze – wtrącił ktoś.

– Bondurant nie wie nic o żadnych tatuazach córki. Jak twierdzi jego adwokat, nie potrafi przypomnieć sobie żadnych charakterystycznych szczegółów jej wyglądu. Przez pół swojego życia Jillian nie miała z nim kontaktu, więc nie ma w tym chyba nic dziwnego. Próbuje znaleźć jej zdjęcia na przykład w kostiumie kąpielowym, ale jak dotąd nic z tego nie wyszło. Opieramy się na założeniu, że ostatnią ofiarą jest Jillian Bondurant, ale jesteśmy również otwarci na inne możliwości. Było kilka telefonów gorącej linii od ludzi, którzy twierdzą, że widzieli ją później niż w piątek, ale jak na razie, żadne z tych doniesień nie zostało potwierdzone.

– A możliwość porwania? – zapytała Mary Moss z BCA.

W swetrze z golfem i tweedowym żakiecie wyglądała jak gospodyni domowa z podmiejskiego osiedla. Za duże okulary dominowały w wyglądzie jej owalnej twarzy. Miała nieprawdopodobnie gęste, ostrzyżone na pazia włosy w kolorze popielatoblond.

– Nic nam nie wiadomo o żadnych żądaniach okupu – odparł Kovac – ale nie można tego wykluczyć.

– Tatusz Bondurant w ogóle nie wziął pod uwagę wersji porwania – powiedział Adler. – Czy jeszcze komuś poza mną wydaje się to dziwne?

– Usłyszał o prawie jazdy znalezionym obok ciała i uznał za prawdopodobne, że to ciało córki – rzekł Hamill.

Adler uniósł wielkie jak rękawice baseballisty dłonie.

– Pytam po raz drugi – odezwał się. – Czy ktoś jeszcze oprócz mnie uważa to za dziwne? Kto chciałby uwierzyć, że jego dziecko zostało pozbawione głowy przez zbrodniarza? Taki człowiek jak Bondurant chyba najpierw powinien pomyśleć o porwaniu niż o morderstwie?

– Czy on już zaczął mówić? – zapytał Elwood gryząc grahamkę i przeglądając raporty z sekcji zwłok.

– Nie ze mną – odparł Kovac.

– To też niezbyt ładnie pachnie, moim zdaniem.

– Jego adwokat zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem i zostawił mi informację – odezwał się Quinn. – Bondurant chce się zobaczyć ze mną dzisiaj przed południem.

Kovac spojrzał na niego zaskoczony.

– Pieprzysz! I co mu powiedziałaś?

– Nic. Pozwoliłem mu poczekać przez noc. Nie bardzo chcę się z nim spotkać na tym etapie, ale jeśli pomoże ci to prześlizgnąć się przez jego drzwi...

– Chcesz, żeby ktoś cię podwiózł do domu Bonduranta, prawda, John? – powiedział Kovac z chytrym uśmiechem.

Quinn skinął głową i zrobił przestraszoną minę.

– Zdamę jeszcze zadzwonić i podwyższyć swoją stawkę ubezpieczenia na życie?

Wszyscy siedzący wokół stołu roześmiali się spontanicznie, a Kovac zrobił kwaśną minę.

– Podwiózł mnie wczoraj wieczorem z kostnicy – wyjaśnił Quinn. – Myślałem, że wrócę w czarnym worku.

– Hej! – zawołał Kovac z teatralnym oburzeniem. – Dowiozłem cię na miejsce w jednym kawałku.

– Prawdę mówiąc, zdaje mi się, że moja śledziona jest teraz gdzieś na ulicy Marquette. Może zabierzemy ją po drodze.

– Jest tutaj dopiero jeden dzień i już się na tobie poznał, Sam – zażartowała Liska.

– Jasne, może ty byś go lepiej woziła, Dzwoneczku – przyciął jej ktoś.

– Prowadzę jak Kovac, tylko kiedy mam okres.

– Dobra, dobra – przywołał ich do porządku Kovac, unosząc rękę. – Wracajmy do roboty. A więc ślady ugryzień. Sprawdziliśmy tę kwestię w bazie danych, kiedy badaliśmy pierwsze morderstwo. Szukaliśmy, czy jest w mieście jakiś facet, morderca lub przestępca na tle seksualnym, który gryzł lub zjadał swoje ofiary, i otrzymaliśmy listę nazwisk. Skontaktowaliśmy się też z VICAP i dostaliśmy kolejną listę – powiedział, podnosząc w ręku plik wydruków komputerowych.

– Ile czasu minie, zanim będziemy mogli potwierdzić albo odrzucić przypuszczenie, że to jest ciało Jullian Bondurant? – zapytał Gary Yurek, detektyw z policji miejskiej, którego wybrano na rzecznika grupy, aby zajął się oficjalnym mydleniem oczu prasie.

Koledzy przezywali go Luluś, gdyż miał twarz jak bohater serialu telewizyjnego. Słuchający go ludzie często byli tak zafrapowani czystą doskonałością jego uśmiechu, że nie zauważali, iż tak naprawdę niczego im nie powiedział.

– Vince – zwrócił się Kovac do Walsha – wiadomo coś o dokumentacji lekarskiej tej dziewczyny?

Walsh pokręcił głową, walcząc z kaszlem.

– Nasze przedstawicielstwo w Paryżu próbuje do nich dotrzeć. Ludzie stamtąd usiłowali skontaktować się z jej ojczymem, ale on kursuje gdzieś pomiędzy placami budowy na Węgrzech i w Słowacji.

– Wygląda na to, że od czasu powrotu do Stanów była okazem zdrowia – zauważyła Liska. – Nie miała żadnych poważnych uszkodzeń ciała ani chorób, niczego co wymagałoby prześwietlenia, z wyjątkiem zębów.

– Ten drań nas nieźle przerobił, zabierając głowę – mruknął Elwood.

– Masz jakieś pomysły na ten temat, John? – zapytał Kovac.

– Być może miał zamiar utrudnić śledztwo. Możliwe też, że ciało nie należy do Jillian Bondurant, więc on próbuje dać w ten sposób coś do zrozumienia albo uprawia jakąś grę – odparł Quinn. – Może znał ofiarę, mniejsza teraz z tym, kim była naprawdę, i dokonał dekapitacji, żeby ją odpersonalizować. Może też dekapitacja była następnym krokiem w eskalacji jego zbrodniczych fantazji i ich realizowaniu. Niewykluczone, że zachował głowę jako trofeum. Może również używać jej do spełnienia swoich seksualnych zachcianek.

– O cholera – mruknął Adler.

– Prawdę mówiąc, to raczej nie zawężasz możliwości – mruknął z kwaśną miną Tippen, drugi z detektywów z urzędu szeryfa.

– Nie wiem jeszcze o nim wystarczająco dużo – odparł Quinn spokojnie.

– A co wiesz?

– Podstawowe rzeczy.

– Na przykład jakie?

Quinn spojrzął na Kovaca, który dał mu gestem znak, by zajął główne miejsce przy stole.

– Moja analiza w żadnym wypadku nie jest jeszcze kompletna. Chcę to jasno powiedzieć. Wczoraj wieczorem przeczytałem pośpiesznie raporty, ale trzeba więcej niż kilka godzin, żeby stworzyć solidny, poprawny portret psychologiczny przestępcy.

– No dobra, zabezpieczyłeś swoją dupę – rzucił niecierpliwie Tippen. – To kogo szukamy, twoim zdaniem?

Quinn nie dał się ponieść emocjom. Nie było dla niego niczym nowym, że spotyka we współpracującym z nim zespole sceptycznie nastawioną osobę. Już dawno temu nauczył się manipulować takimi ludźmi, przeciągać ich stopniowo na swoją stronę dzięki logice i praktycznemu podejściu. Spojrzął uważnie na Tippena. Szczupły, o przeciętnym wyglądzie i bujnych wąsach, przez co jego twarz przypominała pysk irlandzkiego wilczarza. Wydatny nos i krzaczaste brwi nad przenikliwie patrzącymi czarnymi oczyma dopełniały obrazu.

– Wasz nieznany sprawca jest białym mężczyzną, w wieku prawdopodobnie od trzydziestu do trzydziestu pięciu lat. Sadystyczni mordercy na tle seksualnym polują z reguły w obrębie własnej grupy etnicznej. W przypadku każdej ofiary mamy do czynienia z bardzo specyficznym, dokładnie powtarzającym się rozkładem ran – dodał, wskazując na powiększenia zdjęć przedstawiających obrażenia na ciele ofiar. – Zabójca spędził wiele czasu, obmyślając swoje postępowanie. Kiedy go dopadniecie, znajdziecie u niego zbiór sadomasochistycznej pornografii. Zajmuje się swoim procederem od dłuższego czasu. Wyrafinowanie jego zbrodni i dbałość o to, żeby nie zostawić żadnych przydatnych dla śledztwa fizycznych dowodów rzeczowych, sugerują dojrzałość i doświadczenie. Może był kiedyś notowany za wykroczenia na tle seksualnym. Niezależnie jednak od tego, czy znajduje się coś w jego papierach, jest pewne, że ma takie ciągoty od mniej więcej dwudziestego roku życia. Prawdopodobnie zaczął od podglądania przez okno i fetyszystycznych kradzieży – kradł kobiecą bieliznę i tak dalej. Takie czyny mogą nadal być częścią fantazjowania. Nie wiemy, co robi z ubraniami swoich ofiar. Stroje, w które je ubiera po ich zabiciu, zdobywa z własnego źródła.

– Też myślisz, że jako dziecko bawił się lalkami Barbie? – mruknął Tippen do Adlera.

– Jeżeli tak było, to mogę gwarantować, że zabawa kończyła się obrywaniem lalkom rąk i nóg – powiedział Quinn.

– O Jezu, przecież tylko żartowałem.

– To nie żart. Aberracyjne fantazjowanie może się zacząć już w wieku pięciu, sześciu lat. Szczególnie w domu, gdzie dochodzi do wykorzystywania seksualnego lub ma miejsce otwarta rozwiązłość, co prawie na pewno zdarzyło się w tym wypadku. Facet prawdopodobnie mordował na długo przed bieżącą sprawą i uchodziło mu to na sucho. Fakt, że nie został wykryty, sprawia, iż ośmiela się, uznaje, że nic mu nie grozi. Pozostawianie ciał w miejscach publicznych, gdzie mógł być przez kogoś widziany i gdzie z pewnością ciała musiały zostać znalezione, jest postępowaniem ryzykownym i świadczy o arogancji sprawcy. Wskazuje również na ten typ przestępcy, który może być przyciągnięty do śledztwa. On pragnie zwrócenia na siebie uwagi, ogląda wiadomości i wycina artykuły z gazet.

– Więc Greer miał wczoraj rację, kiedy zasugerował, że powinniśmy powiedzieć coś wprost do tego drania – zauważył Kovac.

– Tak samo będzie miał rację dzisiaj albo jutro, kiedy będziemy gotowi do wykonania naszego posunięcia.

– I dzięki temu wyjdzie na to, że to twój pomysł – mruknął Tippen.

– Cieszyłbym się, gdyby to pan go przekazał swoim zwierzchnikom, detektywie – odparł Quinn. – Wisi mi całkowicie, komu zostanie tu przypisana zasługa. Nie zależy mi na tym, żeby moje nazwisko trafiło do gazet. Nie chcę widzieć siebie w telewizji. Wolałbym, do cholery, wykonywać tę robotę w moim gabinecie, dwadzieścia metrów pod ziemią w Quantico. Mam tylko jeden cel: pomóc wam przyskrzynieć tego sukinsyna i raz na zawsze usunąć go ze społeczeństwa. To wszystko, o co mi chodzi w tej sprawie.

Tippen opuścił wzrok na notatnik, ale widać było, że nadal nie jest przekonany.

Kovac westchnął cicho.

– Wiecie, że nie mamy czasu na lanie sobie do ogródków. Jestem pewien, że nikogo w mieście ani trochę nie obchodzi, który z nas ma największego kutasa.

– Ja – pisnęła Liska, porywając wielki ceramiczny penis ze stolika Elwooda.

Uniosła go do góry, by udowodnić swą rację. Ogólny śmiech rozładował napięcie.

– W każdym razie – podjął Quinn wkładając ręce do kieszeni spodni i wysuwając nieco nogę, przez co subtelnie dawał do zrozumienia Tippenowi, że nigdzie się nie ruszy i że wcale nie dba o jego opinię – musimy być ostrożni, jeżeli chodzi o to, jak go zwabić. Proponowałbym zacząć od bardzo mocno nagłośnionego spotkania dla mieszkańców miasta, zorganizowanego gdzieś pomiędzy miejscami, w których porzucał ciała. Poprosicie mieszkańców o pomoc, o współudział. Bez agresywnego tonu, bez straszenia. On może się pojawić w takim miejscu, czując się anonimowo i bezpiecznie.

– Nie będzie łatwo go podejść, chyba że przebierze miarę własnej arogancji. Jest

dobrze zorganizowany. Dysponuje inteligencją powyżej przeciętnej. Ma pracę, ale być może nie wykorzystuje w niej swojego potencjału umysłowego. Zna parki miejskie, więc o ile tego jeszcze nie zrobiliście, to przydałoby się, żebyście zdobyli spis pracowników służby parkowej i sprawdzili, czy któryś z nich jest notowany.

– Właśnie się tym zajmujemy – poinformował Kovac.

– Skąd wiesz, że on w ogóle ma jakąś pracę? – obruszył się Tippen. – Skąd wiesz, że to nie jakiś lump, który zna parki, bo w nich przesiaduje?

– To nie lump – odparł zdecydowanie Quinn. – On ma dom. Miejsca porzucenia ciał nie są miejscami dokonania zbrodni. Te kobiety zostały uprowadzone, zabrane dokądś i tam przetrzymywane. On potrzebuje prywatności, miejsca, gdzie może torturować swoje ofiary i nie martwić się, że ktoś to usłyszy. Poza tym niewykluczone, że ma więcej niż jeden pojazd. Prawdopodobnie dysponuje furgonetką lub samochodem typu pick-up. Jakaś popularna marka, raczej starsza, ciemny kolor, wóz raczej dobrze utrzymany. Coś, w czym morderca może transportować ciała, pojazd, który nie będzie wyglądał podejrzanie, kiedy zatrzyma się na służbowym parkingu w parku miejskim. Ale ten wóz może nie być tym samym, w którym je uprowadza, ponieważ duży samochód wyróżniałby się i mógłby łatwo zostać zapamiętany przez świadków.

– A skąd wiadomo, że ma nieudane życie zawodowe? – zapytał Frank Hamill.

– Ponieważ to jest norma w przypadku tego typu zabójców. Ma pracę, bo taka jest konieczność. Wykorzystuje jednak swoją energię, swoje talenty do realizacji hobby. Wiele czasu poświęca fantazjowaniu. Żyje dla następnego zabójstwa. Człowiek na kierowniczym stanowisku nie miałby tak dużo wolnego czasu.

– Chociaż większość z nich to psychopaci – zażartował ktoś.

Quinn odstąpił zęby w uśmiechu.

– Ciesz się, że niektórzy z nich lubią swą stałą pracę.

– Co jeszcze? – odezwała się Liska. – Jakies domysły co do wyglądu?

– Tu nie mam wielkiej pewności. Z powodu różnego typu ofiar.

– Dziwki lecą na pieniądze, a nie na wygląd – oświadczył Elwood.

– Gdyby wszystkie trzy ofiary były dziewczynami, to powiedziałbym, że szukamy człowieka, który wygląda nieatrakcyjnie, być może ma jakąś wadę, na przykład jęka się, albo jest oszpecony przez bliznę; chodzi o coś takiego, co sprawiałoby mu trudność w nawiązywaniu kontaktów z kobietami. Ale jeżeli trzecia ofiara jest córką miliardera? – powiedział Quinn, unosząc pytająco brew.

– Kto wie, w co mogła być zamieszana.

– Czy są jakieś powody, żeby przypuszczać, iż była zamieszana w prostytucję? – zapytał Quinn. – Na pierwszy rzut oka nie wydaje mi się, żeby miała wiele wspólnego z dwiema pierwszymi ofiarami.

– Nie była notowana – powiedziała Liska. – No ale w końcu jej ojciec nazywa się Peter Bondurant.

– Potrzebuję dokładniejszej charakterystyki wszystkich trzech kobiet – rzekł Quinn. – Jeżeli istnieje jakikolwiek wspólny dla nich element, to jest to właśnie miejsce, od którego powinniście zacząć szukać podejrzanego.

– Dwie dziwki i córka miliardera. Co mogłoby je łączyć? – rzucił Yurek.

– Narkotyki – zasugerowała Liska.

– Mężczyzna – dodała Mary Moss.

Kovac skinął głową.

– Chciałybyście sprawdzić je pod tym kątem?

Obydwie kobiety skinęły głowami.

– Ale może on po prostu zaskoczył te kobiety od tyłu? – zauważył Tippen. – Może nie musiał układać żadnego planu. Mógł je dopaść, bo akurat znalazły się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

– Teoretycznie to możliwe, ale po prostu czuję, że tak nie było – odparł Quinn. – Jest zbyt sprawny. Te kobiety po prostu zniknęły. Nikt nie widział jakiejś szarpaniny ani nie słyszał żadnego krzyku. Logika podpowiada mi, że poszły z nim z własnej woli.

– Więc gdzie jest samochód Bondurant? – zapytał Adler. Czerwonego saaba Jillian jeszcze nie odnaleziono.

– Może to ona go poderwała – zasugerowała Liska. – Przecież żyjemy pod koniec dwudziestego wieku. Facet nadal może mieć jej samochód.

– Więc szukamy zabójcy, który ma garaż na trzy samochody? – odezwał się Adler. – Do diabła, muszę zmienić robotę.

– Jeżeli się zajmiesz zawodowo załatwianiem rozwódek, to będziesz mógł sobie zapchać cały garaż porsche'ami – zażartował Kovac.

Liska klepnęła go w ramię.

– Wolnego! Ja jestem rozwódką!

– Nie miałam na myśli nikogo z tu obecnych.

Quinn upił parę łyków kawy, słuchając, jak detektywi przerzucają się żartami. Humor jest zaworem bezpieczeństwa uwalniającym policjantów od napięcia, które wywołuje w tych ludziach ich praca. Członkowie grupy specjalnej znajdowali się u początku czegoś, co z

pewnością miało być długą, nieprzyjemną harówką. Musieli żartować, kiedy tylko się dało. Quinn rozumiał, że im lepiej będą się czuli jako zespół, tym korzystniej dla śledztwa. Sam zwykle w takich sytuacjach dorzucał parę żartów, żeby odciąć się od popularnego wyobrażenia sztywnego agenta federalnego z Quantico.

– Jeżeli chodzi o rozmiary ciała sprawcy – podjął – prawdopodobnie jest średniego wzrostu i średniej budowy, ale dosyć silny, skoro może przenosić zwłoki. Nie ma jednak tak atletycznego wyglądu, żeby zbliżając się do ofiary, wywoływał w niej poczucie fizycznego zagrożenia. To mniej więcej wszystko, co mogę w tej chwili powiedzieć.

– Co? Nie potrafisz po prostu zamknąć oczu jak jasnowidz i wyprodukować jakiejś fotografii czy czegoś takiego? – zażartował Adler.

– Przykro mi – odparł Quinn z uśmiechem i wzruszył ramionami. – Gdybym był jasnowidzem, to zarabiałbym na życie na torze wyścigowym. Nie ma we mnie absolutnie nic z jasnowidza.

– Ale byłoby tak, gdybyś występował w telewizji.

– W telewizji rozwiązalibyśmy tę sprawę w ciągu godziny – stwierdził Elwood. – Właśnie przez telewizję ludzie się niecierpliwią, kiedy śledztwo trwa dłużej niż dwa dni. Cały ten cholerny kraj żyje rytmem telewizji.

– A propos – wtrącił Hamill, pokazując im kasetę wideo – mam nagranie z konferencji prasowej.

Włożył kasetę do połączonego z telewizorem magnetowidu, który stał na blacie metalowego stolika na kółkach. Odwrócili się wszyscy w tym kierunku, aby obejrzeć nagranie. Na prośbę Quinna pomiędzy kamerzystami z lokalnych stacji telewizyjnych, którzy byli obecni na konferencji prasowej, znalazł się incognito kamerzysta z wydziału operacji specjalnych BCA. Jego zadaniem nie było filmowanie samej konferencji, ale przybyłej na nią publiczności.

Kiedy w tle rozbrzmiewały głosy pani burmistrz, szefa Greera i prokuratora okręgowego, obiektyw kamery przesunął się po twarzach dziennikarzy, policjantów i fotoreporterów. Quinn wpatrywał się w ekran, nastawiony na wychwytywanie najbardziej subtelnych niuansów w twarzach obecnych: błysku jakiejś wiedzy w oczach, śladu zrozumiętego uśmiechu w kącikach ust. Skupiał uwagę na ludziach znajdujących się na obrzeżach tłumu, tych, którzy, jak się wydawało, znaleźli się tam przypadkowo czy też w wyniku jakiegoś zbiegu okoliczności.

Szukał czegoś nienamacalnego, czegoś niemal niezauważalnego, co od razu alarmuje instynkt detektywa. Świadomość, że poszukiwany mógł stać wśród niczego nie

podejrzewających ludzi, że on sam mógł patrzeć na jego twarz, nie zdając sobie z tego sprawy, wywoływała w nim głęboką frustrację. Wiedział, że ten zabójca nie będzie się wyróżniał, nie będzie sprawiał wrażenia niespokojnego. Nie zobaczy się w jego oczach poddenerwowania, które może go wydać, jak to często zdarzało się z bardziej chaotycznie działającymi przestępcami. Zabił przynajmniej trzy kobiety i uszło mu to na sucho. Policja nie posiadała żadnych istotnych wskazówek. Nie miał się czym martwić. W dodatku wiedział o tym.

– No i co? – odezwał się cierpkim tonem Tippen. – Nie zauważyłem, żeby ktoś miał przy sobie zapasową głowę.

– Możemy patrzeć wprost na niego i nie zdawać sobie z tego sprawy – odparł Kovac, naciskając przycisk pilota – ale jeżeli będziemy mieli potencjalnego podejrzanego, to możemy wrócić do tego nagrania i znowu mu się przyjrzeć.

– Będziemy mieli portret pamięciowy, prawda, Sam? – zapytał Adler.

Kovac skrzywił się nieznacznie.

– Mam nadzieję, do cholery, że tak będzie. Już miałem w tej sprawie telefony od szefa i od Sabina.

Wiedział, że będą go piłować dopóty, dopóki nie wydobędą rysunku. Był na celowniku. Prowadził śledztwo, więc musiał zbierać cięgi.

– Na razie – dodał – rozdzielmy zadania i szorujmy na miasto, zanim Joe Podpalacz postanowi przypiec następną ofiarę.

Peter Bondurant mieszkał w rozłożystym domu w stylu Tudorów z obszernym widokiem na jezioro Isles, rozciągające się za wysokim ogrodzeniem z żelaznych prętów. Na trawniku przed domem stały trzy drzewa o nagich konarach. Jedną z szerokich ścian otynkowanego na biało domu pokrywała masa suchych brązowych pnączy. Widać było, że i w tej położonej zaledwie kilka mil od samego centrum Minneapolis rezydencji panuje typowe dla wielkiego miasta poczucie zagrożenia: wzdłuż płotu i na zamkniętej bramie wjazdowej widniały niebiesko-białe znaczki firmy ochroniarskiej.

Quinn próbował ogarnąć to wszystko wzrokiem, nie przerywając rozmowy telefonicznej. Właśnie został poinformowany, że zatrzymano podejrzanego w sprawie uprowadzenia dziecka w Wirginii. Obecny na miejscu agent CASKU prosił o potwierdzenie strategii przesłuchania. Quinn wygłaszał uwagi pewnym tonem. Na koniec wysłuchał jeszcze raz swego rozmówcy, przytaknął, coś zasugerował i rozłączył się tak szybko, jak tylko mógł, chcąc się skupić na bieżącej sprawie. Musiał zablokować w swej świadomości fakt, że jest

potrzebny w kilku miejscach naraz.

– Oto człowiek rozrywany – zauważył Kovac, skręcając w podjazd z nadmierną prędkością i hamując gwałtownie tuż przed tabliczką bramofonu.

Zerknął ponad ramieniem Quinna na samochody reporterów zaparkowane po obydwu stronach ulicy. Siedzący w wozach ludzie odwzajemnili jego spojrzenie.

– Przeklęte sępy.

– Tak? – rozległ się głos z głośnika bramofonu.

– John Quinn, FBI – powiedział Kovac dramatycznym tonem spoglądając z żartobliwą miną na Quinna.

Brama odsunęła się i samoczynnie zamknęła za nimi. Reporterzy nie ruszyli się z miejsca, by wpaść ich śladem na teren rezydencji. Maniery ze Środkowego Zachodu, pomyślał Quinn. Wiedział dobrze, że są takie miejsca w kraju, gdzie dziennikarze przypuściliby szturm do domu, żądając odpowiedzi na swoje pytania, tak jakby mieli prawo rozszarpać na strzępy żalobę przeżywaną przez rodzinę ofiary. Widywał już takie sytuacje. Widywał żądnych rozgłosu reporterów, którzy grzebali w wyrzuconych przez mieszkańców śmieciach w poszukiwaniu śladów informacji, które mogłyby się zamienić w sensacyjnie brzmiące nagłówki. Widywał, jak dziennikarze rozbijali uroczystości pogrzebowe.

Na podjeździe przy domu stał czarny wypolerowany lincoln continental. Kovac zatrzymał przy nim swojego brudnoziemistego forda caprice i przekręcił kluczyk. Silnik klekotał jeszcze przez pół minuty.

– Co za gówno – mruknął. – Pracuję osiemnaście lat i mam najgorszego rzęcha w policji. Wiesz dlaczego?

– Bo nie chcesz całować w dupę odpowiednich ludzi? Kovac roześmiał się.

– Nie całuję niczego, co ma z przodu kutasa.

Zachichotał sam do siebie, przerzucając stertę rupieci na tylnym siedzeniu. Wygrzebał z nich minidyktafon i podał go Quinnowi.

– Na wypadek gdyby nadal nie chciał ze mną rozmawiać... Według prawa obowiązującego w naszym stanie wystarczy, jeżeli jedna z osób biorących udział w rozmowie wyrazi zgodę na jej nagrywanie.

– Bardzo dziwne prawo, jak na stan pełen demokratów.

– Jesteśmy praktyczni. Musimy schwytać zabójcę. Może Bondurant wie coś, z czego nawet nie zdaje sobie sprawy. Albo powie coś, co tobie z niczym się nie skojarzy, bo nie jesteś stąd.

Quinn wsunął dyktafon do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Cel uświęca środki.
- Sam to dobrze wiesz.
- Lepiej niż większość ludzi.

– Czy to cię nigdy nie przygnębia? – zapytał Kovac, kiedy wysiedli z samochodu. – Seryjne morderstwa i uprowadzenia dzieci przez siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mnie by to przytłoczyło. W moim przypadku przynajmniej niektórzy ze sztywniaków zasłużyli sobie na to, żeby oberwać. Jak dajesz sobie z tym radę?

Nie daję sobie rady, błyskawicznie przeleciało Quinnowi przez myśl, ale nie powiedział tego. Nie dawał sobie rady. Nigdy tak nie było. Po prostu spychał wszystkie problemy do wielkiej czarnej dziury w swoim wnętrzu, mając nadzieję, że ona się nigdy nie przepełni.

- Staram się myśleć o sukcesach.

Wiejący znad jeziora wiatr wzbijał na wodzie bryzgi, które wyglądały, jakby były z rtęci, i miótł suchymi liśćmi po martwym trawniku. Poły płaszczy Quinna i Kovaca zatrzepotały na wietrze. Niebo przypominało brudną szmatę, powoli opuszczającą się na miasto.

- A ja piję – wyznał Kovac. – Palę i piję.
- I uganasz się za babami? – dorzucił Quinn, uśmiechając się kącikiem ust.
- Nie, rzuciłem to. To fatalny nałóg.

Drzwi do domu otworzyły się i ukazał się w nich Edwyn Noble: Lurch z „Rodziny Addamsów” z dyplomem prawnika. Jego twarz zastygła na widok Kovaca.

- Panie Quinn... – zaczął.

Minęli go, wchodząc do holu wyłożonego rzeźbioną mahoniową boazerią. Ze znajdującego się na poziomie drugiej kondygnacji sufitu zwisał masywny żyrandol z kutego żelaza.

– Nie przypominam sobie, żeby wspomniał pan coś o sierżancie Kovacu, kiedy pan dzwonił.

Quinn spojrzał na niego z niewinną miną.

– Nie wspomniałem? No cóż, Sam zaproponował, że mnie podwiezie, a ja nie znam miasta, więc...

– W gruncie rzeczy ja sam też chciałem porozmawiać z panem Bondurantem – powiedział spokojnym Kovac, przyglądając się wyeksponowanym w holu dziełom sztuki.

Trzymał ręce w kieszeniach, jakby się bał, że coś może uszkodzić.

Brzegi uszu Noble’a poczerwieniały.

– Sierżancie, Peter właśnie stracił swoje jedyne dziecko. Chciałby mieć trochę czasu, żeby się pozbierać, zanim zostanie poddany jakiemukolwiek przesłuchaniu.

– Przesłuchaniu? – Kovac uniósł brwi odrywając wzrok od rzeźby przedstawiającej konia wyścigowego i zerkając na Quinna. – Jakby był podejrzanym? Czy pan Bondurant sądzi, że go podejrzewamy? Naprawdę nie wiem, skąd mogło mu to przyjść do głowy. Co pan o tym sądzi, panie Noble?

Teraz już nie tylko uszy Noble’a, ale i jego policzki były czerwone.

– No dobrze. Nazwijmy to wypyтaniem, uzyskaniem oświadczenia czy jak tam pan chce.

– Wolałbym nazwać to rozmową, ale cóż, jak pan sobie życzy.

– Życzę sobie tego – dobiegł cichy głos – żeby przywrócono mi córkę.

Mężczyzna, który wszedł przez łukowate wejście z blado oświetlonego wewnętrznego holu, miał niecałe sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i był szczupłej budowy ciała. Mimo że miał na sobie zwykłe spodnie i sweter, roztaczał wokół siebie atmosferę schludności i elegancji. Jego ciemne włosy były przystrzyżone tak krótko, że wyglądały niemal jak delikatna warstewka metalowych strużyn. Spoglądał poważnym wzrokiem na Quinna przez owalne szkła okularów w drucianej oprawce.

– My wszyscy tego chcemy, panie Bondurant – powiedział Quinn. – Niewykluczone, że istnieje na to szansa, ale potrzebujemy wszelkiej pomocy, jaka tylko jest możliwa.

Bondurant zmarszczył brwi.

– Myśli pan, że Jillian może żyć?

– Nie byliśmy do tej pory w stanie definitywnie stwierdzić, że jest inaczej – odparł Kovac. – Dopóki nie zidentyfikujemy pozytywnie ofiary, istnieje szansa, że to nie jest pana córka. Otrzymujemy nie potwierdzone relacje świadków, utrzymujących, że ją widzieli...

– Nie, nie sądzę – odparł cicho Bondurant, kręcąc głową. – Jillie nie żyje.

– Skąd pan to wie? – zapytał Quinn.

Posępna mina Bonduranta wyrażała ból i zarazem pogodzenie się z losem. Ześliznął się wzrokiem z Quinna gdzieś w lewo.

– Ponieważ była moim dzieckiem – odparł w końcu. – Nie potrafię tego lepiej wyjaśnić. Wydaje mi się że mam kamień w piersiach, że coś we mnie umarło razem z nią. Ona odeszła. Ma pan dzieci, panie Quinn?

– Nie. Ale spotkałem bardzo wielu rodziców, którzy stracili dziecko. To okropna sytuacja. Na pana miejscu nie śpieszyłbym się, żeby się w niej znaleźć.

Bondurant opuścił wzrok na buty Quinna i westchnął.

– Niech pan wejdzie do mojego gabinetu, panie Quinn – powiedział i odwrócił się w stronę Kovaca, zaciskając nieco usta. – Edwyn, może byś zaczekał z sierżantem Kovacem w salonie?

Kovac mruknął coś pod nosem niezadowolony, a Noble zrobił zatroskaną minę.

– Może powinienem być obecny przy rozmowie, Peter. Ja...

– Nie. Powiedz Helen, niech nam zrobi kawę.

Wyraźnie rozczarowany Noble wychylił się ku swojemu klientowi jak marionetka szarpająca się ze sterującymi nią linkami, ale Bondurant odwrócił się i odszedł. Quinn podążył za nim. Gruby orientalny wełniany chodnik tłumił odgłosy ich kroków.

Quinn próbował rozgryźć strategię Bonduranta. Facet nie chciał rozmawiać z policją, ale odsunął swojego adwokata od rozmowy z agentem FBI. Brakowało w tym logiki, jeśli Bondurantowi chodziło o chronienie samego siebie. Z drugiej strony, gdyby powiedział coś, co by go obciążało, pod nieobecność swojego adwokata, w sądzie byłoby to bezwartościowe, nawet gdyby zostało nagrane.

– Wiem, że macie świadka. Czy ona potrafi rozpoznać człowieka, który to zrobił?

– Nie jestem uprawniony do rozmowy na ten temat – odparł Quinn. – Chciałbym rozmawiać o panu i pana córce, o waszych wzajemnych stosunkach. Proszę mi wybaczyć obcesowość, ale pański dotychczasowy brak współpracy z policją jest co najmniej zastanawiający.

– Sądzi pan, że nie reaguję w sposób typowy dla rodzica, którego dziecko zostało zamordowane? Czy istnieje jakaś typowa reakcja?

– Słowo „typowa” raczej nie jest tu odpowiednie. Po prostu niektóre reakcje są powszechniejsze niż inne.

– Nie posiadam informacji, które byłyby istotne dla sprawy. Dlatego nie mam nic więcej do powiedzenia policji. Ktoś, kogo nie znam, uprowadził i zamordował moją córkę. Jak można oczekiwać, że mógłbym coś wiedzieć na temat tak bezsensownego czynu?

Bondurant wprowadził Quinna do obszernego gabinetu i zamknął drzwi. Najważniejszym sprzętem w pokoju było masywne mahoniowe biurko w kształcie podkowy. Jedna część biurka była zajęta przez sprzęt komputerowy, na drugiej leżały różne papiery. Środek pozostawał nieskazitelnie uporządkowany: bibularz bez jednej plamki, starannie ułożone pióra i spinacze.

– Proszę zdjąć płaszcz, panie Quinn. Niech pan siada – powiedział, wskazując szczupłą dłonią na dwa obite wiśniową skórą krzesła.

Sam obszedł biurko, by zająć miejsce na swym dyrektorskim tronie z wysokim

oparciem.

Podkreśla dystans i różnicę pozycji między nami, pomyślał Quinn, zdejmując płaszcz. Pokazuje mi, gdzie jest moje miejsce. Usiadł na krześle i od razu zauważył, że jest odrobinę za niskie, akurat na tyle, by sprawić, że siedząca na nim osoba miała wrażenie, iż jest niższa od gospodarza.

– Jakiś szaleniec zamordował moją córkę – powtórzył Bondurant spokojnym głosem. – W świetle tego faktu nie mogę ani odrobinę się przejmować tym, co ktokolwiek sądzi o moim zachowaniu. Poza tym pomagam w śledztwie, w końcu to ja pana tutaj sprowadziłem.

Kolejne wygłoszone opanowanym tonem przypomnienie, kto tu rządzi.

– I wyraża pan chęć rozmowy ze mną?

– Bob Brewster mówi, że pan jest najlepszy.

– Proszę podziękować w moim imieniu dyrektorowi, kiedy będzie pan z nim rozmawiał następnym razem. Nasze ścieżki nie spotykają się zbyt często – odparł Quinn, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że fakt jego poufałości z dyrektorem FBI nie robi na nim wrażenia.

– Powiedział też, że specjalizuje się pan w sprawach tego typu morderstw.

– Tak, ale ja nie jestem najemnikiem, panie Bondurant. Chcę to podkreślić bardzo wyraźnie – powiedział naśladując spokój Bonduranta. – Zrobię, co w mojej mocy, jeżeli chodzi o sporządzenie profilu mordercy i udzielenie rad co do technik śledczych. Jeżeli uda się zatrzymać podejrzanego, zaproponuję strategię przesłuchania. Jeśli dojdzie do procesu, będę zeznawał jako ekspert i zaoferuję prokuraturze moje umiejętności zawodowe, w kwestii przesłuchiwania świadków. Wykonam swoją pracę i wykonam ją dobrze, ale nie jestem pańskim podwładnym, panie Bondurant...

Bondurant przyjął jego oświadczenie z kamienną miną. Miał równie chudą i surową twarz, jak jego adwokat, ale bez rozluźniającego ją szerokiego uśmiechu. To była twarda maska, której nie da się przejrzeć.

– Chcę, żeby zabójca Jillian został schwytany. Będę rozmawiał z panem, ponieważ jest pan najlepszy w swojej specjalności i powiedziano mi, że mogę wierzyć, iż pan się nie sprzeda.

– Nie sprzeda? W jakim sensie?

– Mediom. Mimo swej pozycji społecznej bardzo sobie cenię prywatność. Nie mogę ścierpieć myśli, że miliony obcych ludzi dowiedzą się szczegółów na temat śmierci mojej córki. Wydaje mi się, że kres czyjegoś życia nie powinien być traktowany jako sensacyjny materiał do publikacji.

– Z pewnością. Ale dla dobra wszystkich odebranie komuś życia nie może być trzymane w tajemnicy.

– Myślę, że tym, czego naprawdę się boję, nie jest to, iż ludzie dowiedzą się szczegółów o śmierci Jillian, ale to, że będą chcieli rozerwać jej życie na strzępy. Moje też.

Quinn poprawił się na krześle, zakładając swobodnie nogę na nogę i pozwalając sobie na bardzo nikły ślad współczującego uśmiechu. Umacniał swoje stanowisko. Przyjmował strategię pod hasłem: mogę być twoim przyjacielem.

– To zrozumiałe. Czy prasa pana prześladowa? Wygląda na to, że dziennikarze rozbili obóz przed pana domem.

– Odmawiam kontaktu z nimi. Ściągnąłem z firmy mojego koordynatora do spraw kontaktów z mediami, żeby się tym zajął. Tym, co mnie najbardziej gniewa, jest ich przekonanie, że mają do tego prawo. Dlatego, że jestem osobą bogatą i znaną, uważają, że mogą bez pardonu wdzierać się w moją żalobę. Sądzi pan, że zaparkowali swoje samochody przed domami rodziców tych dwóch prostytutek, zamordowanych przez tego samego szaleńca? Mogę pana zapewnić, że nie.

– Żyjemy w społeczeństwie uzależnionym od sensacji – odparł Quinn. – Uważa się, że niektórzy ludzie warczą się poświęcenia im uwagi w mediach, a inni nie. Nie wiem, która z tych sytuacji jest gorsza. Mogę jednak pana zapewnić, że rodzice dwóch pierwszych ofiar siedzą w domach i zastanawiają się, dlaczego na ich ulicy nie ma samochodów z dziennikarzami.

– Myśli pan, że chcieliby, by ludzie wiedzieli, dlaczego nie sprawdzili się jako rodzice? – zapytał Bondurant, a w jego głosie pojawił się cień gniewu. – I z jakich powodów ich córki zostały kurwami i narkomankami?

Poczucie winy i obwinianie innych. W jakiej mierze jest to projekcja jego osobistego bólu? – pomyślał Quinn.

– Wróćmy do tego świadka – zmienił temat Bondurant. Wyglądał na nieco poruszonego tym, że był tak bliski otwarcia się. Przesunął odrobinę leżący na biurku notatnik.

– Sądzi pan, że ona będzie w stanie zidentyfikować zabójcę? Nie wygląda na osobę szczególnie godną zaufania.

– Nie wiem – odparł Quinn, domyślając się od razu, skąd Bondurant ma takie informacje.

Kovac będzie musiał się postarać o zlikwidowanie tego przecieku, a to znaczy nadeptanie na jakieś bardzo wrażliwe i wpływowe palce, pomyślał. Rodzina ofiary ma prawo do pewnych przywilejów, ale w tym śledztwie jest konieczna jak największa poufność. Nie mógł pozwolić na to, żeby Peter Bondurant miał swobodny dostęp do sprawy. Przecież

nie został jeszcze wykluczony jako potencjalny podejrzany.

– No cóż... możemy tylko mieć nadzieję – mruknął Bondurant.

Jego wzrok przesunął się na ścianę, na której wisiały liczne oprawione w ramki fotografie. Wiele z nich przedstawiało jego samego z ludźmi, którzy, jak przypuszczał Quinn, byli jego współpracownikami, konkurentami lub wysokimi dygnitarzami. Dojrzał między nimi Boba Brewstera i zaraz potem zorientował się, co przyciągnęło uwagę Bonduranta: kilka fotografii w dolnym lewym rogu.

Wstał z krzesła i podszedł do ściany, by się im bliżej przyjrzeć: Jillian w różnych okresach życia. Rozpoznał ją na podstawie fotografii, którą widział w dokumentach śledztwa. Szczególnie jedno zdjęcie przyciągnęło jego uwagę: fotografia młodej kobiety w eleganckiej czarnej sukni z białym kołnierzykiem i mankietami. Jillian wyglądała w niej jak w przebraniu. Jej ostrzyżone krótko, na chłopaka, włosy były utlenione prawie na biało, co stanowiło dziwny kontrast z ciemnymi odrostami i brwiami. Jedno ucho miała przyozdobione półtuzinem kolczyków. W skrzydełku nosa tkwił także maleńki kolczyk z rubinem. Dziewczyna zupełnie nie przypominała swojego ojca. Jej ciało i twarz były delikatniejsze, bardziej zaokrąglone, a z twarzy patrzyły wielkie, smutne oczy. Mina Jillian odzwierciedlała poczucie winy wynikające z faktu, iż wbrew oczekiwaniom nie jest miłą, młodą kobietą o gładkich manierach.

– Ładna dziewczyna – mruknął odruchowo Quinn.

Niezupełnie tak myślał, ale też nie mówił tego po to, by się przypodobać Bondurantowi.

– Musiała czuć się silnie związana z panem, skoro wróciła tutaj do college'u.

– Nasze stosunki to sprawa bardzo skomplikowana – odparł Bondurant. Wstał z fotela, ale nie ruszał się z miejsca. Widać było jego napięcie i niepewność, jakby chciał podejść do zdjęć, a zarazem powstrzymywał się przed tym. – Byliśmy mocno związani, kiedy była młoda. Potem rozwiodłem się z jej matką. Jillian weszła wtedy w trudny wiek. To było dla niej przykre, ten antagonizm pomiędzy mną i moją żoną. Potem pojawił się Serge, ostatni mąż Sophie. Do tego doszła jej choroba. Raz po raz trafiała do szpitala psychiatrycznego z powodu depresji.

Zamilkł na chwilę. Quinn czuł, jak istotne jest to wszystko, co jego gospodarz eliminuje ze swojej relacji. Jaki był powód rozwodu? Co wywołało psychiczną chorobę Sophie? Czy niesmak w głosie Bonduranta, kiedy mówił o nowym mężu swojej byłej żony, wynikał z niechęci do rywala, czy miał inne przyczyny?

– Co Jillian studiowała? – zapytał, świadom tego, że nie powinien bezpośrednio

indagować o sprawy, które naprawdę mogą być dla niego istotne.

Wyglądało na to, że jeśli Peter Bondurant w ogóle ujawni swoje sekrety, dojdzie do tego po trudnej przeprawie.

– Psychologię – powiedział z niemal niezauważalnym odcieniem ironii, patrząc na zdjęcie córki w czarnej sukience, z utlenionymi krótkimi włosami, w kolczykach, z przekłutym nosem i smutnymi oczami.

– Czy często ją pan widywał?

– Co piątek. Przychodziła na kolację.

– Ile osób o tym wiedziało?

– Nie wiem. Moja gospodyni, mój osobisty sekretarz, kilku bliskich przyjaciół. Przypuszczam, że niektórzy znajomi Jillian.

– Czy zatrudnia pan tu, w domu, kogoś jeszcze, czy tylko gospodynię?

– Helen pracuje na stałe. Raz w tygodniu przychodzi dziewczyna, żeby pomóc jej sprzątać. Podobnie, raz na tydzień, trzech pracowników, którzy zajmują się ogrodem. To wszystko. Przedkładałam własną prywatność nad wygody wynikające z zatrudniania służby. Moje potrzeby nie są zbyt duże.

– Piątek wieczór to dość atrakcyjna pora dla studentów college'u. Jillian nie brała udziału w życiu klubowym?

– Nie. Wyrosła z tego.

– Czy miała wielu bliskich przyjaciół?

– Nie rozmawiała o tym ze mną. Była bardzo zamkniętą osobą. Jediną osobą, o której od czasu do czasu wspominała, była kelnerka z kawiarni, Michele jakaś tam, Kind czy Find. Nigdy jej nie widziałem.

– Czy Jillian miała chłopaka?

– Nie – odparł Bondurant, odwracając się.

Przez balkonowe drzwi za jego biurkiem widać było brukowany dziedziniec, na którym stały ławki i puste pojemniki na kwiaty. Bondurant zapatrzył się przez szybę, jakby spoglądał w inny wymiar czasowy.

– Chłopcy jej nie interesowali. Nie zależało jej na przelotnych związkach. Przeszła tak dużo... Jego wąskie usta zadrżały lekko, a w oczach pojawił się wyraz dotkliwego bólu. Była to, jak do tej pory, najwyraźniejsza oznaka emocji, jaką przejawiał. Miała przed sobą tyle życia – wymamrotał. – Dlaczego to się musiało stać?

Quinn podszedł do niego cicho.

– Najgorsze jest, kiedy ginie młoda osoba, zwłaszcza kiedy zostaje zamordowana –

powiedział łagodnym, pełnym gorzkiego doświadczenia głosem. – Tyle nie zrealizowanych marzeń, nie wykorzystanych możliwości. Bliscy ludzie, rodzina, przyjaciele, myślą, że mają mnóstwo czasu, żeby nadrobić wobec takiej osoby swoje błędy, żeby jej powiedzieć, że ją kochają. Nagle ten czas zostaje im odebrany. Dostrzegł, że Bondurant napina boleśnie mięśnie twarzy. Widział cierpienie w jego oczach, błysk rozpaczy wywołanej przez świadomość nadchodzącego kryzysu emocjonalnego i strach przed tym, że nie będzie miał dość siły, by go powstrzymać. Przynajmniej spędziliście razem ostatni wieczór – dorzucił cicho. – To powinno być dla pana jakimś pocieszeniem.

Z drugiej strony, mogło to być także ostatnim gorzkim przypomnieniem o wszystkich nie rozwiązanych problemach pomiędzy ojcem i córką. Jątrzącą raną utraconych możliwości.

– Jak się czuła tamtego wieczoru? – zapytał Quinn. – Wyglądała na wesołą czy przygnębianą?

– Była... – Bondurant głośno przełknął ślinę usiłując znaleźć właściwe słowo – ...sobą. Jillian zawsze wydawała się wesoła w jednej chwili, a zaraz potem przygnębiona. Była taka zmienna.

Nic dziwnego. Przecież chodzi o córkę kobiety, która raz po raz trafiała do szpitalu psychiatrycznego, pomyślał Quinn.

– Czy dostrzegł pan może oznaki, że coś córkę martwi? Że ma jakieś problemy?

– Nie.

– Czy rozmawialiście o czymś szczególnym albo spieraliście się o...

– Mój Boże, gdybym wtedy myślał, że coś jest nie tak, że coś złego się stanie, to czy nie sądzi pan, że powstrzymałbym ją przed odejściem? – wyrzucił z siebie nagle Bondurant. – Nie sądzi pan, że zatrzymałbym ją tutaj?

– Jestem pewien, że tak – odparł spokojnie Quinn, kryjąc zaskoczenie.

Starał się nadać swojemu głosowi ton współczucia i sympatii. Dawno już przestał naprawdę dzielić się takimi uczuciami, gdyż oddawał wtedy za dużo samego siebie, a nie było przy nim nikogo, kto pomógłby mu wypełnić powstałą w ten sposób pustkę. Usiłował skupić się na swoim głównym zadaniu, czyli zdobyciu informacji. Manipulować, schlebiać, przenikać przez skorupę ochronną, wyciągać prawdę kawałek po kawałku. Zdobywać informacje po to, żeby wykryć zabójcę. Pamiętał, że pierwszą osobą, wobec której ma zobowiązania, jest ofiara.

– O czym rozmawialiście tamtego wieczoru? – zapytał jeszcze raz, obserwując, jak Bondurant stara się odzyskać panowanie nad sobą.

– O zwykłych sprawach – odparł ten zniecierpliwionym tonem znowu wyglądając

przez okno. – O jej zajęciach. O mojej pracy. O niczym.

– O jej terapii?

– Nie, ona... – Bondurant zeszywniał i spojrział gniewnie na Quinna.

– Musimy to wiedzieć, panie Bondurant – powiedział Quinn nie usiłując go przeproszać. – W każdym przypadku należy wziąć pod uwagę możliwość, że jakaś część życia danej osoby może mieć związek z jej śmiercią. Bywa, że jest to najcieńsza nitka, która wiąże jeden element z drugim. Coś, co według pana – może być w ogóle nieistotne. Ale czasami taka rzecz zupełnie wystarcza. Zdarza się, że jest to wszystko, czym dysponujemy. Czy rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć? Zrobimy, co w naszej mocy, by szczegóły sprawy zostały poufne, ale jeżeli pan chce, żebyśmy zatrzymali zabójcę, to musi pan z nami współpracować.

Jego wyjaśnienie ani trochę nie złagodziło gniewu Bonduranta. Odwrócił się gwałtownie ku biurku i wziął z niego wizytówkę.

– Doktor Lucas Brandt. Chociaż doprawdy nie wiem, co to panu da. Na pewno nie muszę panu przypominać, że wszystko, co Jillian przekazywała Lucasowi jako pacjentka, jest objęte tajemnicą.

– A co z tym wszystkim, co opowiadała panu jako ojcu?

Kolejny błysk gniewu przemknął po twarzy Bonduranta.

– Gdybym wiedział cokolwiek, cokolwiek, co mogłoby doprowadzić was do mordercy mojej córki, to czy nie sądzi pan, że bym to powiedział?

Quinn milczał patrząc uporczywie w twarz Petera Bonduranta. Nabrzmiała żyła na jego czole wyglądała jak błyskawica. Detektyw wyjął wizytówkę z dłoni gospodarza.

– Mam nadzieję, że tak – powiedział w końcu. – Może od tego zależeć życie kolejnej młodej kobiety.

– Wyciągnąłeś coś z niego? – spytał Kovac, zapalając papierosa. Zaczął się nim pośpiesznie zaciągać, żeby wypalić jak najwięcej, zanim dojdą do samochodu.

Quinn spojrział na bramę, za którą stało dwóch kamerzystów z oczyma przytkniętymi do celowników kamer. Nie widział nigdzie kierunkowych mikrofonów, ale obiektywy były wystarczające duże i długie. Czas jego anonimowości dobiegał końca.

– Tak – odparł – Złe przeczucie.

– Jezu, ja je mam od początku tej sprawy. Wiesz, co taki człowiek jak Bondurant może zrobić z moją karierą?

– A ja pytam: dlaczego miałby to zrobić?

– Bo jest bogaty i cierpi. Czuje się tak samo, jak wczoraj ten facet z pistoletem. Chce,

żeby ktoś inny też zaznał bólu. Chce, żeby ktoś zapłacił. Może gdyby doprowadził do czyjegoś nieszczęścia, nie czułby tak silnie własnego. No bo wiesz, ludzie są stuknięci. Więc co powiedział? Dlaczego nie chce rozmawiać z nami, tutejszymi glinami?

– Nie wierzy wam.

Kovac zeszczytniał z gniewu i cisnął papierosa na podjazd.

– A to sukinsyn!

– Bardzo się obawia, że szczegóły sprawy mogłyby się dostać do mediów.

– Jakie szczegóły? Co on ma do ukrycia?

– To już twoja robota, Sherlocku – odparł Quinn, wzruszając ramionami. – Ale mam coś dla ciebie na początek.

Wsiadli do samochodu. Quinn wyjął z kieszeni płaszcz dyktafon i położył go na siedzeniu razem z wizytówką.

Kovac podniósł wizytówkę i zmarszczył brwi.

– O, czubek. A nie mówiłem? Ludzie to świry. Tym bardziej bogaci, bo tylko ich stać na to, żeby coś z tym robić. Dla nich to jest jak hobby.

Quinn spoglądał na dom, prawie pewien, że zobaczy w jednym z okien czyjąś twarz, ale nie dojrzał nikogo. Wszystkie okna były puste i ponure, tak jak cały ten dzień.

– Czy w prasie pisano coś o tym, że któraś z pierwszych dwóch ofiar była narkomanką? – zapytał.

– Nie – odparł Kovac. – Jedna z nich była kiedyś uzależniona, ale nie ujawniliśmy tego. Lila White. Nazywali ją Lily White – Biała Lilia. Pierwsza ofiara. Brała jakiś czas kokę, ale potem się z tego wyciągnęła. Przeszła kurację odwykową i mieszkała w jednym z domów dla byłych prostytutek, ale jak mi się zdaje, nie bardzo jej to pomogło. W każdym razie trop narkotykowy nie prowadził donikąd. A dlaczego pytasz?

– Bondurant nawiązał do tego. To mogło być z jego strony tylko zgadywanie, ale nie sądzę. Myślę, że on albo coś wie o tych innych ofiarach, albo coś na temat Jillian.

– Jeżeli brała narkotyki, kiedy zginęła, to wyjdzie to w badaniach. Przetrzepałem jej mieszkanie, ale nie znalazłem nic mocniejszego niż tylenol.

– Jeżeli coś brała, to może znaleźlibyśmy powiązania z innymi ofiarami.

Obydwaj wiedzieli, że dzięki temu mogłyby wyjść na jaw jej kontakty z jakimś dealerem lub innym narkomanem. Niewykluczone, że któryś z nich okazałby się podejrzany.

Uśmiech myśliwego, który wpadł na świeży trop, uniósł końce wąsów Kovaca.

– A więc rozciągamy sieci. Bomba! Biznesmeni sądzą, że wymyślili coś nowego. Przecież przestępcy robią to od czasu, kiedy Judasz sprzedał Chrystusa. Zadzwonię do Liski i

powiem, żeby ona i Moss obwęchały tę sprawę. Potem pojedziemy się przekonać, co nasz Zygmunt Freud ma do powiedzenia na temat ceny brakujących klepek – oznajmił, stukając wizytówką o kierownicę. – Facet ma gabinet po drugiej stronie jeziora.

– Więc co sądzisz o Quinnie? – zapytała Liska.

Mary Moss prowadziła ostro samochód, spoglądając na opustoszałą przed zimą Missisipi. Rzeka znaczyła się brązowym pasmem pomiędzy obdartymi i na wpół opuszczonymi budynkami fabrycznymi i magazynowymi.

– Mówią, że niezły z niego pistolet. Żywa legenda.

– Nigdy z nim nie pracowałaś?

– Nie. Zwykle przydzielają nam z Quantico Rogera Emersona. Ale w końcu nie zawsze ginie córka miliardera, który ma swoje wejścia w Waszyngtonie.

– Podobało mi się, jak załatwił Tippena – powiedziała Moss. – Nie próbował grać ważniaka w stylu: ja jestem federalny, a ty kmiot z prowincji. Myślę, że szybko potrafi rozszyfrowywać ludzi. Chyba jest niesamowicie inteligentny. Co o tym sądzisz?

– Sądzę, że niezła z niego sztuka – orzekła Liska z lubieżnym uśmiechem.

– O Boże! Ja pytałam poważnie, a ty myślałaś o jego dupie!

– No tak, ale nie wtedy, kiedy mówił. Daj spokój, Mary. W każdym razie niezły z niego przystojnak. Nie chciałybyś odrobiny z tego uszczknąć, gdybyś mogła?

– Nawet mnie nie pytaj o takie rzeczy – obruszyła się Moss. – Jestem starą mężatką! Starą mężatką katoliczką!

– Dopóki w tej charakterystyce nie ma słowa „martwa”, to wolno ci patrzeć.

– No tak, niezły z niego przystojniak – mruknęła Moss usiłując powstrzymać śmiech.

– Te wielkie brązowe oczy, twarda szczeka, seksowne usta. Chyba mogłabym mieć orgazm, słuchając go, jak mówi o strategiach proaktywnych.

– Nikki!

– Och, zapomniałam, jesteś mężatką. Tobie nie wolno mieć orgazmu.

– Gadasz tak samo, kiedy jeździsz z Kovacem?

– Tylko wtedy, kiedy chcę, żeby się zaczął wściekać. Rzuca się jak przypalana żaba. Mówi mi, że nie chce nic wiedzieć o moich orgazmach i że te sprawy powinny pozostać tajemnicą kobiety. A ja mu na to, że właśnie dlatego rozwiódł się już dwa razy. Szkoda, że nie widziałaś, jaki się robi czerwony. Przepadam za Kovacem. Równy z niego facet.

– To tutaj: Edgewater – powiedziała Moss, wskazując przez szybę.

Osiedle Edgewater składało się z nieskazitelnych, jeśli chodzi o styl budownictwa, domów które zaprojektowano tak, by kojarzyły się z rybacką wioską z Nowej Anglii: szare szalunki z białymi obrzeżami, kryte cedrowym gontem dachy i dwudzielne okna z małymi szybami. Poszczególne skupiska budynków stały niby gromadki dzikich pieczarek, połączone wijącymi się ścieżkami. Wszystkie domy były zwrócone frontonami do rzeki.

– Mam klucz do mieszkania Bondurant – oznajmiła Liska wjeżdżając na teren osiedla – ale i tak wezwałam administratora. Mówi, że widział, jak Jillian wyjeżdżała w piątek po południu. Chyba nie zaszkodzi, jak porozmawiamy z nim jeszcze raz.

Zatrzymała samochód przed pierwszym domem, gdzie pokazały swoje policyjne odznaki czekającemu na nie na podeście schodów wysokiemu blondynowi. Gil Vanlees wyglądał na około trzydzieści kilka lat, miał cienki, rzadki wąsik i sprawiał wrażenie łagodnie usposobionego. Ubrany był w niebieski mundur ochroniarza, na który założył kurtkę fana klubu Timberwolves. Wyglądał jak dawny członek szkolnej drużyny, który przestał dbać o sylwetkę i spędza zbyt wiele czasu, oglądając w telewizji programy sportowe z puszką piwa w ręce i torebką chipsów.

– To pani jest detektywem? – zapytał, spoglądając na Liskę?

W jego małych oczach pojawiło się niemal seksualne podniecenie. Jedno z nich było niebieskie, a drugie miało kolor przydymionego topazu.

– Zgadza się – przytaknęła z uśmiechem.

– To wspaniałe spotkać kobietę w takiej roli. Pracuję w ochronie w Target Center – powiedział z dumą w głosie. – Mecze Timberwolves, koncerty, zawody motorowe i w ogóle. Mamy u siebie parę dziewczyn. To wspaniałe. Daje kobietom więcej władzy.

Liska gotowa była się założyć, że kiedy siedzi przy piwie z chłopakami, mówi o kobietach, używając takiego słownictwa, jakiego nawet ona sama by nie użyła. Potrafiła na pierwszy rzut oka rozgryźć takich ludzi jak Gil Vanlees.

– Więc pracuje pan tam w ochronie i pilnuje też tego osiedla?

– No tak, wie pani, moja żona... jesteśmy w separacji... ona pracuje w firmie zarządzającej osiedlem i tak właśnie dostaliśmy tu mieszkanie, bo inaczej nie byłoby nas na to stać, strasznie zdzierają... to się nie mieści w głowie. Więc jestem kimś w rodzaju dozorca, wie pani, chociaż teraz już tu nie mieszkam. Właściciele domów liczą na mnie, więc kręcę się jeszcze, dopóki moja żona nie zdecyduje, co z nami dalej. Ludzie mają różne problemy, z hydrauliką, elektryką i w ogóle. Pilnuję, żeby to było naprawione. Ściągnąłem ślusarza, ma wymienić dzisiaj zamki w mieszkaniu pani Bondurant. No i daję baczenie na wszystko, wie

pani. Nieoficjalna ochrona. Mieszkańcy są za to wdzięczni. Wiedzą, że pracuję w tym fachu, że mam kwalifikacje.

– Czy mieszkanie panny Bondurant jest tam? – zapytała Moss machnąwszy ręką w kierunku rzeki.

Vanlees spojrział na nią niechętnie, a jego małe oczy jeszcze bardziej się zmniejszyły.

– Rozmawiałem wczoraj z jakimiś detektywami – powiedział, jakby podejrzewał, że Moss ze swoim myszowato-podstarzałym wyglądem może podszywać się pod policjantkę w odróżnieniu od prawdziwej policjantki, takiej jak Liska.

– Tak, sprawdzamy szczegóły – odparła Liska spokojnie. – Wie pan, jak to jest – dodała, chociaż widać było, że Vanlees wie tyle o pracy policji, ile dowiedział się z policyjnego serialu: *Nowojorscy gliniarze* i z popularnych magazynów detektywistycznych.

Miała jednak świadomość, że niektórzy ludzie lepiej współpracują z policją, gdy mają poczucie, że dzięki temu mogą uczestniczyć w czymś ważnym. Inni z kolei domagają się wszelkiego rodzaju gwarancji, że ani samo przestępstwo, ani też śledztwo w żaden sposób im nie zaszkodzą.

Vanlees wyjął z kieszeni pęk kluczy i ruszył chodnikiem.

– Składałem kiedyś podanie o pracę w policji – powiedział. – Ale mieli wtedy blokadę etatów. Wie pani, budżet i w ogóle.

– Jezu, a to pech – westchnęła Liska starając się jak najlepiej naśladować grę Frances McDormand w *Fargo*. – Widzi pan, zawsze potrzebujemy zdolnych ludzi, ale ciągle jest problem z tym budżetem.

Vanlees skinął głową, demonstrując, że rozumie, o co chodzi.

– Polityczne mydlenie oczu, ale w końcu sama pani to wie najlepiej.

– Ma pan rację. Kto wie, ilu potencjalnie świetnych policjantów, takich jak pan, pracuje w innych zawodach. Wielka szkoda.

– Mogli mnie przyjąć, nadałbym się – dorzucił Vanlees.

Zadawniony żal w jego głosie był jak stara plama, która nie chce się sprać.

– Znałeś tę dziewczynę, Gil? – Liska postanowiła przejść na bardziej poufaly ton.

– No pewnie, widywałem ją tu. Nigdy nie mówiła za dużo. Mało sympatyczna. Nie żyje, co? Nie powiedzieli tego na sto procent w wiadomościach, ale to ona, prawda?

– Mamy parę kwestii do wyjaśnienia.

– Słyszałem, że jest świadek. Ciekawe jaki. To znaczy, czy ten ktoś widział, jak on ją zabił, czy co? To by było coś, no nie? Okropne.

– Naprawdę nie mogę wchodzić w szczegóły, no rozumiesz – powiedziała

przepraszającym tonem Liska. – Szkoda, bo pracujemy w podobnych zawodach, ale wiesz, jak to jest.

Vanlees skinął głową, robiąc mądrą minę.

– Widział ją pan w piątek? – zapytała Moss. – To znaczy Jillian Bondurant?

– Tak. Około trzeciej. Akurat naprawiałem tutaj rozdrabniacz do śmieci. Jedna pani próbowała przepuścić przez niego seler. Ale narobiła! I to absolwentka college’u. Można by pomyśleć, że powinna być za mądra, żeby zrobić coś takiego.

– Jillian Bondurant... – podsunęła Moss.

Vanlees zmrużył swoje różnobarwne oczy.

– Wyglądałem przez okno w kuchni. Zobaczyłem, jak wyjeżdża.

– Sama?

– Tak.

– I to był ostatni raz, kiedy pan ją widział?

– Tak – potwierdził i znowu zwrócił się do Liski. – Ten świr ją spalił, prawda? Kremator. Jezu, to nienormalne – powiedział, chociaż widać było po jego minie, że jest zafascynowany tematem. – Do czego to dochodzi w tym mieście.

– Wiesz to równie dobrze jak ja.

– Chyba chodzi o ten koniec tysiąclecia. To musi być to – orzekł. – Świat coraz bardziej wariuje. Kończy się tysiąc lat, no i w ogóle.

– Tysiąclecie – mruknęła Moss, spoglądając na terakotowy wazon z zaschłymi chryzantemami, który stał na małym ganku przy wejściu do mieszkania Jillian Bondurant.

– Być może – przytaknęła Liska. – Więc niech Bóg ma nas w swojej opiece, prawda?

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece – powtórzyła Moss ironicznie.

– Już za późno na to dla panny Bondurant – zauważył poważnym tonem Vanlees, obracając klucz w zamku. – Potrzebuje pani jakiejś pomocy?

– Nie, dziękuję, Gil, takie są przepisy, no i w ogóle – odparła Liska odwracając się do niego i blokując wejście do domu. – Czy widziałeś kiedykolwiek pannę Bondurant z kimś szczególnym? Z jakimiś przyjaciółmi? Z chłopakiem?

– Widywałem tu czasami jej ojca. Prawdę mówiąc, to on jest właścicielem domu. Żadnego chłopaka. Czasami przyjaciółkę. To znaczy koleżankę, nie przyjaciółkę, żeby nie było nieporozumienia. Przynajmniej tak myślę.

– Czy to była jedna dziewczyna? Znasz jej nazwisko?

– Nie. Też nie była za bardzo sympatyczna. Miała taki wredny wygląd. Prawie jak panienka z gangu motocyklowego. W każdym razie nigdy nie miałem z nią nic do czynienia.

Ona, to znaczy panna Bondurant, była zwykle sama, nigdy za dużo nie mówiła. Tak naprawdę nie pasowała tu specjalnie. Niewielu mieszkańców to studenci, no i ubierała się też trochę dziwnie. Wojskowe buty, czarne ubrania i tak dalej.

– Czy kiedykolwiek wyglądała jakoś inaczej?

– Jakby na przykład była na narkotykach? Nie. A miała coś wspólnego z narkotykami?

– To tylko rutynowe pytania. Gdybym nie zapytała o wszystko, to mój porucznik...

Nie dokończyła zdania, by dać Vanleesowi szansę poczucia wspólnoty, wyobrażenia sobie, że jadą na tym samym wózku. Podziękowała mu za pomoc i wręczyła swoją wizytówkę, prosząc, żeby zadzwonił, gdyby przypomniał sobie coś, co może być istotne dla sprawy. Cofnął się niechętnie od drzwi, wyciągając szyję, by dojrzeć, co Moss robi wewnątrz mieszkania. Liska pomachała mu na do widzenia i zamknęła drzwi.

– O Jezu, muszę wziąć prysznic – mruknęła, otrząsając się.

– Och, to on ci się nie podobał, Margie? – zapytała Moss z przesadnie północnym akcentem.

Liska skrzywiła się. Jej grymas był jednocześnie odpowiedzią na pytanie Moss, jak i reakcją na dziwną kombinację woni, które wypełniały wnętrze: słodkawy odświeżacz powietrza wymieszany z zastałym zapachem dymu papierosowego.

– No co, przecież zachęciłam go do mówienia, może nie?

– Jesteś bezwstydną.

– To było służbowo.

– Cieszę się, że przechodzę menopauzę.

– Mówiąc serio, ci niedoszli policjanci okropnie mnie wkurzają – powiedziała Liska. – Zawsze mają hopla na punkcie władzy i kierowania, a poza tym zakorzenioną negatywną samoocenę. Bardzo często są nastawieni przeciwko kobietom Och! – rzuciła nagle wesoło. – Będę musiała przedstawić tę teorię specjalnemu agentowi Przystojniakowi.

– Podrywaczka.

– E tam.

Z okna salonu Jillian Bondurant rozciągał się widok na rzekę. Pokój wypełniały nowoczesne sprzęty: sofa z dużymi guzami, krzesła w kolorze owsianki, rattanowy stół-ława ze szklanym blatem i dwie komódki, pokryte drobnym pyłem daktyloskopijnym, który pozostawili po sobie technicy z FBI. Telewizor i nowoczesna wieża stereo. W kącie biurko i dobrane do niego półki, zastawione podręcznikami, notatnikami i różnymi rzeczami związanymi z kierunkiem studiów Jillian. Wszystko ułożone we wprost śmiesznie staranny sposób. Pod ścianą elektroniczne pianino, nowoczesne i błyszczące. Kuchnia, dobrze

widoczna z salonu, też była nieskazitelnie czysta.

– Będziemy musiały sprawdzić, czy miała dochodzącą sprzątaczkę.

– To nie wygląda na kwatere przeciętnej splukanej studentki college’u – odparła Liska – ale w końcu niewiele, jeżeli chodzi o tę dziewczynę, było przeciętne. Miała dość nietypowe dzieciństwo: włóczyła się po całej Europie.

– A jednak wróciła tutaj do college’u. Dlaczego? Mogła pójść gdziekolwiek, na Sorbonę, do Oksfordu, Harvardu, na Uniwersytet w południowej Kalifornii, albo machnąć się gdzieś, gdzie jest ciepło i słonecznie. Do jakiegoś egzotycznego kraju. Dlaczego przyjechała tu?

– Żeby być blisko tatusia.

Moss zaczęła się przechadzać po pokoju, usiłując wypatrzeć cokolwiek, co pomogłoby im lepiej poznać Jillian Bondurant.

– Może to prawda. Chociaż jednak... mam doskonałe układy z moją córką, ale jak tylko skończyła szkołę średnią, to od razu chciała się wyrwać z domu.

– Dokąd poszła?

– Na uniwersytet stanowy w Madison. Mój mąż to nie Peter Bondurant. Musiała znaleźć uczelnię, gdzie są ulgi w opłatach – powiedziała Moss przeglądając leżące na półce magazyny: „Psychology Today” i „Rolling Stone”.

– Gdyby mój stary miał miliard zielonych i zgodził się wyłożyć forszę na taki dom jak ten, to też chciałabym z nim być. Może udałoby mi się namówić Bonduranta, żeby mnie adoptował.

– Kto tu był wczoraj?

– Jak znaleźli ciało i prawo jazdy Bondurant, to przysłali dwóch mundurowych, żeby sprawdzili, czy jej tu nie ma. Potem przyjechał Sam z Elwoodem, żeby się rozejrzeć. Przepytali sąsiadów. Nikt o niczym nie wiedział. Wzięli jej notatnik z adresami, potwierdzenia zapłaty kartą kredytową, rachunki telefoniczne i kilka innych rzeczy, ale nie znaleźli nic ważnego. Gdyby miała coś wspólnego z narkotykami, to chłopaki z FBI na pewno by na to natrafili.

– Może nosiła wszystko przy sobie w torebce.

– I ryzykowała, że straci zapasy, kiedy ktoś jej wyrwie torebkę na ulicy? Nie sądzę. Poza tym to mieszkanie jest o wiele czystsze jak na narkomankę.

Na piętrze odkryły dwie sypialnie z dwiema w pełni wyposażonymi łazienkami. W swoim domku w Saint Paul Liska miała wątpliwą przyjemność dzielenia jednej małej łazienki z dwoma synami, którzy byli w wieku jedenastu i dziewięciu lat. Zarabiała dobrze jako

detektyw, ale takie rzeczy jak liga hokeja i opieka ortodontyczna kosztowały sporo pieniędzy, a alimenty, które z wyroku sądu musiał płacić jej rozwiedziony mąż, były śmiesznej wysokości. Często żałowała, że nie miała dość rozsądku, żeby dać sobie zrobić dziecko jakiemuś bogatemu facetowi, a nie gościowi, który tylko nazywał się Rich.

Sypialnia Jillian była równie czysta jak reszta domu. Technicy z FBI zabrali pościel z obszernego łóżka, żeby zbadać ją w laboratorium na ewentualną obecność krwi czy spermy. Na krzesłach nie było żadnych porzucanych ubrań, nic nie leżało na podłodze. Liska nie dostrzegła też żadnej na pół otwartej szuflady z damską bielizną czy stosu porzuconych butów, niczego takiego, co można było zobaczyć w jej zagraconym pokoju i czego nigdy nie miała ochoty posprzątać. Kto, do cholery, kiedykolwiek to zobaczy poza nią samą i chłopcami? A kto widywał pokój Jillian Bondurant?

Za umieszczone w dębowej toalecie lustrze nie zatknięto żadnych fotografii chłopaka ani członków rodziny. Liska wyciągnęła szuflady z szafek stojących po obu bokach łóżka. Nie znalazła prezerwatyw czy kapturków. Tylko czysta popielniczka i maleńkie pudełeczko zapalek z napisem D' Cup Coffee House.

Żaden ze znajdujących się w pokoju przedmiotów nie mówił nic o jego mieszkance, co sugerowało dwie możliwości. Albo Jillian Bondurant była mistrzynią w maskowaniu swoich emocji albo ktoś tu posprzątał po jej zniknięciu i usunął wszystkie niepożądane rzeczy.

W mieszkaniu były zapalaki i dawało się wyczuć zapach papierosów, ale wszystkie popielniczki opróżniono i wymyto.

Vanlees miał klucz. Kto jeszcze? Peter Bondurant. Może też ta wrednie wyglądająca przyjaciółka Jillian. Zabójca. Zabójca miał teraz klucze Jillian, jej adres, samochód, karty kredytowe. Kovac natychmiast zajął się kartami, żeby sprawdzić, czy ktoś z nich korzystał po zniknięciu dziewczyny w piątek wieczorem. Jak dotąd, nic. Każdy policjant na terenie metropolii otrzymał opis i numery rejestracyjne czerwonego saaba Jillian Bondurant. To też do tej pory nic nie dało.

Główna łazienka była czysta. Liliowo-zielona z dekoracyjnymi mydłami, nie przeznaczonymi do używania. Na przerzuconej przez wannę półce stał szampon firmy Paul Mitchell z naklejką salonu fryzjerskiego w centrum handlowym Dinkydale. Potencjalne źródło informacji, jeżeli Jillian była osobą z gatunku tych, które zwierzają się swojej fryzjerce. W szafce na lekarstwa i pod zlewozmywakiem – nic interesującego.

Łóżko w drugiej, mniejszej sypialni również było pozbawione pościeli. Szafę wypełniały letnie ubrania, widocznie wypchnięte z głównej sypialni przez gwałtowne nadejście kolejnej ostrej zimy. W szufladach toaletki leżały różne szpargały: kilka par

czarnych delikatnych majtek, rozmiar piąty; czarny koronkowy biustonosz z Frederick's of Hollywood, skąpy i sprany, rozmiar 34B; para tanich czarnych legginsów z dziurą na jednym kolanie, rozmiar S. Rzeczy nie były porządnie poukładane, więc Liska czuła, że nie należały do Bondurant.

Przyjaciółka? W sypialni nie było tyle ubrań, by można przypuszczać, że ktoś mieszkał tu na stałe. Z kolei fakt, że używano drugiej sypialni, wskazywał, iż nie chodziło o kochankę. Liska wróciła do głównej sypialni i jeszcze raz przejrzała szuflady toaletki.

– Trafiłaś na coś? – zapytała Moss, stając w drzwiach.

Uważała, żeby się nie oprzeć o pokrytą białym pyłem gałkę.

– Ciarki mnie przechodzą. Albo ta dziewczyna była chorobliwie schludna, albo zanim ktokolwiek się pojawił w tym mieszkaniu, dostał się tu jakiś krasnoludek. Zaginęła w piątek. Daje to jej zabójcy całe dwa dni z kluczami w ręku.

– Ale nic nie wiadomo o tym, żeby się pokazał ktoś nieznajomy czy podejrzany.

– Więc może zabójca nie był tu nieznany albo nie wyglądał podejrzanie. Przydałoby się, żeby paru chłopaków popilnowało domu przez kilka dni – podsunęła pomysł Liska. – A nuż ten ktoś znowu się pojawi.

– Bardziej prawdopodobne, że już tu był i zniknął. Za wiele by ryzykował, gdyby tu wrócił po znalezieniu ciała.

– Tak samo ryzykował, kiedy podpalił zwłoki w parku.

Liska wyjęła telefon komórkowy z kieszeni kurtki i wybrała numer Kovaca. Odczekała chwilę, słuchając ze zniecierpliwieniem sygnału, w końcu zrezygnowała i włożyła telefon z powrotem do kieszeni.

– Sam znowu musiał zostawić płaszcz w samochodzie. Powinien nosić ten telefon na łańcuszku na szyi. Ale chyba i tak masz rację. Jeżeliby Joe Podpalacz chciał tutaj wrócić, to zrobiłby to po jej zamordowaniu, ale przed znalezieniem ciała. A skoro złożył tu wizytę, to może jego odciski palców są już nawet w tej chwili identyfikowane.

– Dobrze by było.

– Znalazłam trochę ubrań w drugiej sypialni, należały chyba do koleżanki Jillian. Mam też nazwę salonu fryzjerskiego Jillian i pudełko zapalek z kawiarni.

– Z D' Cup, jak rozmiar biustonosza? – zapytała Moss. – Też znalazłam pudełko. Może przymierzemy jedną sztukę?

Liska skrzywiła się.

– Rozmiar D? Chyba w marzeniach mojego byłego męża. Wiesz, co kiedyś znalazłam w jego szufladzie na skarpety? – powiedziała, gdy schodziły na dół. – Jedno z tych pisemek

pełne zdjęć bab z olbrzymimi cyckami. Takimi wielkimi, że zwisały im do kolan. Strona po stronie, ciągle to samo: cycki, cycki, cycki, ogromne jak balony. A faceci mówią, że jesteście zepsute, bo jak któryś mówi: piętnaście centymetrów, to chcemy, żeby to rzeczywiście było piętnaście centymetrów.

Moss ni to jęknęła, ni to zachichotała.

– Nikki, po jednym dniu z tobą będę musiała iść do spowiedzi.

– No cóż, jak już pójdziesz, to zapytaj księdza, dlaczego faceci mają takiego świra na punkcie cycków.

Wyszły z mieszkania, zamykając za sobą drzwi na klucz. Wiejący znad rzeki wiatr niósł ze sobą woń mułu, rozkładających się liści i metaliczny zapach miasta oraz zapelniających je maszyn. Moss otuliła się połami kurtki, a Liska włożyła ręce głęboko do kieszeni i wsunęła głowę w ramiona. Doszły do samochodu, narzekając na czekającą je długą zimę. Zima w Minnesocie zawsze jest zbyt długa.

Gil Vanlees stanął w drzwiach domu, w którym do niedawna mieszkał, kiedy zaczęły wycofywać samochód z parkingu. Patrzył za nimi z obojętnym wyrazem twarzy, aż w końcu Liska pomachała mu ręką na do widzenia.

– Spróbujmy jeszcze raz, Angie – zachęcił dziewczynę Oscar, policyjny rysownik.

Jego głos był ciepły i słodki jak karmel. Kate zdarzyło się widzieć, jak niemal usypiał ludzi tym głosem. Angie DiMarco była jednak daleko od tego, by dać się uspić.

Kate stała przy drzwiach, jakieś dwa metry za plecami dziewczyny. Nie chciała, by jej własne zniecierpliwienie potęgowało zdenerwowanie Angie. Dziewczyna siedziała na krześle, wierząc się jak małe dziecko w poczekalni u pediatry, niezadowolona i nie wykazująca chęci do współpracy. Widać było po niej, że nie spała dobrze, chociaż skorzystała z łazienki w Phoenix House i wzięła prysznic. Jej proste włosy nadal opadały bezładnie, ale były przynajmniej czyste. Miała na sobie tę samą dzinsową kurtkę, włożoną na inny sweter, i te same brudne dzinsy.

– Proszę, zamknij oczy – powiedział rysownik. – Weź spokojny, głęboki oddech, a potem wypuść powietrze...

Angie sapnęła niecierpliwie.

– Powoooli...

Kate była pełna podziwu dla cierpliwości rysownika. Sama czuła, że ma niemal ochotę dać komuś w twarz, komukolwiek. Z drugiej strony, Oscar nie doświadczył przyjemności odebrania Angie z Phoenix House, gdzie Toni Urskine znowu wylała na Kate swą frustrację z

powodu sprawy Krematora.

– Dwie kobiety giną brutalnie zamordowane i nic się nie robi, bo były prostytutkami – zaczęła swą tyradę Toni. – Boże, policja posunęła się nawet do oświadczenia, że nie istnieje zagrożenie dla ogółu mieszkańców, miasta, tak jakby te kobiety się do nich nie zaliczały! To oburzające!

Kate mogła jej wyjaśnić używane w wiktyologii pojęcia grup wysokiego i niskiego ryzyka, ale powstrzymała się od tego. Zbyt dobrze wiedziała, jaka byłaby reakcja jej rozmówcy: emocjonalna, instynktowna, pozbawiona logiki.

– Policja wcale nie dba o kobiety, które rozpacz popycha do prostytucji i narkotyków. Czym jest dla policji kolejna zamordowana dziewczyna? Jeden problem mniej na ulicy. Ale kiedy ginie córka milionera, to nagle sytuacja robi się poważna! Och tak, tym razem ofiarą jest prawdziwa obywatelka! – dorzuciła sarkastycznie.

Kate jeszcze do tej pory nie zdołała się rozluźnić. Nigdy nie lubiła Toni Urskine, która pracowała dwadzieścia cztery godziny na dobę nad tym, żeby podtrzymać w sobie płomień gniewu. Jeżeli ona, jej ideały lub też „jej ofiary”, jak nazywała kobiety w Phoenix House, nie zostały obrażone bezpośrednio, to potrafiła dopatrzeć się obrazy w czymkolwiek – po to, by móc znowu zapalać świętym oburzeniem i wrzeszczeć do każdego, kto znajdzie się w zasięgu jej głosu. Było oczywiste, że morderstwa popełniane przez Krematora zapewnią na długi czas paliwo dla świętego ognia Toni.

Kate przyznawała w duchu, że oburzenie kobiety jest częściowo uzasadnione. Ona sama miewała podobnie cyniczne zastrzeżenia wobec tej sprawy. Wiedziała jednak, że policja pracowała nad dwoma pierwszymi przypadkami najlepiej, jak potrafiła, jeśli wziąć pod uwagę ograniczoną liczbą ludzi i środków, które przyznawano na śledztwo w sprawie przeciętnego zabójstwa. Wina nie leżała po stronie policji. Rzeczywisty problem polegał na tym, jakie sprawy uznają za priorytety politycy i media.

Dlatego miała ochotę powiedzieć Toni Urskine po prostu: „Taki jest ten podły świat. Daj sobie spokój”. Pohamowała się jednak i powiedziała jedynie: „Nie jestem policjantką, tylko opiekunką. Stoję po pani stronie”.

Wielu ludzi nie przekonywał i ten argument. Współpracowała z policją i w związku z tym była uważana za równie winną jak ona. Wiele razy zdarzało się też, że policjanci widzieli w niej przeciwnika, ponieważ pracowała z wieloma mazgajowatymi liberałami, którzy dużo czasu poświęcali na tworzenie negatywnego obrazu policji. Tak więc znajdowała się między młotem a kowadłem.

Dobrze, że lubię tę pracę, bo inaczej bym ją znienawidziła, pomyślała teraz.

– Jesteś w parku, Angie, ale zupełnie bezpieczna – podjął łagodnym tonem Oscar. – Zagrożenie minęło. On już nie może cię skrzywdzić. Otwórz oczy swojej duszy i spójrz na jego twarz. Przyjrzyj się dobrze i długo.

Kate podeszła powoli bliżej i usiadła na krześle. Angie poczuła na sobie jej wzrok i odwróciła się od niej, ale napotkała spojrzenie Oscara. Jego życzliwe oczy błyszczały niczym dwa wypolerowane onyksy w niemal całkiem skrytej w bujnym zaroście twarzy: brodzie, wąsach i lwiej grzywie gęstych włosów, które opadały mu aż do ramion.

– Nie będziesz mogła zobaczyć, jeżeli nie zechcesz patrzeć, Angie.

– Może ja nie chcę zobaczyć – mruknęła dziewczyna.

Oscar zrobił współczującą minę.

– On już nie może cię skrzywdzić, Angie. Musisz tylko na niego spojrzeć. Nie musisz zaglądać do jego umysłu czy serca. Chodzi jedynie o jego twarz.

Oscar pracował już z wieloma świadkami. Wszyscy oni bali się tych samych dwóch rzeczy: zemsty przestępcy w jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości i bardziej bezpośredniego zagrożenia, polegającego na konieczności przeżycia na nowo przestępstwa, którego byli świadkami. Kate wiedziała, że wspomnienie czy koszmarny sen mogą wywołać równie silny stres psychiczny, jak wydarzenie, które realnie miało miejsce. Mimo wysokiego stopnia rozwoju, ludzki umysł napotyka trudności w rozróżnianiu pomiędzy rzeczywistością prawdziwą i postrzeganą.

Milczenie przedłużało się. Oscar spojrzał na Kate.

– Angie, obiecałaś mi, że to zrobisz – odezwała się Kate.

Dziewczyna spojrzała na nią skrzywiona.

– No dobra, ale może zmieniałam zdanie. To znaczy, co ja, do cholery, będę z tego miała?

– Poczucie bezpieczeństwa dzięki wyeliminowaniu zabójcy ze społeczeństwa.

– Nie, ja mówię poważnie – powiedziała nagle Angie bardzo chłodnym, rzeczowym tonem. – Co będę z tego miała? Podobno jest nagroda. Nie powiedziałaś mi nic o nagrodzie.

– Nie miałam czasu, żeby z kimś o tym porozmawiać.

– No to lepiej, żebyś porozmawiała. Bo jeśli mam to zrobić, to chcę, do cholery, coś z tego mieć. Należy mi się.

– To się jeszcze zobaczy – odparła Kate. – Do tej pory nic nam nie pomogłaś. Dowiem się, co z tą nagrodą. Ale na razie jesteś świadkiem. Ty możesz pomóc nam, a my możemy pomóc tobie. Chyba że nie czujesz się na siłach tego zrobić? Pewnie sądzisz, że twoja pamięć nie jest wystarczająca dobra. Jeżeli rzeczywiście o to chodzi, to w porządku. Policja ma

albumy ze zdjęciami notowanych przestępców. Może rozpoznasz go na fotografii.

– A może się po prostu stąd, kurwa, wyniosę! – rzuciła dziewczyna, wstając z krzesła tak gwałtownie, że zaszurała podeszwami butów o podłogę.

Kate miała ochotę ją udusić. To dlatego nie pracowała z nieletnimi. Jej poziom tolerancji wobec odgrywania, takich scen i wciskania kitu był zbyt niski.

Przyglądała się dziewczynie usiłując wybrać jakąś strategię postępowania. Jeżeli Angie, naprawdę by chciała odejść, nie można byłoby jej powstrzymać. Nikt nie pilnował drzwi. Sądziła jednak, że dziewczynie zależy na tym, aby urządzić spektakl, po to, by wszyscy się nią okropnie przejęli i zaczęli ją błagać, żeby wróciła. Jeśli chodzi o nią, o Kate, to ostatnie nie wchodziło w grę. Nie zamierzała dać się wciągnąć w rozgrywkę, w której nie miałyby ostatniego słowa.

Gdyby pozwoliła Angie zrealizować swoją groźbę i dziewczyna by odeszła, to i ona sama mogłaby od razu stąd odejść. Sabin zniszczyłby ją pod względem zawodowym, gdyby dopuściła do utraty jego jedyne go świadka. Wykonywała już drugi zawód w życiu. Ile razy jeszcze miałyby zaczynać?

Podniosła się powoli, podeszła do drzwi i oparła o nie, splótłszy ręce na piersiach.

– Wiesz, Angie? Myślę, że istnieje jakiś powód, dla którego powiedziałaś nam, że widziałaś tego człowieka. Nie musiałaś nic mówić. Nie wiedziałaś przecież wtedy o nagrodzie. Mogłaś skłamać i powiedzieć, że już go nie było, kiedy natrafiłaś na ciało. Skąd mielibyśmy wiedzieć, że było inaczej? Musielibyśmy uwierzyć ci na słowo w sprawie, co widziałaś, a czego nie widziałaś. Więc skończmy z tym pieprzeniem, dobrze? Nie podoba mi się, że próbujesz mnie wykiwać, chociaż jestem po twojej stronie. To ja stoję pomiędzy tobą a prokuratorem, a on chce cię przytknąć i uznać za podejrzaną.

Angie zacisnęła usta.

– Nie groź mi.

– To nie groźba. Rozmawiam z tobą szczerze, ponieważ sądzę, że tego właśnie pragniesz. Nie chcesz być oszukiwana ani okłamywana, tak samo, jak ja tego nie chcę. Jestem gotowa to uszanować. Więc może byś odwzajemniła tę gotowość?

Dziewczyna zaczęła obgryzać paznokieć u kciuka. Opuściła przy tym głowę, by włosy zakryły jej twarz, ale Kate dostrzegła, że dziewczyna mruga pośpiesznie. Poczwała nagły przyływ współczucia. Jeśli będę dalej tak reagowała, pomyślała, to pomoże mi tylko prozac.

– Na pewno myślisz, że jestem jak wrzód na dupie – powiedziała w końcu Angie opuszczając kącik pełnych ust.

– Tak, ale nie uważam tego za śmiertelną czy nieodwracalną wadę. Wiem też, że masz

swoje powody. Jednak będziesz miała się naprawdę czego bać, jeśli nie spróbujesz go zidentyfikować. Jesteś teraz jedyną osobą, która wie, jak on wygląda. Byłoby lepiej dla ciebie, gdyby wiedziało to też paruset policjantów.

– A co będzie, jeśli tego nie zrobię?

– Nie będzie nagrody. Poza tym trudno mi powiedzieć. Obecnie jesteś potencjalnym świadkiem. Jeżeli uznasz, że nie czujesz się na siłach wystąpić w tej roli, to sprawa nie będzie już należała do mnie. Prokurator może zagrać ostro, ale też może cię puścić. W każdym razie mnie usunie ze sceny.

– Pewnie będziesz z tego zadowolona?

– Nie podjęłam się tego zadania dlatego, że myślałam, iż okaże się proste i przyjemne. Nie chcę, żebyś została sama w tej sytuacji, Angie. I nie sądzę, żeby tobie na tym zależało.

„Sama”. Na dźwięk tego słowa ramiona i nogi Angie pokryły się gęsią skórą. To słowo było równoznaczne ze stale obecną pustką w samym środku jej ja. Pustka narastała w niej poprzedniej nocy, spychając świadomość do coraz mniejszego zakątka umysłu. To było coś, czego bała się najbardziej na tym świecie, i nie tylko na nim. Bardziej niż fizycznego bólu. Bardziej niż zabójcy.

„Zostawimy cię samą. Jak ci się to podoba, ty cholerny bachorze? Możesz zostać sama na zawsze. Posiedź sobie tam i pomyśl o tym. Może już nigdy nie wrócimy”.

Skuliła się w sobie na wspomnienie dźwięku zamykanych drzwi, absolutnej ciemności szafy i zżerającego ją poczucia samotności. Czuła, jak samotność zaczyna teraz narastać w niej niby jakiś czarny upiór. Zaciśnęła się na jej gardle niczym niewidzialna ręka. Angie chciała płakać, ale wiedziała, że nie może. Nie tutaj. Nie teraz. Serce biło jej coraz mocniej i szybciej.

– No spróbuj, mała – powiedziała łagodnie Kate, wskazując ruchem głowy Oscara. – Postaraj się. Przecież nie masz nic lepszego do roboty. Zadzwoń, żeby się dowiedzieć czegoś w sprawie tej nagrody.

Takie jest całe moje życie, pomyślała Angie. Rób to, czego ja chcę, bo inaczej cię zostawię. Rób, czego chcę, bo cię skrzywdzę. Wybór, jaki jej przedstawiano, nie był prawdziwym wyborem.

– Dobrze – mruknęła i usiadła znowu na krześle, żeby udzielić Oscarowi wskazówek, jak ma narysować portret wcielonego zła.

Doktor Lucas Brandt przyjmował pacjentów w ładnym ceglanym budynku w stylu georgiańskim; znajdowały się tu również gabinety dwóch innych psychoterapeutów i dwóch psychiatrów. Ich podopieczni czuli prawdopodobnie się bardziej tak, jakby przyszli na popołudniową herbatkę niż po to, żeby wyrzucić z siebie najgłębiej skrywane sekrety i prać psychiczne brudy.

Quinn i Kovac musieli poczekać dziesięć minut, aż lekarz skończy seans z pacjentem. Wnętrze holu wypełniały ciche jak szept tony trzeciego koncertu brandenburskiego Bacha. Quinn stał przy neoklasycystycznym oknie, patrząc na jezioro Isles i fragment większego od niego jeziora Calhoun. W ponurym świetle dnia obydwaj byli równie szare jak stara miejska zabudowa.

Kovac spacerował po holu, przyglądając się meblom.

– Prawdziwe antyki. Z klasą. Dlaczego tak jest, że bogate czubki mają klasę, a tacy, których ja muszę przymykać, po prostu mają ochotę nalać mi na buty?

– Stłumienie.

– Co?

– Zachowania społeczne powstają i są wyrażane w sytuacji stłumienia. Bogate czubki też chcą ci nalać na buty – odparł Quinn z uśmiechem – ale maniery powstrzymują ich od tego.

Kovac zachichotał.

– Podobasz mi się, Quinn. Muszę cię jakoś nazwać. – Spojrzał na jego elegancki garnitur, zastanowił się chwilę i kiwnął głową – GQ. To jest dobre. G jak geniusz, a Q jak Quinn – wyjaśnił z zadowoloną miną. – Tak, to mi się podoba.

Nie przyszło mu do głowy, że mógłby zapytać Quinna, czy podoba się to również jemu.

W tej chwili otworzyły się drzwi gabinetu Brandta. Sekretarka, drobna ruda kobieta o cofniętym podbródku zaprosiła ich do środka. Mówiła niemal szeptem, jakby znajdowali się w czytelnicy naukowej.

Pacjent, jeśli w ogóle był, musiał wymknąć się innymi drzwiami. Lucas Brandt wstał

zza swego biurka, kiedy weszli do gabinetu. Kovacowi od razu skojarzyło się nieprzyjemnie nazwisko lekarza. Brandt. Coś mu to mówiło, ale na pewno nie chodziło tu o Brandta autora książki *Neurozy bogatych i sławnych ludzi*.

Podczas wzajemnej prezentacji oczekiwał, że Brandt również go rozpozna, ale wcale do tego nie doszło, co jeszcze bardziej pogorszyło jego nastrój. Brandt miał profesjonalnie poważną minę. Był blondynem o germańskim typie urody, miał prosty nos i niebieskie oczy. Mimo zaledwie średniego wzrostu dzięki swej postawie i prezencji stwarzał wrażenie, że jest wyższy, niż był naprawdę. Niebieską koszulę Brandta, nieskazitelnie wyprasowaną, zdobił jedwabny krawat. Stalowszara marynarka wisiała na wymyślnym wieszaku w rogu gabinetu.

Kovac machinalnie przesunął dłonią po swoim krawacie marki J. C. Penney.

– Doktorze Brandt, widywałem pana w sądzie.

– Tak, całkiem możliwe. Psychologia kryminalna to uboczna specjalność, którą się zająłem, kiedy zaczynałem karierę – wyjaśnił, zwracając się do Quinna. – Potrzebowałem wtedy pieniędzy – wyznał z porozumiewawczym uśmiechem, dając im w ten żartobliwy sposób do zrozumienia, że teraz już ich nie potrzebuje. – Zainteresowała mnie ta dziedzina, więc utrzymuję z nią kontakt. Całkiem niezła odmiana po tym, z czym spotykam się na co dzień.

Kovac uniósł brwi.

– Ma pan na myśli pozostawienie własnemu losowi bogatych pańienek cierpiących na bulimię, po to, by złożyć zeznania na rzecz jakiegoś gnojka? Tak, to niezłe hobby.

– Pracuję dla tych ludzi, którzy mnie potrzebują, detektywie. Nieważne, czy na rzecz obrony, czy oskarżenia.

Pracujesz dla tych, którzy pierwsi wyciągną portfel, odpowiedział mu Kovac w myślach.

– Prawdę mówiąc, mam być w sądzie dzisiaj po południu – dodał Brandt. – A przedtem jestem umówiony na lunch. Więc, panowie, chociaż nie chciałbym być nieuprzejmy, czy możemy od razu przystąpić do rzeczy?

– Mamy tylko kilka krótkich pytań – uspokoił go Kovac.

Wziął do ręki miniaturowe grabki leżące w ogródku zen, który umieszczono na stojącej przy oknie komodzie. Potem przeniósł wzrok z grabek na pudełko, jakby przypuszczał, że są przeznaczone do wykopywania kocich odchodów.

– Rozumiecie panowie, że nie mogę być specjalnie przydatny dla waszego śledztwa. Jillian była moją pacjentką. Jestem związany tajemnicą lekarską.

– Pana pacjentka nie żyje – rzucił Kovac. Wziął do ręki gładki czarny kamyk z

ogródka, a potem obrócił się twarzą do Brandta. Oparty o komodę, przesuwiał kamyk między palcami. Widać było, że zajmuje pozycję, stara się umocnić w tym miejscu. Nie sędzę, żeby jej oczekiwania co do prywatności były teraz całkiem takie same, jak kiedyś.

Brandt zrobił niemal rozbawioną minę.

– Wygląda na to, że nie potrafi się pan zdecydować, detektywie. Czy Jillian żyje, czy nie żyje? Zasugerował pan Peterowi, że może być nadal przy życiu. Jeżeli tak jest, to nadal ma prawo do zachowania swojej prywatności.

– Istnieje duże prawdopodobieństwo, że znalezione ciało jest ciałem Jillian Bondurant, ale pewności nie ma – poinformował Brandta Quinn, dyplomatycznie przejmując prowadzenie rozmowy. – Tak czy owak, doktorze, naszym największym wrogiem jest czas. Morderca znowu dopuści się zbrodni. To pewne. Jak sądzimy, dojdzie do tego dość szybko. Im więcej dowiemy się o jego ofiarach, tym bliżsi będziemy schwytania go.

– Znam pańskie teorie, panie Quinn. Czytałem kilka pana artykułów. Gdzieś tu na półce mam chyba nawet podręcznik, którego jest pan współautorem. Bardzo wnikliwe podejście. Poznać ofiary, żeby poznać zabójcę.

– Tak, ponieważ o to właśnie chodzi. Pierwsze dwie ofiary wywodziły się z grupy wysokiego ryzyka. Jillian raczej nie pasuje do tego schematu.

Brandt oparł się o krawędź biurka, palcem wskazującym kilkakrotnie lekko uderzył się po wargach i skinął powoli głową.

– Odejdzie od schematu. Rozumiem. W ten sposób ona w sposób logiczny staje się centralnym punktem zagadki. Myśli pan, że morderca mówi więcej o sobie przez zabójstwo Jillian niż dwóch pierwszych ofiar? Ale co, jeśli ona po prostu znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze? Co, jeśli on nie wybrał dwóch pierwszych dlatego, że były prostytutkami? Może wszystkie jego ofiary zostały wytypowane przypadkowo?

– Nie – odparł Quinn, obserwując lekki błysk wyzwania w oczach Brandta. – W działaniu tego człowieka nie ma nic przypadkowego. Wybrał każdą z tych kobiet z jakiegoś powodu. Ten powód powinien się łatwiej uwidocznic w przypadku Jillian. Od dawna pana odwiedzała?

– Od dwóch lat.

– Jak do pana trafiła? Ktoś ją skierował?

– Przez golfa. Peter i ja jesteśmy członkami klubu Minikahda. To znakomite miejsce do nawiązywania odpowiednich znajomości – wyjął z uśmiechem, zadowolony ze swojego sprytu życiowego.

– Nawiązałby pan ich więcej, gdyby pan mieszkał na Florydzie – zażartował Quinn.

Jesteśmy kumplami, obydwaj tacy inteligentni, pomysłowi, zdawał się sugerować. Sezon tutaj pewnie trwa... Ile, całe dwa miesiące?

– Trzy, jeśli mamy wiosnę – odparł Brandt, podejmując ton zasugerowany przez Quinna. – Jest mnóstwo czasu na przesiadywanie w kawiarni klubowej. Mamy cudowną jadalnię. Gra pan w golfa?

– Kiedy nadarza się okazja.

Nigdy nie grał w golfa dlatego, że lubił ten sport. Zawsze była to sposobność nawiązania jakiegoś kontaktu, szansa na dotarcie ze swoimi pomysłami do bezpośredniego przełożonego albo szefa sekcji. Niekiedy także pretekst do spotkań z policjantami, z którymi współpracował przy różnych sprawach w całym kraju. Nie różniło się to w końcu tak bardzo od tego, co robił Lucas Brandt.

– Fatalnie, że sezon się skończył – powiedział lekarz.

– No tak, jeżeli spojrzymy na sprawę pod tym kątem – wtrącił Kovac – to jest to cholerna bezmyślność ze strony tego mordercy, że działa w listopadzie.

Brandt obrzucił go szybkim spojrzeniem.

– Nie o to mi chodziło, detektywie. Chociaż, skoro już pan wspomniał o porze, szkoda, że nie złapał go pan w lecie. Wówczas nie musielibyśmy odbywać tej rozmowy. W każdym razie – oświadczył, zwracając się znowu do Quinna – znam Petera od lat.

– Według mnie nie wygląda na człowieka bardzo towarzyskiego.

– Nie. Dla Petera golf to poważna sprawa. Wszystko zresztą tak traktuje. Jak już coś robi, to bardzo się w to angażuje.

– W jaki sposób ta cecha wpływała na jego relacje z Jillian?

– Och! – zaprotestował Brandt, podnosząc ostrzegawczo palec i kręcąc głową. – Przekroczył pan granicę, panie Quinn – przypomniał, nadal się uśmiechając.

Quinn przyznał mu rację lekkim skinieniem głowy.

– Kiedy ostatnio rozmawiał pan z Jillian? – zapytał Kovac.

– Mieliliśmy spotkania w piątki. W każdy piątek o czwartej.

– A potem jechała do domu ojca na kolację?

– Tak. Peter i Jillian pracowali intensywnie nad swoimi kontaktami. Byli rozłączeni przez długi czas. Musieli dać sobie radę z wieloma zastarzałymi emocjami.

– Na przykład?

Brandt zamrugnął oczami.

– W porządku, więc niech pan poda jakąś ogólną informację, na temat powiedzmy, źródła problemów Jillian, niech pan udzieli nam jakichś wskazówek.

– Przepraszam, ale nie.

Kovac westchnął cicho.

– Proszę posłuchać. Mógłby pan odpowiedzieć na kilka prostych pytań nie nadużywając niczyjego zaufania. Na przykład, czy brała jakieś leki, czy nie. Potrzebna nam ta informacja do badań toksykologicznych.

– Prozac. Próbowałem zredukować jej huśtawkę nastrojów.

– Depresja maniakalna? – wtrącił Quinn.

Brandt zareagował tylko spojrzeniem.

– Czy wiadomo panu o jakichś jej problemach z narkotykami? – spróbował Kovac.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– Czy miała jakieś kłopoty z narzeczonym?

Znowu brak reakcji.

– Czy wspominała kiedykolwiek o tym, że była wykorzystywana?

Cisza.

Kovac przesunął ręką po twarzy, przyglądając wąsa. Czuł, że jego samokontrola zaczyna się kruszyć jak stary korek.

– Zna pan tę dziewczynę od dwóch lat. Zna pan jej ojca. On uważa pana za przyjaciela. Z pewnością mógłby pan udzielić nam jakiejś wskazówki w sprawie jej morderstwa. A pan marnuje nasz czas na bzdurne gierki: zgadujcie sobie – ciepło, zimno.

Quinn odchrząknął dyskretnie.

– Znasz przepisy, Sam.

– Tak, ale pieprzę to! – warknął Kovac, strącając z komody album z fotografiami Davida Mapplethorpe’a. – Gdybym był adwokatem z grubym plikiem szmalu w ręce, to mogę się założyć, że pan doktor znalazłby jakąś lukę w przepisach, żeby puścić farbę.

– Wypraszam sobie, detektywie.

– No tak, jasne, przepraszam, że uraziłem pana uczucia. Ktoś torturował tę dziewczynę, doktorze. – Odszedł od komody z wściekłą miną i wrzucił do kosza na śmieci trzymany w ręku kamyk. Ten upadł z trzaskiem przypominającym wystrzał z rewolweru. – Ktoś odciął jej głowę i zatrzymał ją sobie na pamiątkę. Gdybym znał tę dziewczynę, to chyba obchodziłoby mnie, kto to zrobił. A jeślibym mógł pomóc złapać tego sukinsyna, nic by mnie nie powstrzymało. Ale pan bardziej przejmuje się swoją pozycją towarzyską niż losem Jillian. Ciekawe, czy jej ojciec jest tego świadom – rzucił i roześmiał się chrapliwie, akurat gdy rozległ się dźwięk jego pagera. – Co ja, u diabła gadam? Peter Bondurant nawet nie chce wierzyć w to, że jego córka może być przy życiu. Pewnie obydwaj jesteście siebie warci.

Znowu rozległ się sygnał pagera. Kovac przeczytał wiadomość, zaklął pod nosem i wyszedł z gabinetu, zostawiając Quinna, żeby wypił piwo, którego on nawarzył.

Brandta z jakiegoś powodu rozbawił wybuch Kovaca.

– No, to było ostre – powiedział. – Zwykle przeciętny glina potrzebuje trochę więcej czasu, żeby stracić do mnie cierpliwość.

– Sierżant Kovac jest w wielkim stresie w związku z tymi morderstwami – powiedział Quinn, podchodząc do komody. – Przepraszam w jego imieniu.

Kamyki w ogródku zen były ułożone w kształt litery X, wokół której wygrabiono w piasku podobny złowieszczy kontur. Oczyma wyobraźni ujrzał Quinn nacięcia na stopach ofiary: podwójne X i rany klute na jej klatce piersiowej: dwie splecione litery X.

– Czy ten wzór ma jakieś znaczenie? – zapytał jakby mimochodem.

– Dla mnie nie – odparł Brandt. – Moi pacjenci bawią się tym częściej niż ja. Zauważyłem, że to uspokaja niektórych ludzi, wspomaga przepływ myśli i pomaga w komunikacji.

Quinn znał sporo agentów w NCAVC, którzy mieli ogródki zen. Ich gabinety znajdowały się dwadzieścia metrów pod ziemią. Dziesięć razy głębiej niż zwłoki, jak mawiali żartem. Żadnych okien, żadnego dopływu świeżego powietrza, tylko świadomość naciskającej na ściany masy ziemi. To wszystko było wystarczająco symboliczne, żeby podniecić samego Freuda. Człowiek potrzebuje czegoś, co może go uwolnić od napięcia. Quinn miał na to swój sposób: całymi godzinami tłukł worek treningowy, karząc go za wszystkie grzechy świata.

– Nie musi pan przeproszać za Kovaca – rzekł Brandt, schylając się i podnosząc z podłogi album. – Mam doświadczenie w kontaktach z policją. Dla tych facetów wszystko jest proste. Człowiek albo dobry, albo zły. Nie rozumieją, że ograniczenia wynikające z etyki zawodowej również dla mnie bywają niekiedy frustrujące, ale są takie, jakie są. Trudno. Rozumie pan.

Odłożył album i oparł się znowu o biurko przesuwając nieco biodrem stosik tekturowych teczek. Ta na samej górze, miała napis: BONDURANT, JILLIAN. Leżał na niej miniaturowy dyktafon. Wyglądało na to, że Brandt niedawno pracował nad tymi materiałami albo właśnie zamierzał przejrzeć notatki z ostatniej sesji z Jillian.

– Rozumiem pana stanowisko. Mam również nadzieję, że pan rozumie moje – zastrzegł się Quinn. – Nie jestem tutaj jako policjant. Chociaż mój ostateczny cel jest ten sam, co sierżanta Kovaca, to mamy różne sposoby działania. Opracowanie przeze mnie portretu psychologicznego mordercy wymaga nie tylko tego rodzaju dowodów, jakie są do przyjęcia w

sądzie. Szukam jakichś odczuć, ulotnych wrażeń, szczegółów, które inni uznaliby za nieistotne. Kovac szuka zakrwawionego noża z odciskami palców. Rozumie pan, co mam na myśli?

Brandt skinął powoli głową, nie odrywając wzroku od Quinna.

– Tak, sądzę, że rozumiem. Spróbuję to przemyśleć. Ale jednocześnie, powinien pan wziąć pod uwagę możliwość, że problemy, z którymi Jillian tu przychodziła, niekoniecznie muszą mieć coś wspólnego z jej śmiercią. Zabójca mógł w ogóle nic o niej nie wiedzieć.

– Ale z drugiej strony mógł wiedzieć akurat tę jedną rzecz, która go sprowokowała – odparł Quinn.

Wyjął wizytówkę z cienkiego portfela, który nosił w wewnętrznej kieszeni marynarki, i podał ją Brandtowi.

– To jest bezpośredni numer do mnie w siedzibie FBI w mieście. Mam nadzieję, że skontaktuje się pan ze mną.

Brandt odłożył wizytówkę i podał mu rękę.

– Nie zapominając o okolicznościach, chciałbym powiedzieć, że miło mi było pana poznać. Muszę się przyznać, że to ja podsunąłem pana nazwisko Peterowi, kiedy mnie poinformował, że chce zadzwonić do waszego dyrektora.

Quinn skrzywił twarz w półuśmiechu, kierując się do drzwi.

– Nie jestem pewien, czy powinienem panu za to dziękować, doktorze Brandt.

Wychodząc z gabinetu przez recepcję, zauważył czekającą tam kobietę. Siedziała na sofie, z elegancką torebką na kolanach, trzymając stopy równo złączone. Jej doskonale obojętna mina miała maskować zdenerwowanie i zmieszanie. Kobieta nie chciała, żeby ją tu widziano.

Jak się czuła Jillian, przychodząc tutaj i zwracając się jednemu z satelitów swojego ojca? Czy był to jej wybór, czy też warunek, pod którym zgadzał się ją utrzymywać? Bywała w tym miejscu przez dwa lata co tydzień, i tylko sam Bóg i Lucas Brandt wiedzieli dlaczego. Bardzo prawdopodobne, że Bondurant też. Brandt mógł się popisywać przed nimi swoją etyką zawodową, rozkładając ogon jak paw, ale Quinn podejrzewał, że Kovac ma rację przynajmniej w jednym: w gruncie rzeczy Lucas Brandt zachowywał lojalność przede wszystkim wobec samego siebie. Poza tym sprawianie przyjemności Peterowi Bondurantowi było w dużej mierze sposobem na sprawianie przyjemności Lucasowi Brandtowi.

Kovac czekał w holu na parterze. Przyglądał się z zainteresowaniem abstrakcyjnemu obrazowi, który przedstawiał kobietę o trojgu oczach i piersiach wyrastających z boków głowy.

– Jezu Chryste, to jest brzydsze niż matka mojej drugiej żony, a przecież tamta, jak popatrzyła w lustro z piętnastu metrów, to potrafiło pęknąć. Myślisz, że powiesili tę ohydę tutaj, żeby dodatkowo podhajcować swoich świrów, kiedy tu wchodzi i wychodzi?

– To test Rorschacha – wyjaśnił Quinn. – Próbują wyeliminować tych osobników, którym się wydaje, że patrzą na obraz kobiety o trojgu oczach i piersiach na głowie.

Kovac zmarszczył brwi i jeszcze raz zerknął na obraz.

– Jeden telefon od Brandta i dostanę kopa w dupę – zaczął narzekać, gdy się znaleźli na schodach. – Już słyszę mojego porucznika: „O czym ty, do diabła, myślałeś, Kovac?” Jezu, Brandt jak nic naśle na mnie samego szefa. Pewnie grają razem w jakiejś pieprzonej lidze w warcaby albo robią sobie manicure w tym samym zakładzie. Greer się wścieknie, urwie mi łeb i wrzśnie do pustej szyi: „Co ty, do diabła, myślałeś, Kovac? Miesiąc bez pensji!” Pokręcił głową. Rzeczywiście, co ja, u diabła, myślałem?

– Nie wiem. No więc, co, u diabła, myślałeś?

– Że nie cierpię tego typu i tyle.

– Naprawdę? Myślałem, że odgrywamy skecz „dobry policjant-zły policjant” – powiedział Quinn, obchodząc samochód.

Kovac spojrział na niego.

– Nie jestem takim dobrym aktorem. Czy ja wyglądam jak Harrison Ford?

Quinn przyjrzał mu się, mrużąc oczy.

– Może jakbyś zgolił te wąsy... – mruknął, wywołując śmiech Kovaca.

Zajęli miejsca w samochodzie. Kovac spowaźniał i pokręcił głową.

– Sam nie wiem, z czego się śmieję. Dobrze wiem, że nie wolno tak się dać ponieść. Ale Brandt mnie wkurza i tyle. Zły jestem na siebie, że nie skojarzyłem, o kogo chodzi, dopóki go nie zobaczyłem. Po prostu nie spodziewałem się...

Westchnął, doszedłszy w końcu do wniosku, że nie potrafi tego wytłumaczyć, i popatrzył na nagie pędy krzewu, zza których prześwitywały w dali wody jeziora.

– Znasz go z jakiejś sprawy? – zapytał Quinn.

– Tak, osiem czy dziewięć lat temu zeznawał jako biegły obrony w sprawie o morderstwo, którą prowadziłem. Pewien dziesiętnastolatek, nazywał się Carl Borchard, zabił swoją dziewczynę, bo próbowała z nim zerwać. Uduśli ją. I wtedy pojawia się Brandt ze swoją ckliwą historyjką o tym, jak to matka porzuciła Borcharda i jak stres w związku z dziewczyną spowodował, że biedaczek stracił rozeznanie sytuacji. Przekonał ławę przysięgłych, jak to wszyscy powinni współczuć Carlowi, ponieważ on wcale nie miał zamiaru tego zrobić i jest teraz bardzo skruszony. Ba, w ogóle nie jest prawdziwym zabójcą.

To zbrodnia namiętności. Chłopak nie stanowi zagrożenia dla społeczeństwa i tak dalej, i tak dalej. Ajajaj, ojoj.

– A ty wiedziałaś, że jest inaczej?

– Ten Borchard to był jęczący, socjopatyczny gnojek z pełną kartoteką w wydziale do spraw nieletnich, której sąd nie pozwolił włączyć do sprawy. Miał na koncie przypadki agresywnych zachowań w stosunku do kobiet. Brandt wiedział to równie dobrze jak my, no ale to nie my mu płaciliśmy.

– Więc Borchard się wymigał?

– Zabójstwo. Pierwsze przestępstwo w wieku dorosłym, zredukowany wyrok, zaliczony okres aresztowania itede, itede. Gnojek prawie nie miał czasu zrobić w więzieniu kupy. Odesłali go zaraz do półwolnościowego zakładu. I kiedy przebywał w tym zakładzie, zgwałcił mieszkającą w okolicy kobietę i rozwalił jej głowę młotkiem. Dziękujemy, doktorze Brandt.

Wiesz, co miał do powiedzenia na ten temat? Powiedział w wywiadzie dla „Star-Tribune”, że myślał, że Carl „wyczerpał swój zasób ofiar” wraz z pierwszym morderstwem, ale cóż, przypadki się zdarzają. Dodał jeszcze, że tak naprawdę nie powinno się go obciążać odpowiedzialnością za ten mały błąd, ponieważ nie miał możliwości spędzenia zbyt wiele czasu z Borchardem. Co za pieprzenie.

Quinn słuchał go w milczeniu. Znowu czuł, że jest zbyt blisko tej sprawy. Miał wrażenie, że związani z nią ludzie tłoczą się wokół niego, stoją w za małej odległości, żeby mógł ich naprawdę dojrzeć. Pragnął, żeby się odsunęli, odeszli. Nie chciał wiedzieć nic o Lucasie Brandcie, nie chciał wyrabiać sobie osobistej opinii na jego temat. Chodziło mu tylko o to, co Brandt może przekazać mu na odległość. Wolałby zamknąć się na klucz w swoim gabinecie, który mu przydzielono przy Washington Avenue. Jednakże w tej sprawie rzeczy się miały inaczej.

– Wiem coś jeszcze o doktorze Brandcie – oznajmił Kovac, uruchamiając silnik i wrzucając bieg.

– Co takiego?

– Wczoraj stał z tyłu na konferencji prasowej.

– O, jest.

Kovac zatrzymał przycisk stop klatki na pilocie. Odtwarzany z zatrzymanej taśmy obraz drżał na ekranie. Brandt stał z boku grupy dziennikarzy razem z kilkoma ludźmi w garniturach. Kovac poczuł, jak coś go ścisną w brzuchu. Musiał jeszcze raz zobaczyć, jak

psycholog pochyla się lekko i mówi coś do stojącego obok mężczyzny. Znowu zatrzymał taśmę.

– Z kim on rozmawia?

– Hm... – Yurek zaczął przechylać głowę na boki, żeby lepiej się przyjrzeć. – To Kellerman, obrońca.

– A tak. Ta glista. Zadzwoń do niego i zapytaj, czy był razem z Brandtem – polecił Kovac. – Dowiedz się, czy Brandt miał jakiś uzasadniony powód, żeby się tam znaleźć.

Adler zrobił zdziwioną minę.

– Myślisz, że można go podejrzewać?

– Myślę, że to sukinsyn.

– Gdyby to było wbrew prawu, więzienia byłyby pełne prawników.

– Wkurzył mnie dzisiaj – powiedział Kovac. – Jest za blisko z Bondurantem, a Bondurant też nami pomiata.

– To ojciec ofiary – zauważył Adler.

– Jest bogatym ojcem ofiary – dorzucił Tippen.

– Bogatym, potężnym ojcem ofiary – podsumował Yurek.

– Ale przede wszystkim osoba związana z dochodzeniem w sprawie morderstwa – przypomniał Kovac. – Muszę prowadzić to dochodzenie tak samo starannie, jak każde inne. A to znaczy, że musimy się przyjrzeć wszystkim. Członkowie rodziny zawsze trafiają pod mikroskop. Chcę trochę nadebrać Brandtowi na odcisk, żeby wiedział, że nie jesteśmy bandą potulnych kundli, które Bondurant może rozstawiać po kątach. Jeżeli wie coś na temat Jillian Bondurant, to trzeba to z niego wyciągnąć. A poza tym chcę go trochę przydusić, bo to taka pieprzona gnida.

– Znosi się na kłopoty, Kojak – mruknął Yurek.

– To śledztwo w sprawie morderstwa, Lалуś. Chcesz się trzymać podręcznika *savoir-vivre*'u?

– Chcę wyjść z tego bez kłopotów w pracy.

– Twoja praca polega na prowadzeniu śledztwa. Brandt był związany z Jillian Bondurant.

– Czy masz jakiś inny powód poza tym, że go nie lubisz, aby myśleć, że ten czubek mógłby załatwić dwie panienki i pozbawić głowy własną pacjentkę?

– Nie mówię, że jest podejrzany. Widział Jillian Bondurant w piątek. Przychodziła do niego w każdy piątek od dwóch lat. Facet wie o niej wszystko, czego nam potrzeba. Jeżeli ukrywa przed nami te informacje, mamy prawo go trochę przydusić.

– A on wtedy będzie się powoływał na tajemnicę lekarską.

– Słyszałem już od niego tę śpiewkę. Nie dotykajcie sedna, tylko poruszajcie się po peryferiach. Jeżeli osiągniemy na przykład tyle, że wymieni nazwisko przyjaciela Jillian, to już będzie dla nas coś nowego. A jak tylko uda nam się potwierdzić, że ta ofiara to Jillian, odpadnie sprawa etyki zawodowej i będziemy mogli przycisnąć Brandta, jeżeli chodzi o szczegóły. Poza tym jest coś jeszcze, co mi się w nim nie podoba – dodał Kovac, spacerując tam i z powrotem wzdłuż stołu. – Nie podoba mi się to, że miał kontakty z Bóg wie iloma przestępcami. Muszę mieć listę z nazwiskami wszystkich przestępców, w których sprawie zeznawał, za albo przeciw.

– Załatwię to – zaproponował Tippen. – Moja była żona pracuje w archiwum sądowym. Nie cierpi mnie, ale na pewno jeszcze bardziej nie cierpi tego bandyty. W porównaniu z nim wypadam całkiem dobrze.

– To smutne, Tip – powiedział Adler, kręcąc głową. – Ledwie wznosisz się nad poziom tego drania.

– O, to i tak jedno oczko wyżej od tego, co wypisała w pozwie.

– No i jeszcze Bondurant – powiedział Kovac, wywołując serię jęków współpracowników. – Nie chce z nami rozmawiać i to mi się nie podoba. Powiedział Quinnowi, że chodzi mu o zachowanie prywatności. Nie mam pojęcia dlaczego – dodał z chytrym uśmieszkiem, wyjmując z kieszeni minidyktafon.

Pięciu detektywów zbliżyło się do Kovaca, żeby posłuchać nagrania. Liska i Moss nadal były w terenie, sprawdzając fakty dotyczące życia ofiar, a agenci federalni wrócili do swojego własnego biura. Walsh pracował nad otrzymaną z VICAP listą, która zawierała zestawienie podobnych zbrodni, popełnionych w innych rejonach kraju. Jego zadanie polegało na nawiązaniu kontaktu z odpowiednimi agentami w regionalnych biurach FBI. Poza tym miał się skontaktować z różnymi osobami, zatrudnionymi w instytucjach policyjnych, które poznał, pracując w Akademii FBI. Brał tam udział w programie szkolenia specjalistów z innych służb kryminalnych. Quinn z kolei opuścił kolegów, by zająć się pracą nad portretem psychologicznym Joego Podpalacza.

Detektywi słuchali w napięciu nagrania z rozmowy Bonduranta z Quinnem. Kovac usiłował wyobrazić sobie Bonduranta, zobaczyć jego twarz, minę, która towarzyszyła głosowi pozbawionemu właściwie jakiegokolwiek wyrazu. Przesłuchał już wcześniej rozmowę razem z Quinnem i zapoznał się z jego uwagami. Jednakże przesłuchiwanie kogoś za pośrednictwem osoby trzeciej można porównać do próby odbycia stosunku z kimś, kto jest w innym pomieszczeniu: mnóstwo frustracji i niewiele satysfakcji.

Kaseta dobiegła końca i dyktafon wyłączył się z głośnym trzaskiem. Kovac spoglądał na detektywów, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą. Te twarze były charakterystyczne, surowe, malował się na nich wyraz wrodzonego, choć nieco skrywanego sceptycyzmu.

– Ten chudy biały chłopczyk coś ukrywa – podsumował Adler, rozpierając się na krześle.

– Nie wiem, czy to dotyczy morderstwa – odparł Kovac – Ale powiedziałbym, że ukrywa coś z pewnością, jeżeli chodzi o piątkową noc. Musimy jeszcze raz przepytąć jego sąsiadów i porozmawiać z gospodynią.

– Miała wtedy wolne – przypomniał Elwood.

– Nieważne. Znała tę dziewczynę i zna swojego chlebodawcę.

Yurek jęknął i podparł głowę rękami.

– Jakiś problem, Lалуś? – zapytał Tippen. – Nie masz nic innego do roboty, tylko powiedzieć pismakom, że na tym etapie nie będzie żadnych komentarzy.

– Chodzi o telewizję ogólnokrajową – wyjaśnił Yurek. – Te psy już coś zwęszyły i zleciały się na żer. Bez przerwy dzwonią do mnie dziennikarze z dużych stacji. Samo nazwisko Bonduranta to już jest dla nich coś. Ale Bondurant plus pozbawione głowy i spalone ciało, które może należeć, albo nie, do jego córki, to dopiero materiał! Coś takiego może poruszyć samego Toma Brokawa, znaleźć się na pierwszym miejscu w „Dateline” i zwiększyć nakład brukowców. Jak będziemy za bardzo węszyć koło Bonduranta i doprowadzimy do niego prasę, to mówię wam, że on nie wytrzyma. Wpadniemy po szyję w skargi sądowe i zawieszą nas w czynnościach.

– Bondurantem i Brandtem ja się zajmę – oznajmił Kovac.

Wiedział dobrze, że będzie się musiał spisać o wiele lepiej niż tego ranka. – Wezmę na siebie pierwszy ogień, ale potrzebuję do pomocy ludzi, którzy porozmawiają z ich przyjaciółmi, znajomymi i tak dalej. Adler i Hamill, wy zajmiecie się firmą Bonduranta. Sprawdźcie, czy są jacyś pracownicy, którzy mają do niego urazę.

– Już jesteśmy tam umówieni na spotkanie za pół godziny.

– Może udałoby się porozmawiać z kimś, kto znał tę dziewczynę we Francji – zasugerował Tippen. – Może federalni mogliby tam coś znaleźć. Daliby nam cynk na temat jej przeszłości. Dziewczyna była poprzestawiana z jakiegoś powodu. Może ktoś we Francji wie, czy ten powód ma konkretne nazwisko.

– Zadzwoń do Walsh'a i zapytaj, co może zrobić w tej sprawie. Dowiedz się też, czy coś już wiadomo na temat dokumentacji medycznej. Elwood, wiesz, z czyim prawem jazdy

biega nasz świadek?

– Nie mają w Wisconsin żadnych zgłoszeń, nikt nie zawiadamiał o stracie dokumentu. Zadzwoiłem do informacji, żeby dowiedzieć się o numer telefonu, ale go nie mają. Skontaktowałem się też z pocztą, powiedzieli mi, że taka osoba wyprowadziła się i nie zostawiła nowego adresu. Czyli nici z tego.

– Mamy już portret? – zapytał Yurek.

– Kate Conlan przyprowadziła dziewczynę rano, żeby popracowała z Oscarem – poinformował Kovac, wstając. – Pójdę zobaczyć, jak to w tej chwili wygląda. Lepiej się pomódlmy, żeby DiMarco miała fotograficzną pamięć. Przełom w tej sprawie mógłby uratować nasze dupy.

– Będę potrzebował jak najszybciej kopii dla gazet – przypomniał Yurek.

– Dostarczę ci je. O której godzinie masz występować jako największa atrakcja Ameryki?

– O piątej.

Kovac spojrział na zegarek. Czas uciekał błyskawicznie, a oni nie mieli jeszcze wiele do pokazania. Nie jest łatwo ruszyć z miejsca dochodzenie zakrojone na tak szeroką skalę. Upływ czasu odgrywa w takiej sytuacji kluczową rolę. Każdy policjant wie, że po pierwszych czterdziestu ośmiu godzinach śledztwa szanse rozwiązania zagadki morderstwa gwałtownie spadają. Jednakże liczba informacji, które muszą być zebrane, potwierdzone, zinterpretowane i wykorzystane do początkowych działań, jest oszałamiająco wielka. W dodatku jeden przeoczony szczegół może być właśnie tym, który decyduje o sprawie.

Kovac spojrział na wyświetlacz swojego brzęczącego pagera: numer porucznika.

– Wszyscy, którzy będą mogli, niech przyjdą tutaj o czwartej – powiedział, zdejmując płaszcz z oparcia krzesła. – Jeżeli będziecie w terenie, meldujcie mi się przez telefon komórkowy. Wynoszę się stąd.

– Nie wyglądała na zbyt pewną siebie, Sam – oznajmił Oscar. Podprowadził Kovaca do rysownicy w niewielkim pokoju, który wydawał się jeszcze mniejszy z powodu nagromadzonych w nim rzeczy. Złożone w chwiejne wieże i stosy gazety, książki i czasopisma zajmowały każdy niemal skrawek podłogi. – Prowadziłem ją najdelikatniej, jak mogłem, ale opierała się z całych sił.

– Opierała się, bo kłamała, czy opierała się, bo się bała?

– Bała się. Wiesz dobrze, że strach może doprowadzić do bardzo silnego oporu.

– Znowu się naczytałeś, co, Oscar?

Łagodny uśmiech przebił się przez bujny zarost rysownika.

– Wykształcenie jest pokarmem dla duszy.

– Tak, i niedługo się nim udławisz – mruknął niecierpliwie Kovac wyjmując z kieszeni spodni oblepioną strzępkami włókna tabletkę mylanty. – No, rzućmy okiem na twoje arcydzieło.

– Uważam tę pracę za nie dokończoną.

Oscar odsunął nieprzezroczystą folię ochronną, odsłaniając ołówkowy szkic, który mieszkańcy Twin Cities wkrótce mieli zobaczyć, zgodnie z obietnicą najwyższych wybieralnych oraz nominowanych władz metropolii. Podejrzany był w ciemnej puchowej kurtce, skrywającej jego sylwetkę, pod kurtką miał bluzę z kapturem naciągniętym na głowę i skrywającym kolor włosów. Oczy przesłaniały ciemne okulary. Nos nie miał w sobie nic charakterystycznego, a twarz była przeciętnej szerokości. Usta częściowo zakryte wąsami.

Kovac poczuł, jak coś mu się przewraca w żołądku.

– To przecież, kurwa, ten pieprzony Unabomber! – warknął, odwracając się gwałtownie do Oscara. – Co, do diabła, mam z tym zrobić?

– No cóż, Sam, powiedziałem ci, że to nie dokończona praca – odparł Oscar swoim niskim łagodnym głosem.

– Facet ma okulary przeciwsłoneczne! Do cholery, była północ, a ona zobaczyła go w okularach? – wrzasnął Kovac. – Do kurwy nędzy! To może być każdy. To może być nikt. Na rany boskie, to mogą być nawet ja.

– Mam nadzieję, że jeszcze trochę popracuję z Angie – odparł rysownik, nie wzruszony wybuchem Kovaca. – Ona sądzi, że nie zapamiętała szczegółów, ale ja uważam, że tak. Musi tylko pozbyć się strachu i wtedy odzyska jasny obraz. Tak w końcu będzie.

– Nie ma żadnego „w końcu”, Oscar! O piątej jest konferencja prasowa, do diabła!

Sapiąc ciężko, rozejrzał się po zatłoczonym i zabałaganionym miejscu pracy rysownika, jakby szukając czegoś, czym mógłby rzucić.

Jezu, pomyślał, zachowuję się jak Sabin, który chce, żeby dowody pojawiły się na jego skinienie. Cały dzień sobie powtarzał, żeby nie liczyć na tę fałszywą smarkatą złodziejkę, którą musieli nazwać świadkiem, ale pod tą osłoną cynizmu modlił się, by otrzymać dzięki niej jasny, niepodważalny portret pamięciowy. Mimo osiemnastu lat w zawodzie nadal był optymistą. Zadziwiająco.

– Pracuję nad wersją bez wąsów – powiedział Oscar. – Co do wąsów nie była pewna.

– Jak może nie być pewna co do wąsów! Albo je, kurwa, miał, albo, kurwa, nie miał! – Nie pokażę go dzisiaj i tyle – powiedział bardziej do siebie niż do Oscara. – Poczekamy, sprowadzimy jutro dziewczynę jeszcze raz i spróbujemy wyciągnąć z niej więcej szczegółów.

– Kątem oka zauważył, że Oscar opuścił nieco głowę. Wyglądało to tak, jakby się chował za swoją brodą. Zatrzymał się i spojrzał wprost na rysownika. – Da się to zrobić, prawda, Oscar?

– Chętnie popracuję znowu z Angie. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, niż gdybym pomógł jej odblokować przepływ pamięci. Konfrontacja z tym, co pamiętamy, jest pierwszym krokiem do zneutralizowania negatywnego wpływu wspomnień. A jeśli chodzi o tę drugą sprawę, będziesz to musiał omówić z Greerem. Był tu przed godziną po kopię rysunku.

– Widziała jego twarz przez dwie minuty w świetle płonącego ciała, Sam.

Kate prowadziła Kovaca do swego gabinetu, chociaż nie miała pewności czy Sam się zmieści w tym małym wnętrzu. Kiedy był wściekły, zamieniał się wulkan energii, która wymagała nieustannego ruchu.

– Patrzyła wprost na jasno oświetloną twarz mordercy. Daj spokój, Ruda. Nie uważasz, że szczegóły, jak to się mówi, wypaliły się w jej pamięci?

Kate usiadła przy biurku, podwijając stopy. Bała się, że Kovac może jej nadepnąć na palce.

– Myślę, że jej pamięć może się wydatnie poprawić po zastrzyku żywej gotówki – powiedziała.

– Co?

– Dowiedziała się o nagrodzie Bonduranta i chce coś z tego urwać. Winisz ją za to, Sam? Ten dzieciak nie ma nic ani nikogo. Mieszkała na ulicy i robiła Bóg wie co, żeby przeżyć.

– Powiedziałas jej, że nagrody wypłaca się po skazaniu podejrzanego? Nie możemy skazać kogoś, kogo nie potrafimy złapać. A nie potrafimy złapać kogoś, o kim nie mamy pojęcia, jak, do diabła, wygląda.

– Wiem. Nie musisz mnie pouczać. I, potraktuj to jako ostrzeżenie, nie pouczaj również Angie. Ona się waha, Sam. Możemy ją stracić. W przenośni i dosłownie. Już teraz uważasz, że sprawy przedstawiają się fatalnie, a wyobraź sobie, co się stanie, jeżeli twój jedyny świadek pryśnie.

– O czym ty mówisz? Myślisz, że powinniśmy do niej kogoś przydzielić?

– Kogoś nie wyróżniającego się, w cywilu i trzymającego się na dystans. Jeśli postawisz mundurowego policjanta na chodniku przed Phoenix House, to tylko pogorszysz sprawę. Ona już myśli, że traktujemy ją jak przestępczynię.

– Świetnie – mruknął Kovac. – I czego jeszcze sobie życzy jej wysokość?

– Nie wyzywaj się na mnie – ostrzegła Kate. – Jestem po twojej stronie. I przestań tak krążyć, bo ci się zakręci w głowie. Mnie już się kręci.

Kovac wziął głęboki oddech i stanął, oparłszy się o ścianę na wprost Kate.

– Wiedziałeś, czego można oczekiwać po tej dziewczynie, Sam. Dlaczego jesteś teraz zaskoczony? A może chciałeś, żeby na tym rysunku znalazła się jedna z twoich byłych żon?

Kovac skrzywił się i przesunął dłonią po twarzy. Miał ochotę na papierosa.

– Mam złe przeczucia w tej sprawie, Kate – przyznał. – Chyba się spodziewałem, że dobry duszek dotknie dziewczynę swoją różdżką. A może, że ją szturchnie. Albo przystawi jej pistolet do głowy. Miałem nadzieję, że ta mała będzie wystarczająco przestraszona, żeby powiedzieć prawdę. Teraz Oscar mi tłumaczy, że strach utrudnia jej wyznanie.

– Znowu się naczytał tych psychologicznych książek, prawda?

– Wygląda na to, że tak – westchnął Kovac. – Najważniejszy problem polega na tym, że potrzebuję czegoś, żeby ruszyć z tym śledztwem z miejsca, bo jak nie, to ześlą mnie do pracy w jakiejś dziurze. Chyba miałem nadzieję, że ten portret mi pomoże.

– Poczekaj jeszcze dzień. Przyprowadzę ją znowu jutro. Zobaczymy, czy Oscar zdoła zastosować swoje mistyczne zdolności i coś z niej wyciągnąć.

– Nie wydaje mi się, żebym mógł z tym czekać. Wielki szef Mały Dick już zdążył położyć łapy na rysunku. Będzie chciał, żebyśmy się nim popisywali. Ma zamiar osobiście go pokazać na konferencji prasowej. Przekłete szychy. W takiej sprawie jak ta zachowują się gorzej niż dzieci. Każdy jest żądny uznania. Każdy chce, żeby jego twarz ukazała się w wiadomościach. Wszyscy usiłują wyglądać na ważnych, jakby mieli w ogóle coś wspólnego ze śledztwem, a tak naprawdę to tylko przeszkadzają prawdziwym śledczym.

– Więc to cię tak wścieka, Sam – zauważyła Kate. – Naprawdę, wcale nie chodzi o portret, tylko o twoją wrodzoną niechęć do pracy pod czyimś kierownictwem.

Kovac spojrział na nią nachmurzony.

– Też czytałaś książki Oscara?

– Mam dyplom z grzebania się w mózgu – przypomniała mu. – Co może się stać, jeżeli portret zostanie opublikowany, ale nie będzie zbyt przypominał zabójcy?

– Nie wiem, Kate, ten gnojek przypieka kobiety i odcina im głowy. Co jeszcze gorszego może się zdarzyć?

– Ten rysunek go nie urazi – powiedziała. – Raczej będzie rozbawiony i uzna, że znowu was wyprowadził w pole.

– Ach tak. A wtedy poczuje się niepokonany i uzna, że może znowu kogoś załatwić! Doskonale.

– Nie bądź takim fatalistą. Spróbuj to wykorzystać. Zapytaj Quinna. Poza tym, jeżeli rysunek będzie chociaż częściowo przypominał przestępcę, niewykluczone, że coś na tym zyskasz. Może ktoś uświadomi sobie, że widział podobną osobę koło samochodu dostawczego. Może ktoś pamięta fragment numeru rejestracyjnego czy jakieś wgniecenia karoserii, albo człowieka, który utyka. Wiesz równie dobrze jak ja, że przypadek gra w takim dochodzeniu wielką rolę.

– No tak – odparł Kovac, niechętnie ruszając się z miejsca. – Przydałaby się nam kupa takich przypadków. Więc gdzie jest teraz ta wesoła dziewczynka?

– Poprosiłam, żeby ją odwieziono z powrotem do Phoenix House. Nie była z tego specjalnie zadowolona.

– A to pech.

– Jasne. Wolałaby pokój w hotelu, jakieś mieszkanie czy coś takiego. Ale ja chcę, żeby była między ludźmi. Kiedy znajdzie się w izolacji, nie pomoże jej się to otworzyć. W dodatku byłoby dobrze, żeby ktoś ją miał na oku. Przejrzeliście ten jej plecak?

– Liska to załatwiła. Angie była wkurzona, no, ale w końcu spotkaliśmy ją, jak uciekała od trupa bez głowy. Nie mogliśmy ryzykować, że coś jej odbije. Ten policjant, który ją zatrzymał, powinien był to zrobić na miejscu, ale cały się trząśł na myśl o Joem Podpalaczu. Durny żółtodziób. Schrzani w podobny sposób sprawę z jakimś innym typem i sam oberwie.

– Czy Nikki coś znalazła?

Kovac wydał usta i pokręcił głową.

– Co masz na myśli? Narkotyki?

– Nie wiem. Być może. Jej zachowanie jest bardzo nierówne. Raz jest ożywiona, a potem otępiła; harda, a w chwilę później na granicy płaczu. Zaczynam uważać, że coś jest z nią nie tak, ale zaraz reflektuję się i myślę: mój Boże, kobieto, pamiętaj o tym, co ona przeszła. Może biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, należy uznać, że jest wyjątkowo zdrowa i ma trzeźwy umysł.

– A może brakuje jej działki – rzucił Sam, podchodząc do drzwi. – Może właśnie dlatego była w parku o północy. Znam paru facetów z wydziału narkotyków, skontaktuję się z nimi. Niewykluczone, że znają tę dziewczynę. Nic na nią nie mamy. Z Wisconsin też nic nie przyszło.

– Rozmawiałam z Susan Frey z naszego wydziału do spraw nieletnich. Siedzi w tym od dawna, więc ma znakomitą siatkę kontaktów. Rob wykorzystuje swoje znajomości w Wisconsin. Ale tymczasem trzeba coś Angie za to dać. Pokazać, że ją doceniamy. Mógłbyś

wysupłać jakieś niewielkie pieniądze dla niej jako informatora?

– Zobaczę, co się da zrobić.

Kolejne zadanie na jego już i tak długiej liście obowiązków. Biedny facet, pomyślała Kate. Bruzdy znaczące jego twarz wydawały się głębsze niż zwykle. Miał na głowie problem gnębiący całe miasto. Marynarka zwisiała na nim luźno, jakby wchłonał całą apreturę tkaniny, żeby wzmocnić swą zanikającą energię.

– Wiesz co, nie kłopotz się tym – powiedziała, kiedy Kovac otworzył drzwi. – Załatwię to sama z twoim porucznikiem. Masz ważniejsze rzeczy do roboty.

Odwrócił się do niej już za progiem i uśmiechnął się blado.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Cóż, zwykłe przeczucie.

– Dziękuję. Na pewno sama nie jesteś zbyt zajęta obezwładnianiem uzbrojonych wariatów?

– Słyszałeś już o tym, co? – Kate skrzywiła się, niezadowolona, że wczorajszy incydent wywołał takie zainteresowanie jej osobą.

Odrzuciła już pół tuzina próśb o wywiad i wiele razy musiała odwiedzić łazienkę, żeby nałożyć makijaż na siniaki.

– Byłam w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, to wszystko. Takie już jest moje życie – powiedziała.

Kovac zrobił zamyśloną minę, jakby rozważał wypowiedzenie jakiejś bardzo głębokiej refleksji, ale w końcu pokręcił tylko głową.

– Jesteś super, Ruda.

– Wątpię. Po prostu mam anioła stróża z wypaczonym poczuciem humoru. Idź i walcz, sierżancie. Ja zajmę się świadkiem.

Irytują go zatłoczone jezdnie. Wjeżdża na Trzydziątą Piątą Zachodnią, która prowadzi z centrum miasta na południe, żeby uniknąć świateł sygnalizacji ulicznej i męczących zakrętów drugiej trasy. Pojazdy zatrzymują się i ruszają na przemian, aż w końcu ogarnia go ochota, żeby porzucić samochód i ruszyć wzdłuż ulicy, wyciągając na chybił trafił ludzi z samochodów i tłukąc ich po głowach łyżką do opon. Czuje się rozbawiony na myśl, że inni kierowcy prawdopodobnie fantazjują w podobny sposób. Nie mają pojęcia, że człowiek siedzący tuż obok nich w ciemnym aucie potrafi zrealizować takie marzenie bez drgnienia powieki.

Patrzy na kobietę siedzącą za nim w czerwonym saturnie. Jest ładna, ma nordyckie rysy twarzy i platynowoblond włosy, ułożone w spojona lakierem do włosów, utapirowaną na pozór bezładnie fryzurę. Dostrzegła, że się jej przygląda, więc on uśmiecha się do niej i pozdrawia ją gestem ręki. Kobieta odpowiada uśmiechem, a potem robi śmieszoną minę, pokazując w ten sposób, co myśli o stojących wokół samochodach. On wzrusza ramionami, uśmiecha się i mówi bezgłośnie: co można na to poradzić?

Wyobraża sobie jej twarz pobladłą i ściągniętą ze strachu, kiedy on pochyła się nad nią z nożem. Widzi nagą pierś, podnoszącą się i opadającą w rytmie płytkiego oddechu. Słyszy drżenie w głosie kobiety, kiedy ona błaga go o darowanie życia. Potem straszliwe wrzaski, gdy odcina jej piersi.

Ogarnia go narastające fizyczne podniecenie.

„Prawdopodobnie najbardziej istotnym czynnikiem w kształtowaniu osobowości seryjnego gwałciciela lub mordercy jest fantazja” – pisał John Douglas w *Tworzeniu profilu psychologicznego*.

Jego własne fantazje nigdy go nie szokowały. Również w dzieciństwie, kiedy często myślał o tym, jak by to było, gdyby obserwował, jak umiera żywa istota, jak by się czuł, gdyby zacisnął dłonie na gardle kota czy dziecka z sąsiedniego domu i trzymał sprawę jego życia i śmierci dosłownie w swoich rękach. Podobnie było w wieku dojrzewania, kiedy fantazjował o obcięciu brodawek z piersi matki lub wycięciu jej krtani i zmiażdżeniu jej młotkiem. Potrafiłby też wyciąć macicę i wrzucić ją do pieca.

Wie, że dla takich zabójców jak on sam podobne myśli stanowią trwałą część ich życia wewnętrznego i procesu poznania świata. A zatem są dla niego czymś naturalnym. Naturalnym, więc nie dewiacyjnym.

Zjeżdża z trasy i podąża na zachód wzdłuż obsadzonych drzewami bocznych ulic w kierunku jeziora Calhoun. Blondynka zniknęła, a wraz z nią gra wyobraźni. Znowu przypomina sobie o popołudniowej konferencji prasowej, jednocześnie rozbawiony i sfrustrowany. Policja miała rysunek, i to go rozbawiło. Stał wśród innych ludzi, kiedy Greer uniósł do góry podobiznę, która miała podobno być jego portretem. Tak dokładnie, że ludzie rozpoznaliby go na ulicy na pierwszy rzut oka. A kiedy konferencja się skończyła, wszyscy ci reporterzy przeszli tuż obok niego.

Powodem frustracji był John Quinn. Nie pokazał się na konferencji i nie zajął oficjalnego stanowiska, co wyglądało na rozmyślną obrazę. Pewnie jest zbyt zaprzątnięty swoją dedukcją i spekulacjami. Skupia całą uwagę na ofiarach. Kim były i czym były? Zastanawia się nad tym, dlaczego zostały wybrane.

„W pewnym sensie ofiara kształtuje i formuje przestępcę... aby go poznać, musimy poznać ofiarę, czyli partnera dopełniającego osobowość mordercy” – pisał Hans von Hentig.

Quinn też tak uważa. Jego podręcznik na temat zabójstw na tle seksualnym jest jednym z wielu, które stoją u niego na półce. *Uwiedzenie zbrodnią Katza, Zbrodniczy umysł od środka* Samenowa, *Bez sumienia* Hare'a, *Zabójstwa na tle seksualnym: schematy i motywy* Resslera, Burgessa i Douglasa. Przestudiował je wszystkie. Inne książki też. Ich lektura była dla niego odkrywczą podróżą w głąb samego siebie.

Skręca w kierunku swojego domu. Część powierzchni miasta jest zajęta przez jeziora, więc otaczające je ulice są często nieregularne. Ta ulica zakręca w taki sposób, że znajdujące się przy niej posesje mają większą niż przeciętna powierzchnię. Dzięki temu zapewniają więcej prywatności. Parkuje samochód na betonowym podjeździe przed garażem i wysiada. Noc już pochłonęła resztki dziennego światła. Wiejący z zachodu wiatr przynosi odór świeżych psich odchodów. Woń poraża jego nozdrza na ułamek sekundy przed gwałtownym szczekaniem miniaturowego psa.

Z ciemności sąsiedniej posesji wypada bichon frise pani Vetter, stworzenie, które wygląda jak kłębek luźno ze sobą szepionych białych pomponów. Zatrzymuje się w odległości półtora metra od niego, i zapierając się pazurami o ziemię, szczeka i warczy niczym wściekła wiewiórka.

Odgłos szczekania od razu wywołuje w nim gniew. Nienawidzi tego psa. Nienawidzi go szczególnie teraz, bo spowodował nawrót jego fatalnego nastroju, który odczuwał w

drodze do domu. Ma ochotę kopnąć tę kreaturę tak mocno, jak tylko potrafi. Wyobraża sobie piskliwy jazgot, a potem bezwładne ciało zwierzęcia, kiedy podnosi je za gardło i skręca mu kark.

– Bitsy! – krzyczy piskliwie pani Vetter z frontowych schodów domu. – Bitsy, chodź tutaj!

Yvonne Vetter ma sześćdziesiąt parę lat i jest niesympatyczną kobietą o przenikliwym głosie i wiecznie kwaśnej minie na okrągłej twarzy. On nie znosi jej z całej duszy i za każdym razem, kiedy widzi tę babę, marzy tylko o tym, żeby ją zabić, ale powstrzymuje go jakieś równie silne i wewnętrzne uczucie. Nie ma ochoty analizować owego uczucia, a jeszcze bardziej gniewa go myśl o tym, co mógłby z tego wywnioskować John Quinn.

– Bitsy! Chodź tutaj!

Pies warczy na niego, a potem odwraca się i zaczyna biegać wzdłuż ściany garażu, zatrzymując się przy węglach i sikając na ścianę.

– Bitsy!

Pulsowanie krwi narasta boleśnie w jego głowie, a wypełniające mózg ciepło spływa do reszty ciała. Jeżeli Yvonne Vetter przejdzie teraz przez trawnik, to ją zabije. Chwyci babsko i stłumi jej wrzaski trzymaną w ręku gazetą. Wciągnie szybko starą Vetter do garażu, trzaśnie ją głową o ścianę, żeby straciła przytomność, a potem zabije psa. Musi uciszyć to piekielne ujadanie. Później pozwoli uwolnić się swoim emocjom i zamorduje Yvonne Vetter w taki sposób, aby nasycić dziki głód, który skrywa teraz w swym wnętrzu. Vetter zaczyna schodzić ze schodów.

Mięśnie na jego plecach i ramionach napinają się. Puls przyśpiesza.

– Bitsy! Wracaj!

Wciąga pełne płuca powietrza. Zaciska palce na gazecie.

Pies wydaje jeszcze jedno szczeknięcie i rzuca się do swojej pani. Ta pochyla się, stojąc pięć metrów od niego, i bierze psa w ramiona, jakby to było dziecko.

Sprzyjający moment minął.

– Okropnie jest dzisiaj podekscytowany – mówi do sąsiadki z uśmiechem.

– Zawsze się tak zachowuje, jak za długo siedzi w domu. Pana też nie lubi – mówi pani Vetter i odchodzi z psem.

– Pieprzona suka!

Wie, że gniew będzie wibrował w nim przez dłuższy czas, niczym kamerton, który drży jeszcze długo po tym, jak się nim uderzy. On zacznie raz po raz odgrywać w wyobraźni scenę morderstwa Yvonne Vetter.

Wchodzi do garażu, gdzie stoi blazer i czerwony saab, i stamtąd przez boczne drzwi dostaje się do domu. Pilno mu przeczytać artykuły o Krematorze w obydwu gazetach. Wytnie wszystkie artykuły na temat śledztwa i zrobi z nich fotokopie, ponieważ druk gazetowy jest marnej jakości i nie wytrzyma długo. Ma nagrane na kasecie wideo ogólnokrajowe wiadomości wieczorne oraz lokalny dziennik. Obejrzy je, wypatrując wszelkich wzmianek o Krematorze.

Kremator. Bawi go to określenie. Brzmi tak, jakby pochodziło z komiksu. Kojarzy się z wyobrażeniami nazistowskich zbrodniarzy wojennych albo z potworami z filmów kategorii B. Materiał na koszmary senne.

On naprawdę jest materiałem na koszmary.

Podobnie jak stwory z dziecięcych filmów, też wchodzi do piwnicy. To jego sanktuarium, idealne schronienie. Główne pomieszczenie to amatorskie studio dźwiękowe. Ściany i sufit wyłożono tłumiącymi dźwięk płytkami, a podłogę pokrywa wykładzina w kolorze piaskowca. Podoba mu się niski sufit, brak dziennego światła i uczucie przebywania we wnętrzu ziemi, pośród betonowych ścian. To jego własny prywatny świat. Całkiem jak wtedy, gdy był chłopcem.

Wchodzi do holu, a stamtąd do pomieszczenia rekreacyjnego. Trzyma przed sobą gazety, żeby napawać się widokiem nagłówków.

– Tak, jestem sławny – mówi z uśmiechem. – Ale nie przejmuj się. Też niedługo będziesz sławna. Nie ma przyjemniejszego uczucia.

Odwraca się w stronę stołu bilardowego, trzymając gazety pod takim kątem, żeby leżąca na nim na plecach skrzepowana naga kobieta mogła dojrzeć tytuły. Jednak ona wpatruje się wprost w niego błyszczącymi z przerażenia, pełnymi łez oczyma. Dźwięki, które wydaje, nie są słowami, ale czysto atawistycznym wyrazem najbardziej podstawowego ludzkiego uczucia: strachu.

Te odgłosy są jak impulsy elektryczne, podsycające jego energię. Strach kobiety sprawia, że on może nią sterować. Sterowanie oznacza władzę, a władza jest idealnym afrodyzjakiem.

– Niedługo też się tu znajdziesz – mówi, przeciągając palcem pod wydrukowanym tłustym drukiem tytule w „Star Tribune”: „I w proch się obrócisz”.

Dzień przemienił się niepostrzeżenie w wieczór, a potem w noc. Jedynym czasomierzem dla Quinna był zegarek, na który z rzadka rzucał okiem. W przydzielonym mu gabinecie nie było okien, tylko ściany, które już zdążył zapełnić małymi karteczkami.

Przyklejając notatki do ściany, często przyciskał głową do ramienia słuchawkę telefonu. Konsultowano się z nim na temat sprawy z Blacksburg, gdzie podejrzany wydawał się zupełnie bliski przyznania się do winy. Quinn powinien być tam. Jego wewnętrzna potrzeba panowania nad sytuacją budziła w nim przekonanie, że potrafi zapobiec wszelkim błędom, choć wiedział, że to nie prawda.

Kovac zaproponował mu pokój w lokalu pod nazwą zmodyfikowaną teraz przez członków grupy specjalnej na Biuro Czułego Dotyku Śmierci. Odmówił jednak. Potrzebował separacji, izolacji. Nie mógł być tam, gdzie grupa policjantów przerzuca się teoriami i nazwiskami podejrzanych jak piłeczkami do ping-ponga. Już teraz czuł się tym skażony.

Fakt, że John Quinn został sprowadzony do pomocy w sprawie Krematora, dotarł już do publicznej wiadomości. Kovac przekazał mu tę niedobłą informację po konferencji prasowej. Wkrótce będzie musiał sam stawić czoło mediom. – Do diabła, potrzebował więcej czasu. Miał przed sobą kilka godzin do dyspozycji. Powinien się teraz intensywnie zagłębić w sprawę, ale nie był w stanie tego zrobić. Odczuwał skrajne zmęczenie, a wrzód palił go piekącym bólem. Był głodny, ale chociaż dobrze wiedział, że potrzebuje paliwa, by podtrzymać pracę mózgu, nie chciał tracić czasu na wychodzenie. Przepelniało go zbyt wiele informacji, a w głowie aż szumiało od nadmiaru kofeiny. Poza tym w głębi duszy wibrowało dobrze mu znane uczucie niepokoju; to samo, które pojawiała się zawsze, gdy pracował na miejscu wydarzenia. Tym razem było jeszcze silniejsze z powodu okoliczności i natrętnych strzępów obrazów sprzed lat. Wzmacniał to uczucie strach, który ostatnio podkradał się coraz bliżej. Strach, że on nie będzie w stanie wystarczająco szybko dokonać przełomu w sprawie. Strach, że coś popsuje. Strach, że gnębiące go zmęczenie w pewnym momencie okaże się zbyt potężne. Strach, że w rzeczywistości jedyną rzeczą, której pragnie, jest po prostu rzucenie tego wszystkiego raz na zawsze.

Usiłując się otrząsnąć, zaczął spacerować tam i z powrotem wzdłuż oklejonej notatkami ściany. Zerkał na nie co chwila, ale w jego myślach ciągle pojawiał się ten sam widok: twarze Bonduranta i Brandta.

Peter Bondurant więcej skrywał, niż ujawniał.

Lucas Brandt posiadał licencję na utrzymywanie sekretów.

Żałował, że w ogóle się z nimi spotkał. Powinienem był bardziej się upierać przy tym, żeby nie przysyłali mnie tutaj na tak wczesnym etapie śledztwa, pomyślał, masując bolesne miejsca na prawym ramieniu. Teraz nie mógł zapanować nad sytuacją. Gdy pojawiał się na scenie z obmyśloną wcześniej strategią, był w korzystniejszym położeniu.

Ta zasada odnosiła się nie tylko do tego przypadku. Stosował ją, kierując całym swoim

życiem; zdawała egzamin w utarczkach z biurokracją w FBI, w kontaktach z Chińczykami, którzy prowadzili punkt, gdzie miał swoją skrytkę pocztową, nawet w robieniu zakupów w sklepie spożywczym. W każdej sytuacji, w każdym z układów panowanie nad sytuacją było czynnikiem kluczowym.

Gdzieś w głębi jego myśli pojawiła się Kate, jakby po to, by go podrażnić. Ile razy w ciągu tych lat odtwarzał w pamięci to, co zaszło między nimi, modyfikując w wyobraźni swoje zachowanie i reakcje tak, żeby otrzymać inny rezultat końcowy? Więcej niż był skłonny się przyznać. Jego dewiza życiowa brzmiała: panowanie nad sytuacją i strategia, ale w stosunku do Kate nie dysponował ani jednym, ani drugim. Najpierw byli znajomymi, potem nagle przyjaciółmi i wreszcie zakochaną w sobie na zabój parą. Nie mieli czasu na myślenie. Zanadto pochłaniało ich przeżywanie chwili obecnej, by mogli dojrzeć jakąkolwiek perspektywę. Zbyt mocno przyciągały ich do siebie pragnienie i namiętność, silniejsze od nich samych. Potem to się skończyło, ona zniknęła i... nie zostało nic. Nic poza żalem, że pozwolił, aby tak się stało, kierując się przekonaniem, iż w końcu oboje zrozumieją, że to najlepsze z możliwych rozwiązań.

Tak, tak było najlepiej. W każdym razie dla Kate. Miała tutaj własne życie. Miała pracę, przyjaciół, dom. Powinien się zdobyć na tyle rozsądku, żeby powstrzymać się przed tym, pozwolić, by sprawy toczyły się własnym trybem, ale pokusa nadarzającej się okazji przyciągała go niby czyjś kiwający na niego palec i uwodzicielski uśmiech. Popychała go też siła całego przeżytego żalu.

Uważał, że pięć lat to wiele czasu, żeby podtrzymywać w sobie żal, ale inne sprawy były obecne w jego duszy jeszcze dłużej. Nie rozwiązane przypadki, przegrane sprawy sądowe, zabójca dziecka, który uniknął kary. Jego małżeństwo, śmierć matki, alkoholizm ojca. Nie zapominał nigdy o niczym. Może to dlatego czuł się tak pusty wewnątrz: nie było w nim miejsca na nic innego oprócz uschniętych szczątków przeszłości.

Zaklął pod nosem, zły na samego siebie. Miał przecież wnikać w umysł przestępcy, a nie swój własny. Nie pamiętał, kiedy przysiadł na biurku, nie miał pojęcia, ile minut stracił. Przetarł dłońmi twarz, oblizał wargi i poczuł nikły smak szkockiej. Dziwne odczucie psychiczne i potrzeba, która miała pozostać nie spełniona. Nie pozwalał sobie na picie. Nie pozwalał sobie na palenie. Nie pozwalał sobie na wiele rzeczy. Gdyby jeszcze dodał do owej listy żal, to co by mu zostało?

Podszedł do tej części ściany, na której przykleił krótkie notatki na temat ofiar Krematora. Sporządził je ręcznie kolorowymi markerami. Drukowane litery. Zwięzłe pismo, mocno pochylone w prawo. Ten charakter pisma, na widok którego grafolodzy unoszą brwi i

wygłaszają nader ostrożne oceny.

Nad notatkami umieścił zdjęcia wszystkich trzech ofiar. Leżący na biurku segregator wypełniały liczne strony starannie napisanych na maszynie raportów, mapy, rysunki i fotografie miejsca zbrodni oraz protokoły z sekcji zwłok. To była jego przenośna Biblia, dotycząca tej sprawy. Przydała mu się do uporządkowania niektórych podstawowych informacji i odpowiedniego rozmieszczenia na ścianie notatek i zdjęć trzech uśmiechniętych kobiet. Kobiet, które usunięto z tego świata, zdmuchnięto ich życie niby płomień świeczki, odebrano im brutalnie godność.

Trzy białe kobiety. Wszystkie w wieku od dwudziestu jeden do dwudziestu trzech lat. Ich wzrost wahał się od stu sześćdziesięciu pięciu do stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów. Różniły się też pod względem budowy ciała. Masywnie zbudowana Lila White, potem drobna Fawn Pierce i na koniec nieznana kobieta przeciętnej budowy, być może Jillian Bondurant.

Dwie prostytutki i studentka college'u. Mieszkały w różnych dzielnicach miasta. Obydwie prostytutki pracowały w różnych rewirach, a Jillian Bondurant nie bywała w żadnej z tych okolic. Lila i Fawn może czasami przypadkiem przebywały blisko siebie, ale było wysoce nieprawdopodobne, żeby Jillian odwiedzała któryś z tych samych barów, restauracji czy sklepów, co one. Rozważał już ewentualny trop narkotykowy, ale jak dotąd, nie dysponowali żadnymi informacjami, które mogłyby potwierdzać tę wersję. Lila White zerwała z nałogiem ponad rok temu, po przejściu kuracji odwykowej. Nic nie świadczyło o tym, żeby Fawn Pierce kiedykolwiek zażywała narkotyki, chociaż wiadomo było, że od czasu do czasu zdarzało się jej upijać tanią wódką. A Jillian? Nie znaleziono w jej domu żadnych narkotyków, podczas sekcji zwłok zaś nie stwierdzono ich śladów w jej organizmie. Nie była również notowana w związku z narkotykami. Nikt też nie wspominał o tym, żeby je zażywała.

„Myśli pan, że chcieliby wiedzieć, dlaczego ich córki zostały kurwami i narkomankami?”

Nadal pamiętał gorzki ton głosu Petera Bonduranta. Skąd wzięła się owa gorycz? Jillian była tym elementem zagadki, który nie pasował do całej sprawy. Była osobą, która zakłócała portret psychologiczny przestępcy. Mordercy, których ofiarami padają prostytutki, nie są rzadkością. prostytutki tworzą grupę wysokiego ryzyka, są łatwym celem. Ich zabójcami bywają przeważnie niedostosowani społecznie, nie odnoszący zawodowych sukcesów biali mężczyźni; przeżyli oni kiedyś poniżenie ze strony kobiet i teraz szukają zemsty na całej płci, karząc te jej przedstawicielki, które uważają za najgorsze ze wszystkich.

A może Jillian wiodła w tajemnicy życie prostytutki? Nie wydawało się to zbyt nieprawdopodobne, ale jak do tej pory, nic nie wskazywało na to, że miała chociażby chłopaka. Co dopiero mówić o całej liście fagasów.

„Chłopcy jej nie interesowali. Nie zależało jej na przelotnych związkach. Przeszła tak wiele...”

Co przeszła? Rozwód swoich rodziców, chorobę matki, obecność ojczyma i życie w nowym kraju. Co jeszcze? Coś głębszego? Coś bardziej ponurego? Coś, co zmusiło ją do podjęcia terapii u Lucasa Brandta?

„Powinien pan wziąć pod uwagę możliwość, że problemy, z jakimi Jillian tu przychodziła, niekoniecznie muszą mieć coś wspólnego z jej śmiercią. Jej zabójca mógł w ogóle nic o niej nie wiedzieć”.

– Mogę się założyć o całego dolara, że wiedział, doktorze Brandt – powiedział cicho Quinn, wpatrując się w fotografię dziewczyny.

Czuł to w głębi serca. Jillian była kluczem do zagadki. Coś, co wydarzyło się w jej życiu, sprawiło, że trafiła na celownik zabójcy. Gdyby potrafili odkryć, co to takiego, mogliby mieć nadzieję, że złapią tego sukinsyna.

Wrócił do biurka i przerzucił papiery w segregatorze, odszukując fotografie: kolorowe zdjęcia formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć, starannie podpisane. Miejsca zbrodni: ogólny widok, układ terenu, pozycja ciała sfotografowana pod różnymi kątami, powiększenia szczegółów spalonych, zbrukanych zwłok. Prosektorium: ogólne i fragmentaryczne ujęcia przed i po oczyszczeniu zwłok, fotografie z sekcji, zdjęcia fragmentów ciała z widocznymi ranami. Rany zadane przed śmiercią, wskazujące na to, że sprawcą był sadysta na tle seksualnym. Rany zadane po śmierci, bardziej fetyszystyczne niż sadystyczne, związane z fantazjami zabójcy.

Wyrafinowane fantazje. Fantazje, które morderca wypracowywał przez długi, długi czas.

Przejrzał powoli powiększenia zdjęć ukazujących rany. Przyglądał się każdemu znakowi, jaki zostawił zabójca, zatrzymując się dłużej nad ranami kłutymi na klatce piersiowej ofiar. Osiem ran kłutych, zgromadzonych w jednym miejscu. Dłuższe i krótsze otwory wlotowe, układające się w specyficzny schemat. Największa zagadka dotycząca morderstw popełnianych przez Krematora. Jeszcze większa niż palenie zwłok. Palenie wydawało się czymś na pokaz, jak wygłoszenie publicznego oświadczenia. „I w proch się obrócisz”. Symboliczny pogrzeb, koniec jego związku z ofiarą. Rany kłute jednak oznaczały

coś bardziej osobistego, wewnętrznego. Ale co?

Kakofonia dźwięków wypełniła myśli Quinna: głos Bonduranta, Brandta, lekarki sądowej, Kovaca, policjantów, koronerów, ekspertów i agentów z setek poprzednich spraw. Wszyscy mieli jakąś opinię, czy pytanie lub własną sprawę do załatwienia. Wszyscy mówili tak głośno, że już nie był w stanie usłyszeć własnych myśli. Zmęczenie wydawało się jeszcze bardziej potęgować hałas, aż zapragnął, by ktoś go wyłączył.

„Wielki Quinn”. Tak go nazywali w Quantico. Gdyby mogli zobaczyć go teraz... Wyglądał tak, jakby wprost dusił się ze strachu, że coś przegapi lub skieruje śledztwo na zły tor.

Jego umysł był przeciążony, i tylko on sam mógł przekreślić kontakt. Najbardziej przerażało to, że jedynie od niego zależało, by sytuacja rozwinęła się inaczej, ale jednocześnie nie chciał tego zrobić, gdyż rozwiązanie alternatywne, czyli odejście z pracy, napawało go jeszcze większym strachem. Bez pracy nie było Johna Quinna.

Czuł, jak gdzieś w głębi jego ciała pojawia się nieznaczne drzenie, które niepostrzeżenie się rozszerza i dociera do ramion. Zaczął walczyć z nim zaciekle, napinając mięśnie i usiłując zepchnąć słabość z powrotem w głąb siebie. Zacisnął powieki, położył się na podłodze i zaczął robić pompki. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści i jeszcze, aż poczuł, że skóra na ramionach niemal mu pęka, nie mogąc utrzymać napiętej masy mięśni, aż ból wyparł z jego głowy hałas, a on nie słyszał już nic oprócz łomotania własnego pulsu. Potem podniósł się ciężko na nogi, oddychając gwałtownie, rozgrzany i wilgotny od potu.

Wpatrzył się w wiszące przed nim fotografie, nie widząc już teraz naruszonej tkanki, krwi czy w ogóle zwłok, lecz tylko ranę. Litera X na drugiej literze X.

– Znak krzyża na sercu – mruknął, przeciągając palcem po ranie na zdjęciu. – Przysięga na śmierć i życie.

– Seryjny morderca czyha na ulicach Minneapolis. Dzisiaj policja miejska opublikowała portret pamięciowy człowieka, który być może brutalnie zamordował trzy kobiety, i to jest dzisiaj nasza najważniejsza informacja...

Pensjonariuszki Phoenix House siedziały na zbieraniu krzesel i kanap w salonie, przysłuchując się słowom barczystego spikera wiadomości telewizyjnych kanału jedenastego. Na ekranie pojawiła się relacja z popołudniowej konferencji prasowej. Szef policji podniósł do góry portret Krematora, a potem cały ekran wypełnił się rysunkiem.

Angie przyglądała się wszystkiemu, stojąc w drzwiach. Nie zwracała uwagi na telewizję, tylko na kobiety. Kilka z nich było o wiele starszych od niej. Cztery miały trochę

powyżej dwudziestki. Jedna była stara, otyła i brzydka, ubrana w bawełnianą koszulkę bez rękawów, ponieważ piec centralnego ogrzewania przegrzewał się i wewnątrz domu było gorąco i sucho jak na pustyni. Obwisłe białe ramiona kobiety przypominały brzuch ryby. Kiedy siedziała, jej własny brzuch opierał się na udach.

Angie wiedziała, że kobieta kiedyś była prostytutką, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby jakiegokolwiek mężczyznę mogło wystarczająco przypilić, żeby zapłacić komuś takiemu za seks. Mężczyznom podobają się przystojne, młode dziewczyny. Nieważne, jak brzydki czy stary jest mężczyzna, zawsze chce ładnych dziewczyn. Angie wiedziała to z doświadczenia. Może właśnie dlatego gruba Arlene trafiła do Phoenix House. Może nie potrafiła już zachęcić nikogo, by jej płacił, i Phoenix stał się jej emeryckim schronieniem.

Jedna z kobiet, rudowłosa, o bladej twarzy i typowym dla narkomanki wyglądzie, zaczęła płakać, kiedy na ekranie pokazały się zdjęcia trzech ofiar. Pozostałe udawały, że tego nie widzą. Toni Urskine przysiadła na krawędzi krzesła rudowłosej, pochyliła się i dotknęła jej ramienia.

– Nie powstrzymuj się, Rito – powiedziała łagodnie. – Nie powstrzymuj się przed płaczem. Fawn była twoją przyjaciółką.

Rudowłosa podciągnęła kościste gołe stopy na siedzenie krzesła i łkając, ukryła twarz na kolanach.

– Dlaczego musiał ją zabić w ten sposób? Nie zrobiła nikomu krzywdy!

– Co tu się zastanawiać – odezwała się inna. – To mogła być każda z nas.

Było to oczywiste dla nich wszystkich, nawet dla tych, które usiłowały temu zaprzeczać.

– Trzeba uważać, z kim się idzie – powiedział Gruba Arlene. – Liczy się rozsądek.

Czarnoskóra kobieta z włosami zaplecionymi w przetłuszczone warkoczyki spojrzała na nią niechętnie.

– Tak jakby człowiek mógł przebierać! Kto by chciał związać twoją grubą dupę? Żeby zobaczyć, jak ten cały tłuszcz trzęsie się jak galareta, kiedy się ciebie tnie na kawałki?

Arlene zmarszczyła zaczerwienioną nagle twarz, aż oczy zniknęły jej za poduszkami policzków i obwisłych łuków brwiowych. Angie pomyślała, że stara prostytutka wygląda teraz jak chow-chow.

– Zamknij mordę, ty koścista suko!

Toni Urskine odeszła od rudowłosej i stanęła pośrodku pomieszczenia z gniewną miną. Podniosła ręce do góry jak sędzia sportowy.

– Słuchajcie! Dość tego! Musimy nauczyć się szanować nawzajem i dbać o siebie.

Pamiętajcie, szacunek grupowy, szacunek dla płci i szacunek dla samej siebie.

Łatwo jej mówić, pomyślała Angie, cofając się od drzwi. Toni Urskine nigdy nie musiała obsługiwać oralnie jakiegoś starego zbrodźcy, żeby zarobić na jedzenie. Była damą od dobroczynności, która nosiła niby to codzienne, ale jednak eleganckie ubrania od Daytona i chesała się u Horsta za sto dolarów. Przyjeżdżała do tego zasranego schroniska własnym fordem z jakiegoś pięknego domu w osiedlu Edina albo Minnetonka. Nie wiedziała, jak to zmienia człowieka od środka, kiedy się dowiaduje, że jest wart tylko dwadzieścia pięć dolarów.

– My wszystkie przejmujemy się śmiercią tych kobiet – powiedziała Toni z błyszczącymi oczami i rozgorączkowaną twarzą. – Wszystkie jesteśmy wściekłe, że policja do tej pory nic nie zrobiła. To oburzające, wymierzono nam policzek. Miasto Minneapolis uważa, że życie kobiet, które znalazły się w rozpaczliwej sytuacji życiowej, nie ma żadnego znaczenia. Powinniśmy być rozgniewane właśnie na to, a nie na siebie nawzajem.

Niektóre kobiety słuchały Toni uważnie, niektóre jednym uchem, a jeszcze inne udawały, że jej nie słyszą.

– Uważam, że powinniśmy się zaangażować, powinniśmy być aktywne – dodała. – Pójdziemy jutro do ratusza. Prasa usłyszy, co o tym myślimy. Zdobędziemy kopię portretu pamięciowego i przepytamy...

Angie wycofała się całkiem i po cichu ruszyła korytarzem. Nie mogła znieść rozmów o morderstwach popełnianych przez Krematora. Kobiety w Phoenix House miały nie wiedzieć, że jest zamieszana w tę sprawę, ale jej wciąż się wydawało, że wszystkie zaraz w jakiś sposób dojdą do tego, iż tym tajemniczym świadkiem jest ona. Nie chciała, żeby ktokolwiek o tym wiedział.

Nie chciała, żeby to było prawdą.

Otarła rękami łzy, które raptownie napłynęły jej do oczu. Nie mogła sobie pozwolić na okazywanie emocji. Gdyby pokazała, co czuje, wtedy ktoś dostrzegłby w niej słabość, pragnienie albo szaleństwo, które wciągało ją do Zony i zmuszało do tego, żeby się kaleczyła. Nikt nie zrozumiałby, że ostrze noża odcina ją od utraty zmysłów.

– Wszystko w porządku? – zaskoczył ją czyjś głos.

Angie odwróciła się gwałtownie. Zobaczyła stojącego w otwartych drzwiach do piwnicy mężczyznę. Blisko czterdziestki, przystojny, w brązowych bawełnianych spodniach i koszulce polo od Ralpa Laurena. Jakiś facet Toni Urskine, pomyślała. Mężczyzna twarz miał pokrytą potem i sadzą. Przetarł szarą szmatką dłonie, także ciemne od sadzy i ubrudzone czymś w kolorze krwi.

Widząc spojrzenie Angie, również popatrzył na swoje ręce i skrzywił twarz w uśmiechu.

– To ten stary piec – wyjaśnił. – Zmuszam go do pracy siłą woli i gumowymi opaskami. Gregory Urskine – przedstawił się, wyciągając do niej dłoń.

– Skaleczył się pan – powiedziała Angie, nie odwzajemniając gestu.

Nie mogła oderwać wzroku od plamy krwi na jego dłoni.

Urskine spojrział na rękę i przetarł ją znowu, chichocząc nerwowo, jak to ludzie czasami robią, gdy usiłują wywrzeć na kimś dobre wrażenie. Angie przyglądała mu się w milczeniu. Wyglądał trochę jak Kurt Russell: potężna szczęka, mały nos i potargane jasne włosy. Nosił okulary w drucianej srebrnej oprawce, a na górnej wardze widać było skaleczenie po porannym goleniu.

– Nie jest ci gorąco w tej kurtce? – zapytał.

Angie nie zareagowała. Pociła się jak mysz, ale jej sweter miał zbyt krótkie rękawy, żeby zakryć wszystkie blizny na rękach. Dlatego kurtka była koniecznością. Gdyby się udało wyciągnąć od Kate jakieś pieniądze, to Angie miała zamiar kupić sobie trochę ubrań. Może coś naprawdę nowego, a nie ciuchy z Armii Zbawienia czy sklepu z używaną odzieżą.

– Jestem mężem Toni i tutejszą złotą rączką – wyjaśnił Urskine, mrużąc oczy. – Przypuszczam, że ty jesteś Angie.

Dziewczyna patrzyła na niego bez słowa.

– Nie powiem nikomu – obiecał poufałym tonem. – Twoje tajemnice są u mnie bezpieczne.

Zabrzmiało to tak, jakby się z niej trochę naśmiewał. Angie uznała, że Urskine jej się nie podoba, niezależnie od tego czy jest przystojny, czy nie. W jego przesłoniętych szklami drogich okularów oczach było coś, co ją niepokoiło. Miała wrażenie, że mężczyzna patrzy na nią z góry, jakby była jakimś robakiem albo żyjątkiem. Ciekawe, czy kiedykolwiek płacił jakiejś kobiecie za seks, pomyślała. Jego żona wyglądała na osobę z gatunku tych, które uważają, że seks jest czymś nieczystym. W końcu uczyniła swoją życiową misją wyzwolenie kobiet od przymusu uprawiania seksu.

– Wszyscy bardzo się martwimy tą sprawą – dodał Urskine, poważniejąc. – Pierwsza ofiara, Lila White, mieszkała tu przez jakiś czas. Toni bardzo to przeżyła. Kocha ten dom, kocha te kobiety. Poświęca się dla sprawy jak żołnierz na wojnie.

Angie skrzyżowała ramiona przed sobą.

– A pan co robi?

Urskine znowu zareagował przelotnym uśmiechem i nerwowym chichotem.

– Pracuję jako inżynier w Honeywell. W tej chwili jestem na urlopie, więc mogę tu pomóc wyremontować urządzenia przed zimą i wreszcie ukończyć pracę magisterską.

Roześmiał się, jakby powiedział właśnie jakiś świetny dowcip. Nie zapytał Angie o to, co ona robi, chociaż nie wszystkie kobiety w tym domu były prostytutkami. Popatrzył na jej brzuch, kolczyk w pępku i tatuaże odsłonięte przez zbyt krótki sweter. Stała, wysuwając jedną nogę do przodu i jeszcze bardziej odsłaniając brzuch. Ciekawe, czy ma teraz na mnie ochotę? – pomyślała.

– Więc dzięki tobie mają szansę złapać tego typu – powiedział na wpół pytająco, na wpół twierdząco, przenosząc wzrok z powrotem na jej twarz. – Naprawdę go widziałas?

– Nikt nie może o tym wiedzieć – odparła Angie. – Nie wolno mi o tym rozmawiać.

Koniec dyskusji. Zignorowała jego grzecznościowe próby zakończenia rozmowy i wycofała się na schody. Wchodząc po nich na górę, czuła na sobie wzrok Gregory’ego Urskine’a.

– Więc dobranoc! – zawołał, kiedy już zniknęła w ciemnościach pierwszego piętra.

Weszła do pokoju zajmowanego do spółki z jeszcze jedną kobietą. Były narzeczoney przewrócił jej współlokatorkę na ziemię i myśliwskim nożem obciął jej wszystkie włosy. Zrobił to, bo chciał kupić heroinę, a ona nie zgodziła się oddać mu czeku z opieki społecznej. Teraz dzieci kobiety były w rodzinie zastępczej, a narzeczoney uciekł do Wisconsin. Ona sama przeszła kurację odwykową, po której czuła potrzebę zwierzenia się ludziom. Tak się nieraz dzieje z ludźmi po odwyku. Angie uważała się za zbyt bystrą, by coś podobnego mogło się zdarzyć jej samej.

„Nie zdradzaj swoich sekretów, Angel. To one sprawiają, że jesteś kimś wyjątkowym”.

Wyjątkowym. Chciała być kimś wyjątkowym, nie chciała być sama. Jednak to, że w tym domu przebywali inni ludzie, nie miało żadnego znaczenia. Nikt z nich nie był jej bliski. Ona też nie pasowała do nich. Została tutaj podrzucona jak bezpańskie szczenię. Pieprzone gliny. Chcieli czegoś od niej, ale nie chcieli jej dać nic w zamian. Wcale ich nie obchodziła. Mieli gdzieś to, czego ona może od nich oczekiwać.

Przynajmniej Kate jest do pewnego stopnia szczerą, pomyślała chodząc tam i z powrotem po pokoju. Nie mogła jednak zapomnieć, że i ona jest jedną z tamtych. Z tytułu wykonywanego zawodu miała za zadanie stworzyć jej skorupę ochronną po to, by gliny i prokurator mogli wyciągnąć z niej to, na czym im zależało. Potem już by ich nie obchodziła. Więc tak naprawdę Kate nie była jej przyjaciółką. Angie mogła policzyć wszystkich przyjaciół, jakich miała w życiu, na palcach jednej ręki, ale i tak zostałyby jeszcze wolne

palce.

Potrzebowała teraz przyjaciela. Nie chciała tkwić w tym domu. Pragnęła mieć gdzieś swoje miejsce.

Pomyślała o płonących w parku zwłokach kobiety i o swojej przeszłości. Mogłaby po prostu zająć miejsce tamtej. Zostałaby córką bogatego człowieka, miałaby ojca, dom i pieniądze.

Kiedyś miała ojca. Jeszcze do tej pory nie zniknęły jej blizny. Miała też dom: nadal czuła kwaśny, tłusty odór, bijący z kuchni, i pamiętała wielkie ciemne szafy z drzwiami zamykanymi na klucz. Nigdy natomiast nie miała pieniędzy.

W ubraniu położyła się do łóżka i odczekała, aż w domu zapadnie cisza, a jej współlokatorka zacznie chrapać. Wtedy wysliznęła się spod kołdry, wyszła z pokoju, zbiegła po schodach i wymknęła się z budynku tylnymi drzwiami.

Noc była wietrzna. Chmury przetaczały się po niebie tak szybko, że wyglądało to niemal jak odtwarzany w przyspieszonym tempie film. Ulice były puste. Tylko od czasu do czasu na szerokich, biegnących z północy na południe ulicach pojawiał się jadący samochód. Drżąc na całym ciele, Angie podążała na zachód. Miała nieprzyjemne uczucie, że ktoś ją obserwuje, ale kiedy oglądała się przez ramię, nie widziała nikogo. To Zona podążała za nią jak cień. Jeżeli ona, Angie, się nie zatrzymywała, gdyby miała jakiś cel i skoncentrowała na nim swoją uwagę, może nie dałaby się złapać.

Okna mijanych domów były ciemne. Konary drzew skrzypiały na wietrze. Doszła do jeziora. Woda była czarna i połyskliwa jak plama ropy. Trzymając się ciemnej strony ulicy, ruszyła dalej na północ. Mieszkańcy tej dzielnicy zadzwoniliby na policję, gdyby zobaczyli kogoś przechodzącego koło ich domu o tak późnej porze.

Rozpoznała dom z wiadomości telewizyjnych. Otoczony wysokim ogrodzeniem z kutego żelaza, wyglądał jak przeniesiona z Anglii budowla. Skręciła z ulicy i kryjąc się pod wielkimi drzewami, ruszyła w górę stoku na tyły posiadłości. Dom był teraz przesłonięty żywopłotem, ale była w stanie go dojrzeć przez pozbawioną liści płataninę pędów.

W pokoju o przeszklonych ozdobnych drzwiach, które wychodziły na patio, paliło się światło. Angie stanęła przy ogrodzeniu, uważając, by go nie dotknąć, i zaczęła przyglądać się posesji Petera Bonduranta. Jej wzrok napotkał basen pływakki, kamienne ławy i stoły oraz krzesła z kutego żelaza, których jeszcze nie uprzątnięto na zimę. Przyjrzała się bursztynowej poświacie w oknie i sylwetce mężczyzny siedzącego przy biurku. Ciekawe, czy czuł się teraz równie samotny jak ona, czy też jego pieniądze przynosiły mu pocieszenie?

Peter Bondurant wstał zza biurka i zaczął się przechadzać po swoim gabinecie. Był spięty, niespokojny. Nie mógł spać, ale odmówił zażycia tabletek nasennych, które lekarz mu przepisał i dostarczył do domu. Cały czas jego wyobraźnię wypełniał koszmary obraz: pomarańczowy blask płomieni. Widział go, kiedy zamykał oczy, i czuł jego gorąco. A także zapach. Widział twarz Jillian: strach, wstyd, przerażenie. Widział, jak jej twarz unosi się, oddzielona od ciała, z poszarpanym, zakrwawionym strzępem szyi. Skoro jego głowa była pełna takich obrazów, kiedy nie spał, to co by zobaczył, gdyby zasnął?

Podszedł do drzwi na ogród i spojrział w czarną i zimną noc. Wydało mu się, że czuje na sobie czyjś wzrok. Czyjaś obecność. Jillian. Wrażenie było tak silne, że aż ścisnęło go w piersiach, tak jakby objęła go ramionami. Nawet po śmierci chciała go dotknąć, przywrzeć do niego, desperacko domagając się miłości, którą pojmowała w skrzywiony, wypaczony sposób.

Gdzieś głęboko w jego wnętrzu pojawiło się jakieś dziwne, ponure podniecenie, a zaraz potem obrzydzenie, wstyd i poczucie winy. Odwrócił się od okna ze zwierzęcym rykiem i runął na biurko, spychając wszystko z jego starannie uporządkowanego blatu. Pióra, wizytówki, przyciski do papierów, segregatory, notatnik. Telefon upadł z brzękiem protestu. Lampa gruchnęła o podłogę, a żarówka pękła z głośnym trzaskiem, pograżając pokój w ciemnościach.

Ostatni jaskrawy wybuch światła pozostał w oczach Petera: dwa bliźniacze rozbłyski pomarańczowego ognia, które poruszały się razem z nim. Ognia, przed którym nie mógł uciec. Napięcie ścisnęło mu gardło. Rozrosło się w nim twardą, najeżoną ostrogami kulą. W oczach czuł taki ucisk, jakby miały się rozerwać. Nawet gdyby tak się stało, przyszła mu do głowy szalona myśl, pewnie wciąż widziałby te płomienie.

Z szorstkim, suchym, zdławionym skowytym zatoczył się w ciemnościach w kierunku stojącej lampy, potykając się o przedmioty, które stracił z biurka. Uspokoił się nieco, zapaliwszy światło, i zaczął uprzętać rzeczy z podłogi. Odkładał je kolejno na biurko, starannie umieszczając na blacie. To właśnie musiał zrobić: ułożyć z powrotem swoje życie z nieskazitelną precyzją, zetrzeć z jego powierzchni łzy i iść do przodu, tak jak robił, gdy przed laty Sophie opuściła go, zabierając mu Jillian.

Podniósł z podłogi kalendarz, otwarty na ostatnim piątku. „Jillian: kolacja” – głosił wpis dokonany jego własnym, starannym charakterem pisma. Wyglądało to tak niewinnie, tak zwyczajnie. Ale z Jillie nic nigdy nie było zwyczajne ani niewinne. Niezależnie od tego, jak bardzo się starała.

Dzwonek telefonu wyrwał go z ponurych wspomnień.

– Peter Bondurant – powiedział, jakby to była pora jego urzędowania.

Gdzieś w głębi duszy usiłował przypomnieć sobie, czy spodziewał się telefonu z zagranicy.

– Tatuśku kochany – rozległ się uwodzicielski, melodyjny głos. – Znam wszystkie twoje sekrety.

– Wyjdziemy na osłów, jeżeli opublikujemy inny rysunek – rzucił Sabin, chodząc nerwowo tam i z powrotem wzdłuż ściany za swoim biurkiem.

Wysuwał dolną wargę jak naburmuszony dwulatek, co dziwnie kontrastowało z jego wytwornym, nieskazitelnym wyglądem. Był gotów do spotkania z prasą w każdej chwili: ołowianoszary garnitur z ciemniejszym o dwa tony krawatem, błękitna koszula. Bardzo elegancko.

– Nie rozumiem, dlaczego to miałoby stawiać w złym świetle twój urząd, Ted – powiedziała Kate. – To szef Greer był tym, który się wyrwał przed orkiestrę.

Sabin nachmurzył się jeszcze bardziej i spojrzał na nią znacząco.

– Ja wiem, czyj to jest błąd.

– Nie możesz winić świadka – odparła Kate, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że on obwinia ją samą.

– Mówiono mi, że nie wykazuje wielkiej ochoty do współpracy – oznajmił zatroskanym tonem Edwyn Noble, znajdując wreszcie okazję, żeby wtrącić się do rozmowy.

Siedział na za małym na niego krześle dla interesantów, więc skulił się cały. Nogawki spodni podciągnęły mu się do góry, odsłaniając chude kostki i nylonowe skarpetki.

Kate spojrzała na niego, powstrzymując się od wygłoszenia kilku uwag, z których najbardziej niewinna brzmiałaby: „A co ty, u diabła, tu robisz?” Oczywiście wiedziała, co on tu robi. Jego obecność była zaledwie zgodna z poczuciem przyzwoitości, ale Kate już zdążyła rzecz przemyśleć i zdawała sobie sprawę z tego, jaki byłby rezultat takiego sporu. Urząd prokuratora okręgowego nadzorował działanie programu opieki nad ofiarami i świadkami. Peter Bondurant jako członek najbliższej rodziny ofiary (o ile nieżyjąca kobieta to rzeczywiście jego córka), był uprawniony do tego, aby go informowano o postępach w śledztwie. Edwyn Noble natomiast, doradca prawny Bonduranta...ach, i tak dalej, i tak dalej.

Obrzuciła Noble’a takim spojrzeniem, jakby był czymś, co przylepiło jej się do buta.

– No cóż, nie jest w tym odosobniona – odparła.

Udało jej się trafić w dziesiątkę. Noble wyprostował się nieco na swym zbyt małym krześle, a w jego oczach pojawił się zimny błysk.

Rob Marshall wkroczył między nich jako rozjemca ze swym lizusowskim uśmiechem na okrągłej twarzy.

– Kate chodzi o to, że nie jest niczym niezwykłym, kiedy świadek tak brutalnego przestępstwa ma pewne opory.

– Ale nie ma oporów, jeżeli chodzi o nagrodę – mruknął Sabin.

– Nagroda zostanie wypłacona dopiero po skazaniu winnego – przypomniał im Noble, tak jakby jego klient potrzebował wiele czasu, by uezierać potrzebną gotówkę.

Można było odnieść wrażenie, iż Bondurant ma ukrytą nadzieję, że jakoś się od tego wykręci.

– Nasza prokuratura nie kupuje świadków – oświadczył Sabin. – Powiedziałem ci, Kate, że chcę, aby się nią zajęto – dodał takim tonem, jakby zlecał zadanie płatnemu mordercy.

– Ja się nią zajmuję.

– Więc dlaczego nie spędziła poniedziałkowej nocy w areszcie? Kazałem Kovacowi potraktować ją jak podejrzaną, żeby się trochę wystraszyła.

– Ale ty przecież... – zaczęła Kate, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

– To jest wciąż do zrobienia, Ted – wtrącił Rob, posyłając Kate ostrzegawcze spojrzenie. – Umieszczenie dziewczyny najpierw w Phoenix House może ją trochę zmiękczyć, stworzyć wrażenie, że Kate stoi po jej stronie. Jestem pewien, że to właśnie miałaś na myśli, prawda, Kate?

Odpowiedziała mu jedynie gniewnym spojrzeniem.

– Teraz się okazuje, że ten portret jest kompletnym fiaskiem – nie dawał się ułagodzić Sabin.

– Portret nie jest fiaskiem, ale nie należało go wczoraj pokazywać – oznajmiła Kate, odwracając się od Roba, żeby nie rzucić mu się do gardła. – Ted, jeżeli będziemy wywierać nacisk na tę dziewczynę, ona nam się wymknie. Surowe traktowanie wywoła u niej naprawdę ostry przypadek amnezji. Mogę to zagwarantować. Oboje dobrze wiemy, że nie macie na nią nic, żeby ją przytrzymać w związku z tym morderstwem. Nie możesz nawet doprowadzić do postawienia jej jakichkolwiek zarzutów. Sędzia spławiłby cię w mgnieniu oka i zostałbyś na lodzie bez żadnego świadka.

Sabin potarł podbródek.

– Jest włóczęgą. To niezgodne z prawem.

– Och, tak, świetnie będzie wyglądało w gazetach: „Nastoletnia dziewczyna, świadek morderstwa, zatrzymana pod zarzutem włóczęgotwa”. Kiedy następny raz będziesz ubiegał

się o wybór, to możesz występować z listy Simona Legree.

– Moja polityczna przeszłość nie ma tutaj nic do rzeczy, pani Conlan – upomniał ją oschle. – Chodzi o to, jak pani prowadzi tego świadka.

Rob patrzył na Kate z miną, która wyrażała powątpiewanie co do stanu jej umysłu. Zerknęła na Edwyna Noble'a. Rzeczywiście nie chodzi mu o karierę. Akurat.

Gdyby teraz nacisnęła na Sabina jeszcze trochę, doprowadziłaby do odsunięcia jej od sprawy. Przyznałaby się do absolutnej niemożności zajęcia się tym świadkiem i uwolniła od ciężaru, jakim była Angie DiMarco. Od razu jednak pomyślała, że zostawiłaby w ten sposób dziewczynę na łasce zgromadzonej wokół niej zgrai wilków. Nie mogła tego zrobić. Za dobrze pamiętała widok Angie, gdy dziewczyna stała w obskurnym pokoju w Phoenix House i ze łzami w oczach pytała ją, czy nie mogłaby jej zabrać do swego domu.

Wstała, wyglądając dyskretnie zagniecenia na przodzie spódnicy.

– Robię, co w mojej mocy, żeby wydobyć z niej prawdę. Dobrze wiem, że wszystkim nam przyświeca ten sam cel. Proszę, Ted, daj mi szansę popracować nad tą dziewczyną na mój własny sposób.

Była gotowa obrzucić go pełnym nadziei naiwnym spojrzeniem szeroko otwartych oczu, gdyby to miało wpłynąć na jego nastrój. Jeśli jednak nie miał ochoty jej ustąpić, wcale nie musiał tego robić. Jestem jak najemnik, pomyślała z obrzydzeniem.

– To nie normalna, zwyczajna dziewczyna. Miała ciężkie życie, które zrobiło z niej twardą osóbkę, ale sądzę, że w gruncie rzeczy chciałaby postąpić właściwie. Jeżeli na tym etapie stracimy cierpliwość, nie pomoże to nikomu. Możesz zapytać Quinna, czy zgadza się z moją opinią. On wie równie dużo na temat prowadzenie świadka w tego rodzaju sprawach, co ja – powiedziała.

Musiała sobie to wszystko nieco odbić na Quinnie. Winien jej był jakaś przysługa. Przynajmniej jedną.

Noble chrząknął cicho.

– A może hipnoza? Czy spróbujecie hipnozy?

– Ona się temu nie podda – odparła Kate, kręcąc głową. – Hipnoza wymaga zaufania. Dziewczyna nie ma go ani trochę. Oscar jest równie dobry, jeżeli Angie wyjdzie mu naprzeciw.

– Nie chciałbym odgrywać roli adwokata diabła – rzekł Noble, wstając zza małego krzesła – ale skąd mamy wiedzieć, że ta dziewczyna w ogóle cokolwiek widziała? Wygląda na to, że jest osobą, która dla pieniędzy zrobi wszystko. Może jej jedynym celem jest nagroda.

– I nastawiła się na ten cel, zanim jeszcze wiedziała, że taka nagroda została

wyznaczona? Jeżeli by tak rzeczywiście było, to jest o wiele więcej warta, niż myśleliśmy, bo posiada zdolność jasnowidzenia. Przecież po pierwszych dwóch morderstwach żadna nagroda nie wchodziła w grę. – Rzuciła okiem na zegarek i zaklęła pod nosem. – Wybaczenie, panowie, ale niestety za kilka minut muszę być na posiedzeniu sądu. Mój klient prawdopodobnie już panikuje, że mnie tam nie ma.

Sabin wyszedł zza biurka i oparł się o nie z surową miną, założywszy ręce na piersiach. Kate zauważyła, że przyjął tę samą pozę, jaką pamiętała ze zdjęcia w „Minnesota Monthly” sprzed roku. Nie miała zamiaru kwestionować autorytetu Sabina ani jego chęci wykorzystania go. W końcu Ted Sabin nie znalazł się na tym stanowisku dlatego, że był głupcem czy jakimś naiwnym chłoptasiem.

– Dam ci jeszcze trochę czasu, Kate – oznajmił takim tonem, jakby czynił to z niechęcią, chociaż cała koncepcja prowadzenia sprawy wyszła od niego. – Popracuj nad tą dziewczyną. Jednakże potrzebne nam są rezultaty, i to szybko. Myślałam, że przynajmniej ty jedna spośród wszystkich ludzi z waszego programu to zrozumiesz.

– Dzisiaj po południu znowu zajmie się nią Oscar – powiedziała Kate, zmierzając ku drzwiom.

Sabin oderwał się od biurka i odprowadził ją, kładąc jej dłoń na plecach.

– Czy mimo tej sprawy w sądzie, dasz radę z nią być?

– Tak.

– Jeśli nie, to sądzę, że Rob mógłby coś wymyślić i wysłać na rozprawę kogoś w twoim zastępstwie.

– Nie. Posiedzenie nie będzie takie długie – odparła z wymuszonym uśmiechem. – Poza tym nie miałabym odwagi obarczać tym klientem żadnego z moich kolegów. Wiedzą, gdzie mieszkam.

– Może agent Quinn powinien być obecny na tej sesji z Oscarem – podsunął Sabin.

Poczuła się nagle tak, jakby w leżącej na jej plecach dłoni Teda tkwił nóż.

– Nie widzę, w jaki sposób miałyby to być dla nas przydatne.

– Nie, Kate. Miałaś rację, kiedy wspomniałaś wcześniej o Quinnie – powiedział Sabin.

– Tu nie chodziło o przeciętnego świadka. I, jak sama mówiłaś, Quinn ma wiele doświadczenia. Może zdoła coś zauważyć, zaproponować jakąś strategię. Zadzwoń do niego.

Kate wyszła na korytarz, ale stanęła w miejscu, gdy tylko drzwi się za nią zamknęły.

– Och, ta moja niewyparzona gęba – mruknęła.

– Kate – usłyszała cichy głos Roba Marshalla.

Odwrociła się gwałtownie, gdy Rob jeszcze zamykał za sobą drzwi gabinetu.

– Ty tchórze – rzuciła szorstkim szeptem. Musiała to powiedzieć, żeby powstrzymać się od chwycenia go za uszy i potrząśnięcia nim. – To ty zaakceptowałeś pomysł, żeby zabrać Angie do Phoenix House. A teraz odgrywasz przed Sabinem komedię, że to wszystko była moja inicjatywa. Myślałam, że to z nim uzgodniłeś. Przecież tak powiedziałeś Kovacowi. A ja mu zarzucałam, że jest chorobliwie podejrzliwy, bo nie zgadza się z tym rozwiązaniem.

– Poruszyłem z Tedem sprawę Phoenix House...

– Ale on się nie zgodził?

– Nie powiedział „nie”.

– Tak, ale, do diabła, nie powiedział też „tak”.

– Miał inne sprawy na głowie. Przewidziałem, że chciałabyś ją tam zabrać, Kate.

– Nie próbuj zwalić tego na mnie. Tym razem dla odmiany to ty wykazałeś inicjatywę. Czy nie potrafisz się przynajmniej do tego przyznać?

Rob zaczął sapać przez swój zbyt krótki nos, a jego twarz pokryła się szkarłatnym rumieńcem.

– Kate, czy kiedykolwiek pamiętasz o tym, że jestem twoim przełożonym?

Powstrzymała się od spontanicznej odpowiedzi, która od razu jej się nasunęła.

– Przepraszam. Zdenerwowałam się – odparła, usiłując wyskrobać chociaż jakieś nędzne resztki szacunku dla niego.

– Jestem twoim szefem. To ja kieruję sprawą – dodał gniewnym tonem.

– Nie zazdroszczę ci tego – rzuciła cierpko. – Powinam cię naprawdę wkurzyć. Mógłbyś mnie wtedy odsunąć od tej beczki prochu, ale ja tego nie chcę – przyznała. – To pewnie przez ten mój cholerny masochizm.

– Jesteś akurat tą osobą, którą chcę widzieć przy naszym świadku, Kate – powiedział Rob, poprawiając okulary i uśmiechając się jak człowiek, którego gnębi ból zęba. – Więc kto tu jest masochistą?

– Przepraszam. Nie lubię, kiedy się ze mnie robi popychadło. To wszystko.

– Pomyśl o rezultacie. Przecież mamy to, co chcieliśmy.

A więc Rob wyszedł z całej sytuacji jako prawdziwy dyplomata, wytrawny mediator. Kolejny raz okazało się, że cel uświęca środki. Ona sama nie ucierpiała wcale, poza tym, że jej duma została urażona.

– Prawdę mówiąc, nie jestem przeciwniczką spiskowania – powiedziała, nadal nie mogąc opanować wzburzenia.

Na początku rzeczywiście czuła wielką pokusę, żeby wyrwać Angie ze szponów

Sabina, i za żadne skarby nie miała zamiaru wtajemniczyć w swój plan Roba. Teraz tak naprawdę gniewało ją jedynie to, że Rob zdołał ją wymanewrować. Nigdy by nie przyznała, że może być od niej bystrzejszy, bardziej przebiegły czy w ogóle lepszy pod jakimkolwiek względem. Rzeczywiście, to niezbyt właściwy stosunek do własnego zwierzchnika.

– Dowiedziałeś się czegoś od swoich kolegów z Wisconsin? – zapytała.

– Jeszcze nie.

– Byłoby dobrze wiedzieć, kim, do diabła, jest ta dziewczyna. Czuję się tak, jakbym pracowała z przepaską na oczach.

– Mam nagranie wideo z rozmowy z Angie – powiedział, zakładając ręce na brzuchu.

– Myślę, że warto byłoby usiąść nad tym razem i przeanalizować wszystko. Może moglibyśmy też ściągnąć Quinna. Chciałbym usłyszeć jego opinię.

– No cóż, dlaczego nie – powiedziała Kate zrezygnowana. – Zawiadom mnie, jak już to zorganizujesz. Muszę iść.

Pomyślała, że czasami byłoby lepiej stuknąć się młotkiem w palec i zostać w domu. Ten rodzaj bólu przynajmniej szybko by jej przeszedł. W przypadku Johna Quinna było zupełnie inaczej.

– Bałem się już, że pani nie przyjdzie – oznajmił David Willis oskarżycielskim tonem.

Podbiegł do Kate, przedzierając się przez stłoczone gromadki prawników, gdy tylko pokazała się na korytarzu wiodącym do sal rozpraw.

– Przepraszam za spóźnienie, panie Willis. Byłam na spotkaniu z prokuratorem okręgowym.

– W mojej sprawie?

– Nie. W pana sprawie wszystko jest gotowe.

– Nie będę musiał zeznawać, prawda?

– Dzisiaj nie, panie Willis – odparła Kate, prowadząc swojego klienta w kierunku sali rozpraw. – To tylko wstępne posiedzenie. Oskarżyciel, pan Merced, przedstawi wystarczającą liczbę dowodów, żeby sąd zdecydował o zarządzeniu rozprawy przeciwko panu Zubkowi.

– Ale on nie powoła mnie niespodziewanie na świadka czy coś takiego?

Wyglądał na przerażonego, ale i zainteresowanego taką perspektywą.

Kate przypuszczała, że David Willis wyglądał dokładnie tak samo w szkolnym albumie z lat siedemdziesiątych: niemodna krótka fryzura i dziwaczne okulary, spodnie w dziwnym odcieniu zieleni, trochę zbyt wysoko podciągnięte w pasie. Pewnie całe życie był narażony na napaści ze strony innych ludzi.

Na wstępną rozmowę włożył okulary w czarnej rogowej oprawce, która została

złamana podczas starcia. Skleił ją w dwóch miejscach taśmą. Na lewym przegubie miał plastikowy ochraniacz, a jego szyja tkwiła w kołnierzu ortopedycznym, który przypominał gruby golf.

– Niespodziewani świadkowie występują tylko w telewizji – odparła Kate.

– Bo ja po prostu nie jestem jeszcze gotowy. Będę musiał się dopiero na to nastawić, wie pani.

– Tak. Sądzę, że zdajemy sobie z tego sprawę, panie Willis. Powiedziała tak, gdyż od tygodnia dzwonił codziennie, aby przypominać o tym im wszystkim: jej, Kenowi Mercedowi, sekretarce Kena oraz recepcjonistce z wydziału obsługi prawnej.

– Nie znajdę się w żadnym niebezpieczeństwie fizycznym, prawda? Będzie miał skute ręce i nogi, tak?

– Może się pan czuć absolutnie bezpieczny.

– Bo wie pani, stres sytuacyjny może popchnąć ludzi poza granicę samokontroli. Czytałem o tym. Regularnie uczęszczałem na spotkania grupy ofiar przestępstw, które mi pani załatwiła, pani Conlan, i czytałem wszystko, co tylko mi wpadło w ręce, na temat umysłu przestępców, psychologii ofiar i posttraumatycznych zaburzeń, tak jak mi pani zaleciła.

Kate często radziła swoim klientom, żeby się douczali, jakie mogą być ich własne reakcje i emocje, będące wynikiem popełnionego przeciwko nim przestępstwa. Dawało im lepszą orientację i przekonanie, że panuje nad sytuacją. Nie polecała jednak tego zajęcia jako hobby pochłaniającego każdą wolną chwilę.

Wiedząc, że Willis będzie chciał być blisko centrum wydarzeń, wybrała pierwszy rząd za stołem oskarżyciela, gdzie w tej chwili Ken Merced przeglądał notatki. Willis wpadł na nią, gdy zatrzymała się, by wskazać mu miejsce, a potem potknął się o własne stopy, usiłując się odsunąć, by z galanterią przepuścić ją przed sobą.

Po tych manewrach Kate weszła wreszcie pomiędzy rzędy krzeseł i zajęła miejsce. Willis przekładał z ręki do ręki tandetną teczkę, którą przyniósł ze sobą. Miał w niej pełno wycinków prasowych na temat jego sprawy, fotografii, które mu zrobiono w izbie przyjęć, broszur na temat grup ofiar i terapeutów oraz egzemplarz książki *Życie po przestępstwie* w twardej oprawie. Wydobył teraz z teczki duży notes o żółtych kartkach, jakich używają prawnicy, i zaczął się przygotowywać do spisywania notatek z posiedzenia. Robił to także podczas każdego spotkania z Kate.

Merced odwrócił się do nich z nieprzeniknioną miną, ale oznajmił sympatycznym tonem.

– Wszyscy jesteśmy gotowi, panie Willis. To nie zajmie wiele czasu.

– Na pewno nie będzie pan chciał, żebym zeznawał?

– Nie dzisiaj.

Willis westchnął dramatycznie.

– Bo nie jestem jeszcze gotowy.

– Cóż – odparł Merced, odwracając się do stolika – nikt z nas nie jest gotowy.

Kate usiadła wygodnie, usiłując rozluźnić napięte mięśnie twarzy, a Willis oddał się prowadzeniu wstępnych notatek.

– Zawsze potrafiłaś umiejętnie koić rany – dobiegł ją z tyłu czyjś szept.

Mówiący był tak blisko, że jego oddech muskał wrażliwe miejsce na jej karku. Odwróciła się gwałtownie z gniewną miną. Quinn wychylał się ze swojego krzesła, opierając łokcie o kolana. Jego ciemne oczy błyszczały, na twarzy miał dobrze wybrany na tę okazję uśmiech małego chłopca, którego przyłapano na wyjadaniu konfitur.

– Muszę z tobą porozmawiać – szepnął.

– Dałam ci numer do biura.

– Tak. Ale wygląda na to, że nie masz ochoty odpowiadać na moje telefony.

– Jestem bardzo zajęta.

– Widzę to.

– Nie naśmiewaj się ze mnie – rzuciła rozdrażniona.

David Willis ujął ją za ramię, więc odwróciła się od Quinna i zobaczyła, że właśnie otwarto boczne drzwi i do sali wszedł O.T. Zubek w towarzystwie swojego adwokata i strażnika sądowego. Zubek był przysadzistym mężczyzną o masywnych ramionach i nogach i okazałym brzuchu. Miał na sobie tani niebieski garnitur, obsypany na ramionach łupieżem, i rozpiętą na brzuchu jasnoniebieską koszulę z dzianiny. Popatrzył wprost na Willisa i skrzywił się. Jego twarz o pokrytej świeżym zarostem szczęce wyglądała jak rozlazła karykatura twardego faceta z komiksów.

Willis wpił się w niego na sekundę nieruchomym wzrokiem.

– Widziała pani? On mi grozi! Ten kontakt wzrokowy odebrałem jako groźbę. Dlaczego Zubek nie jest w kajdankach?

– Niech pan się postara zachować spokój, panie Willis, bo w przeciwnym razie sędzia usunie pana z sali.

– To nie ja jestem tutaj przestępcą!

– Wszyscy to wiedzą.

Obecni powstali na widok wchodzącego sędziego. Gdy już na powrót usiedli, odczytano numer porządkowy sprawy i stawiane zarzuty, a pełnomocnicy oskarżenia i obrony

podali swoje nazwiska do protokołu. Następnie sąd otworzył posiedzenie w sprawie zasadności oskarżenia.

Merced wezwał swojego pierwszego świadka: mężczyznę o gruszkowatej sylwetce, który obsługiwał automaty z lodami Slurpee w supermarketach – Eleven na terenie metropolii Twin Cities. Zeznał, że widział, jak kierownik sklepu Willis kłóci się z Zubkiem na temat dostawy batoników Hostess Twinkies i innych drobnych ciasteczek. Widział też, jak potem tarzali się po podłodze w sektorze chipsów, a Zubek okładał Willisa pięściami.

– A czy słyszał pan, kto rozpoczął tę rzekomą kłótnię? – zapytał świadka pełnomocnik oskarżonego.

– Nie.

– Więc, zgodnie z pana wiedzą, równie dobrze pan Willis mógł sprowokować awanturę?

– Sprzeciw. To są spekulacje.

– Wycofuję pytanie. A czy widział pan, kto zadał pierwszy cios podczas tak zwanej napaści?

– Nie.

– Czy to mógł być pan Willis?

Willis drżał i wiercił się u boku Kate.

– Ja tego nie zrobiłem!

– Ciii – próbowała go uspokoić.

Merced westchnął.

– Wysoki sędzie...

Zmarszczywszy brwi, sędzia spojrział na obrońcę, który przybył do sądu ubrany jak pośledni sprzedawca używanych samochodów. Wyglądał wystarczająco niechlujnie, by mógł zostać uznany za kuzyna Zubka.

– Panie Krupkę, to wstępne posiedzenie, a nie rozprawa. Sąd jest bardziej zainteresowany tym, co świadek widział, niż tym, czego nie widział.

– To nie w stylu Rozpruwacza z Richmond, co? – szepnął Quinn do ucha Kate.

Spojrzała na niego gniewnie przez ramię. Sztywność mięśni twarzy zaczęła promieniować jej do szyi.

Drugi świadek Merceda potwierdził zeznania mechanika. Krupkę podjął taką samą próbę przesłuchania świadka, a Merced zgłosił te same sprzeciwy. Sędzia był najwyraźniej coraz bardziej poirytowany. Willis wiercił się na krześle, nie przestając jednak robić notatek małymi drukowanymi literami. Grafolog miałby niezbyt budującą opinię na temat

funkcjonowania jego umysłu. Merced uzyskał włączenie do materiału dowodowego nagrania z kamery sklepowej, w którym widać było sporą część bójki, i zakończył swoje wystąpienie.

Krupkę nie miał żadnych świadków i żadnych argumentów na obronę swego klienta.

– Nie kwestionujemy tego, że doszło do starcia, wysoki sędzie – oznajmił.

– Więc dlaczego zmarnował pan mój czas, domagając się tego posiedzenia, panie Krupkę?

– Chcieliśmy ustalić, czy wydarzenia w istocie miały taki przebieg, jak twierdzi pan Willis. Nie byłem o tym przekonany.

– To kłamstwo! – zawołał Willis.

Sędzia zastukał młotkiem o stół, a woźny sądowy spojrzął groźnie na Willisa, ale nie ruszył się z miejsca.

– Panie Willis, niech pan będzie cicho! – rzuciła Kate wściekłym szeptem, ściskając mocno ramię swojego klienta.

– Radziłbym, żeby posłuchał pan swojej opiekunki, panie Willis – zwrócił się do niego sędzia. – Jeszcze przyjdzie czas na pana wypowiedzi.

– Dzisiaj?

– Nie! – mruknął sędzia, przenosząc wściekłe spojrzenie na Merceda, który tylko rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

– Panie Krupkę – zwrócił się do obrońcy sędzia. – Niech pan mi wypisze czek na dwieście dolarów za marnowanie mojego czasu. Jeżeli nie miał pan zamiaru podważać zarzutów, to powinien był pan poprosić od razu o wyznaczenie daty rozprawy.

Sędzia podał jej termin i posiedzenie dobiegło końca. Kate westchnęła z ulgą, a Merced wstał i zaczął zbierać swoje papiery.

– Nie możesz wsadzić tego faceta do czubków, Ken? – szepnęła do niego Kate, wychylając się przez poręcz. – Wolę dać sobie obciąć język, niż siedzieć na rozprawie z tym typem.

– Jezu, ja byłbym gotów zapłacić Zubkowi, żeby się przyznał, gdyby to nie groziło mi zakazem wykonywania zawodu.

Krupkę poprosił jednego z obecnych o pożyczanie długopisu, żeby wypisać czek za obrazę sądu. Willis natomiast rozglądał się, jakby się właśnie obudził z drzemki i nie miał pojęcia, gdzie jest.

– To wszystko?

– Wszystko, panie Willis – powiedziała Kate, wstając. – Mówiłam panu, że to nie zajmie wiele czasu.

– Ale, ale – Willis machnął opatrzoną ręką w kierunku Zubka – oni zarzucili mi kłamstwo! Nie mam szansy się bronić?

Zubek wychylił się przez barierkę ze złośliwym uśmiechem.

– Wszyscy widzą, jakim jesteś zasrańcem, Willis.

– Chodźmy już – ponagliła Willisa Kate, podając mu teczkę, która ważyła chyba blisko tonę.

Kate zaczęła popychać Willisa do wyjścia, zanim jeszcze zdążył schować notes i długopis. Bardziej niż Willisem martwiła się jednak tym, co powinna zrobić w związku z Quinnem, który właśnie wycofywał się do drzwi. Wpatrywał się w nią, usiłując ją w ten sposób zmusić do spojrzenia na niego. Na pewno Sabin zadzwonił do niego od razu, gdy tylko wyszła z jego biura.

– Ale ja nie rozumiem – zaskomlił Willis. – To nie może być wszystko. On mnie obraził! Obraził mnie i nazwał kłamcą!

Zubek uniósł ramiona jak bokser i zrobił minę Bluto.

– Ciamajda.

Kate dostrzegła zmianę w wyrazie twarzy Quinna w tej samej chwili, gdy z ust Davida Willisa wyrwał się wojenny okrzyk. Odwróciła się i zobaczyła, jak Willis rzuca się na Zubka unosząc do góry teczkę. Uderzył przeciwnika teczką w skroń niczym patelnią, powalając go do tyłu, na stół obrony. Zamki teczki puściły i jej zawartość wysypała się na podłogę.

Kate rzuciła się na Willisa, kiedy już podnosił ramię do zadania kolejnego ciosu. Chwyciła go za barki i oboje przelecieli przez balustradę głowami w przód, w gąszcz stolików, krzeseł i kłębiących się ludzi. Zubek kwiczał jak spętana świnia. Sędzia krzyczał na woźnego, a ten na Krupkego, który z kolei wrzeszczał na Willisa i próbował go kopnąć. Czubek buta obrońcy trafił w udo Kate. Zakłęła, odpowiadając kopniakiem, który przypadkiem dosięgnął Willisa.

Zdawało się jej, że minęła cała wieczność, zanim przywrócono porządek i ściągnięto z niej jej podopiecznego. Usiadła powoli, klnąc siarczyście pod nosem. Quinn przykucnął przed nią, wyciągnął rękę i wsunął jej kosmyk rudozłotych włosów z powrotem za ucho.

– Naprawdę powinnaś wrócić do FBI, Kate. Ta praca cię zabije.

– Nawet nie próbuj się ze mnie śmiać – warknęła Kate, oglądając swoje obrażenia i poszarpane ubranie.

Quinn oparł się o jej biurko, patrząc, jak Kate bada dziurę w rajstopach, wystarczająco dużą, aby przełożyć przez nią pięść.

– W tym tygodniu to już druga para dobrych rajstop. No cóż, rezygnuję z noszenia spódnicy.

– Mężczyźni, którzy tu pracują, będą musieli założyć przepaski żałobne – powiedział Quinn.

Uniósł obydwie ręce, jakby się poddawał, widząc jej kolejne zabójcze spojrzenie.

– Och, zawsze miałaś niezłe nogi. Nie możesz temu zaprzeczyć.

– Ten temat jest niestosowny i nieistotny.

Spojrzał na nią z niewinną miną.

– Polityczna poprawność zabrania, żeby starzy przyjaciele mówili sobie komplementy?

Wyprostowała się powoli na krześle, zapominając o zniszczonych rajstopach.

– Czy tym właśnie jesteśmy? – zapytała cicho. – Starymi przyjaciółmi?

Quinn spoważniał. Nie potrafił patrzeć jej prosto w oczy i swobodnie mówić o przeszłości, która leżała za nimi i pomiędzy nimi. Poczł się straszliwie niezręcznie.

– Niezupełnie w ten sposób się rozstaliśmy – powiedziała.

– Nie. – Odszedł od krzesła, wsuwając ręce do kieszeni spodni i usiłując udawać zainteresowanie informacjami i rysunkami, które przypięła do tablicy na ścianie. – To było dawno temu.

Co on chce przez to powiedzieć? – pomyślała Kate. Że wszystko już minęło, przepłynęło jak woda w rzece? Jakaś część jej istoty, chciała odpowiedzieć na to twierdząco, ale inna trzymała się kurczowo gorzkich wspomnień. Ona sama niczego nie zapomniała i myśl o tym, że jeśli chodzi o niego może być inaczej, tak ją poruszyła, że zaczęła pragnąć, aby to się nie okazało prawdą. Poczłła się przez to słaba, a słabość była ostatnią cechą, którą chciałyby u siebie widzieć.

Quinn zerknął na nią z ukosa.

– Jeśli ktoś jest wściekły przez pięć lat, to jest to dużo czasu.

– Nie jestem na ciebie wściekła.

– Nie jesteś jak diabli – roześmiał się. – Nie odpowiadasz na moje telefony. Nie chcesz ze mną rozmawiać. Jeżysz się za każdym razem, kiedy mnie widzisz.

– Ile razy cię widziałam? Dwa razy, odkąd tu przyjechałeś? Za pierwszym razem wykorzystales mnie, żeby postawić na swoim, a za drugim stroiles sobie żarty z mojej pracy...

– Nie stroilem sobie żartów z twojej pracy, tylko z twojego klienta.

– Och, to żadna różnica – powiedziała cierpko, dla własnej wygody zapominając, że każdy, nie wyłączając jej, żartował sobie z Davida Willisa.

Wstała z krzesła. Nie chciała, żeby patrzył na nią bardziej z góry, niż wymuszała to różnica wzrostu.

– To, co tutaj robię, jest ważne, John. Może nie w ten sam sposób, jak twoja praca, ale jest.

– Wcale temu nie przeczę, Kate.

– Nie? O ile pamiętam, kiedy postanowiłam odejść z FBI, powiedziałeś, że wyrzucam swoje życie na śmietnik.

Wspomnienie o tym objawiło się w jego oczach iskrą zastarzałej frustracji.

– Wyrzuciłaś na śmietnik porządną pracę. Ile lat miałaś za sobą? Czternaście, piętnaście? Byłaś bardzo cennym pracownikiem BSU, dobrą agentką, Kate, i...

– I jestem jeszcze lepszą opiekunką. Zajmuję się ludźmi, którzy są żywi, nie martwi. Staram się im pomóc, żeby przetrwali ciężki okres, nabrali sił i próbowali zrobić coś, co odmieni ich życie. Czy to nie jest ważne?

– Nie mam nic przeciwko twojej pracy. Po prostu byłem przeciwko twojemu odejściu z FBI. To dwa odrębne zagadnienia. Pozwoliłaś Stevenowi, żeby cię wypchnął...

– Nie!

– Akurat, nie! Chciał cię ukarać.

– A ja mu na to nie pozwoliłam.

– Zadałaś cios i uciekłaś, pozwoliłaś mu wygrać.

– On nie wygrał – sprzeciwiła się. – Wygrałby wtedy, gdyby niszczył mnie stopniowo pod względem zawodowym. Miałam tam zostać tylko po to, żeby mu pokazać, jaka jestem twarda? Co mogłam zrobić? Ciągłe się przenosić, aż by mu zabrakło kumpli? Aż bym skończyła u Gallupa w Nowym Meksyku, gdzie nie miałabym nic do roboty, poza liczeniem przemykających przez ulicę węży i tarantuli?

– Mogłaś z nim walczyć, Kate. Pomógłbym ci.

Splotła ręce na piersiach i uniosła w zdziwieniu brwi.

– Och, naprawdę? O ile dobrze pamiętam, to nie chciałeś mieć ze mną wiele wspólnego po swoim drobnym starciu z wydziałem odpowiedzialności dyscyplinarnej.

– To nie miało z tym żadnego związku – rzucił gniewnie. – Ci z wydziału wcale mnie nie przestraszyli. Tak samo Steven i jego parszywe biurokratyczne rozgrywki. Miałem pełne ręce roboty. Musiałem się przebijać równocześnie przez bodaj siedemdziesiąt pięć spraw, łącznie ze sprawą Kanibala z Cleveland...

– Och, wiem to wszystko, John – odparła oschle. – Wspaniały Quinn, na którego barkach spoczywa brzemień całego przestępczego świata.

– O co ci chodzi? To moja praca, więc ją wykonuję.

I do diabła z resztą świata, łącznie ze mną, dodała w myślach Kate, nie odezwała się jednak ani słowem. Co to by teraz dało? Nie mogła zmienić przeszłości. Tak samo nic by nie dało, gdyby powiedziała mu, że na pewno było dla niego istotne, co wydział odpowiedzialności dyscyplinarnej odnotuje w jego kartotece. Jaki sens miało powtarzanie, że praca jest dla Quinna wszystkim?

Mówiąc krótko, wdała się w romans, który zniszczył ostatecznie jej już i tak rozpadające się małżeństwo. W odwecie mąż zmusił ją do odejścia z pracy. Quinn zdystansował się wobec całego tego zamieszania i oddał się swojej pierwszej miłości, czyli pracy. Kiedy doszło do zaostrzenia sytuacji, wycofał się, zostawiając Kate na łasce losu. Gdy postanowiła odejść, nie poprosił jej, by tego nie robiła.

Przez całe pięć lat nie zadzwonił ani razu.

W gruncie rzeczy wcale nie miała mu tego za złe.

Mimo że toczyli spór, przysuwali się coraz bardziej do siebie. Quinn stał już na tyle blisko niej, że czuła słaby zapach jego płynu po goleniu i napięcie mięśni pod ubraniem. Natychmiast wywołało to echa tysięcy wspomnień, które spychała do tej pory w głąb świadomości. Pamiętała siłę jego ramion, ciepło jego ciała i poczucie bezpieczeństwa, którego jej dostarczał i które chłoneła jak sucha gąbka wodę.

Jej błąd polegał na tym, że go kiedyś potrzebowała. Teraz było inaczej.

Odwróciła się od Quinna i znowu przysiadła na biurku, usiłując samą siebie przekonać w duchu, że fakt, iż tak szybko i łatwo wdali się w tę sprzeczkę, nic nie znaczy.

– Ja też mam coś do zrobienia – powiedziała, spoglądając znacząco na zegarek. – Pewnie dlatego się pokazałeś. Sabin dzwonił do ciebie?

Quinn wypuścił powietrze z płuc, a jego ramiona opadły o kilka centymetrów. Nie spodziewał się takiego wybuchu własnych emocji. To nie było w jego stylu. Podobnie nie było w jego stylu rezygnować z walki, jeśli nie osiągnął zwycięstwa. Teraz jednak wycofał się ze sporu z tak wielkim poczuciem ulgi, że aż poczuł zakłopotanie. Odstąpił o krok w tył.

– On chce, żebym był z tobą i z tą dziewczyną, kiedy wróci do pracy nad rysunkiem.

– Nie obchodzi mnie, czego on chce – odparła porywczo Kate. – Ja nie chcę, żebyś tam był. Między mną a nią istnieje zaledwie wątko nic porozumienia. Ktoś szepnie „FBI” i nawet ta nici się zerwie.

– Więc nie wymienimy nazwy tej instytucji.

– Ona potrafi wyczuć kłamstwo na milę.

– Nawet nie zorientuje się, że tam jestem. Będę siedział w kącie cichutko jak mysz.

Kate omal się nie roześmiała. No tak, jak można byłoby zauważyć Quinna? Przystojny mężczyzna, wzrost sto osiemdziesiąt centymetrów, włoski garnitur. Nie, taka dziewczyna jak Angie wcale by go nie zauważyła.

– Chciałbym ją wyczuć – powiedział. – Co o niej sądzisz? Jest wiarygodnym świadkiem?

– To kłamliwa, sprytna dziwka bez skrupułów o niewyparzonej gębie – odparła Kate. – Pewnie uciekła z domu. Wiek od szesnastu do czterdziestu dwóch lat. Ma za sobą ciężkie przejścia, jest samotna i wystraszona jak diabli.

– A więc dobrze ułożona amerykańska panienka – podsumował cierpko Quinn. – I co, widziała Joego Podpalacza?

Kate zastanawia się chwilę nad tym, kim Angie była i kim nie była. Niezależnie od tego, że dziewczyna spodziewała się zarobić na swoich zeznaniach, i od wszelkich kłamstw, jakie mogła im wcisnąć, na pewno było prawdą, że widziała oblicze wcielonemu zła. Kate czuła, że tak jest. Napięcie widoczne za każdym razem, kiedy dziewczyna musiała opowiedzieć na nowo całą historię, było czymś niemal niemożliwym do udawania.

– Tak. Uważam, że go widziała.

Quinn skinął głową.

– Ale coś ukrywa?

– Boi się zemsty mordercy, a być może i policjantów. Nie chce nam powiedzieć, co robiła w parku o północy.

– Jakieś przypuszczenia?

– Może szukała narkotyków. A może zaliczyła szybki numer w pobliżu i szła na skróty przez park, żeby wrócić do jakiejś dziury, gdzie mieszka.

– Ale nie jest notowana?

– Nikt nie był w stanie tego stwierdzić. Przekazaliśmy jej zdjęcie do obyczajówki, do narkotyków i do wydziału do spraw młodocianych. Na razie nic z tego.

– Tajemnicza osoba.

– No cóż, nie jest Anią z Zielonego Wzgórza.

– Niedobrze, że nie możesz pobrać od niej odcisków palców.

Kate skrzywiła się.

– Już byśmy je mieli, gdybym pozwoliła Sabinowi postawić na swoim. W poniedziałek chciał, żeby Kovac ją aresztował i przetrzymał w areszcie przez noc tylko po to, aby ją postraszyć.

– To mogłoby poskutkować.

– Po moim trupie.

Quinn nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, słysząc twardy ton głosu Kate i widząc płomień w jej oczach. Najwyraźniej starała się osłonić swoją klientkę, niezależnie od tego, czy ta była zakłamaną dziwką, czy nie. Kovac powiedział mu, że chociaż Kate jest absolutną profesjonalistką, to chroni swoich klientów, ofiary i świadków, tak jakby byli członkami jej rodziny. Interesujący dobór określeń.

Mimo że upłynęło już pięć lat, nie wyszła powtórnie za męża. Na półkach nad jej biurkiem nie widać było fotografii żadnego mężczyzny. Za to Quinn zauważył maleńkie zdjęcie jej nieżyjącej córki w delikatnej srebrnej ramce. Umieszczone w rogu pokoju, z dala od papierów i spojrzeń interesantów, niemal ukryte przed własnym wzrokiem Kate. Aniołkowata twarz dziecka, którego śmierć obciążała jej sumienie jak kamień.

Ból po śmierci Emily nieomal zniszczył rzeczową, twardą Kate Conlan. Żal i poczucie winy zadało jej cios niczym młot, rozbijając ją i oszołamiając. Nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Zwrócenie się ku mężowi nie było odpowiednim rozwiązaniem, ponieważ on, Steve Waterston, pośpiesznie zepchnął na nią swoje własne poczucie winy. Dlatego wybrała przyjaciela...

– A jeżeli powiesz Sabinowi, że to może poskutkować – dodała – to będzie to po twoim trupie. Zapewniłam go, że poproszę mnie w tej sprawie, więc, do cholery, lepiej by było, żebyś tak zrobił. Jesteś mi winien jakąś przysługę.

– Tak – przyznał, czując, jak żywe są w nim dawne wspomnienia. – Co najmniej jedną.

Znajdująca się w dzielnicy Lowry Hill, nieco na południe od płataniny międzystanowych autostrad, otaczających centrum Minneapolis, kawiarnia D' Cup była lokalem z kategorii tych, które przyciągają klientów o zainteresowaniach artystycznych, a zarazem wystarczająco czystym, żeby zadowalać wymagania bywalców pobliskiego Teatru im. Guthriego oraz Centrum Sztuki im. Walkera. Wchodząc do niej, Liska zaczerpnęła haust powietrza wypełnionego bogatym aromatem egzotycznych gatunków kawy.

Tego dnia podzieliły się z Moss zadaniami, żeby sprawdzić jak najwięcej miejsc. Mary, która miała za sobą ponad dwadzieścia lat macierzyńskich doświadczeń, podjęła się trudnej misji porozmawiania z rodzinami dwóch pierwszych ofiar. Musiała jak najdelikatniej otworzyć ich zablizniające się rany. Liska z zadowoleniem przyjęła na siebie zadanie spotkania się z jedyną przyjaciółką Jillian Bondurant, o której istnieniu wiedzieli: Michele Fine.

Fine pracowała w D' Cup jako kelnerka i czasami śpiewała, na maleńkiej scenie umieszczonej w rogu obok frontowego okna, akompaniując sobie na gitarze. Liska zauważyła tylko trzech gości; siedzieli przy małych stolikach pod oknem, sycąc się mdłym światłem słonecznym, które wreszcie przebiło się zza chmur po trzech ponurych listopadowych dniach. Dwaj starsi klienci, jeden wysoki i szczupły z siwiejącą kocią bródką, a drugi niższy i bardziej przysadzisty, w czarnym berecie, sączyli kawę z ekspresu i dyskutowali o zasługach Narodowego Funduszu Wspierania Sztuki. Trzeci gość, młodszy mężczyzna w ogromnych okularach i czarnym golfie, siedział przy osobnym stoliku, z filiżanką kawy w ręku, i rozwiązywał krzyżówkę w gazecie. W stojącej przed nim popielniczce dymił odłożony papieros. Sądząc z nieco niechlujnego wyglądu, młody człowiek mógł być aktorem przeżywającym trudne chwile w zawodzie.

Liska podeszła do stojącego za kontuarem barmana, który zajęty był napełnianiem mieloną kawą pojemnika ekspresu. Miał czarne, falujące, związane w kucyk włosy i wyglądał na włoskiego supermana. Ledwie podniósł na nią czekoladowe oczy, a Liska już poczuła, że zaczyna się jej kręcić w głowie. Automatycznie policzyła w myślach, ile minęło tygodni, odkąd się ostatnio kochała. Moss powiedziałaaby jej pewnie, że matka dziewięć i

siedmioletniego chłopca nie powinna w ogóle myśleć o seksie.

– Szukam Michele.

Barman skinął głową, umieścił pojemnik w ekspresie i zamknął urządzenie.

– Chel! – zawołał.

Fine pojawiła się od razu w łukowatym przejściu, prowadzącym na zaplecze. W rękach trzymała tacę zastawioną jaskrawymi filiżankami, dużymi jak miseczki na zupę. Była wysoka i szczupła, a na jej wąskiej, chudej twarzy widniało kilka starych blizn. Liska pomyślała, że wiele lat temu musiała być ofiarą wypadku drogowego. Jedna zakrzywiona blizna znajdowała się blisko kącika szerokich ust, a inna odznaczała się na wystającej kości policzkowej, jak krótka tłusta dżdżownica. Michelle miała ciemne, brązowe włosy o sztucznym połysku, zaczesane do tyłu i związane mocno u nasady karku. Spadały jej na plecy puszystą masą, większą bodaj niż lisia kita.

Liska dyskretnie pokazała swoją legitymację.

– Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną spotkać, Michele. Możemy usiąść?

Fine odstawiła tacę i wyjęła spod kontuaru torebkę.

– Nie przeszkadza pani, że zapalę?

– Nie.

– Nie mogę z tym zerwać – powiedziała dziewczyna głosem tak szorstkim, że przypominał skrzypienie starego zawiasu. Podprowadziła policjantkę do stolika w części lokalu przeznaczonej dla palących, jak najdalej od siedzącego nad krzyżówką blondyna. – Ta cała sprawa z Jillie... jestem jednym kłębkim nerwów.

Wydobyła lekko drżącą ręką długiego papierosa z taniej zielonej papierośnicy z winylu. Na grzbiecie dłoni miała nabrzmiałą przekolorowaną bliznę, wokół której widniał precyzyjnie wytatuowany rysunek węża trzymającego w pysku czerwone jabłko. Reszta ciała węża otaczała jej nadgarstek.

– Wygląda na fatalne poparzenie – powiedziała Liska, wskazując na bliznę czubkiem długopisu, gdy tylko otworzyła swój kieszonkowy notes.

Fine wysunęła przed siebie dłoń, jakby chciała napawać się tym widokiem.

– Od palącego się tłuszczu – powiedziała beznamiętnym tonem. – Kiedy byłam mała.

– Pstryknęła zapalniczką i przez chwilę patrzyła z grymasem na twarzy w jej płomień. – Bolało jak diabli.

– Nie wątpię.

– No więc – powiedziała Michele energicznie, jakby chciała odepchnąć od siebie stare wspomnienie. – Co się dzieje? Nikt nie chce powiedzieć jasno, że Jillie nie żyje, ale tak jest,

prawda? We wszystkich artykułach mowa tylko o spekulacjach i prawdopodobieństwie, ale Peter Bondurant jest w to zaangażowany i wyznaczył nagrodę. Po co miałby to robić, gdyby to nie była Jillie? Dlaczego nikt po prostu nie powie, że to ona?

– Niestety, nie jestem upoważniona do udzielenia informacji w tej sprawie. Jak długo znałaś Jillian?

– Około roku. Przychodziła tutaj w każdy piątek przed albo po swoim spotkaniu z czubkiem. Tak się poznałyśmy.

Zaciągnęła się głęboko papierosem i wypuściła dym przez szeroko rozstawione zęby. Jej piwne oczy były trochę za wąskie i zbyt mocno podkreślone czarną kredką, a rzęsy aż ciężkie od tuszu. „Wredny wygląd” – jak to określił Vanlees. Liska uznała, że lepszym określeniem byłoby: „twardy”.

– A kiedy widziałaś ją ostatni raz?

– W piątek. Wstąpiła tu po drodze do tego psychicznego wampira.

– Nie darzysz wielkim szacunkiem doktora Brandta. Znasz go?

Michele spojrzała na nią, mrużąc oczy przez chmurę dymu.

– Wiem, że to łasa na pieniądze pijawka. Nie zależy mu na pomaganiu komukolwiek oprócz samego siebie. Powtarzałam jej, żeby dała sobie z nim spokój i podjęła terapię u jakiejś kobiety. Brandt był ostatnią osobą, której mogłaby potrzebować. Nic go nie interesowało oprócz tego, żeby trzymać łapę w kieszeni tatuśka Jillian.

– Czy wiesz, dlaczego do niego chodziła?

Fine spojrzała przez okno ponad ramieniem Liski.

– Depresja. Nie rozwiązane problemy emocjonalne, spowodowane rozwodem jej rodziców. Konflikty z matką, z ojczymem. Takie sobie normalne rodzinne bagno.

– Niestety, wiem coś o tym. Podawała ci jakieś konkretne szczegóły?

– Nie.

Kłamie, pomyślała Liska.

– Wiesz coś może o tym, żeby brała narkotyki?

– Nic na serio.

– To znaczy?

– Trochę trawy od czasu do czasu, kiedy była spięta.

– Od kogo ją kupowała?

Twarz Michele stężała, a blizny wydawały się teraz ciemniejsze i bardziej wyraziste.

– Od przyjaciela.

Czyli od niej, od Fine, pomyślała Liska i rozłożyła ręce.

– Słuchaj, nie interesuje mnie przyskrzynienie nikogo z powodu jakiejś odrobiny trawki. Po prostu chcę wiedzieć, czy Jillian mogła mieć z tego powodu jakiegoś wroga.

– Nie. Zresztą ona prawie nigdy nie paliła. Całkiem inaczej niż wtedy, kiedy mieszkała w Europie. Tam robiła wszystko: seks, narkotyki, alkohol. Ale rzuciła to od razu, kiedy tu przyjechała.

– Ot tak, po prostu? Przyjechała tutaj i zaczęła żyć jak zakonnica?

Fine wzruszyła ramionami, strząsając popiół z papierosa.

– Próbowwała się zabić, to chyba potrafi zmienić człowieka.

– We Francji? Próbowwała się zabić?

– Tak mi powiedziała. Ojczym zamknął ją na jakiś czas w zakładzie psychiatrycznym. Nieźle, jeśli się pamięta o tym, że odbijało jej z jego powodu.

– W jaki sposób?

– Pieprzył ją. Ona nawet jakiś czas wierzyła, że ją kocha. Chciała, żeby rozwiódł się z jej matką i ożenił z nią. – Fine mówiła o tym niemal gawędziarskim tonem, jakby w jej świecie tego rodzaju sytuacje należały do normy. – Skończyło się na tym, że wzięła garść prochów. Wtedy przybrany tatuś jej się pozbył. W końcu wypuścili ją z zakładu i wróciła tutaj.

Liska notowała te rewelacje, używając swego własnego systemu stenografii, którego nikt poza nią nie potrafił odczytać. Z podniecenia pisała jeszcze bardziej nieczytelnie niż zwykle. A więc trafiła tu na prawdziwą żyłę brudu. Spodoba się to Kovacowi, pomyślała.

– Czy jej ojczym kiedykolwiek przyjeżdżał tutaj, żeby się z nią spotkać?

– Nie. Pewnie ta cała sprawa z samobójstwem go wystraszyła. Jillie powiedziała mi, że nawet nie odwiedził jej w wariatkowie. – Wypuściła obłok dymu i zapatrzyła się w okno ponad głową blondyna. – To smutne, że ludzie myślą takie rzeczy z miłością, prawda?

– W jakim nastroju była w piątek?

– Nie wiem – odparła Fine, wzruszając chudymi ramionami. – Chyba trochę spięta. Mieliśmy dużo gości i nie było czasu porozmawiać. Powiedziałam jej, że zadzwonię do niej w sobotę.

– I zadzwoniłaś?

– Nie odebrała telefonu. Zostawiłam wiadomość na sekretarce, ale nie oddzwoniła.

Znowu zapatrzyła się przez okno niewidzącym wzrokiem. Pewnie wracała w myślach do ostatniego weekendu. Zastanawiała się, czy gdyby wówczas zrobiła cokolwiek inaczej, zapobiegłaby tragedii. Liska wiele razy widywała u ludzi taki wyraz twarzy. W oczach Michele Fine pojawiły się łzy. Zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Pomyślałam po prostu, że została u ojca – powiedziała, z trudem wydobywając z siebie słowa. – Chciałam spróbować ją złapać w niedzielę, ale potem... tak jakoś wyszło, że tego nie zrobiłam.

– A co robiłaś w niedzielę?

Fine pokręciła lekko głową.

– Nic. Wstałam późno. Pochodziłam koło jezior. Nic.

Przyłożyła dłoń do ust i zacisnęła mocno powieki, starając się opanować. Powstrzymywała się od płaczu, aż rumieniec pojawił się na jej bladej twarzy. Liska postanowiła poczekać chwilę. Dwaj starsi goście dyskutowali nadal, tym razem o sztuce performance.

– Na jakiej podstawie szczanie do butelki pełnej krucyfiksów można nazwać sztuką? – zapytał Bereciarz.

– To deklaracja! – odparł Kozia Bródka. – Sztuka zawsze lubiła deklaracje!

Blondyn otworzył gazetę na ogłoszeniach z ofertami pracy i zerknął na Michele. Liska spiorunowała go swym policyjnym spojrzeniem, więc wrócił do czytania.

– A reszta weekendu? – zapytała. – Co robiłaś po pracy w piątek wieczorem?

– A o co chodzi?

W głosie Fine od razu pojawiła się nuta podejrzliwości, zabarwiona odrobiną obrazy i strachu.

– Po prostu rutynowe pytania. Musimy ustalić, gdzie byli członkowie rodziny i znajomi Jillian, jeśli wtedy próbowała się z nimi skontaktować.

– Ze mną nie próbowała.

– Więc byłaś w domu?

– Poszłam do kina na późny seans, ale mam telefon z sekretarką. Zostawiłaby wiadomość.

– Czy kiedykolwiek nocowałaś w mieszkaniu Jillian?

Fine pociągnęła nosem, otarła oczy i nos dłonią i znowu zaciągnęła się kilka razy papierosem. Jej dłoń drżała.

– Tak, czasami. Pisałyśmy razem muzykę. Jillie nie chce występować, ale jest dobra.

Mówiąc o swej przyjaciółce, używała na przemian czasu przeszłego i teraźniejszego. Ludziom zawsze jest trudno zaakceptować tę zmianę po czyjejś śmierci.

– W toalecie w mniejszej sypialni znaleźliśmy trochę ubrań, ale nie wygląda na to, żeby należały do niej.

– To moje rzeczy. Mieszka za rzeką, cholernie daleko. Czasami siedziałyśmy do

późna, jak pracowałyśmy nad piosenką, więc po prostu zostawałam.

– Masz klucz do jej domu?

– Nie. Po co mi on? Nie mieszkałam tam.

– Czy Jillian dba o dom?

– A co to za różnica?

– Jest staranna? Niechlujna?

– Niechlujna – odparła Fine, zirytowana bezsensownym w jej pojęciu pytaniem. – Wszędzie zostawiała rzeczy. Ubrania, naczynia, popielniczki. Ale jakie to ma znaczenie? Przecież ona nie żyje. – Pochyliła głowę, czerwieniejąc na twarzy i walcząc z kolejną falą emocji wywołanej własnymi słowami. – Nie żyje. Spalił ją. O Boże. – Dwie łzy wypłynęły przez jej rzęsy i spadły na papierową tackę.

– Nie wiemy na sto procent, czy to była ona.

Fine odłożyła papierosa na popielniczkę i skryła twarz w dłoniach. Nie łkała, ale nadal walczyła, by powstrzymać wybuch emocji.

– Może wyjechała z miasta na parę dni – dodała Liska. – Nie wiemy tego. A ty wiesz?

– Nie.

– Czy wiadomo ci o kimkolwiek, kto chciałby ją skrzywdzić?

Fine zaprzeczyła ruchem głowy.

– Ma chłopaka? Dawnego narzeczonego? Jakiegoś faceta, który się nią interesuje?

– Nie.

– A ty sama? Masz chłopaka?

– Nie – odparła, opuszczając wzrok na dymiący w popielniczce niedopałek. – Po co mi to?

– Czy Jillian kiedykolwiek wspominała coś o tym, że prześladowuje ją jakiś mężczyzna? Może ją podglądał? Przystawiał się do niej?

Fine roześmiała się gorzko.

– Wie pani, jacy są mężczyźni. Wszyscy się gapią. Wszystkim się wydaje, że mają szansę. Ale kto w ogóle zwraca uwagę na nieudaczników?

Pociągnęła nosem, zaczerpnęła duży haust powietrza, a potem wypuściła je powoli, sięgając po kolejnego papierosa. Miała paznokcie obgryzione do mięsa.

– A jakie były jej stosunki z ojcem? Układało się między nimi?

– Ona go uwielbia – powiedział Fine, krzywiąc twarz. – Sama nie wiem dlaczego.

– Ty go nie lubisz?

– Nigdy go nie widziałam. Ale on nią rządzi. To on jest właścicielem jej domu, płaci

za uczelnię, wybiera i opłaca terapeutę. W każdy piątek kolacja. Samochód.

Całkiem niezły układ, skomentowała w myślach Liska. – Może namówiłabym Bonduranta, żeby mnie adoptował. Postanowiła nie kontynuować tematu, bo zaczynało jej się wydawać, że Michele nie lubi niczego, co ma jakiś związek z penisem.

– A może wiesz, czy Jillian miała na ciele jakieś charakterystyczne znaki? Znamiona, blizny, tatuaże?

Fine spojrzał na nią złym wzrokiem.

– Skąd miałabym to wiedzieć? Nie byliśmy kochankami.

– Więc nie było nic widocznego, jakiejś blizny na ręce czy węża wytatuowanego wokół nadgarstka?

– Niczego takiego nie zauważyłam.

– Gdybyś miała się rozejrzeć po mieszkaniu Jillian, to czy zauważyłabyś, że czegoś brakuje? Na przykład, że spakowała ubrania i gdzieś wyjechała?

– Chyba tak – odparła, wzruszając ramionami.

– To dobrze. Zaraz sprawdzę, czy możemy się tam przejechać.

Podczas gdy Michele petraktowała ze swym szefem, włoskim adoniszem, by zwolnił ją na godzinę z pracy, Liska wyszła z kawiarni, wyjęła telefon komórkowy i wybrała numer Kovaca.

Na dworze było chłodno i wiał silny wiatr. Chociaż całkiem nie najgorszy dzień jak na listopad. Trochę nieudolna imitacja wspaniałej pogody z końca września i początku października, kiedy Minnesota może rywalizować pod względem aury z każdym stanem w kraju. Chłopcy pewnie już wyszli po szkole na rowery, żeby jeszcze maksymalnie je wykorzystać, zanim zacnie sypać śnieg i trzeba będzie wyjąć z piwnicy sanki. Mieli szczęście, że tak długo utrzymywała się niezła pogoda.

– Chata łosia – rozległ się w słuchawce opryskliwy głos.

– Czy mogę rozmawiać z Bullwinklem? Słyszałam, że ma kutasa długiego jak moja ręka.

– O Jezu, Liska. Czy ty nigdy nie myślisz o niczym innym?

– Nie, tylko o tym i o stanie mojego konta. Niestety, ani jedno, ani drugie nie jest dla mnie wystarczająco duże.

– Oszczędź sobie tego. Co masz dla mnie?

– Poza tym, że jestem na ciebie napalona? Pytanie. Kiedy w poniedziałek byłeś w mieszkaniu Jillian, to czy wyjąłeś kasetę z automatycznej sekretarki?

– To była sekretarka cyfrowa. Nie było żadnych wiadomości.

– Ta jej koleżanka mówi, że dzwoniła w sobotę i zostawiła wiadomość. Więc kto ją wymazał?

– Oho, jakaś tajemnica. Nie znoszę tajemnic. Masz coś jeszcze?

– O tak. – Zerknęła przez okno do wnętrza kawiarni. – Mam opowieść godną Szekspira.

– Właśnie wracała na dobrą drogę – oświadczyła matka Lili White.

Wypowiadając te słowa miała na twarzy wyraz uporu, jak ktoś kto w kółko powtarza to samo kłamstwo. Tak bardzo chciała w to wierzyć, chociaż w głębi duszy wiedziała, że prawda była inna.

Mary Moss czuła dla tej kobiety głębokie współczucie.

Rodzina White'ów mieszkała w małej rolniczej osadzie o nazwie Glencoe. W takim miejscu plotki są na porządku dziennym i potrafią ranić jak nóż. Mąż pani White pracował jako mechanik w składzie sprzedającym narzędzia rolnicze. Przed ich stojącym na peryferiach miejscowości, schludnym domkiem stały betonowe rzeźby sarn, na jego tyłach natomiast znajdowała się huśtawka; tam bawiła się wychowywana przez White'ów wnuczka. Licząca cztery lata jasnowłosa Kylie na szczęście nie była w stanie pojąć faktu śmierci swojej matki. Na razie.

– Dzwoniła do nas w tamten czwartek wieczorem. Rzuciła narkotyki, wie pani. To właśnie narkotyki tak ją sponiewierały.

Pani White ściągnęła wargi, jakby gorzkie uczucia pozostawiły jej przykry smak w ustach.

– Wszystko przez tego chłopaka Ostertagów. To on ją w to wciągnął.

– Och, przestań, Jeannie – powiedział jej mąż takim tonem, jakby go już zmęczyło ciągle powtarzanie tych słów.

Był wysokim mężczyzną o kościstej budowie i oczach koloru spranego dżinsu. Jego twarz znaczyły typowe dla mieszkańca wsi bruzdy, powstałe przez lata marszczenia twarzy w jaskrawym słońcu.

– Przestań z tą „Jeannie” – rzuciła gniewnie pani White. – Wszyscy tu wiedzą, że handluje prochami, a jego rodzice chodzą sobie jakby nigdy nic i udają, że ich gównu nie śmierdzi. Niedobrze mi się od tego robi.

– Allan Ostertag? – podjęła Moss, zaglądając do swoich notatek. – Państwa córka chodziła z nim do szkoły?

White westchnął i skinął głową, jakby czekał, kiedy to się wreszcie skończy. Z

pewnością chciał, żeby ich rany zaczęły się znowu goić i nie były już więcej rozdrapywane. Jego żona nie przerywała jednak litanii zarzutów przeciwko Ostertagom. Moss czekała cierpliwie. Wiedziała, że Allan Ostertag nie był ani teraz, ani przedtem poważnie brany pod uwagę jako podejrzany o zabójstwo Lili White, więc opowieści o nim nie miały dla niej żadnego znaczenia. Nie były jednak bez znaczenia dla White'ów.

– Czy wspominała latem, że spotyka się z kimś konkretnym? – zapytała Mary, kiedy pani White przerwała swój potok narzekań. – Miała jakiegoś stałego chłopaka? Kogoś, kto mógłby sprawiać jej kłopoty?

– Już odpowiadaliśmy na te wszystkie pytania – zniecierpliwiła się Jeannie White. – Wygląda na to, jakby się wam nie chciało niczego zapisać. No pewnie, czy to było ważne, skoro zginęła tylko nasza córka? – dodała z jadowitą ironią. – Nie widzieliśmy wtedy w telewizji żadnej grupy specjalnej. Policji wcale nie obchodziło...

– To nieprawda, pani White.

– Wcale jej nie obchodziło, że w jesieni pobił Lilę ten handlarz narkotyków. Nawet nie chciało się tym facetom go oskarżyć. Jakby nasza dziewczyna w ogóle się nie liczyła – powiedziała, a jej oczy wypełniły się łzami. – Nie była ważna dla nikogo oprócz nas.

Moss zaczęła White'ów przeproszać, chociaż wiedziała, że jej przeprosiny i tak nie zostaną przyjęte. Żadne tłumaczenie nie było w stanie przeniknąć cierpienia, poczucia obrazy, gniewu i bólu. Dla White'ów nie miał znaczenia fakt, że pojedyncze zabójstwo z konieczności traktuje się inaczej niż serie powiązanych ze sobą morderstw. Istotne dla nich było tylko to, że córka, którą kochali, trafiła najpierw na jedną z bardziej ponurych ścieżek życia, a potem zginęła jako prostytutka. Tak właśnie miała być zapamiętana przez innych, jeśli w ogóle miała być zapamiętana. Ofiara numer jeden. Notowana prostytutka i narkomanka.

Pewnie widywali te nagłówki nawet w snach. Nadzieja, że ich córka naprawi swe życie, umarła nie spełniona, i nikogo na świecie nie obchodziło, że kiedyś Lila White chciała zostać prawnikiem, że była dobrą uczennicą w szkole średniej ani że często rozpaczała nad tym, iż nie potrafiła wychowywać swojego własnego dziecka.

Moss odjechała z Glencoe ze zdjęciami przedstawiającymi Lilę i Kylie na podwórzu White'ów. Pogodna, roześmiana Lila w papierowym kapeluszu na głowie w dniu czwartych urodzin Kylie. Zdjęcia matki i córki chlapiących się w zielonym plastikowym baseniku. Trzy tygodnie później ktoś zamęczył Lilę na śmierć, zbeczczył jej ciało i podpałił je jak kupkę śmieci.

Ofiara numer jeden, notowana prostytutka i narkomanka. Moss usiłowała zebrać

szybko w myślach wszystkie swoje argumenty. Policja nie jest w stanie tworzyć grupy specjalnej w przypadku każdego popełnionego w mieście morderstwa. Zabójstwo Lili White stało się przedmiotem pełnego dochodzenia. Śledztwo prowadził Sam Kovac, który robił, co tylko w jego mocy, dla wykrycia zabójcy każdej ofiary bez względu na to, kim ta osoba była za życia.

Mimo wszystko nie mogła powstrzymać się w myślach od sformułowania pytania, które zadała głośno Jeannie White: jak dalece inaczej sprawy mogłyby się potoczyć, gdyby ofiarą numer jeden była Jillian Bondurant?

Na drzwiach domu Jillian Bondurant w Edgewater założono nowe zamki, do których klucze znajdowały się na policji. Liska wsunęła błyszczący nowy klucz do zamka i otworzyła drzwi. Weszły razem do sypialni i Fine zaczęła zaglądać do szafek, zatrzymując od czasu do czasu wzrok na niektórych rzeczach.

– Jezu, to niesamowite – powiedziała, rozglądając się. – Tak tu czysto.

– Czy Jillian nie miała dochodzącej sprzątaczkii?

– Nie. Ojciec próbował załatwić jej kiedyś w prezencie pokojówkę. Nalegał. To najbardziej upierdliwy człowiek pod słońcem. Ale Jillie powiedziała: nie. Nie chciała, żeby ktoś się grzebał w jej rzeczach. Nie widzę, żeby czegoś brakowało – oznajmiła Michele po chwili.

Zatrzymała się przy toalecie, przesuwając wzrokiem po umieszczonych na niej przedmiotach. Mahoniowa szkatułka na biżuterię, kilka zapachowych świeczek na różnego rodzaju podstawkach, mała porcelanowa figurka, przedstawiająca elegancką kobietę w powłóczyściej niebieskiej sukni. Dotknęła delikatnie figurki, patrząc na nią z zadumą.

Kiedy Fine zbierała swoje ubrania w sypialni dla gości, Liska zeszła na dół, by jeszcze raz rzucić okiem na pozostałe pokoje. Widziała je teraz inaczej niż przed spotkaniem z Fine. Mieszkanie było czyste, chociaż wiedziała, iż powinna zastać w nim bałagan. Nigdy nie słyszała, żeby morderca zaprzętał sobie głowę sprzątaniami, ale najwyraźniej ktoś tu posprzątał. Nie chodziło tylko o wytarcie poszczególnych przedmiotów w celu usunięcia odcisków palców. Ktoś wysprzątał całe mieszkanie, poskładał ubrania i odłożył je do szafy oraz pozmywał naczynia.

Znowu powróciła myślami do przyjaźni między Michele Fine i Jillian. Musiały stanowić dość specyficzną parę: córka miliardera i kelnerka z kawiarni. Gdyby domagano się od Petera Bonduranta okupu, od razu należałoby wziąć tę znajomość pod lupę. Wprawdzie nic nie było wiadomo o takim żądaniu, ale Liska czuła przez chwilę zawodową podejrzliwość.

Nie, nic w tym nie ma, uznała po chwili zastanowienia. Widziała, że Fine współpracuje z policją bez zarzutu. Nic, co powiedziała czy zrobiła, nie budziło zastrzeżeń. Jej smutek wyglądał na prawdziwy, zabarwiony przez gniew, ulgę i poczucie winy. Liska nieraz widziała to u ludzi, którzy stracili kogoś bliskiego w wyniku morderstwa.

Mimo to postanowiła na wszelki wypadek sprawdzić, czy nazwisko Michele Fine figuruje w policyjnej bazie danych.

Podeszła do elektronicznego pianina, stojącego w pokoju gościnnym. Jillian Bondurant pisała muzykę, ale była zbyt nieśmiała, żeby występować. To właśnie jeden z tych szczegółów, które sprawiały, że stawała się prawdziwą osobą. Nie była już tylko córką Petera Bonduranta. Na stojaku leżały starannie ułożone kartki z nutami klasycznych kompozycji. Kolejna sprzeczność w obrazie Jillian. Liska podniosła tapicerowane siedzenie ławy. W skrzyni znajdowała się kolekcja nagrań Jillian: folk, rock, muzyka alternatywna, New Age...

– Nie ruszać się!

W pierwszym odruchu chciała sięgnąć po pistolet, ale powstrzymała się. Zastygła schylona nad pulpitem pianina. Oddychając ustami, odwróciła powoli głowę. Najpierw poczuła falę ulgi i zaraz potem przyływ gniewu.

– To ja, panie Vanlees. Detektyw Liska! – zawołała, prostując się. – Proszę odłożyć broń.

Vanlees stał tuż przy drzwiach w swoim mundurze ochroniarza i z coltem pythonem w dłoni. Liska miała ochotę wyrwać mu rewolwer i rąbnąć go nim w głowę.

Zamrugał, patrząc na nią, i opuścił broń, a na jego ustach pojawił się jakby nieśmiały uśmiezek.

– Ojej, pani detektyw. Przepraszam. Nie wiedziałam, że pani jeszcze raz przyjdzie. Jak zobaczyłem, że ktoś tu chodzi, to pomyślałem sobie najgorsze. Wie pani, dziennikarze z popołudniówek ciągle tutaj przyłazą. Podobno potrafią ukraść wszystko, co nie jest przybite gwoździem.

– Nie poznałeś mojego samochodu? – zapytała Liska z nieco zbyt wyraźną irytacją.

– Eee... no, chyba nie. Przepraszam.

Akurat, pomyślała. Była przekonana, że tacy niedoszli gliniarze jak Vanlees dostrzegają wszystko, co dotyczy prawdziwych policjantów. Mogłaby się założyć, że facet ma gdzieś zapisany jej numer rejestracyjny. Na pewno rozpoznał markę i model samochodu. To było przedstawienie obliczone na wywarcie na niej wrażenia. Gil Vanlees: człowiek czynu. Zawsze gotowy. Oddany służbie. Zaangażowany. Rany boskie!

– Kawał gnata, Gil – zauważyła, kręcąc głową i zbliżając się do niego. – Chyba nie

muszę pytać, czy masz na niego zezwolenie?

W oczach Vanleesa pojawił się chłód, a uśmiech zniknął z jego twarzy. Nie był zachwycony tym, że ona udziela mu reprimendy. Nie chciał, by mu przypomniano, iż jego uniform nie jest prawdziwym mundurem. Włożył broń do kabury i przesunął ją na brzuch.

– Tak, mam zezwolenie.

Liska zmusiła się do uśmiechu.

– Niezły kawał żelastwa. Ale to nie jest najlepszy pomysł, żeby zachodzić z tym ludźmi od tyłu, Gil. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. Możesz się kiedyś trochę za bardzo pośpieszyć i kogoś rozwalić. Nikomu by to nie wyszło na dobre, prawda?

Unikał teraz jej wzroku jak dziecko, które dostaje burę za to, że dobrało się do narzędzi ojca.

– Mówisz, że weszli tu reporterzy? Ale nikt nie wchodził do domu, co?

Vanlees przesunął wzrok gdzieś poza nią i jeszcze bardziej spochmurniał. Liska rzuciła okiem przez ramię. Michele Fine stała u stóp schodów z beładnym naręczem czarnych ubrań. Wyglądała na obrażoną obecnością Vanleesa.

– Panie Vanlees? Nikt nie wchodził do domu, prawda? – powtórzyła Liska, gdy Michele przeszła do kuchni.

– Tak.

Cofnął się o krok ku drzwiom, kładąc dłoń na rękojeści broni. Nie odrywał wzroku od Michele, która właśnie położyła swoje rzeczy na ladzie oddzielającej kuchnię od aneksu jadalnego.

– Muszę iść – powiedział ponuro. – Chciałem tylko przypilnować. Nic więcej.

Liska wyszła za nim na zewnątrz.

– Słuchaj, Gil, przepraszam, jeżeli się za ostro odezwałam. Trochę mnie wystraszyłeś, no wiesz.

Tym razem nie dał się na to złapać. Zakwestionowała jego honor, podważyła jego pozycję kolegi po fachu, zraniła poczucie godności osobistej. Nić porozumienia, którą nawiązała z nim dwa dni wcześniej, napięta się niebezpiecznie. Liska sądziła, że ich porozumienie będzie bardziej trwałe, ale teraz widząc, że tak nie jest, uznała to za symptomatyczne. Kolejny punkt do omówienia z Quinnem: poczucie własnej wartości Vanleesa.

Zrobił obrażoną minę, prawie nie patrząc na policjantkę.

– Jasne. Nie ma sprawy.

– Cieszę się, że masz na wszystko oko – powiedziała. – Słyszałeś o tym spotkaniu

mieszkańców dzisiaj wieczorem? Mógłbyś wpaść, jeżeli będziesz miał czas.

Odprowadziła go wzrokiem. Dzięki niebieskiemu uniformowi z pewnej odległości Vanlees wyglądał na funkcjonariusza policji. Mężczyźni w mundurze byłoby łatwo zatrzymać kobietę, zacząć z nią rozmowę. Wszystkie trzy ofiary Joego Podpalacza zginęły i nie znaleziono żadnych świadków, którzy by słyszeli jakiś krzyk czy zauważyli podejrzanę zachowanie. Jednak z drugiej strony, nie było też żadnych świadków, którzy widzieliby w okolicy jakiegoś mężczyznę w mundurze.

– Jestem gotowa.

Liska wzdrygnęła się nieco na dźwięk tych słów. Odwróciła się i zobaczyła Michele Fine, która stała w drzwiach z wypchaną ubraniami foliową reklamówką w ręku.

– Dobrze. Świetnie. Odwiozę cię z powrotem.

Fine czekała u stóp schodów, gdy Liska zamykała drzwi na klucz. Vanlees zniknął im już z oczu, ale ona nie mogła przestać o nim myśleć.

– Znasz tego faceta? – zapytała dziewczynę, kiedy wsiadły już do samochodu.

– Nie osobiście – odparła Fine, trzymając reklamówkę w objęciach, jakby to było niemowlę. – Już mówiłam, kto w ogóle zwraca uwagę na nieudaczników?

Nikt, pomyślała Liska wrzucając bieg. Jednak skoro nikt nie zwraca na nich uwagi, tacy ludzie mają swobodę fantazjowania i obmyślenia zemsty na tych wszystkich kobietach, które ich nie chcą i nigdy nie będą kochać.

– Więc jak sądzisz, John? – zapytał Sabin. – Czy ta dziewczyna coś przed nami ukrywa?

Siedzieli w czwórkę w sali konferencyjnej urzędu prokuratora okręgowego: Quinn, Sabin, Kate i Marshall. Quinn spojrzał na Kate, która siedziała naprzeciwko niego z zaciśniętymi ustami i płonącymi od gniewu oczami. Wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że się wścieknie, jeżeli on zajmie w tej dyskusji niewłaściwe stanowisko. Miał więc przed sobą kolejne pole minowe do przebycia. Patrzył Kate w oczy, odwzajemniając jej spojrzenie.

– Tak – odparł, podsycając jeszcze bardziej płomień we wzroku Kate. – Bo się boi. Prawdopodobnie czuje, że zabójca wie, co ona robi, tak jakby ją obserwował, kiedy rozmawia z policjantami albo opisuje go rysownikowi. To normalne zjawisko. Czyż nie tak, Kate?

– Tak.

Płomień w jej oczach nieco przygasł. A więc rezerwowała sobie możliwość spalenia go później. Podobało mu się to, że nadal potrafi wywoływać w niej tak silne emocje. Negatywne uczucia w końcu też są uczuciami. Wiedział, że najbardziej powinien się bać obojętności.

– Wrażenie wszechobecnego zła – powiedział Rob, kiwając mądrze głową. – Widywałem to nieraz. To niesamowity stan. Zdarza się nawet u najbardziej logicznie myślących i rozsądnych osób.

Wziął do ręki pilota magnetowidu i przewinął taśmę do początku pierwszej rozmowy z Angie DiMarco, rozmowy, która miała miejsce nie więcej niż godzinę po jej zatrzymaniu. Oglądali już to nagranie. Zatrzymywali taśmę w istotnych momentach, a Marshall i Sabin oglądali się na Quinna, jakby oczekiwali jakiegoś objawienia, tak jak uczniowie siedzący u stóp Chrystusa.

– Tutaj wyraźnie widać, że jest przerażona – powiedział Marshall, mądrym tonem powtarzając to, co Quinn zauważył, kiedy oglądali taśmę po raz pierwszy. – Cała drży. Słychać to w jej głosie. Masz absolutną rację, John.

John. Kolega, kumpel po fachu. Poufałość Marshalla drażniła Quinna, mimo, że on sam celowo skłaniał ludzi do takiego zachowania. Miał już dość osób udających, że go znają,

i jeszcze bardziej dość tych, którzy byli pod wielkim wrażeniem znajomości z nim. Ciekawe, co by o nim myślał Rob Marshall, gdyby wiedział, że on budzi się w środku nocy rozdygotany i bliski wymiotów, ponieważ już nie potrafi sobie z tym wszystkim poradzić.

Marshall nastawił nieco głośniejszy telewizor, kiedy dziewczyna straciła panowanie nad sobą i krzyknęła drżącym głosem: „Ja go nie znam! Podpalił jakiegoś pieprzonego trupa! To, kurwa, jakiś psychol!”

– Ona tego nie odgrywa – powiedział cicho, wpatrując się intensywnie w ekran telewizora, tak jakby mogło to poprawić jego słaby wzrok i pozwolić mu na wejrzenie w myśli dziewczyny.

Sabin wyglądał na niezadowolonego; chyba wciąż miał nadzieję, że znajdzie się jakiś pretekst, aby umieścić dziewczynę w areszcie.

– Może ona czułaby się bezpieczniej za kratkami? – zapytał.

– Angie nie zrobiła nic złego – oburzyła się Kate. – Wcale nie musiała się przyznawać, że w ogóle widziała tego typu. Potrzebuje naszej pomocy, a nie pogrózek.

Rumieniec zaczął powoli wypływać na twarz prokuratora.

– Nie potrzebujemy tutaj sytuacji konfliktowej, Ted – wtrącił Quinn; Quinn rozsądny, Quinn wyluzowany.

– Ona sama się postawiła w tej sytuacji – podjął Sabin. – Miałem niedobre przeczucia, już kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłem. Powinniśmy byli od razu wziąć się do niej ostro. Dać jej do zrozumienia, że nie będziemy się z nią pieprzyć.

– Uważam, że postąpiliście z nią w sposób absolutnie właściwy – zaopiniował Quinn. – Młoda osoba, taka jak Angie, nie darzy zaufaniem władzy. Trzeba było zapewnić jej jakąś przyjazną osobę i Kate była idealną kandydatką. Jest autentyczna, otwarta, nie ma w niej zakłamania ani udawanego współczucia. Niech Kate dalej prowadzi tę dziewczynę. Groźbami nic z niej nie wydobędziecie. Ona właśnie spodziewa się gróźb, więc po prostu spłyną po niej jak woda po gęsi.

– Jeżeli nie powie nam nic, co by się dało wykorzystać, cóż nam po niej? – sprzeciwił się Sabin. – Skoro nie może w niczym pomóc, nie ma sensu marnować na nią sił i środków.

– To nie jest marnowanie – sprzeciwiła się Kate.

– No więc, co o tym myślisz, John? – zapytał Marshall, wskazując pilotem na ekran, gdy znowu przewinął taśmę do tyłu. – To używanie przez nią zaimków osobowych: „Nie znam go. To jakiś psychol”. Czy nie sądzisz, że to ma jakieś znaczenie?

Quinn wypuścił głośno oddech. Czuł, że jego irytacja zaczyna przeważać nad opanowaniem.

– A jak ma o nim mówić? Ono?

Kate uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Skończyłem kursy z psycholingwistyki – oświadczył Marshall z obrażoną miną. – Sposób mówienia może zawierać wiele informacji.

– Zgadzam się – potwierdził Quinn, wracając do bardziej dyplomatycznego tonu. – Ale istnieje również coś takiego jak nadinterpretacja. Myślę, że najlepsze, co możecie zrobić, to wycofać się i pozwolić Kate, by się zajęła tą dziewczyną.

– Do cholery, potrzebujemy czegoś konkretnego – powiedział Sabin jakby do siebie samego. – Dzisiaj nie dodała prawie nic do portretu pamięciowego. Stała tam, w parku, i patrzyła wprost na faceta, a na portrecie widać nie wiadomo kogo. To może być każdy.

– To może być wszystko, co umysł pozwala jej zobaczyć – powiedziała Kate. – Co chcesz, żeby zrobiła, Ted? Żeby zmyśliła coś tylko po to, byś uwierzył, że się stara?

– Jestem przekonany, że pan Sabin wcale nie to miał na myśli, Kate – wtrącił Marshall z dezaprobatą w głosie.

– Przerysowuję, żeby postawić sprawę jasno, Rob.

– Niezależnie od wszystkiego, jest dla śledztwa cenną osobą – orzekł Quinn. – Możemy wykorzystać ją jako atut. Przeciuki do prasy. Wywołanie wrażenia, że powiedziała nam więcej, niż w istocie. Możemy ją wykorzystać na wiele sposobów. Nie musi okazać się w tej chwili dobrym skautem ani mieć fotograficznej pamięci.

– A ja się obawiam, że ona kłamie w całej w tej sprawie od początku do końca – oznajmił Sabin.

A więc sceptycyzm Edwyna Noble’a przynosi pierwsze owoce, stwierdziła w myślach Kate, starając się nie okazać irytacji.

– Już o tym mówiliśmy – powiedziała. – To bez sensu. Gdyby zależało jej tylko na pieniądzech, to zwiłaby z parku i nie powiedziała ani słowa, dopóki by nie wyznaczono nagrody.

– I gdyby myślała jedynie o pieniądzech – dodał Quinn – toby się starała, jak tylko by mogła, dostarczyć nam szczegóły. Wiem z doświadczenia, że chciwość przemaga strach.

– A co, gdyby się okazało, że w jakiś sposób była w to zaplątana? – odezwał się Marshall. – Gdyby próbowała sprowadzić nas na mylny trop albo zdobyć informacje...

Kate obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

– Nie mów głupstw. Jeżeliby była związana z tym facetem, to dałaby nam dokładny portret jakiegoś nie istniejącego typu. W dodatku nie ma dostępu do żadnych informacji, których on nie mógłby znaleźć w gazetach.

Marshall opuścił wzrok na blat stołu. Brzegi jego uszu było różowoczerwone.

– Angie jest wystraszonym dzieciakiem po ciężkich przejściach – powiedziała Kate, wstając. – A teraz muszę do niej wrócić, zanim podłoży ogień w moim pokoju.

– Czyżbyśmy już skończyli? – zapytał Marshall zjadliwym tonem. – Chyba tak. Przecież tak powiedziała Kate.

Popatrzyła na niego z nie skrywaną niechęcią i ruszyła ku wyjściu. Quinn dostrzegł, że Sabin odprowadza ją wzrokiem, patrząc na jej biodra.

– Była tak samo uparta w FBI? – zapytał, gdy drzwi zamknęły się już za Kate.

– Chyba jeszcze bardziej – odparł Quinn, wychodząc w ślad za nią.

– Też uciekasz? – powiedziała, gdy ją dopędził. – Nie chciałeś zostać, żeby Rob ci się trochę popodlizywał? Jest w tym najlepszy.

– Nie masz najlepszej opinii o swoim szefie – rzekł z uśmiechem. – Ale to w końcu nic nowego.

– Ty też nie masz o nim zbyt dobrej opinii – odparła, zerkając przezornie przez ramię.

– Rob Marshall to natrętny, włączający każdemu w dupę gnojek. Ale trzeba sprawiedliwie przyznać, że zależy mu na tym, co robimy, i stara się to robić dobrze.

– No tak, jest po kursach z psycholingwistyki.

– Czytał twoją książkę.

Quinn uniósł brwi.

– A czy są jacyś ludzie, którzy jej nie czytali?

Hol recepcji przed niedostępnym dla postronnych fragmentem budynku był pusty. Nawet recepcjonistka też gdzieś zniknęła ze swojego posterunku, umieszczonego za taflą kuloodpornego szkła. Na podłodze leżały całe stosy egzemplarzy nowo wydanego katalogu firm, a na ławie najnowszy numer „Truth and Justice” i kilka nieaktualnych magazynów informacyjnych.

Kate wypuściła głośno oddech i stanęła twarzą do Quinna.

– Dziękuję za to, że mnie poparłeś.

Skrzywił się.

– Czy to naprawdę tak cię zabolało? O Boże, Kate.

– Przepraszam. Nie jestem taka jak ty, John. Nie znoszę rozgrywek w tego rodzaju sprawach. Nie chciałam wcale prosić cię o pomoc, ale zdaje mi się, że powinnam okazać ci prawdziwą wdzięczność.

– Niekoniecznie. Nie musiałem zrobić nic innego, jak tylko powiedzieć prawdę. Sabin chciał jakiejś zewnętrznej opinii i otrzymał ją. Miałaś rację. To cię powinno uszczęśliwić –

rzekł cierpkim tonem.

– Nie musisz mi mówić, że miałam rację. A jeżeli chodzi o to, co może mnie uszczęśliwić, to na pewno nie ma to nic wspólnego z tą sprawą.

– Łącznie z moją obecnością tutaj.

– Nie zamierzam dłużej z tobą rozmawiać – odparła.

Od drzwi do holu skręciła w lewo, w kierunku atrium. Tam również nie było żywej duszy. Ponad dwadzieścia pięter pełnych ludzi, a nikogo w zasięgu wzroku, kto mógłby się znaleźć pomiędzy nimi. Wiedziała, że Quinn jest tuż za nią. Po chwili był już obok, trzymając dłoń na jej ramieniu, jakby nadal miał, do tego prawo.

– Kate, przepraszam – powiedział cicho. – Wcale nie chcę się z tobą spierać. Naprawdę.

Stał za blisko niej i z bliska jego ciemne, okolone długimi gęstymi rzęsami oczy wyglądały na jeszcze większe. Były niemal kobiece w jego w gruncie rzeczy surowej męskiej twarzy. Reprezentował ten typ urody, który przyprawia każdą normalną kobietę o szybsze bicie serca. Kate poczuła, jak coś zaczyna ją ścisnąć w piersiach. Knykiec jego kciuka dotykał z boku krągłości jej piersi. Oboje pomyśleli o tym jednocześnie.

– Kate, ja... – przerwał, słysząc nagły sygnał pagera.

Zaklął pod nosem i odsunął dłoń. Kate cofnęła się i oparła biodrem o barierkę wychodzącego na atrium balkonu. Splotła ramiona na piersiach, usiłując zignorować uczucie, które wywołał w niej tamten przelotny dotyk. Quinn sprawdził wyświetlacz pagera i z kolejnym przekleństwem na ustach wyjął z kieszeni marynarki płaski telefon komórkowy.

Dzienne światło przenikające przez południową stronę atrium wydobywało siwe nitki w krótko przystrzyżonych włosach Quinna. Mimo woli zadała sobie w duchu pytanie, czy gdzieś tam w Wirginii jest kobieta, która martwi się o jego zdrowie i przejmuje stresem, z którym on musi żyć dzień po dniu.

– Do diabła, McCleary, nie możesz sobie dać rady z tą sprawą przez parę godzin bez jakiegoś pieprzonego kryzysu! – rzucił Quinn i zamilkł, słuchając rozmówcy.

– Aha, adwokat – odezwał się po chwili. – Do cholery... Teraz już nic z tym nie zrobisz. To przesłuchanie jest spalone... Wycofaj się i jeszcze raz przeanalizuj dowody. Zobacz, czy jest tam coś, co da się rozdmuchać. A jak wypadły te badania papieru?... Przecież on nie wie, że tego nie masz. Na rany boskie, wykorzystaj to!... Nie, nie przyjeżdżam. Jestem uziemiony tutaj. Zajmij się tym sam.

Zamknął z trzaskiem telefon, westchnął ciężko i przyłożył dłoń do brzucha.

– Myślałam, że już zdążyli z ciebie zrobić szefa sekcji – powiedziała.

– Proponowali mi, ale odmówiłem. Nie jestem materiałem na administratora.

Nie dodał, że w praktyce jest szefem CASKU. Fachowcem, do którego zwracają się o pomoc pozostali pracownicy. Człowiekiem z obsesją kierowania, który uważał, że żadne działanie nie może być wykonane absolutnie bezbłędnie, jeżeli on go nie nadzoruje. Nie, nie mógł zrezygnować ze swoich konkretnych, praktycznych zadań na rzecz obowiązków szefa sekcji. Dlatego też w istocie pełnił obydwie funkcje. Doskonałe rozwiązanie dla człowieka mającego obsesję na punkcie swojej pracy i pragnącego chronić ludzkość przed ciemną stroną jej samej.

– Ile masz teraz spraw na głowie?

– Tyle co zawsze – odparł krótko.

Znaczyło to, że ma ich więcej niż ktokolwiek w sekcji. Więcej niż ktokolwiek może rozwiązać, chyba że dysponuje drugim życiem. W przeszłości zdarzało się, że uznawała jego obsesję za ambicję, kiedy indziej zaś potrafiła poprzez pozory dostrzec, że on stoi na skarpie głębokiej, ciemnej przepaści, zionącej w jego własnym wnętrzu. Instynktowną reakcją Kate było pragnienie powstrzymania go, odciągnięcia znad tej przepaści. Ale przecież chodziło o jego życie, życie, życie które sobie wybrał. Teraz nawet nie chciała, żeby się tu znalazł.

– Muszę wracać do Angie – powiedziała. – Nie będzie zadowolona z tego, że ją zostawiłam. Sama nie wiem, dlaczego tak bardzo się tym przejmuję.

– Zawsze lubiłaś trudne zadania – zauważył żartobliwie.

– Powinnam się chyba leczyć na głowę.

– W tym nie mogę niestety, służyć pomocą, ale co byś powiedziała na wspólną kolację?

Było to tak nieoczekiwane, że Kate omal się nie roześmiała. No proszę, po prostu: wspólna kolacja. Jeszcze przed chwilą docinali sobie nawzajem. Dzieliło ich pięć lat niewidzenia, cała masa obciążeń emocjonalnych... No i co? On już się z tego otrząsnął, a ja jeszcze nie? – pomyślała.

– Raczej nie. W każdym razie dziękuję.

– Porozmawiamy o sprawie – zaproponował, cofając się, zwrócony do niej twarzą. – Mam pewne pomysły, które chciałbym z tobą omówić.

– To nie jest moja rola. Już nie pracuję w BSU – powiedziała, podchodząc do drzwi prowadzących do biur programu opieki.

Czuła tak silną potrzebę ucieczki, że aż wprawiło ją to w zakłopotanie.

– Poza tym mają tu w BCA agenta, który przeszedł kurs analizy behawioralnej i...

... i właśnie jest w Quantico na ośmiotygodniowym szkoleniu – wpadł jej w słowo

Quinn.

– Możesz ściągnąć każdego innego agenta, jeżeli zechcesz. Możesz wziąć kogoś z CASKU, albo jakiegoś eksperta z branży. Wcale nie jestem ci do tego potrzebna.

Pośpiesznie wystukała kod na zamku szyfrowym przy drzwiach.

– Ale ty byłaś ekspertem w tej branży – przypomniał jej. – Właśnie analiza zachowań ofiary...

– Dziękuję, że pomogłeś mi z Sabinem – przerwała mu, obracając gałkę u drzwi. – Muszę wracać do siebie, zanim mój świadek ukradnie mi wszystkie działające długopisy.

Angie krążyła po gabinecie zdenerwowana, zaciekawiona i rozdrażniona. Kate nie była zadowolona z portretu. Nie odezwała się do niej prawie ani słowem, kiedy wracały z policji.

Poczucie winy kłuło ją jak cała masa maleńkich igiełek. Kate usiłowała jej pomóc, ale ona musiała sama dbać o siebie. Jedno i drugie niekoniecznie się ze sobą zgadzało. Skąd miała wiedzieć, jak postąpić? Skąd miała wiedzieć, co jest słuszne?

„Jesteś popieprzona! Nie potrafisz nic zrobić jak należy!”

– Staram się – wyszeptała. „Głupia suka. Wcale nie słuchasz”.

– Staram się.

W rzeczywistości była przerażona, ale nigdy nie zdobyłaby się na przyznanie do tego, nawet we własnych myślach. Wtedy Głos żerowałby na jej strachu, a strach z kolei żerowałby na Głosie. Czuła, jak jedno i drugie narasta w jej wnętrzu.

„Pokażę ci coś, czego się należy bać”.

Przycisnęła dłonie do uszu, jakby mogła w ten sposób wyciszyć Głos, który rozlegał tylko w jej myślach. Pokołysała się przez chwilę z szeroko otwartymi oczami, bo gdyby je zamknęła, to ujrzalaby rzeczy, których już nigdy więcej nie chciała zobaczyć. Przeszłość ciągnęła się za nią, zawsze obecna, gotowa do rozniecienia emocji, które lepiej było trzymać głęboko pogrzebane. Odtwarzała raz po raz w myślach tę przeszłość jak okropny film. Nienawiść i miłość, gwałtowna złość, gwałtowne pragnienie. Nienawiść i miłość, miłość i nienawiść, nienawiść i miłość – dla niej to było jedno słowo. Uczucia tak ze sobą splecione, że nie dawały się oddzielić, jak splecione ze sobą ciała dwóch walczących zwierząt.

Strach narastał coraz bardziej. Czuła, że zbliża się Zona.

„Boisz się wszystkiego. Co, ty stuknięta suko?”

Drżąc, zaczęła wpatrywać się w ulotki przypięte do tablicy na ścianie. Usiłowała czytać tytuły, żeby skupić na czymś uwagę, zanim nadejdzie Zona i ją udusi. „Działania

społeczne na rzecz ofiar przestępstw”, „Centrum pomocy ofiarom gwałtu”, „Phoenix: Kobiety rozpoczynające życie na nowo”. Po chwili tytuły rozmazały się jej przed oczami. Usiadła, oddychając szybko.

Gdzie, u diabła, Kate była tak długo? Zostawiła ją bez żadnego wyjaśnienia, nie powiedziała nic poza tym, że wróci za parę minut, ale ile to już czasu upłynęło? Angie rozejrzała się za zegarem, ale kiedy go zobaczyła, nie potrafiła sobie przypomnieć, o której godzinie Kate ją zostawiła. Czyżby nie spojrzała wtedy na zegar? Dlaczego nie mogła sobie przypomnieć?

„Bo jesteś głupia, dlatego. Głupia i stuknięta”.

Zaczęła drżeć. Dusił ją w gardle. W tym durnym pokoiku nie było wcale powietrza. Ściany naciskały na nią. Z trudem przełknęła ślinę, a łzy wypełniły jej oczy. Zona zbliżała się. Angie czuła, że nadchodzi, czuła wokół siebie inne ciśnienie powietrza. Chciała uciec, ale nie była w stanie biec szybciej niż Zona albo Głos.

„Więc zrób coś. Powstrzymaj to, Angel. Wiesz, jak to powstrzymać”.

Pośpiesznie podciągnęła rękawy kurtki i swetra, a potem przeciągnęła paznokciem kciuka po cienkich białych bliznach. Zaróżowiły się. Chciała dosięgnąć skaleczenia, które otworzyła wczoraj, żeby znowu zaczęło krwawić, ale nie mogła podciągnąć rękawa dość wysoko. Bała się zdjąć kurtkę, bo ktoś mógłby wejść i ją przyłapać. Kate kazała jej czekać tutaj, mówiąc, że wróci za parę minut. Jednak minuty upływały jedna po drugiej.

„Będzie wtedy wiedziała, że jesteś kompletnie nienormalna, Angel”.

Zona była coraz bliżej...

„Wiesz, co zrobić”.

Ale przecież Kate miała wrócić.

„Zrób to”.

Zaczęła się trząść.

„Zrób to”.

Zona była coraz bliżej...

„Zrób to!”

Nie odważyła się wyjąć z plecaka nożyka do otwierania kartonów. Jak mogłaby to wytłumaczyć? Może schowałaby go do kieszeni... Ogarniała ją coraz większa panika. Czuła, jak jej umysł zaczyna się kruszyć, gdy wtem jej wzrok padł na stojącą na biurku podstawkę ze spinaczami.

Bez wahania chwyciła jeden z nich i rozprostowała go, sprawdzając opuszką palca końcówkę drutu. Nie był tak ostry jak nóż. Będzie bardziej bolało.

„Tchórz. Zrób to”.

– Nienawidzę cię – wymamrotała, usiłując powstrzymać łzy. – Nienawidzę cię. Nienawidzę.

„Zrób to! Zrób to!”

– Zamknij się! Zamknij się! Zamknij! – wyszeptała, czując, że głowa omal jej nie pęknie od narastającego ciśnienia.

Przeciagnęła końcówką drutu po starej bliźnie na nadgarstku, gdzie skóra była cienka i biała jak papier, nacinając ciało równolegle do delikatnej błękitnej żyłki. Potem wpatrzyła się w skaleczenie, żeby napawać wzrok widokiem krwi, która sączyła się gęstą czerwoną kreską.

Ból był dotkliwy i przyjemny. Natychmiast poczuła ulgę. Ciśnienie spadło. Znowu była w stanie oddychać. Była w stanie myśleć.

Zapatrzyła się na chwilę w jaskrawoczerwoną wstążkę krwi. Jakaś zagubiona, zepchnięta w głąb cząstka jej świadomości pragnęła płakać, ale dominującym uczuciem była ulga. Odłożyła spinacz i otarła krew z ręki brzegiem swetra. Zaraz znowu wypłynęła jej świeża porcja, niosąc ze sobą kolejną falę spokoju.

Angie przesunęła kciukiem wzdłuż skaleczenia, a potem uniosła rękę, by zobaczyć, jak krew rozchodzi się wzdłuż linii papilarnych, zabarwiając opuszkę palca. Jej odcisk palca. Jej krew. Jej zbrodnia. Przyglądała się kciukowi przez dłuższą chwilę, następnie zaś podniosła go do ust i oblizwała powoli, czując wypełniającą ją niemal seksualną rozkosz. Pokonała demona i pożarła go. Przesunęła językiem wzdłuż skaleczenia, spijając ostatnie krople czerwieni.

Nadal czuła słabość w nogach i kręciło jej się w głowie, ale zsunęła z powrotem rękaw i wstała z krzesła, by przejść się po pokoju. Przyglądała się każdemu szczegółowi i wbijała go sobie w pamięć.

Gruby wełniany płaszcz Kate wisiał na ściennym wieszaku, razem z czarnym aksamitnym kapeluszem. Fajny gust, jak na kobietę w tym wieku. Miała ochotę przymierzyć kapelusz, ale w pokoju nie było lustro, w którym mogłaby się przejrzeć.

Mały dowcip rysunkowy na tablicy przedstawiał adwokata, poddającego przesłuchaniu świadka, ukazanego na rysunku jako świstak.

– A więc panie Świstaku – podobno widział pan wtedy swój cień? Ale czyż nie jest prawdą, że ma pan problemy z alkoholem?

Szuflady biurka zamknięto na klucz. Nigdzie też nie było widać torebki Kate. Podeszła do szafy z dokumentami, myśląc, że może znajdzie tam swoją własną kartotekę, ale szafa również była zamknięta na klucz. Przeglądając leżące na biurku papiery, odczuła zdziwienie z powodu tego, że przed kilkoma zaledwie minutami była w takiej panice, a teraz czuła się

mocno i pewnie, tak samo jak wtedy, kiedy niepostrzeżenie wymknęła się z Phoenix House i wróciła tam z powrotem. Nie zносиła tej części siebie, która pozwalała na to, by Zona dominowała. Nienawidziła tej swojej słabości. Wiedziała, że potrafi być silna.

„To ja sprawiam, że jesteś silna, Angel. Potrzebujesz mnie. Kochasz mnie. Nienawidzisz mnie!”

Nowo doznane uczucie siły pozwoliło jej zignorować Głos.

Przerzuciła wizytówki i zatrzymała się na jednej z nich z nazwiskiem Conlan. Frank i Ingrid z Las Vegas. Pewnie rodzice Kate. Nic dziwnego, że Kate ma normalnych rodziców. Ojca, który chodzi do pracy w garniturze, i matkę, która gotuje gulasz i piecze ciastka, a nie bierze narkotyki i się puszcza. Nie ojca, którego nie obchodzą własne dzieci. Ojca, który zostawił ją na łasce ludzi sprowadzanych do domu przez matkę. Rodzice Kate Conlan kochali ją w taki sposób, w jaki normalni rodzice kochają swoje dzieci. Kate Conlan nigdy nie była zamykana w szafie, bita drucianym wieszakiem do ubrań ani zmuszana do oddawania się swojemu ojczymowi.

Angie wyjęła wizytówkę z podstawki, podarła ją na drobne kawałeczki i włożyła je do kieszeni kurtki. W koszyku na przychodzącą korespondencję leżała sterta nie otwartych kopert. Druga leżała w koszyku z korespondencją do wysłania. Angie podniosła koperty i przejrzała je. Trzy z nich były urzędowymi pismami w firmowych kopertach władz hrabstwa Hennepin. Jedna żółta koperta miała ręcznie wypisany adres kogoś nazwiskiem Maggie Hartman. Przyklejona w jej górnym lewym rogu koperty naklejka z adresem zwrotnym podawała adres Kate Conlan.

Angie powtórzyła adres, żeby go zapamiętać, i odłożyła koperty na miejsce, przenosząc swą uwagę na kolekcję maleńkich figurek aniołków, które zauważyła, kiedy pierwszy raz przyszła do tego pokoju. Stały na półce przytwierdzonej do biurka. Każda z nich była inna: szkło, mosiądz, srebro, cyna, ceramika. Żadna nie miała więcej niż dwa i pół centymetra wysokości. Angie wybrała jedną z nich, wykonaną z malowanej ceramiki. Figurka miała czarne włosy i turkusowe kropki na sukience. Skrzydła aniołka obwiedzione były złotem, które tworzyło również aureolę wokół jego głowy.

Angie przysunęła figurkę bliżej siebie i wpatrzyła się w okrągłą twarzyczkę z czarnymi kropkami oczu i filuternym uśmiechem. Aniołek wyglądał na szczęśliwą, niewinną, prostoduszną i miłą istotę.

A więc na taką, jaką ty sama nie jesteś, Angel.

Nie mogła sobie pozwolić na poddanie się głębokiemu smutkowi, który pojawił się w jej sercu. Odwróciła się od biurka, wsuwając aniołka do kieszeni kurtki, akurat gdy rozległ się

odgłos przekręcania gałki u drzwi i do pokoju weszła Kate.

– Gdzie, do diabła, byłaś? – rzuciła Angie.

Kate spojrzała na nią powstrzymując się od błyskawicznej riposty, którą miała już na końcu języka.

– Zazęgnywałam kryzys – powiedziała, nie umiejąc znaleźć bardziej dyplomatycznej odpowiedzi. – Przepraszam, że zajęło to tyle czasu.

Agresywny nastrój od razu opuścił Angie.

– Staralam się, jak mogłam!

Kate wątpiła w prawdziwość jej słów, ale nic by nie zyskała, gdyby powiedziała to wprost. Musiała wymyślić jakiś sposób, żeby wyciągnąć z Angie całą historię. Usiadła na krześle, otworzyła biurko i wyjęła z szuflady buteleczkę tabletek aleve.

Wytrząsnęła na dłoń dwie tabletki i połknęła je skrzywiona popijając zimną kawą. Zamarła na ułamek sekundy, przerażona myślą, że jej uroczą klientka mogłaby ją otruć.

– Nie martw się tym portretem – powiedziała, masując sobie zeszywniałe z napięcia ścięgna na karku.

Obrzuciła dyskretnym spojrzeniem biurko. Był to już odruch, który zawsze dawał o sobie znać, kiedy zostawiała jakiegoś klienta w swoim pokoju. Spostrzegła, że brakuje jednej z figurek aniołków.

Angie usiadła na krześle dla gości, opierając się łokciem o biurko.

– No i co teraz będzie?

– Nic. Sabin jest zdenerwowany. Zależało mu na jakimś przełomie w śledztwie i miał nadzieję, że pomożesz nam go osiągnąć. Proponował, żeby cię przepędzić, ale wyperswadowałam mu to. Na razie. Jeżeli uzna, że jesteś cwaniarą, która po prostu chce wyłudzić nagrodę, to cię odeśle na ulicę i wtedy już nie będę mogła ci pomóc. Jeżeli natomiast pójdziesz do jakiegoś brukowca i będziesz próbowała sprzedać im coś więcej, niż powiedziałaś policji, to Sabin cię przymknie, i wówczas święty Boże ci nie pomoże. Jesteś między młotem a kowadłem, Angie. Wiem, że twoim podstawowym odruchem jest zamknąć wszystko w sobie i odciąć się od świata, ale musisz pamiętać jedną rzecz: ten sekret, którego nie chcesz zdradzić, jest sekretem twoim i jeszcze jednego człowieka. A on cię zabije z tego powodu.

– Nie musisz mnie straszyć.

– Boże, mam nadzieję, że nie. Człowiek, którego widziałaś, torturuje kobiety, zabija je i podpala ich zwłoki. Spodziewam się, że to cię przeraża bardziej niż wszystko, czymkolwiek ja mogę cię nastraszyć.

– Ty nie wiesz, co to jest strach – rzuciła oskarżycielskim tonem Angie.

Zerwała się z krzesła i zaczęła chodzić po pokoju, obgryzając paznokcie kciuka.

– Więc mi powiedz. Powiedz mi coś, Angie. Cokolwiek, żebym mogła rzucić to Sabinowi i glinom. Co robiłaś w parku tamtej nocy?

– Mówiłam ci już.

– Szłaś na skróty. Skąd? Jeżeli byłaś tam z kimś, to czy nie rozumiesz, że ten ktoś też pewnie widział tego człowieka, zauważył samochód? Mógłby przynajmniej potwierdzić twoją wersję, a może nawet pomóc nam złapać tego drania.

– Co ty sobie myślisz? – rzuciła Angie oburzona. – Że jestem kurwą? Myślisz, że pieprzyłam się tam z jakimś fagasem za parę dolców? Mówiłam ci już, co tam robiłam. A ty uważasz, że jestem kurwą i że kłamię. Odpieprz się ode mnie.

Błyskawicznie wypadła za drzwi.

– Hej! Nie wciskaj mi tu kitu, dziewczyno – rzuciła ostro Kate, dopędzając ją i chwytając za ramię.

Przeraziła się, czując chudość ręki dziewczyny.

Na twarzy Angie malowała się mieszanina zaskoczenia i złości. To nie miało być tak. Pracownicy opieki społecznej, których tylu spotkała już w swym krótkim życiu, inaczej reagowali w takich sytuacjach.

– Co? Myślałaś, że będę potulna i zacznę cię przeproszać? Ojej, obraziłam Angie! Na pewno nigdy nie zrobiła nic złego, żeby jakoś przeżyć na ulicy! – Uśmiechnęła się ironicznie, ale zaraz spoważniała. – Wyobrażasz sobie, że ja jeździłam kareta z rzepy, jak w bajce? Wiem, co się dzieje na tym wielkim, złym świecie, Angie. Wiem, do czego bywają zmuszone kobiety bez domu i bez pracy, żeby przetrwać. Tak, szczerze mówiąc, naprawdę myślę, że byłaś w tym parku, żeby pieprzyć się za pieniądze z jakimś fagasem. I wiem, do cholery, że kłamiesz. A w dodatku jesteś złodziejką. Ale powiem ci jedno: to mnie nie obchodzi. Ja ciebie nie osądzam. Nie mogę zrobić nic w sprawie tego, co się z tobą działo, zanim cię spotkałam, Angie. Mogę ci tylko pomóc w tym, co się dzieje teraz i co się wydarzy w przyszłości. Toniesz, rozumiesz, a ja chcę ci pomóc. Czy możesz to sobie wbić do tej tępej głowy i przestać mi się stawiać?

Na chwilę zapadła cisza. Stały naprzeciw siebie w holu, wpatrując się nawzajem w swoje twarze, jedna rozgniewana, a druga wystraszona. Za drzwiami któregoś pokoju rozległ się dzwonek telefonu. Kate dostrzegła, że Rob Marshall wygląda ze swojego gabinetu. Nie odrywając wzroku od Angie, zaczęła się modlić w duchu, żeby Rob przypadkiem nie wepchnął tu swojego nosa. Rozpacz w oczach dziewczyny wystarczyła, by Kate zmięknęło

serce.

– Dlaczego miałoby cię obchodzić, co się ze mną dzieje? – powiedziała cicho Angie.

Jej twarda maska zniknęła, odsłaniając to, kim dziewczyna była naprawdę: wystraszoną, bezbronną istotą.

– Bo nikogo innego to nie obchodzi – odparła wprost Kate.

Ciemnoniebieskie oczy dziewczyny wypełniły się łzami. Odpowiedź Kate poraziła ją swą prawdziwością. Nikt nigdy ani trochę nie przejmował się Angie DiMarco. Nawet nie ośmielała się myśleć, że teraz mogłoby być inaczej.

– W najlepszym razie czeka mnie gratulacyjne poklepanie po tyłku przez Sabina – powiedziała Kate, próbując zdobyć się na dowcip. – Możesz mi wierzyć, że to akurat nie jest moją motywacją.

Angie wpatrywała się w nią przez chwilę, jakby rozważając możliwości wyboru, które przygniatały ją swym ciężarem. Pojedyncza łza spłynęła po jej policzku. Wciągnęła płytki, urywany oddech.

– Nie lubię tego robić – wyszeptała dziecięcym głosem. Jej dolna warga drżała wyraźnie.

Kate powoli otoczyła dziewczynę ramieniem i ostrożnie przyciągnęła do siebie. Tak bardzo pragnęła Angie pocieszyć, że aż ją to przeraziło. Ktoś sprowadził to dziecko na ten świat tylko po to, żeby je karać za swoje własne błędy. Co za podłość!

To dlatego nie zajmuję się małolatami, pomyślała. Wzbudzają we mnie zbyt intensywne uczucia.

Angie zadrżała, uwalniając kolejną porcję emocji, które groziły, że ją zmiążdżą.

– Przepraszam – wyszeptała. – Przepraszam.

– No dobrze, mała – mruknęła Kate, gładząc ją po plecach. – Ja też przepraszam. Usiądziemy i pogadamy o tym. Przez te przekłete szpilki nogi mnie bołą jak diabli.

– To się nie mieści w głowie, z czym ludzie dzwonią na gorącą linię – powiedział Gary Yurek, kładąc na stół, w Czułym Dotyku Śmierci gruby segregator i plik dokumentów. – Jakaś kobieta podejrzewa swego sąsiada o to, że jest Krematorem, bo jej pies go nie lubi!

– Jaka rasa? – zapytał Tippen.

– Amerykański spaniel – odparł Elwood, wstając z krzesła. – To rasa miłych, wesołych psów, znanych z tego, że odkopują trupy i radośnie się zabawiają ich kawałkami.

– Trochę podobnie jak ty, Elwood – rzuciła, przechodząc obok niego, Liska i klepnęła go w ramię.

– Och, moje zainteresowania to moja prywatna sprawa.

– Czy ktoś może informował o tym, że widział Jillian Bondurant?

– Tak – odparł Yurek, robiąc zde gustowaną minę. – Jeden mechanik z Brooklyn Parku, który co trzecie słowo mówił „nagroda”.

Quinn siadł przy stole, czując bolesne pulsowanie w głowie. Jego umysł usiłował pracować jednocześnie w różnych kierunkach. Kate, jej świadek, Bondurant. Portret, który próbowali uzyskać. Sprawa w Atlancie. Sprawa w Blacksburgu. Telefony w poczcie głosowej na temat tuzina innych spraw. Kate. Kate...

Jego mózg domagał się filiżanki kawy, ale żołądek sprzeciwiał się temu mocno i boleśnie. Quinn wyjął z kieszeni tabletkę tagametę i połknął ją, popijając coca – colą. Mary Moss podała mu pakiet fotografii.

– Dostałam je od rodziców Lili White – oznajmiła. – Nie wiem, na co nam one potrzebne, ale to było dla nich bardzo ważne. Zostały zrobione zaledwie kilka dni przed jej śmiercią.

– Raporty postępów! – zawołał Kovac, zrzucając płaszcz i kładąc na stole trzy papierowe teczki. – Macie coś na temat pracowników parku?

– Znaleźliśmy człowieka, który odsiadywał wyrok za molestowanie dzieci, i zataił to, składając podanie o pracę – odparł Tippen. – Poza tym wśród stałych pracowników nie ma żadnych podejrzanych przypadków. Chociaż, prawdę mówiąc, park zatrudnia ludzi skazanych na pracę społeczną za drobne wykroczenia. Dostaniemy ich listę.

– W rejestrze telefonów Jillian nie ma nic niezwykłego – powiedział Elwood. – Telefony do ojca, do jej czubka, do tej koleżanki, którą widziała Dzwoneczek. Nic niezwykłego w ciągu ostatnich paru tygodni. Poprosiłem o rejestr z firmy, w której miała telefon komórkowy, ale coś im się pomieszało w komputerach i jeszcze go nie dostałem.

– Mamy listę pracowników zwolnionych z firmy Bonduranta w okresie ostatnich osiemnastu miesięcy – powiedział Adler. – Żaden nich nie wydaje się żywić szczególnie mściwych uczuć w stosunku do byłego pracodawcy. Sprawdziliśmy, czy ich nazwiska są w rejestrze notowanych, i w sumie gówny znaleźliśmy.

– Jeden gość był skazany za nakłanianie do nierządu – dodał Hamill. – Ale to dawna sprawa na kawalerskiej imprezie. Teraz jest żonaty. Ostatni weekend spędził u teściów.

– Mnie to by wystarczyło jako motyw do morderstwa – zażartował Tippen.

– Jeszcze jeden facet był oskarżony o pobicie. Rzucił się na swojego kierownika, kiedy się dowiedział, że wylewają go z pracy – podjął Adler. – Dziewięć miesięcy temu. Potem wyprowadził się z miasta. Mieszka w Cannon Falls i pracuje w Rochester.

– Jak to daleko stąd? – zapytał Quinn.

– Cannon Falls? Pół godziny, może czterdzieści pięć minut.

– Łatwo dojechać. Nie można jeszcze faceta wykluczyć.

– Nasz agent w Rochester go sprawdza.

– Ogólnie rzecz biorąc – ciągnął Adler – nie wygląda na to, żeby któryś z pracowników szczególnie Bonduranta lubił, ale też nikt nie miał o nim nic złego do powiedzenia, z jednym istotnym wyjątkiem. Bondurant założył firmę w latach siedemdziesiątych razem z niejakim Donaldem Thorntonem. Wykupił jego udziały w osiemdziesiątym szóstym.

– Mniej więcej w okresie, kiedy się rozwiódł – zauważył Kovac.

– Dokładnie w tym czasie. Zapłacił Thorntonowi niezłą cenę. Niektórzy uważają, że przepłacił. Potem Thornton zaczął pić i grać w kasynach, a w osiemdziesiątym dziewiątym wjechał swoim cadillakiem do jeziora Minnetonka. Patrol wodny wyciągnął go, zanim się utopił, ale już zdążył doznać poważnych uszkodzeń mózgu i rdzenia kręgowego. Jego żona obwinia o ten wypadek Bonduranta.

– A to dlaczego?

– Nie chciała powiedzieć przez telefon. Domaga się spotkania w cztery oczy.

– Zajmę się tym – zadeklarował Kovac. – Każdy, kto ma coś złego do powiedzenia o panu miliarderze, może zostać moim kumplem.

Walsh zasłonił usta ręką i zaniósł się tak okropnym kaszlem, jakby miał zaraz wypluć

kawał płuc. Zanim odzyskał oddech, jego twarz przybrała purpurowy kolor.

– Rozmawiałem przez telefon z biurem attaché prawnego w Paryżu – powiedział słabym, wysiłonym głosem. – Poprosili Interpol i francuską policję o sprawdzenie Serge’a LeBlanca. Ale według mnie, to ślepa uliczka. Przyjechał tutaj załatwić dwie panienki, a potem swoją pasierbicę? Nie wydaje mi się.

– Mógł kogoś wynająć, żeby to zrobił – zauważył Tippen.

– Nie – odezwał się Quinn. – To są klasyczne przypadki sadystycznych zabójstw na tle seksualnym. Zabójca ma w tym swój osobisty cel. Nie robi tego dla pieniędzy, ale dlatego, że to daje mu satysfakcję.

Walsh wyciągnął z kieszeni niechlujnie wyglądającą chusteczkę do nosa i zapatrzył się na nią, przygotowując się do kichnięcia.

– LeBlanc jest strasznie wkurzony tym dochodzeniem i nie bardzo pali się do współpracy. Obiecał, że przedstawi nam kartę dentystyczną Jillian. Dostarczy też wszelkie zdjęcia rentgenowskie, jakie kiedykolwiek miała robione, ale to wszystko. Nie zgadza się na przekazanie całej dokumentacji medycznej.

Na twarzy Kovaca pojawił się wyraz zainteresowania.

– A to dlaczego? Co usiłuje ukryć?

– Może fakt, że się z nią zadawał, doprowadził ją do próby samobójstwa, a potem do tego, że przymknęli dziewczynę w zakładzie – wyjaśniła Liska.

Zadowolona z tego, że udało się jej zaskoczyć kolegów zrelacjonowała im opowieść usłyszaną od Michele Fine.

– Poprosiłam Fine, żeby zajrzała do nas i dała sobie pobrać odciski palców, żebyśmy mogli oddzielić jej odciski od innych w mieszkaniu Jillian – dodała na koniec. – I jeszcze jedno: ktoś na pewno wysprzątał dom podczas weekendu. Fine mówi, że Jillian była flejtuchem. Teraz mieszkanie jest o wiele za czyste, a według Fine, nikt nie przychodził do sprzątnia.

– Może zabójca był w jej domu tamtej nocy – zasugerował Adler. – Nie chciał zostawić żadnego śladu.

– To wtedy powycierałby odciski palców – zauważył Elwood. – Ale po co miałby sprzątać? Bez sensu.

Quinn pokręcił głową.

– Masz rację. Gdyby tam był, to na pewno by nie posprzątał. Raczej postarałby się narobić jeszcze większego bałaganu, żeby okazać w ten sposób pogardę dla ofiary. Mógłby wszystko porozrzucić albo oddać mocz czy kał w jakimś widocznym miejscu.

– Więc mamy kolejną tajemnicę – orzekł Kovac i zwrócił się znowu do Liski: – Sprawdziłaś Fine w rejestrze?

– Żadnych listów gończych, nakazów aresztowania, nie notowana. Twierdzi, że nie ma chłopaka, i wierzę w to. Mówi, że nie były z Jillian kochankami. Jest pewien trop narkotykowy, ale według mnie, to nic istotnego.

– Może jednak warto się tym zająć – powiedziała Moss. – Lila White też miała kontakty z tym środowiskiem. Pewien handlarz pobił ją dotkliwie ostatniej jesieni.

– Willy Parrish – powiedział Kovac. – W dniu zabójstwa dziewczyny był na państwowym wikcie. Nic go nie łączyło z Fawn Pierce.

– Sprawdziłam też tego faceta, którego rodzice White obwiniają o wciągnięcie jej w narkotyki – dodała Moss. – Chłopak z Glencoe. Allan Ostertag. Żadnych wyroków. Drobne wykroczenia. Pracuje jako sprzedawca w salonie samochodowym swojego ojca. Ma alibi na cały ostatni weekend.

– Jillian i Fine pisały razem muzykę, piosenki – zauważył Quinn, zapisując coś w swoim notesie. – Co to była za muzyka?

– Taka ludowo-alternatywna – odparła Liska. – Sądząc po Fine, jakieś feministyczne pieprzenie. Niezły z niej numer. Jak Alanis Morissette przed okresem.

– Więc gdzie jest ta muzyka? – powiedział Quinn. – Chciałbym ją zobaczyć.

– Superman i łowca talentów w jednej osobie – mruknął ironicznie Tippen.

Quinn spojrzał na niego ostro.

– Muzyka jest czymś osobistym, intymnym. Mówi wiele o osobie, która ją napisała.

Liska zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

– Widziałam gotowe nuty, takie, jakie się kupuje w sklepie, ale nie znalazłam żadnych rękopisów.

– Sprawdź, czy ta koleżanka ma coś z tych rzeczy – polecił Kovac.

– Dobrze, ale myślę, że powinniśmy węszyć w kierunku Vanleesa. Brakuje mu piątej klepki i całkiem nieźle pasuje do wstępnego portretu psychologicznego Joego Podpalacza.

– Kryminalna przeszłość? – zapytał Quinn.

– Nic poważnego. Kupa mandatów za parkowanie i parę wykroczeń trzy czy cztery lata temu. Oskarżenie o wejście na teren prywatny i prowadzenie pod wpływem alkoholu, wszystko w ciągu mniej więcej półtora roku.

– Wejście na teren prywatny? – powtórzył Quinn z zainteresowaniem. – Czy takie było pierwotne oskarżenie, czy wytargował to zamiast poważniejszego zarzutu?

– Takie było ostateczne orzeczenie.

– Sprawdź to dokładnie. Wielu podglądaczy uzyskuje łagodniejsze orzeczenie przy pierwszych wykroczeniach. Wyglądają na znanadto nieszczęśliwych, żeby warto było ich oskarżać o drobne wykroczenia na tle seksualnym. Sprawdź też te mandaty. Trzeba zobaczyć, czy miejsca, gdzie je dostał, miały jakiś związek z miejscem, gdzie został przyłapany.

– No tak – mruknął Tippen, pochylając się ku Adlerowi. – Możemy mieć na głowie sprawę seryjnego pokazywacza fiuta.

– Oni wszyscy jakoś zaczynają, Tippen – powiedział Quinn. – Dusiciel z Bostonu zaczął od zaglądania do okien i masturbacji, a jakiś tępy glina też nie zwrócił na to uwagi.

– Hej, ty... – Tippen poderwał się z krzesła.

– Wsadźcie sobie z powrotem do majtek – rzucił Kovac. – Nie ma czasu na pokazywanie, który ma dłuższego. Dzwoneczek sprawdź, czy ten facet odrabiał swój wyrok w parkach.

– I jakim samochodem jeździ – dodał Quinn.

– W porządku. Powiedziałam mu o tym spotkaniu dzisiaj wieczorem. Jestem pewna, że się pokaże.

– A skoro już o tym mówimy – podjął Kovac – chcę, by wszyscy byli na miejscu przed siódmą trzydzieści. Zespoły obserwacyjne z BCA i z wydziału narkotyków spiszą numery samochodów na parkingu. Yurek będzie naszym mistrzem ceremonii. Reszta ma być między ludźmi i, na rany boskie, próbujcie nie wyglądać na gliniarzy.

– Z wyjątkiem naszego bohatera z okładki – powiedział Tippen, unosząc w rękę najnowszy egzemplarz „Star Tribune” z widocznym tytułem artykułu: „Czołowy autor kryminalnych portretów psychologicznych z FBI przydzielony do śledztwa.” – Teraz możesz zarobić na kolejny nagłówek, przystojniaczku.

Quinn zmarszczył brwi, starając się opanować emocje. Miał ochotę przymierzyć pięść do twarzy Tippena, ale nie mógł pozwolić się sprowokować przez kogoś takiego. Tylko w ciągu ostatniego roku miał do czynienia chyba z setką ludzi jego pokroju.

– Nie zależy mi na nagłówkach. Powiem parę słów, ale będę mówił krótko i niezbyt jasno.

– Tak samo, jak mówisz do nas?

– A co chcesz, żebym wam powiedział, Tippen? Że zabójca będzie miał jeden czerwony pantofel?

– To by już było coś. Co, do diabła, dałeś nam do tej pory za państwowe pieniądze? Granice wieku, przypuszczalny opis dwóch pojazdów, którymi ten facet mógł jeździć albo nie. To, że sypiał z matką i trzepał sobie nad pornosami? Też mi coś.

– To będzie coś, jeżeli znajdziecie podejrzanego. I nie wydaje mi się, żebym mówił cokolwiek o tym, że sypiał ze swoją matką.

– Tip przypomina sobie własne dzieciństwo.

– Odpieprz się, Adler.

– To całkiem możliwe – odparł dwuznacznie Quinn, by dopiec Tippenowi. – To znaczy, mam na myśli sprawcę. Całkiem możliwe, że nieodpowiednie zachowania seksualne miały miejsce w jego domu, zarówno w ogóle, jak i w stosunku do niego samego, kiedy był dzieckiem. Jego matka prawdopodobnie lubiła seks, może uprawiała prostytutkę. Ojciec był człowiekiem słabym albo też go nie było. Dyscyplina nie miała wyrównanego poziomu i wahała się od całkowitego braku do skrajnego rygoru. Nasz facet był zdolnym chłopakiem, ale miał duże problemy w szkole. Nie potrafił się znaleźć wobec kolegów. Miał głowę pełną myśli o dominacji nad rówieśnikami i kierowaniu nimi. Był okrutny w stosunku do zwierząt i innych dzieci. Podkładał ogień, kradł. We wczesnym wieku był już patologicznym kłamcą. W szkole średniej miał kłopoty z koncentracją z powodu swego przywiązania do fantazji seksualnych, które już wtedy przybierały zbrodniczy charakter. Popadał w konflikty z osobami sprawującymi różne funkcje, być może miał problemy z policją. Jego matka tuszowała te sprawy, racjonalizowała je na jego korzyść i wyciągała go z tarapatów, wzmacniając w ten sposób schemat, zgodnie z którym nigdy nie czuł się odpowiedzialny za swe destrukcyjne działania w stosunku do innych ludzi. To dodawało mu energii i zachęcało do wypróbowywania coraz bardziej skrajnych zachowań, a poza tym utrwalalo jego brak szacunku dla matki. Tippen uniósł obydwie ręce do góry.

– I o ile facet siedzący obok mnie nie odwróci się i nie powie: „Cześć, nazywam się Harry. Moja matka uprawiała ze mną seks, kiedy byłem dzieckiem”, to wszystko, co mówisz, jest gównem warte.

– Sam jesteś gównem wart, Tippen – mruknęła Liska. – Jak będę węszyła wokół Vanleesa i zaobserwuję jakieś podejrzone oznaki, będę mogła to wykorzystać.

– Analiza jest narzędziem – dodał Quinn. – Można je wykorzystać albo pozostawić w skrzynce na narzędzia. Kiedy będziecie dzisiaj wśród ludzi, próbujcie wypatrzeć kogoś, kto wygląda na nadmiernie pobudzonego, podnieconego czy zdenerwowanego, albo zbyt zwracającego uwagę na otaczające go osoby. Słuchajcie, co ludzie mówią, żeby zauważyć, czy ktoś przypadkiem nie wydaje się za dobrze zorientowany w szczegółach sprawy lub niezwykle dobrze obznajomiony z pracą policji. Możecie też przyjąć postawę detektywa Tippena i czekać, aż ktoś wam powie, że pieprzył własną matkę.

– Wiesz, co możesz zrobić z tą swoją wygadana gębą? – powiedział Tippen, wstając.

Kovac stanął pomiędzy nimi.

– Zabierz swoją gębę do knajpy i wsadź sobie w nią kanapkę, Tippen. Idź stąd, zanim mnie wkurzysz, bo ci powiem, żebyś nie wracał.

Tippen zrobił rozgoryczoną minę.

– Och, pieprzę to – mruknął, biorąc do ręki płaszcz, i wyszedł.

Kovac spojrzał pytająco na Quinna. Z któregoś z sąsiednich pomieszczeń dobiegał dzwonek telefonu. Pozostali członkowie grupy specjalnej zaczęli się rozchodzić. Każdy chciał coś naprędce zjeść albo wypić przed czekającym wszystkich ważnym wydarzeniem.

– Można być jednocześnie dobrym gliną i ostatnim gnojkiem – powiedziała Liska, wkładając płaszcz.

– Mówisz o nim czy o mnie? – zapytał Quinn.

– Hej, Sam! – zawołał Elwood. – Chodź, popatrz na to.

– Tippen to palant, ale jest niezłym detektywem – wyjaśniła Liska.

– Nic nie szkodzi – powiedział Quinn z roztargnionym uśmiechem, wkładając płaszcz.

– Sceptycyzm to cecha dobrego śledczego.

– Tak myślisz? – zmrużyła oczy, patrząc na niego z ukosa, ale zaraz roześmiała się i klepnęła go w ramię. – To takie policyjne poczucie humoru. Więc mamy trochę więcej informacji o Jillian i tych dwóch panienkach. Chciałbyś omówić to przy kolacji? A może po tym spotkaniu wstąpilibyśmy gdzieś na drinka...

– Hej, Dzwoneczku! – zawołał Kovac, wchodząc z powrotem do pokoju z plikiem faksów w garści. – Nie wolno podrywać federalnego.

– Ugryź się w dupę, Kojak – odparła Liska, czerwieniąc się.

– Pewnie byś chętnie zapłaciła, żeby to zobaczyć.

– Raczej rzucałabym drobnymi w twój paskudny zad.

Kovac wskazał na nią kciukiem i spojrzał na Quinna z wesołym błyskiem w oczach.

– Ona szaleje na moim punkcie.

Liska pokazała mu rękę z wysuniętym środkowym palcem i odeszła.

– Jesteś gotowy do przejażdżki, GQ? Potrzebuję zapasowego młotka do mojej skrzynki z narzędziami.

– Co to za okazja?

Kovac wyciągnął ku niemu otrzymaną faksem przesyłkę. Oczy błyszczały mu z podniecenia.

– Rejestr rozmów z telefonu komórkowego Jillian Bondurant. Dzwoniła dwa razy w sobotę po północy, już po tym, jak opuściła dom rodzinny. Jeden telefon do czubka, a drugi

do ukochanego tatusia.

Widział, jak się zbliżają. Stał w nieskazitelnie czystym pokoju muzycznym obok fortepianu, na którym widniała mała galeria oprawionych w ramki fotografii Jillian z dzieciństwa. Widział, jak ich samochód zatrzymuje się przy bramie. Stary rupieć w ziemistym kolorze. Kovac.

Rozległ się brzęczyk bramofonu. Helen jeszcze nie wyszła i właśnie przygotowywała w kuchni kolację. Na pewno podniesie słuchawkę, pomyślał, i wpuści Kovaca, bo facet jest z policji, a ona, jak każda starsza wiekiem Amerykanka z klasy średniej, nie zwykła stawiać oporu policji.

Znowu pomyślał, że powinien był sprowadzić swojego osobistego sekretarza z firmy, żeby strzegł bramy w sposób przenośny i dosłowny, ale nie chciał, żeby jeszcze ktoś był tak blisko niego. Wystarczyło już, że gdziekolwiek się obrócił, miał za plecami Edwyna Noble'a. Z rozmysłem ulokował swojego koordynatora do spraw kontaktów z mediami z dala od siebie i kazał mu tam stawiać czoło dziennikarzom i łowcom sensacji, którzy i tak uparli się, żeby koczować przed bramą domu.

Trzask drzwi samochodu. Quinn obszedł pojazd dookoła. Elegancka sylwetka, głowa podniesiona, barczysty. Kovac niechlujny, ze zmierzwionymi włosami z tyłu głowy. Dopalił papierosa i upuścił go na podjazd. Poły jego płaszcz powiewały na wietrze.

Peter znowu zapatrzył się na fotografie. Jillian przy klawiaturze z poważną miną. Zawsze miała coś mrocznego, niespokojnego i smutnego w oczach. Jej pierwszy recital. Potem drugi i trzeci. Koronkowe sukienki, które nigdy do niej nie pasowały, ona sama przesadnie niewinna i zasadnicza, udająca beztróską dziewczęcość, choć naprawdę wcale jej w sobie nie miała.

Wyszedł z pokoju, gdy rozległo się brzęczenie dzwonka u drzwi, i tłumiąc w sobie żal, zaczął słuchać dobiegającej z frontowego holu rozmowy.

– Jest w domu? – Głos Quinna.

Helen:

– Zobaczę, czy jest wolny. Wiadomo coś nowego?

– Pracujemy nad pewnymi rzeczami. – Kovac.

Quinn:

– Czy dobrze znała pani Jillian?

– Hm, no cóż...

– Przekazano panom, abyście się ze mną kontaktowali przez mojego adwokata –

powiedział Peter zamiast powitania.

– Przepraszamy za to, panie Bondurant – powiedział Kovac bez odrobiny żalu w głosie. – John i ja właśnie jechaliśmy na zebranie mieszkańców, które zwołaliśmy, żeby pomóc ująć zabójcę pana córki, i po drodze pomyśleliśmy, że zjemy z trasy, aby omówić z panem parę rzeczy. Mam nadzieję, że to nie jest niewłaściwa pora.

Bondurant spojrział na niego ponuro, a potem zwrócił się do swojej gospodyni:

– Dziękuję, Helen. Jeżeli już skończyłaś w kuchni, to możesz iść do domu.

Gospodyni wyglądała na zmartwioną, że zrobiła coś nie tak jak trzeba. Quinn przyjrzał się Bondurantowi, kiedy Helen ruszyła z powrotem do kuchni. Wyraźnie widać było po nim przeżycia ostatnich kilku dni. Wyglądał tak, jakby przez cały ten czas nie spał i nie jadł. Ciemno podkrążone oczy, zapadnięte policzki i cera właściwa ludziom przeżywającym nadmierny stres.

– Nie mam do powiedzenia nic, co mogłoby się panom przydać – oświadczył niecierpliwie. – Moja córka nie żyje. Nie mogę zrobić nic, by to zmienić. Nie mogę nawet jej pochować. Lekarz sądowy odmawia wydania ciała.

– Nie mogą wydać ciała bez pozytywnej identyfikacji, panie Bondurant – wyjaśnił Quinn. – Nie chce pan chyba przez pomyłkę pochować nieznanego osoby, prawda?

– Moja córka była dla mnie nieznaną osobą – odparł enigmatycznie Bondurant.

– Naprawdę? – powiedział Kovac, krążąc powoli po holu jak polujący rekin. – A ja myślałem, że może powiedziała panu wszystko o tym, kim tak naprawdę jest, kiedy zadzwoniła do pana tamtej nocy. Po tym, kiedy już stąd odjechała. Po tym, kiedy według pana, rozmawiał pan z nią ostatni raz.

Bondurant patrzył na niego. Żadnego zaprzeczenia. Żadnych przeprosin.

– Co pan myślał? Że nie dowiem się tego? Sądzi pan, że jestem kretynem? Że trzeba nosić odznakę FBI, żeby mieć mózg?

– Uważałem, że to nieistotne.

Kovac zrobił zdziwioną minę.

– Nieistotne? Może udzieliła mimochodem jakiejś wskazówki co do tego, gdzie się znajdowała w danym momencie. Wiedzielibyśmy wtedy, gdzie szukać świadków. Może w tle słyszał pan czyjś głos albo jakiś charakterystyczny dźwięk. Może rozmowa została przerwana.

– We wszystkich wypadkach odpowiedź brzmi: nie.

– Dlaczego dzwoniła?

– Żeby powiedzieć dobranoc.

– Czy z tego samego powodu dzwoniła do swojego lekarza w środku nocy?

Żadnej reakcji. Żadnego zaskoczenia czy gniewu.

– Nie mogę wiedzieć, dlaczego dzwoniła do Lucasa. Ich relacje jako lekarza i pacjentki pozostawały dla mnie tajemnicą.

– Była pańską córką – powiedział Kovac, krążąc coraz szybciej po holu. – Czy uważał pan, że to również nie pana sprawa, kiedy jej ojczym ją pieprzył?

Strzał w dziesiątkę. W końcu, pomyślał Quinn, patrząc, jak gniew wypływa na szczupłą twarz Bonduranta.

– Mam już pana dość, sierzancie.

– Tak? Sądzi pan, że tak właśnie powiedział LeBlanc do Jillian i przez to doprowadził ją do próby samobójstwa? – ciągnął bezlitośnie Kovac, ryzykując posunięcie się za daleko.

– Ty sukinsynu – warknął Bondurant, nie ruszając się z miejsca.

Trzymał się prosto, ale Quinn dojrzał jednak, że drży.

– To ja jestem sukinsynem? – Kovac roześmiał się. – Pana córka być może nie żyje, a pan nawet nic nie chce o niej powiedzieć, i to ja jestem sukinsynem? Dobre sobie. John, wierzysz, kurwa, temu facetowi?

Quinn westchnął z głębokim rozczarowaniem.

– Nie zadajemy tych pytań lekkomyślnie, panie Bondurant. Nie robimy tego po to, żeby sprawić panu przykrość albo szargać pamięć pana córki. Pytamy, bo musimy mieć pełny obraz.

– Już wam powiedziałem – odparł Bondurant cichym, napiętym głosem. – W jego oczach pojawił się wyraz zimnej furii. – Przeszłość Jillian nie ma z tym nic wspólnego.

– Obawiam się, że ma. W taki czy inny sposób. Przeszłość pana córki była częścią osoby, którą ona była czy też jest.

– Lucas powiedział mi, że będziecie nalegali. Absurdem jest myśleć, że Jillian w jakiś sposób ściągnęła to na siebie. Dawała sobie tak świetnie radę...

– Nie jest pana zadaniem, roztrząsanie tego, Peter – powiedział Quinn, przechodząc na bardziej poufały styl.

Jestem twoim przyjacielem. Mnie możesz powiedzieć, zdawał się sugerować. Dawał Bondurantowi szansę, by z własnej woli zrzucił maskę sztucznego opanowania. Zdawał sobie sprawę z tego, że racjonalna część umysłu Bonduranta walczy z emocjami, które ten człowiek dusi w sobie. Bondurant był tak napięty, że gdyby Kovac przycisnął go odpowiednio mocno, pękłby w nie kontrolowany sposób, jak za mocno naciągnięta struna. Wystarczająco inteligentny, by to zrozumieć, jednocześnie na tyle ulegał konwenansom, aby obawiać się tej

możliwości.

– Nie twierdzimy, że to była wina Jillian, Peter. Nie domagała się, by do tego doszło. Nie zasłużyła na to, aby to się stało.

W oczach Bonduranta błysnęły łzy.

– Rozumiem, że to jest dla pana trudne – ciągnął łagodnie Quinn. – Kiedy pana żona odeszła, zabrała ze sobą córkę do człowieka, który ją wykorzystywał. Wyobrażam sobie, jaki gniew musiał pan czuć, gdy się pan o tym dowiedział.

– Nie, nie wyobraża pan sobie – przerwał mu Bondurant.

Odwrócił się, szukając jakiejś drogi odwrotu, ale jednocześnie nie chcąc opuścić holu.

– Jillian była za oceanem, cierpiała. Wszystko jednak się skończyło, zanim się pan o tym dowiedział, cóż więc mógł pan zrobić? Nic. Wyobrażam sobie tę frustrację, gniew, bezradność. Poczucie winy.

– Nie mogłem nic zrobić – wymamrotał Bondurant.

Stał przy stole o marmurowym blacie, wpatrując się w rzeźbione w brązie kwiaty lili. Patrzył w przeszłość, którą wolałby zepchnąć do najciemniejszego zakamarka świadomości.

– Nie wiedziałem. Nie mówiła mi, aż do czasu, kiedy przeprowadziła się tu z powrotem. Nie wiedziałem, dopóki nie było za późno.

Dotknął drżącą ręką jednej z lili i zamknął oczy. Quinn przysunął się bliżej niego, naruszając formalny dystans. Był wystarczająco blisko, by sprowokować zwierzenia, zasugerować, że nie próbuje go zastraszyć, ale jest razem z nim.

– Nie jest za późno, Peter. Nadal może pan pomóc. Mamy ten sam cel: znaleźć i powstrzymać zabójcę Jillian. Co się wydarzyło tamtej nocy?

Bondurant pokręcił głową. Czemu zaprzeczał? Coś go gnębiło. Poczucie winy? Wstydu? Było to w każdym razie tak intensywne, że wprost emanowało z jego ciała.

– Nic. Nic.

– Jedliście kolację i została aż do północy. Co się stało, że postanowiła zadzwonić do Brandta? Musiała być czymś poruszona.

Nadal kręcił głową. O co mu chodziło? Czy zaprzeczał temu, że była w szczególnym stanie emocjonalnym, czy po prostu odmawiał odpowiedzi? Czy może odpychał te pytania jako niemożliwe do przyjęcia, ponieważ odpowiedzi na nie otworzyłyby drzwi, przez które nie chciał przechodzić? Córka, która przyjechała tu po tak wielu latach, nie wróciła jako niewinne dziecko, którym kiedyś była, lecz jako osoba odmieniona, zbrukana. Jak mógł się czuć jej ojciec? Skrzywdzony? Rozczarowany? Zawstydzony? Winny, ponieważ nie było go na miejscu, gdy powinien powstrzymać córkę przed próbą targnięcia się na życie. Wyrzucał

sobie wstyd, który odczuwał, kiedy myślał o niej jako o zbrukanej, niedoskonałej? Na pewno targały nim sprzeczne emocje, związane w supeł niemal nie do rozplatania. Quinn pomyślał o fotografii w gabinecie Bonduranta: smutna Jillian w sukience pasującej do zupełnie innego typu dziewczyny.

– Nie zamierzamy skrzywdzić Jillian ani pana – odezwał się Kovac, podchodząc do Bonduranta z prawej strony. – My po prostu chcemy prawdy.

Quinn wstrzymał oddech, nie spuszczać wzroku z Bonduranta. Minęła kolejna chwila i Bondurant zdecydował się. Stracili szansę. Widać to było w jego twarzy, gdy zsunął dłoń z brązowej lilii i zepchnął wszystko z powrotem do swego wnętrza, zamykając uchylone przez moment drzwi.

– Nie – oświadczył. – Jego twarz była jak pusta koścista maska. Sięgnął ręką do słuchawki wytworzonego czarnego telefonu, który stał obok rzeźby. – Nie dam wam takiej okazji. Nie pozwolę, żeby imię mojej córki zostało unurzane w błocie. Jeżeli zobaczę w prasie chociaż słowo o tym, co się działo z Jillian we Francji, to zrujnuję was obydwu.

Kovac westchnął ciężko i odsunął się od stołu.

– Ja tylko próbuję wyjaśnić sprawę tych morderstw, panie Bondurant. To mój jedyny cel. Jestem prostym człowiekiem o prostych potrzebach, jak na przykład poznanie prawdy. Może mnie pan zrujnować w mgnieniu oka. Do diabła, wszystko, co kiedykolwiek miałem wartościowego, poszło do jednej albo do drugiej byłej żony. Może mnie pan rozduśić jak pluskwę. I wie pan co? Mimo wszystko domagam się prawdy, bo taki już jestem. Będzie lepiej dla nas wszystkich, jeżeli ujawni pan prawdę wcześniej, a nie później.

Bondurant milczał, patrząc na niego z kamienną twarzą, więc Kovac tylko pokręcił głową i odszedł. Quinn nie ruszał się jeszcze przez chwilę z miejsca. Patrzył na Bonduranta, usiłując go ocenić, rozszyfrować. Już tak niewiele dzieliło ich od tego, aby skłonić go do otwarcia się...

– Sprowadził mnie pan tu w konkretnym celu – powiedział spokojnie, jakby prowadzili szczerą męską rozmowę w cztery oczy. – Wyjął z kieszeni wizytówkę i położył ją na stoliku. – Niech pan zadzwoni, kiedy będzie pan gotowy.

Bondurant nacisnął przycisk szybkiego dostępu na telefonie.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedział Quinn. – Jillian lubiła pisać muzykę. Czy kiedykolwiek słyszał pan córkę, jak śpiewa? Czy widział pan jakieś jej utwory?

– Nie. Nigdy mi ich nie pokazywała.

Odwrócił wzrok, kiedy w słuchawce rozległ się głos rozmówcy.

– Mówi Peter Bondurant. Proszę mnie połączyć z Edwynem Noble'em.

Stał w holu jeszcze na długo po tym, jak w oddali ucichł silnik samochodu Kovaca. Tylko stał ponuro w cichym, mrocznym wnętrzu. Nie wiedział, ile czasu minęło. W pewnej chwili ruszył przez hol do gabinetu. Jego ciało i umysł zdawały się pracować zupełnie niezależnie od siebie.

W kącie pokoju paliła się pojedyncza lampa. Nie zaświecił żadnej innej. Późne popołudnie przerodziło się w wieczór kradnący światło, które w ciągu dnia wpadało do pokoju przez ogrodowe drzwi. W pokoju panował ponury nastrój, podobny do tego, w jakim znajdował się on sam. Otworzył biurko i wyjął z niego kartkę nutowego papieru. Podeszedł do okna, żeby odczytać słowa piosenki, tak jakby odsuwając się od lampy, sprawiał, że ich wymowa stawała się mniej dotkliwa.

Dziecko miłości

Jestem twoim dzieckiem miłości,

Małą dziewczynką.

Chcę cię bardziej niż całego świata.

Zabierz mnie w miejsce, które znam.

Zabierz mnie, gdzie chcesz iść sam.

Muszę sprawić, byś mnie kochał

Tylko tak.

Tatusiu, czy mnie nie chcesz kochać?

Kochaj mnie teraz.

Tatusiu, jestem twoim dzieckiem miłości.

Weź mnie teraz.

JB

W pewnym sensie zebranie zwołano na jego cześć. Siedzi teraz wśród tłumu ludzi, obserwując ich i słuchając. Jest zaciekawiony i rozbawiony. Zgromadzeni ludzie, jak sądzi, około stu pięćdziesięciu osób, z których wiele pracuje w prasie lub telewizji, przyszli tutaj, bo się go boją albo są nim zafascynowani. Nie mają pojęcia, że ta bestia siedzi wśród nich, kiwając głową, kiedy oni mówią o ogólnym zdziczeniu i krwiożerczej mentalności Krematora.

Sądzi, że niektórzy z nich w gruncie rzeczy zazdroszczą Krematorowi jego odwagi, chociaż wcale się do tego nie przyznają. Żaden z nich nie ma dość śmiałości i fantazji, by realizować swe wizje i uwolnić drzemiące w nim ciemne moce.

Publiczność przerywa rozmowy, a rzecznik grupy specjalnej wyjaśnia cel zebrania. Kłamie. Zebranie zwołano nie po to, by informować ludzi, lub też pokazać im, że policja nie próżnuje. Celem spotkania jest to, do czego postanowił je wykorzystać Quinn.

”Bardziej istotne w tej serii morderstw, jak im powiedziałem, było przyjęcie aktywnej postawy, wykorzystanie możliwości policji i mediów, aby próbować zwabić sprawcę w pułapkę. Zaproponowałem na przykład, żeby policja zorganizowała cykl spotkań dla ludności w celu „przedyskutowania” sprawy tych zbrodni. Miałem podstawy do przypuszczeń, że zabójca pokaże się przynajmniej na jednym z nich”. – John Douglas, *Tworzenie profilu psychologicznego*.

Celem spotkania jest schwytanie go w pułapkę, a jednak on siedzi tutaj opanowany i spokojny. Po prostu kolejny przejęty sprawą obywatel. Quinn obserwuje zebranych, szukając go, szukając tego, czego większość ludzi nie jest w stanie rozpoznać: twarzy wcielonego zła.

”Ludzie spodziewają się, że zło ma brzydką twarz i parę rogów. Jednakże zło może kryć się za przystojną twarzą. Może też wyglądać przeciętnie. Jego brzydota kryje się wewnątrz człowieka jak czarny, rakowaty twór, który toczy jego sumienie, poczucie moralne oraz nawyki cywilizacyjne. Bestia ma normalną twarz” – John Quinn w wywiadzie dla magazynu „People”, styczeń 1997.

Ubrany w leżący doskonale garnitur Quinn wyraźnie wyróżnia się spośród miejscowych policjantów. Ma znudzoną, wyrażającą wyższość minę modela. To go drażni. Przecież Quinn w końcu ugiął się na tyle, by jego istnienie uznać publicznie, a wygląda tak, jakby go to wszystko nic nie obchodziło.

To dlatego, że zdaje ci się, iż mnie znasz, Quinn. Myślisz, że jestem po prostu kolejnym przypadkiem. Nikim szczególnym. Ale ty nie znasz Krematora. Anioła Zła. Za to ja znam ciebie bardzo dobrze.

Zna zawodowe osiągnięcia Quinna, reputację, teorie i metody. W końcu zdobędzie jego szacunek, i będzie to miało większe znaczenie dla Quinna, niż dla niego samego. Jego mroczne prawdziwe ja wznosi się ponad potrzebę akceptacji. Szukanie akceptacji jest słabością, cechą reaktywną. Prowokuje słabość, przynosi ośmieszenie i rozczarowanie. To nie do przyjęcia. Niedopuszczalne w prawdziwym ja.

Powtarza w myślach swoje credo: Dominacja. Manipulacja. Kontrola.

Kiedy Quinn wchodzi na podium, błyskają aparaty i rozlega się brzęczenie silniczków kamer. Siedząca z tyłu kobieta zaczyna kaszleć. On częstuje ją cukierkiem przeciwko kaszlowi, wyobrażając sobie, że podrzyna jej gardło za przeszkadzanie mu w koncentracji.

Wyobraża sobie, że robi to tutaj, teraz. Chwyta garść blond włosów, odciąga głowę do tyłu i jednym szybkim ruchem przecina krtań, tętnicę i żyłę szyjną, aż do kręgosłupa. Krew tryska z ciała silnym strumieniem, a on wtapia się w rozhisteryzowany tłum i wymyka z sali. Uśmiecha się na tę myśl i wyjmuje z opakowania cukierka dla siebie. Wiśniowy. Jego ulubiony smak.

Quinn zapewnia obecnych, że wszelkie możliwości FBI są do dyspozycji grupy specjalnej. Mówi o komputerach VICAP oraz o pracy NCIC i NCAVC, ISU i CASKU. Dodawanie otuchy przez zaciemnianie obrazu. Przeciętna osoba nie jest w stanie rozszyfrować nazw współczesnych instytucji, kontrolujących przestrzeganie prawa. Większość ludzi nie widzi różnicy pomiędzy wydziałem policji i urzędem szeryfa. Wystarczy im to, że skrótowce brzmią poważnie i oficjalnie. Słuchają z wytężoną uwagą, zerkając na siedzące obok osoby.

Quinn ujawnia tylko najbardziej ogólne elementy budowanego przez siebie portretu, ale temu wytrawnemu graczowi udaje się przedstawić skromną garść informacji, tak jakby to była kopalnia faktów. Mówi o przeciętnym zabójcy prostytutek, nie spełnionym życiowo mężczyźnie, nienawidzącym kobiet i wybierającym te, które uważa za najgorsze ze wszystkich, aby wyrzucić na nich zemstę za grzechy swojej matki. Quinn wyjaśnia, że ten

portret psychologiczny nie w pełni odpowiada portretowi Krematora, że ów morderca nie jest kimś przeciętnym, lecz osobnikiem inteligentnym, dobrze zorganizowanym, sprytnym i że potrzeba wyteżonej pracy nie tylko ludzi związanych z aparatem sprawiedliwości, ale także pomocy lokalnego społeczeństwa, by go schwytać.

Quinn ma rację, jeżeli chodzi o jedną rzecz: w Krematorze nie ma nic przeciętnego, jednak jest on nie tyle nie spełniony życiowo, ile wznosi się ponad innymi. Tak mało obchodzi go kobieta, która go urodziła, że pamięć o niej absolutnie nie może inspirować go do zemsty.

A jednak gdzieś w głębi swej świadomości słyszy jej głos, który gani go, krytykuje, przedrzeźnia. Gniew, cały czas trzymany w ryzach, zaczyna w nim narastać. Cholerny Quinn i jego freudowskie pieprzenie. Facet nie wie nic o mocy i euforii, jaką wywołuje odebranie komuś życia. Nigdy nie sycił się niepowtarzalną muzyką bólu i strachu i nie wie, jak wzbogaca ona jej twórcę. Zabijanie nie ma nic wspólnego z poczuciem niespełnienia, za to wiąże się bardzo ściśle z władzą.

Po przeciwnej stronie sali grupa kobiet z Phoenix House zaczyna skandować hasło.

– Nasze życie też się liczy!

Toni Urskine przedstawia się i zaczyna mówić:

– Lilę White i Fawn Pierce do zajęcia się prostytutką zmusiły okoliczności. Czy sugeruje pan, że te kobiety zasługiwały na to, co się z nimi stało?

– Nigdy bym tego nie twierdził – odpowiada Quinn. – Ale to po prostu fakt, że prostytutka jest zawodem o wysokim stopniu ryzyka w porównaniu z pracą prawnika czy nauczyciela szkoły podstawowej.

– A więc dlaczego los prostytutek nikogo nie obchodzi? Zabójstwo Lili White nie zasługiwało na powołanie grupy specjalnej. Lila White była przez pewien czas mieszkanką Phoenix House. Nikt z policji nie przyszedł do nas, żeby otworzyć na nowo śledztwo w sprawie jej śmierci. FBI nie wysłało nikogo do Minneapolis z powodu Fawn Pierce. Jedną z naszych obecnych mieszkanek była bliską przyjaciółką pani Pierce. Nikt z miejskiej policji nigdy z nią nie rozmawiał. Ale gdy tylko zniknęła córka Petera Bonduranta, od razu mamy informacje w ogólnokrajowej telewizji i zebranie mieszkańców. Panie Greer, czy biorąc pod uwagę te fakty, może pan szczerze odpowiedzieć, że miasto Minneapolis dba chociaż trochę o kobiety w trudnym położeniu życiowym?

Greer podchodzi do podium z surową, energiczną miną.

– Pani Urskine, zapewniam panią, że zastosowano wszelkie możliwe środki, żeby rozwiązać sprawę morderstw dwóch pierwszych ofiar. Teraz podwajamy nasze wysiłki, żeby

wpaść na trop tej bestii i ująć ją. I nie spoczniemy, dopóki morderca nie zostanie schwytany.

– Chciałbym podkreślić, że pan Greer nie użył słowa „bestia” w sensie dosłownym – zabiera głos Quinn. – Nie chodzi tu o szaleńca, który toczy pianę z ust. Jeżeli chodzi o wygląd, jest normalnym człowiekiem. Bestia drzemie w jego umyśle.

Bestia. Zwykli ludzie mylnie używają tego słowa, mówiąc o istotach, których nie rozumieją. Na przykład rekina nazywa się bestią, chociaż w gruncie rzeczy to skutecznie działające, mające swój cel stworzenie, o czystych intencjach i zamiarach. Tak samo jest z Krematorem. Jest skuteczny i zorganizowany. Myśli precyzyjnie. Nie waha się w działaniu. Nie przeciwstawia się własnemu przymusowi wewnętrznemu. Poddaje się bez reszty życzeniom swojego mrocznego ja, i właśnie dzięki tej uległości wznosi się ponad tak zwaną przeciętną osobowość.

”Wielu seryjnych morderców twierdzi, że w chwili, gdy ofiary ginęły z ich rąk, doznawali oni tak intensywnego olśnienia, było to jak emocjonalny wybuch supernowej, oślepiający rozbłysk prawdy objawionej” – Joel Norris *Seryjni mordercy*.

– Panie Quinn, jaka jest pańska opinia na temat palenia zwłok? – zapytał jeden z dziennikarzy.

Niebezpieczeństwo, które w sobie kryją tego rodzaju otwarte, publiczne spotkania, polega na tym, że przeradzają się one w konferencje prasowe, a konferencja prasowa była ostatnią rzeczą, jakiej Quinn by sobie życzył. Dla dobra śledztwa i własnego musiał kontrolować sytuację. Mógł ujawnić trochę informacji, jednakże nie za wiele. Mógł też sobie pozwolić na odrobinę spekulacji, ale nie na coś, co mogłoby zostać odebrane przez zabójcę jako arogancja. Musiał potępić mordercę, ale też postarać się wpleść w słowa potępienia nieuchwytną nutę podziwu.

Rzucenie bezpośredniego wyzwania mogło przynieść w efekcie kolejne zabójstwa. Z drugiej strony, jeżeli rozegrałby sprawę zbyt delikatnie, Joe Podpalacz uznałby z pewnością, że powinien przypomnieć o swoim istnieniu. Więcej trupów. Złe słowo, lekkomyślne użycie niewłaściwego epitetu – i oto mamy kolejną ofiarę. Brzemień odpowiedzialności ciąży mu w piersi jak ogromny głaz.

– Panie Quinn?

Głos reportera smagnął Johna jak pejcz, przywracając go do rzeczywistości

– Palenie zwłok jest podpisem tego mordercy – odparł przecierając dłonią czoło. Było gorąco. W sali brakowało powietrza. W głowie mu łupało, jakby ktoś uderzał młotem o

kowadło. Czuł, jak coraz bardziej pali go w żołądku. – To jest coś, co on musi zrobić, aby zaspokoić jakąś swoją wewnętrzną potrzebę. Jaka to może być za potrzeba? Wie o tym tylko on.

Wybierz jakąś twarz, jakąkolwiek, pomyślał, spoglądając na zebranych. Po tych wszystkich latach, wszystkich sprawach, wszystkich mordercach uważał czasami, że powinien umieć rozpoznać potrzebę zabijania, postrzegając ją jako niezdrową aurę, ale tak nie było. Ludzie przywiązują dużą uwagę do oczu seryjnych morderców, do nagiej, beznamietnej pustki; spogląda się w nią tak, jakby człowiek spoglądał w długi, ciemny tunel, z którego uszła dusza. Jednakże taki morderca jak ten jest bystry. Potrafi się maskować i nikt z wyjątkiem jego ofiar nie ma możliwości ujrzeć tej bezdennej pustki w jego oczach, dopóki on sam nie stanie do zdjęcia, które znajdzie się później w policyjnej kartotece.

Każda twarz w tłumie mogła być maską mordercy. Ktoś tutaj mógł słuchać opisu zbrodni, wyczuwać zapach strachu w tej sali i podniecać się tym wszystkim. Quinn widywał zabójców, którzy doznawali erekcji, gdy ich okropne wyczyny przedstawiano oszołomionej i wstrząśniętej ławie przysięgłych.

Przychodząc na spotkanie, zabójca miałby swój własny cel: sondować, oceniać, planować następny ruch. Sycić się zainteresowaniem, jakie powstało wokół jego osoby. Albo nawet zgłosić się do współpracy z policją jako zaniepokojony obywatel. Może potrzebował podniecenia płynącego z faktu, że jest w zasięgu ich ręki, a potem spokojnie odejdzie. A może chciał wybrać następną ofiarę spośród kobiet obecnych w sali.

Wzrok Quinna automatycznie przesunął się na Kate, która wśliznęła się przez tylne drzwi. Spojrzał na jej twarz, starając się nie zatrzymywać na niej dłużej oczu, chociaż pragnął to zrobić. Pragnął tego tak bardzo, a ona nie chciała mieć z nim nic wspólnego! Już kiedyś dała mu to skutecznie do zrozumienia. Teraz powinien się okazać na tyle rozsądny, żeby pojąć to na nowo. Musiał się skupić nad prowadzoną sprawą.

– A podteksty religijne?

– Jeśli chodzi o niego, to może ich wcale nie być. Pozostają nam jedynie spekulacje. Albo morderca mówi nam: „Grzesznicy płoną w piekle” albo dokonuje oczyszczającej ceremonii, która ma na celu zbawienie ich dusz. Może być też tak, że traktuje palenie ciał jako wyraz skrajnego poniżenia ofiar i okazanie im wzgardy.

– Czy pana zadanie nie polega na zawężeniu tych możliwości? – rzucił pytanie kolejny reporter.

Quinn omal nie zaczął się rozglądać za siedzącym wśród zebranych Tippenem.

– Portret psychologiczny mordercy nie jest kompletny – odparł.

Nie pouczaj mnie, na czym polega moja praca. Wiem, jakie jest moje zadanie, gnojku, dodał w myślach.

– Czy jest prawdą, że został pan oderwany od sprawy uprowadzenia dziecka w Bennett, żeby zająć się śledztwem tutaj?

– A co ze sprawą morderstw homoseksualistów w South Beach?

– Zawsze istnieje pewna liczba spraw, które prowadzę równolegle.

– Ale jest pan tutaj z powodu Petera Bonduranta – zabrał głos kolejny dziennikarz. – Czy to w porządku?

– Jeżdżę tam, dokąd mnie wysyłają – odparł Quinn spokojnie. – Skupiam się na sprawie, a nie na tym, skąd przyjechałem i dlaczego.

– Czemu Peter Bondurant nie został formalnie przesłuchany?

Greer wszedł na podium i począł się rozwódzić nad zasługami Petera Bonduranta pod okiem jego przybyłych na spotkanie reprezentantów, czyli Edwyna Noble'a i przedstawiciela departamentu public relations w firmie Bonduranta.

Quinn wycofał się i stanął koło Kovaca, próbując uspokoić oddech. Kovac przybrał swą służbową minę, patrząc na zebranych beznamiętnym wzrokiem spod na wpół przymkniętych powiek. Wbrew pozorom widział więcej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

– Widzisz tego kumpla Liski? – zapytał cicho. – Rany boskie, przyszedł w mundurze.

– Mundur zawsze budzi zaufanie, łatwiej w nim nakłonić ofiary, żeby poszły z jego właścicielem – zauważył Quinn. – Facet ma parę drobnych spraw na koncie, ale kto wie, czy nie okaże się czymś poważniejszym.

– Jest powiązany z Jillian Bondurant – dodał Kovac.

– Powiedz Lisce, żeby go zaprosiła na rozmowę. – Quinn marzył o tym, aby coś w jego wnętrzu podpowiedziało mu, że to jest ten człowiek, ale utracił tę intuicję i nie czuł już nic. – Niech to wygląda jak konsultacja. Prosimy go o pomoc, chcemy poznać jego zdanie na temat sprawy. Zależy nam na jego opinii jako wyszkolonego obserwatora, coś w tym rodzaju.

– O Jezusie, mamy go całować w dupę? – Kovac skrzywił się z niesmakiem. – Wiesz co, on nawet jest podobny do tego gościa z naszego zasranego portretu.

– Ty też. Sfotografuj go, kiedy przyjdzie. Zrób komplet zdjęć dla tej dziewczyny. Może go rozpozna.

Greer podsumował swe wystąpienie dramatycznym apelem do ludności o pomoc, wskazując Liskę i Yurka jako funkcjonariuszy wyznaczonych do przyjmowania informacji tego wieczoru. Gdy tylko ogłosił koniec spotkania, reporterzy rzucili się na niego jak sfera ujadających psów. Tłum zebranych natychmiast zamienił się w ruchomą ludzką masę, z której

część dryfowała ku drzwiom, a część na tyły sali, gdzie Toni Urskine usiłowała zdobyć poparcie dla swojej kampanii.

Kate zaczęła przeciskać się do przodu, nie spuszczać oka z Kovaca. Widząc to, Kovac ruszył ku niej, a wtedy na jego miejscu obok Quinna pojawił się jak duch Edwyn Noble. Miał zaciętą minę. Tuż przy nim stanął Lucas Brandt z rękami w kieszeniach płaszcza z wielbłądziej wełny.

– Panie Quinn, czy możemy porozmawiać na osobności?

– Oczywiście.

Prowadził ich tak długo, aż dotarli do pomieszczeń kuchennych, gdzie na czerwonym politurowanym blacie stały kotły z kawą, a nad zlewem widniał wypisany ręcznie napis „Proszę myć swoje filiżanki!”

– Peter był bardzo poruszony pańską dzisiejszą wizytą – zaczął Noble.

Quinn uniósł brwi.

– Tak, wiem. Byłem tam.

Wsunął ręce do kieszeni i oparł się o krawędź kontuaru. Quinn wyluzowany. Mający do dyspozycji tyle czasu, ile tylko zapragnie. Uśmiechnął się lekko.

– Siedzieliście panowie obydwaj na tym spotkaniu po to, żeby mi to powiedzieć? A ja myślałem, że przyszlście po prostu jako dwaj przejęci sytuacją obywatele.

– Jestem tu po to, by reprezentować interesy Petera – oznajmił Noble. – Myślę, że powinien pan wiedzieć, iż on zastanawia się, czy nie zadzwonić do Boba Brewstera. Jest wybitnie niezadowolony z tego, że, jak się zdaje, traci pan cenny czas...

– Przepraszam, panie Noble, ale znam się na swojej pracy – odparł spokojnie Quinn. – Peterowi nie musi się podobać sposób, w jaki ją wykonuję. Nie pracuję u niego. Ale jeżeli czuje się niezadowolony, to wolno mu zadzwonić do dyrektora. Nie zmieni to faktu, że Jillian telefonowała dwa razy po opuszczeniu jego domu tamtej nocy, i tego, że ani Peter, ani pan, doktorze Brandt, nie zadali sobie trudu, by wspomnieć o tym policji. Coś działo się tamtej nocy z Jillian Bondurant i teraz być może ona nie żyje. Pewne pytania wymagają odpowiedzi.

Twarz Brandta stężała.

– Jillian miała problemy. Peter ją kochał. Zabiłoby go, gdyby jej przeszłość i problemy zostały wywleczone przez brukowce i demonstrowane całej Ameryce w wieczornych wiadomościach.

Quinn wyprostował się gwałtownie i odrywając się od lady, napał na Brandta z gniewną miną.

– Ja się nie zajmuję sprzedawaniem informacji mediom. Noble rozłożył ręce:

rozjemca, dyplomata.

– Oczywiście że nie. My po prostu staramy się być w tej sprawie tak dyskretni, jak tylko to możliwe. Dlatego właśnie wolimy rozmawiać z panem niż z policją. Peter omówił to z Lucasem i ze mną i sądzimy, że pan potrafi ująć ster sprawy w swoje dłonie, że tak się wyrażę. To znaczy, że ta kwestia zostanie zamknięta, jeżeli zdołamy pana zadowolić naszymi informacjami w sprawie rozmów, które Jillian przeprowadziła tamtej nocy.

– A co z pana etyką? – zapytał Quinn, nadal wpatrując się w Brandta.

– Czasami trzeba coś poświęcić dla większego dobra.

Czyli twójego własnego, pomyślał Quinn.

– Więc słucham.

Brandt wziął głęboki oddech, jakby się musiał zmobilizować przed trudnym momentem naruszenia tajemnicy swojej pacjentki. Quinn nie przypuszczał, by było to równie niedogodne dla jego sumienia, jak niedogodne pod względem towarzyskim i finansowym byłoby sprzeciwienie się Peterowi Bondurantowi.

– Ojczym Jillian kontaktował się z nią kilka razy w ciągu ostatnich tygodni, sugerując, że chciałby odnowić ich związek. Jillian w stosunku do niego żywiła bardzo skomplikowane, mieszane uczucia.

– A czy ona również chciała odnowienia tego związku? – zapytał Quinn. – Jej koleżanka twierdzi, że Jillian była w swoim ojczymie zakochana i że pragnęła, by rozwiódł się dla niej z jej matką.

– Jillian czuła się bardzo nieszczęśliwa i zagubiona, kiedy związała się z Sergem. Jej matka była zawsze o nią zazdrosna, od jej wczesnego dzieciństwa. Jillian pragnęła miłości. Chyba pan wie, do czego ludzie potrafią się posunąć, by zdobyć miłość, a raczej to, co uważają za miłość.

– Tak. Widywałem skutki takich działań na zdjęciach robionych na miejscu zbrodni. Dlaczego jej ojczym nigdy nie został pociągnięty do odpowiedzialności?

– Nie wniesiono żadnych oskarżeń. LeBlanc zrobił jej pranie mózgu – powiedział Noble z obrzydzeniem. – Jillian nie chciała rozmawiać nawet z policją. Peter miał nadzieję, że zostawiła to wszystko za sobą, przenosząc się z powrotem do Minnesoty i podejmując terapię.

– Czy tak istotnie było?

– Terapia to długi i przewlekły proces – powiedział Brandt.

– Więc LeBlanc znowu zaczął do niej dzwonić?

– W piątek wieczorem postanowiła powiedzieć o tym Peterowi. Oczywiście był bardzo poruszony. Bał się o nią. Już tak dobrze dawała sobie radę – powiedział i znowu westchnął w

stosownie zaplanowanym momencie. – Peter ma problemy z wyrażaniem uczuć. Martwił się, ale wyglądało to tak, jakby się gniewał. Skończyło się kłótnią między nimi. Jillie była zdenerwowana, kiedy wychodziła z domu ojca. Zadzwoiła do mnie z samochodu.

– Gdzie była wtedy?

– Na jakimś parkingu. Nie mówiła gdzie. Powiedziałem jej, żeby wróciła do Petera i porozmawiała o tym, ale była zakłopotana i urażona i w końcu tylko do niego zadzwoniła – powiedział Brandt. – To wszystko. Po prostu.

Quinn wątpił w prawdziwość tego oświadczenia. To, co Lucas Brandt powiedział mu właśnie o Jillian, trudno byłoby uznać za wyczerpującą i kompletną relację, a poza tym nic, co wiązało się z życiem i śmiercią Jillian Bondurant, nie wydawało się proste.

– Więc dlaczego Peter nie mógł „po prostu” opowiedzieć tego sierżantowi Kovacowi i mnie cztery godziny temu, kiedy byliśmy u niego w domu?

Noble zerknął nerwowo za siebie, na zamknięte drzwi, jakby czekał, że reporterzy wyłamią je i wpadną do środka z wyciągniętymi przed siebie niczym bagnety mikrofonami.

– Peterowi nie jest łatwo mówić o tych sprawach, panie Quinn. Jest człowiekiem nade wszystko ceniącym prywatność.

– Rozumiem to, panie Noble – powiedział Quinn, wyjmując z kieszeni miętową gumę do żucia. – Problem polega na tym – ciągnął, odwijając ją z papierka – że prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. A w tego rodzaju śledztwie nie ma mowy o czymś takim jak prywatność. – Odłożył papierek na ladę i wsunął gumę do ust. – Nawet wtedy, gdy ktoś się nazywa Peter Bondurant i ma bezpośredni dostęp do dyrektora FBI. W każdym razie dopóki to ja prowadzę sprawę.

– No cóż. – Edwyn Noble cofnął się z kamienną miną. – Niedługo to już może nie być pana sprawa.

Rzecznicy Bonduranta odeszli jak dwaj rozpieszczeni chłopcy, którzy od razu biegną do domu, żeby się poskarżyć. Wiedział, że poskarżą się Bondurantowi, a ten zadzwoni do Brewstera. Być może Brewster zatelefonuje do niego i udzieli mu reprimendy, a może po prostu przyleci jego, Quinna zwierzchnik, żeby go odsunąć od sprawy i wysłać do innego stosu zwłok w innym miejscu kraju. Zawsze była jakaś inna sprawa do poprowadzenia. A potem kolejna, jeszcze jedna. Ale co, u diabła, miał zrobić ze swoim życiem?

Odprowadził wzrokiem Noble’a i Brandta, którzy przeciskali się do wyjścia, mając za plecami podążającą krok w krok za nimi grupkę dziennikarzy.

– O co chodziło? – zapytał Kovac.

– Chyba chcieli się zabezpieczyć.

– Kate mówi, że dziewczyna z nią pogadała. Mała sierotka Marysia twierdzi, że była w parku tamtej nocy, żeby zarobić dwudziestkę zielonych, robiąc fiku-miku z jakimś palantem.

– Ten palant jakoś się nazywa?

– Powiedział jej, że Hubert Humphrey – parsknął Kovac. – Jakiś republikański palant ze skrzywionym poczuciem humoru.

– A więc to zawęży krąg podejrzanych – rzekł ironicznie Quinn.

Ekipy telewizyjne pakowały już swój sprzęt oświetleniowy i kamery. Ostatnie osoby opuszczały salę. Było po imprezie, a wraz z nią skończyło się podniecenie, które przyprawiało go o przyspieszone bicie serca i wywoływało napięcie nerwów. Prawdę mówiąc, lubił je nawet, ponieważ eliminowało depresję, uczucie przygnębienia, wyczerpania i zagubienia. Wolał akcję, ponieważ alternatywą wobec niej było samotne przebywanie w hotelu, gdzie nie miał żadnego towarzysza oprócz strachu. Czuł strach, że nie robi wystarczająco dużo, że coś przegapia, że mimo wiedzy, którą zdobył po rozwiązaniu tysiąca czy nawet więcej spraw, stracił profesjonalne wyczucie i szuka po omacku, jak człowiek, który dopiero co stracił wzrok.

– Oczywiście nie zapamiętała numeru rejestracyjnego – ciągnął Kovac. – Żadnego adresu ani potwierdzenia płatności kartą kredytową.

– Potrafi może go opisać?

– Jasne. Miał około piętnastu centymetrów długości i jak się spuścił, to wydał taki odgłos, jak maszynka do mielenia mięsa.

– Więc będziemy mieli interesujący materiał porównawczy podczas konfrontacji.

– Tak. Pewnie znowu jakiś popaprany yuppie ze sportowym samochodem terenowym i żoną, która nie chce mu obciągnąć.

– Z czym? – rzucił Quinn, ostro patrząc na niego.

– Z żoną, która...

– Nie to, wcześniej. Z czym?

– Ze sportowym samochodem tere... – Kovac otworzył szeroko oczy i cisnął na podłogę papierosa, którego właśnie miał zapalić. – O Jezu.

Wychodzi wśród ostatnich ludzi, którzy opuszczają budynek, i słucha strzępów toczonych wokół niego rozmów.

– Szkoda, że nie mówili więcej o paleniu.

– Ten gość z FBI mówi, że zabójca wygląda i zachowuje się jak przeciętny człowiek, ale jak to możliwe? Podpalać zwłoki? To wariat. Musi być stuknięty.

– Albo po prostu cwany. Ogień niszczy dowody.

– Tak, ale obcinanie komuś głowy nie jest normalne.

– Nie sądzi pani, że ogień może mieć znaczenie symboliczne? – wtrąca się do rozmowy. – Może ten człowiek jest opętany jakąś manią religijną. No wie pani, „w proch się obrócisz” i takie tam rzeczy.

– Być może.

– Założę się, że jak go złapią, to policja odkryje, że miał ojczyzna fanatyka religijnego czy coś w tym rodzaju – mówi, przypominając sobie mężczyznę, który był związany z jego matką przez dobrych kilka lat, gdy on sam dorastał.

Ten człowiek wierzył, że Bóg obarczył go zadaniem odkupienia jej grzechów przez wymuszanie na niej seksualnej uległości i bicia.

– Stuknięty sukinsyn. Torturuje i zabija kobiety, bo mu czegoś brakuje. Mogli go utopić w wiadrze zaraz po urodzeniu.

– Ci dranie zawsze wszystko zwalają na matki. Jakby nie mieli swojego własnego mózgu.

Ma ochotę chwycić obydwie kobiety, które to mówią, chwycić je za gardła i wykrzycheć swoje imię w ich czerwieniejące twarze, a potem zmiążdżyć im tchawice gołymi rękami. Jego gniew jest teraz jak żywy ogień, gorący i biały w samym wnętrzu.

– Czytałam o tym Quinnie. To znakomitość w swoim fachu. Złapał tego zabójcę dzieci w Kolorado.

– Może mnie przesłuchać, kiedy tylko chce – dodaje druga kobieta. – Jest lepszy niż George Clooney.

Wybuchają śmiechem, a on pragnie, by nagle zmaterializował się w jego dłoni młotek, którym mógłby rozłupać im czaszki. Czuje gorąco płomienia w piersiach, a w głowie odzywa mu się bolesne pulsowanie. Jego pragnienie jest jak skrywana tuż pod skórą gorączka.

Z parkingu przed budynkiem nie da się wyjechać, wszystko zablokowane. Podchodzi do samochodu i opiera się o niego, zakładając ręce na piersiach.

– To i tak nic nie da! – woła do jednego z umundurowanych policjantów kierujących ruchem. – Wystarczy spokojnie poczekać.

Idiotka. Komu tu czegoś brakuje? Nie Krematorowi, ale tym, którzy go szukają i patrzą na niego, ale widzą tylko przeciętnego człowieka.

Patrzy, jak ludzie wychodzą z budynku i tłoczą się na chodniku, oświetleni żółtawobiałym światłem reflektora. Niektórzy z nich są zwykłymi mieszkańcami miasta. Niektórzy to policjanci przydzieleni do grupy specjalnej. Rozpoznaje kilku z nich.

Quinn wychodzi drzwiami z tyłu budynku, to miejsce, na które dziennikarze akurat nie zwracają uwagi. Nie ma na sobie płaszcza. Pośpiesznie zamyka drzwi i staje tuż przy nich, jeszcze w obrębie cienia. Stoi wyprostowany, z rękami na biodrach. Rozgląda się, szuka czegoś, a z ust wydobywa mu się przy wydechu obłok pary.

Szukasz mnie, agencie Quinn? Niedorobionego ofermę z kompleksem matki? Psychicznej bestii? Już niedługo dowiesz się, co to naprawdę znaczy bestia.

Kremator ma plan. Przejdzie do legendy. Zabójca, który złamał Johna Quinna. Czysty triumf doskonałego zabójcy nad doskonałym myśliwym.

Siada za kierownicą samochodu, którym tu przyjechał, włącza silnik i klnąc na zimno, włącza ogrzewanie. Przydałby mu się cieplejszy teren łowiecki. Wycofuje samochód z koperty i jedzie w ślad za srebrną toyotą, która właśnie opuszcza parking.

Kate ostrożnie wprowadziła toyotę do wąskiego starego garażu, stojącego przy dróżce biegnącej tuż za jej domem. Zimą zawsze marzyła o garażu przylegającym do domu, ale z wiosną, gdy w ogródku za domem rozkwiwały rabaty bylin, zapomniała o uciążliwym brnięciu w śniegu i niebezpieczeństwach związanych z przechodzeniem ciemną uliczką w mieście, które zajmowało bardzo wysoką pozycję w niechlubnej statystyce przestępstw na tle seksualnym.

Wiatr poderwał suche liście, leżące na śniegu przy ścianie garażu sąsiada. Ich szelest przeszył ją dreszczem. Zatrzymała się, by spojrzeć za siebie, w ciemność, i przekonując samą siebie, że to tylko jej wrodzona podejrzliwość, zaostzona jeszcze przez świadomość faktu, iż spotkanie, z którego właśnie wracała, zwołano wyłącznie w celu zwabienia na nie seryjnego mordercy.

Nagle ogarnęła ją fala wspomnień z czasów jej pracy w BSU. Wspomnień o niewyobrażalnych wprost przestępstwach, które były tematem codziennych swobodnych rozmów. Seryjne morderstwa stanowiły tak integralną część jej ówczesnego życia, temat tak wielu rozmów, że w końcowym okresie pracy, do dnia, kiedy umarła Emily, nic już nie było w stanie jej zaskoczyć. Dopiero wtedy śmierć nabrała dla niej nagle bardziej osobistego wymiaru. Ona sama straciła zdolność podchodzenia do spraw z dystansem, absolutnie niezbędnego dla ludzi związanych z wymiarem sprawiedliwości. W końcu nie była w stanie dłużej tego znieść.

Ciekawe, jak John sobie z tym radzi, pomyślała. Czy w ogóle sobie radzi? Tego wieczoru był blady, a ostre światło podkreślało jego mizerny wygląd i zmęczenie. W dawnych czasach jego sposobem na dawanie sobie rady była praca bez umiaru. Nie musiał przejmować się uczuciami, był po prostu zbyt zajęty. Prawdopodobnie to się nie zmieniło. A zresztą co ją obchodzi, czy się zmieniło, czy nie?

Wsunęła klucz do zamka i zastygła, czując, jak włosy jeżą się jej na karku. Powoli się odwróciła, usiłując dojrzeć, co się dzieje w zacienionych kątach dziedzińca, poza zasięgiem wyposażonej w czujnik ruchu lampy. Dopiero teraz spostrzegła, że nie ma przy sobie telefonu komórkowego. Został w samochodzie, w tym nieprzyjemnym garażu po drugiej stronie

podwórza.

Do diabła z nim. Mogła odsłuchać wszystkie informacje z domowego telefonu. O ile Bóg istniał, to żaden z jej klientów nie powinien w tym dniu przeżywać kryzysu. Mogłaby więc odpocząć w gorącej kąpieli ze szklaneczką tego, co było jej ulubionym lekarstwem na stres. Być może ta sprawa miała ją wykończyć, ale przynajmniej umarłaby czysta i znieczulona w całkiem przyjemny sposób.

Żaden szalenciec nie runął jej na plecy, by wpaść do domu, i żaden maniak nie czekał w kuchni z rzeźnickim nożem w ręku. Thor podbiegł do niej, miaucząc, niezadowolony z tak późnej pory kolacji. Rzuciła torebkę na kuchenną ladę i włączyła telewizor, żeby obejrzeć wiadomości. Jedną ręką rozpięła płaszcz, drugą sięgnęła do lodówki po jedzenie dla kota, a potem po butelkę dżinu.

Pierwszą informacją w wiadomościach było spotkanie w sprawie Krematora. Zobaczyła migawkę pokazującą publiczność z Toni Urskine i jej podopiecznymi na pierwszym planie, a potem Greera, który przemawiał, uderzając ręką w mównicę, i Johna, mówiącego z zatroskaną miną o roli FBI w śledztwie.

Zatroskany i przystojny. Zawsze wypadł świetnie przed kamerą. Postarzał się wyraźnie: przy oczach pojawiły mu się zmarszczki, a w krótko przystrzyżonych włosach widać było siwe nitki, ale i tak wyglądał dobrze. Jego fizyczna, seksualna atrakcyjność dotarła do jej świadomości na tak pierwotnym poziomie, że nie była w stanie jej zablokować, jedynie udawać, że ją ignoruje.

Po chwili na ekranie znowu pojawił się spiker, który streścił informacje dotyczące trzech morderstw. W rogu ekranu pokazano przy tym zdjęcia Petera i Jillian Bondurant. Następnie podano komunikat na temat nagrody i numeru policyjnej gorącej linii, a potem pojawił się kolejny temat: policjanci, którzy zamiast patrolować ulice, rozgrzewają się w chłodne noce w striptizowych klubach w centrum miasta.

Kate zostawiła kota przed telewizorem i weszła do jadalni, zapalając po drodze stary, stylowy żyrandol, który własnoręcznie uratowała ze śmietnika i naprawiła.

W jakiej mierze Jillian pasuje do portretu psychologicznego Krematora? – zadała sobie się w myślach pytanie. – Czy w ogóle do niego pasuje?

– Do diabła z tobą, John – mruknęła.

„Porozmawiamy o sprawie. Mam pewne pomysły, które chciałbym z tobą omówić”.

„To nie jest moja rola. Już nie pracuję w BSU”.

„Byłaś ekspertem w tej branży”.

Przecież miał dostęp do każdego fachowca w tej dziedzinie. Wcale nie była mu

potrzebna.

Powiesiła płaszcz na oparciu krzesła i usiadła przy dębowym biurku, które odnowiła pierwszego lata po odejściu z FBI. Była wtedy rozdrażniona, spięta. Nadal nie mogła się pozbierać po śmierci Emily i rozpadzie zarówno swojego małżeństwa, jak i związku z Quinnem. Życie w takiej formie, jaką znała, skończyło się dla niej, i musiała zaczynać wszystko od początku. Sama z wyjątkiem towarzyszących jej duchów.

Nie mówiła nigdy nikomu z rodziny o Quinnie. Nawet swojej siostrze i rodzicom. Nie wiedzieli, że jej odejście z FBI nastąpiło w atmosferze skandalu. Nie potrafiłaby w zrozumiały sposób wyjaśnić bliskości, jaka łączyła ją z Quinnem, kiedy już Steven odsunął się od niej, powodowany rozpaczą i gniewem. Jej związek z Quinnem należał do przeszłości, ale mimo to był dla niej czymś zbyt cennym, by dzielić się jego tajemnicą z ludźmi, którzy nie potrafiliby tego zrozumieć. Rodzice nie pojęliby z tego ani odrobinę więcej niż koledzy z pracy w Quantico.

Miała romans. Zdradzała męża. Zachowywała się nagannie. W to właśnie ludzie chcieli wierzyć: w to, co najgorsze i najbardziej obrzydliwe. Nikt nie chciał wiedzieć, jak samotna się czuła i jak bardzo potrzebowała pomocy i wsparcia. Nikt nie chciał słyszeć o tym, co było czymś o wiele głębszym niż pociąg fizyczny, co pociągnęło ją do Johna Quinna i jego do niej. Ludzie wolą wierzyć w najgorsze, bo wtedy im się wydaje, że ich nie może to spotkać, że sami nigdy nie znajdą się w takiej sytuacji.

Dlatego zachowała swój sekret dla siebie, podobnie jak poczucie winy, żalu i rozpaczy, które były nierozdzielnie związane z tą historią. Zaczęła budować nowe życie element po elemencie, starając się zapewnić mu solidne fundamenty i stabilność. Przeważnie pracowała całymi dniami. Klienci pojawiali się i odchodzili. Pomagała im na różne sposoby; potem ich losy toczyły się swoją drogą, a oni znikali z jej życia. Związek ze sprawami innych ludzi był ograniczony w czasie i dawał się kontrolować.

Jednakże nawet w momencie, gdy tak myślała, nie mogła zapomnieć widoku Angie. Wypiła spory łyk dzinu, przypominając sobie łyzy dziewczyny, tej hardej ulicznicy, która zwinęła się niemal w kłębek i płakała jak dziecko, którym przecież była, chociaż nie chciała się do tego przyznać. Wystraszonym i zawstydzonym, do czego też nie przyznałaby się za żadne skarby.

Kate uklęknęła wtedy przy niej, dotykając to dłoni dziewczyny, to jej kolana, lub gładząc ją po głowie, a Angie skuliła się, usiłując ukryć twarz. Przez cały ten czas ta sama emocjonalna pętla, ten sam ciąg myśli wypełniał umysł Kate: nie jest niczyją matką. Kontakt z tą dziewczyną był czymś więcej, niż chciała, lecz mniej, niż potrzebowała sama Angie.

Okrutna prawda wygląda jednak tak, że Angie nie miała nic i nikogo poza nią. Nie było żadnego innego opiekuna, który potrafiłby się sprzeciwić Tedowi Sabinowi. Nie wielu zresztą w ogóle dałoby sobie radę z Angie.

Opowieść Angie była krótka, smutna i odrażająca. Jakiś mężczyzna zabrał ją z Lake Street, potem zostawił samą w parku jak jednorazową erotyczną zabawkę. Nawet nie zapytał dziewczyny o imię. Zapłacił jej dwadzieścia dolarów, chociaż aktualna stawka wynosiła trzydzieści pięć, i powiedział, żeby wezwała policję, jeśli ma jakieś zastrzeżenia, a potem wypchnął ją z samochodu i odjechał. Porzucił ją tam w środku nocy niczym nie chianego kociaka.

Kate miała przed oczami obraz Angie stojącej pośród ciemności w poszarpanym ubraniu i roztaczającej woń seksu, ze zgniecioną dwudziestką w kieszeni. Porzucona. Sama. Życie przed nią zdawało się długą, pełną dziur i wybojów drogą. Nie mogła mieć więcej niż piętnaście lub szesnaście lat. Emily byłaby niewiele młodsza, gdyby przeżyła.

Łzy wypełniły raptownie oczy Kate. Pociągnęła kolejny łyk dżinu, próbując przełknąć razem z nim dławiący ją w gardle supeł. Szkoda czasu na płacz, zresztą nie miało to sensu. Emily odeszła, a Angie nie była dla niej żadną alternatywą. Kate nie pragnęła niczego takiego. Potrafiła unikać pojawiające się nagle uczucie pustki lub je zagłuszać. Miała w tym dużą wprawę. Zepchnąć ból na powrót do jego klatki. Otoczyć się wysokim murem. Boże broń, żeby ktoś zajrzał do jej wnętrza, nawet ona sama.

Wyszła z wanny i skierowała się do gabinetu, czując, jak alkohol i zmęczenie odbierają jej energię. Musiała sprawdzić pocztę głosową. Chciała też zadzwonić do Phoenix i jeszcze raz porozmawiać z Angie, żeby wzmocnić kontakt, jaki nawiązała z nią tego popołudnia.

Nie chciała myśleć o tym, że Angie siedzi teraz samotnie w swoim pokoju. Wystraszona i rozczarowana samą sobą, ponieważ okazała słabość. Kate nie chciała myśleć o tym, że powinna była bardziej się postarać, żeby ich więź stała się silniejsza.

Hol był oświetlony przez stojącą w pobliżu domu latarnię uliczną. Jej zmiękczone srebrzyste światło wpadało przez dwa świetliki obok drzwi. Kate ciągle zamierzała je zlikwidować, bo jakiś intruz mógłby łatwo rozbić któryś z nich i dostać się do domu. Regularnie przypominała sobie o tym nocą, kiedy już szła na górę do łóżka.

W gabinecie paliła się przyćmiona lampa. Pokój wyglądał niemal tak samo, jak go pamiętała z dzieciństwa, kiedy jej ojciec zajmował kierownicze stanowisko średniego szczebla w firmie Honeywell. Był zapchany meblami, wśród których królowało dębowe biurko, i paroma setkami książek na półkach pod ścianami, wypełniony zapachem skórzanych

obić i delikatnym, słabym aromatem dawno wypalonych cygar. Całość miała raczej męski charakter. Lampka na automatycznej sekretarce błyskała jak ogień, ale telefon zadzwonił, zanim zdążyła dotknąć przycisku odtwarzania.

– Kate Conlan.

– Tu Kovac. Bierz dupę w garść, Ruda, i przyjeżdżaj do Phoenix. Nasz świadek zniknął. Spotkamy się na miejscu.

– Powinna być zostać – rzuciła Kate, chodząc tam i z powrotem po obskurnym pokoju, z rękami na biodrach. – Do diabła, powinna być zostać.

– Nie możesz być z nimi dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, Ruda – rzekł Kovac, zapalając papierosa.

– Nie – mruknęła, piorunując wzrokiem detektywa z wydziału narkotyków, któremu Kovac zlecił pilnowanie Angie podczas jej pobytu w Phoenix.

Był to chudy, niechlujny mężczyzna w wojskowej kurtce, na której kieszeni widniało nazwisko Iverson.

– To było twoje zadanie.

– Wolnego. – Uniósł dłonie, jakby chciał ją powstrzymać. – Byłem tutaj, ale sama mi powiedziałaś, że nie chcesz, żebym za bardzo się zbliżał. Musiała się wymknąć od tyłu.

– Co ty powiesz? A jak ci się wydaje, którą miałaby się „wymknąć”? To z samej definicji wyklucza chyba frontowe drzwi, no nie?

Detektyw uniósł głowę i ruszył ku Kate. Cała jego postawa wyrażała gotowość do walki, co z pewnością było skuteczne przy starciach z dealerami i ćpunami.

– Nie prosiłem się, kurwa, o tę robotę i nie muszę się, kurwa, tłumaczyć jakiejś pieprzonej opiekunce.

– Spokój! – warknął Quinn.

Kate zatrzymała Iversona spojrzeniem i sama ruszyła ku niemu.

– Zgubiłeś jedyne świadka, jakiego mieliśmy, kretynie. Nie chcesz się przede mną tłumaczyć? Świetnie. To może wytłumaczysz się szefowi. Albo prokuratorowi. Może powiesz pani burmistrz, jak straciłeś jedyne świadka w sprawie córki Petera Bonduranta, bo jesteś takim twardym detektywem i myślisz, że pilnowanie dzieciaka jest poniżej twojej godności.

Twarz Iversona oblała się purpurą aż po brzegi uszu.

– Wynoszę się stąd kurwa – mruknął i wycofał się.

Kovac pozwolił mu odejść. Frontowe drzwi skrzypnęły przy otwieraniu i zamknęły się z hukiem, aż się echo poniosło po przepastnym holu.

– Wszyscy z góry dobiorą mu się teraz do dupy – powiedział z westchnieniem. – Nawet nie będzie mógł usiąść na zamiatarce do ulic, do której go jutro przydzielą.

Kate znowu zaczęła krążyć po pokoju.

– Poszła sama czy ktoś ją zabrał?

– Iverson powiedział, że jej rzeczy zniknęły i nie ma żadnych śladów wskazujących na to, żeby ktoś wchodził tylnymi drzwiami. Cały czas była tu jeszcze jedna lokatorka. Powiedziała mu, że nic nie widziała ani nie słyszała. Przyjechałem z Quinnem tuż przed tobą. Jeszcze niczego nie widzieliśmy.

Kate pokręciła głową, nie mogąc się pogodzić ze swoją głupotą.

– Zrobiłam już spory krok naprzód, jeśli chodzi o Angie. Powinnam była zostać.

– O której godzinie ją zostawiłaś?

– Nie wiem, musiało być po ósmej. Powiedziała mi o tym fagacie w parku tamtego wieczoru, ale była taka zawstydzona i zdenerwowana, że nie chciałam naciskać. Wzięłam ją do City Center, żeby coś zjadła i zrobiła trochę zakupów.

– Porucznik Fowler wyłożył na nią jakieś pieniądze?

Kate skrzywiła się tylko w odpowiedzi. Pieniądze pochodziły z jej własnej kieszeni, ale to nie miało znaczenia.

– Potem odwiozłam ją tutaj.

Przypomniała sobie, jak Angie cichła, im bardziej zbliżały się do Phoenix. Wsuwała się z powrotem w swą twardą skorupę. Pozwoliłam jej na to, pomyślała.

– Podwiozłam ją i poszłam na zebranie mieszkańców, żeby wam powiedzieć... Och, cholera, powinnam była zostać.

– Kto jeszcze był tutaj, kiedy ją odwiozłaś?

– Gregg Urskine, który też wybierał się na to spotkanie, i jakaś kobieta. Nie wiem kto. Nie widziałam jej. Gregg mi powiedział, że jest. Nie chciałam, żeby Angie była sama.

Łatwo mogła sobie wyobrazić Angie, samotną w tym wielkim starym domu. Gdyby Joe Podpalacz dowiedział się w jakiś sposób, gdzie ona jest... A przecież Angie DiMarco twierdziła, że jest w stanie go zidentyfikować.

Zniknęła tak szybko i tak łatwo. Wystarczyła jedna nierozważna decyzja.

– Spieprzyłam sprawę i teraz dziewczyny nie ma.

Wiedziała, że emocje, z którymi ledwie daje sobie radę, są przesadnie wyolbrzymione, ale nie potrafiła nic na to poradzić. Mdliło ją i kręciło jej się w głowie. Usta wypełniał metaliczny posmak wypitego wcześniej dżinu.

Wyczuła, że Quinn podchodzi do niej od tyłu. Nie musiała się oglądać, żeby go

poznać. Jej ciało w dalszym ciągu reagowało na niego. Od razu zaniepokoiła ją myśl, że może, mimo upływu lat, ich fizyczny magnetyzm wcale nie osłabł.

– To nie twoja wina, Kate – powiedział łagodnie.

Położył dłoń na jej ramieniu, bezbłędnie odnajdując kciukiem napięte miejsce i masując je w stary, dobrze jej znajomy sposób. Zbyt znajomy. Zbyt przyjemny.

– To nie ma znaczenia – odparła, odwracając się sztywno. – Teraz ważne jest, żeby ją znaleźć. Więc zacznijmy szukać.

Weszli na górę, do pokoju, który Angie dzieliła z inną lokatorką. Jego ściany były pomalowane na brzydki żółty kolor, a stara boazeria pociemniała od wieku i polityry. Podobnie jak wszystko inne w tym domu, meble były pomieszane i źle dobrane.

Pościel Angie była rozgrzebana. Na środku łóżka leżała reklamówka z City Center, ale nigdzie nie było widać džinsów ani swetra, które dziewczyna tam kupiła. Jej brudny plecak również zniknął, więc być może odeszła z Phoenix House z własnej woli.

Na nocnej szafce obok taniej lampy ze szklanym abażurem stała maleńka figurka aniołka.

Kate podniosła ją, by się jej przyjrzeć: ceramiczny drobiazg wysokości niecałych trzech centymetrów, który kupiła za pięć dolarów od Indianki z plemienia Nawajów na targu w Santa Fe. Zapłaciła jeszcze dolara pięcioletniej wnuczce Indianki za staranne zapakowanie figurki. Dziewczynka marszczyło czoło, skupiona na swym ważnym zadaniu. Kate patrząc na nią, pomyślała o Emily i ku swojemu skrajnemu zakłopotaniu omal nie zaczęła płakać.

– Wiesz coś o tym? – zapytał cicho Quinn, stając znowu zbyt blisko.

– No jasne. Ukradła mi go dzisiaj z biurka – powiedziała Kate, dotykając namalowanej złotą farbą aureoli na ciemnej główce aniołka. – Mam kolekcję aniołów stróżów. Śmieszne, co? Tak naprawdę to w nie nie wierzę. Gdyby istnieli, to ty i ja nie mielibyśmy pracy, nie straciłabym córki i nie byłoby dzieciaków prowadzących takie życie, jak Angie. – To głupie – dodała, przesuwając palcem po skrzydłach aniołka – ale wołałabym, żeby zabrała go ze sobą.

Figurka wysunęła jej się z dłoni i upadła na dywan obok łóżka. Kate uknęła, by ją podnieść, podpierając się o podłogę lewą ręką dla zachowania równowagi. Nagle przykucnęła i z bijącym mocno sercem uniosła dłoń, obracając ją wnętrzem do góry.

– O Jezu! – jęknęła, patrząc na plamę krwi.

Quinn zaklął, chwytając Kate za rękę i przyciągając ją bliżej do światła.

Ale ona wyrwała mu się i znowu uknęła, wpatrując się w ciemną drewnianą podłogę. Plama krwi była widoczna, tylko jeżeli spojrzano się z właściwej strony i pod odpowiednim kątem. Iverson jej nie dostrzegł, bo nie przyglądał się zbyt uważnie.

– Nie – mruknęła, znajdując kolejną kropelkę i zaraz potem rozmazany ślad, pozostały po spiesznym wycieraniu krwi.

Powinam była zostać, powtórzyła w myślach.

Ścieżka krwawych śladów prowadziła do holu, a stamtąd do łazienki.

– O Boże, nie! – jęknęła, czując, jak ze strachu ściska ją w żołądku.

Powinam była z nią zostać.

Podniosła się chwiejnie i ruszyła korytarzem. Wszystkie zmysły miała wyostrzone. W uszach słyszała łomot własnego serca.

– Niczego nie dotykaj! – krzyknął Kovac, doganiając ją.

Kate zatrzymała się tuż przed uchylonymi nieco drzwiami łazienki i pozwoliła, by Kovac otworzył je ramieniem. Potem wyjął z kieszeni długopis i nacisnął nim kontakt.

Łazienka była wyklejona przyprawiającą o oczopląs foliową tapetą w różowe, pomarańczowe i srebrne wzory. Armatura wyglądała na starszą od tapety, a białe płytki terakoty już dawno straciły swój kolor. Teraz były poznaczone krwią. W jednym miejscu plamka, w innym roztarty ślad.

Dlaczego z nią nie zostałam?

– Wyjdź do holu, kochanie – powiedział Quinn, kładąc jej dłonie na ramionach, kiedy Kovac podszedł do kabiny, by odsunąć foliową zasłonę.

– Nie.

Nie ruszała się z miejsca, drżąc i czując, jak zaczyna jej brakować tchu. Quinn otoczył Kate ramieniem, gotów ją odciągnąć, gdy tylko Kovac odsunie zasłonę.

Wewnątrz nie było ciała. Angie nie leżała martwa w brodziku. Mimo to Kate poczuła, jak jej żołądek się buntuje i oblewa ją fala zimna. Quinn usztywnił ramię, a ona oparła się o niego, bliska omdlenia.

Krew znaczyła wyłożone glazurą ściany bladymi smugami, które przypominały wyblakłe ślady palców. Cieniutka strużka wody rdzawej od krwi ściekała ze środka brodzika do otworu dopływowego.

Kate przycisnęła dłoń do ust, brudząc sobie podbródek.

– Cholera – zaklął Kovac.

Cofnął się od kabiny, podszedł do plastikowego pojemnika obok umywalki i otworzył go ostrożnie tym samym długopisem, którym wcześniej zapalił światło.

– Hej, Kojaku! – zawołał Elwood, wsuwając głowę do łazienki. – Co jest?

– Wezwij speców od miejsca zbrodni – polecił Kovac. Wyciągnął z pojemnika jeden ręcznik, a zaraz potem drugi. Obydwa były mokre i zakrwawione. – Wygląda na to, że

właśnie je znaleźliśmy – dodał.

Toni Urskine weszła do frontowego pokoju, nadal elegancko ubrana w opięte czarne spodnie i jaskrawoczerwony żakiet, włożony na białą bluzkę z wytwornym żabotem. Jej oczy pałały świętym oburzeniem.

– Nie podobają mi się te policyjne samochody przed domem. Czy przynajmniej nie mogłyby wyłączyć świateł? Tu wokół mieszkają ludzie, sierżancie, i żaden z naszych sąsiadów nie jest zachwycony tym, co się tu dzieje.

– Przepraszam za zakłócenie spokoju, pani Urskine – odparł cierpko Kovac. – Porwania, morderstwa to cholerny kłopot, rozumiem panią.

W ślad za Toni Urskine w pokoju pojawiła się chuda rudowłosa kobieta o kruchym wyglądzie kokainistki, a za nią Gregg Urskine. Wyglądał jak model z katalogu Eddiego Bauera w wykrzywionych roboczych butach, dżinsach i rozpiętej pod szyją flanelowej koszuli, spod której wyglądał biały podkoszulek. Położył dłoń na plecach rudowłosej, zachęcając ją, by podeszła bliżej.

– To jest Rita Renner. Była tu wieczorem z Angie, po moim wyjściu – oznajmił.

– Tak naprawdę to nie byłam z nią – powiedziała Renner. – Oglądałam telewizję. Widziałam, jak weszła na górę. Była długo w łazience, słyszałam, jak puszcza wodę. Nie wolno nam długo korzystać z prysznicza.

– A o której zorientowała się pani, że prysznic przestał działać?

– Nie zauważyłam. Zasnęłam na kanapie. Obudziłam się dopiero po wiadomościach.

– A wtedy, kiedy pani nie spała, czy widziała pani albo słyszała jeszcze kogoś w domu, kogoś poza Angie?

– Odkąd Gregg wyszedł, to już nie.

– Żadnych odgłosów otwieranych czy zamykanych drzwi? Kroków? Nic?

Renner pokręciła głową, spuszcżając wzrok.

– Już wam powiedziała, że nie nic słyszała ani nie widziała – wtrąciła zniecierpliwionym tonem Toni Urskine.

Kovac zignorował ją.

– Dlaczego nie poszła pani na zebranie razem z innymi? Toni Urskine zeszywniała.

– Czy Rita jest o coś podejrzana, sierżancie?

– Pytam tylko z ciekawości.

Renner spojrzała nerwowo na Toni i jej męża, jakby czekając na jakiś tajny sygnał, zezwalający na to, by mówiła.

– Nie lubię zgromadzeń – powiedziała przepaszającym tonem. – To wszystko i tak jest dla mnie ciężkie, wie pan. Z powodu Fawn.

– Rita i Fawn Pierce, czy jak wy to mówicie, ofiara numer dwa, były przyjaciółkami – wyjaśniła Urskine, obejmując kobietę opiekuńczo ramieniem. – Ale nikogo z was to nic nie obchodzi.

Kovac zdołał opanować grymas wściekłości.

– Przepraszam za to przeoczenie. Przyślę jutro detektywa na rozmowę. Dzisiaj najważniejszą osobą jest Angie DiMarco. Musimy ją znaleźć.

– Nie sądzi pan chyba, że ten morderca przyszedł i ją zabrał, prawda? – zapytała Toni z nagłym przestraszeniem.

– Nie bądź dzieckiem – powiedział Gregg, usiłując uśmiechem pokryć zdenerwowanie. – Nikt się nie włamał.

Jego żona odwróciła się ku niemu z jadowitym spojrzeniem.

– Nie jestem dzieckiem. Każdy mógł się tu dostać. Proszę cię od miesięcy, żebyś założył nowe zamki i odciał wejście przez burzowe drzwi w piwnicy.

Urskine oblał się rumieńcem.

– Drzwi w piwnicy są zamknięte od zewnątrz.

Kovac spojrzał na Elwooda.

– Sprawdź to – polecił.

– Pokażę panu – zaproponował Urskine, ruszając ku drzwiom, żeby oddalić się od żony.

– Gregg – zatrzymała go Kate – czy Angie mówiła coś panu, zanim wyszedł pan na zebranie?

Urskine roześmiał się nerwowo. Kate od razu pomyślała, że jego śmiech jest równie denerwujący, jak lizusowski uśmiech Roba Marshalla.

– Angie nigdy nie ma mi nic do powiedzenia. Unika mnie jak zarazy.

– O której wyszedł pan na zebranie? – zapytał Kovac.

Urskine uniósł brwi nad okularami.

– Czy jestem o coś podejrzany? – zapytał, udając rozbawienie.

– To kara dla nas, Gregg – rzuciła Toni Urskine, spoglądając gniewnie na Kovaca. –

Nie rozumiesz tego? Policjanci nie lubią, jak się im zwraca uwagę na ich niedociągnięcia.

Kovac zrewanżował się jej swoim firmowym spojrzeniem.

– Usiłuję po prostu uzgodnić chronologię wydarzeń, proszę pani. To wszystko.

– Wyszedłem niedługo po Kate – powiedział Urskine. – Musiałem dotrzeć na to zebranie około... no, kochanie?... ósmej trzydzieści, za piętnaście dziewiąta?

– Coś koło tego – zgodziła się jego żona z urażoną miną. – Spóźniłeś się.

– Pracowałem przy piecu – odparł Urskine. – Na jego twarzy pojawił się nerwowy tik.

– Pokażę panu te drzwi w piwnicy – zwrócił się do Elwooda.

– Czy możemy odejść, sierzancie? – zapytała Toni Urskine. – To był ciężki wieczór.

– Nie musi mi pani tego mówić – mruknął Kovac, ruchem ręki dając do zrozumienia kobietom, że mogą iść.

Kate wyszła za nimi z pokoju, ale skręciła w prawo ku drzwiom frontowym, zostawiając Toni Urskine, żeby mogła wygłaszać swoje tyrady do zebranych w salonie pensjonariuszek. „Nasze życie też ma znaczenie” – głosił transparent wywieszony na ganku domu. Coraz mocniejszy wiatr targał grubym płótnem.

– Będzie padał śnieg – powiedziała na głos.

Wsunęła dłonie w kieszenie płaszcza i ściągnęła ramiona, nie broniąc się jednak przed nieprzyjemną aurą, ale przed wewnętrznym chłodem.

Doszła do przeciwległego skraju werandy niemal poza zasięg światła żółtej lampy – pułapki na insekty, której jeszcze nie wymieniono na zimę. Musiała się oddalić od ludzi, którzy wchodzili i wychodzili przez frontowe drzwi.

Skoro Toni Urskine jest niezadowolona, mając przed domem radiowozy, to wkrótce wpadnie w prawdziwą wściekłość, pomyślała, widząc fachowców z sekcji badania miejsca zbrodni, którzy akurat parkowali swoją furgonetkę na trawniku koło budynku. Umundurowani policjanci już przystąpili do swoich rutynowych obowiązków: pukali kolejno do drzwi sąsiednich domów, by zapytać, czy może ktoś z mieszkańców widział jakiś obcy samochód, idącego pieszo mężczyznę, mężczyznę, który coś niósł, lub też mężczyznę w towarzystwie młodej kobiety. Szukali czegokolwiek, co mogłoby ich naprowadzić na trop czy pomóc ustalić chronologię wydarzeń. Pomimo późnej godziny pobliskie domy były rzęsiście oświetlone, a tu i ówdzie widać było sylwetkę mieszkańca odciągającego zasłony, by wyjrzieć na dwór przez okno.

– Kate, przecież nie wiemy, co się stało – powiedział Quinn.

– Cóż, można chyba z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że Angie nie skaleczyła się, goląc sobie nogi.

Zadrżała znowu, przypominając sobie widok krwi. Krew na podłodze, pokrwawione ściany i ręczniki. Wyprężyła się, by powstrzymać omdlewającą słabość, wkradającą się w mięśnie.

Musisz być twarda, Kate. Zapakuj te uczucia do pudełka i włóż do odpowiedniej szuflady. Nie pozwól, żeby się stamtąd wydostały.

– Wydaje mi się, że to było tak – powiedziała, przewyciężając ściskanie w gardle. – Zakradł się do domu od tyłu i dopadł ją na górze. Stawiała opór, sądząc po tych krwawych odciskach na glazurze. Przypuszczam, że to były jej ręce. Może ją zabił, a może po prostu tylko zaczął swoją robotę, ale raczej to pierwsze. Pozwolił jej się wykrwawić w kabinie. Gdyby tak nie było, to znaleźlibyśmy o wiele więcej krwi. Chciał upozorować, że po prostu wyszła, więc próbował posprzątać, ale śpieszył się, więc zrobił to nie bardzo dokładnie. Ale nawet to byle jakie sprzątanie mogło mu dać trochę czasu, gdybyśmy nie przyjechali dzisiaj na przeszukanie.

– Skąd wiedział, że ona tu jest?

– Nie wiem. Miała wrażenie, że ją obserwuje. Może rzeczywiście tak było.

– A jak to się ma do tego, że nikt nic nie słyszał i nie widział?

– Do tej pory już zdołał uprowadzić, poddać torturom i zamordować trzy kobiety, a nikt nic nie słyszał ani nie widział. Rita Renner spała na pierwszym piętrze przy włączonym telewizorze. To duży dom.

Quinn pokręcił głową.

– Czuję, że coś tu jest nie tak.

– Dlaczego nie? Dlatego że chciałeś, żeby był na spotkaniu?

Przysiadł na balustradzie i wzruszył ramionami.

– Mimo wszystko mógł tam być. To tylko parę przecznic stąd, a spotkanie skończyło się na pół godziny przedtem, zanim przyjechałem tu z Kovacem. Pytanie jednak, dlaczego miałby tak ryzykować? Dziewczyna nie przekazała policji nic istotnego: żadnego nazwiska ani danych do porządnego portretu pamięciowego. Nie znalazła też nic na zdjęciach. Po co miałby ryzykować?

– Żeby nam pokazać, na co go stać – powiedziała Kate. – Zagrać nam na nosie. Akurat kiedy odbywa się zebranie, które ma go przyciągnąć, zakrada się tutaj i uprowadza jedyne go świadka swoich zbrodni. To podnieca faceta takiego jak on, tak jakby oglądał pornosy. Wiesz o tym.

Quinn obejrzał się na technika, który szedł do wejścia z odkurzaczem w rękach.

– A dlaczego wy tu przyjechaliście? – zapytała Kate. – Kovac mi tego nie wyjaśnił.

– Kiedy mówiłaś mu o Angie i jej fagacie w parku w sobotę wieczorem, powiedziałaś, że ten gość miał sportowy samochód terenowy. Możliwe, że Joe Podpalacz przewozi ciała do parku, wykorzystując jakąś furgonetkę. Coś, co przypomina pojazdy zakładu parkowego. Może właśnie sportowy samochód terenowy.

Kate poczuła ściskanie w żołądku, a chłód przeniknął jej ciało od stóp do głów.

– O Boże, John. Chyba nie myślisz, że był jej klientem?

– To by się zgadzało. Nienawidzi kobiet, szczególnie tych rozwiązłych seksualnie. Wiezie jedną nieżywą z tyłu swojego pojazdu. Podrywa kolejną i zabiera na miejsce, gdzie ma się pozbyć ciała, żeby odbyć z nią stosunek. To go podnieca. To podniecenie przypomina mu emocje, jakie przeżywa, mordując. Jednocześnie facet wzmacnia w sobie poczucie psychicznej dominacji i kontroli nad kobietą, z którą jest w danej chwili. Jego sekretna wiedza o tym, że może zrobić to samo aktualnej partnerce, co zrobił swojej ofierze, chociaż decyduje, żeby tego nie robić, daje mu poczucie panowania zarówno nad nią, jak i nad własnym pragnieniem zabijania.

– Decyzja o tym, żeby nie zabijać, wzmacnia jego poczucie siły. Wszystko zmierza w kierunku ceremonii spalenia, która jest ukoronowaniem całego cyklu – dokończyła za niego Kate.

– Teoretycznie to brzmi dobrze.

– Angie powiedziała, że ten facet wypchnął ją z samochodu i odjechał. Musiałby więc zatoczyć łuk dość szybko, żeby znaleźć się na tym miejscu wystarczająco wcześniej, aby zobaczyć, jak pali zwłoki.

Quinn wzruszył ramionami.

– Mimo wszystko to jest tylko teoria.

Teoria człowieka, który wie więcej o sadystycznych mordercach na tle seksualnym niż ktokolwiek inny w całym kraju, pomyślała Kate, wpatrując się w obłok pary z własnego oddechu, odpływający w ciemność.

– Ale jeżeli to był ten sam człowiek, to dlaczego nie miałaby mi tego powiedzieć? I dlaczego nie dałaby nam lepszego materiału do portretu? Widziała przecież faceta z bliska.

– To są pytania, na które tylko ona może odpowiedzieć.

– Teraz nie może – rzekła cicho Kate. – Tak jej było trudno opowiedzieć mi o tamtym wieczorze. Od samego początku była okropnie twarda, ale kiedy w końcu zaczęła mówić, brzmiało to tak, jakby się wstydziła. Zaczęła powtarzać, że nie lubi tego robić i że jest jej przykro. W dodatku płakała i płakała.

Poczuła, że to wspomnienie może sprowokować lawinę jej własnych emocji, podobnie

jak podczas spędzonego z Angie popołudnia.

– Lubisz tę dziewczynę – rzekł Quinn.

– Co tu jest do lubienia? – parsknęła Kate. – To kłamliwa złodziejka i prostytutka o niewyparzonej gębie.

– Która ciebie potrzebuje – uzupełnił Quinn.

– Tak, dobrze. Widzisz, co jej to dało.

– To nie twoja wina, Kate.

– Powinam była z nią zostać.

– Skąd mogłaś wiedzieć, że to się wydarzy?

– Przeżywała trudne chwile. Powinam była zostać z nią chociażby dlatego, żeby coś z niej wyciągnąć. Ale nie zostałam, bo...

Przerwała, nie chcąc się do tego przyznać. Nie tutaj. Nie przed Quinnem. Znał ją zbyt dobrze, a przynajmniej kiedyś tak było. Znał każdy czuły punkt jej duszy. Obejmował ją niezliczoną ilość razy, kiedy była tak obolała z rozpacz i poczucia winy po śmierci Emily, że to cierpienie było wprost niewyobrażalne. Okazywał jej wsparcie, dzielił się z nią swoją siłą i uspokajał ją swym dotykiem. Nie mogła pozwolić mu, żeby znowu to robił, a jednocześnie nie chciała się rozczarować, gdyby się okazało, że on nie ma na to ochoty.

– Kate, ta dziewczyna to nie Emily.

Zaczerpnęła głośno tchu, jakby ją spoliczkował, i odwróciła się do niego z gniewnym spojrzeniem.

– Dobrze sobie z tego zdaję sprawę. Moja córka nie żyje.

– A ty nadal się o to obwiniasz. Po tylu latach.

– O ile wiem, nie istnieje przedawnienie, jeżeli chodzi o poczucie winy.

– Ale nie zawiniłaś. Teraz także nie.

– Emily była moją córką, czułam się za nią odpowiedzialna. Angie jest moją klientką i też czuję się za nią odpowiedzialna – sprzeciwiła się Kate.

– A ilu ze swoich klientów zabierasz do domu? – zapytał Quinn, odchodząc od barierki i przysuwając się bliżej niej.

– Żadnego, ale...

– Z iloma ze swoich klientów przebywasz dwadzieścia cztery godziny na dobę?

– Z żadnym, ale...

– Więc nie ma powodu, abyś myślała, że powinnaś była z nią zostać.

– Ona potrzebowała mojej obecności, a mnie przy niej nie było.

– Za każdym razem, kiedy masz szansę, żeby się ukarać, robisz to – powiedział Quinn,

czując, jak budzi się w nim zastarzały gniew.

Pamiętał doskonale frustrację, jaką odczuwał, próbując uwolnić Kate od poczucia winy za śmierć Emily. Pamiętał doskonale, jaką miał ochotę potrząsnąć nią, a potem przytulić do siebie, bo teraz czuł dokładnie to samo.

Stała przed nim kipiąca gniewem i gotowa do obrony. Piękna i wrażliwa. Chciał chronić ją przed bólem, który zadawała sama sobie. A ona walczyła z nim pazurami o każdą jego drobinę.

– Akceptuję swoją odpowiedzialność. Nie udawaj, że tego nie rozumiesz – powiedziała z goryczą, stając z nim twarzą w twarz. – Wielki Quinn, który leczy raka współczesnego społeczeństwa. W pojedynkę wykorzenia wszelkie zło. Dźwigasz na barkach cały świat, jakbyś był jedynym jego opiekunem, ale masz tyle tupetu, żeby tu stać i mnie krytykować? Jezu, jak możesz!

Wyminęła go, kręcąc głową, i ruszyła ku schodom.

– Dokąd idziesz? – zapytał, znów wyciągając ku niej rękę, jakby dotykanie jej było jego oczywistym przywilejem.

Odsunęła się, posyłając mu tak lodowate spojrzenie, że mogłoby zamrozić wodę w promieniu pięćdziesięciu kroków.

– Idę coś robić. Nie zamierzam tu siedzieć całą noc i obgryzać paznokcie. Istnieje niska szansa, że Angie odeszła stąd z własnej woli, więc przynajmniej mogę pomóc jej szukać.

Wsunęła ręce do kieszeni, by wyjąć kluczyki, i pośpiesznie zeszła po schodach do swojego samochodu. Quinn spojrział na drzwi wejściowe Phoenix House. Nie był tu potrzebny. W dodatku widok odchodzącej Kate wywołał w nim paniczną reakcję. Co za głupota. Nie chciała, żeby tu był, nie chciała go, i tyle. Na pewno o wiele lepiej układało jej się bez niego. Gdyby był silniejszym człowiekiem, pogodziłby się z tym.

Cóż, skoro wcale nie czuł się silny, a za kilka dni, może tydzień, miało go tu już nie być. Co by szkodziło, gdyby wykradł trochę czasu, żeby spędzić go z nią? Po prostu być blisko niej. Świeże wspomnienie, które doda do dawnych i którym będzie się zaślaniał, gdy jedyna pociecha, jaką znajduje w życiu zechce go całkowicie pochłonąć. Ich ścieżki spotkały się tylko na chwilę...

– Kate! – zawołał, doganiając ją. – Poczekaj. Jadę z tobą. Uniosła jedną brew.

– Czyżbym cię o to prosiła?

– Dwie pary oczu widzą lepiej niż jedna – odparł.

Próbowała przekonać siebie w myślach, że powinna odmówić. Nie chciała, żeby

rozgrzebywał jej stare rany. Sama robiła to wystarczająco dobrze. Pomyślała jednak i o tym, jak troskliwie niedawno posłużył jej ramieniem, gotów ją odciągnąć od okropnego widoku, który spodziewali się ujrzeć za zasłoną w kabinie prysznicowej, podtrzymać, gdyby tego potrzebowała. Ofiarował jej swą własną siłę, by się mogła nią wspomóc. Pamiętała, jak łatwo mu na to pozwoliła, i wiedziała, że powinna teraz powiedzieć: nie.

Wpatrzył się w nią swoimi ciemnymi oczami. Jego początkowo poważna twarz rozjaśniła się leciutkim, czarującym uśmiechem, który pojawił się nie wiadomo skąd. Poczula, że coś jej drgnęło w piersiach, całkiem tak, jak wiele lat temu.

– Obiecuję zachowywać się grzecznie. I pozwolę ci prowadzić.

Westchnęła, odwracając się do samochodu i nacisnęła przycisk otwierający drzwi.

– No cóż, nie wierzę w więcej niż połowę tego, co mówisz.

Postanowili obejść miejsca przy Lake Street, w których istoty prowadzące nocny tryb życia spędzały godziny pomiędzy zachodem i wschodem słońca. Salony bilardowe, bary i całonocne restauracje. Schronisko dla bezdomnych, pełne kobiet z dziećmi. Samoobsługową pralnię SudsO-Rama, w której siedział kloszard z gęstą aureolą brudnych siwych włosów. Ulokował się na jednym z plastikowych krzeseł i wyglądał przez okno aż do chwili, kiedy cieszący się tylko odrobinę lepszym losem nocny dyżurny przepędził go z powrotem na ulicę.

Nikt nie widział Angie. Połowa z pytanych ledwie rzuciła okiem na zdjęcie. Kate nawet nie chciała myśleć o tym, że to nic nie da. Nie spodziewała się konkretnych rezultatów, ale tego, że jakoś przetrwa tę noc. Sama nie wiedziała, co jest większą karą: spędzenie nocnych godzin na włóczędztwie po tej parszywej dzielnicy miasta czy siedzenie w domu i picie dżinu aż do chwili, kiedy krwawe plamy znikną z jej pamięci.

– Muszę wypić drinka – powiedziała, kiedy weszli do lokalu pod nazwą Eight Ball's.

Wnętrze przesłaniała gęsta chmura papierosowego dymu. Obok trzasku zderzających się ze sobą kul bilardowych słyszeć było dobiegające z szafy grającej zawodzenie bluesa: *Lie to me*. Poznała: Jonny Lang.

– Spóźniłaś się, ślicznotko. Już nie podajemy drinków – oznajmił barman, zwalisty czarnoskóry mężczyzna o ogolonej głowie i wełnistym wąsie. – Jestem Mały Marvin. Może masz ochotę na coś czarnego i mocnego jak ja?

Quinn podsunął mu legitymację i popatrzył na niego groźnie.

– O cholera. Przecież to Scully i Mulder – powiedział wcale niezdeprymowany barman, zdejmując z podgrzewacza dzbanek z kawą.

Kate siadła na wysokim stołku.

– Kawa wystarczy, dziękuję.

Przy stołach bilardowych kręciło się około tuzina zapalonych graczy. Dwie prostytutki służyły im jako dekoracja. Wyglądały na znudzone i poirytowane tym, że tracą czas. Jedna z nich przyjrzała się Quinnowi i szturchnęła znacząco koleżankę, ale żadna nie ruszyła się, żeby do nich podejść.

Mały Marvin spojrział uważnie na Quinna.

– Hej, człowieku, czy ja ciebie nie widziałem w telewizji? Naprawdę.

– Szukamy pewnej dziewczyny – powiedział Quinn.

Kate położyła zdjęcie na kontuarze, spodziewając się, że Marvin potraktuje je z takim samym brakiem zainteresowania, jak wszyscy barmani, których do tej pory pytali. On jednak podniósł zdjęcie krótkimi i grubymi jak parówki palcami i przyjrzał mu się uważnie.

– Tak, była tutaj.

Kate podniosła głowę.

– Dzisiaj?

– Nie, w niedzielę wieczorem, gdzieś koło dziesiątej trzydzięści czy jedenastej. Przyszła, żeby się ogrzać, tak powiedziała. Przez taką można trafić do pudła. Wyrzuciłem ją stąd. No wiecie, jak dorosła się zgadza na takie rzeczy, to inna sprawa, wiecie, co mam na myśli? Ta dziewczyna to chodzący kłopot. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Wyszła z kimś? – zapytał Quinn.

– Nie, stąd nie. Poszła na ulicę i zaczęła spacerować tam i z powrotem. Potem zrobiło mi się głupio, no wiecie, co by było, jakby to była moja siostrzenica czy coś w tym rodzaju. Gdybym się dowiedział, że jakiś twardziel wyrzucił ją na ulicę, to bym, człowieku, skopał mu dupę. Więc idę do niej i mówię, że może wypić filiżankę kawy, jak chce, ale załapała klienta i pojechali.

– Co to za samochód? – spytała Kate.

– Jakaś furgonetka.

Jej serce zaczęło bić mocniej. Spojrzała na Quinna, ale on nadal patrzył na barmana.

– A może pamięta pan numer?

– No, człowieku, ja tu nie jestem żadnym stróżem.

– Nie obchodziło to pana, że ten człowiek łamie prawo? – zniecierpliwiła się Kate.

Marvin spojrział na nią niechętnie.

– Słuchaj, Scully, ja się zajmuję tym, co się dzieje tutaj. Reszta świata to nie mój problem. Dziewczyna robiła to, co robią dziwki. Nie mój interes.

– A jakby była pana siostrzenicą?

Quinn posłał jej ostrzegawcze spojrzenie i znowu zapytał barmana:

– Widział pan kierowcę?

– Nie patrzyłem. Pomyślałem tylko, co to za gnojek, że podrywa taką małą. Świat jest chory, wiecie, o co mi chodzi?

– Tak – mruknęła Kate, zabierając z kontuaru zdjęcie Angie.

Spojrzała na jej ładną, egzotyczną twarz, skrzywione usta i gniewne oczy, które widziały za dużo.

– Dobrze wiem, o co chodzi – dodała.

Schowała zdjęcie z powrotem do torebki, położyła na kontuarze dolara za kawę, której nawet nie tknęła, i wyszła. Zaczął padać gęsty śnieg. Chmury sypały pełnymi garściami śniegu w porywach zimnego wiatru. Ulica była opustoszała podobnie jak chodniki, a obskurne frontony sklepów ciemne, z wyjątkiem lombardu po drugiej stronie.

Oparła się o ścianę, myśląc o tym, jak by to było dobrze, gdyby wiatr wywiał wszystkie gromadzące się w jej wnętrzu uczucia. Prawie dotarły jej do gardła i już nie była w stanie ich przełknąć.

Zbyt wiele przeżyła, żeby panujące na świecie niesprawiedliwość i okrucieństwo mogły nią łatwo wstrząsnąć. Nic dziwnego, że barman z Lake Street nie był zbyt przejęty życiem prostytutki, niezależnie od jej wieku. Widywał takie rzeczy codziennie i nigdy się w nie specjalnie nie zagłębiał. Miał na głowie swoje własne sprawy.

Poruszyło ją to tylko dlatego, iż знаła dalszy ciąg jego opowieści. Podróż samochodem, którą Angie DiMarco odbyła z baru Eight Ball's, doprowadziła ją na miejsce zbrodni, a kierowca tego bliżej nieokreślonego pojazdu mógł być zabójcą, jeśli zaś był tylko kolejnym żalonym nieudacznikiem, gotowym płacić za seks, nie zmieniało to faktu, że dowiódł ją na spotkanie z przeznaczeniem. Niewykluczone, że oznaczającym jej śmierć.

Quinn wyszedł z baru, mrużąc oczy przed zimnem i wiatrem. Postawił kołnierz płaszcza.

– Kovac mówi: „Dobra policyjna robota, Ruda”. Jeżeli kiedykolwiek będziesz chciała zerwać z tym łatwym życiem, na pewno usłyszysz od niego słówko.

– Tak? No cóż, zawsze chciałam pracować po nocach, w weekendy i w urlopy, po szyję wśród trupów. Mam więc teraz swoją wielką szansę.

– Kovac przyśle detektywów, żeby porozmawiali z barmanem i kim tylko się da. Jeżeli znajdą kogoś, kto pamięta więcej na temat tego samochodu albo widział kierowcę, to będą mieli od czego zacząć.

Kate otuliła kołnierzem szyję, patrząc przed siebie, na lombard po drugiej stronie

ulicy. Przez zakratowane okno prześwitywał czerwony neon głoszący: „Realizujemy czeki”.

– Nie ma to jak dobra koordynacja czasowa – powiedziała. – Gdyby Angie nie stała tu na ulicy, akurat wtedy, kiedy zatrzymał się ten samochód, byłabym teraz w swoim łóżku, a ty byś grzebał na jakimś innym cmentarzysku.

Roześmiała się z własnych słów i pokręciła głową. Wiatr porwał kosmyk jej włosów i zaczął nim chłostać o twarz.

– Tyle już przeżyłam, a nadal nie mogę się pogodzić z przypadkiem. Czy to bardzo głupie?

– Zawsze miałaś pierwsze miejsce, jeżeli chodzi o upór – powiedział Quinn, odruchowo wyciągając rękę, by odsunąć Kate włosy z twarzy, i muskając końcami palców jej policzek. – Cynik to zawiedziony idealista, pamiętaj.

– Czy tak właśnie było z tobą?

– Nigdy nie uważałem życia za idealne.

Oczywiście wiedziała o tym. Wiedziała o jego życiu, o nadużywającym alkoholu ojcu i smutnym dorastaniu w robotniczej dzielnicy Cincinnati. Była jedną z niewielu osób, którym pozwolił zajrzeć do tego zakątka swej przeszłości.

– Ale to wcale nie uchroniło cię przed rozczarowaniem – powiedziała cicho.

– Jedyna rzecz, która potrafi uratować człowieka przed rozczarowaniem, to poczucie beznadziei. Ale jeśli nie ma się nadziei, to nie ma sensu żyć.

– A jaka jest różnica pomiędzy nadzieją i desperacją? – zapytała, myśląc o Angie, o tym, czy ona ośmiela się jeszcze żywić jakąś nadzieję.

– Czas.

Właśnie tego mogło zabraknąć Angie DiMarco, jak zabrakło im obojgu przed laty. Kate ogarnęła fala rozczarowania. Pragnęła oprzeć głowę na ramieniu Quinna, poczuć, jak on obejmuje ją ramionami, ale jednak oderwała się od ściany i ruszyła ku swojej zaparkowanej obok pralni toyocie. Wypędzony kloszard zaglądał przez tylną szybę samochodu, jakby w nadziei, że da się w nim przespać noc.

– Podrzucę cię do hotelu – zaproponowała Kate Quinnowi.

– Nie. Pojadę z tobą do domu i wezwę taksówkę. Chociaż jesteś taka twarda, to nie chcę, żebyś wracała sama, Kate. To nie jest rozsądne. Przynajmniej nie dzisiaj.

Gdyby się czuła silniejsza, mogłaby spierać się z nim po prostu dla zasady, ale było inaczej, a wspomnienie jakichś upiornych oczu, które ją obserwowały zaledwie kilka godzin temu, gdy wchodziła do domu tylnymi drzwiami, pozostawało wciąż zbyt świeże.

– W porządku – powiedziała, naciskając guzik pilota.

Rozległ się głośny sygnał alarmu jej samochodu. Bezdomny pośpiesznie rzucił się do bramy pralni.

– Ale nie próbuj niczego głupiego, bo poszczuję cię moim kotem.

– Jakie są wyniki przepytывania sąsiadów? – spytał Kovac, zapalając papierosa.

– Mnóstwo ludzi wkurzonych tym, że policjanci walą do ich drzwi w środku nocy – odparł Tippen, wzruszając chudymi ramionami.

Stali na frontowej werandzie Phoenix House, pod żółtym światłem lampy. Ekipa z FBI nadal była obecna na dziedzińcu, który został odgradzony taśmą, by zachować przestrzeń wolną od dziennikarzy.

Pojawili się niczym stado sępów, podejrzanie jednocześnie. Mrużąc oczy, Kovac wpatrywał się przez dym i śnieg w gromadkę ludzi na końcu chodnika, gdzie Toni Urskine udzielała wywiadu w upiornym świetle przenośnych lamp.

– Chcecie się założyć, że jak zdobędę rejestr jej telefonów, to znajdę numery do stacji WCCO, KSTP i KARE? – mruknął.

– Zdobywanie popularności dzięki zbrodni i tragedii – powiedział Elwood, naciskając głębiej swój śmieszny filcowy kapelusz. – To takie amerykańskie. Tyle o tym wszystkim mówią w mediach, że darowizny posypią się jak z rękawa.

– Ona na pewno sugeruje, że to, co się tu dzieje, jest związane z naszym świadkiem – rzekł Kovac. – Mogę dać sobie rękę uciąć. Teraz wszystkie kutasy z samej góry ustawią się w kolejce, żeby się do mnie dostać.

– Więc lepiej bądź dla niej miły, Sam – poradziła Liska, kołyszając się dla rozgrzewki w przód i w tył. – Bo jak nie, to będę ci musiała pożyczyć tubkę galaretki na poślizg.

– Jezu, kobieto – mruknął Kovac z obrzydzeniem. – Więc co z tą piwnicą? – zwrócił się do Elwooda. – O co chodzi z tymi drzwiami?

– Są zamknięte od środka. Znaleźliśmy na podłodze coś, co wygląda jak plamy krwi. Niewiele. Urskine mówi, że to nic takiego, bo się skaleczył, kiedy parę dni temu naprawiał piec.

Kovac warknął coś niezrozumiale i znowu zwrócił się do Liski:

– A jak tam ten twój palant, Vanlees?

– Nie mogę go znaleźć. Chciałam pojechać za nim po zebraniu, ale zgubiłam go w tym tłumie.

– Nie pracuje dzisiaj? Był na zebraniu w swoim uniformie.

– Idę o zakład, że w nim śpi – odparła. – Zawsze gotowy do ochrony społeczeństwa przed niezdyscyplinowanymi fanami koszykówki. Mieszka w Lindale, ale nie ma go tam. W końcu udało mi się porozmawiać z jego prawie już byłą żoną. Powiedziała mi, że opiekuje się czymś domem. Ona nie wie czyim i ma to w dupie.

– Czy sugerowała, że jest zamieszany w coś śmierdzącego? – zapytał Kovac.

– Och, to ci się spodoba – powiedziała Liska, a jej oczy pojaśniały. – Zapytałam ją o ten wyrok za drobne wykroczenie sprzed osiemnastu miesięcy. Quinn miał rację. Nasz Gil był napalony na jakąś facetkę, z którą pracuje jego żona. Został przyłapany, jak próbował ją podglądać, kiedy była w samych majtkach.

– I mimo to jest zatrudniony w ochronie? – zdziwił się Kovac.

– Wyciszył sprawę, wytargował redukcję zarzutów i nikt na to nie zwrócił uwagi. Poza tym cały czas twierdził, że to było jedno wielkie nieporozumienie.

– Tak – mruknął Tippen. – To wielkie nieporozumienie, wysoki sędzie. Właśnie przejeżdżałem tędy we własnych sprawach, kiedy nagle ogarnęła mnie niemożliwa do opanowania potrzeba trzepania kapucyna.

– Ten facet mi się podoba, Sam – dodała Liska. – Jego żona nie czuje do niego nic poza pogardą. Dawała mi do zrozumienia, że ich życie erotyczne nie istniało, kiedy jeszcze byli razem. Jeśli to prawda, to on może nawet jeszcze lepiej pasować do portretu psychologicznego Quinna. Wielu takich typów nie potrafi ułożyć sobie stosunków seksualnych ze swoimi partnerkami.

– Czy przemawia przez ciebie doświadczenie? – przyciął jej Tippen.

– No cóż, nie spałam z tobą, więc chyba nie.

– Odpieprz się, Dzwoneczku.

– Wyślę samochód pod jego mieszkanie – oznajmił Kovac. – Chcę go widzieć jak najszybciej na policji. Spróbujcie odszukać ten dom, którym się opiekuje. Ktoś musi wiedzieć, gdzie on jest. Zadzwońcie do jego szefa i jeszcze raz do żony. Dzisiaj. Poszukajcie nazwisk jego znajomych i też do nich zadzwońcie.

– Pomogę w tym – zaofiarowała się Moss.

– Wkurzcie wszystkich, którzy go znają – dodał Kovac. – Dotrze to do niego i go ruszy. Wiecie już, czym jeździ?

– Brązowym GMC Jimmy.

Kovac poczuł tępy ból w żołądku, jakby zainkasował cios pięścią.

– Jeden barman z Lake Street widział naszego świadka, jak wsiadała w niedzielę w

nocy do ciemnego samochodu. Jakiejś furgonetki czy sportowego wozu terenowego. Kierowca to był ten fagas, którego obsłużyła w parku, zanim się natknęła na ofiarę numer trzy.

– Podała nazwisko tego gościa? – zapytał Adler.

– Nie.

– Czy Vanlees mógł skądś wiedzieć, że dziewczyna jest tutaj? – zapytała Moss.

Liska pokręciła głową.

– Raczej nie, chyba że jakoś udało mu się tu dotrzeć z miasta jej tropem. Ale to nie wydaje się prawdopodobne.

– A kto w ogóle wiedział, że dziewczyna tu jest? – zapytał Adler.

– My, Sabin, ludzie z programu opieki, grube ryby, no i – Kovac wskazał kciukiem w kierunku Toni Urskine – ona i jej mąż. Burmistrz, ludzie Bonduranta...

– ...i wróble na dachu – dokończył Elwood.

– Jedna z wcześniejszych ofiar mieszkała tutaj – przypomniała Moss.

– Jak ją znaleźliśmy, to przepytaliśmy wszystkich w tym domu, sprawdziliśmy rejestry, alibi, znajomych, i tak dalej, i tak dalej – powiedział Kovac. – Pamiętam, że ciało zostało znalezione w piątek. Nie mieszkała w Phoenix już od sześciu miesięcy albo i dłużej. Przyjechałem tu w niedzielę, żeby zobaczyć, czy nadal utrzymywała z kimś stąd bliskie kontakty. Urskine'owie wyjechali do jakiejś chaty na północy, więc nie mogłem z nimi rozmawiać, no nie? A w poniedziałek z samego rana Toni Urskine dzwoni do porucznika i mówi, żeby skopał mi dupę, bo jeszcze do niej nie zadzwoniłem.

– Teraz musimy robić to wszystko jeszcze raz z nową porcją panienek – jęknął Tippen.

– Tak jakbyśmy mieli mało pieprzenia się z papierkami.

– Właśnie za to płacą ci głodową pensję i traktują jak zero – rzekł Kovac.

– A ja myślałem, że to coś bardziej osobistego.

– No dobrze. Kto się zajmie Lake Street? – zapytał Kovac. – Postarajcie się znaleźć każdego, kto mógł widzieć, jak ta DiMarco wsiadała w niedzielę w nocy do samochodu. Jeżeli komuś uda się zdobyć numer rejestracyjny, dostanie ode mnie buzi.

– To żadna zachęta, Kojak – odparł Adler.

– Wyślij Tippena – zaproponowała Liska. – Może sobie znajdzie narzeczoną.

– Lepiej Lalusia – zasugerował Tippen. – Panienki będą mu płaciły.

– Pójdziecie obydwaj – zdecydował Kovac, wskazując na Yurka i Tippena. –

Tworzycie doskonałą parę.

– Lukrowane Ciasteczko i Złamany Kutas – mruknęła Liska.

Tippen pociągnął za koniec szalika okręconego wokół jej szyi.

– Kiedyś ciebie nim dosięgnę, Liska.

– Chyba nie, dopóki będę się trzymała dziesięć centymetrów od ciebie.

– Idźcie szlifować bruki – polecił Kovac. – Marnujemy czas, a sprawa zaczyna cuchnąć. To nie żaden dowcip. Musimy dopaść tego sukinsyna, zanim znowu kogoś podpali.

– Niezłe kocisko – zauważył Quinn, patrząc na Thora, który przyglądał mu się z blatu stołu w holu. – Ale chyba bym sobie z nim poradził.

Kot musiał ważyć chyba z dziesięć kilogramów, z jego uszu wyrastały fantazyjne kosmyki włosów, a wąsy miały pewnie ponad ćwierć metra długości. Opuścił głowę, chowając brodę w sierści, i zamruczał głosem przypominającym warczenie psa. Potem uniósł prawą nogę nad głowę jak jogin i polizał się po zadzie.

– Chyba wiem, gdzie mnie ma – rzekł Quinn, krzywiąc się.

– Nie odbieraj tego tak osobiście – odparła Kate. – Thor jest ponad to, co myśli o nim jakakolwiek ludzka istota.

Powiesiła swój płaszcz w stojącej w holu szafie i już miała sięgnąć po drugi wieszak, kiedy...

– Dziękuję ci – powiedziała, zamykając drzwi i opierając się o nie. – Nie byłam zbyt uprzejma, kiedy mi zaofiarowałeś pomoc, ale przecież prowadzenie śledztwa to nie twoje zadanie.

– Ani twoje.

– Zgoda, ale chciałam zrobić coś konkretnego. Wiesz, że nie mogę znieść siedzenia i czekania na to, co się stanie. A ty? Wcale nie musiałeś jechać z Kovacem do Phoenix House.

– To nie jest normalna sprawa.

– Z powodu Petera Bonduranta. Rozumiem – powiedziała, głaszcząc kota.

Thor posłał jej obrażone spojrzenie, zeskoczył ze stołu i odbiegł truchcikiem. Brzuch zwisał mu do podłogi.

– Pieniądze zmieniają wszelkie reguły – dodała Kate. – Nie ma ani jednego polityka w Twin Cities, który nie byłby gotów zrobić wszystkiego, żeby pocałować Petera Bonduranta w dupę, a potem powiedzieć mu, że ona pachnie różami. To dlatego, że on ma pieniądze, a oni chcą go tutaj zatrzymać. Właśnie z tego powodu jego adwokat jest obecny na spotkaniach z Sabinem i ma wejście do pani burmistrz i samego dyrektora FBI. Na pewno rodzice Lili White nie dotarli wyżej niż do sekretarki Brewstera. Jeśli oczywiście w ogóle przyszło im do głowy, żeby tego spróbować.

– Teraz mówisz jak Toni Urskine: prawo nie zapewnia obywatelom równego traktowania.

– Cóż, wiemy oboje, że tak naprawdę to racja. Za pieniądze można kupić sprawiedliwość, tak samo jak niesprawiedliwość, i tak właśnie się dzieje. Mimo to chyba nie potrafiłabym winić Bonduranta. Jaki rodzic nie chciałby zrobić wszystkiego, co w jego mocy, żeby odzyskać dziecko? – Kiedy zachorowała Em, byłam gotowa zawrzeć pakt z samym diabłem. Prawdę mówiąc, zdaje się, że próbowałam – wyznała, zmuszając się do krzywego uśmiešku. – Ale nic z tego nie wyszło. To zachwiało moją wiarę w złego ducha.

Jej ból był nadal wprost namacalny i Quinn pragnął wziąć ją w ramiona i poprosić, aby rozłożyła jego brzemię na nich oboje, tak jak to było dawniej.

– Pieniądze Bonduranta też nie zapobiegły śmierci jego córki – powiedział. – O ile, oczywiście to jest ciało Jillian, ale on uważa, że tak.

– Skąd to przekonanie? – zapytała Kate, poruszona słowami Quinna. – Ona sama tak bardzo nie chciała zaakceptować wieści o śmierci Emily, że nawet wtedy, gdy pielęgniarka zabrała ją do sali, żeby zobaczyła ciało córki, by dotknęła zimnej małej rączki i przekonała się, że nie ma pulsu ani oddechu, nadal upierała się, że to nieprawda. – Dziwny człowiek z niego – dodała. – Byłam zaskoczona, widząc go dzisiaj na zebraniu. Tak bardzo starał się pozostać nie zauważony.

– Widziałaś Bonduranta na zebraniu? – zdziwił się Quinn – Jesteś pewna?

– Według mnie, to był on – odparła. – Zobaczyłam go, gdy wychodziłam. Pomyślałam, że to dziwne, bo nie był ze swoimi ludźmi i wyraźnie chciał uniknąć zwrócenia na siebie uwagi. Wyglądał jak przeciętny obywatel, w kurtce i pogniecionym kapeluszu. To mu pozwoliło wymknąć się z sali wśród reszty ludzi, anonimowo.

– Nie potrafię go rozgryźć – powiedział Quinn, pochmurniejac. – Mógłbym uznać, że nie zdradza chęci do współpracy, ale, przecież to on mnie tu ściągnął. Z drugiej strony, odwraca się do nas plecami i odmawia odpowiedzi na pytania. Jest jedną wielką sprzecznością. Jezu, nie mogę uwierzyć, że go tam nie zauważyłem.

– Nie szukałeś go – odparła Kate rozsądnym tonem. – Szukałeś mordercy.

A jeżeli jego też przeoczyłem? – pomyślał Quinn, masując sobie coraz bardziej bolący żołądek.

Co jeszcze przegapił? Jakiś subtelny znak, wyraz twarzy, zmrużenie oczu, ślad uśmiechu. A gdyby to dojrzał, czy teraz Angie DiMarco spałaby w łóżku w Phoenix House? Logika podpowiadała mu, że nie. Ujęcie przestępcy takiego jak ten wymagało czegoś więcej niż logiki. Wymagało instynktu, a teraz zaczynało mu się wydawać, że przez ostatnie dni

szukał wokół siebie po omacku.

– Nie mogę pozbyć się wrażenia, że jego córka jest kluczem do całej sprawy – powiedział. – Oczywiście, o ile to ona jest trzecią ofiarą. W jej przypadku Joe Podpalacz odstąpił od schematu. Dlaczego? W dwóch pierwszych przypadkach spalił ciała, ale bynajmniej nie próbował doprowadzić do tego, żeby były nierozpoznawalne. Trzeciej ofierze masakruje opuszki palców i podeszwy stóp. Odcina jej głowę i zabiera ją. Robi, co tylko się da, żeby nie można było zidentyfikować zwłok.

– Ale zostawia prawo jazdy.

– Po co zrobił jedno i drugie?

– Może to pierwsze było częścią tortury. Częścią odpersonalizowania ofiary. Uczynił z niej nikogo. Nie obchodzi go, czy wiemy, kim jest ofiara, skoro ona już nie żyje, więc zostawia prawo jazdy, tak jakby chciał powiedzieć: „Hej! Patrzcie, kogo zabiłem”. A może pragnął, żeby w ostatnich dniach życia czuła się jak osoba pozbawiona tożsamości. Żeby umarła, myśląc, iż nikt nie będzie w stanie jej zidentyfikować po śmierci, zająć się jej pochówkiem czy nosić po niej żałobę.

– Niewykluczone – zgodził się Quinn. – Chociaż może powodem tej skrajnej depersonalizacji i odejścia od schematu był fakt, że morderca znał Jillian. Jeżeli na przykład zajęlibyśmy się tym ochroniarzem, który mieszkał na jej osiedlu, to moglibyśmy zakładać, że zabił obydwie prostytutki dla wprawy, przenosząc na nie swoje emocje związane z Jillian. Nie zaspokoiło to jednak jego żądzy, więc zabił ją. Poniosło go. Zostawił sobie jej głowę, bo chciał ją posiadać.

– A może zabrał głowę, bo to nie była Jillian Bondurant, a on chce, byśmy myśleli, że tak jest. Ale to na pewno jej prawo jazdy, więc skoro nie była ofiarą, skąd Joe Podpalacz je wziął? Wiemy, że to nie jest porwanie dla pieniędzy. Minęło wiele dni bez żadnego telefonu czy żądania okupu. Przynajmniej nic nam o czymś takim nie wiadomo. Bondurant nie zgodził się na założenie podsłuchu na jego linii. To kolejne dziwne zachowanie z jego strony.

– A jeżeli Jillian żyje, to gdzie przebywa i w jaki sposób jest powiązana ze sprawą?

– Nie wiem. I jak się zdaje, nie ma nikogo, kto znał dziewczynę i chciałby czy mógł nam o tym powiedzieć. Według mnie, ta sprawa brzydko pachnie, Kate.

– Nie przydałaby ci się wizyta u lekarza? – zapytała, patrząc znacząco na jego dłoń, którą masował sobie żołądek. – Robisz to bez przerwy.

Quinn odjął rękę od brzucha.

– To nic takiego.

Kate pokiwała głową.

– Pewnie masz taką dziurę w żołądku, że można by w nią wjechać buickiem. Ale za żadne skarby się do tego nie przyznasz. Pomyśl, jak coś takiego wpłynęłoby na legendę Quinna. Ściągnęłoby cię to do poziomu Supermana, który jest wrażliwy na krypton. Co za wstyd.

Chciała go zapytać, czy rozmawiał z kimś z sekcji opieki psychologicznej, ale wiedziała, że to na nic. Co drugi agent w sekcji śledczej mógłby stanąć w kolejce do gabinetu psychiatry i nikt nie mrugnąłby nawet z tego powodu okiem. Zaburzenia wywołane przez stres należały u nich do normy. Wszyscy to rozumieli. Agenci widzieli za dużo, za głęboko brnęli w umysły ofiar i morderców. Jedna sprawa goniła drugą. Stykali się codziennie z tym, co świat ma najgorszego, i podejmowali decyzje rozstrzygające o życiu i śmierci na podstawie bardzo nieprecyzyjnej wiedzy, czyli swojej własnej znajomości ludzkich zachowań. Jednakże John Quinn nigdy nie przyznałby się, że coś takiego może mieć na niego wpływ. Wrażliwość nie była pożądanym elementem jego wizerunku.

– Wiesz, John, kule nie odbijają się od ciebie – powiedziała cicho.

Uśmiechnął się, jakby go rozbawiła w sympatyczny, dowcipny sposób, ale nie spojrzał jej w oczy.

– To nic takiego – powtórzył.

– Świetnie – odparła.

Jeżeli on nie dbał o siebie, to był to jego własny problem albo problem jakiejś nieznannej jej kobiety w Wirginii.

– Należę sobie drinka. Chcesz coś, zanim wyjdiesz? Maalox? Mylantę? A może tumsy? Possałbyś sobie w taksówce?

Poszła do kuchni, wściekła na siebie za to, że dała mu pretekst do pozostania, ale zaraz wytłumaczyła sobie, że w ten sposób mu się odwdzięcza. Zasłużył sobie dzisiaj na to. Poza tym miała wrażenie, że jemu też przydałby się drink.

Oczywiście wiedziała, że John nie pozwoli sobie na to. Za wiele wiedział o alkoholizmie, który panował w jego rodzinie i w jego środowisku zawodowym. Chociaż niekiedy bardzo potrzebował utopienia w alkoholu frustracji i napięć wywoływanych przez pracę, widział w tym jednak zbyt wielkie ryzyko.

– Wspaniały dom – powiedział, wchodząc za nią do kuchni.

– Odkupiłam go od rodziców, kiedy im odbiło i przeprowadzili się do Las Vegas.

– Więc naprawdę wróciłaś do domu.

Wróciła z ruin, które pozostały po jej życiu w Wirginii, do domu, z którym wiązały się miłe wspomnienia i poczucie bezpieczeństwa. Ten dom miał jej zrekompensować osobiste

straty, jakie poniosła, ale Quinn wątpił, czy kiedykolwiek opowiedziała najbliższemu całą tę historię. Kiedy wszystko się załamało w Quantico, czuła się tym zbyt przejęta i zawstydzona. Do tej pory stanowiło to dla niego najboleśniejse wspomnienie. Ich dawny związek był najgłębszy i najsilniejszy ze wszystkich, w jakich pozostawał, ale nie na tyle silny czy głęboki, by on mógł znieść jego ujawnienie, powszechną dezaprobatę i skłonność Kate do obarczania się winą.

Obserwował ją teraz, kiedy krzątała się po kuchni, wyjmując z szafki kubek i opakowanie ziołowej herbaty. Długie włosy spływały jej po plecach rudozłotą falą. Chciał je pogłaskać, położyć rękę na plecach Kate. Zawsze dostrzegał jej kobiecość, wrażliwość. Wątpił w to, czy wielu ludzi, patrząc na nią, myśli, że ona może potrzebować opieki. Ludzie dostrzegali jej siłę i twardość. Za tym pancerzem jednak kryła się kobieta, która nie zawsze była tak pewna siebie i nieustraszona.

– Jak ci idzie, Kate?

– Hm? Co? – Odwróciła się od kuchenki mikrofalowej ze zmarszczonymi brwiami. – Jestem zmęczona. Zdenerwowana. Straciłam świadka...

Quinn podszedł do niej i położył palec na jej ustach.

– Nie chodzi mi o tę sprawę. Minęło pięć lat. Jak tak naprawdę dajesz sobie radę?

Kate czuła gwałtowne bicie serca w piersiach. Nie była w stanie zdobyć się na odpowiedź. Pięć lat. Pierwszy rok był tak bolesny, że nie mogła w ogóle normalnie funkcjonować. W drugim roku żyła, jakby na nowo uczyła się mówić i chodzić po wylewie. Potem przyszedł trzeci, czwarty i kolejny. W tym czasie podjęła pracę, zorganizowała sobie dom, odbyła kilka podróży i zakorzeniła w bezpiecznej, przyjemnej niszy. Odpowiedź jednak, która jej się nasuwała, była inna.

Jak sobie daję radę? Czuję się pusta. Samotna. Odizolowana, pomyślała.

– Nie uprawiajmy żadnych gier – powiedziała spokojnie. – Gdybyś naprawdę chciał wiedzieć, nie potrzebowałbyś pięciu lat, żeby mnie o to zapytać.

Usłyszała w swych słowach nutkę żalu i od razu zapragnęła je odwołać. Po co wracać do tego wszystkiego teraz, kiedy mają przed sobą nie więcej niż kilka dni? Lepiej udawać, że nie było pożaru, niż grzebać się w popiołach i wzniecać pył wspomnień. Usłyszała sygnał mikrofalówki, więc odwróciła się od Johna i zajęła przygotowywaniem herbaty.

– Powiedziałas mi, że chcesz odejść – przypomniał. – Chciałaś się wydostać. Chciałaś zacząć od nowa. Z czystym kontem. Co miałem zrobić, Kate?

Poprosić mnie, żebym nie odchodziła. Wyjechać ze mną, odparła w myślach.

Miała gotowe odpowiedzi, równie proste jak dawniej i równie daremne. Zanim

opuściła Wirginię, ich gniew i ból spowodował, że było już za późno, by liczyć na to, że John poprosi ją o pozostanie. Wiedziała też, nawet go nie pytając, że nie oszczędłby z pracy po to, by zostać z nią. Praca i John Quinn to było jedno. Czuł się z nią w taki sposób, w jaki nigdy nie miał być związany z kobietą. Wiedziała o tym, a jednak bardzo bolała ją ta myśl.

– Co miałeś zrobić? Nic – odparła szeptem. – Zrobięś, co trzeba.

Quinn zbliżył się do niej, pragnąc jej dotknąć, jakby to w jakiś magiczny sposób mogło wymazać czas i problemy, które ich rozdzieliły. Chciał jej przypomnieć, że telefon działa w obie strony, ale wiedział, że ona nigdy nie wyrzekłaby się swej dumy czy też raczej poczucia zagrożenia, które maskowała dumą. Jakaś częśćka jego istoty czuła ulgę z tego powodu, że Kate nie zadzwoniła do niego, ponieważ wtedy musiałby podjąć najważniejszą życiową decyzję i w końcu odpowiedzieć sobie na pytanie, czy zostało w nim jeszcze coś, co mogłoby stać się podstawą do trwałego związku. Bał się tej odpowiedzi i dlatego od dawna uciekał od postawienia sobie takiego pytania.

A teraz oto stał tutaj, zaledwie o krok, o wyciągnięcie ręki od lepszej części swego życia, świadom tego, że nie powinien tego kroku zrobić. Jeżeli nie miał wystarczająco dużo do ofiarowania pięć lat temu, to na pewno nie miał więcej dziś.

Uniósł rękę, by pogłodzić jej włosy. Pamiętał ich dotyk i rzeczywistość potwierdziła to wspomnienie. Położył dłoń na ramieniu Kate, odnajdując kciukiem znajome mu, napięte miejsce.

– Żałujesz Kate? To znaczy nie tego, jak się to skończyło, ale tego, co było między nami?

Zacisnęła mocno powieki. Każdego dnia musiała zrzucać z siebie całe brzemie żalu po to, by jakoś funkcjonować w życiu. Nigdy jednak nie potrafiła obrócić tego żalu przeciwko niemu. Żałowała, że pragnęła tak wiele. Żałowała, że on nie miał jej więcej do ofiarowania. Ale nie potrafiła, wspominając dotknięcia, pocałunki czy noce w jego ramionach, żałować choćby przez sekundę, że ich zaznała. Dał jej miłość i zrozumienie, namiętność i współczucie, czułość i opiekę, kiedy potrzebowała ich tak bardzo, kiedy tak straszliwie cierpiała i czuła się taka osamotniona. Jakże mogła tego żałować?

– Nie – powiedziała, odwracając się ku niemu i odgradzając się od niego kubkiem parującej herbaty. – Proszę. Dobrze ci to zrobi na twoje dolegliwości.

Nie odrywając od jej twarzy ciemnych, gorących, pałających uczuciem oczu, wziął od niej kubek i odstawił go na bok.

– Ja także nie żałuję tego, co było między nami – wyznał. – Były momenty, kiedy myślałem, że powinienem, ale nie żałowałem i nadal nie żałuję.

Dotknął opuszkami palców policzka Kate i zanurzył dłoń w złocistych włosach. Potem pochylił się i dotknął ustami jej ust. W jednej chwili ogarnęła ją gwałtowna żądza. Gorzka i słodka zarazem. Jej wargi drgnęły pod jego wargami, pełne tęsknoty i przypomnienia. Tak doskonale pasowali do siebie. Tworzyli idealną równowagę napięcia i namiętności. Ich języki spotkały się, drażąc, badając, smakując, dotykając i pogłębiając pocałunek i wywołane przez niego emocje. Serce Kate biło równie mocno, jak serce Quinna. Od razu poczuła to dziwne uczucie w piersiach, tęsknotę do dotyku jego dłoni, ust, potrzebę zespolenia silniejszego i głębszego niż fizyczny akt. Objął ją ramionami. Czowała jego pożądanie, gdy przytulił ją mocno do siebie.

Resztki rozsądku podpowiadały jej, że on tu zostanie jeszcze tylko kilka dni. Przyjechał z powodu konkretnej sprawy, a nie dlatego, że jej potrzebował czy tęsknił do niej, albo że chciał wyjaśnić historię z przeszłości. Wszystko było jedynie sprawą przypadku.

– Nie – powiedziała cicho, podnosząc głowę. – Nie żałuję tego. Ale to nie znaczy, że muszę znowu przez to przechodzić, John. Nie jestem tu po to, by zaspokoić twoje zachcianki.

– Myślisz, że tego oczekuję? – zapytał urażonym tonem. – Myślisz, że chcę, żebyś poszła ze mną do łóżka, bo jesteś pod ręką i wiesz, co ja lubię? Sądziłem, że znasz mnie lepiej, Kate.

Jego głos nabrał szorstkiego brzmienia, drażniąc jej serce niby zrogowaciała dłoń.

– Boże, jesteś jedyną osobą, która kiedykolwiek w ogóle mnie znała.

– No cóż, wydaje mi się, że tak było – mruknęła. – Chociaż pod koniec wyglądało na to, że wcale się nie znaliśmy.

Quinn westchnął i cofnął się o krok.

– Powiedzmy sobie, że jesteśmy po prostu starymi przyjaciółmi, i dajmy temu spokój, dobrze? – powiedziała, przemagając dławienie w gardle. – Nie przyjechałeś tutaj dla mnie, John. Zrobiłbyś to o wiele wcześniej, gdyby właśnie na tym ci zależało. Pójdę zadzwonić po taksówkę.

Dom był ciemny. Dookoła też panowały ciemności. Ludzie mieszkający nad jeziorem Isles przestrzegali zdrowego trybu życia. W dzielnicy Kovaca o tej porze zawsze gdzieś się paliło światło. Ludzie wracali późno do domu albo wychodzili wcześniej do pracy, albo też oglądali programy reklamowe w telewizji.

Kovac zaparkował samochód na obrzeżach posiadłości Bonduranta i brnąc w śniegu, obszedł ją dookoła. Śnieg był świeży, lepki i ciężki. Przywierał mu do nogawek spodni i wciskał się do butów, ale on nie zwracał na to uwagi. Cała jego uwaga skupiona była na domu, który w ciemnościach wydawał się jeszcze większy niż w świetle dnia. Na tylnej bramie posiadłości paliły się lampki systemu alarmowego. W oknach domu nie widać było żadnych świateł. Jeżeli Peter Bondurant oglądał telewizję, aby dowiedzieć się, jak sobie wyrobić twarde mięśnie, to musiał być w jakimś pozbawionym okien pomieszczeniu w sercu swojego domu.

Niezła chata, pomyślał Kovac. Przypomina budowlę ze średniowiecznej Anglii, z izbą tortur w piwnicy.

Według niego, wszystko wskazywało na to, że tak jest w rzeczywistości.

Co za cholerny pech. Dlaczego to akurat on musi być tym, który oznajmi światu, że miliarder Peter Waźniak Bondurant jest wariatem, który morduje ludzi. Pewnie pani burmistrz każe poderżnąć mu za to gardło i zalać jego ciało betonem w fundamentach nowego więzienia. Owszem, tutejsze wysoko postawione osobistości chciały, żeby morderca został schwytany, ale pragnęły zarazem, by okazał się nim jakiś recydywista z Wisconsin. Śliniący się facet o wytrzeszczonych oczach.

Dotarł do samochodu, tupiąc nogami, żeby strząsnąć śnieg ze spodni i butów, a potem usiadł za kierownicą i zapalił silnik, nastawiając na pełny regulator anemiczne ogrzewanie pojazdu. Nogi przemarzły mu na wskroś i teraz zimno przesuwano się w górę jego ciała niby rtęć w termometrze.

Wyłuskał telefon komórkowy ze sterty rupieci na siedzeniu i wybrał domowy numer Bonduranta. Quinn dzwonił do niego wcześniej z informacją, że Kate zauważyła, jak Bondurant krył się na zebraniu wśród publiczności z tyłu sali. Ten facet był podejrzany. Nie

powiedział im o tym, co się działo z Jillian tej nocy, gdy zniknęła, i Bóg wie o czym jeszcze.

Wściekało Kovaca to, że Bondurant ma specjalne prawa, dysponuje dostępem do informacji i nie musi fatygować się na policję, żeby złożyć zeznania. To było niesprawiedliwe. Powinni móc trochę nim potrząsnąć, tak jak każdym innym człowiekiem.

Po piątym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka Bonduranta i nagrany głos podał instrukcje. Kovac zostawił swoje nazwisko i numer łącznie z prośbą o telefon.

Wrzucił wsteczny bieg, podjechał do panelu bramofonu i nacisnął guzik. Nikt nie odpowiadał. Przesiedział tak jeszcze pięć minut, co chwila naduszając na przycisk. Wiedział dobrze, jak się dać komuś we znaki, by zwrócić na siebie uwagę. Nikt nie odpowiadał.

Po pewnym czasie pojawił się patrolowy samochód prywatnej firmy ochroniarskiej i siedzący w nim osiłek w eleganckim uniformie poprosił Kovaca o dowód tożsamości. Po chwili Kovac znowu był sam. Patrzył na dom Petera Bonduranta, rozmyślając nad tym, jakie sekrety kryje w swoim wnętrzu.

Niektórzy ludzie nie odbierają telefonu, kiedy dzwoni po północy. Ale nie rodzice zaginionych dzieci. Może Peter Bondurant nigdy nie reagował na dzwonek bramofonu i może nawet w tej chwili był w łóżku, gdzie krył się pod kołdrą, oczekując, że za chwilę tłum zdesperowanych żebraków wtargnie do jego domu i go obrabuje. Ale to nie on wezwał samochód z firmy ochroniarskiej. Osiłek, który jego, Kovaca, legitymował, powiedział, że są na rutynowym patrolu.

Wpatrywał się w dom, a siedemnaście lat doświadczenia zawodowego podpowiadało mu, że nie ma w nim nikogo. Peter Bondurant nie był obecny w domu, kiedy akurat zaginęła dziewczyna, ich jedyny świadek. Peter Bondurant, który domagał się odpowiedzi, ale odmawiał ich udzielenia. Peter Bondurant, ten sam, który pokłócił się ze swoją córką w noc jej zaginięcia, a potem kłamał w tej sprawie. Peter Bondurant, który był w stanie zgnieść karierę policjanta jak pustą puszkę po piwie.

Pewnie jestem głupi, że tu siedzę, uznał wreszcie Kovac w myślach.

Przecież wszyscy obstawiali Vanleesa. Wyglądało na to, że pasuje do portretu mordercy Quinna. Vanlees miał na koncie konflikty z prawem. Znał Jillian, mógł się dostać do jej domu. Nawet prowadził odpowiedni rodzaj pojazdu.

Jednak mimo to coś było nie tak z Peterem Bondurantem. Kovac czuł to jak mrowienie tuż pod skórą i postanowił, że nawet gdyby się waliło i paliło, on dowie się, o co w tym wszystkim chodzi.

Z westchnieniem poprawił się na siedzeniu i zastygł w kolejnej niewygodnej pozycji, zapalając papierosa. – Co tam, na cholerę mu potrzebna emerytura.

Trupy unosiły się nad nim jak kłody. Nagie, rozkładające się zwłoki. Poszarpane, porąbane i podziurawione kulami. Gnijąca tkanka odrywała się od ran. Karma dla ryb. Węgorze wpływały do wnętrza ciał i wypływały z nich przez ziejące dziury.

Quinn patrzył na zwłoki od dołu, w niebieskim, przyćmionym wodnistym świetle usiłując dopasować do nazwisk. Brakowało mu tlenu. Paliło go w płucach. Jednak nie mógł się wydobyć na powietrze dopóty, dopóki nie rozpozna wszystkich ciał i nie nazwie każdego zabójcy.

Ciała poruszały się i zmieniały położenie. Rozkładające się kończyny odpadały od torsów i dryfowały ku niemu. Od dołu obfite zielone wodorosty chwyciły go za stopy niby macki ośmiornicy.

Musiał intensywnie myśleć. Nazwiska. Fakty. Fakty. Nie mógł jednak przypomnieć sobie wszystkich nazwisk. Nie znał wszystkich zabójców. Oderwane fakty przelatywały mu przez głowę. Miał wrażenie, że ciała się rozmnażają, dryfując, podnosząc się i opadając. Kończyło mu się powietrze.

Nie mógł oddychać. Nie mógł myśleć.

Wyciągnął ramiona, usiłując chwycić coś, co pozwoliłoby mu się podciągnąć. Ale ręce, na które trafiał, były zimne i martwe i popychały go jeszcze głębiej. Tonał, wciągany przez trupy i ciężar własnej odpowiedzialności. Musiał intensywnie myśleć. Potrafiłby rozwiązać te układanki, gdyby tylko ich elementy przestały się poruszać, gdyby jego własne, galopujące myśli zwolniły tempo, gdyby mógł oddychać.

Ciała znowu poruszyły się nad nim i zobaczył, że z góry, przez masy wody, patrzy na niego twarz Kate. Zniknęła, kiedy zwłoki przemieściły się znowu.

Kiedy już czuł, że płuca zaczynają mu krwawić, szarpnął się jeszcze raz i wyrwał nad powierzchnię wody, a zarazem powierzchnię snu, chwytając rozpaczliwie oddech i zrywając się z łóżka. Pot oblewał mu ciało, kapał spływając po twarzy i wzdłuż kręgosłupa.

Czując słabość w nogach, odszedł chwiejnie od łóżka i dygocąc z zimna, osunął się na krzesło przy biurku. Nagi, drżący, spocony, chory i z gorzkim smakiem żółci i krwi w ustach.

Zgiął się wpół nad koszem na śmieci, koncentrując się na palącym bólu w brzuchu, ale nie tylko. Jak zwykle, w jego wnętrzu rozbrzmiewał ten głos, który mu zawsze mówił, że jest nie spełniony życiowo, i zawsze go kopał, kiedy był w dołku. Teraz głos powtarzał, że nie ma czasu na te bzdury. On, Quinn, ma sprawę do rozwiązania, ludzi, którzy na niego liczą, a jeśli straci zdolność koncentracji i spieprzy sprawę, to ktoś może zginąć. Gdyby zaś ktokolwiek się dowiedział, w jakim stanie jest jego umysł i system nerwowy, zostałby niezwłocznie wylany z

pracy. A jeśli by nie miał pracy, to nie miałby nic, ponieważ praca była wszystkim, co robił; wszystkim, co miał; nawet wszystkim, kim był.

Ten sen nie był niczym nowym, niczym, z czego nie potrafiłby się otrząsnąć bez zbędnej utraty energii. Poznał już wiele wariantów tego snu. Wszystkie były wręcz śmiesznie proste do zinterpretowania, a on zawsze czuł żenujące zakłopotanie, że je śni. Nie mógł sobie pozwolić na takie marnowanie czasu.

Potrafił dokładnie sobie wyobrazić, co miałyby o tym do powiedzenia Kate. Puściłaby w ruch swój ostry język i wygłosiła kolejny wykład o Supermenie, a potem zrobiłaby mu ziołową herbatę. Próbowalaby zamaskować troskliwość i macierzyńskie instynkty cwaniackim sarkazmem, który wydawał się o wiele bezpieczniejszy, bardziej znajomy i zgodny ze sposobem, w jaki postrzegali ją inni. Udawałaby, że on nie zna jej wystarczająco dobrze.

A potem wezwałaby taksówkę i wyrzuciła go z domu.

„Powiedzmy sobie, że jesteśmy po prostu starymi przyjaciółmi, i dajmy temu spokój, dobrze? Nie przyjechałeś tutaj dla mnie, John. Zrobiłbyś to o wiele wcześniej, gdyby właśnie na tym ci zależało”.

Tak właśnie myślała: nie przyjechał wcześniej, bo jej nie chciał. A może raczej tak pragnęła myśleć. To ona była tą osobą, która odeszła. Podtrzymywanie w sobie przekonania, że nie miała powodu, aby zostać, usprawiedliwiało jej postępowanie.

Nadal czując się słabo, podszedł do okna, z którego roztaczał się widok na fragment centrum Minneapolis i pustą ulicę, coraz bielszą od śniegu.

Więc na czym mu zależało? Sam już nie był pewien. Nie pozwalał sobie na to, by odczuwać jakieś potrzeby nie dotyczące pracy. Trop, ślad dowodu rzeczowego, nowe spojrzenie, które może pomóc otworzyć umysł zabójcy. Zależało mu na tych rzeczach. Ale jaki ma sens chcieć czegoś, czego nie można mieć?

Problem polegał na tym, czy potrafi jeszcze mieć nadzieję.

„Jedyna rzecz, która potrafi uratować człowieka od rozczarowania, to poczucie beznadziei. Ale jeśli nie ma się nadziei, to nie ma sensu żyć”.

Jego własne słowa. Jego własny głos. Jego własna mądrość, która skradała się cichaczem za jego plecami, żeby teraz ugryźć go w tyłek.

Nie zadawał sobie pytania o sens swojego życia. Żył po to, żeby pracować, i pracował po to, żeby żyć. Było to tak proste i tak żałosne! Perpetuum mobile, model Quinn. Kłopot polegał na tym, że on czuł, iż niektóre trybiki zaczynają źle pracować. Co by się stało, gdyby jeden z nich się urwał?

Zamknął oczy i znowu ujrzał zwłoki. Ogarnął go strach. Przeniknął przez jego ciało niby zimny, trujący deszcz. Już słyszał głos szefa swojej sekcji, domagającego się odpowiedzi, wyjaśnień, efektów.

„Dyrektor opieprzał mnie przez pół godziny. Bondurant to nie jest człowiek, którego można drażnić. Co, do diabła, jest z tobą nie tak?”

Gorące łzy wypełniły mu oczy, a gdzieś w głębi piersi rozległa się odpowiedź: „Utraciłem to”.

Utracił swój pazur, panowanie nad nerwami, swój instynkt. Czuł, że to wszystko zostało porozrywane na strzępy i rozrzucone po całym kraju. Nie miał czasu, by ruszyć na poszukiwanie tych kawałków. Mógł tylko udawać, że jest cały, i mieć nadzieję, że jedynie niewielu ludzi coś dostrzeże.

„Dochodzisz do jakichś wniosków w tej sprawie? Ustalono już podejrzanego? Wiesz, czego szukać, prawda? To chyba dość oczywiste”.

Jasne, że wiedział. Pod warunkiem, że założyłby, iż szukają morderców dwóch prostytutek, i zignorował fakt, że córka Petera Bonduranta może być lub też nie być trzecią ofiarą. Pod warunkiem, że udawałby, iż zachowanie Bonduranta jest normalne, i nie miał stu pozostających bez odpowiedzi pytań, dotyczących tajemniczej osoby nazwiskiem Jillian Bondurant. Gdyby chodziło po prostu o zamordowanie prostytutek, mógłby sporządzić portret psychologiczny na podstawie podręcznika, nie ruszając się nawet z Quantico.

Ale gdyby chodziło po prostu o zamordowanie dwóch prostytutek, nikt by go tu nie wzywał.

Postanowił się już nie kłąć, więc umył zęby, wziął prysznic, a potem włożył dresowe spodnie i podkoszulek z Akademii FBI. Usiadł przy biurku nad materiałami dotyczącymi sprawy, pociągając prosto z butelki lekarstwo przeciwko nadkwasocie. Zaczął przeglądać raporty.

Wśród papierów leżała koperta z fotografiami, które Mary Moss dostała od rodziców Lili White. Zdjęcia żywej, zadowolonej Lili, śmiejącej się do swojej córeczki na jej urodzinach. Z powodu prowadzonego trybu życia, jaki prowadziła, postarzała się nad wiek, ale mimo to potrafił dostrzec w niej ładną dziewczynę, którą była, zanim osaczyły ją narkotyki i nie spełnione marzenia. Jej córeczka była uroczym dzieckiem o blond włosach i różowej twarzą. Na jednym ze zdjęć matka i córka, w kostiumach kąpielowych, pozowały w plastikowym baseniku. Lila klęczała, a córeczka przytulała się do niej. Obydwie miały ten sam asymetryczny uśmiech.

Wiedział, że widok tych zdjęć musiał być bolesny dla rodziców zamordowanej. Na

pewno w twarzyczce dziecka widzieli swoją córkę, taką, jaką była, kiedy świat wydawał się jej prosty, słoneczny i pełen wspaniałych możliwości. W twarzy Lili z kolei dostrzegli ślady twardych lekcji, których udzieliło jej życie. Uczucie rozczarowania i przegranej. Ale też nadziei na coś lepszego. Nadziei, która została unicestwiona przez brutalną śmierć wkrótce po tym, jak wykonano te zdjęcia.

Westchnął wsuwając fotografie w krąg światła lampy, żeby zapamiętać wygląd Lily White. Jej uczesanie, asymetryczny uśmiech, lekki garb na nosie i linię ramienia u zbiegu z szyją. Wiedział, że Lila dołączy do tych, którzy nawiedzają go w snach. Odkładał już zdjęcie, kiedy coś przyciągnęło jego uwagę. Przysunął je znowu bliżej. Po prawej stronie klatki piersiowej Lily White dostrzegł mały tatuaż, częściowo przesłonięty przez ramiączko kostiumu. Wyjął lupę i jeszcze bardziej zbliżył się do lampy, żeby mu się dokładnie przyjrzeć.

Kwiat. Chyba lilia.

Przerzucił jedną ręką dokumenty odnajdując zdjęcia z sekcji zwłok Lily White. Było ich mniej więcej trzy razy mniej niż zdjęć ofiary, którą, jak sądzono, była Jillian Bondurant. Mimo to znalazł to, czego szukał: fotografię przedstawiającą fragment klatki piersiowej denatki z brakującym kawałkiem ciała. Ani śladu tatuażu.

Kate siedziała z podwiniętymi nogami w rogu starej zielonej skórzanej sofy w gabinecie, a koło niej na stoliku stała kolejna szklaneczka dżinu. Straciła już ich rachubę. To nie było ważne. Liczyło się tylko to, że dżin łagodził ostrość bólu atakującego ją z różnych stron. Jedynie to było istotne.

Jak to się stało, że jej życie tak nagle wypadło z torów? Wszystko szło gładko, a tu nagle: bum! Obrót o dziewięćdziesiąt stopni w lewo i różne sprawy powypadały z przegródek, w których je umieściła. Tworzyły teraz bezładne wysypisko, sięgające jej po szyję. Nie mogła znieść świadomości, że nie panuje nad sytuacją. Nie mogła znieść myśli o tym, że przeszłość depta jej po piętach. Tak dobrze dawała sobie radę. Skupić się na przyszłości, skoncentrować na tym, co ma się wydarzyć w ciągu dnia czy w ciągu tygodnia. Starła się nie myśleć zbyt dużo o przeszłości. Starła się wcale nie myśleć o Quinnie. Nigdy nie pozwoliła sobie na wspomnienie dotyku jego ust na swoich wargach.

Uniosła rękę i dotknęła ich, myśląc o tym, że nadal czuje na nich jego zar. Wypiła kolejny łyk, myśląc o tym, że nadal czuje jego smak.

A powinna myśleć o ważniejszych sprawach. O tym, czy Angie żyje, czy nie. O tym, czy jest, czy nie ma nadziei na jej odszukanie. Zmusiła się do zatelefonowania do Roba Marshalla, aby go poinformować o sytuacji. Nie zazdrościła mu tego, że teraz jego

obowiązkiem będzie przekazanie tych informacji prokuratorowi. Zdawała sobie sprawę z tego, że Sabin spędzi resztę nocy, wymyślając wyrafinowane tortury, i że następnego dnia ona zostanie spalona na stosie.

Konfrontacją z Sabinem jednak przejmowała się najmniej. Nie mógł ukarać jej w dotkliwszy sposób, niż robiła to sama.

Za każdym razem, gdy zamykała oczy, widziała krew.

Powinnam wtedy z nią zostać. Gdybym była przy niej, nadal by żyła.

Za każdym razem, kiedy tak myślała, twarz Angie zamieniała się w twarz Emily, a wtedy odczuwała jeszcze głębszy, jeszcze bardziej dojmujący ból. Quinn zarzucał jej, że robi z siebie męczennicę, ale męczennicy cierpią bez grzechu, a ona przyjmowała na siebie całą winę. Za Emily. Za Angie.

Gdyby po prostu poszła z nią do tego domu... Gdyby tylko trochę mocniej ją przycisnęła, postarała się bardziej do niej zbliżyć... Tymczasem wycofała się, bo jakaś część jej samej wcale nie pragnęła zbliżenia, nie była nim zainteresowana. Właśnie dlatego Kate nie zajmowała się małoletnimi: wymagali tak wiele, a ona zanadto bała się bólu, jaki mogłaby odczuwać, ofiarowując im to.

A już myślałam, że tak dobrze mi idzie, zakpiła z siebie w duchu.

Wstała z kanapy, żeby sprawdzić, czy potrafi stać, nie chwiejąc się i podeszła do dębowego biurka, które należało kiedyś do jej ojca. Podniosła słuchawkę i wybrała numer poczty głosowej, a potem ze ściśniętym gardłem wystukała kod odsłuchiwania informacji. Przesłuchiwała je już trzy razy. Pomięła wiadomość od Davida Willisa i instruktorki z kursu kulinarnego, żeby dojść do tej, której szukała.

„Dziesiąta zero pięć wieczorem” – oznajmił mechaniczny głos. Sygnał, a po nim długa cisza.

„Dziesiąta zero osiem”. Kolejna długa cisza.

„Dziesiąta dziesięć”. Znowu cisza.

Zostawiła swój telefon komórkowy w samochodzie. Potem nie poszła po niego do garażu, bo za bardzo się bała. Wszyscy dzwoniący mogą przecież zostawić wiadomość, uznała wtedy, postanawiając, że przesłucha pocztę później.

Jeżeli te telefony były od Angie... Jednak nie było sposobu, by się tego dowiedzieć. Nie mogła nic robić, tylko rozmyślać i czekać.

Informacja dotarła pod numer telefonu alarmowego hrabstwa Hennepin o trzeciej czterdzięci dziewięć nad ranem. Pożar samochodu. Kovac słuchał z nawyku jednym uchem.

Przemarzył do szpiku kości, a stopy miał jak z lodu. Odkręcił nieco okno, żeby się nie zatruć spalinami, więc śnieg sypał się do środka. Może lepiej byłoby podpalić ten samochód? Gorąco mogłoby odmrozić mi krew, a ważne figury rządzące parkiem maszynowym – przydzielić jakiś lepszy wóz, na przykład hyundaia z napędem na pedały pod maską, pomyślał z ironią.

Nagły przyływ adrenaliny wygnał jednak z niego cały chłód, gdy tylko usłyszał adres. Do diabła! Rzeczywiście przywabili Joego Podpalacza tym zebraniem. Dodał gazu i ruszył ostro z miejsca ku ulicy odległej tylko o jedną przecznicę od pustego domu Petera Bonduranta.

Zabójca podpalił czwartą ofiarę... Na parkingu ośrodka dzielnicowego, w którym odbyło się spotkanie.

Kate wybiegła tylnymi drzwiami przytrzymując rękoma płaszcz. Zdażyła naciągnąć zimowe buty, ale ich grube podeszwy nie na wiele się zdały, gdy wybiegła na oblodzone stopnie schodów. Z krzykiem runęła na ziemię, lądując w grubej warstwie śniegu, który na szczęście zamortyzował upadek. Nie tracąc ani sekundy, poderwała się na nogi.

Kovac zadzwonił do niej po drodze do ośrodka, w którym odbyło się wieczorne spotkanie. Pożar samochodu na parkingu. Podobno ktoś był wewnątrz.

Angie, pomyślała.

Oczywiście nic jeszcze nie było wiadomo, ale strach, że to może być Angie, rozsadzał głowę Kate, gdy biegła do garażu, szukając w kieszeniach kluczyków.

Quinn powiedział jej, co o nim myśli: fatalna lokalizacja, źle oświetlony, stwarza zagrożenie. To wszystko była prawda, ale ona nie miała czasu o tym myśleć. Każdy, kto miałby teraz ochotę ją obrabować czy zgwałcić, musiałby po prostu poczekać.

Oby Bóg dał, żeby nikt jej nie zatrzymał po drodze, pomyślała, przyciskając kontakt. Chyba nie warto było w ogóle wsiadać do samochodu, ale nie mogła czekać, aż ktoś ją podwiezie. Zresztą o tej nocnej porze ulice i tak były puste. Od celu dzieliło ją nie więcej niż pięć minut jazdy.

W połowie drogi do toyoty uświadomiła sobie raptem, że światło garażu nie zapaliło się. Przystanęła na ułamek sekundy, a wszystkie jej zmysły zaczęły pracować na podwójnych obrotach. Serce waliło jak młotem. Nacisnęła przycisk na pilocie, zapalając wewnętrzne oświetlenie pojazdu. Nie zatrzymuj się, nakazała sobie w duchu. Jeżeli się nie zatrzymasz, to nie dasz nikomu szansy, by zatrzymał ciebie, pomyślała. Wiedziała, że to głupie, ale już dopadła samochodu. Szarpnęła gwałtownie drzwi i wskoczyła za kierownicę.

Potem szybko je zatrzasnęła, zapaliła silnik, przełączyła napęd na cztery koła i wrzuciła bieg. Samochód ruszył po śniegu, zarzucając na lewo. Tylko o ułamek cała minął bocznym lusterkiem futrynę drzwi i uderzył zderzakiem w płot sąsiada, ale zaraz potem potoczył się do przodu z rykiem silnika. Szarpnęła zbyt mocno kierownicą, wyjeżdżając na ulicę, i wpadła w poślizg, ledwo omijając przód zaparkowanego na ulicy czarnego Iexusa.

Po co ten głupi pośpiech? – napomniała się, usiłując naciskać ciągle na pedał gazu.

Ten ktoś w płonącym samochodzie i tak przecież nigdzie nie pojedzie.

Nie mogła się jednak wyzbyć poczucia, że się spóźnia. Jeśli istniała jakakolwiek szansa na to, by pozbyć się strachu i w ten sposób zrzucić z siebie chociaż część przyniatającego ją brzemienia winy, to pragnęła tę szansę wykorzystać.

Ulica przed budynkiem ośrodka była zapchana pojazdami służb ratowniczych. Czerwone, białe i niebieskie światła kręciły się, błyskając jak w wesołym miasteczku. Pomiędzy nimi tkwiły wszechobecne samochody redakcyjne, z których wysypywali się reporterzy, kamerzyści i sprzęt. Policja już rozpoczęła przepytывanie mieszkańców sąsiednich budynków, podrywając ich z łóżek. W górze unosił się helikopter policji stanowej, oświetlający reflektorem trawniki i okna. Światło reflektora na chwilę wydobyło z mroku dwa psy tropiące wraz z przewodnikami.

Jeżeli Joe Podpalacz przyjechał tym samochodem na parking, by go podpalić, to nasuwał się logiczny wniosek, że odszedł stąd pieszo. Istniało więc prawdopodobieństwo, że mieszka w tej okolicy. Mniej niż pięć minut drogi od domu Kate, choć ona sama nawet nie dopuszczała do siebie takiej myśli.

Wjechała toyotą za furgonetką stacji KMSP i zatrzymała się ukosem do chodnika. Pomimo późnej godziny niektórzy z mieszkańców wyszli z domów, by się poprzyglądać, i jeszcze bardziej zatłoczyli teren wokół miejsca pożaru. Jeden z nich mógł być zabójcą, który wrócił, by podładować swoje baterie, obserwując zamieszanie, jakie wywołał. Kate jednak nie była w stanie tego wykryć, a poza tym jej uwaga była skierowana na co innego. Poczęła przeciskać się przez gęstniejący tłum, objijając się o ludzi i rozpychając ich.

Nie mogła oderwać wzroku od drużyny ratowniczej, która pracowała wewnątrz kordonu umundurowanych policjantów, stojących w pewnej odległości od wypalonego samochodu. Ekipa ambulansu otoczyła ofiarę, przerzucając się między sobą terminami medycznymi.

Jeden z policjantów chwycił Kate za rękę, gdy próbowała go wyminąć, i przytrzymał ją.

- Przepraszam panią, wstęp tylko dla osób upoważnionych.
- Jestem z programu opieki nad ofiarami. Mam legitymację.
- Ten ktoś nie będzie pani potrzebował. Jest przypieczony jak grzanka.
- On?

Policjant wzruszył ramionami.

- Ona czy on. Kto to może wiedzieć?

Kate poczuła potworne ściskanie w żołądku. O Jezu, Angie.

– Gdzie jest Kovac?

– Jest zajęty, proszę pani. Gdyby zechciała pani odejść...

– Niech pan da spokój z tymi uprzejmościami – warknęła Kate. – Mam podstawy, żeby tu być.

– Mogę za nią poręczyć – odezwał się zza jej pleców Quinn, pokazując swoją legitymację. – Lepiej niech pan ją puści, zanim urwie panu rękę.

Policjant skrzywił się niechętnie, widząc legitymację FBI, ale zwolnił uścisk. Kate rzuciła się ku ekipie medycznej, ale zdążyła zrobić zaledwie kilka kroków, gdy Quinn chwycił ją z tyłu i przytrzymał w miejscu. Zaczęła się szarpać, chcąc się uwolnić, ale trzymał mocno.

– Puść mnie!

– Zobaczmy, co nam powie Kovac. Jeżeli to Joe Podpalacz, to gdzieś tutaj powinien być jakiś dowód tożsamości.

– Nie. Muszę zobaczyć!

– To nie będzie przyjemny widok, Kate.

– Wiem, widziałam już takie rzeczy. Boże, czego ja nie widziałam?

Wszystko. Całymi latami studiowała zdjęcia przedstawiające straszne sceny. Znała każde zło, które jedna ludzka istota może wyrządzić drugiej. Jednak nic nie da się porównać z brutalną, nagą rzeczywistością widzianego na żywo miejsca zbrodni. Zdjęcia nie są w stanie przekazać dźwięków, atmosfery napięcia i odoru śmierci.

Zapach spalonego ciała był okropny. Uderzył ją w twarz jak drewniana pałka, wywołując uczucie podobne do bólu. Żołądek Kate, i tak już buntujący się z powodu stresu i sporej dawki dżinu, wypchnął swą zawartość do góry, tak że prawie zwymiotowała. Nogi miała jak z waty. Sama nie mogła zrozumieć, dlaczego nie upadła, i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że Quinn znowu ją podtrzymuje, obejmując od tyłu ramionami. Oparła się o niego, obiecując sobie w myślach, że ukarze się później za ten moment słabości.

Żadna z setki mniej więcej ofiar, jakie do tej pory widziała, nie była osobą potencjalnie jej znaną. Ciało tej ofiary, okropnie spalone, na wpół stopione, leżało na boku z podkurczonymi kończynami tak, jak w pozycji siedzącej. Temperatura pożaru musiała być niesamowita. Włosy zniknęły, podobnie jak nos, a przypalone wargi wykrzywiły się, w makabrycznym grymasie, odsłaniając zęby. Cienka warstwa tkanki na klatce piersiowej całkiem spłonęła, odsłaniając białą kość. Policjant miał rację: nie można było określić płci ofiary, ale strzępy tkaniny, które przywarły do jej pleców, mogły być resztkami damskiego ubrania. Strzęp różowego swetra, fragment spódnicy.

Postawny sanitariusz z czarną od sadzy twarzą spojrzął na Kate i pokiwał głową.

– Klientka do zimnego doktora. Nie żyła od dawna, kiedy tu przyjechaliśmy.

Kate poczuła, jak kręci jej się w głowie. Usiłowała myśleć o tym, co zrobić, jak się dowiedzieć, czy to jest Angie. Kolejne pomysły pojawiały się w jej głowie i znikwały pośpiesznie.

Porównanie uzębienia nie wchodziło w grę. Nie wiedzieli, kim jest Angie DiMarco ani skąd pochodzi. Nie miała rodziców, którzy mogliby im przekazać kartę leczenia dentystycznego. Brak było jakiegokolwiek kartoteki lekarskiej, z której można by się dowiedzieć o dawnych złamaniach kości, a teraz spróbować znaleźć ich ślady, prześwietlając zwłoki. Nie było też żadnych osobistych rzeczy, które można byłoby przejrzeć.

Kolczyki. Angie nosiła kolczyki.

Jednak po uszach ofiary zostały tylko zwęglone strzępki.

Pierścionki. Miała ich co najmniej pół tuzina.

Dłonie ofiary były czarne i skurczone jak łapy małpy. Wyglądało na to, że brakuje części palców. Dreszcz, który nie miał nic wspólnego z zimnem, wstrząsnął Kate. Quinn odciągał ją krok po kroku od ciała.

– Nie wiem – wymamrotała, nadal wpatrując się w zwłoki.

Palce u nóg były wyprostowane jak palce baletnicy: wynik napięcia ścięgien.

– Nie wiem.

Drżała tak silnie, że Quinn wyczuwał to przez jej gruby, wełniany płaszcz. Odciągnął ją spomiędzy ludzi i odsunął jej włosy z twarzy, przechylając głowę Kate do tyłu, tak że musiała na niego spojrzeć. W świetle lamp sodowych jej twarz miała popielatą barwę. Kate spojrzała na niego szklстыми z szoku i przerażenia oczami. Niczego w tej chwili nie pragnął bardziej niż przyciągnąć ją do siebie i mocno przytulić.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – zapytał łagodnie. – Chcesz usiąść?

Pokręciła głową, przenosząc wzrok na ekipę medyczną, samochody straży pożarnej i jaskrawe światła ekipy telewizyjnej.

– Ja... nie... o Boże – wydobyła z siebie urywane słowa, ciężko dysząc. Znowu spojrzała mu w oczy i twarz zaczęła jej drżeć. – O Boże, John, a co będzie, jeśli to ona?

– Jeżeli to ona, to nie ty ją tam umieściłaś, Kate.

– Przeklęty dzieciak – mruknęła, usiłując powstrzymać łzy. – Dlatego nie zajmuję się małoletnimi. To tylko same kłopoty.

Patrzył, jak walczy ze sobą, wiedząc, że nie jest nawet w połowie tak twarda, za jaką chce uchodzić, wiedząc, że nie ma nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić i na kim się oprzeć.

Był świadom, że teraz nie zechce szukać u niego wsparcia. Rozumiał to wszystko, a jednak wyszeptał: „Chodź tutaj”, i przyciągnął ją mocniej.

Uległa bez żadnego oporu, ta silna, niezależna Kate. Oparła głowę na jego ramieniu, czując, że oboje pasują do siebie idealnie, jak dwie połówki tej samej całości. Było jej swojsko i wygodnie. Panujące wokół hałas i zamieszanie zdawały się odsuwać w odległe tło. Przeciągnął dłonią po jej włosach i pocałował ją w skroń. Po raz pierwszy od pięciu lat poczuł się spełniony.

– Jestem tu z tobą – wyszeptał. – Mam ciebie.

– Czy to ona? – rzucił Rob Marshall, podbiegając do nich na swych krótkich nogach.

Był w grubej puchowej kurtce, która niemal zakrywała go z uszami, a na głowę wciągnął głęboko włóczkową czapkę.

Kate zeszytniała na dźwięk jego głosu. Wyprostowała się i odsunęła o krok od Quinna. Już ściągała wodze swoim emocjom i pośpiesznie chowała się do twardej skorupy.

– Nie wiadomo – powiedziała ochryłym głosem i odchrząknęła, przesuwając po policzku dłoń w rękawicze. – Ciało jest nie do rozpoznania. Jeszcze nikt nie znalazł żadnego dowodu tożsamości.

Rob spojrział ponad jej ramieniem w kierunku ekipy medycznej.

– Nie mogę uwierzyć, że to prawda. Jak myślisz, to ona, prawda? Twój świadek?

Twój świadek, powtórzyła w myślach Kate. Już się dystansował wobec katastrofy, tak samo jak zdystansował wobec decyzji umieszczenia Angie w Phoenix House. Parszywa gnida.

– Jak to się stało? – zapytał. – Myślałem, że jej pilnujesz, Kate.

– Przykro mi. Mówiłam ci przez telefon, że jest mi przykro. Powinna być z nią zostać.

Jej wyznanie brzmiało chropawo, ponieważ było ustępstwem na rzecz szefa, choć ona odruchowo pragnęła mu się sprzeciwić.

– Wyznaczyliśmy ciebie do tej sprawy nie bez powodu.

– Jestem tego doskonale świadoma.

– Twoje doświadczenie, siła osobowości... Myślałem, że chociaż raz twój upór do czegoś się przyda...

– Wiesz, że obwiniam siebie wystarczająco mocno, żeby wystarczyło na nas oboje. Więc możesz się ode mnie odczepić, Rob.

– Sabin jest wściekły. Nie wiem, jak zdołam go ułagodzić.

Utrata świadka to była jej sprawa, a jego sprawą było załagodzenie sytuacji. Kate już

słyszała, jak skomle i gnie się przed Sabinem, mieszając ją z błotem przy każdej okazji.

– Jestem pewna, że dasz sobie radę – burknęła, zbyt rozgniewana, by zachować choćby pozory grzeczności. – Wystarczy w zupełności, jeśli uklękiesz i zaczniesz się płaszczyć tak jak zawsze.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić! – wrzasnął Rob, cały dygocząc. – Jak śmiesz! Straciłaś świadka. Może doprowadziłaś do jej śmierci...

– Tego nie wiadomo – usiłował wtrącić Quinn.

– ...nadal masz czelność mówić do mnie w ten sposób! Nigdy nie okazałaś mi ani odrobiny szacunku. Nawet teraz. Nawet po tym. To się nie mieści w głowie! Ty pieprzona suko!

– Odwal się – rzucił Quinn.

Wszedł pomiędzy nich i pchnął Roba otwartą dłonią w klatkę piersiową. Rob zachwiał się, stracił równowagę i usiadł na śniegu.

– Może byś popatrzył na to, co Kate właśnie widziała – powiedział Quinn, nie próbując pomóc mu wstać. – Nowa perspektywa pozwoli ci zrozumieć, co jest teraz najważniejsze.

Marshall podniósł się nieporadnie, mrużąc coś pod nosem, odwrócił się i ruszył w kierunku ambulansu, otrzepując zamasyżycie kurtkę ze śniegu.

– Do cholery, John, miałam ochotę kopnąć go w dupę – rzuciła Kate.

– Więc chyba po prostu oszczędziłem ci tego wysiłku.

Dopiero teraz Kate uświadomiła sobie, że jej zawodowa przyszłość może być naprawdę w niebezpieczeństwie. Boże, Rob naprawdę mógłby ją wyrzucić! Miał rację: nigdy nie okazała mu ani odrobiny szacunku. Mniejsza z tym, że na to nie zasługiwał, był przecież w końcu jej szefem.

Patrzyła na niego, kiedy stanął przy ambulansie, zakrywając usta dłonią w rękawiczce. Sanitariusze właśnie przygotowywali się do umieszczenia ciała w worku. Kiedy wrócił, miał stężałą, ale jednocześnie zaczerwienioną twarz.

– To jest... to jest przerażające – wykrztusił, dysząc ciężko. – Zdjął okulary i przetarł twarz rękawiczką. – Niewiarygodne.

Przełknął kilka razy ślinę, przestępując z nogi na nogę. – Ten zapach...

– Może powinieneś usiąść – zaproponowała Kate.

Rob rozsunął nieco zamek kurtki i stanął, szarpiąc za jej poję. Nadal patrzył w kierunku ambulansu.

– Niewiarygodne... okropne...

Nadleciał helikopter, młócąc powietrze łopatami wirnika, jakby to były skrzydła olbrzymiego kolibra.

– On nam rzuca wyzwanie, prawda? Ten Kremator – powiedział Rob, patrząc na Quinna. – Uprowadził tę dziewczynę. Potem zrobił to tutaj, gdzie odbywało się zebranie.

– Tak. Chce, żebyśmy wyszli na głupców, podczas kiedy on będzie grał rolę niezwycięzonego.

– Jak na razie, chyba mu się to doskonale udaje – rzekł Marshall, obserwując sanitariuszy umieszczających ciało w ambulansie.

– Każdy może uchodzić za geniusza, jeśli zna z góry odpowiedzi – odparł Quinn. – Ale facet w końcu spieprzy sprawę. Oni tak zawsze robią. Problem polega na tym, żeby się to stało jak najwcześniej. A kiedy się potknie, trzeba go złapać za jaja.

– Chciałbym to zobaczyć – powiedział Rob, znowu ocierając twarz i poprawiając kurtkę. – Zadzwoń do Sabina – oznajmił, zwracając się do Kate. – Póki jeszcze pracujemy u niego.

Kate nie odpowiedziała, ale jej milczenie nie miało nic wspólnego z osobą prokuratora okręgowego ani nagłą groźbą utraty pracy.

– Chodźmy poszukać Kovaca – zaproponowała Quinnowi. – Zobaczymy, czy już mają jej prawo jazdy.

Odnaleźli go, gdy toczył spór o kompetencje z czarnoskórą funkcjonariuszką straży pożarnej, w ciemnej kurtce z wypisanym na plecach słowem: „Podpalenia”. Krąg przenośnych lamp oświetlał wypalony wrak niewielkiego czerwonego samochodu. Pożar zniszczył jego wnętrze, a przednia szyba eksplodowała od gorąca. Drzwi po stronie kierowcy zwisały luźno, wyrwane przez ekipę ratowniczą, która otwierała pojazd. Wnętrze pełne było popiołu, stopionego plastiku i kapiącej piany gaśniczej. Siedzenie kierowcy spłonęło do cna. Płomienie nie pozostawiły nic oprócz szkieletu powykręcanych sprężyn.

– To podpalenie, sierżancie. Ustalenie przyczyn należy do nas.

– To jest zabójstwo i pieprzę przyczynę pożaru – rzucił ze złością Kovac. – Fachowcy muszą zebrać w samochodzie wszelkie dowody, których waszym ludziom nie udało się zniszczyć.

– W imieniu straży pożarnej Minneapolis przepraszam za to, że usiłowaliśmy ugasić pożar i uratować człowieka. Może powinniśmy sobie tę sprawę wyjaśnić, zanim ktoś podpali pana samochód.

– Bardzo bym się cieszył, gdyby ktoś podpalił tego rzęcha.

Kate zauważyła, że z punktu widzenia śledztwa najnowsze miejsce zbrodni przedstawia się fatalnie. Strażacy zostali wezwani do pożaru, więc nie przejmowali się sprawą ewentualnych zatarć śladów. Ich zadaniem było ratowanie ludzkiego życia, a nie sprawa wykrycia zabójcy. Dlatego rozwalili drzwi samochodu i pokryli pianą wszelkie potencjalne dowody śladowe, które mogły się zachować w jego wnętrzu.

– Ten gość i tak już był spalony na węgiel – powiedział Kovac. – Więc co was tak przypiliło? Ja mam na głowie jakiegoś wariata, który zabija kobiety i pali ich zwłoki.

– To mógł być wypadek – odparła kobieta. – Może to nie ma nic wspólnego z waszym zabójcą, a pan tu się ze mną wykłóca i marnuje czas nam obojgu.

– Sam, odzyskaliśmy tablice rejestracyjne! – zawołał Elwood, brnąc ku niemu przez śnieg.

Podszedł bliżej, żeby jego informacja nie dotarła do niepowołanych uszu, chociaż i tak nie było szans, żeby utrzymać ją długo w tajemnicy przed dziennikarzami.

– To saab z 1980 roku, zarejestrowany na nazwisko Jillian Bondurant.

Czarnoskóra zasalutowała Kovacowi i odsunęła się.

– Jeżeli chodzi o konkurs w laniu po śniegu, to udało się panu złożyć swój podpis, sierżancie.

Policijni technicy rzucili się na wypalonego saaba niczym sępy na padlinę słonia. Kate siedziała za kierownicą samochodu Kovaca i obserwowała, co się dzieje. Była otepiała i wyczerpana. Ciało nieznaney ofiary zostało przetransportowane do prosektorium, a więc zwłoki jakiejś innej osoby musiały być przesunięte na drugie miejsce w dziennym rozkładzie zajęć doktor Stone.

Quinn otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadł do wozu, wpuszczając podmuch zimnego powietrza. Płatki śniegu białąy na jego ciemnych włosach jak łupież. Zgarnął je dłonią.

– Jest raczej oczywiste, że ogień został podłożony pod siedzeniem kierowcy – powiedział. – Palił się tam najdłużej i wytworzył najwyższą temperaturę. Deska rozdzielcza i kierownica stopiły się. Nie ma więc możliwości zebrania odcisków palców.

– On się rozzuchwala – orzekła Kate.

– Tak.

– Zmienia swój sposób działania.

– Żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Przygotowuje się do czegoś.

– Tak. I dałbym wszystko, żeby się dowiedzieć, co i kiedy.

– I dlaczego.

Quinn pokręcił głową.

– Już mnie nie obchodzi dlaczego. Nie ma żadnych istotnych powodów. Są tylko wymówki. Znasz równie dobrze jak ja wszelkie sprzyjające czynniki, ale wiesz również, że nie wszystkie dzieci źle traktowane przez rodziców wyrastają na przestępców, i nie wszystkie dzieci, których matki nie potrafią nawiązać z nimi kontaktu emocjonalnego, stają się zabójcami. W jakimś momencie życia dokonuje się wyboru i kiedy już go ktoś dokona, nie obchodzi mnie dlaczego. Chcę tylko, żeby taki sukinsyn zniknął z powierzchni ziemi raz na zawsze.

– I uważasz, że jesteś odpowiedzialny za schwytywanie ich wszystkich?

– To cholernie trudne zadanie, ale co innego mam do roboty? – zapytał, posyłając jej swój słynny uśmiech, w tej chwili nieco znużony, zmieniony przez brak snu i nadmiar stresu.

– Nie musisz teraz tu być – powiedziała Kate, czując własne zmęczenie i napięcie w każdym mięśniu. – Złożą ci relację na porannym spotkaniu. Wygląda na to, że przydałoby ci się parę godzin snu.

– Snu? Rzuciłem to. Sen przytępił moją manię prześladowczą.

– Uważaj z tym, John. Odsuną cię z CASKU i wsadzą do „Archiwum X”.

– Jestem przystojniejszy niż David Duchovny.

– Nie ma porównania.

Dziwiło ją sama, że tak łatwo wrócili do dawnego przekomarzania się, nawet w takiej chwili, po tym wszystkim, co zaszło wieczorem. Jednak było to dla niej coś znajomego, coś, co przynosiło ulgę.

– Ty też nie musisz być tutaj, Kate – powiedział Quinn poważniejąc.

– Muszę. Jestem jedyną osobą, która się interesuje Angie. Jeżeli się okaże, że to jej ciało, to przynajmniej warto będzie stracić trochę snu, żeby się tego dowiedzieć.

Spodziewała się kolejnego wykładu Quinna na temat jej braku realnego podejścia, on jednak milczał.

– Myślisz, że jest jakaś szansa, że to ciało Jillian Bondurant? – zapytała. – To znaczy, że nie była ofiarą numer trzy i teraz zrobiła to sama sobie?

– Nie. Samospalenie jest rzadkie, a kiedy do niego dochodzi, taka osoba z reguły pragnie mieć widownię. Po co Jillian miałyby tutaj przychodzić w środku nocy? Jaki był jej związek z tym miejscem? Żaden. Będziemy wiedzieli na pewno, czy to jest Jillian, po sekcji zwłok, bo przynajmniej możemy teraz porównać uzębienie, ale powiedziałbym, że są zerowe szanse na to, że to jest ona i że to było samospalenie.

Kate uniosła kąciaki ust w wymuszonym uśmiešku.

– Tak, wiem to wszystko. Po prostu miałam nadzieję, że te zwłoki mogą należeć do kogoś, za kogo nie byłam odpowiedzialna.

– To ja jestem tym, który zwołał to zebranie, Kate. On to zrobił, żeby powiedzieć: „Pieprzę cię, Quinn”. Teraz zastanawiam się nad tym, co go ruszyło. Może powinienem być twardszy wobec niego? Albo udawać, że mu współczuję? Połechtąć jego ego i przedstawić go jako geniusza? Co zrobiłem, a czego nie zrobiłem? Dlaczego nie wpadłem na lepszy pomysł? Jeżeli on był na tym spotkaniu, jeżeli siedział naprzeciwko mnie, to dlaczego go nie widziałem?

– Podejrzewam, że zawiodło twoje rentgenowskie oko, dzięki któremu potrafisz dojrzeć zło drzemiące w ludziach.

– Podobnie jak twój dar przewidywania przyszłości.

Tym razem jej uśmiech był szczery, chociaż smutny.

– Więc tworzymy parę.

– Kiedyś tak było.

Kate widziała w nim mężczyznę, którego kiedyś znała i kochała, i zarazem mężczyznę, jakim się stał przez te wszystkie lata. Wyglądał na zmęczonego, wyczerpanego. Ciekawe, czy on postrzegał ją w ten sam sposób. Z przykrością musiała przyznać, że na pewno tak było. Oszukiwała się, wmawiając sobie, że idzie jej świetnie. Ale to było tylko udawanie. Oszukiwanie się. Zrozumiała w pełni tę prawdę godzinę temu, kiedy stała w ciepłym schronieniu jego ramion. Było to tak, jakby nagle odzyskała istotną część samej siebie, część, do której braku przez całe lata nie chciała się przyznać.

– Kochałem cię, Kate – powiedział cicho, przytrzymując jej spojrzenie swoim. – Cokolwiek myślisz o mnie i o tym, jak się to skończyło, kochałem cię. Możesz wątpić we wszystko inne poza tym. Sam Bóg wie, że ja wątpię we wszystko, ale nie w to.

Coś zatrzepotało w jej wnętrzu. Nie chciała nawet tego nazwać. To nie mogła być nadzieja. Nie chciała odczuwać nadziei związanej w jakikolwiek sposób z Johnem Quinnem. Wołała gniew, irytację. Ale nie czuła teraz nic takiego, i w dodatku dobrze o tym wiedziała, podobnie jak on. Zawsze potrafił dostrzec najmniejszy cień, który pojawiał się w jej myślach.

– Do diabła z tobą, John – mruknęła.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, gdy nagle w oknie od strony Quinna ukazała się twarz Kovaca. Kate wzdrygnęła się, zaklęła i opuściła szybę.

– Hej, dzieciaki, dość tego randkowania. Pora spać.

– Próbujemy się uratować przed śmiercią przez wychłodzenie – wyjaśnił Quinn. – Mój

toster wytwarza więcej ciepła niż twoja nagrzewnica.

– Znaleźliście prawo jazdy? – zapytała Kate.

– Nie, ale znaleźliśmy to – powiedział Kovac, pokazując przezroczystą foliową torebkę z mikrokasetą w środku. – Leżała na ziemi jakieś pięć metrów od samochodu. Cholerny cud, że żaden ze strażaków jej nie rozdeptał.

– To pewnie nagranie jakiegoś dziennikarza ze spotkania – dodał – ale nigdy nie wiadomo. Raz na jakiś czas znajdujemy dowód rzeczowy, potwierdzający istnienie Boga. Gdzieś tu na siedzeniu mam odtwarzacz.

– Tak, i jeszcze kielich męki Pańskiej – mruknęła Kate, grzebiąc w zaścielających siedzenie raportach policyjnych, czasopismach i opakowaniach hamburgerów. – Mieszkasz w tym samochodzie, Sam? Wiesz, dla takich jak ty są specjalne schroniska.

Odnalazła w końcu odtwarzacz i podała go Quinnowi. Wyjął z niego kasetę i ostrożnie włożył drugą, którą Kovac podał mu na końcu długopisu.

Odgłosy, który wydobył się z małego głośniczka, przeszyły Kate jak ostrze dzidy. Kobiece jęki rozpaczy, przetykane pośpiesznymi, urywanymi błaganiami o litość, której ofiara nie miała zaznać. Krzyki osoby poddawanej torturom i błagającej o śmierć.

To nie jest dowód na to, że Bóg istnieje, pomyślała. To dowód na to, że go nie ma.

Zachwyt. Ekstaza. Podniecenie. Właśnie to odczuwa w momencie tryumfu. To są uczucia, które spychają gdzieś w głąb gniew, nienawiść i frustrację, cały czas płonące w jego wnętrzu.

Manipulacja. Dominacja. Kontrola. Mam władzę nie tylko nad ofiarą, przypomina sobie w duchu. Posiada taką samą władzę nad policją i nad Quinnem.

Zachwyt. Ekstaza. Podniecenie.

Mniejsza o te inne rzeczy. Należy cieszyć się sukcesem.

Emocje są niesamowite. Drży, poci się i czerwieni z ekscytacji, jadąc do domu. Czuje swój własny zapach. Jest charakterystyczny dla tego rodzaju podniecenia: intensywny, piźmowaty, niemal seksualny. Ma ochotę zebrać pot spod pachy i rozetrzeć go na twarzy, na nosie, zlizać z palców. Pragnie się rozebrać i kazać wyimaginowanej przez siebie kobiecie, żeby zlizła go z całego jego ciała. Z klatki piersiowej, brzucha i pleców. Widzi oczyma wyobraźni, jak ona klęka przed nim i liże jego genitalia. Jego penis napręża się w erekcji. On wpycha go jej do ust i pieprzy ją, policzkując za każdym razem, kiedy się zadławia. Tryska spermą na twarz kobiety, a potem każe jej uklęknąć, oprzeć się na rękach i penetruje ją analnie. Wreszcie kładzie dłonie na jej gardle i dławiąc babskie wrzaski, gwałci ją brutalnie a potem dusi.

Te obrazy rozpalają go, podniecają. Jego stwardniały penis aż pulsuje. Trzeba dać upust napięciu. Musi usłyszeć te dźwięki, które są tak wyraziste i piękne jak precyzyjnie naostrzone brzytwy. Musi usłyszeć te wrzaski. Surowe, czyste nuty przerażenia, i wyobrazić sobie, że pochodzą od kobiety, którą widzi w wyobraźni. Musi usłyszeć narastające crescendo, które towarzyszy dobieganiu życia do kresu. Niknącą energię, żarłocznie pochłanianą przez śmierć.

Wsuwa dłoń do kieszeni kurtki w poszukiwaniu kasety, ale jej nie znajduje.

Ogarnia go nagła fala paniki. Zatrzymuje się na poboczu i przeszukuje wszystkie kieszenie, sprawdza tylne siedzenie, podłogę, odtwarzacz. Kaseca zniknęła.

Przeszywa go gniew. Okropny, wściekły gniew. Ściana furii. Przeklinając, wrzuca bieg i rusza ulicą. Popełnił błąd. To niewybaczalne. Wie, że ten błąd nie będzie miał tragicznych

skutków. Nawet jeżeli policja znajdzie kasety, nawet jeżeli zdejmie jego odciski palców, i tak go nie znajdzie. Jego linii papilarnych nie ma w żadnej bazie danych. Nie aresztowano go od czasów, kiedy był nastolatkiem. Ale sama myśl o popełnieniu błędu przepętnia go wściekłością, ponieważ on wie, że stanowi to zachętę dla członków grupy specjalnej i Johna Quinna, których przecież pragnie zniszczyć.

Jego poczucie tryumfu maleje. Koniec święta. Erekcja ustępuje, a penis kurczy się do rozmiarów żalostnego wyrostka. Gdzieś w głębi wyobraźni rozlega się pogardliwy, niechętny głos kobiety. On widzi ją, jak wstaje i odchodzi od niego, znudzona i pozbawiona wszelkiego zainteresowania.

Wjeżdża na podjazd i naciska przycisk pilota otwierającego drzwi garażu. Gniew miota się w jego wnętrzu niczym sączący jad wąż. Po chwili rozlega się odgłos szczekania małego pieska. Przekłete bydłę z sąsiedztwa. Wieczór i tak już jest zepsuty, a teraz to.

Wysiada z samochodu i podchodzi do pojemnika na śmieci. Drzwi garażu powoli opadają. Pies patrzy mu w oczy, ujadając bez ustanku i odskakując do tyłu, ku zamykającym się drzwiom. On wyciąga jakąś szmatę ze śmieci i odwraca się do psa, już sobie wyobrażając, jak zawija go w łachman, a potem raz po raz tłucze tym zaimprovizowanym workiem z całej siły o ścianę.

– No chodź, Bitsy, ty parszywy gnojku – mówi słodkim głosem. – Dlaczego mnie nie lubisz? Co ja ci takiego zrobiłem?

Pies warczy wściekle, jak elektryczna temperówka do ołówków. Zatrzymuje się w miejscu, zerkając za siebie, ku drzwiom, które dzieli zaledwie ćwierć metra od przypieczętowania jego losu.

– Wiesz, że już zabijałem takie parszywe psiaki jak ty? – mówi z uśmiechem, podchodząc bliżej i nachylając się. – Myślisz, że ode mnie czuć zło? – Wyciąga dłoń do psa. – To dlatego, że ja jestem zły – mruczy, a pies rzuca się na niego z wyszczerzonymi zębami.

Grzechot mechanizmu zamykającego bramę cichnie.

Szmata spada z góry, tłumiąc zaskoczony skomlenie.

Kiedy dotarli do jej domu, Kate nadal drżała. Quinn uparł się po raz drugi tej nocy, że odprowadzi ją do domu. Nie sprzeciwiała się. Echo przeraźliwych wrzasków ciągle rozbrzmiewało w jej głowie. Słyszała je – słabe, ale nieustające – kiedy bez słowa wysiadła z samochodu i opuściła garaż, a także potem, gdy drżącymi rękami otworzyła drzwi, przeszła przez kuchnię do holu i włączyła ogrzewanie.

Quinn cały czas podążał za nią jak cień. Spodziewała się, że napomknie coś o przepalonej żarówce w garażu, ale jeśli w ogóle coś powiedział, to i tak nie zwróciła na to uwagi. Słyszała tylko szum swego tętna w uszach, spotęgowany odgłos pobrzękiwania kluczy, miauczenie Thora, mruczenie lodówki i cały czas w tle te wrzaski.

– Ale mi zimno – powiedziała, wchodząc do gabinetu.

Lampka na biurku paliła się nadal, a jej podomka leżała rzucona byle jak na starą sofę. Kate spojrzała na aparat telefoniczny, przypominając sobie o wcześniejszych głuchych telefonach. Dziesiąta zero pięć, dziesiąta zero osiem, dziesiąta dziesięć. Tym razem lampka nie migiała.

Na stoliku stała nie dopita szklanka dżinu z tonikiem. Lód dawno już się stopił. Podniosła szklankę drżącą ręką i wypita łyk. Tonik stracił aromat, ale wcale tego nie zauważyła. Nie czuła w ogóle żadnego smaku. Quinn wyjął jej szklankę z ręki, odstawił na bok, a potem ujął ją delikatnie za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

– Nie jest ci zimno? – zapytała pośpiesznie. – Ten piec strasznie powoli się rozgrzewa dom. Chyba muszę go wymienić, jest stary jak świat, ale zawsze o tym zapominam, dopóki się nie pogorszy pogoda. A może rozpalić w kominku? – zaproponowała i od razu poczuła, jak krew ucieka jej z twarzy. – O Boże, nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam. Czuję tylko dym i ten okropny... Jezu, co za straszny... – Przełknęła głośno ślinę i spojrzała na szklankę, która stała poza zasięgiem jej ręki.

Quinn położył dłoń na policzku Kate i odwrócił ku sobie jej twarz.

– Ćśśś – szepnął.

– Ale...

– Ćśśś...

Otoczył ją ostrożnie ramionami, tak jakby była z kruchego szkła, i przyciągnął do siebie. Kolejne zaproszenie, by się na nim wsparła, by się odprężyła. Wiedziała, że nie powinna tego robić. Gdyby teraz rozluźniła się na chwilę, to już by przepadła. Musiała się ruszać, mówić, robić coś. Gdyby się odprężyła, gdyby zastygła w bezruchu, gdyby się nie zajęła czymś błahym, bez żadnego znaczenia, to fala rozpaczy by ją zalała i gdzie ona by się wtedy znalazła?

Bezbronna w ramionach mężczyzny, którego nadal kochała, ale nie mogła mieć.

Ta jasna odpowiedź była wystarczająco przytłaczająca, by pozbawić ją resztek sił, jakie jej zostały, paradoksalnie kusząc jeszcze bardziej, by przyjęła ofiarowaną przez Quinna pomoc.

Nigdy nie przestała go kochać. Po prostu odłożyła to uczucie do zamykanej na klucz szkatułki w głębi serca, żeby go już nigdy stamtąd nie wydobyć. Może miała nadzieję, że ono osłabnie i umrze, ale było tylko uśpione.

Znowu przeszył ją dreszcz. Pozwoliła swej głowie spocząć na ramieniu Quinna. Słyszała bicie jego serca. Przypomniało jej to te wszystkie razy dawno temu, kiedy on ją obejmował i pocieszał, a ona udawała, że ta skradziona chwila może trwać bez końca.

Na Boga, chciałyby udawać to teraz. Chciałyby udawać, że nie wrócili właśnie z miejsca zbrodni, że jedyny świadek nie zniknął i że Quinn przyjechał tu z jej powodu, a nie z powodu pracy, którą zawsze stawiał na pierwszym miejscu.

Jakież to niesprawiedliwe, że akurat przy nim czuła się tak bezpiecznie, że szczęście wydawało się tak blisko, że spoglądając z jego objęć, potrafiła nagle dojrzeć w swoim życiu wszystkie dziury, brakujące elementy, przybladłe kolory i stępione emocje. Jakież to niesprawiedliwe, że uświadamiała to sobie właśnie teraz, gdy już zdecydowała, że lepiej jest nikogo nie potrzebować, a z pewnością lepiej nie potrzebować jego.

Poczuła muśnięcie jego ust na skroni i na policzku. Wbrew słabszej części swej woli uniosła twarz i pozwoliła mu, by odnalazł ustami jej wargi. Ciepłe, jędrne, doskonale dopasowane. Uczucie, które ją przepęłniło, było w równej mierze bolesne i przyjemne, gorzkie i słodkie, a pocałunek delikatny, łagodny, proszący, a nie w posiadanie biorący. Kiedy Quinn unióśł nieco głowę, w jego oczach widać było ostrożne pytanie, tak jakby przez ten pocałunek przeniknęła do niego każda jej potrzeba i wątpliwość.

– Muszę usiąść – wymamrotała Kate, cofając się.

Opuścił ramiona, wypuszczając ją z objęć, i znowu poczuła, jak ogarnia ją chłód. Chwyciła szklanekę z biurka, podeszła do kanapy i wcisnęła się w jej kąt, okrywając sobie narzutą nogi.

– Nie mogę tego zrobić – powiedziała cicho, jakby mówiła do samej siebie. – To zbyt ciężkie, zbyt okrutne. Nie chcę z tym zostać, kiedy ty wrócisz do Quantico.

Upiła łyk dzinu, kręcąc głową.

– Żałuję, że tu przyjechałeś, John.

Quinn usiadł przy niej, opierając dłonie na udach.

– Czy tak jest naprawdę, Kate?

Jej rzęsy błyszczały od łez.

– Nie. Ale jakie to ma teraz znaczenie? To, czego ja chcę, nigdy nie miało żadnego związku z rzeczywistością.

Dokończyła drinka, odstawiała szklankę i potarła dłońmi twarz.

– Chciałam, żeby Emily żyła, ale umarła. Chciałam, żeby Steven przestał mnie obwiniać, ale tego nie zrobił. Chciałam... – Przerwała.

Co miała powiedzieć? Że chciała, żeby Quinn bardziej ją wtedy kochał? Żeby się pobrali, mieli dzieci i zamieszkali w Montanie, gdzie hodowaliby konie i kochali się każdej nocy? Podobne fantazje są dobre dla kogoś naiwniejszego. Czuła się jak idiotka już choćby z tego tylko powodu, że w ogóle miewała takie myśli, i spychała je gdzieś w kąć świadomości. Za żadne skarby nie mogła pozwolić sobie na ich ujawnienie i ryzyko, że wyjdzie na osobę jeszcze bardziej godną politowania.

– Chciałam wielu rzeczy. Ale to wcale nie wystarczyło, żeby tak się stało – powiedziała. – A teraz chciałabym móc zamknąć oczy i nie widzieć krwi, zatkać uszy i nie słyszeć wrzasków, odepchnąć od siebie cały ten koszmar i iść spać. Ale to tak samo, jakbym chciała dostać gwiazdkę z nieba.

Quinn położył dłoń na jej ramieniu, odszukując kciukiem bolesne miejsce, i zaczął je masować.

– Dałbym ci tę gwiazdkę, Kate.

To było ich stare, znajome hasło, które wymieniali między sobą jak sekretny prezent.

– Poodczepiałbym z haczyków gwiazdki z nieba i dałbym tobie, żebyś sobie zrobiła naszyjnik.

Zapieкло ją w oczach ze wzruszenia, które ostatecznie zniszczyło jej postanowienie, by trzymać się twardo. Była zbyt zmęczona, a to wszystko wydawało się zbyt bolesne. Wszystko: ta sprawa, wspomnienia, marzenia, które obumarły. Ukryła twarz w dłoniach. Quinn objął ją ramionami i jeszcze raz położył jej głowę na swoim ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptał.

– Nie.

– Pozwól się przytulić, Kate.

Nie mogła zdobyć się na to, by odpowiedzieć „nie”. Nie mogła znieść myśli o tym, że odsunęłaby się, zostałaby sama. Zbyt długo była sama. Pragnęła pociechy z jego strony. Pragnęła jego siły, ciepła jego ciała. Dopiero w jego ramionach czuła, że jest na właściwym miejscu po raz pierwszy od długiego czasu.

– Nigdy nie przestałem cię kochać – szepnął.

Kate objęła go jeszcze mocniej, nie mając odwagi na niego spojrzeć.

– Więc dlaczego pozwoliłeś mi odejść? – zapytała, z trudem skrywając ból. – Dlaczego zostałeś z daleka ode mnie?

– Myślałem, że tego chcesz, że tego potrzebujesz. Myślałem, że to jest dla ciebie najlepsze. Pod koniec nie zależało ci na kontaktach ze mną.

– Miałeś przeze mnie kłopoty.

– Przez Stevena, nie przez ciebie.

– To tylko różnica w słowach. Steven chciał cię ukarać z mojego powodu, z powodu nas obojga.

– A ty z naszego powodu chciałaś się ukryć.

Nie usiłowała nawet zaprzeczać. To, co ich łączyło w tej skrywanej miłości, było czymś szczególnym: tego rodzaju magiczną jednością, której większość ludzi pragnie, ale nigdy nie znajduje; absolutną bliskością, której żadne z nich wcześniej nie zaznało. Kiedy jednak ich sekret wyszedł na jaw, nikt inny nie dostrzegł tej magii. W ostrym świetle ludzkiej opinii ich miłość przerodziła się w romans, w coś trywialnego i pospolitego. Nikt nie rozumiał, nikt nie próbował i nie chciał rozumieć. Nikt nie widział jej bólu, jej pragnienia. Nie była kobietą pogrążoną w żałobie, odepchniętą przez powodowanego żalem męża, ale dziwką, która zdradzała zrozpaczonego małżonka, mimo że ich córka jeszcze nie ostygła w grobie.

Jej własne poczucie winy skłaniało się do podobnych ocen, chociaż wiedziała, że to nieprawda. Nigdy nie leżało w jej naturze kłamać czy oszukiwać. Odebrała w domu rodzinnym wychowanie oparte na katolickim poczuciu winy i surowym świeckim kodeksie moralnym. Fala samopotępienia po śmierci Emili i wewnętrzne poczucie, że naruszyła wyznawane zasady tak ją przygniotły, że nie potrafiła się spod nich wydobyć. Przecież jedyny człowiek, od którego mogłaby się spodziewać pomocy, oddalił się od niej, zmagając się z własnym gniewem i bólem.

Uczucia wywołane tymi wspomnieniami zaniepokoiły ją, nie mogła sobie pozwolić na odprężenie.

– Mogłeś przyjechać za mną – powiedziała. – Ale nie miałeś dla mnie czasu. Liczyła się tylko sprawa dyscyplinarna i praca. Uznałam, że bardziej kochasz swoją pracę niż mnie – wyznała szeptem, zmuszając się do uśmiechu. – Pomyślałam, że może w końcu doszedłeś do wniosku, że więcej ze mną kłopotu niż ze mnie pożytku.

– Och, Kate...

Nachylił się, uniósł jej twarz ku sobie i spojrzał w nią oczyma ciemnymi jak noc, błyszczącymi i uważnymi.

Oczy Kate wyrażały niepewność, która zawsze go poruszała do głębi, niepewność, która leżała pogrzebana pod warstwami pozornego spokoju i upartej siły. Niepewność, którą rozpoznawał być może jako podobną do swej własnej, jako coś, co sam skrywał i czego się bał.

– Pozwoliłem ci odejść, bo myślałem, że to jest to, czego chcesz. Ja sam pograżyłem się w pracy, bo tylko to przytępiało ból. Oddałem tej pracy całego siebie – powiedział. – Nie wiem, czy jeszcze zostało ze mnie coś, co warto by mieć. Ale wiem, że nigdy nie kochałem niczego i nikogo tak, jak kochałem ciebie, Kate.

Kate milczała. Pojedyncza łza stoczyła się po jej policzku. Quinn widział, jak ucieka czas. Tak bardzo oddalili się od siebie i tyle go już stracili. Wiedział, że chodzi o coś bardziej skomplikowanego niż zwykły brak kontaktu. Uczucia, obawy, duma i ból, które ich rozdzieliły, były bardzo prawdziwe, tak intensywne i prawdziwe, że żadne z nich ani razu nie zdobyło się na to, by stawić im czoło. Łatwiej przychodziło pozwolić, by sprawy toczyły się własnym trybem, chociaż była to zarazem najtrudniejsza rzecz, jaką zrobił kiedykolwiek w życiu.

– Tworzymy parę – wyszeptał, powtarzając to, co powiedziała w samochodzie Kovaca. – Co czułaś, Kate? Czy przestałaś mnie pragnąć? Czy przestałaś mnie kochać? Czy...

Położyła swe drżące palce na jego ustach, kręcąc głową.

– Nigdy – powiedziała tak cicho, że to słowo było niewiele głośniejsze niż jej myśl. – Nigdy.

Nienawidziła go. Nie znosiła. Obwiniła i usiłowała o nim zapomnieć. Ale nigdy nie przestała go kochać. Jakież to było przerażające, że w ciągu pięciu lat jej pragnienie nie obumarło, że nigdy nie było nawet blisko tego. Teraz gorzało w niej niby rozniecony na nowo płomień, pochłaniając wyczerpanie, strach i wszystkie inne niedobre uczucia.

Uniosła twarz, by dotknąć ust Johna swoimi. Poczowała smak jego warg i słony smak własnych łez. Otoczył ją ramionami, przycisnął do siebie i przechylił do tyłu, dopasowując jej ciało do swojego.

– O Boże, Kate, pragnąłem ciebie – wyznał, muskając ustami jej ucho. – Tak bardzo do ciebie tęskniłem.

Kate pocałowała go w policzek i przesunęła ręką po jego włosach.

– Nigdy nie pragnęłam nikogo tak jak ciebie... jak ciebie pragnę...

Dosłyszał to. Cofnął się nieco, by się jej przez chwilę przyjrzeć. Nie pytał, czy jest tego pewna. Domyślała się, że boi się jej odpowiedzi. Ona też się bała. Nie miała w sobie najmniejszej pewności. Nie było w tym wszystkim żadnej logiki, żadnej myśli biegnącej poza chwilę obecną, poza płataninę pierwotnych uczuć i pragnienie zatracenia się w nim... tylko w nim.

Poprowadziła go za rękę na górę. Przystanął trzy razy, by ją pocałować, dotknąć, ukryć twarz w jej włosach. W sypialni pomogli sobie nawzajem rozebrać się. Splątane ramiona, niecierpliwe palce. Jego koszula na oparciu krzesła, jej spódnica na podłodze. Ani nie chwilę nie odrywali się od siebie. Pieszczota. Pocałunek, niecierpliwy uścisk.

Dla Kate dotyk jego dłoni na jej ciele był wspomnieniem sięgającym do teraźniejszości, głęboko zapisanym w myślach i sercu. Wywołał pragnienie, którego zaznała dotąd tylko przy nim. Błyskawiczną falę ciepła i słodki ból. Tak jakby byli z dala od siebie przez pięć dni, a nie pięć lat.

Wstrzymała oddech, czując usta Johna na piersi, i zadrżała, gdy jego dłoń zsunęła się pomiędzy jej uda odkrywając wilgotne, gorące miejsce. Wygięła odruchowo biodra w ten sam sposób, który odkrywali tak wiele razy tak dawno temu. Przesuwała dłońmi po jego ciele. Odkrywała znajome uskoki i płaszczyzny, węzły mięśni. Gładką, gorącą skórę. Wąwóz kręgosłupa. Napierającą na nią erekcję, twardą jak marmur i miękką jak aksamit. Muskularne udo, rozsuwające jej nogi.

Wprowadziła go do swego wnętrza, odczuwając dreszcz zachwytu, kiedy wypełnił ją doskonale, tak samo jak było za każdym razem, gdy kiedykolwiek wcześniej się kochali. To wrażenie, ten zachwyt, nigdy się nie stępiło, a nawet nabrało ostrości. Zarówno dla niego, jak i dla niej. Widziała to w jego oczach, kiedy spojrzał na nią w świetle lampki: intensywne przyjemność, gorąco, zaskoczenie, odrobina goryczy płynącej z wiedzy, że takie czary dzieją się tylko pomiędzy nimi dwojgiem.

Zapagnęła płakać. On był jedynym, jedynym. Mężczyzna, którego poślubiła i którego dziecko urodziła, nigdy nawet nie zbliżył się do tego, aby sprawić, by się czuła tak, jak sprawiał to John Quinn przez samą swoją obecność przy niej.

Objęła go mocniej, poruszyła się energiczniej i zatopiła paznokcie w jego plecach. Pocałował ją głęboko, agresywnie, językiem i zębami. Wchodził w nią z coraz większą siłą, a

potem wycofał się, złagodniał, odsuwając ich oboje od krawędzi spełnienia.

Czas utracił wszelkie znaczenie. Nie istniały sekundy, tylko oddechy i wymawiane półgłosem słowa. Nie istniały minuty, tylko przyływy rozkoszy. A kiedy nastąpił koniec, towarzyszący mu wybuch emocji sięgnął skrajnych biegunów odczuwania. Potem nastąpiła dziwna mieszanina spokoju i napięcia, zadowolenia, spełnienia i czujności, aż wyczerpanie przemogło wszelkie inne uczucia i zasnęli w swoich objęciach.

– Słuchajcie! – zawołał Kovac, pochylając się nad stołem w punkcie dowodzenia grupy specjalnej.

Był w domu wystarczająco długo, żeby zasnąć przy kuchennym stole, czekając, by kawa się zaparzyła. Nie wziął prysznic ani się nie ogolił, więc wyglądał jak włóczęga w tym samym wygniecionym garniturze, który miał na sobie poprzedniego dnia. Nie miał nawet czasu, żeby zmienić koszulę.

Pozostali detektywi zdradzali podobne oznaki zmęczenia: ciemne obwódki pod przekrwionymi oczami i głębokie zmarszczki na bladych twarzach.

Oprócz swoistego zapachu myszy i pleśni pokój cuchnął papierosami, potem i kwaśną kawą. Stojące na ladzie przenośne radio, nastawione na stację WCCO, konkurowało z dziesięciocalowym telewizorem, nastawionym na KSTP. Obydwa odbiorniki zainstalowano po to, by detektywi byli zorientowani w najnowszych wiadomościach. Na jednej z umieszczonych na ścianie tablic pojawiły się zdjęcia z pożaru samochodu i zdjęcia ofiary numer cztery. Były tak świeże, że się jeszcze zwijały w ruloniki.

– Dziennikarze powariowali przez tę sprawę z ostatniej nocy – oznajmił Kovac. – Joe Podpalacz przypieka ofiarę praktycznie pod naszym nosem, a my wyglądamy tak, jakbyśmy sobie siedzieli i nie kiwali palcem w bucie. Już rano porucznik Fowler zmył mi porządnie głowę. Mówiąc krótko, jeżeli nie uda nam się osiągnąć szybko jakichś rezultatów, to wylądujemy na służbie w areszcie, gdzie będziemy zaglądali aresztantom w różne otwory, żeby sprawdzić, czy czegoś tam nie ukrywają.

– To będzie najbardziej zbliżona do seksu rzecz, jaką Tippen przeżył od lat – orzekł Adler.

Tippen strzelił do niego spinaczem ze zrobionej z gumki procy.

– Bardzo zabawne. Zacznę od ciebie, mięśniaku. Miałbyś coś przeciwko temu, żebym użył łomu?

– Udało nam się nie ujawnić przed nimi sprawy tej kasety – oznajmił Kovac, nie zwracając na nich uwagi.

– Dzięki Bogu, że żaden z nich jej nie znalazł – powiedział Walsh, przyglądając się

swojej przybrudzonej chusteczce do nosa. – Nadawali by to teraz na każdej stacji.

Kovac do tej pory miał w uszach tamte dźwięki i na myśl, że mogłyby rozbrzmiewać z radia w każdym domu w Twin Cities, zrobiło mu się niedobrze.

– Kasetą jest w laboratorium BCA. Bada ją jakiś spec, żeby wyłowić jakieś odgłosy w tle i tym podobne rzeczy. Niedługo się okaże, co ma do powiedzenia. Dzwoneczku, znalazłaś Vanleesa?

Liska pokręciła głową.

– Nic z tego. Zdaje się, że jedynym bliskim znajomym, jakiego ma, jest ten ktoś, w którym domu teraz mieszka. Na pewno też nie zawrze szybko nowych przyjaciół. Udało nam się z Mary wkurzyć wszystkich jego znajomych, dzwoniąc do nich w środku nocy. Jeden facet powiedział, że Vanlees przechwalał się tym domem. Według niego, to może być gdzieś na przedmieściu czy coś w tym rodzaju. Blisko jeziora.

– Postawiłem wóz przed jego domem w Lyndale – oznajmił Kovac. – Drugi jest przy Target Center, a jeszcze jeden w Edgewater. Każdy glina w mieście rozgląda się za jego samochodem.

– Nie mamy wystarczających powodów, by go aresztować – zauważył Yurek.

– To nie jest wcale potrzebne – odezwał się Quinn, pojawiając się w pokoju.

Płatki śniegu topiły się na jego włosach. Zrzucił z siebie płaszcz i cisnął go na ladę.

– Nie chodzi o aresztowanie. Prosimy go o pomoc. Jeżeli to on jest Joem Podpalaczem, to czuje się ważny i pewny siebie. Wczoraj wieczorem zrobił z nas idiotów. To, że policja może go prosić o pomoc, będzie bardzo atrakcyjne dla jego ego.

– Nie chcę, żebyśmy stracili gościa przez jakiś techniczny kruczek, tylko tyle – wyjaśnił Yurek.

– Jak ktoś spieprzy sprawę w ten sposób, to osobiście przestrzelę mu kolana – zadeklarował Kovac.

– No więc, GQ – odezwał się Tippen, mrużąc oczy – myślisz, że to ten gość?

– Dość dobrze pasuje do portretu. Najpierw sprowadzimy go tutaj i porozmawiamy, a potem radziłbym, żeby się do niego przypiąć. Niech się trochę spoci, zobaczymy, do czego można go doprowadzić. Jeżeli go trochę ruszymy, wystraszymy, to będziemy mieli otwarte drzwi. A skoro wszystko pójdzie, jak należy, to będziemy mieli podstawy do uzyskania nakazu rewizji.

– Pojadę do Edgewater – powiedziała Liska. – Będę pod ręką, żeby go uspokoić, bo inaczej może się zamknąć w sobie.

– Jak on wyglądał na wczorajszym spotkaniu? – zapytał Quinn.

– Zafascynowany, trochę podniecony, pełen swoich teorii.

– Wiadomo, gdzie był w niedzielę w nocy?

– Stały numer: sam w domu.

– Chcę być przy tym, kiedy go tu ściągniecie – oświadczył Quinn. – Nie w tym samym pomieszczeniu, ale chciałbym to widzieć.

– Nie chcesz go przesłuchać? – zdziwiła się Liska.

– Nie tak od razu. Przydzielimy do niego ciebie i kogoś, kogo jeszcze nie widział. Może Sama. Ja pojawię się później.

– Dajcie mi cynk, jak tylko go znajdziecie – polecił Kovac, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. – Tip, Laluś, znaleźliście kogoś, kto widział, jak ta DiMarco wsiadała w niedzielę do samochodu?

– Nie – odparł Tippen. – I aktualna stawka za odpowiedź wynosi dziesięć zielonych. Chyba że ktoś jest taki jak Laluś. Wtedy można udzielić odpowiedzi i mieć obciągniętego kutasa za jeden uśmiech.

Yurek popatrzył na niego ze złością.

– Żadna atrakcja dostać syfa za darmo.

– To w sam raz dla Tipa – rzuciła Liska.

– Laluś! Telefon! – zawołał Elwood, który podniósł słuchawkę.

– Szukajcie dalej – polecił Kovac. – Wydrukujcie ulotki ze zdjęciem dziewczyny i zdjęciem samochodu GMC Jimmy. Zagadnijcie porucznika Fowlera na temat nagrody. Całkiem możliwe, że jakiś facet się włóczył w tej okolicy i teraz jest gotów za parę setek sprzedać swoją własną mamę.

– Zrobione.

– Ktoś o zacięciu dyplomatycznym musi pójść do Phoenix i znowu porozmawiać z tą panią, która знаła drugą ofiarę.

– Ja to zrobię – zgłosiła się Moss.

– Zapytaj ją, czy Fawn Pierce miała tatuaż – powiedział Quinn, masując sobie obolały kark. – Lila White miała. Dokładnie w tym miejscu, gdzie brakowało kawałka ciała. Joe Podpalacz może być miłośnikiem sztuki. Albo artystą.

– Skąd wiesz? – zapytał sceptycznie Tippen, jakby Quinn mógł sobie to po prostu wymyślić.

– Zrobiłem coś, czego nikt inny nie zadał sobie trudu zrobić: przyjrzałem się, czemu trzeba. To znaczy zdjęciom, które rodzice White dali Moss. Były zrobione zaledwie parę dni przed jej śmiercią. Jeżeli się okaże, że zabójca usunął tatuaż z ciała Fawn Pierce, to trzeba

będzie dowiedzieć się, gdzie one miały robione te tatuaże, i sprawdzić salony tatuażu i wszystkich ludzi z nimi związanych.

– A czy Jillian Bondurant miała jakieś tatuaże? – zapytał Hamill.

– Jej ojciec mówi, że nic mu o tym nie wiadomo.

– Jej przyjaciółka Michele Fine też twierdzi, że nie widziała żadnych tatuaży – dodała Liska. – Sądzę, że ona by to wiedziała. Sama jest jednym żywym obrazkiem.

– Była tu, żebyśmy wzięli od niej odciski palców? – zapytał Kovac, przerzucając stertę notatek.

– Nie miałam czasu sprawdzić.

Rozległ się sygnał telefonu komórkowego. Quinn podniósł się, klnąc, i wsunął rękę do kieszeni marynarki.

Adler wskazał na ekran telewizora, na którym ukazały się sceny przedstawiające pożar samochodu.

– Hej, patrzcie, Kojak!

Telewizyjne lampy oświetlały twarz Kovaca, nadając jej pergaminową barwę. Popatrzył gniewnie na kamery i zbył pytania dziennikarza sztywną formułką: „Śledztwo jest w krytycznym punkcie. W tej chwili musimy się powstrzymać od wszelkich komentarzy”.

– Powinieneś pozbyć się tego wąsa, Sam – zauważyła Liska. – Wyglądasz jak pan Peabody z „Rocky i Bullwinkle”.

– Czy ostatnia ofiara miała jakieś ślady tortur? – zawołał Tippen od ekspresu do kawy.

– Sekcja jest zaplanowana na ósmą – poinformował Kovac, spoglądając na zegarek.

Była siódma czterdzieści.

– Rob Marshall spotka się z tobą w Phoenix – powiedział, zwracając się do Moss. – Góra chce być cacy wobec Urskine’ów, odkąd ta wredna baba narobiła wczoraj smrodu. Osobiście nie obchodzi mnie, czy Urskine’owie czują się bardzo urażeni. Niech ktoś dzisiaj na posterunku pogada od serca z mężem tego babusa. Mary, zaproś go, ale nie mów jasno, o co chodzi, kiedy będą pytali. Rutynowe postępowanie i tak dalej. I zapytaj, czy mają potwierdzenie zapłaty kartą albo czekiem za ten domek, w którym byli w czasie tego weekendu, kiedy zginęła Lila White. Gregg Urskine był jednym z ostatnich ludzi, który widział wczoraj wieczorem naszego świadka. Pierwsza ofiara była ich lokatorką. Druga – przyjaciółką jednej z ich obecnych pańienek. To wszystko wygląda trochę zanadto podejrzanie – oznajmił Kovac.

– Toni Urskine będzie zaraz dzwoniła do wszystkich redakcji w mieście – ostrzegł Yurek.

– Jeżeli będziemy zachowywali się grzecznie, to tylko postawi ją w złym świetle – odparł Kovac. – Prowadzimy szczegółowe śledztwo, sprawdzając wszystkie możliwości. Ona tego właśnie się domagała.

– Czy mamy coś z tego wczorajszego spotkania? – zapytał Hamill.

– Jeśli chodzi o samochody, to, niestety, nie – odparł Elwood. – Jest tylko ta kasetka wideo.

Kovac znowu zerknął na zegarek.

– Obejrzę ją później. Pani doktor pewnie już ostrzy swoje noże. Idziesz ze mną, GQ?

Quinn uniósł dłoń w geście potwierdzenia i rozłączył się. Wzięli swoje płaszcze i wyszli tylnymi drzwiami.

Śnieg zakrył brud ulicy łącznie z samochodem Kovaca, przesłaniając przy tym różne groźne dla opon przedmioty, jak na przykład rozbite butelki po piwie Thunderbird i Colt 45, które zaścielały powierzchnię tych bocznych uliczek niby opadłe z drzew liście. Kovac wyciągnął zmiotkę spomiędzy szpargałów na tylnym siedzeniu i oczyścił przednią szybę, maskę i tylne światła.

– Wróciłeś wczoraj bez problemów do hotelu? – zapytał, kiedy już siedząc w środku, zapalał silnik. – Mogłem cię podwieźć. Nie musiałbym bardzo nakładać drogi.

– Nie. Wszystko poszło dobrze. W porządku – odparł Quinn, nie patrząc na niego. Czuł na sobie wzrok Kovaca.

– Kate była tak wytrącona z równowagi, że musiałem przypilnować, aby dotarła bez problemów do domu.

– Mhm. No i jak? W porządku?

– Nie. Ona myśli, że to były zwłoki jej świadka i że te wrzaski na kasecie też są tej dziewczyny. Obwinia się za to wszystko.

– No to chyba dobrze, że ją odprowadziłeś do domu. I co zrobiłeś? Złapałeś taksówkę do miasta?

– Tak – skłamał, mając wciąż przed oczyma poranną scenę.

Obudził się i w słabym świetle poranka ujrzał leżącą obok Kate. Dotknął jej i zobaczył, jak otwiera te swe niesamowicie czyste szare oczy, w których ukazuje się niepewność. Pragnąłby, aby fakt, że się kochali przed snem, rozwiązał wszystkie problemy, ale tak się nie stało. Było to dla nich pewną pociechą, połączyło na nowo ich dusze i skomplikowało wszystko. Ale, na Boga, czuli się tak, jakby wrócili do nieba po latach spędzonych w czyśćcu.

Więc co teraz? To nie wypowiedziane pytanie wisiało między nimi w powietrzu, kiedy

się myli, ubierali, a potem chwycili w rękę po obwarzanku i pośpiesznie opuścili dom. Nie było żadnych porannych pieszczot, pocałunków, animowania namiętności. Nie mieli czasu nawet na rozmowę, a poza tym i tak nie zdołałby Kate do niej nakłonić. Jej pierwszym odruchem w trudnych chwilach było zamknięcie się w sobie, odcięcie od świata i duszenie się we własnym sosie. On sam nie był o wiele lepszy.

Wysadziła go przy jego hotelu. Ogolił się pośpiesznie, włożył świeży garnitur i spóźniony wybiegł znowu na ulicę.

– Próbowałem się dodzwonić do ciebie dzisiaj rano – powiedział Kovac, wrzucając wsteczny bieg, ale nie zdejmując stopy z pedału hamulca. – Nie odebrałeś.

– Pewnie brałem prysznic – odparł Quinn z kamienną twarzą. – Zostawiłeś wiadomość? Nie miałem czasu sprawdzić.

– Po prostu chciałem zapytać, jak sobie radzi Kate.

– Więc dlaczego nie zadzwoniłeś do niej? – zapytał Quinn, czując, że zaraz straci panowanie nad sobą. Spojrzał na Kovaca, postanawiając zmienić temat rozmowy. – Wiesz, gdybyście wykazali zainteresowanie morderstwem White, to pewnie by nas teraz tutaj nie było.

Kovac zaczerwienił się, jak sądził Quinn, bardziej z poczucia winy niż gniewu, chociaż chciał wyglądać na rozgniewanego.

– Prowadziłem sprawę zgodnie z przepisami.

– Poszedłeś ekspresową ścieżką, Sam. Jak inaczej możesz wyjaśnić przegapienie tatuażu?

– Pytaliśmy. Jestem pewien, że pytaliśmy. Na pewno – powiedział Kovac, przy każdym kolejnym zapewnieniu tracąc pewność siebie.

Wyciągnął szyję, spojrzął przez tylną szybę i zdjął nogę z hamulca.

– Może nie pytaliśmy właściwej osoby. Może nikt tego, do cholery, nie zauważył.

– Jej rodzice to prości ludzie ze wsi. Myślisz, że nie zauważyliby, że ich córka ma na klatce piersiowej wytatuowaną kalię? Myślisz, że żaden z jej stałych fagasów tego nie zauważył?

Kovac dodał gazu, ruszył szybko z miejsca i od razu zbyt mocno nacisnął na hamulec. Samochód wpadł w poślizg na gładkim mokrym śniegu i uderzył tylnym zderzakiem w róg pojemnika na śmieci.

– Cholera!

Quinn skrzywił się, ale zaraz przybrał obojętną minę, jakby nic się nie stało.

– Nie sprawdziliście alibi Urskine'ów, kiedy zginęła Lila White.

– Nie kazałem im pokazywać pokwitowania. Jaki motyw mieliby, żeby zabić tę kobietę? Żaden. Poza tym Toni Urskine robiła tyle smrodu, twierdząc, że nie dość się staramy...

– Czytałem raporty – powiedział Quinn. – Pracowaliście nad tą sprawą intensywnie przez tydzień, a potem coraz słabiej i słabiej. Tak samo było w przypadku Fawn Pierce.

Kovac opuścił okno, zapalił papierosa i wypuścił chmurę dymu na zewnątrz. Samochód nadal stał w poprzek uliczki, dotykając tyłem pojemnika na śmieci. Liska, która właśnie wyszła z budynku, wskazała ręką na Kovaca, pokręciła głową i wsiadła do swojego wozu.

– Widziałeś dość takich spraw, więc wiesz, jak to jest – powiedział. – Kiedy oberwie jakaś panienka, to policja jest mniej więcej tak samo tym przejęta jak wtedy, kiedy ktoś przejedzie bezpańskiego psa. Zidentyfikować, włożyć w worek i przeprowadzić dochodzenie bez jakichś tam wymysłów. Jeżeli sprawa nie zostanie szybko rozwiązana, to się ją odsuwa na boczny tor, żeby dać pierwszeństwo porządnym obywatelom i obywatelkom, którzy są mordowani przez zazdrosnych mężów albo naćpanych porywaczy. – Zrobiłem, co się dało, dopóki jeszcze mogłem – dodał, patrząc przez szybę na padający śnieg.

– Wierzę ci, Sam – odparł Quinn, chociaż przypuszczał, że Kovac nie wierzy do końca sam sobie.

Widać było na jego poznaczonej bruzdami twarzy, że żałuje, iż sprawy nie potoczyły się inaczej.

– Po prostu fatalnie się złożyło dla tych kolejnych trzech ofiar, że to, co robiliście, nie wystarczyło.

– Jak długo znała pani Fawn Pierce? – zapytała Mary Moss.

Siedziała w salonie w Phoenix House w jednym rogu groszkowozielonej kanapy, zapraszając gestem Ritę Renner, żeby siadła na drugim końcu. Usiłowała stworzyć atmosferę szczerości, próbując nie zważać na to, że jakaś wystająca sprężyna uwiera ją w tyłek.

– Jakieś dwa lata – powiedziała Renner tak cicho, że Mary sięgnęła po leżący na ławie mały dyktafon i przysunęła go bliżej. – Spotkałyśmy się w mieście i po prostu się zaprzyjaźniłyśmy.

– Pracowałyście w tym samym rewirze?

Renner spojrzała na Toni Urskine, która przysiadła na poręczu kanapy, kładąc uspokajającym gestem dłoń na jej ramieniu. Potem spojrzała na Roba Marshalla, który stał po drugiej stronie ławy. Cały jego wygląd sugerował, że niecierpliwi się, by znaleźć się gdzie

indziej. Jego lewa noga podrygiwała jak pracujący na wolnym biegu silnik.

– Tak – powiedziała. – Pracowałyśmy koło klubów striptizowych i Target Center.

Jej głos brzmiał tak, jakby pochodził z innego wymiaru. Była tak cicha i niepozorna, ubrana w stare dzinsy i flanelową koszulę, że trudno było ją sobie utożsamić z kobietą, która oferuje swoje wdzięki lubieżnikom włóczącym się po mniej eleganckich ulicach Minneapolis w poszukiwaniu płatnego seksu. Ale w końcu teraz to była zreformowana Rita Renner, a nie kobieta, która została aresztowana za posiadanie narkotyków i u której znaleziono dawkę kokainy ukrytą w pochwie. Jednak abstynencja potrafi bardzo odmienić człowieka.

– Czy miała jakichś wrogów? Czy kiedykolwiek widziała pani, żeby ktoś ją napastował na ulicy?

Renner zrobiła niepewną minę.

– Każdej nocy. Tacy są mężczyźni – powiedziała, zerkając na Marshalla. – Raz została zgwałcona. Ludzie myślą, że nie można zgwałcić prostytutki, ale to nieprawda. Gliniarze złapali tego faceta i poszedł siedzieć, ale nie za zgwałcenie Fawn. Podobno załatwił jakąś księgową na parkingu. Posadzili go za to. Nawet nie chcieli, żeby Fawn zeznawała. Jakby się nie liczyło to, co jej zrobił.

– Zeznania na temat innych prawdopodobnych przestępstw, popełnionych przez oskarżonego, nie są dopuszczane w sądzie, pani Renner – wtrącił Marshall. – To nie całkiem fair, co pani mówi, prawda?

– Ale to mnie wkurza.

– Ktoś powinien był to wyjaśnić pani Pierce. Wie pani może, czy kiedykolwiek spotkała kogoś z programu opieki nad ofiarami i świadkami?

– Tak. Powiedziała, że to gówno warte. Miała pójść jeszcze parę razy, ale wcale się tam nie pokazała. Ciągłe chcieli, żeby ona to na nowo przeżywała.

– Opisanie na nowo wypadków jest istotne dla procesu leczenia – oświadczył Marshall, uśmiechając się w taki sposób, że jego małe świńskie oczka zniknęły. – Polecam to bardzo wszystkim moim klientom. Prawdę mówiąc nalegam, żeby w pewnych odstępach czasu nagrywali się, jak mówią o tym wydarzeniu, aby potem, dochodząc do siebie, mogli odsłuchiwać taśmę i zauważyć zmiany w swoich emocjach i swoim podejściu. Ta technika ma niekiedy oczyszczające działanie.

Renner patrzyła na niego w milczeniu, przechylając nieco głowę na jedną stronę jak mały ptak, który napotkał coś nowego i dziwnego. Moss zdławiła zniecierpliwione westchnienie. Kiedy ktoś spoza policji „pomaga” w rozmowie, jest to mniej więcej tak samo przydatne, jak psu piąta noga.

– Czy wie pani o kimkolwiek konkretnym, kto mógł chcieć skrzywdzić Fawn?
– Powiedziała, że jeden facet do niej dzwonił. Prześladował ją.
– Kiedy to było?
– Parę dni przed tym, jak zginęła.
– Jak się ten ktoś nazywał?
– Nie pamiętam. Byłam wtedy w sporych kłopotach. Chyba jeden z jej fagasów. Nie możecie sprawdzić rejestru rozmów?

– To by się dało zrobić, gdyby to ona dzwoniła do niego. Renner zmarszczyła brwi.
– Nie ma tego gdzieś w jakimś komputerze?
– Gdyby znała pani jego nazwisko, to moglibyśmy sprawdzić jego rejestr rozmów.
– Nie znam go – powiedziała Renner.

Łzy napłynęły jej do oczu. Podniosła wzrok na Toni Urskine, która znowu poklepała ją po ramieniu.

– Fawn mówiła na niego Ropucha. Pamiętam to.
– Niestety, nie sądzę, żeby to było nazwisko, które figuruje w książce telefonicznej – powiedział Marshall.

Toni Urskine spojrzała na niego ostro.

– Nie ma potrzeby popisywać się dowcipem. Rita stara się, jak może.
– Oczywiście że tak – pośpiesznie zapewnił Marshall. – Nie miałem zamiaru sugerować niczego innego – dodał uśmiechając się nerwowo do Rity. – Czy pamięta pani jakąś rozmowę z Fawn na temat tego... Ropuchy? Gdyby pani spróbowała ją odtworzyć w myślach, to mogłoby się pani przypomnieć.

– Nie wiem! – jęknęła Renner, owijając sobie dłoń rogiem koszuli. – Byłam wtedy na prochach. I... i... dlaczego w ogóle miałabym pamiętać? Nie wyglądało na to, żeby się go bała czy coś takiego.

– W porządku, Rito. Może się to pani przypomnieć później – powiedziała Moss. – Może mi pani powiedzieć, czy Fawn miała jakieś tatuaże?

Renner popatrzyła na nią, zdziwiona nagłą zmianą tematu.

– No jasne, kilka. Dlaczego pani pyta?
– Pamięta pani, w którym miejscu je miała?
– Różę na kostce, oset na brzuchu, a na tyłku usta z wysuniętym językiem. A o co chodzi?

Moss uniknęła przymusu wymyślenia jakiegoś sprytnego kłamstwa, gdyż akurat w tej chwili wszedł do pokoju Gregg Urskine. Niósł przed sobą tacę zastawioną filiżankami z

kawą. Moss zabrała z ławy dyktafon i wstała, uśmiechając się przepaszająco.

– Niestety, nie mogę zostać. Dziękuję za troskę.

– Nie chce się pani rozgrzać przed wyjściem na to zimno? – zapytał sympatycznym tonem Gregg Urskine.

– Dziękuję, ale nie mam czasu.

– Pewnie dzisiaj pracujecie pod szczególną presją – powiedział Urskine ze szczyptą złośliwej satysfakcji w głosie. – Po tym wszystkim, co się stało wczoraj w nocy, grupa specjalna wygląda na bardzo nieskuteczną.

– Robimy, co tylko w naszej mocy – odparła Moss. – A propos, panie Urskine, sierżant Kovac polecił mi, żebym zaprosiła pana dzisiaj na posterunek. Proszę przynieść pokwitowanie opłaty za pobyt w tym domku, w którym się państwo zatrzymali na weekend, kiedy zginęła Lila White.

Toni Urskine poderwała się z kanapy z czerwoną twarzą.

– Co? To oburzające!

– To tylko formalność – wyjaśniła Moss. – Po prostu staramy się dopiąć wszystko na ostatni guzik.

– To nic innego, tylko złośliwe prześladowanie.

– Raczej zwykła prośba. Oczywiście w tej chwili nie ma pan obowiązku jej spełniać. Sierżant Kovac nie widział potrzeby ubiegania się o nakaz, biorąc pod uwagę to, jak bardzo obojgu państwu zależy na tym by śledztwo zostało starannie przeprowadzone.

Gregg Urskine roześmiał się nerwowo patrząc na żonę.

– W porządku, kochanie. Na pewno znajdę to pokwitowanie. Nie ma sprawy.

– To oburzające! – znowu powtórzyła Toni Urskine. – Zadzwoń do naszego adwokata. Podchodziliśmy do tej sprawy jako sumienni obywatele i proszę, jak się nas traktuje. Może pani odejść, pani Moss. Panie Marshall, pan też – dodała, przypominając sobie o jeszcze jednym gościu.

– Chyba zaszło zwykłe nieporozumienie – powiedział Marshall z nerwowym uśmiechem. – Jeżeli moje biuro może w jakikolwiek sposób ułatwić...

– Wynosić się!

– Och, Toni... – próbował załagodzić sytuację Gregg Urskine.

– Wynosić się! – wrzasnęła, odtrącając jego rękę.

– Po prostu staramy się jak najlepiej wypełnić nasze obowiązki. Jesteśmy to winni tym kobietom, pani Urskine – powiedziała cicho Moss. – Zdawało mi się, że właśnie o to pani chodziło. A może tak jest tylko przy włączonych kamerach?

– Udało ci się porozmawiać z twoją koleżanką w Milwaukee? Przefaksowałaś jej zdjęcie, prawda?

– Na drugie pytanie tak. Na pierwsze nie – odparła Susan Frye.

Kate dziękowała w duchu Bogu, że zdecydowała się zadzwonić, a nie pójść osobiście do biura Frye. Wiedziała, że nie potrafiłaby ukryć frustracji i zniecierpliwienia. Stres niszczył wszelkie dobre maniere, zostawiając odsłonięte końcówki nerwów. W takim momencie jedna irytująca odpowiedź mogłaby przepełnić miarę, a ona wybuchłaby jak ten facet z pistoletem parę dni temu.

– Miała robotę z jakimś procesem – dodała Frye. – Zadzwoń i zostaw jej wiadomość.

– Dzisiaj? – powiedziała Kate, uświadamiając sobie zbyt późno, że zabrzmiało to raczej jako polecenie niż pytanie. – Dobrze, Susan? Mam przez tę dziewczynę okropne zmartwienie. Nie wiem, co myśli o tym Rob. Powinien był powierzyć ją komuś od was. Ja się nie zajmuję nieletnimi. Nie wiem, jak to robić. A teraz zniknęła...

– Słyszałam, że może nie żyć – wyrębała bez ogródek Frye. – Chyba myślą, że to ona jest tą ostatnią ofiarą, co?

– Nie wiadomo tego na pewno – powiedziała Kate, dodając bezgłośnie „ty suko”. Niezła to przyjaciółka, która zadaje ciosy poniżej pasa. – Nawet jeśli to prawda, musimy wiedzieć, kim ona jest czy kim była, żebyśmy mogli powiadomić jej rodzinę.

– Mogę ci zagwarantować jedno, Kate: nie znajdziesz nikogo, kogo to może choć trochę obchodzić, bo gdyby było inaczej, ona by się nie znalazła w takiej sytuacji, w jakiej się znalazła. Lepiej by się złożyło dla niej, gdyby ją wyskrobali w pierwszych tygodniach ciąży.

Brutalność tego stwierdzenia poruszyła Kate do głębi, ale podziękowała Susan Frye za jej wątpliwą pomoc i odłożyła słuchawkę. Co tak naprawdę sprowadziło na świat Angie DiMarco? Przypadek? Los? Miłość? Chęć otrzymania darmowego kuponu w ramach pomocy dla wielodzietnych rodzin? Czy jej życie ułożyło się źle od samego poczęcia, czy może problemy pojawiły się później, jak nalot, który powoli pokrywa początkowo błyszczący i jasny srebrny wyrób.

Przesunęła wzrok na zdjęcie Emily stojące w rogu półki. Piękne, młode życie, pełne perspektyw na przyszłość. Czy Angie kiedykolwiek wyglądała równie niewinnie, czy też w jej oczach zawsze była widoczna gorycz, spowodowana ponurą egzystencją?

„Lepiej by się złożyło dla niej, gdyby ją wyskrobali w pierwszych tygodniach ciąży”.

Jednak Angie DiMarco wiodła swe smutne życie, podczas gdy Emily odeszła.

Kate poderwała się z krzesła i zaczęła chodzić tam i z powrotem po swym maleńkim gabinecie. Bała się, że tylko cud może uchronić ją od utraty zmysłów jeszcze tego samego dnia.

Spodziewała się cały czas wezwania do gabinetu Sabina lub co najmniej do gabinetu Marshalla na formalną połajankę za to, co powiedziała poprzedniego wieczoru na parkingu. Jednak, jak do tej pory, nikt jej nie wzywał. Usiłowała odepchnąć od siebie myśli o tym, że Angie nie żyje, starając się czymś zająć, dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Jednak za każdym razem, kiedy chociaż trochę zwalniała tok myślenia, słyszała nagrane na taśmie krzyki.

Z kolei za każdym razem, kiedy próbowała myśleć o czymś innym, zaczynała myśleć o Quinnie.

Nie chciała zaprzętać sobie nim głowy, więc usiadła znowu, chwyciła słuchawkę telefonu i wybrała kolejny numer. Musiała zająć się innymi klientami, to znaczy przynajmniej dopóty, dopóki Marshall jej nie wyrzuci. Zadzwoiła do Davida Willisa i wysłuchała bardzo długiej, przesadnie szczegółowej instrukcji na temat, jak zostawić wiadomość na jego automatycznej sekretarce. Potem z podobnym rezultatem usiłowała porozumieć się ze swoją klientką, ofiarą gwałtu, a kiedy zadzwoniła do jej miejsca pracy, kierownik księgarni dla dorosłych poinformował ją, że Melanie Hessler została wyrzucona z pracy.

– Od kiedy? – zapytała Kate.

– Od dzisiaj. Ma za dużo nieobecności.

– Ona cierpi z powodu stresu posttraumatycznego – oburzyła się Kate. – Z powodu przestępstwa popełnionego przeciwko niej na terenie należącym do pana, mogę dodać.

– To nie była nasza wina.

– Sądy uznają stres posttraumatyczny za stan powodujący niezdolność do pracy i dlatego takie sytuacje podlegają przepisom pracy chronionej – rzuciła poruszona tą niesprawiedliwością, niemal zadowolona z tego, że może kogoś zaatakować. – Jeżeli będzie pan dyskryminował Melanie z powodu jej niezdolności do pracy, to ona może wnieść sprawę o odszkodowanie i zrujnować pana.

– Słuchaj, paniusiu. Może zanim zaczniesz straszyć ludzi, powinnaś najpierw porozmawiać z Melanie, bo mnie się nie wydaje, żeby ona była z tego powodu niezadowolona. Od tygodnia nawet się do mnie nie odezwała.

– Zdawało mi się, że pan ją wyrzucił.

– Tak. Zostawiłem jej informację na automatycznej sekretarce.

– Wyrzucił ją pan, zostawiając w tej sprawie informację na sekretarce? Co z pana za

parszywy tchórz!

– Taki tchórz, który ma dość rozmowy z tobą – odwarknął, trzaskając słuchawką.

Kate odłożyła swoją próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz rozmawiała z Melanie Hessler. Nie więcej niż tydzień temu. Jeszcze przed sprawą Krematora. Od tamtej pory nie dzwoniła do niej, zaabsorbowana przez Angie całkowicie. Zdawała sobie sprawę z tego, że minęło trochę za wiele czasu. Melanie telefonowała coraz częściej wraz z przybliżaniem się terminu rozprawy, gdyż była z każdym dniem bardziej nią przejęta.

„Od tygodnia nawet się do mnie nie odezwała” – powiedział kierownik księgarni.

Może wyjechała z miasta, ale przecież chyba dałaby jej znać? Meldowała się u niej, niczym u kuratora nadzorującego wypuszczonych warunkowo więźniów. Coś tu było nie tak. W swojej niezgłębionej mądrości sąd uznał za właściwe zwolnić za kaucję ludzi, którzy napadli Melanie, ale policja miała na nich oko i prowadzący sprawę detektyw kontrolował sytuację.

Po prostu zaczęłam się bać wszystkiego z powodu Angie, pomyślała Kate, chociaż pewnie nie ma powodów do obaw.

Mimo to usłuchała swojego instynktu, podniosła znowu słuchawkę i wybrała numer detektywa z sekcji przestępstw na tle seksualnym. On też nie miał żadnego kontaktu z Melanie, ale wiedział przynajmniej, że jeden z oskarżonych w jej sprawie został zatrzymany podczas weekendu za pobicie swojej dawnej dziewczyny. Kate wytłumaczyła mu, o co chodzi, i poprosiła, żeby zajrzał do domu Melanie, aby sprawdzić, co się z nią dzieje.

– Podjadę tam po lunchu – obiecał.

– Dziękuję, Bernie. Równy z ciebie gość. Pewnie jestem przesadnie podejrzliwa, ale...

– To, że jesteś przesadnie podejrzliwa, wcale nie znaczy, że coś złego się nie stanie.

– Racja. A ostatnio nie mam zbyt wielkiego szczęścia.

– Trzymaj się, Kate. Zawsze może być gorzej.

Policyjne poczucie humoru. Tego dnia nie była w stanie uznać takich żartów za zabawne.

Usiłowała zająć się leżącym przed nią stosem papierów, ale po chwili zrezygnowała i wydobyla teczkę Angie. Miała nadzieję, że znajdzie w niej coś, co podsunie jej jakiś pomysł konkretnego działania. Czowała, że jeśli będzie siedziała w swoim pokoju i tylko czekała, to dostanie pomieszania zmysłów.

Teczka Angie była żałośnie cienka. Więcej pytań niż odpowiedzi. Czy mogła opuścić Phoenix House sama? Jeżeli tak, to skąd pochodziła krew? Przypomniała sobie widok łazienki: krwawy odcisk dłoni na glazurze, rozwodniona krew spływająca do otworu,

zakrwawione ręczniki w pojemniku. Nie można było w żaden rozsądny sposób wytłumaczyć tak wielkiej ilości krwi.

Ale jeżeli Joe Podpalacz przyszedł tam po nią, to jak ją znalazł i jak to było możliwe, żeby Rita Renner nic nie słyszała? Żadnego skrzypnięcia drzwi, odgłosów szarpaniny, w ogóle nic?

Więcej pytań niż odpowiedzi.

Kiedy zadzwonił telefon, podniosła słuchawkę, częściowo z nadzieją, a częściowo w obawie, że to dzwoni Kovac z informacjami na temat wyników sekcji zwłok ofiary numer cztery.

– Kate Conlan – rzuciła.

Wyćwiczony głos sekretarki przekazał jej nieprzyjemną, chociaż inną, niż się spodziewała, informację.

– Pani Conlan? Pan Sabin prosi panią zaraz do swego gabinetu.

– Więc czy ten sierżant Kovac przyjdzie, czy nie?

Liska rzuciła okiem na zegarek, chodząc tam i z powrotem po pokoju przesłuchań. Było prawie południe i wewnątrz panowało nieznośne gorąco. Vanlees czekał już całą godzinę i wcale nie był tym zachwycony.

– Jest w drodze. Powinien tu być lada moment. Zadzwoiłam do niego od razu, jak tylko powiedziałeś, że przyjdiesz porozmawiać, Gil. On naprawdę chce poznać twoją opinię na temat Jillian. Ale wiesz, miał być przy sekcji zwłok tej kobiety, która się spaliła wczoraj wieczorem. Dlatego się spóźnia. Nie bój się, to już długo nie potrwa.

Już ze trzy razy tak go zapewniała i wyraźnie było po nim widać, że ma tego dość.

– No dobrze, wie pani, że chcę pomóc, ale praca na mnie czeka – odparł.

Siedział po drugiej stronie stołu w swoim roboczym ubraniu: granatowych spodniach i koszuli. Wyglądał jak dozorca. Albo jak policjant w mundurze pozbawionym wszelkich odznak.

– Dzisiaj po południu mam robotę...

– O, już to załatwiłam – powiedziała, robiąc ręką uspokajający gest. – Zadzwoiłam do twojego szefa i wyjaśniłam to. Nie chciałam, żebyś miał kłopoty tylko dlatego, że spełniasz swój obywatelski obowiązek.

Mina Vanleesa świadczyła o tym, że taka rola też nie bardzo mu się podoba. Co chwila poprawiał się na krześle.

– Wie pani, mamy takie same w naszym biurze w Target Center – powiedział, patrząc na lustro umieszczone za jej plecami. – Jest tam ktoś po drugiej stronie?

Liska zrobiła niewinną minę.

– A po co miałby być? Przecież nie jesteś aresztowany. Przyszedłeś nam pomóc.

Vanlees patrzył w milczeniu w lustro.

Liska obróciła się i również spojrzała na nie, myśląc o tym, jak wygląda w oczach Quinna. Pewnie jak jakaś barowa panienska w pełnym dymu lokalu. Jeżeli te worki pod oczami chociaż trochę się powiększą, to będę musiała je wozić na wózku, pomyślała. Środek śledztwa w sprawie morderstwa nie jest najlepszym momentem, żeby próbować kogoś uwieść

swoim atrakcyjnym, świeżym wyglądem, zakpiła z siebie w duchu.

– Więc słyszałeś o naszej czwartej ofercie? – powiedziała, odwracając się znowu do Vanleesa. – Ten facet jest bardzo odważny, skoro podpalił ją na tym parkingu, co?

– Tak jakby chciał coś w ten sposób przekazać.

– Jest arogancki. Tak mówi Quinn. Joe Podpalacz gra nam na nosie.

– Joe Podpalacz? – powtórzył Vanlees, marszcząc brwi. – Myślałem, że nazywacie go Kremator.

– To prasa tak go nazywa. Dla nas on jest Joe Podpalacz – wyjaśniła, pochylając się ku niemu, żeby stworzyć wrażenie poufałości. – Nie mów nikomu, że ci powiedziałam. To ma być taka wewnętrzna policyjna ksywka, no wiesz.

Vanlees skinął głową, przyświadczać, że nie są mu obce obyczaje policyjnego świata. W sposób naturalny traktował zawodowe sekrety. Profesjonalista.

– Ona jest dobra – powiedział Quinn, obserwując tę scenę z drugiej strony lustra.

Stał tam z Kovacem od dwudziestu minut, czekając cierpliwie, kiedy nerwy Vanleesa dadzą o sobie znać.

– Tak. Nikt się nie spodziewał, że nasz Dzwoneczek potrafi go przerobić – odparł Kovac, pociągając nosem i krzywiąc się. – Jezu, ale śmierdzą. Woda kolońska, sekcja zwłok i kupa dymu. Więc co myślisz o tym gościu?

– Jest niespokojny. Myślę, że możemy go trochę postraszyć, a potem przypiąć mu od razu ogon. Zobaczymy, co zrobi. Jeżeli będzie dostatecznie spietryany, to może się uda znaleźć pretekst do rewizji – odparł Quinn, nie spuszczać oczu z Vanleesa. – Pasuje pod wieloma względami, ale to nie jest nasz faworyt, prawdą?

– Może po prostu udaje głupiego, żeby ludzie się po nim nie spodziewali pewnych rzeczy. Widziałem to wiele razy.

Quinn mruknął coś niezrozumiale w odpowiedzi. Wiedział, że morderca, jakiego szukali, robi zawsze, co może, by pochwalić się, jaki jest inteligentny. Próżność jest podstawową cechą takich przestępców. Nigdy jednak nie są aż tak sprytni, jak by chcieli, i wpadają, usiłując się popisać przed policją.

– Powiedz mu, że wiesz o tym podglądaniu – polecił Quinn. – Przyciśnij go w tej sprawie. To faceta ruszy. Nie będzie mu się podobało, że policja uważa go za dewianta. I jeżeli on postępuje według utartych schematów, jeżeli podgląda przez okna, to może też włamywał się, żeby zdobyć jakieś fetysze. Tacy faceci posuwają się do coraz bardziej konkretnych działań. Popróbuj trochę pod tym kątem. Postaraj się wytrącić go z równowagi. Niech myśli, że możesz zrobić coś głupiego, że walczysz sam ze sobą, żeby zapanować nad

swoimi emocjami. Daj mu do zrozumienia, że cała ta sprawa i inteligencja zabójcy doprowadzają cię do desperacji. Tylko to zasugeruj, nie mów tego wprost. Puść w ruch wszystkie swoje umiejętności aktorskie.

Kovac poluzował krawat i potargał sobie włosy.

– Aktorskie? Będziesz mi, kurwa, jeszcze chciał przyznać Oscara.

– Czy wiadomo, kim jest ta ofiara? – zapytał Vanlees.

– Podobno znaleźli jej dowód tożsamości w czasie sekcji zwłok – odparła Liska. – Kovac nie chciał mi tego wprost powiedzieć, tylko mówił, że na samą myśl o tym robi mu się niedobrze. Gadał, że chce dorwać tego chorego sukinsyna i dać mu wycisk.

– To było w jej zwłokach? – zapytał Vanlees z mieszaniną przerażenia i fascynacji. – Czytałem kiedyś o takim przypadku.

– Czytasz magazyny kryminalne?

– Trochę – przyznał ostrożnie. – Daje mi to możliwość szerszego spojrzenia.

Na co? – zadała sobie w myślach Liska.

– Tak, ja robię to samo. I co tam opisywano?

– Jego matka była prostytutką, więc nienawidził prostytutek i zabijał je. Zawsze coś wsadzał w ich... – przerwał, czerwieniąc się – No...

– W pochwę? – podpowiedziała Liska obojętnie.

Vanlees odwrócił od niej wzrok i znowu poprawił się na krześle.

– Tu naprawdę jest gorąco.

Wziął do ręki szklanę, ale była pusta, tak samo jak stojący na stole plastikowy dzbanek.

– Więc jak myślisz, co on z tego miał? – zapytała Liska, przyglądając mu się uważnie.

– Z tego, że wkładał jakieś rzeczy kobietom do pochwy. Czul się wtedy twardy? Silny? Co? A może chciał im okazać swój brak szacunku? Takie rzeczy zawsze mi się kojarzą z czymś, co mógłby zrobić jakiś zasmarkany gówniarz, oczywiście gdyby wiedział, co to jest pochwa. To wkładanie sobie ziaren fasoli do nosa albo chęć wydlubania oka leżącemu na ulicy kotu. Zwykle szczeniackie zachowanie, ale nieraz widzę, jak dorośli mężczyźni robią takie rzeczy. A jaka jest twoja opinia w tej sprawie, Gil?

Vanlees skrzywił się. Pojedyncza kropla potu spływała mu po policzku.

– Nie mam żadnej opinii.

– E, na pewno masz, po tych wszystkich lekturach i artykułach na temat przestępstw. Postaw się na miejscu zabójcy. Dlaczego miałbyś chcieć wkładać jakieś przedmioty kobiecie

do pochwy? Dlatego, że nie jesteś w stanie włożyć tam swojego kutasa? Czy o to może chodzić?

Vanlees zaczerwienił się. Ciągłe unikał jej wzroku.

– Chyba Kovac powinien tu już być.

– Jeszcze chwileczkę.

– Muszę iść do toalety – oznajmił.

W tym samym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i wszedł Kovac. Miał potargane włosy, poluzowany krawat, a wygnieciony garnitur leżał na nim jak mokry worek. Popatrzył niechętnym wzrokiem na Liskę, a potem na Vanleesa.

– To on?

Liska skinęła głową.

– Gil Vanlees, sierżancie Kovac – potwierdziła.

Vanlees wstał, by podać mu rękę, ale Kovac spojrział tylko na jego dłoń, jakby była pokryta ekskrementami.

– Cztery kobiety zostały porąbane jak dynie na Halloween i spalone na węgiel. Nie mam nastroju na opieprzanie się. Gdzie byłeś wczoraj między dziesiątą wieczorem a drugą w nocy?

Vanlees zrobił taką minę, jakby ktoś uderzył go w twarz.

– Co...

– Sam – wtrąciła z irytacją Liska. – Pan Vanlees przyszedł tutaj, żeby podzielić się z nami opinią...

– Chcę usłyszeć jego opinię na temat tego, co się działo między dziesiątą a drugą. Gdzie byłeś?

– W domu?

– Gdzie w domu? Z tego, co wiem, twoja żona wyrzuciła cię z domu za pokazywanie kutasa jej koleżance.

– To było nieporozumienie...

– Nieporozumienie pomiędzy tobą a twoim kutasem czy może pomiędzy tobą a tą panienką, w której okna zaglądałeś?

– To nie było w ten sposób.

– To nigdy nie jest w ten sposób. Ile czasu spędzałeś, zaglądając w okna Jillian Bondurant?

Twarc Vanleesa była już całkiem czerwona.

– Ja nie...

– Daj spokój. Niezła z niej była sztuka, nie? Taka egzotyczna. Ubierała się trochę prowokująco w te przeświecające sukieneczki i wojskowe buty, obroże na szyję i takie tam głupoty. Każdy facet ma ochotę coś z tego uszczknąć, szczególnie jak mu w domu wystygło, wiesz, co mam na myśli?

– Nie podoba mi się to, co pan mówi – powiedział Vanlees i spojrzał na Liskę. – Czy potrzebuję adwokata? Czy powinienem tu być z adwokatem?

– Jezu, Sam – rzuciła poruszona Liska. – Przepraszam, Gil.

– Nie przepraszaj za mnie! – warknął Kovac.

Vanlees spoglądał na przemian to na Liskę, to na Kovaca.

– O co tu chodzi? Zabawa w dobrego i złego policjanta? Nie jestem głupi. Nie muszę wysłuchiwać tych bzdur.

Zaczął się podnosić z krzesła, ale Kovac rzucił się ku niemu z wściekłym wyrazem twarzy, wyciągając jedną rękę ku niemu, a drugą waląc blat stołu.

– Siadać! Proszę!

Vanlees opadł na krzesło z pobielającą twarzą. Pokazując, że stara się zapanować nad nerwami, Kovac cofnął się nieco, opuszczając głowę. Oddychał ciężko ustami.

– Proszę – powtórzył ciszej, podnosząc ręce. – Proszę. Siadać. Przepraszam. Przepraszam.

Bez słowa zaczął chodzić tam i z powrotem między stołem i drzwiami, zerkając na Vanleesa spod oka. Vanlees patrzył na niego jak na rozjuszonego goryla, z którym przypadkiem się znalazł w zamkniętej klatce w zoo.

– Czy potrzebuję adwokata? – zapytał znowu.

– Do czego ci potrzebny adwokat, Gil? Z tego, co wiem, nie zrobiłeś nic złego. Nie jesteś aresztowany. Ale jeśli sądzisz, że potrzebujesz...

Vanlees spoglądał na przemian na nich oboje, usiłując się zorientować, czy jest to może jakiś chwyt.

– Przepraszam – powtórzył jeszcze raz Kovac, przysuwając do stołu krzesło i siadając na nim.

Pokręcił głową, wyjął z kieszeni koszuli papierosa, zapalił go i zaciągnął się głęboko.

– Spałem w tym tygodniu około trzech godzin – powiedział, wydychając chmurę dymu. – Właśnie wróciłem z jednej z najgorszych sekcji zwłok, jakie widziałem od lat. – Pokiwał głową i zapatrzył się w blat stołu. – To, co ta kobieta przeszła...

Zamilkł, paląc papierosa, jakby znalazł się z nimi w palarni podczas przerwy w pracy. W końcu zgasił go o podeszwę buta i wrzucił niedopałek do pustej filiżanki. Przetarł twarz

dłońmi i przyglądał kciukami wąs.

– Więc gdzie teraz mieszkasz, Gil?

– Przy Lyndale...

– Nie. Chodzi mi o ten dom, którego pilnujesz. Gdzie to jest?

– Koło jeziora Harriet.

– Będziemy potrzebowali adresu. Daj go Nikkie przed wyjściem. Od jak dawna to robisz, to znaczy, od kiedy opiekujesz się tym domem?

– Od czasu do czasu. Właściciel dużo podróżuje.

– Czym się zajmuje?

– Importuje elektronikę i sprzedaje przez Internet. Komputery, wieże stereofoniczne i takie tam rzeczy.

– Więc dlaczego po prostu nie zamieszkaż tam na stałe i nie zrezygnujesz z mieszkania?

– On ma dziewczynę. Mieszkają razem.

– Ona tam jest?

– Nie. Podróżuje razem z nim.

– A co z tobą, Gil? Spotykasz się z kimś?

– Nie.

– Nie? Już od jakiegoś czasu jesteś z żoną w separacji. Mężczyzna ma swoje potrzeby.

– A myślisz, że kobieta nie ma? – wtrąciła niezadowolonym tonem Liska.

Kovac spojrział na nią z irytacją.

– Dzwoneczku, twoje potrzeby są znane wszystkim. Czy mogłabyś poudawać przez minutę, że nie jesteś kobietą wyzwoloną i przynieść nam wody? Gorąco tu jak w piekle.

– Mnie nie przeszkadza gorąco – odparła – ale ty śmierdzisz tak, że zrobiłoby się niedobrze szczerowi ściekowemu. Jezu, Sam.

– Przynieś wody – powtórzył, zsuwając z siebie marynarkę na oparcie krzesła.

Liska wyszła, mrużąc coś pod nosem, odprowadzana zaniepokojonym wzrokiem przez Vanleesa.

– Przepraszam za ten smród – powiedział Kovac. – Jeśli kiedykolwiek chciałeś wiedzieć, jak czuć spalone zwłoki, to masz teraz okazję. Weź głęboki oddech.

Vanlees patrzył na niego, siedząc nieruchomo.

– Nie odpowiedziałeś mi na pytanie, Gil. Płacisz za to? Lubisz dziwki? Dużo ich widzisz tam, gdzie pracujesz. Jak im się odpowiednio zapłaci, to zrobią, co chcesz. Niektóre pozwolą się nawet trochę stłuc, jeśli klient tego chce. Dać się związać i inne takie rzeczy.

– Detektyw Liska powiedziała, że chciał pan rozmawiać o paninie Bondurant – odparł sztywno Vanlees. – Nie wiem nic o tych innych morderstwach.

Kovac podwinął rękawy koszuli i spojrzał na niego przenikliwie.

– Ale wiesz coś o morderstwie Jillian?

– Nie! Nie o to mi chodziło.

– A co wiesz o Jillian, Gil?

– Tylko jak się zachowywała w Edgewater, to wszystko. Moje wrażenia na jej temat.

Coś takiego.

Kovac pokiwał głową i odchylił się na krześle.

– Więc jaka była? Leciała na ciebie?

– Nie! Przeważnie patrzyła pod nogi. Nie mówiła dużo.

– Nie rozmawiała z nikim czy po prostu z tobą? Może nie była zadowolona, że się jej przyglądasz, Gil – powiedział, poruszając znowu drażliwy temat.

Krople potu pokryły czoło Vanleesa.

– Nie podglądałem jej.

– Flirtowałeś z nią? Zalecałeś się do niej?

– Nie.

– Miałeś klucz do jej domu. Wchodziłeś tam, kiedy jej nie było?

– Nie! – zaprzeczył Vanlees, unikając jego wzroku.

Kovac postanowił wykorzystać kolejną wskazówkę Quinna.

– A grzebałeś w jej szufladzie z bielizną? Może wzięłeś coś na pamiątkę?

– Nie! – zawołał Vanlees, odsuwając krzesło i zrywając się na nogi. – To wszystko mi się nie podoba. Przyszedłem tutaj, żeby wam pomóc. Nie powinniście mnie traktować w ten sposób.

– Więc pomóż mi, Gil – powiedział Kovac, wzruszając nonszalancko ramionami. – Powiedz mi coś, co będę mógł wykorzystać. Czy kiedykolwiek widziałeś, żeby przychodził do niej jakiś facet?

– Nie. Tylko ta jej koleżanka. Michele. I ojciec. Przychodził czasami. On jest właścicielem tego domu, wie pan.

– Tak, tak przypuszczałem. Ten facet jest bogaty jak Rockefeller. Czy myślałeś kiedykolwiek, że ta sprawa z Jillian to może być porwanie? Może ktoś chciał się dostać do forsy tatuśka, że tak powiem. Widziałeś, żeby kręciły się tam jakieś podejrzone typy? Może ktoś obserwował jej dom.

– Nie.

– Ale ty kręciłeś się tam wystarczająco często, żeby to zauważyć, prawda?

– Pracuję tam.

– Niezupełnie, ale cóż, skoro tak mówisz, to masz pretekst, żeby tam być, sprawdzić mieszkanie, a może podprowadzić trochę bielizny.

Vanlees był już purpurowy na twarzy.

– Wychodzę – oświadczył.

– Przecież dopierośmy zaczęli – zdziwił się Kovac.

Drzwi do pokoju otworzyły się i pojawiła się w nich Liska z dzbankiem wody, a za nią Quinn, który przytrzymał drzwi, gdy wchodziła. W przeciwieństwie do Kovaca, wyglądał elegancko i świeżo, z wyjątkiem ciemnych obwódok pod oczami, pod którymi rysowały się głębokie bruzdy. Jego twarz wyglądała jak twarda, nieprzenikniona maska. Wziął papierowy kubek od Liski, napełnił go wodą i wypił ją powoli. Przez cały ten czas Vanlees nie spuszczał z niego oka.

– Panie Vanlees, jestem John Quinn z FBI – powiedział w końcu, wyciągając rękę.

Vanlees pośpiesznie podał mu swoją. Jego szeroka dłoń o krótkich, grubych palcach była lepka od potu.

– Czytałem o panu. To zaszczyt pana spotkać.

Usiadł znowu na swoim miejscu, Quinn zaś przeszedł na drugą stronę stołu, zdjął marynarkę i powiesił ją starannie na oparciu krzesła, a potem pogładził swój szary jedwabny krawat i usiadł.

– Wie pan coś nieco o mnie, panie Vanlees?

– Tak, trochę.

– Więc prawdopodobnie ma pan jakąś orientację w tym, jak funkcjonuje mój umysł – oświadczył Quinn. – Prawdopodobnie wie pan, jakie wnioski mogę wyciągnąć, analizując historię człowieka, który chciał być policjantem, ale mu się to nie udało. Człowieka, który ma za sobą incydenty z podglądaniem kobiet przez okna i kradzież na tle skłonności fetyszystycznych...

– Ja nie, ja nie...

Liska wzięła do ręki leżący na stole aparat marki Polaroid i szybko zrobiła mu zdjęcie.

Vanlees podskoczył, gdy błysnęła lampa.

– Hej! – zaprotestował.

– Człowieka, którego żona wyrzuciła z domu, bo ma negatywne zdanie o jego możliwościach seksualnych – ciągnął Quinn.

– Co? Co powiedziała? – wyrzucił z siebie Vanlees. – Jego mina wyrażała teraz

mieszanię cierpienia, zakłopotania i niedowierzania. Wyglądał jak człowiek nagle wyrwany z sennego koszmaru. Znowu wstał z krzesła i zaczął chodzić w tę i z powrotem. Plamy potu pojawiły się pod pachami jego ciemnej koszuli. – Nie wierzę w to!

– Znał pan Jillian Bondurant – ciągnął Quinn beznamiętnym tonem. – Podglądał ją pan?

Vanlees znowu pokręcił głową, nadal chodząc tam z powrotem ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Nie podglądałem. Nie obchodzi mnie, co wam powiedziała ta dziwka.

– Która dziwka? – zapytał spokojnie Quinn.

Vanlees zatrzymał się i spojrzał na niego.

– Ta jej koleżanka. Mówiła coś o mnie, prawda?

– Ta koleżanka, której nazwiska nie znałeś? – wtrąciła Liska, stojąc z surową miną pomiędzy Quinnem a Kovacem.

– Mówiłeś mi, Gil, że nie znasz tej dziewczyny, ale niecałe pięć minut temu podałeś jej imię. Michele. Michele Fine. Dlaczego mnie okłamałeś, że jej nie znasz?

– Nie kłamałem. Nie znam jej. Po prostu wtedy jej nazwisko umknęło mi z pamięci, to wszystko.

– Więc skoro okłamałeś mnie w tak drobnej sprawie, ciekawe, co jeszcze było kłamstwem – powiedziała Liska.

Vanlees obrzucił ich gniewnym spojrzeniem. Był czerwony na twarzy, w oczach świeciły mu się łzy, a usta drżały ze złości.

– Pieprzę was wszystkich. Nic na mnie nie macie. Wychodzę. Przyszedłem tu, żeby wam pomóc, a wy mnie traktujecie jak zwykłego przestępcę. Pieprzę was!

– Niech się pan nie ocenia zbyt surowo, panie Vanlees – powiedział Quinn. – Jeżeli pan jest tym człowiekiem, którego szukamy, to nie ma w panu nic zwykłego.

Vanlees nie odpowiedział. Nie zatrzymywany przez nikogo wypadł gwałtownie z pokoju i przyspieszył w holu, kierując się do męskiej toalety.

Kovac odprowadził go wzrokiem, opierając się o gałkę u drzwi.

– Drażliwy facet.

– Niemal jakby był jakiś powód, żeby czuł się winny – powiedziała Liska i spojrzała na Quinna. – Co o tym myślisz?

Vanlees otworzył ramieniem drzwi męskiej toalety, sięgając jednocześnie drugą ręką do rozporka. Patrząc za nim, Quinn poprawił węzeł krawata i przyglądał go dłonią.

– Myślę, że pójdę się odświeżyć.

W męskiej toalecie unosił się świeży odór ekskrementów. Przy pisuarach nie było nikogo, za to pod drzwiami jednej z kabin widać było parę czarnych butów na grubej podeszwie. Quinn podszedł do umywalki, odkręcił kran, nabrał wody w dłoń i przetarł sobie twarz. Rozległ się dźwięk spluczki i z kabiny wyszedł spocony i blady Vanlees. Zastygł bez ruchu na widok Quinna.

– Wszystko w porządku, panie Vanlees? – zapytał Quinn troskliwie, wycierając ręce papierowym ręcznikiem.

– Pan mnie dręczy – rzucił Vanlees.

Quinn uniósł pytająco brwi.

– Wycieram ręce.

– Przyszedł pan tu za mną.

– Tylko po to, żeby zobaczyć, czy nic ci nie jest, Gil – Quinn przeszedł na bardziej poufały ton, zdając się mówić: „Przecież jesteśmy kolegami”. – Wiem, że jesteś zdenerwowany. Nie winię cię za to. Ale chcę, żebyś sobie zdawał sprawę z tego, że to nie jest żadna osobista rozgrywka. Nie chodzi mi o ciebie, tylko o zabójcę. Muszę zrobić to, co jest konieczne, żeby go znaleźć. Rozumiesz, prawda? Chodzi mi o prawdę i o sprawiedliwość, ni mniej, ni więcej.

– Nic nie zrobiłem Jillian – powiedział Vanlees pokornym tonem. – Nie mogłbym tego zrobić.

Quinn wcale się nie spodziewał, żeby seryjny zabójca przyznał się do czegokolwiek. Wielu takich ludzi mówiło o tym, co zrobili w trzeciej osobie, nawet wtedy, kiedy już bez żadnych wątpliwości udowodniono im winę. Wielu z nich opowiadało o tej części swojej osobowości, która była zdolna do popełniania morderstw, jak o jakiejś oddzielnej istocie. Quinn nazywał to syndromem złego bliźniaka. Coś takiego umożliwiało przestępcom z jakimiś resztkami sumienia racjonalizację swych czynów, odsuwanie od siebie winy i obarczanie nią ciemnej strony swojej natury.

Ten Gil Vanlees, który stał przed nim, nie mógł nikogo zabić. Ale czy to samo było prawdą, jeżeli chodzi o jego ciemną stronę?

– Czy znasz kogoś, kto mógłby skrzywdzić Jillian, Gil? – zapytał.

Vanlees skrzywił się, patrząc mu pod nogi.

– Nie.

– Cóż, weź to na wypadek, gdybyś ktoś ci przyszedł do głowy – powiedział Quinn, podając mu wizytówkę.

Vanlees wziął ją niechętnie i obejrzał ją z przodu i z tyłu, jakby sprawdzał, czy w

papierze nie ma jakiegoś ukrytego mikroskopijnego urządzenia naprowadzającego.

– Musimy powstrzymać tego zabójcę, Gil – powiedział Quinn, nie odrywając od niego wzroku. – To jest zły, bardzo zły człowiek i ja zrobię wszystko, co będę musiał, żeby go usunąć. Niezależnie od tego, kim on jest.

– W porządku – mruknął Vanlees. – Mam nadzieję, że pan tak zrobi.

Wsunął wizytówkę do kieszeni na piersiach i wyszedł z toalety, nie myjąc rąk. Quinn nachmurzył się i odwrócił z powrotem do umywalki. Spojrzał uważnie w lustro, jakby spodziewał się odkryć w swej twarzy jakiś znak, jakąś sekretną wiedzę o tym, że Gil Vanlees jest właśnie tym człowiekiem.

Miał do dyspozycji wszystkie znane elementy układanki. Gdyby tylko pasowały do siebie... Gdyby policja zdołała znaleźć choć jeszcze jeden dowód rzeczowy...

Po chwili w toalecie pojawił się Kovac. Cofnął się, poczuwszy unoszący się w powietrzu zapach.

– Jezu! Co ten facet jadł na śniadanie? Padlinę?

– To nerwy – wyjaśnił Quinn.

– Poczekaj, aż zauważy, że gdzie się tylko obróci, to ma na ogonie policjanta.

– Miejmy nadzieję, że będzie próbował zwiać. Jeżeli uda się wam dostać do jego samochodu, możecie trafić w dziesiątkę. Ale możliwe też, że facet jest po prostu kolejnym żalonym patałachem, któremu tego i owego brakuje, żeby kogoś zabić. A tymczasem prawdziwy Joe Podpalacz siedzi sobie teraz i trzepie kapucyna, słuchając swoich kaset.

– A propos kaset, dzwonił ten spec z BCA – oznajmił Kovac. – Pobawił się z tym nagraniem i myśli, że możemy zechcieć go posłuchać.

– Udało mu się wyłować głos mordercy?

– Morderców, w liczbie mnogiej – odparł Kovac. – Myśli, że są to dwie osoby. I wiesz co? Według niego, jednym z nich jest kobieta.

Wchodząc do gabinetu Sabina, Kate pomyślała, że minęło zaledwie parę dni od spotkania, które zdecydowało o jej udziale w tej sprawie. W pewnym sensie tych parę dni zdawało się rokiem, gdyż jej życie uległo przez ten czas diametralnej zmianie. W dodatku to jeszcze nie był koniec. Do końca było jeszcze daleko.

Na jej widok Sabin i Marshall wstali z krzeseł. Sabin wyglądał na zmęczonego i przygnębionego, Marshall za to był uosobieniem świeżości. Jego małe oczka błyszcząły w przypominającej dynię głowie. Wyglądał tak, jakby miał temperaturę. Gorączkę wynikającą ze świętego oburzenia.

– Więc gdzie jest ten facet w czarnym kapturze i z toporem? – zapytała Kate, stając za przeznaczonym dla niej krzesłem.

Sabin skrzywił się, jakby właśnie pomieszała ma szyki.

– Widzisz? – odezwał się Marshall, spoglądając na niego. – Właśnie o tym mówiłem!

– Kate, to nie jest szczególnie odpowiednia pora na dowcipy – odezwał się Sabin.

– A czy ja żartowałam? Udało mi się stracić jedyne świadka w najpoważniejszym śledztwie, jakie kiedykolwiek prowadzono w naszym mieście. Nie potraktujesz mnie surowo? Po ostatniej nocy jestem zaskoczona, że Rob nie ma w rękach topora.

– Nie wyobrażaj sobie, że nie chciałbym tego – odezwał się Marshall. – Za wiele sobie pozwalasz, Kate. Mam dość twojego zachowania w stosunku do mnie. Nie okazujesz mi ani odrobiny szacunku.

Kate spojrzała na Sabina, ignorując wypowiedź Marshalla.

– Więc?

– Musiałem interweniować, Kate – oznajmił Sabin, zajmując swoje miejsce. – Sytuacja jest bardzo napięta. Wszyscy są skrajnie podenerwowani.

– Ale ona zawsze traktuje mnie w ten sposób!

– Przestań jęczeć, Rob – rzucił Sabin. – Ona jest przy okazji najlepszym opiekunem, jakim dysponujesz. Wiesz o tym. Polecieś ją do tej sprawy z konkretnych powodów.

– Czy muszę ci przypominać, że już nie mamy świadka?

– Nie, nie musisz mi tego przypominać – odparł Sabin, patrząc na niego z gniewem.

– To ja byłam odpowiedzialna za Angie – powiedziała Kate. – Nikomu nie jest bardziej przykro z powodu tego, co się stało, niż mnie. Gdybym mogła uczynić cokolwiek, gdybym mogła cofnąć się do wczoraj i zrobić coś inaczej...

– Osobiście odwiozłaś ją do Phoenix. Zgadza się? – zapytał Sabin prokuratorskim tonem.

– Tak.

– I dom był pod obserwacją policji. Tak?

– Tak.

– Więc to ich obarczam winą za ten koszmar. Niezależnie od tego, co się stało z tą dziewczyną, czy została uprowadzona, czy odeszła z własnej woli, to jest ich wina, a nie twoja.

Kate zerknęła na zegarek. Sekcja zwłok na pewno już dawno się zakończyła. Jeżeli znaleziono by jakikolwiek wyraźny dowód na to, że w samochodzie spłonęły zwłoki Angie, Sabin już by o tym wiedział.

– Chcę, żebyś była nadal do dyspozycji w tej sprawie, Kate...

– A czy wiadomo... zaczęła, ale serce przyspieszyło jej tak bardzo, gdy usiłowała wydobyć z siebie to pytanie, jakby odpowiedź zależna była od tego, jak ona je sformułuje. – Ta osoba w samochodzie, czy wiesz na ten temat coś konkretnego?

Marshall popatrzył na nią niechętnie.

– O, czyżby żaden z twoich kumpli w policji nie zadzwonił z prosektorium?

– Na pewno są dzisiaj trochę zajęci.

– W czasie sekcji zwłok znaleziono prawo jazdy ofiary.

Zaczerpnął tchu, żeby przekazać tę informację szybko i zwięźle, ale jakby się zawahał. Widząc to, Kate poczuła, jak jej nerwy się napinają.

– Może powinnaś usiąść, Kate – powiedział Marshall nagle zatroskany.

– Nie – powiedziała. – Zimne dreszcze już przenikały jej ciało od stóp do głów, pozostawiając na nim gęsią skórkę. Zaciśnęła palce na oparciu krzesła. – Po co?

Marshall już nie miał zarozumiałej ani rozgniewanej miny. Jego wyraz twarzy był w wystudiowany sposób neutralny.

– Tą ofiarą była Melanie Hessler. Twoja klientka.

– Przykro mi – powiedział Marshall.

Jego głos brzmiał tak, jakby dobiegał z dużej odległości. Kate poczuła, jak cała krew odpływa jej z twarzy, a nogi nagle miękną pod nią. Osunęła się na jedno kolano, nadal trzymając się oparcia krzesła, i równie szybko się podniosła. Emocje targały nią jak cyklon: szok, przerażenie, zamęt w głowie. Sabin wyszedł zza biurka, by wziąć ją pod rękę, podczas gdy Marshall stał bez ruchu zaledwie metr od niej.

– Już dobrze? – zapytał Sabin.

Kate osunęła się na krzesło, wcale nie zwracając uwagi na to, że Sabin położył jej dłoń na kolanie. Ukląkł przy niej z zatroskaną miną.

– Kate?

– Nie – wykrztusiła.

Kręciło jej się w głowie i czuła się słabo. Nic nie wydawało się rzeczywiste.

– Ja... ja nie rozumiem.

– Przykro mi, Kate – powtórzył znowu Marshall, podchodząc niespodziewanie, jakby nagle przyszło mu do głowy, że coś trzeba zrobić, mimo że było już na to za późno. – Wiem, że bardzo się o nią troszczyłaś.

– Właśnie próbowałam się do niej dodzwonić – powiedziała Kate słabym głosem. – Miałam zatelefonować w poniedziałek, ale nagle pojawiła się Angie i wszystko się skomplikowało.

Pamięć podsunęła jej wrywkowe fragmenty spotkań z Melanie Hessler. Była to zwyczajna, trochę nieśmiała kobieta o drobnej budowie ciała i nieudanej trwałej, wykonanej domowym sposobem. Wstydziała się tego, że pracuje w tak zwanej księgarni dla dorosłych, ale potrzebowała tej pracy, żeby uskładać dość pieniędzy na podjęcie na nowo nauki w szkole. Po rozwodzie została bez pieniędzy i bez kwalifikacji. Brutalna napaść, jaką przeżyła kilka miesięcy temu, uczyniła z niej osobę kruchą, niezrównoważoną emocjonalnie, psychicznie i fizycznie. Melanie odczuwała chroniczny strach i niepokój. Wydawało jej się, że znowu padnie ofiarą podobnego przestępstwa, co jest powszechną reakcją wśród ofiar gwałtu. Jednak, jak się okazało, Melanie powinna była się bać nie swoich gwałcicieli, ale kogoś

innego.

– O Jezu – jęknęła Kate, kryjąc twarz w dłoniach.

Zamknawszy oczy, zobaczyła jej ciało. Zwęglone, wyglądające strasznie, odkształcone, skrzycone, skurczone, cuchnące i okaleczone. Kiedyś trzymała Melanie za rękę, by ją pocieszyć, podczas gdy ona opisywała okropne szczegóły gwałtu, mówiła o głębokim wstydzie, który czuła, i wstrząsie spowodowanym tym, że coś tak strasznego przydarzyło się właśnie jej.

Melanie Hessler, która tak bardzo się bała, że znowu zostanie skrzywdzona. Poddana torturom, okaleczona i spalona, zmieniona nie do poznania.

Gdzieś w głębi świadomości Kate nadal słyszała słowa kierownika księgarni: „Od tygodnia nawet się do mnie nie odezwała”.

Kiedy ten sukinsyn ją uprowadził? Ile czasu trzymał ją przy życiu? Jak długo błagała o śmierć, cały czas myśląc o tym, co to za Bóg sprawia, że ona musi tak cierpieć?

– Do cholery. – Kate usiłowała wywołać w sobie gniew, by odzyskać przez to siły. – Do cholery.

Głos Marshalla znowu dotarł do niej, przebijając się przez labirynt jej myśli.

– Kate, wiesz, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś zaczęła mówić o tym, co teraz czujesz. Wyrzuć to z siebie. Znałaś Melanie. Tak bardzo jej pomogłaś. Kiedy pomyślę o tym, w jakim stanie ją widziałas wczoraj w nocy...

– Dlaczego? – zapytała, nie kierując swego pytania do nikogo konkretnego. – Dlaczego wybrał ją? Nie rozumiem, jak to się mogło stać.

– Pewnie miało to coś wspólnego z jej pracą w tej księgarni – zasugerował Marshall.

Znał sprawę Melanie równie dobrze jak Kate. Był obecny przy kilku spotkaniach, przesłuchiwali razem kasety z tych spotkań. To on zaproponował dla Melanie grupę terapeutyczną.

Kaseta.

– O Boże – wyszeptała Kate, czując, jak znowu gwałtownie opuszczają ją siły. – Ta kaseta. O mój Boże.

Skuliła się cała, obejmując ramionami głowę.

– Jaka kaseta? – zapytał Marshall.

Krzyki bólu, strachu, cierpienia i udręki. Krzyki kobiety, którą znała, która jej ufała i która oczekiwała od niej wsparcia i ochrony.

– Kate?

– Przepraszam – wymamrotała, podnosząc się chwiejnie. – Muszę wyjść. Niedobrze

mi.

Chwiała się od zawrotów głowy, więc szła, podpierając się, o co tylko się dało. Zdawało jej się, że łazienka jest o milę przed nią. Twarze ludzi, których spotykała po drodze, rozmazywały się i zniekształcały, a głosy zmieniały, przygasały i rozmywały się.

Jedna z jej klientek nie żyła. Jedna zaginęła. Ona sama była jedynym łączącym je elementem.

Przykucnęła przy toalecie i odgarnąwszy włosy z twarzy, zwróciła to, co zdołała tego dnia zjeść. Jej żołądek usiłował się pozbyć nie tylko swojej treści, ale także obrazów i myśli, które przed chwilą opadły ją w gabinecie Sabina, i nadal sączyły się do jej mózgu jak trucizna. Jej klientka, jej obowiązek. Była jedynym ogniwem...

Kiedy spazmy ustały, osunęła się na podłogę kabiny, słaba i mokra od potu. Nie obchodziło jej, gdzie jest, nie czuła zimna posadzki. Dreszcze targające jej ciałem nie pochodziły z zimna, ale z szoku i z ponurego poczucia bezradności, które spowiło jej duszę niby burzowa chmura.

Jedna z jej klientek nie żyła. Poddana torturom, zamordowana i spalona. Jedna zaginęła i zostały po niej tylko pośpiesznie starte ślady krwi. Ona sama była jedynym łączącym je ogniwem.

Musiała zachowywać się logicznie, myśleć jasno. To był z pewnością zbieg okoliczności. Jakże mogło być inaczej? Rob miał rację: Joe Podpalacz wybrał Melanie z powodu jej pracy w księgarni, która znajdowała się akurat w tej samej części miasta, gdzie pracowały dwie pierwsze ofiary. Gdy Kate powierzono sprawę Angie, istniał już jakiś związek pomiędzy tą dziewczyną i mordercą.

Mimo wszystko czarna chmura wątplenia unosiła się nad nią, przytłaczając swym ciężarem. Było to jakieś dziwne, instynktowne wrażenie, którego nie potrafiła się pozbyć.

Za dużo stresu. Za mało snu. Za wiele pecha. Oparła głowę o ścianę, usiłując zmusić myśli do wyrwania się z kołowrotu obrazów z miejsca wczorajszej zbrodni.

Zrób coś, nakazała sobie w duchu.

Taka postawa pomagała jej przebrnąć w przeszłości przez każdy kryzys.

Nie siedź w miejscu. Zrób coś.

Działanie wbrew bezradności, niezależnie od rezultatu. Musiała się ruszać, iść, myśleć, robić coś.

Pomyślała, że zadzwoni do Quinna, ale szybko stłumiła w sobie ten instynktowny odruch. To, że spędzili razem noc, nie znaczy jeszcze, że może się na nim oprzeć. Te kilka godzin nie dawało gwarancji przyszłości. Nie była nawet pewna, czy chce mieć nadzieję na

wspólną przyszłość. Zbyt wiele zaszło pomiędzy nimi w przeszłości.

W każdym razie to nie była odpowiednia pora na takie rozmyślenia. Skoro już wiedziała, że to nie Angie spłonęła w samochodzie, nadal istniała pewna nadzieja, że dziewczyna żyje. Musiał być jakiś sposób, żeby ją znaleźć.

Stała na nogi, splukała toaletę i wyszła z kabiny. Przy jednej z umywalk jakas kobieta w zielonym kostiumie poprawiała i tak już doskonały makijaż. Rozstawiła przed sobą na półeczce rozmaite tubki i słoiczki. Kate obdarzyła ją bladym uśmiechem i stanęła nieco dalej, by umyć sobie ręce i twarz.

Nabrała wody w garść i przepłukała sobie usta, a potem spojrzała na swoje odbicie w lustrze, widząc kątem oka wymalowaną kobietę. Ona sama wyglądała fatalnie: posiniaczona, zmęczona, blada. Jej samopoczucie nie było wcale lepsze.

– Ta praca cię wykończy, Kate – mruknęła do swojego odbicia w lustrze.

Kobieta w kostiumie zastygła ze spiralą do rzęs w dłoni i spojrzała na nią ze zdziwioną miną. Kate uśmiechnęła się szeroko.

– No cóż, chyba nie złączą tej rozprawy beze mnie – rzuciła beztrąsko i wyszła.

Marshall czekał na nią w holu. Miał taką minę, jakby przebywanie w pobliżu damskiej toalety uważał za coś wstydliwego. Wyjął z kieszeni chusteczkę i przetarł sobie czoło. Kate skrzywiła się niechętnie.

– No i co? – rzuciła. – Jak już Sabin nas nie słyszy, to pewnie mi powiesz, że jestem winna śmierci Melanie? Może gdybym przekazała w poniedziałek jej sprawę tobie, to jakoś by ją to uchroniło przed wpadnięciem w łapy tego sukinsyna?

Marshall zrobił urażoną minę.

– Skądże! Jak możesz mówić coś takiego?

– Bo tak właśnie myślę – odparła, podchodząc do barierki od strony atrium. – Uważam, że nikt nie potrafi wykonać mojej roboty tak dobrze, jak ja. Ale ja nie zrobiłam tego, co do mnie zależało, i Melanie nie żyje.

– Dlaczego uważasz, że mogłabyś temu zapobiec? – zapytał, patrząc na nią z mieszaniną rozbawienia i niechęci. Myślisz, że jesteś jakąś Superwoman, czy co? Że jesteś najważniejsza?

– Nie. Po prostu wiem, że powinnam była do niej zadzwonić, ale tego nie zrobiłam. Gdybym zadzwoniła, to przynajmniej ktoś by się dowiedział, że zaginęła. Nie miała nikogo innego.

– I dlatego byłaś za nią odpowiedzialna – dokończył Marshall. – Tak jak za Angie.

– Ktoś musi przyjąć na siebie odpowiedzialność.

– Najlepiej ty, Katarzyna Wielka – rzekł ironicznie.

Kate podniosła głowę i obrzuciła go ostrym spojrzeniem.

– Wczoraj wieczorem szybko zrzuciłeś winę na mnie. Nie rozumiem cię, Rob. Najpierw mówisz, że jestem właśnie tą osobą, która nadaje się do tej sprawy, a potem odwracasz się plecami i nie jesteś zadowolony z tego, jak pracuję. Chcesz mnie obwiniać za to, co wyszło źle, ale nie chcesz, żebym ja sama akceptowała moją winę. Co jest z tobą? Czy to, że przyjmuję na siebie odpowiedzialność, w jakiś sposób zakłóca strategię twego postępowania wobec Sabina? Skoro chcę sama za siebie odpowiadać, to ty nie możesz być ugodowy i uległy w moim imieniu. O to chodzi?

Mięśnie na twarzy Marshalla drżały, a w jego oczach pojawił się jakiś nieprzyjemny błysk.

– Doczekasz się dnia, kiedy pożałujesz tego, jak mnie traktujesz, Kate. Nie dzisiaj. Nie jutro. Ale któregoś dnia...

– Nie możesz mnie teraz wyrzucić, Rob – odparła. – Sabin ci nie pozwoli. A ja nie mam nastroju do zabawy w twoje ambicjonalne gierki. Jeżeli jesteś tu w jakimś konkretnym celu, to, proszę, mów, o co chodzi. Mam robotę na przynajmniej kilka godzin.

Zmrużył oczy w szparki i zaczął przestępować z nogi na nogę. Jego twarz jeszcze bardziej spochmurniała. Kate się zagalopowała, przekroczyła granicę, poza którą nie mogła już się cofnąć za pomocą zwykłych przeprosin i obietnicy poprawnego zachowania, nie miała jednak zamiaru tego robić.

– Policja chce, żebyś przesłuchała nagranie rozmów z Melanie i zorientowała się, czy może wspomniała o czymś, co mogłoby być przydatne w sprawie – oznajmił sucho. – Pomyślałem, że w tych okolicznościach będzie to dla ciebie za trudne, więc zamierzałem zaproponować pomoc – dodał tonem męczennika.

– Zamierzałeś? Czy to znaczy, że rezygnujesz ze swojej oferty, bo uznałeś, że jestem mimo wszystko niewdzięczną suką?

Uśmiechnął się nieprzyjemnie, przymykając przesłonięte szklami okularów oczy.

– Nie. Nie dopuszczę do tego, by twoje zachowanie miało wpływ na to, co robię. Przesłuchamy nagranie razem. Ty będziesz wyłapywała rzeczy, które wydadzą ci się dziwne, bo ją znałaś. Ja będę słuchał obiektywnie, pod kątem lingwistycznym. Przyjdź do mojego gabinetu za pięć minut.

Popatrzyła za nim, kiedy odchodził swym kaczym krokiem. Nie cierpiała go prawie tak bardzo, jak nie cierpiała samej myśli o tym, co będzie musiała zaraz robić.

– A może bym po prostu wbiła sobie w czoło siekierkę? – mruknęła pod nosem,

ruszając za nim.

– To jest kopia nagrania – wyjaśnił technik z BCA.

Wszyscy, to znaczy Kovac, Quinn, Liska i chudy technik, którego Kovac nazywał Ucho, stali wokół czarnej konsoli, usianej imponującą liczbą pokręteł, przełączników, lampek i mierników.

– Jakość dźwięku jest o wiele lepsza, niż się można spodziewać po minidyktafonie – oznajmił technik. – Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że zabójca przypiął ofierze mikrofon albo ustawił go bardzo blisko niej. Wyjaśniałoby to zniekształcenia dźwięku nagranych krzyków, jak również fakt, dlaczego pozostałe głosy są tak niewyraźne.

– Jesteś pewien, że są dwa głosy? – zapytał Quinn, myśląc o możliwych konsekwencjach tego odkrycia.

– Tak. Proszę, posłuchajcie.

Technik nacisnął klawisz i przekręcił gałkę. Straszliwy ludzki wrzask wypełnił małe pomieszczenie. Wszyscy spięli się, jakby coś im nagle zagroziło.

Quinn usiłował się skupić nie na emocjach, ale na poszczególnych składnikach dźwięku, aby wyeliminować czynnik ludzki i swoją własną ludzką reakcję. Przeżywanie na nowo zbrodni jest istotnym elementem życia seryjnego mordercy, na które składa się zwykłe fantazjowanie, fantazjowanie o przemocy, czynniki umożliwiające morderstwo, potem samo morderstwo – i znowu fantazjowanie, fantazjowanie o przemocy i tak dalej, i tak dalej, w kółko to samo.

Dzięki prostym urządzeniom technicznym problem sprowadzał się do pstryknięcia przełącznikiem lub nastawienia ostrości aparatu, żeby potem móc sobie odtwarzać przebieg wydarzeń lepiej niż z pamięci. Te same proste urządzenia łącznie z egotystycznymi potrzebami mordercy umożliwiały też ostatnio zebranie pokaźnego materiału dowodowego.

Policjanci i prokuratorzy musieli jakoś nauczyć się znosić te dźwięki i obrazy. Już samo obejrzenie miejsca zbrodni bezpośrednio po jej dokonaniu jest wystarczająco ciężkim przeżyciem. Przymus słuchania lub oglądania przebiegu straszliwych wydarzeń to coś o wiele okropniejszego.

Quinn oglądał materiały i słuchał nagrań dotyczących różnych przestępstw, z których jedno następowało po drugim, a potem znowu i znowu...

Ucho przekręcił jedną z gałek w lewo i przesunął do góry dwa małe sensory.

– Zaraz będzie. Odizolowałem i wyciszyłem głos ofiary, a wzmocniłem pozostałe.

Zebrani niemal przestali oddychać. Wrzaski przygasły w tle i wtedy usłyszeli cichy,

niezbyt wyraźny głos mężczyzny: „obróć... zrób to...” – potem tylko szum taśmy i wreszcie inny, jeszcze bardziej zamazany głos: „chcesz... ode mnie...”

– Już się nie da zrobić lepiej – oznajmił technik, wciskając klawisze i przewijając taśmę do tyłu. – Mogę to puścić głośniejsze, ale słowa nie będą wyraźniejsze. Byli za daleko od mikrofonu. Na podstawie cech charakterystycznych dźwięku powiedziałbym, że pierwszy głos należy do mężczyzny, a drugi do kobiety.

Quinn pomyślał o klutych ranach na klatce piersiowej każdej ofiary. Wyraźny schemat: długa rana, krótka rana, długa, krótka... Jakiś pakt, przysięga, umowa. Dwa noże i światło odbijające się na przemian od ich ostrzy, kiedy opadały w makabrycznym rytmie.

Teraz dostrzegł w tym jakiś sens. Powinno było mu to przyjść do głowy wcześniej: dwa noże, dwóch zabójców. Przecież widywał już takie rzeczy. Ale za diabła nie chciałbym wiedzieć tego znowu, pomyślał czując, jak ogarnia go uczucie bliskie paniki.

Nie istnieje nic bardziej ponurego i wypaczonego niż to, gdy zabójcami są dwie związane ze sobą osoby: kobieta i mężczyzna. Mechanizm tego rodzaju związku zasadza się na najbardziej chorobliwych, ekstremalnych zachowaniach. Obsesja i przymus, strach i sadystyczne fantazje dwojga równie wykończonych ludzi, splątanych ze sobą niby dwie usiłujące się pożreć żmije.

– Pobawisz się jeszcze trochę z tym nagraniem, Ucho? – zapytał Kovac. – Sprawdź, czy da się wyłowić jeszcze parę słów. Chciałbym wiedzieć, o czym mówią.

Technik wzruszył ramionami.

– Spróbuję, ale nie mogę niczego obiecać.

– Zrób, co się da. Możesz uratować moją przyszłość zawodową.

– Więc będziesz mi winien dwie skrzynki piwa, których i tak w życiu nie zobaczę.

– Rozgryź to, a zapewnię ci dożywotnią dostawę Pig's Eye.

Quinn ruszył do wyjścia pierwszy, usiłując uporządkować chaos, jaki zapanował w jego głowie. Musiał jakoś zapomnieć o ścisaniu w gardle i skoncentrować się na tym, co miał do dyspozycji, a nie na tym, co mogło się za tym kryć. Musiał postarać się nie myśleć o tym, że akurat wtedy, gdy uważał, iż robi postępy, liczba zabójców powiększyła się niby w jakimś ponurym koszmarze.

Idący na końcu Kovac zamknął drzwi laboratorium.

– A to się fatalnie składa – jęknął. – I tak mieliśmy kłopot z szukaniem jednego wariata. Teraz będę musiał powiedzieć szefom, że szukamy dwóch.

– Nie mów im – przestrzegł go Quinn. – Nie od razu. Muszę to przemyśleć.

Stanął, opierając się plecami o ścianę, jakby miał zamiar tam tkwić, aż przyjdzie mu

do głowy odpowiedź.

– Jaki to ma wpływ na portret, jeśli on ma współnika? – zapytała Liska.

– To znaczy, co będzie z portretem psychologicznym, skoro on ma współnika płci żeńskiej? – zareagował pytaniem Quinn.

– To mi komplikuje życie jak diabli – odparł Kovac.

Chociaż o tej porze dnia korytarz był ciemny i raczej dość pusty, to akurat pojawiły się blisko nich dwie kobiety w laboratoryjnych fartuchach, zatopione w dyskusji na temat stosunków w pracy. Quinn czekał, aż się oddalą.

– Czy oni są równorzędnymi partnerami, czy też ta kobieta jest tak zwaną ofiarą z własnej woli? Bierze w tym udział, bo jej się to podoba, czy dlatego, że jest do tego zmuszana, boi się go albo on nią kieruje, no, coś takiego? Czy Gil Vanlees ma jakąś narzeczoną? – zwrócił się do Liski Kovac.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Pytałam jego żonę, szefa, kolegów z pracy.

– A czy pytałaś jego żonę o Jillian Bondurant? To znaczy, czy znała Jillian? Czy może myślała, że jej mąż zna dziewczynę trochę za dobrze?

– Powiedziała, że on lubi patrzeć na każdą kobietę. Nie wyróżniła Jillian.

– A co ty, o tym myślisz, John? – zapytał Kovac.

– Myślę, że cały czas zastanawiało mnie to, iż nie udało nam się zidentyfikować trzeciej ofiary. Po co ta dekapitacja? Okaleczenie stóp? Teraz użył samochodu Jillian, żeby spalić w nim czwartą ofiarę. Dlaczego wszystko ma jakiś związek z Jillian? Wiemy, że była nieszczęśliwą, zagubioną dziewczyną. Co byłoby skuteczniejszą ucieczką od nieszczęśliwego życia niż śmierć, prawdziwa czy symboliczna?

– Myślisz, że to mógł być głos Jillian? – zapytała Liska. – Że Jillian mogłaby być współniczką Vanleesa?

– Cały czas mówiłem, że kluczem do tej sprawy jest Jillian Bondurant. To ona jest elementem, który nie pasuje do całości. Ale aż do tej chwili nie przyszło mi do głowy, że może jest nie tylko kluczem. Może jest zabójcą.

– Jezu – mruknął Kovac. – To była całkiem niezła robota, dopóki ją miałem. Może teraz zastąpię Vanleesa i będę przeganiał fanki spod drzwi w Target Center.

Spojrzał na zegarek i stuknął palcem w jego tarczę.

– Muszę iść. Mam randkę z żoną byłego współnika Petera Bonduranta. Może dowiem się czegoś o Jillian.

– A ja chciałbym porozmawiać z tą jej koleżanką, Michele Fine. Muszę wiedzieć, czy ma jakieś zapisane przez Jillian kompozycje. Moglibyśmy dzięki tekstom poznać lepiej jej

stan psychiczny, a może nawet fantazje. Muszę też wiedzieć, co Fine sądzi o Vanleesie.

– Ona nic nie sądzi – odparła Liska. – Pytałam ją tego dnia, kiedy byliśmy w mieszkaniu Bondurant, i zobaczyłyśmy go. Powiedziała: „Kto zwraca uwagę na nieudaczników?”

– Ale drapieżniki rozpoznają podobnych do siebie – odparł Quinn i zwrócił się do Kovaca. – Kto zajmuje się Vanleesem?

– Tippen i Hamill.

– Doskonale, niech pójda go zapytać, czy ten kolega, w którego domu teraz mieszka, importuje sprzęt nagrywający, kamery wideo i tym podobne rzeczy.

– Zrobi się – odparł Kovac, kiwając głową.

– Poza Vanleesem jest kilka innych możliwości do rozważenia – rzekł Quinn. – Jeżeli związek pomiędzy Joem Podpalaczem i jego partnerką polega na kontroli, dominacji i władzy, to musimy przyjrzeć się życiu Jillian i postawić sobie pytanie, jakiego rodzaju mężczyźni mieli na nią podobny wpływ. W tej chwili mogę wymienić dwóch.

– Lucas Brandt i kochany tatuś – powiedział Kovac z ponurą miną. – Znakomicie. W końcu jesteśmy na jakimś tropie. Córka najważniejszego faceta w całym stanie jest zbroczoną morderczynią i może ma to po tatusiu. Takie już moje parszywe szczęście.

Liska poklepała go po ramieniu.

– Wiesz, jak to się mówi, Sam. Człowiek nie wybiera sobie rodziny ani seryjnych morderców.

– Istnieje lepsze powiedzenie – dodał Quinn, myśląc o niezliczonej liczbie odrażających wariantów, z których każdy mógł być rozwiązaniem tej sprawy. – Można się spodziewać wszystkiego, dopóki piłka jest w grze.

Kawiarnia D’Cup była pusta, jeśli nie liczyć tej samej pary stałych bywalców, czyli Bereciarza i Koziej Bródki, którzy tym razem spierali się na temat pornografii, oraz jakiegoś kolejnego artysty w tarapatach, siedzącego przy stoliku pod oknem nad filiżanką kawy z mlekiem za trzy dolary i rozmyślającego nad marnością swego losu.

Michele Fine zadzwoniła do pracy z wiadomością, że jest chora, poinformował Liskę obsługujący bar włoski ogier. Rozmawiając z nim, pomyślała, że powinna zacząć pić codziennie cappuccino. Mniejsza z tym, że taki lokal jak D’Cup nijak się nie miał do jej stylu życia. W gruncie rzeczy dodawało to kawiarni jeszcze więcej atrakcyjności.

– Czy znał pan jej przyjaciółkę? – zapytał Quinn. – To znaczy Jillian Bondurant?

Pozujący na rzymskie bóstwo Włoch wydał pełne wargi i pokręcił głową.

– Nie bardzo. To znaczy, przychodziła tu często, ale nie była zbyt towarzyska. Taka zamknięta, wiecie. Trzymały się blisko z Michele. To tyle, oprócz tego, co czytałem w gazetach.

– Czy kiedykolwiek widział ją pan tutaj z kimś innym?

– Michele czy Jillian Bondurant?

– Jillian.

– Nie przypominam sobie.

– A Michele? Miała chłopaka?

Barman zrobił taką minę, jakby miał ochotę skorzystać z prawa do odmowy odpowiedzi, gdyż zadano mu zbyt osobiste pytanie. Liska wyjęła zdjęcie Vanleesa i podała je barmanowi.

– Czy kiedykolwiek widział pan którąś z nich z tym człowiekiem? A może był tu sam?

Barman przyjrzał się zdjęciu, mrużąc oczy, tak jak robi to wielu ludzi, gdy usiłują poprawić swoją pamięć i ostrość widzenia.

– Nie. Nie wygląda na to, żebym go znał.

– A co z ich muzyką? – zapytał Quinn. – Michele mówiła, że czasami tu występowały.

– Chel śpiewa i gra na gitarze, kiedy są wieczory otwartego mikrofonu. Wiem, że pisały razem trochę muzyki ale nie wiem, która co robiła. Jillian nigdy nie występowała.

Przyglądała się. Lubiła się przyglądać innym ludziom.

– Co to była za muzyka? – zapytał Quinn.

– Takie feministyczne folkowe kawałki. Mnóstwo gniewu i jakichś ponurych spraw.

– To znaczy?...

– Nieudanych, spaczonych związków, bólu istnienie itede.

Powiedział to tak, jakby chciał zademonstrować pewną dozę znudzenia: ot, takie normalne sprawy. Swoisty komentarz dotyczący współczesnego życia.

Quinn podziękował za rozmowę, a Liska zamówiła mokrą na wynos i dała barmanowi dolara napiwku. Wychodząc z kawiarni Quinn nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

– Hej – odezwała się Liska. – Nigdy nie zaszkodzi, jak człowiek jest uprzejmy.

– Nic nie powiedziałem.

– Nie musiałeś.

Nadal padał śnieg. Ulicę przed kawiarnią zupełnie zasypało. Nie było widać pasm ruchu i kierowcy zachowywali się tak, jakby brali udział w walce o przetrwanie najsilniejszych osobników w gatunku. W pewnej chwili czerwony samochód omal nie został zmiądzony przez autobus miejski.

– Jesteś niezły w policyjnej robocie – pochwaliła Quinna Liska, wyjmując z kieszeni kluczyki do samochodu. – Powinieneś rozważyć rezygnację z zaszczytnej służby w CASKU i FBI w zamian za względną monotonię pracy w naszym wydziale zabójstw. Człowiek jest tu prześladowany przez górę, poniewierany przez prasę i jeździ takim zaszranym samochodem jak ten.

– I oprócz tego wszystkiego miałbym znosić tę pogodę? – powiedział Quinn, podnosząc kołnierz płaszcza, by ochronić się przed wiatrem i śniegiem. – Jakże mógłbym się oprzeć takiej propozycji?

– No dobrze – powiedziała z rezygnacją. – Dorzucę jeszcze tyle erotyki, ile tylko zechcesz. Ale musiałbyś mi obiecać, że będziesz chciał jej dużo.

Quinn roześmiał się krótko i spojrział przez tylną szybę na przejeżdżające samochody.

– Niezły z ciebie numer, Dzwoneczku.

Mieszkanie Michele Fine znajdowało się mniej więcej w odległości kilometra od kawiarni, w nieco zaniedbanym osiedlu, pełnym starych dwukondygnacyjnych domów i brzydkich, klockowatych bloków mieszkalnych, które, jak powiedziała Liska, zajmowali głównie przedterminowo zwolnieni z więzienia przestępcy i drobni kryminaliści na zwolnieniu warunkowym.

– Mieszkanie Vanleesa przy Lyndale jest tylko parę przecznic na południe stąd –

zauważyła, kiedy już szli chodnikiem po wydeptanych w śniegu śladach. – Czy nie sądzisz, że to ciekawy zbieg okoliczności?

– Ale wyglądało na to, że się nie znają, kiedy byłaś w mieszkaniu Jillian, prawda?

Zmarszczyła brwi, przypominając sobie tamtą sytuację.

– Może tylko z widzenia. Nie rozmawiali ze sobą. Naprawdę myślisz, że mogła go nakryć, jak zaglądał w okna Jillian?

– To był strzał w ciemno, ale wywołał wyraźną reakcję ze strony twojego chłopczyka. Zastanawiam się jednak, dlaczego – skoro przyłapała go na czymś takim – nie powiedziała ci o tym?

– Dobre pytanie.

Liska położyła rękę na klamce drzwi do budynku, które okazały się nie zamknięte.

– Wejźmy, to otrzymamy odpowiedź.

Wnętrze windy pachniało podłej jakości chińskim jedzeniem na wynos. Wjechali na trzecie piętro razem z wychudzonym ćpunem, który skurczył się w rogu kabiny, starając się nie zwracać na siebie uwagi i jednocześnie zerkając pożądliwie na drogi płaszcz Quinna. Quinn odpowiedział mu natarczywym spojrzeniem, obserwując, jak krople potu występują momentalnie na bladym czole narkomana. Kiedy drzwi się otworzyły, facet nie wysiadł razem z nimi, ale został w windzie i zjechał z powrotem na dół.

– Musisz być niezły w pokera – zauważyła Liska.

– Nie mam na to czasu.

Uniosła brwi. Jej oczy błyszczały zachęcająco.

– Lepiej uważaj. Jak John ciągle pracuje i w ogóle się nie bawi, to wyrasta z niego nudny facet.

Quinn odwrócił twarz, by uniknąć jej wzroku, i zdobył się na lekki uśmiech.

– Zasnęłabyś przy mnie, Dzwoneczku.

– Cóż, wątpię, ale gdybyś chciał to udowodnić naukowo...

Spojrzała na niego, zatrzymując się przed drzwiami mieszkania Fine.

– Ja tylko się tak z tobą droczę, wiesz. Smutna prawda polega na tym, że wyglądasz mi na faceta, któremu ktoś chodzi po głowie.

Quinn nacisnął guzik dzwonka i wbił wzrok w drzwi.

– Tak. Zabójca.

Powiedział to, chociaż w rzeczywistości po raz pierwszy od dłuższego czasu jego myśli nie były skupione całkowicie na pracy.

Tak jakby Liska udzieliła mu na to zezwolenia, zaczął rozważać, jak się ma Kate, co

się u niej dzieje. Ciekawe, czy otrzymała wiadomość od niego, że ofiara znaleziona w samochodzie nie była powierzonym jej opiece świadkiem. Nie mógł znieść myśli, że ona obwinia się o to, co się stało, a jeszcze bardziej, że może ją o to obwiniać jej szef. Rozbudziło to jego opiekuńcze instynkty w stosunku do Kate. Miał ochotę zrobić Robowi Marshallowi coś gorszego niż tylko posadzić go na śniegu. Ciekawe, czy Kate byłaby rozbawiona, czy zła, gdyby się o tym dowiedziała. Znowu nacisnął dzwonek.

– Kto tam? – dobiegł głos zza drzwi.

Liska stanęła naprzeciw wizjera.

– Michele, tu sierżant Liska. Muszę zadać ci jeszcze parę pytań na temat Jillian.

– Jestem chora.

– Ja tylko na chwilę. To bardzo ważne. Doszło do kolejnego morderstwa.

Drzwi uchyliły się nieco i Fine spojrzała na nich spoza przytrzymującego drzwi łańcucha. W szparze widać było akurat pokrytą bliznami część jej pociągłej, chudej twarzy.

– To nie ma nic wspólnego ze mną. Nie mogę wam w niczym pomóc.

Dojrzała Quinna i w jej oczach pojawił się podejrzliwy wyraz.

– Kto to jest?

– John Quinn, FBI – przedstawił się. – Chciałbym porozmawiać z panią na temat Jillian. Próbuję dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Wiem, że byliście bliskimi przyjaciółkami.

Sekundy upływały jedna po drugiej, a ona przyglądała mu się badawczo, w nieco – jak na kelnerkę z modnej kawiarni – szczególny sposób. Było to raczej spojrzenie kogoś, kto widział w życiu za wiele. Podniosła rękę, żeby zdjąć łańcuch, i wtedy dojrzał wytatuowanego na jej nadgarstku węża.

Otworzyła drzwi i cofnęła się z widoczną niechęcią.

– Nie miała pani z nią żadnego kontaktu od piątku? – zapytał Quinn.

Popatrzyła na niego spojrzeniem pełnym podejrzliwości i niechęci.

– Jak mogłam mieć z nią kontakt? – zapytała z goryczą, a jej oczy wypełniły się łzami.

– Ona nie żyje. Dlaczego mnie pan pyta w ten sposób?

– Bo nie jestem tego wcale taki pewien jak pani.

– O czym, do diabła, pan mówi? – wyrzuciła z siebie ze wzburzeniem. – Przecież mówią o tym we wszystkich wiadomościach. Jej ojciec wyznaczył nagrodę. Co to za sztuczek pan ze mną próbuje?

Quinn nie odpowiedział, rozglądając się po niewielkim pokoju. Mieszkanie miało wystrój z lat siedemdziesiątych, oryginalny, a nie podrobiony, i, jak się domyślał, od tamtych

czasów nic nie zostało w nim zmienione ani zmodernizowane. Zniszczone zasłony wyglądały tak, jakby miały lada moment oberwać się z haczyków. Kanapa i stanowiące z nią komplet krzesła o wytartych obiciach w brązowopomarańczową kratę miały kanciaste kształty. Na ławie, obok przepełnionej niedopałkami popielniczki, leżały, niczym porzucone marzenia, magazyny turystyczne z pozawijanymi rogami kartek. Wszystko było przesiąknięte zapachem dymu papierosowego i marihuany.

– Nie życzę sobie, żeby pan wchodził z buciorami w moje myśli – rzuciła Fine. – Jestem chora. Chora z powodu Jillian. Była moją przyjaciółką – dodała załamującym się głosem. – Odwróciła twarz, ściągając wargi w ten sposób, że uwydatniło to sięgającą ich kącika bliznę. – Jestem... jestem po prostu chora. Więc jeśli pan czegoś chce, to niech pan pyta i da mi, do cholery, spokój.

Wzięła do ręki papierosa i odsunęła się, przyciskając mocno drugą rękę do brzucha. Quinn pomyślał, że ta chudość i bladość wyglądają niezdrowo. Może dziewczyna naprawdę jest chora. Miała na sobie znoszony rozpięty czarny sweter, który włożyła na przybrudzoną białą koszulkę, tak małą, że wyglądała na dziecięcą. Chude jak patyki nogi były oblepione zniszczonymi czarnymi legginsami. Michele stała bosą na odrażająco brudnym dywanie.

– Więc co z tobą? – zapytała Liska.

– Jak to?

– Powiedziałaś, że jesteś chora. Co ci jest?

– Grypa żołądkowa – odparła, patrząc w telewizor, na którego ekranie groteskowo otyła kobieta opowiadała Jerry’emu Springerowi o wszystkich szczegółach swego związku z ospowatym karłem i czarnym transseksualistą, którzy siedzieli po jej obu bokach. Fine zdjęła z języka odrobinę tytoniu i cisnęła ją w kierunku telewizora. – Grypa żołądkowa – powtórzyła.

– Wiesz, co podobno jest dobre na mdłości? – zapytała Liska z absolutnie poważną miną. – Marihuana. Podają ją przy chemioterapii. Oczywiście w innych sytuacjach jest to nielegalne...

Jej zawołowana groźba mogła się okazać wystarczająca dla przeważenia szali, gdyby Fine wahała się, czy współpracować z policją, czy nie. Popatrzyła na Liskę oczyma bez wyrazu.

– Parę dni temu, kiedy spotkałyśmy tego dozorcę w mieszkaniu Jillian, nie miałaś o nim za wiele do powiedzenia.

– A o czym tu mówić?

– Jak dobrze Jillian go znała? Przyjaźnili się?

– Nie. Znała go tylko na tyle, żeby mówić mu po imieniu – odparła Michele. – Podeszła do maleńkiego stołu i opadła na krzesło, opierając się o blat, jakby nie miała siły siedzieć inaczej. – Wpadła mu w oko.

– Jak to?

– Tak to. Zwyczajnie, jak facetowi – odparła Fine, zerkając na Quinna.

– Czy Jillian mówiła, że ją podrywa, obserwuje czy coś w tym rodzaju? – zapytała Liska.

– Myślicie, że on ją zabił?

– A co ty myślisz, Michele? – odezwał się Quinn. – Co sądzisz o tym człowieku?

– To patałach.

– Czy miałas z nim kiedykolwiek jakieś starcie?

Wzruszyła chudym jak ptasie skrzydło ramieniem.

– Może parę razy powiedziałam mu, żeby się odpieprzył.

– Dlaczego?

– Bo się na nas gapił. Tak jakby sobie nas wyobrażał razem gołe. Thusty sukinsyn.

– A co myślała o tym Jillian?

Kolejne wzruszenie ramienia.

– Powiedziała raz, że jeśli to jest największa atrakcja w jego życiu, to niech się gapi.

– Nie wspominała nic o tym, że ją napastuje?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek mówiła, że czuje się tak, jakby ktoś ją obserwował, chodził za nią, czy coś takiego?

– Nie. Chociaż tak było.

Liska obrzuciła ją ostrym spojrzeniem.

– To znaczy?

– Jej ojciec i ten nazistowski czubek obserwowali ją jak jastrzębie. Ojciec miał klucz od jej mieszkania. Czasami przychodziłyśmy tam, a on już czekał na nią w środku.

– Czy Jillian złościła się, kiedy to robił?

Fine skrzywiła usta w dziwnym, gorzkim uśmiešku, spojrzała na popielnicę i zgmiotła w niej niedopałek.

– Nie. Przecież była córeczką tatusia.

– Co masz na myśli?

– Nic. Po prostu pozwalała mu sobą kierować. To wszystko.

– Opowiadała ci o swoim związku z ojczymem. Czy kiedykolwiek mówiła coś o

związku z ojcem?

– Nie rozmawialiśmy o nim. Wiedziała, co myślę o tym, że on próbuje tak nią kierować. To nie był temat do rozmowy. A dlaczego pan pyta? Myśli pan, że on też próbował ją pieprzyć?

– Nie wiem – odparł Quinn. – A co ty myślisz?

– Myślę, że nigdy nie spotkała mężczyzny, który nie miałby ochoty na dupę, jak się nadarza okazją – powiedziała, cedząc słowa i przesuwając wzrok z twarzy Quinna na jego krocze.

Czekał, pozwalając jej się przyglądać. W końcu wróciła spojrzeniem do jego twarzy.

– Jeżeli nawet próbował, to nigdy i tak o tym nie mówiła.

Quinn podszedł do stojącego przy stoliku krzesła i rozsiadł się na nim, jakby zamierzał zostać na kolacji. Rozglądając się znowu po mieszkaniu, dostrzegł, że mało jest w nim jakichkolwiek osobistych akcentów. Nie zauważył nic, co by tworzyło jakąś atmosferę, przytulności. Także żadnych zdjęć. Jedynym sprzętem, który wyglądał na zadbane, była nieduża wieża stereofoniczna w przeciwległym rogu pokoju. Obok niej stała gitara.

– Z tego, co wiem, razem pisałyście muzykę – powiedział. – Jaki był w tym udział Jillian?

Fine zapaliła kolejnego papierosa i wypuściła chmurkę dymu w kierunku taniego żyrandola. Quinn znowu dojrzał wytatuowanego wokół jej nadgarstka węża, który wił się wokół starych blizn. Wąż z rajskiego ogrodu z czerwonym jabłuszkiem w paszczy.

– Czasami pisała teksty – powiedziała, wypuszczając dym przez szczelinę między przednimi zębami. – Czasami muzykę. To, na co miała ochotę. To, na co ja miałam ochotę.

– Czy coś opublikowałyście?

– Jeszcze nie.

– O czym lubiła pisać?

– O życiu. O ludziach. O romansach.

– O nieudanych romansach?

– A są jakieś inne?

– Czy miała u siebie te utwory, które pisałyście?

– No jasne.

– Gdzie? – wtrąciła Liska.

– W swoim mieszkaniu. W ławie koło pianina i w biblioteczkę.

– Nic tam nie znalazłam parę dni temu.

– No cóż, wszystko tam było – powtórzyła Fine, wypuszczając kolejny strumień dymu.

– Czy masz jakieś egzemplarze, które moglibyśmy zobaczyć? – zapytał Quinn. – Chciałbym przeczytać jej teksty, zobaczyć, co one mówią o niej.

– Poezja jest oknem duszy – powiedziała Fine dziwnym, rozmarzonym tonem.

Znowu powędrowała gdzieś wzrokiem. O czym ona myśli i dlaczego? – zastanawiał się Quinn. Czy domniemane morderstwo Jillian Bondurant kazało jej przekroczyć jakąś umysłową granicę? Wyglądało na to, że była jedyną przyjaciółką Jillian. Niewykluczone, że Jillian była również jej jedyną przyjaciółką. A teraz nie miała nikogo: żadnej przyjaciółki, żadnej partnerki piszącej teksty. Nic, tylko to parszywe mieszkanie i nie dająca żadnych perspektyw pracę.

– Właśnie na to liczę.

Znowu popatrzyła wprost na niego. Wyglądała pospolicie, lecz zarazem nieco egzotycznie. Miała przetłuszczone, związane z tyłu włosy, a jej twarz wydawała mu się w jakiś sposób znajoma. Po tak wielu sprawach każda twarz na świecie wydawała mu się znajoma. Nagle w małych oczach pojawił się błysk inteligencji.

– Ale czy poezja jest odbiciem tego, kim jesteśmy i czego pragniemy?

Wstała i podeszła do regału zrobionego z żużlowych pustaków i desek. Zdjęła z niego segregator i wróciła do stołu. Quinn wyciągnął rękę, ale Fine odsunęła od niego segregator, i oświadczyła z niemal kokieteryjnym spojrzeniem:

– To jest okno również mojej duszy, panie federalny. Może nie chcę, żeby pan do niego zaglądał.

Wybrała kilka zapisanych nutami kartek i podała mu je. Miała obgryzione do żywego ciała paznokcie. Przycisnęła segregator do brzucha, przez co jej małe, nie skrepowane biustonoszem piersi zaznaczyły się jeszcze mocniej pod ciasną koszulką.

Liska położyła na stole aktówkę, otworzyła ją i wyjęła zestaw do zdejmowania odcisków palców.

– Potrzebujemy twoich odcisków, Michele. Musimy je wyeliminować spośród tych, które znaleźliśmy w mieszkaniu Jillian. Rozumiem, że nie miałaś czasu do nas wpaść w tej sprawie, jesteś taka zajęta i w ogóle.

Fine popatrzyła na poduszeczkę z tuszem i kartkę, zaniepokojona i niezadowolona.

– To zajmie tylko chwilę – zapewniła ją Liska. – Usiądź. Fine siadła ciężko na krześle i niechętnie wysunęła rękę.

– Kiedy ostatni raz miałaś jakiś kontakt z Jillian? – zapytał Quinn.

– Widziałam ją w piątek, przed jej sesją z tym czubkiem – odparła Michele.

Liska tymczasem przyłożyła jej kciuk do poduszeczeki z tuszem, a potem przycisnęła

go do kartki.

– Nie dzwoniła do ciebie w piątek w nocy?

– Nie.

– Nie przyjechała zobaczyć się z tobą?

– Nie.

– Gdzie byłaś między północą a pierwszą?

– W łóżku. Goła i sama.

Posłała mu kolejne seksowne spojrzenie spod półprzymkniętych powiek.

– To wygląda dziwnie, nie sądzisz? – zapytał Quinn. – Pokłóciła się z ojcem. Była tak zdenerwowana, że wybiegła z jego domu, ale nie próbowała się skontaktować ze swoją najlepszą przyjaciółką.

– No cóż, panie Quinn – odparła Michele głosem pełnym smutnego doświadczenia. – Dowiedziałam się już dawno temu, że nigdy naprawdę nie wiadomo, co drzemie w sercu innego człowieka. I czasami tak jest lepiej.

Kovac podjechał Piątą Ulicą do siedziby władz miejskich i zatrzymał gwałtownie samochód na stanowisku zarezerwowanym dla policji. Wysiadł z wozu i klnąc jak szewc, usiłował przeskoczyć przez zwał śniegu pozostawiony wzdłuż krawężnika przez pług odśnieżający, ale zapadł się do kolan. Potykając się i szarpiąc, pokonał wreszcie śnieżny garb i wbiegł po schodach do budynku. Sapał jak miech, a jego serce pracowało ciężko, pompując krew i adrenalinę przez tętnice, które pewnie wyglądały od środka jak wnętrze starych rur wodociągowych.

Jezu, muszę się doprowadzić do użytku, jeżeli mam przeżyć następną podobną sprawę, pomyślał. Chociaż i tak nie zanosi się na to, żeby mi się udało zostać w policji po tej sprawie.

Hol budynku pełen był rozeźlonych kobiet. Natarły na niego falą, blokując przejście do wydziału śledczego. Dopiero gdy został przez nie dokładnie otoczony, dojrzał kołyszącą się nad ich głowami tablicę z napisem: „Nasze życie też ma znaczenie! Phoenix walczy o sprawiedliwość”.

Kobiece głosy zaatakowały go niczym huk dwóch tuzinów wypalanych jednocześnie strzelb.

– Policja nas prześladowuje!

– Tylko Urskine’owie walczą o sprawiedliwość!

– Znajdźcie prawdziwego zabójcę!

– Właśnie to próbuję teraz robić – warknął Kovac do blokującej mu przejście kobiety ze skrzywioną miną i brzuchem o rozmiarach beczki z piwem. – Odsuń więc ten kołdun i

pozwól mi się zabrać do pracy.

W tej samej chwili zauważył reporterów. Z obydwu stron rozbłysły lampy aparatów. Do cholery. Usiłował nie dać się zatrzymać. Jedyna zasada gwarantująca przetrwanie w tego typu sytuacjach brzmi: zamknij dziób i przyj przed siebie.

- Sierżancie Kovac, czy to prawda, że zlecił pan aresztowanie Gregga Urskine’a?
- Nikt nie jest aresztowany! – krzyknął, przepychając się przez tłum.
- Sierżancie, czy on się przyznał do winy?
- Czy to Melanie Hessler była waszym tajemniczym świadkiem?

Przeciek z urzędu lekarza sądowego, pomyślał Kovac, kręcąc głową przecząco. Na tym właśnie polega problem: ludzie są gotowi sprzedać własną matkę za odpowiednio wysoką sumę pieniędzy, nawet przez chwilę nie zastanawiając się nad tym, jakie to może mieć konsekwencje dla innych.

- Żadnych komentarzy – odwarknął, wymijając reporterów.

Przedostał się obok sterty pudeł i rzędu szaf na dokumenty na teren wydziału zabójstw i skręcił w prawo, ku tymczasowemu gabinetowi porucznika Fowlera. Głos Toni Urskine podążał za nim, drażniąc mu wszystkie nerwy.

– Zapewniam was, że każda stacja telewizyjna, każda gazeta i każdy reporter, który zechce mnie wysłuchać, dowie się o tym! To absolutnie oburzające! To my padliśmy ofiarą tych zbrodni. To my straciliśmy przyjaciółki. To my cierpimy. A popatrzmy tylko, jak jesteśmy traktowane przez policję miasta Minneapolis, teraz, kiedy zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby im pomóc!

Kovac otworzył drzwi do biura i skrył się w jego wnętrzu. Na widok sierżanta Yurek poderwał się zza biurka, przyciskając ramieniem słuchawkę telefonu do ucha, i zaczął dawać mu znaki oczami i ręką, żeby się nie oddalał. Kovac wytrzymał bezruch pięć sekund. Podniecenie, które przyniósł ze sobą, narastało, przeradzając się w strumień energii przenikające jego ramiona, nogi, żyły i tętnice. Zaczął unosić się na palce i opadać na pięty jak chłopiec, któremu się chce siusiu.

- Mam robotę, Luluś, i muszę opieprzyć paru ludzi – mruknął.

Yurek skinął głową i rzucił do słuchawki:

– Przepraszam panią. Muszę kończyć. Mam tu nagłą sprawę. Przepraszam. Tak, ktoś się z panią skontaktuje. Przepraszam. – Wyszedł zza biurka, kręcąc głową.

– Ci ludzie doprowadzają mnie do szału. Jedna baba uparła się, że jej sąsiad jest Krematorem. Zamordował cztery kobiety, a w dodatku zabił i zjadł jej psa.

- Mam tyle samo czasu na te bzdury, co na ból zęba – rzucił Kovac. – Jest tu Quinn?

– Właśnie wrócił. Obserwuje rozmowę z Urskine'em – odparł Yurek, podążając za Kovacem, który już ruszył w kierunku pokoju przesłuchań. – Akurat miałem telefon z góry...

– A co, ta baba ze zdechłym pudłem to pani burmistrz? Ależ ta sprawa jest popieprzona.

– Nie, jeszcze przed tą kobietą od psa. Jesteś oczekiwany w gabinecie pani burmistrz. Próbowali cię złapać przez telefon komórkowy.

– Wyczerpała mi się bateria. A poza tym mnie nie widziałeś. Będą musieli poczekać. Mam coś na oku. Coś poważnego jak diabli.

Yurek zmarszczył brwi.

– O co ci chodzi? Gdzieś ty był?

Kovac nie odpowiedział, myśląc już o oczekującej go konfrontacji. Quinn stał przy weneckim lustrze, jakby miał za chwilę paść ze zmęczenia, i wpatrywał się we wnętrze drugiego pomieszczenia, gdzie Gregg Urskine siedział przy stoliku naprzeciwko Elwooda.

– Pewnie zapłaciliśmy gotówką. Nie mogłem znaleźć pokwitowania – powiedział zdenerwowany Urskine, starając się za wszelką cenę zachować swój sympatyczny uśmiech. – A pan przechowuje wszystkie pokwitowania, sierżancie? Znalazłby pan rachunek za coś, co kupił pan przed kilkoma miesiącami?

– Tak, znalazłbym. Mam prosty, ale skuteczny domowy system biurowy – odparł Elwood konwersacyjnym tonem. – Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać potwierdzenie czegoś. Do celów podatkowych czy dla alibi...

– Ja nie potrzebuję alibi.

– A ja znam kogoś, kto potrzebuje – powiedział Kovac, odciągając uwagę Quinna od rozmowy. – Chcesz się znowu przejechać?

– O co chodzi?

– Właśnie rozmawiałem z panią Donaldową Thorton, żoną byłego wspólnika Bonduranta. Chcesz wiedzieć, jak to się stało, że niezrównoważonej emocjonalnie Sophie Bondurant sąd przyznał opiekę nad dzieckiem po rozwodzie? Spodoba ci się to! – rzucił sarkastycznie.

– Aż boję się zapytać.

– Zagroziła, że zdemaskuje go przed sądem i mediami. Za molestowanie Jillian.

– O Boże – jęknął Yurek.

Kovac odwrócił się gwałtownie w jego stronę.

– O co ci chodzi? Chcesz, żebym udawał, że nie wiem, że Bondurant molestował córkę?

– Rzekomo molestował...

– Zdaje ci się, że nie mam pojęcia, w co się władowałem po samą szyję?

– Chyba lepiej idź i zobacz, czego sobie życzy pani burmistrz.

– Pieprzę...

– Ona sobie życzy, żebyś przyszedł do jej gabinetu i osobiście zdał panu Bondurantowi relację na temat stanu śledztwa. Czekają na ciebie.

Na ułamek sekundy zapadła cisza, którą zaraz przerwał głos Elwooda, przekazywany z sąsiedniego pomieszczenia przez głośnik.

– Czy kiedykolwiek płacił pan za seks, panie Urskine?

– Nie!

– Nie chciałem pana urazić. Po prostu, ponieważ pan pracuje z kobietami, które zawodowo się sprzedawały, mogłoby to pana, że tak powiem, zaciekawić.

Urskine odsunął krzesło od stołu.

– Dość tego. Wychodzę. Jeżeli zechce pan ze mną jeszcze kiedyś porozmawiać, to proszę się skontaktować z moim adwokatem.

– W porządku – mruknął Kovac do Quinna. – Chodźmy przedstawić pani burmistrz i panu Bondurantowi sensacyjne informacje. Powiem ci po drodze, o co chodzi.

– Jestem pewien, że rozumie pan pragnienie Petera, aby ta sprawa została doprowadzona do końca – zwrócił się Edwin Noble do Greera. – Czy przewiduje się jakiś termin, w którym ciało może zostać oddane rodzinie?

– Konkretnie nie – odparł Greer.

Stał przy stole konferencyjnym pani burmistrz na lekko rozstawionych nogach i ze splecionymi przed sobą dłońmi, jak żołnierz w pozycji spoczynnej albo gotów do akcji wykidajło.

– Muszę się skontaktować z sierżantem Kovacem. Z tego, co wiem, czeka na informacje z laboratorium FBI. Chodzi o wyniki testów. Kiedy badania zostaną zakończone, co może nastąpić w każdej chwili...

– Chcę pochować moją córkę, panie Greer – wtrącił Bondurant tonem pełnym napięcia.

Nie patrzył na Greera i zdawało się, że wpatrzony jest w jakiś tylko jemu dostępny wymiar. Zignorował propozycję zajęcia miejsca i teraz przechadzał się nerwowo po sali.

– Kiedy pomyślę, że jej ciało leży w jakiejś lodówce, jak kawałek mięsa... Chcę ją odzyskać.

– Peter, mój drogi, rozumiemy to – odezwała się Grace Noble. – Rozumiemy twój ból. Mogę cię zapewnić, że grupa specjalna, robi wszystko, co tylko można, żeby rozwiązać...

– Naprawdę? Wasz czołowy detektyw spędza więcej czasu, gnębiąc mnie niż szukając jakichkolwiek podejrzanych.

– Sierżant Kovac potrafi być trochę nieokrzesany – przyznał Greer. – Ale jego lista sukcesów zawodowych przemawia sama za siebie.

– Zaryzykuję pewne trywialne pytanie, panie Greer – wtrącił Edwin Noble. – Ale, nie kwestionując zasług sierżanta Kovaca, co on ostatnio zrobił w naszej sprawie? Mamy kolejną ofiarę. Wygląda na to, że zabójca gra na nosie nie tylko grupie specjalnej, lecz całemu miastu. Czy sierżant Kovac ma w tej chwili chociaż jednego prawdopodobnego podejrzanego?

– Słyszałem od porucznika Fowlera, że ktoś był dzisiaj przesłuchiwany – oznajmił Greer.

– Kto? Podejrzany?

Greer spochmurniał.

– Nie jestem uprawniony...

– Ona była moją córką! – wrzasnął Bondurant.

Jego wściekły głos odbił się echem od ścian sali. Bondurant odwrócił się od obecnych i skrył twarz w dłoniach.

Burmistrz przyłożyła dłoń do swego obfitego brzucha, jakby ten widok przyprawiał ją o ból.

– Jeżeli ktoś został zatrzymany – powiedział Noble, popisując się swą logiką – to jest tylko kwestią godzin, żeby prasa opublikowała tę informację. Nie chcę komentować procedur bezpieczeństwa w pana departamencie, panie Greer. Chodzi po prostu o to, że w śledztwie prowadzonym na tak szeroką skalę niemożliwe jest wyeliminowanie wszystkich przecieków.

Greer przeniósł wzrok z adwokata Bonduranta, na żonę adwokata Bonduranta, a swoją

przełożoną. Westchnął ciężko, nie widząc żadnej drogi ucieczki.

– To dozorca z osiedla pani Bondurant.

Rozległ się brzęczyk interkomu i Grace Noble podniosła słuchawkę umieszczonego na jej stoliku aparatu.

– Pani burmistrz, przyszli sierżant Kovac i agent specjalny Quinn – rozległ się z głośnika głos sekretarki.

– Wpuść ich, Cynthio.

Kovac wpadł do środka zanim jeszcze burmistrz skończyła mówić. Jego oczy odnalazły Petera Bonduranta niczym dwa pociski rakietowe, kierujące się na podczerwień. Bondurant wyglądał mizerniej niż poprzedniego dnia i bardziej blado. Odpowiedział Kovacowi spojrzeniem pełnym kamiennej niechęci.

– Sierżancie Kovac, panie Quinn, dziękujemy za przybycie – odezwała się pani burmistrz. – Usiądźmy wszyscy i porozmawiajmy.

– Nie będę mówił o szczegółach sprawy – oznajmił twardo Kovac.

Podobnie nie miał chęci siadać i stać się nieruchomym celem dla Bonduranta czy Edwina Noble'a.

Nikt z obecnych nie usiadł.

– Wiemy, że macie podejrzanego – zaczął Edwin Noble.

Kovac popatrzył na niego niechętnie i przeniósł wzrok na Greera, myśląc: wazeliniarz.

– Nie dokonano żadnego aresztowania – powiedział. – Nadal sprawdzamy wszelkie warianty. Właśnie osobiście zająłem się pewnym interesującym wątkiem.

– Czy pan Vanlees ma alibi na tę noc, kiedy zaginęła moja córka? – rzucił ostrym tonem Bondurant.

Patrzył na Kovaca, chodząc tam i z powrotem wzdłuż stołu i mijając sierżanta w odległości nie większej niż pół metra.

– A czy pan ma alibi na tę noc, kiedy zaginęła pana córka, panie Bondurant?

– Kovac! – warknął ostrzegawczo Greer.

– Z całym szacunkiem dla pana, pozwolę sobie zauważyć, panie Greer, że nie mam zwyczaju oddawać nikomu swoich spraw.

– Pan Bondurant jest ojcem ofiary. To są specjalne okoliczności.

– Tak, kilka miliardów – mruknął Kovac.

– Sierżancie!

– Sierżant Kovac uważa, że powinienem być ukarany za moje bogactwo – rzekł Bondurant. – Nadal spacerował wzdłuż stołu, ale teraz miał wzrok wbity w podłogę. – Może

uważa, że zasłużyłem na stratę córki, bo dotąd nie wiedziałem, czym jest prawdziwe cierpienie.

– Po tym, co dzisiaj usłyszałem, uważam, że przede wszystkim nie zasłużył pan na to, żeby w ogóle mieć córkę – oświadczył Kovac, wywołując jęk pani burmistrz. – Jest pewne jak diabli, że zasłużył pan na jej utratę, ale nie w ten sposób, w jaki to się stało. To znaczy, jeśli ona istotnie nie żyje, a wcale nie jesteśmy teraz bliżsi stwierdzenia, że tak jest.

– Sierżancie Kovac, mam nadzieję, że potrafi pan wyjaśnić swoje zachowanie – rzucił Greer, zbliżając się do niego i prężąc agresywnie atletyczne ramiona.

Kovac odsunął się od niego, nawet na ułamek sekundy nie odrywając oczu od Petera Bonduranta. Bondurant również był skupiony wyłącznie na nim. Przestał chodzić, a w jego nagle zwężonych źrenicach pojawił się wyraz instynktownego niepokoju, tak jak u zwierzęcia, które wyczuwa niebezpieczeństwo.

– Odbyłem dzisiaj długą rozmowę z Cheryl Thorton – oznajmił Kovac, patrząc, jak resztki koloru opuszczają twarz Bonduranta. – Miała bardzo interesujące rzeczy do powiedzenia na temat pana rozvodu z matką Jillian.

Edwin Noble zrobił zaskoczoną minę.

– Nie potrafię zrozumieć, jakie znaczenie...

– Och, uważam, że to może mieć znaczenie – przerwał mu Kovac, nadal wpatrując się twardo w Bonduranta.

– Cheryl jest zgorzkniałą, mściwą kobietą – powiedział Bondurant.

– Tak pan sądzi? Mimo że trzymała tak długo buzię na kłódkę? Powiedziałbym, że to raczej pan jest niewdzięcznym sukinsynem...

– Kovac, dość tego! – krzyknął Greer.

– Niezupełnie – rzucił Kovac. – Chce pan całować w dupę człowieka molestującego dzieci, panie Greer? Pańska sprawa. Ja tego nie zrobię. Gównu mnie obchodzi, jaki jest bogaty.

– Och – jęknęła Grace Noble, tym razem przykładając dłoń do piersi.

– Może powinniśmy omówić to na dole – zaproponował spokojnym głosem Quinn.

– Ja się zgadzam – odparł Kovac. – Mamy gotowy pokój przesłuchań.

Bondurant zaczął się trząść.

– Nigdy nie molestowałem Jillian.

– Może pan myślał, że tego nie robi – odparł Kovac obchodząc go powoli dookoła i odsuwając się od Greera.

Starł się zatrzymać na sobie uwagę Bonduranta, tak żeby ten nie patrzył na swojego

adwokata.

– Wielu pedofilów przekonuje samych siebie, że wyświadczyają dziecku przysługę. Niektórym nawet pieprzenie dzieci myli się z miłością. Czy w pana wypadku też tak było?

– Ty sukinsynu!

Bondurant rzucił się do przodu, chwycił Kovaca za kłapy marynarki i runął z nim przez salę. Wpadli na stolik, na którym stały dwa mosiężne lichtarze. Wyleciały w powietrze jak kręgle.

Kovac mógłby zrzucić z siebie Bonduranta i stłuc go na kwaśne jabłko, ale się powstrzymał. Po tym, co dzisiaj usłyszał, naprawdę miał na to ochotę i może by to zrobił, gdyby go spotkał gdzieś w ciemnej ulicy. Jednak tacy ludzie jak Peter Bondurant nie pojawiają się w ciemnych uliczkach i nigdy ich nie dosięga prosta sprawiedliwość.

Bondurant zadał celny cios, trafiając Kovaca w kąt ust, ale Quinn natychmiast chwycił go za kołnierz i odciągnął do tyłu. Greer wpadł pomiędzy nich, rozkładając szeroko ramiona jak sędzia bokserski i błyskając białkami oczu w ciemnej twarzy.

– Sierżancie Kovac, uważam, że powinien pan wyjść.

Kovac poprawił sobie krawat i marynarkę, a potem otarł krew z warg ust. Krzywy uśmiezek pojawił się na jego twarzy, gdy spojrzał na Petera Bonduranta.

– Niech pan go zapyta, gdzie był ostatniej nocy o drugiej nad ranem – powiedział. – Wtedy, kiedy ktoś podpalał samochód jego córki z okaleczonym ciałem kobiety w środku.

– Nie niżę się do jego poziomu, żeby na to odpowiadać – oznajmił Bondurant, poprawiając sobie okulary.

– Jezu, pan to jest cacy, no nie? – rzucił Kovac. – Uszło panu na sucho molestowanie dziecka i ujdzie na sucho napaść na policjanta. Jest pan w tej sprawie jak czyrak. Myśli pan, że jak pan zechce, to ujdzie panu na sucho także morderstwo?

– Kovac! – wrzasnął Greer.

Kovac spojrzał na Quinna, pokręcił głową i wyszedł.

Bondurant jednym szarpnięciem uwolnił się z uchwytu Quinna.

– On ma być odsunięty od sprawy! Ma być zwolniony z policji!

– Dlatego że wykonuje swoje obowiązki? – zapytał spokojnym tonem Quinn. – Jego zadanie polega na prowadzeniu śledztwa. Nic nie poradzi na to, co przy okazji odkrywa, Peter. Chce pan zabić posłańca, który przynosi złe wieści.

– On nie prowadzi śledztwa w tej sprawie, w której powinien! – krzyknął Bondurant wymachując rękami i znowu chodząc tam i z powrotem po pokoju. – Prowadzi śledztwo w mojej sprawie. Prześladowuje mnie. Na Boga, przecież straciłem córkę!

Edwin Noble usiłował przytrzymać Bonduranta za rękę, gdy ten koło niego przechodził, ale mężczyzna wyrwał mu się.

– Peter, uspokój się. Z Kovacem sprawa będzie załatwiona.

– Ja sędzę, że powinniśmy raczej zająć się tym, co odkrył sierżant Kovac – oznajmił Quinn. – A państwo? A pan? – zwrócił się do adwokata.

– To nonsens – rzucił Noble. – To są bezpodstawne pomówienia.

– Naprawdę? Sophie Bondurant była kobietą niezrównoważoną emocjonalnie. Dlaczego sąd miałby przyznać jej opiekę nad Jillian? A ściślej biorąc, dlaczego pan z nią nie walczył, Peter? – zapytał Quinn, usiłując nawiązać z Bonduranem kontakt wzrokowy.

Bondurant nie zatrzymywał się. Był spocony i blady, tak jakby był chory.

– Cheryl Thorton mówi, że nie walczył pan z Sophie, bo zagroziła, że pana skompromituje, ujawniając fakt o molestowaniu Jillian.

– Nigdy nie skrzywdziłem Jillian. Nie mogłbym tego zrobić.

– Cheryl zawsze obwiniała Petera za wypadek męża – oświadczył Noble. – Nie chciała, żeby Donald pozbył się udziałów w przedsiębiorstwie Paragon. Jego też za to karała. Doprowadziła go do alkoholizmu. To ona w pośredni sposób doprowadziła do tego wypadku, ale obwinia Petera.

– I ta zgorzkniała, mściwa kobieta nie mówiła nic do tej pory o domniemanym molestowaniu? Trudno byłoby to sobie wyobrazić, gdyby nie hojne wpłaty, które Peter przekazuje do domu opieki, gdzie Donald Thorton pozostanie do końca życia.

– Niektórzy nazwaliby to wspaniałomyślnością – rzekł Noble.

– A niektórzy szantażem. Mogliby powiedzieć, że Peter kupił milczenie Cheryl Thorton.

– Więc mylili by się – odparł stanowczo Noble. – Donald i Peter byli przyjaciółmi, współnikami. Dlaczego Peter miałby się nie zatroszczyć, by jego przyjaciel miał dobrą opiekę?

– Zatroszczył się o niego doskonale, wykupując jego udziały w Paragonie, co, tak się składa, miało miejsce mniej więcej wtedy, kiedy doszło do rozvodu państwa Bondurantów – ciągnął Quinn. – Wygląda na to, że Peter wspaniałomyślnie przystał na warunki stawiane przez Thortona.

– A co miał zrobić? – zareplikował Noble. – Próbować ukraść udziały człowiekowi, który pomógł mu zbudować firmę?

Quinn studiował zachowanie Bonduranta, który zamilkł i ograniczył swój spacer do rogu sali w pobliżu okna. Wycofywał się. Opuścił głowę i co chwila dotykał dłonią czoła,

jakby sprawdzał, czy ma gorączkę.

Quinn podszedł do niego spokojnie, ograniczając mu swobodę ruchu. Subtelnie naruszał jego przestrzeń osobistą.

– Dlaczego nie walczyłeś z Sophie o opiekę nad dzieckiem, Peter? – zapytał spokojnie, jakby toczył poufałą rozmowę z przyjacielem.

Też opuścił głowę, a ręce włożył do kieszeni.

– Byłem w trakcie przejmowania firmy. Nie byłem w stanie zająć się również dzieckiem.

– Więc zostawiłeś je Sophie? Kobiecie, która ciągle trafiała do szpitala psychiatrycznego?

– To nie tak. Sophie nie była nienormalna. Miała problemy. Wszyscy mamy problemy.

– Ale nie tego rodzaju problemy, które popychają nas do samobójstwa.

Łzy wypełniły oczy Bonduranta. Uniósł dłoń, jakby chciał zasłonić twarz przed wzrokiem Quinna.

– O co pokłóciliście się z Jillian tamtej nocy, Peter?

Bondurant kręcił głową, nie przestając chodzić. Robił trzy kroki w jedną stronę, zawracał, trzy kroki w drugą, zawracał...

– Miała telefon od ojczyma – powiedział Quinn. – Byłeś zły.

– Omawialiśmy to już – wtrącił niecierpliwie Noble, wyraźnie chcąc się dostać pomiędzy Quinna a swojego klienta.

Quinn odwrócił się, blokując mu przejście.

– Dlaczego się upierasz, że Jillian nie żyje, Peter? Ja nie wiem, czy ona nie żyje. Myślę, że może być inaczej. Czemu mówisz, że nie żyje? O co się wtedy pokłóciliście?

– Dlaczego mi to robicie? – wyszeptał Bondurant z goryczą.

Jego zaciśnięte usta drżały.

– Bo chcemy znać prawdę, Peter, i sądzę, że ukrywasz przed nami niektóre jej elementy. Jeżeli chcesz prawdy, tak jak to mówisz, to musisz ujawnić wszystko, rozumiesz? Musimy zobaczyć cały obraz.

Zamilkł, wstrzymując oddech. Bondurant był na krawędzi decyzji. Quinn czuł to, widział to. Chciał siłą woli skłonić go do zrobienia kroku.

Bondurant zapatrzył się przez okno na śnieg. Znieruchomiał. Był jak odrętwiały.

– Chciałem tylko, żebyśmy byli ojcem i córką...

– Dość tego, Peter – przerwał mu Noble.

Stanął przed Quinnem i wziął swego klienta pod rękę.

– Wychodzimy.

– Wydawało mi się, że się rozumiemy – dodał pod adresem Quinna, obrzucając go gniewnym spojrzeniem.

– Och, rozumiem pana doskonale, panie Noble – odparł Quinn. – Ale to nie znaczy, że interesuje mnie występowanie w pana drużynie. Interesują mnie tylko dwie sprawy: prawda i sprawiedliwość. Nie jestem pewien, czy panu zależy na tym samym.

Noble nie odpowiedział. Wyprowadził Bonduranta z sali, jak sanitariusz wyprowadza pacjenta znajdującego się pod wpływem środków odurzających.

Quinn spojrzał na panią burmistrz, która w końcu usiadła. Wyglądała na oszołomioną i jednocześnie zamyśloną, jakby usiłowała przeanalizować dawne wspomnienia, które mogłyby świadczyć o tym, że Peter Bondurant jest zamieszany w jakieś sprawy, o które by go nigdy nie podejrzewała. Greer natomiast wyglądał jak człowiek w pierwszej fazie zawału serca.

– Tak to jest, kiedy się człowiek zacznie grzebać w czyimś życiu – rzucił sentencjonalnie Quinn. – Nie ma gwarancji, że znajdzie się to, co się chce, albo że się będzie chciało tego, co się znajdzie.

Do godziny siedemnastej każda agencja prasowa, mająca swą siedzibę albo przedstawicieli w Twin Cities, dysponowała nazwiskiem Gila Vanleesa. Te same gazety i stacje, które teraz zamierzały opublikować jego nazwisko i wypełnić ekrany telewizorów podłej jakości zdjęciami Vanleesa, miały również potępić policję za przeciek informacji.

Quinn nie miał wątpliwości co do tego, gdzie powstał przeciek, i doprowadzało go to do wściekłości. Ludzie Bonduranta mieli taki dostęp do śledztwa, że zakłócało to jego przebieg. W dodatku w świetle rewelacji Kovaca wpływ Bonduranta na sprawę wyglądał jeszcze bardziej ponuro.

Jednakże nikt nie przekazał prasie tych ostatnich informacji. Nawet rzekomo zgorzkniała i mściwa Cheryl Thorton, której cierpiący na uszkodzenie mózgu mąż przebywał w domu opieki opłacanym przez Petera Bonduranta. Ile trzeba by pieniędzy, żeby przez dziesięć lat kupować milczenie w takiej sprawie?

Co wydarzyło się w życiu Jillian i jej matki w okresie rozvodu Bondurantów? Od samego początku Bondurant robił wrażenie człowieka ukrywającego jakieś sekrety. Tajemnice dotyczące teraźniejszości. Tajemnice dotyczące przeszłości. Czyżby tak ponure, jak kazirodztwo?

W jaki inny sposób Sophie Bondurant zdołałaby uzyskać prawo do opieki nad Jillian? Przecież była tak niezrównoważona, a Peter taki potężny.

Przerzucił dokumenty, odnajdując zdjęcia miejsca zbrodni ze sprawy ofiary numer trzy. Niektóre aspekty tego morderstwa nasuwały myśl, że zabójca i ofiara mogli się znać. Dekapitacja ofiary, chociaż żadna inna ofiara nie została pozbawiona głowy, skrajne odpersonalizowanie. Jedno i drugie wskazywało na emocje mające osobiste podłoże. Lecz co zrobić z najnowszą teorią, że zabójca ma współnika? Wspólnika płci żeńskiej? To nie pasowało do Petera Bonduranta. Albo z podejrzeniem, że tą współdziałającą kobietą mogła być sama Jillian Bondurant?

Przeżycia związane z wykorzystywaniem seksualnym pasowałyby do portretu psychologicznego kobiety zamieszanej w tego typu przestępstwa. Osoba taka miałaby wypaczone poglądy na stosunki między mężczyznami i kobietami, na życie erotyczne. Jej współnikiem byłby prawdopodobnie jakiś starszy mężczyzna, który w dewiacyjny sposób grałby rolę jej ojca, dominującego partnera. Pomyślał o Jillian, o jej zdjęciu w gabinecie Bonduranta. Emocjonalnie rozbita, z niską samooceną dziewczyna, która, żeby znaleźć akceptację, udawała, że jest kimś, kim w istocie nie była. Do czego byłaby w stanie się posunąć, żeby zyskać tak pożądaną przez nią aprobatę? Jej związek z ojczymem był prawdopodobnie dobrowolny, chociaż takie rzeczy nigdy do końca dobrowolne nie są. Dzieci potrzebują miłości i łatwo można nimi manipulować, wykorzystując tę potrzebę. Jeżeli Jillian uciekła od związku z ojcem tylko po to, żeby zostać wciągniętą do kolejnego związku z ojczymem, musiało to tylko wzmocnić wszelkie spaczne poglądy, jakie sobie wyrobiła na temat kontaktów z mężczyznami.

Jeżeli Peter rzeczywiście ją wykorzystywał.

Jeżeli Jillian nie była martwą ofiarą, lecz ofiarą aktywną.

Jeżeli Gil Vanlees był jej współnikiem w tym szaleństwie.

Jeżeli Vanlees w ogóle był zabójcą.

Jeżeli, jeżeli, jeżeli...

Vanlees wyglądał na doskonałego kandydata do profilu, chociaż nie wydawało się Quinnowi, żeby miał na tyle bystrości umysłu, aby przez tak długi czas przechytrzać policję, ani dość odwagi, żeby rozgrywać taką grę, jaką podjął ten zabójca. W każdym razie nie ten Gil Vanlees, którego widział dzisiaj w pokoju przesłuchań. Wiedział jednak z doświadczenia, że ludzie mogą mieć więcej niż jedno oblicze i że ciemna strona ich natury sprawia, że są zdolni do zabijania w taki sposób, w jaki zabija Kremator. Są zdolni do wszystkiego, łącznie z doskonałym wprost maskowaniem się.

Wyobraził sobie Gila Vanleesa, mając nadzieję, że pojawi się ów wewnętrzny głos podpowiadający mu, że to jest właśnie ten człowiek. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Już nie

pamiętał, kiedy ostatni raz słyszał ten podszept instynktu. Nawet po fakcie, kiedy już zabójca został schwytyany i okazywało się, że jego osobowość punkt po punkcie pasuje do opracowanego portretu, głos już się pojawiał. Opuściła Quinna niezachwiana pewność siebie, a jej miejsce zajął strach.

Odnalazł w dokumentach zdjęcia z sekcji zwłok Melanie Hessler. Podobnie jak w przypadku trzeciej ofiary, rany, zarówno te przed śmiercią, jak i te po niej, zostały zadane w sposób niezwykle okrutny, bardziej sadystyczny niż w przypadku pierwszych dwóch ofiar. Patrząc na zdjęcia, słyszał w wyobraźni echo nagrania ze znalezionej kasety. Wrzask po wrzasku i znowu wrzask.

Wrzaski zderzały się, tworząc wypełniającą jego koszmary kakofonię. Narastały coraz bardziej, potężniały i rozrastały się w jego mózgu, aż czuł się tak, jakby głowa miała mu pęknąć, a jej zawartość rozlać się w gęstą kałużę szarej substancji. Cały czas, kiedy patrzył na zdjęcia z sekcji zwłok, na zwęglony, okaleczony kształt, który kiedyś był kobietą, myślał o tym, jak wiele trzeba mieć w sobie złości, by zrobić coś takiego innej osobie. Musiały to być jakieś zatrute, mroczne emocje, utrzymywane pod kontrolą aż do momentu, kiedy ich ciśnienie przekraczało punkt krytyczny. Pomyślał o Peterze Bondurancie, Gilu Vanleesie i tysiącu bezimiennych osób, spotykanych na ulicach Twin Cities i tylko czekających na to, kiedy nienawiść wybuchnie i popchnie ich poza granice normy.

Każdy z tych ludzi mógł być poszukiwanym zabójcą. Czynniki potrzebne do dokonania zbrodni drzemą w bardzo wielu ludziach. Wystarczy tylko właściwy katalizator, by je uwolnić. Z powodu rozpoznanych okoliczności i portretu psychologicznego detektywi z grupy specjalnej stawiali na Vanleesa. Nie dysponowali jednak niczym poza odrobiną logiki i policyjnego instynktu. Nie było żadnych dowodów fizycznych. Czy Gil Vanlees mógł być aż tak ostrożny? Aż tak sprytny? Nie mieli żadnego świadka, który mógłby skojarzyć go z którąś z ofiar. Ich świadek zniknął. Nie znali żadnego oczywistego związku pomiędzy czterema ofiarami ani nie wiedzieli o niczym, co wiązałoby Vanleesa z którąkolwiek z ofiar z wyjątkiem Jillian. Oczywiście jeśli Jillian była ofiarą.

Jeżeli to. Jeżeli tamto.

Wyjął z kieszeni tabletkę tagametę i połknął ją, popijając coca-colą. Ta sprawa przytłaczała go, nie potrafił spojrzeć na nią z perspektywy. Jej bohaterowie byli zbyt blisko niego. Ich myśli i emocje zatruwały nagie fakty, które były wszystkim, czego potrzebował do swojej analizy.

Jako zawodowiec nadal pragnął znaleźć się na dystans od tej sprawy, wrócić do swojego gabinetu w Quantico. Z drugiej jednak strony, gdyby został w Quantico, to wszystko,

co było między nim i Kate, nadal należałoby do przeszłości. Kierowany impulsem, chwycił słuchawkę telefonu i wybrał jej numer w pracy. Po czwartym sygnale uzyskał połączenie z automatyczną sekretarką. Podał swój numer, odłożył słuchawkę, znowu ją podniósł i wybrał numer domowy Kate, ale sytuacja powtórzyła się. Była siódma. Gdzie ona, do diabła, jest?

Od razu przypomniał sobie zaniedbany garaż w ciemnej uliczce za jej domem. Zaklął pod nosem, ale zaraz napomniął sam siebie, jak to na pewno zrobiłaby Kate, że przez ostatnie pięć lat doskonale dawała sobie radę sama.

Czuł potrzebę wysłuchiwania znowu jej zawodowych opinii, a jeszcze bardziej pragnął długiego, powolnego pocałunku i ciepłego uścisku. Wrócił do segregatora, odnalazł charakterystyki ofiar i przystąpił do szukania tej jednej rzeczy, którą, jak sądził, przegapił wcześniej i która teraz powiązałaby wszystko razem i wskazała właściwy kierunek działania.

Notatki dotyczące Melanie Hessler sporządził on. Powierzchowne i zbyt krótkie. Kovac wyznaczył Moss do zebrania informacji na temat ostatniej z ofiar Krematora, ale jeszcze nic mu nie dostarczyła. Wiedział tylko, że pracowała w księgarni dla dorosłych, a to, zdaniem mordercy, prawdopodobnie plasowało ją w tej samej kategorii, co obydwie prostytutki. Kilka miesięcy temu została napadnięta w uliczce za księgarnią, ale obydwaj mężczyźni, którzy wtedy ją zgwałcili, mieli niepodważalne alibi i teraz nie byli brani pod uwagę jako podejrzani.

W swoim krótkim życiu wszystkie te kobiety wielokrotnie padały czyjaś ofiarą. Lila White i Fawn Pierce uprawiały profesję, która polegała na wykorzystywaniu kobiet i ich degradacji. White została pobita przez swojego dealera narkotyków. Pierce w ciągu dwóch lat trzykrotnie potrzebowała pomocy medycznej: raz z powodu pobicia przez swojego alfonsa, drugi raz po chuligańskim napadzie i trzeci, kiedy została zgwałcona.

Jillian Bondurant była ofiarą molestowania za zamkniętymi drzwiami rodzinnego domu. Jeśli to wszystko było prawdą.

Wrócił znowu do fotografii ofiary numer trzy i przyjrzał się ranom na jej klatce piersiowej. Podpis mordercy. Długa rana, krótka rana, długa rana, krótka rana. Jak ramiona gwiazdy lub płatki ponurego kwiatu. Kocha, nie kocha. Kreślę znak krzyża na sercu. Przysięgam na śmierć i życie.

Przypomniał sobie ledwie słyszalne głosy z kasyty.

„obróć... zrób to...”

„...chcesz... ode mnie...”

Wyobraził sobie zabójców stojących z nożami w dłoniach po obu stronach ciepłego jeszcze lecz już pozbawionego życia ciała kobiety: na zmianę wykluwali swe podpisy w

klatce piersiowej ofiary, potwierdzając w ten sposób swój pakt.

Tego rodzaju obraz powinien go przerazić, ale to nie była najgorsza rzecz, jaką widział w życiu. Spotykał o wiele drastyczniejsze przypadki. W większości wywoływały u niego poczucie odrętwienia.

Jednak ta wizja przyprawiała go o dreszcze.

Mężczyzna i kobieta. Przetasował w myślach różne warianty, biorąc pod uwagę ludzi, którzy w jakiś sposób byli związani z ofiarami. Gil Vanlees, Bondurant, Lucas Brandt. Urskine'owie, ich też nie mógł wykluczyć. prostytutka, która była w Phoenix House tej nocy, gdy zaginęła DiMarco, twierdziła, że nic nie słyszała ani nie widziała, również знаła drugą ofiarę. Michele Fine, jedyna przyjaciółka Jillian, dziwna i zmienna. Poznaczona bliznami, fizycznymi i emocjonalnymi. Kobieta mająca za sobą bez wątpienia ponure, mroczne przeżycia i nie posiadająca żadnego przekonującego alibi na noc, kiedy zniknęła Jillian. Sięgnął po papier nutowy, który dała mu Fine. Ciekawe, jakie teksty koleżanki zachowała dla siebie.

Outsider

Jestem outsiderem.

Sama

po ciemnej stronie.

Zaglądam do środka

od czasu do czasu.

Chcę mieć dom.

Jestem outsiderem

mojej krwi

i w moich kościach.

Nie mogę mieć

tego, co chcę.

Skazana,

by się błąkać

sama.

Wpuść mnie.

Muszę mieć przyjaciela.

Chcę mieć kochanka.

Zostań ze mną.

Bądź moim chłopakiem.

Bądź moim ojcem.

Jestem outsiderem

w mojej krwi

i w moich kościach.

Nie mogę mieć

tego, co chcę.

Skazana,

by się błąkać

sama

Rozległo się pukanie do drzwi i Kovac bez zaproszenia wsunął głowę do środka.

– No i widzisz? Dupa błada – zakomunikował.

Wszedł do pokoju w swym wygniecionym garniturze i oparł się o pokrytą notatkami ścianę. Warga spuchła mu w miejscu, gdzie uderzył go Bondurant.

– Wylali cię – powiedział Quinn.

– Zgadłeś. Zdjęli mnie z grupy specjalnej. Jutro na konferencji prasowej ogłoszą, kto jest moim następcą.

– Przynajmniej Bondurant nie kazał wyrzucić cię całkiem z policji. Tym razem trochę za ostro odgrywałeś złego policjanta, Sam.

– Złego policjanta – mruknął z niechęcią Kovac. – To byłem prawdziwy ja i wszystko, co mówiłem, mówiłem poważnie. Mam po dziurki w nosie Petera Bonduranta, jego pieniędzy, jego ważności i jego ludzi. Tego, co powiedziała mi Cheryl Thorton, było już dla mnie za wiele. Myślałem ciągle o tych nieżyjących kobietach, którymi się nikt nie przejmuje, i o tym, jak Bondurant igra ze śledztwem, jakby to była jego prywatna zabawa w detektywa. Nie mogłem przestać myśleć o jego córce i o tym, że powinna mieć wspaniałe życie, a zamiast tego ma na zawsze przerąbane wszystko jedno, czy jest żywa, czy martwa.

– Jeśli on ją rzeczywiście molestował. Nie wiadomo, czy Thorton mówiła prawdę.

– Bondurant reguluje rachunki za opiekę medyczną nad jej mężem. Dlaczego miałyby mówić o nim coś tak parszywego, gdyby to nie było prawdą?

– Czy sugerowała, że, jej zdaniem, Peter zabił Jillian?

– Nie posunęła się do tego.

Quinn podsunął mu papier nutowy.

– Spróbuj coś z tego zrozumieć. Może to potwierdzi, że jesteś na dobrym tropie.

Kovac skrzywił się, czytając słowa piosenki.

– Jezu.

Quinn rozłożył ręce.

– To może mieć podłoże erotyczne albo nie. Może się odnosić do jej ojca albo ojczyzna, a może nic nie znaczyć. Chcę jeszcze trochę pogadać z tą Michele. Zobaczymy, czy ma jakąś interpretację, oczywiście jeśli zechce mi ją przedstawić.

Kovac spojrział na fotografie, które Quinn przykleił do ściany. Zdjęcia ofiar, żywych i uśmiechających się do obiektywu aparatu.

– Niczego bardziej nie nienawidzę niż ludzi molestujących dzieci. Dlatego nie zajmuję się przestępstwami na tle seksualnym, chociaż miałbym bardziej unormowany tryb pracy. Gdybym zaczął to robić, to tak szybko trafiłbym do pierdła, że aż by mnie łupało w krzyżu. Jakbym dorwał w swoje łapy sukinsyna, który zgwałcił własne dziecko, to bym go, kurwa, zatłukł. Trzeba takich usuwać z banku genów. Wiesz, o co mi chodzi.

– Tak, wiem.

– Nie rozumiem, jak człowiek może patrzeć na swoją własną córkę i myśleć: hej, coś z tego mi się należy.

Pokręcił głową i wyłuskał papierosa z paczki umieszczonej w kieszonce wygniecionej białej koszuli. W biurze FBI był zakaz palenia, ale Quinn nic nie powiedział.

– Wiesz, mam córkę – powiedział Kovac, wydychając dym. – A zresztą skąd miałbyś wiedzieć. Prawie nikt nie wie. Z mojego pierwszego małżeństwa. Przetrwało raptem parę chwil po tym, jak wstąpiłem do policji. Ma na imię Gina. Skończyła niedawno szesnaście lat. Wcale dziewczyny nie widuję. Jej matka podejrzanie szybko wyszła ponownie za mąż i przeprowadziła się do Seattle. Jakiś inny facet został ojcem Giny. – Wzruszył ramionami i znowu spojrział na zdjęcia. – Więc nie bardzo się różnię od Bonduranta, co? – dodał z westchnieniem. – Złośliwość losu.

Quinn dostrzegł w jego oczach żal. Widywał go tyle razy w tak wielu twarzach w całym kraju. Za pracę w policji słono się płaci, a ludzie, którzy są gotowi ponieść takie koszty, z reguły nie otrzymują od życia zbyt wiele w zamian.

– No i co zrobisz w związku ze śledztwem? – zaskoczył Kovaca pytaniem.

– Będę kierował tą cholerną grupą specjalną i tyle. Nie obchodzi mnie, co mówi Mały

Dick. To moja sprawa i ja ją prowadzę. A oni mogą sobie wyznaczać, kogo tylko chcą.

– Twój porucznik nie mianuje cię z powrotem?

– Fowler trzyma moją stronę. Kazał mi po cichu pomagać w śledztwie. Mam trzymać gębę na kłódkę i za bardzo się nie afiszować.

– Od jak dawna Fowler cię zna?

– Na tyle długo, żeby być mądrzejszy.

Quinn zdobył się na śmiech.

– Niezły z ciebie numer, Sam.

– Tak, zgadza się. Tylko nie pytaj za wielu ludzi jaki – odparł Kovac z szerokim uśmiechem, który zaraz przygasł.

Wrzucił niedopałek do pustej puszki po coca-coli.

– Tu nie chodzi o żadne ambicjonalne sprawy. Nie zależy mi na tym, żeby moje nazwisko trafiło do gazet. Nigdy nie ubiegałem się o awans, a teraz na pewno nie mam szans, żeby mi go dali. Chcę dorwać tego drania – powiedział twardym jak stal tonem. – Powinienem tak samo bardzo chcieć go dorwać, kiedy została zamordowana Lila White. Nie było tak, żeby mnie to nie obchodziło, ale miałeś rację: podszedłem do śledztwa mechanicznie. Nie przypiąłem się do niej, nie grzebałem wystarczająco głęboko. Sprawa nie dała się szybko wyjaśnić, więc pozwoliłem, żeby została odstawiona na boczny tor. Góra mnie naciskała, a ona była dziwką. Przecież dziwki obrywają od czasu do czasu. Ryzyko zawodowe. Teraz doszliśmy do czterech. Chcę, żeby Joe Podpalacz trafił do pudła, zanim rachunek się podwyższy.

Quinn wysłuchał w milczeniu jego słów i na koniec skinął głową. Wiedział, że ma przed sobą dobrego policjanta. Dobrego człowieka. Zdawał sobie sprawę również z tego, że ta sprawa szybciej zniszczy jego karierę, niż mu w niej pomoże, nawet jeżeli Kovac zdoła rozwiązać zagadkę morderstwa. Szczególnie jeżeli kluczem do tej zagadki miałby się okazać Peter Bondurant.

– Jakie są najnowsze wiadomości o Vanleesie?

– Tippen siedzi mu na ogonie. Zatrzymali Vanleesa na Hennepin, żeby go zapytać o jego kumpla, tego dealera elektroniki. Tip mówi, że facet o mało się nie zesrał w portki.

– A co z tą elektroniką?

– Adler sprawdził jego stronę internetową. Specjalizuje się w komputerach, plus różne podobne bajery, ale jest w stanie sprowadzić wszystko, co się podłącza do prądu. Więc nie można wykluczyć, że przypadkiem nie siedzi po uszy w sprzęcie do nagrywania. Chciałbym dostać nakaz rewizji jego domu, ale w tym stanie nie ma ani jednego sędziego, który by nam

go dał na podstawie tego, co mamy na faceta, bo nie mamy nic.

– I to mnie martwi – przyznał Quinn, stukając piórem w kartotekę Vanleesa. – Nie wydaje mi się, żeby Gil był najbystrzejszym gościem na naszej liście. W wielu kategoriach dobrze pasuje do profilu, ale Joe Podpalacz jest bystry i odważny, a Vanlees nie wygląda mi na takiego chwata, i dlatego doskonale się nadaje na kozła ofiarnego.

Kovac opadł na krzesło, jakby ciężar tej zagadki był dla niego nie do zniesienia.

– Vanlees jest powiązany z Jillian i z Peterem. To mi się nie podoba. Ciągłe jestem przekonany, że Bondurant to Joe Podpalacz, a mnie nikt nie będzie słuchał i ten sukinsyn się ze wszystkiego wykręci. Jak spróbowałem chociaż trochę powęszyc koło niego, to mało brakowało, a załatwiłby mi wylanie z policji. Wcale mi się to nie podoba.

Wyjął kolejnego papierosa, ale tylko przesunął po nim palcami, jakby miał nadzieję, że samo to może go uspokoić.

– A z drugiej strony, myślę sobie: Sam, jesteś idiotą. Przecież to Bondurant ściągnął Quinna. Dlaczego miałby to robić, gdyby był zabójcą?

– Dla emocji – odparł Quinn bez wahania. – Albo żeby dać się złapać. Postawiłbym w tym wypadku na ten pierwszy wariant. Rusza go to, że wie, iż tu jestem, a nie potrafię go zdemaskować. Przechytrzenie policji ma dla tego przestępcy wielkie znaczenie. Ale jeśli Bondurant jest Joe Podpalaczem, to kto jest jego współnikiem?

– Jillian – zasugerował Kovac. – A ta cała sprawa z jej morderstwem jest sfingowana.

Quinn pokręcił głową.

– Nie przypuszczam. Bondurant wierzy w to, że jego córka nie żyje. Wierzy w to bardziej niż my. To nie jest udawane.

– Więc wracamy do Vanleesa.

– Albo do Urskine'ów. Albo do kogoś, kogo nawet jeszcze nie braliśmy pod uwagę.

– Niezła z ciebie pomoc – mruknął Kovac, krzywiąc twarz.

– To dlatego płacą mi tyle forsy.

– Z moich podatków – dorzucił Kovac.

Przykleił na chwilę papierosa do wargi, ale zaraz odjął go od ust.

– Urskine'owie. Czy wystarczająco zboczony wariat? Załatwiają dwie swoje panienki, a potem parę normalnych kobiet, żeby wyciągnąć z tego korzyści.

– I odsunąć od siebie podejrzenia – dodał Quinn. – Nikt nie bierze pod uwagę tej osoby, która usiłuje ją na siebie zwrócić.

– Ale żeby porywać świadka, który przebywa w ich domu? Na to trzeba mieć jaja z żelaza – powiedział Kovac w zamyśleniu. – Mogę się założyć, że Toni Urskine ma owłosione

jaja.

Quinn podszedł do ściany i przyjrzał się notatkom. Nie widział jednak słów, tylko plątaninę liter i faktów, które mieszały się w jego myślach z teoriami, twarzami i nazwiskami.

– Słysząc coś o Angie DiMarco?

Kovac pokręcił głową.

– Nikt jej nie widział ani nic o niej nie słyszał. Pokazujemy jej zdjęcie w telewizji i apelujemy do mieszkańców, żeby zadzwonili pod specjalny numer, jeśli ją widzieli. Osobiście obawiam się, że chociaż znaleźliśmy wczoraj w samochodzie kogo innego, to jest to tylko odwołanie tego, co nieuniknione. Ale co tam – powiedział, podnosząc się ciężko z krzesła. – Jestem, jak to mówiła moja druga żona, piekielnym pesymistą.

Ziewnął potężnie i spojrzął na zegarek.

– No dobrze, GQ, dość na dzisiaj. Nie pamiętam, kiedy ostatnio spałem w łóżku. To jest mój cel na dzisiejszą noc, o ile nie padnę pod prysznicem. A ty? Mogę cię odwiedzić do hotelu.

– Po co? Żeby spać? Rzuciłem to. To mi osłabiało napady lęku – odparł Quinn, unikając jego wzroku. – Dziękuję, Sam, ale myślę, że jeszcze trochę posiedzę. Coś tu jest, czego nie potrafię dostrzec – dodał, wskazując na otwarty segregator. – Może jak pogapię się na to wszystko trochę dłużej...

Kovac popatrzył na niego chwilę w milczeniu i skinął głową.

– Jak sobie życzysz. Do zobaczenia rano. Chcesz, żebym po ciebie przyjechał?

– Nie. Dziękuję.

– Mhm. No cóż, dobranoc – powiedział, ruszając do drzwi. – Pozdrów ode mnie Kate, jeżeli ją przypadkiem spotkasz – dodał, oglądając się przez ramię.

Quinn nie zareagował. Stał bez ruchu całe pięć minut po wyjściu Kovaca, myśląc o tym, że Sam ma doskonały zmysł obserwacji. Potem podszedł do telefonu i wybrał numer Kate.

– Kate, to ja. Eee... John. Eee... jestem w biurze. Zadzwoń do mnie, jak będziesz miała możliwość. Chciałbym omówić z tobą pewne rzeczy dotyczące charakterystyki ofiar. Chodzi mi o twoje zdanie. Dziękuję.

Kate zapatrzyła się w aparat, na którym zaczęła migać lampka potwierdzająca odebranie wiadomości. Czuła się trochę winna z tego powodu, że nie podniosła słuchawki, a częściowo czuła ulgę. Gdzieś w samym sercu bolała nad straconą możliwością zbliżenia się do niego w jakiś sposób. To był zły znak, ale nic na to nie mogła poradzić.

Była wyczerpana, zestresowana, przygnębiona, czuła się tak podle, jak nie czuła się od lat i... pragnęła się znaleźć w ramionach Johna Quinna. Właśnie dlatego nie odebrała jego telefonu. Bała się.

Co za parszywe, nieprzyjemne uczucie.

Biuro było pogrążone w ciszy. W ich sekcji pracowała już tylko ona i Rob Marshall, który zamknął się w swoim gabinecie na końcu korytarza. Nie miała wątpliwości, że pisze długi i jadowity raport, przeznaczony do jej teczki personalnej. W mieszczącym się po drugiej stronie stanowiska recepcji urządzenie prokuratora okręgowego pracowało jeszcze wielu prawników, którzy przygotowywali się do rozpraw, opracowali strategię postępowania, studiowali źródła oraz pisali relacje i wnioski. Poza tym budynek był pusty.

Miała stargane nerwy, gdyż spędziła kilka godzin na słuchaniu taśm ze spotkań z Melanie Hessler, podczas których jej nieżyjąca podopieczna mówiła o tym, jak się boi, że zostanie skrzywdzona, zgwałcona i zamordowana, że umrze samotnie. Słyszała też swój własny głos, dodający tej kobiecie otuchy, obiecujący się nią zająć, załatwić jej pomoc, i mający w niej wywołać fałszywe poczucie bezpieczeństwa, które w końcu opuściło Melanie Hessler w najbardziej tragiczny z możliwych sposobów.

Marshall uparł się, żeby przesłuchiwać nagrania wiele razy, zatrzymując je i odtwarzając ponownie poszczególne fragmenty. Ciągłe przy tym powtarzał te same pytania, tak jakby teraz cokolwiek mogło mieć jakieś znaczenie. Detektywi nie mieli ochoty słuchać o niuansach w sposobie mówienia Melanie. Chcieli jedynie wiedzieć, czy Melanie w ciągu ostatnich tygodni kogoś się bała.

Kate zdawała sobie sprawę z tego, że Marshall w ten sposób się na niej mści.

W końcu przekroczył wszelkie granice. Kate podniosła się, nachyliła nad stołem i wcisnęła stop.

– Postawiłeś na swoim. Zemściłeś się. Ale co za dużo to niezdrowo – powiedziała cicho.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł, nie kryjąc szyderstwa.

W jego słowach nie było choćby cienia szczerości. Nie patrzył w dodatku w twarz Kate.

– Podoba mi się ta praca, Rob. Lubię większość ludzi, z którymi pracuję. Ale jestem, do diabła, dobra w tym, co robię, i mogę dostać nową posadę w mgnieniu oka. Nie mam zamiaru znosić tego, jak próbujesz mną manipulować i mnie karać. A teraz wybac mi, ale właśnie przeżyłam jeden z najgorszych dni w całym życiu i czuję się tak, jakbym była na krawędzi załamania nerwowego. Jadę do domu. Zadzwoń, jeśli nie chcesz, żebym tu wróciła.

Nie odezwał się ani słowem, kiedy wychodziła. A może po prostu nie słyszała go z powodu pulsu, który łomotał jej w uszach. Wiedziała dobrze, że zasłużyła sobie na to, żeby Rob ją wyrzucił, ale nie potrafiła się zdobyć na żadne taktowne zachowanie. Wszelkie pozory dobrych manier i form towarzyskich zniknęły pozostawiając tylko pierwotną wściekłość.

Czuła, jak wściekłość nadal ją przepelnia, tak jakby gdzieś w głębi jej ciała pękła ważna tętnica. Mogła się w tej wściekłości udławić, utopić się w niej.

Pragnęła tylko jednego: znaleźć Quinna i paść w jego objęcia.

Tak bardzo się starała odbudować swe życie, kawałek po kawałku, na nowym fundamencie, ale teraz ten fundament drżał. Nie. Jeszcze gorzej: odkryła, że został wzniesiony wprost na ruinach jej dawnego życia, tylko je po prostu przesłaniając. Nie był nowy, nie był mocniejszy, był tylko kłamstwem, którym zwodziła sama siebie przez ostatnie pięć lat. Kłamała, że nie potrzebuje Johna Quinna, by czuć się spełniona.

Poczuła przenikającą ją rozpacz, a oczy wypełniły jej się łzami. Była obolała, pusta, samotna i wystraszona. I jakże przy tym zmęczona! Powstrzymała jednak łzy, usiłując zmobilizować siły. Iść do domu, otrząsnąć się, wypić drinka i spróbować się przespać. Jutro czekał ją kolejny dzień.

Narzuciła płaszcz, wzięła kartotekę Angie i pobierała przesyłki, informacje i faksy, które nagromadziły się w ciągu dnia. Wcisnęła to wszystko do teczki i wyciągnęła rękę, by zgasić lampę, ale jej dłoń zbłądziła do półek, skąd wzięła zdjęcie Emily.

Słodki, uśmiechnięty aniołek w słonecznie żółtej sukience. Istota, którą czeka jasna przyszłość. Tak pomyślałby prawie każdy; typowa ludzka reakcja. Czy gdzieś u kogoś, w

jakimś starym pudełku po butach, istnieje podobne zdjęcie Angie DiMarco albo Melanie Hessler, Lili White, Fawn Pierce czy Jillian Bondurant? – pomyślała Kate.

Nie ma żadnej gwarancji na życie. Nie ma takiej obietnicy, której nie można złamać. Wiedziała to z własnego doświadczenia. Sama złożyła wiele obietnic, kierując się jak najlepszymi intencjami, a potem patrzyła, jak te obietnice kruszą się i rozsypują w pył.

– Przepraszam, Em – wyszeptała.

Przyłożyła zdjęcie do ust, całując je na dobranoc, a potem postawiła je z powrotem w rogu półki. Nie chciała, żeby sprzątaczką znalazła je i umieściła na widoku.

Wyszła z gabinetu, zamykając za sobą drzwi na klucz. W pokoju naprzeciwko pracował odkurzacz. Drzwi do gabinetu Roba Marshalla były zamknięte. Mógł nadal tam być i planować, jak pozbawić ją premii. A może pojechał do domu, do... do czego? Nie wiedziała nawet, czy ma jakąś dziewczynę albo chłopaka. Nie mogła wykluczyć, że w czwartek gra na przykład w kręgle. Nie miał żadnych bliskich przyjaciół w biurze. Nigdy nie spotkała się z nim na gruncie towarzyskim, poza tradycyjnym bożonarodzeniowym przyjęciem w pracy. Nie wiedziała nawet, czy on ma do kogo wrócić, żeby poskarżyć się na tę wredną babę w pracy.

Idąc kładką do parkingu przy Czwartej Ulicy, zauważyła, że śnieg w końcu przestał padać. „Piętnaście centymetrów śniegu” – zauważył któryś z przechodniów. Ulica była w takim stanie, że ekipy odśnieżające czekała całonocna praca, ale było też możliwe, że ze względu na porę roku zostawią wszystko w nadziei, iż nadejdzie parę ciepłych dni. W takim wypadku miasto mogłoby zaoszczędzić trochę pieniędzy, które na pewno się przydadzą, gdy nadejdą zimowe śnieżyce.

Wyjęła kluczyki z kieszeni i zacisnęła je w garści w taki sposób, że najdłuższy i najostrzejszy z nich wystawał pomiędzy jej wskazującego i środkowego palca. Nauczyła się tego, kiedy mieszkała na przedmieściach Waszyngtonu. Podjazd na parking był dobrze oświetlony, ale pusty z uwagi na porę. Kate zawsze czuła się niezbyt pewnie, idąc tędy sama. Tym bardziej dzisiaj, po tym wszystkim, co zaszło. Morderstwa i brak snu sprawiły, że jej podejrzliwość wzrosła do maksimum. Cień pomiędzy samochodami, szurnięcie podeszwą, nagłe trzaśnięcie drzwiami – każdy odgłos przeszywał ją całą. Miała wrażenie, że toyota stoi o milę przed nią.

W końcu znalazła się w jej wnętrzu. Zamknęła drzwi, włączyła silnik i ruszyła w drogę do domu. Jadąc, czuła jak opada z niej przynajmniej ostatnia warstwa napięcia. Próbowwała się na tym skoncentrować, by uwolnić się od bolesnego ucisku w ramionach. Piżama, drink i łóżko. Do łóżka weźmie teczkę i usiądzie w nim na zgniecionych po miłosnym zbliżeniu

prześcieradłach, podpierając się poduszkami.

A może zmieni prześcieradła.

Jeden z jej przedsiębiorczych sąsiadów zamontował do pick-upa mały pług i przez pięć miesięcy w roku uzupełniał swoje dochody dzięki oczyszczaniu podjazdów. Kate zauważyła, że przejechał przez prowadzącą do jej garażu uliczkę, pomyślała więc, że wypisze mu czek, który wrzuci jutro do jego skrzynki na listy.

Wjechała do garażu, przypomniawszy sobie za późno o przepalonej żarówce. Klnąc pod nosem, wyjęła latarkę ze skrytki w samochodzie i wysiadła z niego, trzymając w ręku ciężką teczkę.

Odór dotarł do jej nosa na sekundę przedtem, nim jej stopa natrafiła na miękką, kleistą przeszkodę.

– Co to za gówno? – wrzasnęła.

– Kate? – dobiegło czyjeś wołanie od strony domu.

Rozpoznała głos Quinna.

– Jestem tutaj! – odrzyknęła, próbując dać sobie radę z teczką, latarką i torebką.

– Co się stało? Dlaczego przeklinasz? – zapytał, podchodząc.

– Właśnie weszłam w kupę gówna.

– Co... O Jezu, czuję to. Pewnie jakiś pies.

Kate zapaliła latarkę i poświeciła sobie pod nogi.

– Wykluczone. Drzwi były zamknięte. Co za ohyda!

– Wygląda na ludzkie – powiedział Quinn. – Gdzie masz łopatę?

Kate skierowała promień światła na ścianę.

– Tutaj. Boże, myślisz, że ktoś wszedł do garażu i to zrobił?

– A masz jakąś rozsądniejszą teorię?

– Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego ktoś miałby to zrobić.

– To oznaka braku szacunku.

– Wiem o tym. Ale chodzi mi o to, dlaczego mnie? Nie znam raczej nikogo takiego, kto mógłby zachować się tak dziwnie, tak prymitywnie?

– Kogo ostatnio wkurzyłaś?

– Mojego szefa. Ale jakoś nie mogę go sobie wyobrazić, jak kuca w moim garażu. W dodatku nie mam nawet ochoty go sobie wyobrażać.

Wyszła na dwór za Johnem, stąpając jedną nogą na palcach, żeby nie zabrudzić jeszcze bardziej podłogi w garażu.

– Czy twoi klienci wiedzą, gdzie mieszkasz?

– Jeżeli ktoś wie, to nie dlatego, żebym udzieliła mu takiej informacji. Mają mój numer biurowy, który po godzinach pracy przekazuje informacje do mojej automatycznej sekretarki w domu. I to wszystko. Numer domowy jest zastrzeżony, chociaż to niekoniecznie musi utrudnić znalezienie mnie. Jeśli się wie, jak się do tego zabrać, nie jest to takie trudne.

Quinn zrzucił nieczystości z łopaty pomiędzy garaż a płot ogradzający sąsiednią posesję. Oczyszczył łopatę w zaspie, a Kate zrobiła to samo ze swoim butem.

– To jest po prostu godne podsumowanie mojego dnia – orzekła Kate, gdy weszli znów do garażu, żeby odstawić łopatę.

Poświeciła wokół latarką, żeby sprawdzić, czy coś nie zginęło, ale nic takiego nie zauważyła.

– Czy ostatnio zdarzały ci się jakieś dziwne rzeczy?

Kate roześmiała się ponuro.

– A co w moim życiu ostatnio nie jest dziwne?

– Mam na myśli wandalskie wyczyny, głuche telefony, dziwne przesyłki, coś w tym rodzaju.

– Nie – odpowiedziała i od razu pomyślała o trzech głuchych telefonach ostatniej nocy.

Boże, to się zdarzyło zaledwie ostatniej nocy? Sądziła wtedy, że to pewnie Angie. Uważała to za najbardziej sensowne wytłumaczenie. Wcale jej nie przyszło do głowy, że to może być ktoś, kto jej zagraża. Teraz w dalszym ciągu nie chciała uwierzyć w taką możliwość.

– Powinnaś parkować na ulicy, Kate – powiedział Quinn. – To mógł być ktoś, kto przechodził tędy przypadkiem albo jakiś dzieciak, który postanowił sobie zażartować, ale nigdy nie za wiele ostrożności.

– Wiem. Będę tak robiła. Od jutra. Jak długo tu jesteś? – zapytała, gdy już ruszyli w kierunku domu.

– Nie na tyle długo, żebym musiał to zrobić.

– Nie o to mi chodzi.

– Dopiero co przyjechałem. Próbowałem dodzwonić się do ciebie w pracy, próbowałem tutaj. Pojechałem do twojego biura, ale już cię nie było. Więc wziąłem taksówkę. Dostałaś moje wiadomości?

– Tak, ale zrobiło się późno i byłam zmęczona. Miałam parszywy dzień i po prostu chciałam stamtąd zniknąć.

Weszli przez tylne drzwi, witani niespokojnym miauczeniem Thora. Kate zostawiła

buty przy wejściu, położyła teczkę na kuchennym krześle i podeszła od razu do lodówki, żeby wyjąć puszkę kocięj karmy.

– Nie próbowałaś mnie unikać? – zapytał Quinn, zdejmując płaszcz.

– Może. Troszeczkę.

– Martwiłem się o ciebie, Kate.

Postawiła jedzenie dla kota na podłodze, pogłaskała go po grzbiecie i wyprostowała się, stojąc tyłem do Quinna. Wystarczyło to króciutkie zdanie, by znowu rozbudzić w niej burzę emocji i doprowadzić ją do łez. Ze wszelkich sił starała się nie zdradzić z tym przed nim. Musiała zdławić w sobie te uczucia. Robił wszystko, by zaczęła go pragnąć. Sama chciała tego bardzo.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie przywykłam do tego, żeby ktoś dbał...

Jezu, co za fatalny dobór słów. Nie przywykła do tego, żeby ktoś się o nią troszczył. To była prawda, ale zabrzmiało to tak żałośnie i nieszczęśnic Pomyślała o Melanie Hessler, która zaginęła przed tygodniem i nikt się o nią wystarczająco nie troszczył, żeby przynajmniej próbować się dowiedzieć, co się z nią stało.

– Ona była moją klientką – oznajmiła nagle. – Melanie Hessler. Ofiara numer cztery. Jednej nocy zdołałam stracić dwie osoby. Jak to wygląda w papierach?

– Och, Kate – powiedział, podchodząc do niej od tyłu i obejmując ją ramionami, otaczając swym ciepłem i siłą. – Dlaczego do mnie nie dzwoniłaś?

Bo się boję, że będę cię potrzebować. Boję się ciebie kochać, odparła w myślach.

– Nie mogłeś nic na to poradzić.

Odwrócił ją ku sobie i odgarnął jej włosy z twarzy, ale nie próbował zmusić, by patrzyła na niego.

– Mogłem zrobić to – mruknął. – Mogłem przyjść, wziąć cię w ramiona i potrzymać trochę, o tak, w ten sposób.

– Nie wiem, czy to byłby taki dobry pomysł – powiedziała cicho.

– Dlaczego nie?

– Bo nie. Jesteś tutaj, żeby pracować nad sprawą. Masz ważniejsze rzeczy do roboty.

– Kate, kocham cię.

– Ot tak, po prostu?

– Wiesz, że to nie jest „ot tak, po prostu”.

Odsunęła się od niego, od razu pragnąc odzyskania bliskości.

– Wiem, że minęło pięć lat bez słowa, bez listu, bez niczego. A teraz minęło półtora dnia i znowu jesteśmy zakochani. Po tygodniu wyjedziesz. A wtedy?... – zapytała – Jak

sądzisz, co o tym myślę?

– Wygląda na to, że nic dobrego.

Wiedziała, że go zraniła, choć wcale nie miała takiego zamiaru. Przeklinała się w duchu za to, że tak niezdarnie się obraca w kręgu kruchych uczuć, ale straciła w tym wprawę i bardzo się bała, a strach sprawiał, że zachowywała się niezręcznie.

– Myślę o każdej chwili w ciągu tych pięciu lat, kiedy chciałem podnieść słuchawkę, ale tego nie zrobiłem – powiedział Quinn. – Za to jestem tu teraz.

– Przez przypadek. Nie widzisz, jak to mnie przeraża, John? Gdyby nie ta sprawa, czy byś przyjechał? Czy w ogóle byś zadzwonił?

– A ty?

– Nie – odparła bez wahania, a potem powtórzyła coraz ciszej, kręcąc głową: – Nie... Nie... Miałam dość bólu na całe życie. Nie zamierzałam szukać go jeszcze więcej. Nie chcę tego. Wolałabym raczej nic nie czuć. A ty sprawiasz, że czuję tak bardzo – wyznała ze ściśniętym gardłem. – Za bardzo. Nie wierzę, że to prostu nie może zniknąć.

– Nie. Nie – zaprotestował, chwytając ją w ramiona i przytrzymując na wprost siebie. – Spójrz na mnie Kate.

Nie chciała, nie śmiała tego zrobić. Pragnęła być gdziekolwiek, tylko nie stać tu, na wprost niego, bliska łez.

– Kate, spójrz na mnie. Nie jest ważne, co byśmy wtedy zrobili. Liczy się to, że teraz tu jesteśmy. Jest ważne, że czujemy dokładnie to, co czuliśmy wtedy. I to, że kiedy się kochaliśmy dzisiaj rano, to była to najbardziej naturalna, najdoskonalsza rzecz na świecie, tak jakbyśmy nigdy się nie rozstali. Tylko to się liczy. Nie wszystko inne. – Kocham cię. Naprawdę – dodał cicho. – A ty mnie kochasz?

Skinęła głową, patrząc w podłogę, jakby wstydziła się do tego przyznać.

– Zawsze cię kochałam.

Łzy spływały jej po policzkach. Quinn zatrzymywał je kciukami i ocierał.

– Tylko to się liczy, Kate – wyszeptał. – Wszystko inne da się rozwiązać. Odkąd wyjechałaś, moje życie było takie puste. Próbowałem wypełnić tę pustkę pracą, ale praca niszczyła mnie jeszcze bardziej, ta pustka rozrastała się, a ja pracowałem jak szalony, próbując ją zapełnić. Ostatnio czułem się tak, jakby już nic ze mnie nie zostało. Obwinałem o to pracę, myślałem, że poświęciłem jej tak wiele z siebie, że już nie wiem sam, kim jestem. Ale wiem dokładnie, kim jestem, gdy jestem z tobą, Kate. Tego właśnie mi brakowało cały czas, tej części mnie, którą oddałem tobie.

Kate wpatrywała się w niego, świadoma, iż jego słowa są prawdą. Quinn mógł być

kameleonem jako profesjonalista, zmieniać kolory według własnego uznania, po to, by otrzymać pożądane rezultaty, ale nigdy nie był nieuczciwy w stosunku do niej, to znaczy przynajmniej do końca ich romansu, kiedy każde z nich zamknęło się w twardym pancerzu, osłaniając swe zranione serce. Wiedziała, jak wiele go kosztuje takie otwarcie się. Okazywanie słabości nie było czymś, co Johnowi Quinnowi przychodziło łatwo. Sama Kate również starała się nigdy nie dopuszczać jej do głosu. Jednak czuła ją teraz w sobie, czuła jak napiera od środka na jej pancerz.

– Zauważyłeś, jak nam się nie składa? – powiedziała, wywołując jego uśmiech.

Znał ją wystarczająco dobrze, by zdawać sobie sprawę, że Kate usiłuje odsunąć ich oboje od tej niebezpiecznej krawędzi. Drobnym żartem po to, by złagodzić napięcie. Delikatny sygnał, że nie jest gotowa, że nie ma siły, by w tej chwili sobie z tym wszystkim poradzić.

– Czy ja wiem? – powiedział, otaczając ją ramionami. – Myślę, że akurat w tej chwili pragniesz być obejmowana, a ja chcę twoich ramion wokół siebie. Więc się składa całkiem nieźle.

– Tak, pewnie tak.

Pozwoliła sobie oprzeć głowę na jego ramieniu. Wiedziała, że jest to akt poddania się, ale nie próbowała dłużej walczyć. Była na to zbyt zmęczona i rzeczywiście chciała się znaleźć w jego objęciach. Ostatnio nie miała wiele podobnych okazji. Wiedziała, że to jej własna wina. Tłumaczyła sobie, że jest zbyt zapracowana, żeby umawiać się z mężczyznami, że nie potrzebuje żadnych damsko-męskich komplikacji, podczas gdy prawda była taka, iż istniał dla niej tylko jeden mężczyzna. Nie chciała żadnego innego.

– Pocałuj mnie – szepnął.

Kate uniosła głowę, zapraszając jego usta, by spoczęły na jej wargach. Rozchyliła je, zachęcając jego język do spotkania z własnym. Podobnie jak przy każdym pocałunku, jaki kiedykolwiek wymieniali, czuła narastające ciepło, podniecenie, ale także zadowolenie wypełniające głębię jej duszy. Wydawało się, jakby czekając na to, podświadomie wstrzymywała oddech, a teraz mogła się już odprężyć i znowu zaczerpnąć powietrza. Ogarnęło ją uczucie prawdziwego spełnienia.

– Pragnę cię, Kate – wyszeptał Quinn, przesuwał ustami po jej policzku aż do ucha.

– Tak – odszepnęła, czując, jak podobne pragnienie burzy się w niej niby fala uderzająca o skałę.

Było ono tak silne, że zagłuszało obawę, iż to wszystko skończy się boleśnie za dzień czy tydzień.

Pocałował ją znowu. Głębiej, mocniej i goręcej, popuszczając cugli przenikającemu go

pragnieniu. Czuła to w jego mięśniach, w żarze jego skóry i smaku ust. Napał językiem na jej język i przesunął jedną rękę w dół po jej plecach, aby przygarnąć biodra Kate do siebie i pozwolić jej poczuć, jak wielkie jest jego pożądanie. Mruknęła gardłowo, poruszona do głębi równie oszałamiającą intensywnością tego pragnienia, jak i fizycznym odczuciem napierającej na nią twardej męskości.

Przerwał pocałunek, odchylając się od niej, i spojrzał jej w twarz. Jego ciemne oczy patrzyły przenikliwie, a usta były lekko rozchylone. Oddychał ciężko.

– O Boże, pragnę cię.

Kate wzięła go za rękę i zaprowadziła do holu. U stóp schodów Quinn przyciągnął ją do siebie i pocałował znowu, jeszcze goręcej, głębiej i bardziej gwałtownie. Przycisnął ją do ściany, chwycił dół jej czarnego swetra i podciągnął go do góry. Obnażył jej ciało, wystawiając je na dotyk powietrza i swój własny, torując sobie drogę do piersi Kate. Wzięła głęboki oddech, gdy odsunął miseczkę biustonosza i objął jej pierś dłonią. Nie liczyło się dla nich, gdzie są. Nie było ważne, że każdy przechodzień mógł ich zobaczyć przez świetliki przy frontowych drzwiach. Pożądanie błyskawicznie wyparło rozsądek. Zostało tylko pragnienie, pierwotne i gwałtowne.

Westchnęła znowu, gdy odnalazł ustami jej sutek. Objęła jego głowę i wygięła się, szukając jeszcze bliższego kontaktu. Odrzuciła głowę, gdy podciągnął jej spódnicę i zsunął rajstopy. Nagle nie było żadnego śledztwa, żadnej przeszłości, niczego, tylko pragnienie jego palców obnażających ją, pieszczących ją, odnajdujących jej najczulsze miejsca i wsuwających się do jej wnętrza.

– John. O Boże, John – wydyszała, wbijając palce w jego ramiona. – Chcę ciebie. Chcę ciebie natychmiast.

Wyprostował się i pocałował ją dwa razy szybko i mocno. Spojrzał w górę schodów i znowu na nią, a potem obejrzał się przez ramię na otwarte drzwi gabinetu, gdzie stołowa lampa rzucała bursztynową poświatę, sięgającą starej skórzanej kanapy.

W ułamku sekundy znaleźli się przy niej. Ściągnął Kate sweter przez głowę, a ona pośpiesznie zdjęła mu krawat. Po kilku niecierpliwych ruchach ich ubrania spoczęły na podłodze. Osunęli się, spleceni ze sobą, na kanapę, czując przez moment chłód jej skórzanego obicia, ale ten moment minął natychmiast, zniknął unicestwiony przez żar ich ciał i namiętności.

Kate objęła Johna swymi długimi nogami, wciągając go w siebie jednym gładkim ruchem. Wypełniał ją idealnie, kompletnie, fizycznie i duchowo. Poruszali się jak tancerze, których ciała tworzą absolutną jedność, a ich namiętność narastała niczym wspaniały utwór

muzyczny, dążący do tryumfalnego crescendo.

Pokonali razem szczyt i runęli w dół, obejmując się mocno i mrucząc do siebie pieszczotliwe, uspokajające słowa. Kate już się bała, że to, co przeżywają, nie wytrzyma konfrontacji z rzeczywistością, ale nie usiłowała rozwiewać złudzeń czy zaprzeczać obietnicy, że „wszystko będzie w porządku”. Wiedziała, że oboje pragną w to wierzyć i że mogą w to wierzyć w ciągu tych kilku cichych chwil, dopóki nie wrócą do rzeczywistości.

Wiedziała, że John pragnie złożyć jej taką obietnicę. Zawsze chciał ją chronić i opiekować się nią. Kate zawsze wzruszało to, że potrafił dostrzec jej słabości, podczas gdy nikt, nawet Steven, ich nie widział. Zawsze odgadywali swe ukryte pragnienia, zawsze potrafili zajrzeć w głębię swych serc, tak jakby byli dla siebie stworzeni.

– Nie robiłam tego na tej kanapie, odkąd skończyłam siedemnaście lat – powiedziała cicho, patrząc mu w oczy.

Leżeli przytuleni do siebie, niemal stykając się twarzami.

Quinn odsłonił zęby w złowieszczym uśmiechu.

– Jak on się nazywa? Muszę go znaleźć i zatłuc.

– Mój ty jaskiniowcu.

– To ja jestem z tobą. Zawsze byłem.

Kate nic nie powiedziała, chociaż od razu przypomniała sobie nieprzyjemną scenę konfrontacji pomiędzy Stevenem a nią i Johnem w gabinecie jej męża. Steven wybrał broń, którą posługiwał się najlepiej: ostre słowa i groźby. Quinn znosił to do chwili, gdy Steven, nie przebierając w słowach, zaczął nią pomiatać. Skończyło się na złamanym nosie i zabiegach dentystycznych, po czym jej mąż wydał im walkę na nowym polu i zrobił, co mógł, by zniszczyć karierę zawodową ich obojga.

Quinn wsunął palec pod podbródek Kate i uniósł jej twarz do góry, by spojrzeć ukochanej prosto w oczy. Wiedział dokładnie, co ona sobie teraz przypomina. Widział to w jej twarzy, w ściągniętych brwiach.

– Przestań – ostrzegł ją.

– Wiem. Teraźniejszość jest wystarczająco popieprzona. Po co się jeszcze grzebać w przeszłości?

Przesunął dłonią po jej policzku i pocałował ją delikatnie, tak jakby mogło to zamknąć drzwi prowadzące do jej wspomnień.

– Kocham cię. Teraz, w tej chwili. W teraźniejszości, nawet jeżeli jest popieprzona.

Kate wsunęła mu głowę pod brodę i pocałowała go w dołek u nasady szyi. Jakaś jej część chciała zapytać, co teraz z tym wszystkim poczną, ale ona dała za wygraną. Tej nocy

nie miało to znaczenia.

– Przykro mi z powodu tej kobiety – powiedział. – Wiem od Kovaca, że pracowała w księgarni dla dorosłych. To pewnie przyciągnęło do niej Joego Podpalacza.

– Prawdopodobnie, ale to mnie wystraszyło – przyznała Kate, przesuając dłonią po jego nagich plecach.

Same mięśnie i kości. Zbyt chudy. Nie dba o siebie jak należy.

– Tydzień temu nie miałam nic wspólnego z tą sprawą. A teraz okazuje się, że straciłam w związku z nią dwie podopieczne.

– Nie możesz się o to obwiniać.

– Oczywiście, że mogę. Jestem taka, jaka jestem.

– Jeśli się czegoś bardzo chce, to jest to zawsze możliwe.

– Ja tego nie chcę – zaprzeczyła. – Po prostu żałuję, że nie zadzwoniłam do Melanie w poniedziałek, jak to zwykle robiłam. Gdybym nie była tak bardzo zajęta Angie, zaniepokoiłoby mnie to, że Melanie się ze mną nie skontaktowała. Widzisz, ona się uzależniła ode mnie emocjonalnie. Byłam chyba jej jedynym oparciem. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale żałuję, że się o nią nie martwiłam. Kiedy sobie uświadamiam, że trafiła w ten koszmar i nikt się o nią nawet nie zaniepokoił, nikt się nią nie przejmował... To takie smutne.

Quinn przytulił ją mocno i pocałował we włosy, myśląc, że ta piękna kobieta pod twardym pancerzem ma niezmiernie wrażliwe serce. Jej wrażliwość była dla niego tym bardziej cenna, że tak gorliwie usiłowała ukryć ją przed wszystkimi. On dostrzegwał w Kate tę cechę zawsze, już od pierwszego spotkania.

– Nie mogłaś temu zapobiec – powiedział. – Ale teraz masz szansę pomóc.

– W jaki sposób? Przeżywając na nowo każdą rozmowę z nią? Próbując znaleźć klucz do morderstwa, którego ofiarą się stała? Właśnie tak spędziłam popołudnie. Wolałabym je raczej spędzić, kłując się igłą w oko.

– Nic nie wyłowiłaś z tych taśm?

– Lęk i depresję, a w końcu awanturę z Robem Marshalllem, przez co może już wkrótce będę studiowała ogłoszenia o pracy.

– Jeśli chodzi o niego, posuwasz się bardzo daleko, Kate.

– Wiem, ale chyba nic nie mogę na to poradzić. On po prostu wie, jak mnie rozdrażnić. Co mi przyniosłeś do roboty?

– To twoja stara praca. Przyniosłem ci charakterystyki ofiar. Ciągle mam wrażenie, że patrzę wprost na klucz, którego szukamy, i nie potrafię go dostrzec. Potrzebne mi świeże oko.

– Masz do dyspozycji całe CASKU i sekcję behawioralną. Dlaczego prosisz o to

mnie?

– Bo ty tego potrzebujesz – odparł. – Znam ciebie, Kate. Potrzebujesz tej roboty i jesteś równie wykwalifikowana jak każdy inny pracownik FBI. Przekazałem wszystko do Quantico, ale ty jesteś na miejscu i ja ci ufam. Rzuciłabyś na to okiem?

– W porządku – zgodziła się, dokładnie z tego właśnie powodu, o którym wspomniał: potrzebowała tego.

Straciła Angie. Straciła Melanie Hessler. Była gotowa zrobić wszystko, co mogłoby to jakoś wyrównać.

– Ubiorę się – powiedziała, siadając i okrywając się narzutą.

Quinn zrobił kwaśną minę.

– Wiedziałem, że to będzie miało swoje minusy.

Kate uśmiechnęła się do niego i podeszła do biurka, gdzie na automatycznej sekretarce mrugało światełko. W bursztynowym blasku lampy wyglądała jak zjawa ze swymi płomienście rudymi włosami i plecami jakby ukształtowanymi w marzeniach rzeźbiarza. Samo patrzenie na nią było dla Quinna aż bolesne. Jakie to niezwykle szczęście, że dała mu nową szansę!

– Kate, mówi David Willis – rozległ się skamlący głos z automatycznej sekretarki. – Muszę z tobą porozmawiać. Zadzwoń do mnie wieczorem. Przecież wiesz, że nie ma mnie w domu w ciągu dnia. Wydaje mi się, że celowo mnie unikasz. I to teraz, kiedy mój poziom pewności siebie jest tak niski. Potrzebuję cię...

Kate nacisnęła przycisk, żeby przewinąć taśmę do następnej wiadomości.

– Gdyby wszyscy moi klienci byli tacy jak on, poszłabym do pracy w supermarkecie.

Następna wiadomość była zaproszeniem od szefowej grupy kobiet prowadzących własne firmy, aby Kate wystąpiła z prelekcją na ich zebraniu.

Potem nastąpiła długa cisza.

Kate popatrzyła czujnie na Quinna, napotykając podobne spojrzenie.

– Miałam parę takich telefonów wczoraj w nocy. Myślałam, że to może być Angie. Chciałam w to wierzyć.

Albo ktoś, kto ma Angie, pomyślał Quinn. Joe Podpalacz.

– Musimy ci założyć podsłuch, Kate. Jeżeli on ma Angie, to ma też twój numer.

Zauważył, że ona jeszcze o tym nie pomyślała. Dostrzegł błysk zaskoczenia, a potem złość na samą siebie, że to przegapiła. Oczywiście Kate nie dopuszczała do siebie myśli, że może się stać potencjalną ofiarą. Panowała nad sytuacją, była silna, ale przecież nie nietykalna.

Quinn wstał z kanapy, i wciąż nagi, podszedł do niej i objął ją ramionami.

– Boże, co za koszmar – wyszeptała. – Myślisz, że ona może jeszcze żyć?

– Niewykluczone – odparł, gdyż wiedział, że Kate to chce usłyszeć.

Wiedział jednak, iż jest równie jak on świadoma istnienia innych okropnych możliwości. Wiedziała tak samo dobrze, jak on, że Angie Di Marco rzeczywiście może wciąż jeszcze żyje, ale kto wie, czy nie byłoby lepiej dla niej, gdyby już nie żyła.

Nie żyję.

Lecz moje pragnienie

daje mi siły,

daje mi nadzieję.

Czy on mnie zechce?

Czy mnie weźmie?

Czy mnie skrzywdzi?

Czy pokocha?

Te słowa chłostały go jak bicz. Muzyka dręczyła jego zmysły. Mimo to powtórnie odtworzył nagranie. Pozwalał mu się ranić, musiał czuć ból.

Peter Bondurant siedział w swoim gabinecie, oświetlonym jedynie przez padający z zewnątrz przez okno blask. Wystarczało go akurat na tyle, by zmienić czerń nocy w szarość. Niepokój, poczucie winy, tęsknota, ból i pragnienie – to były emocje, które Peter rzadko potrafił ogarnąć, a nigdy nie umiał wyrazić. Tkwiły w nim, uwięzione, a ich ciśnienie wzrastało, jakby miały go rozerwać, i tak by nic już z niego nie zostało oprócz strzępów ciała i włosów przyklejonych do ścian, sufitu i fotografii za szkłem, przedstawiających go z ludźmi, których uważał za ważnych dla siebie w ostatnim dziesięcioleciu.

Czy jakiś jego strzęp dotarłby do zdjęć Jillie, skupionych w jednym z dolnych rogów tej ekspozycji? Usuniętych z pierwszego planu, nie przyciągających uwagi? Potwierdzających jego wstyd: za nią, za własną klęskę i za własne błędy.

„Chcemy znać prawdę, Peter, i sądzę, że ukrywasz przed nami niektóre jej elementy... Musimy zobaczyć cały obraz.

Mroczne fragmenty smutnego obrazu, których nie chciał przed nikim odsłonić.

Zalała go żrąca fala wstydu i wściekłości, niby kwas wypełniająca żyły.

Nie żyję.

Lecz moje pragnienie

daje mi siły,

daje mi nadzieję.

Czy on mnie zechce?

Czy mnie weźmie?

Czy mnie skrzywdzi?

Czy pokocha?

Ostry dzwonek telefonu smagnął go jak ostrze przecinające nerwy. Chwycił słuchawkę drżącą ręką. – Halo?

– Tatusiu, tatusiu, tatusiu – rozległ się piskliwy głos. – Spotkaj się ze mną. Daj mi, co chcę. Wiesz, co. Chcę tego już.

Przełknął żółć podchodzącą mu do gardła.

– Zostawisz mnie w spokoju, jeśli to zrobię?

– Tatusiu, nie kochasz mnie?

– Dobrze – wyszeptał. – Dam ci to, co chcesz.

– Wtedy już nie będziesz mnie kochał. Nie będzie ci się podobało to, co jeszcze mam.

Ale i tak przyjdiesz. Zrobisz to dla mnie. Powiedz, że przyjdiesz.

– Tak – wykrztusił z trudem.

Płakał, odkładając słuchawkę. Łzy parzyły go w powieki i policzki. Utrudniały widzenie. Otworzył dolną szufladę po prawej stronie biurka i wyjął matowoczarny półautomatyczny pistolet glock, kaliber dziewięć milimetrów. Wsunął go ostrożnie do leżącej u jego nóg czarnej sportowej torby i wyszedł z pokoju. Następnie opuścił dom i ruszył samochodem w mrok.

– Jaka jest twoja wymarzona praca? – zapytał Elwood.

– Konsultant techniczny w filmie kryminalnym z akcją na Hawajach i Melem Gibsonem w roli głównej – odparła bez wahania Liska. – Włącz silnik. Zimno mi.

Wzdrygnęła się z zimna i wsunęła ręce do kieszeni kurtki.

Siedzieli w samochodzie na parkingu dla pracowników Target Center, obserwując stojący w białej poświacie lampy samochód Gila Vanleesa. Podobnie jak sępy, do których ich często porównywano, reporterzy krążyli wokół budynku lub siedzieli w samochodach ustawionych na rozmieszczonych wokół hali niewielkich parkingach. Czekali. Przypięli się do Vanleesa jak pluskwy, od razu gdy tylko jego nazwisko pojawiło się w przecieku związanym z morderstwem Jillian Bondurant.

Vanlees jeszcze nie wyszedł. Był nadal zajęty, ponieważ fanki jeszcze kręciły się po terenie, choć koncert zespołu Dave Matthews Band już się nie skończył. Detektywi ulokowani wewnątrz Target Center przekazali informację, iż kierownictwo umieściło go w spokojnym miejscu, obawiając się, że gdyby został zwolniony z pracy tylko na podstawie podejrzeń, to mógłby je zaskarżyć, a z drugiej strony, bało się, że samo może być również zaskarżone przez gości, gdyby pozwolono Vanleesowi normalnie pracować i raptem wyskoczyłoby coś nieprzewidzianego. Krytycy muzyczni przekazali przepustki prasowe reporterom z działu kryminalnego, którzy teraz włóczyli się po obiekcie, szukając Vanleesa.

– Idzie w twoją stronę, Elwood – rozległ się głos z radia.

– Rozumiem – odparł Elwood.

Odłożył słuchawkę, żując powoli kanapkę. Zapach masła fistaszkowego wypełniał całe wnętrze samochodu.

– Mel Gibson jest żonaty i ma sześcioro dzieci – poinformował Lisę, wracając do ich rozmowy.

– Ale nie w moich marzeniach. Idzie.

Vanlees wynurzył się z bramy i od razu pół tuzina reporterów rzuciło się na niego jak chmara dokuczliwych owadów. Elwood opuścił szybę, żeby słyszeć, co mówią.

– Panie Vanlees, John Quinn określił pana jako podejrzanego w sprawie Krematora.

Co pan ma do powiedzenia na ten temat?

- Czy zamordował pan Jillian Bondurant?
- Co pan zrobił z jej głową? Uprawiał pan z nią seks?

Elwood westchnął ciężko.

- To dość, żeby człowieka zniechęcić do pierwszej poprawki.
- Gnojki – mruknęła Liska. – To najgorsze gnojki.
- Raczej bakterie, które żywią się gównem.

Vanlees nie reagował na pytania reporterów ani się nie zatrzymywał. Szybko pojął, jak można przetrwać w takiej sytuacji. Gdy znalazł się na wprost ich wozu, Elwood obrócił kluczyk w stacyjce i zapalił silnik. Vanlees rzucił się w bok, ku swojemu samochodowi.

- Znerwicowany, aspołeczny typ – mruknął Elwood.

Włożył resztę kanapki do plastikowej torebki, przeznaczonej do przechowywania dowodów rzeczowych, patrząc, jak Vanlees nieporadnie otwiera drzwi swojego samochodu.

– Ten gość to świr – orzekła Liska. – Ale to mój świr. Myślisz, że będę coś z tego miała, jeśli go przyskrzynimy za te morderstwa?

- Nie.
- Bądź brutalnie szczery i powiedz, dlaczego nie. Nie chcę sobie robić żadnych iluzji.

Vanlees zapalił silnik i wycofał samochód, rozpraszając grupę reporterów. Elwood ruszył za nim i na chwilę włączył długie światła.

– Gdybym zdobyła pochwałę, dobrze by to wyglądało w życiorysie, który zamierzam wysłać ludziom od Mela Gibsona.

– Cała chwała przypadnie Quinnowi – oznajmił Elwood. – Media są zakochane w takich jak on.

- No i świetnie wygląda w telewizji.
- Mógłby być nowym Melem Gibsonem.
- Jest lepszy: nie wypadają mu włosy.

Zatrzymali się za Vanleesem, który czekał na sposobność wjazdu na Pierwszą Aleję, a potem ruszyli za nim, zmuszając nadjeżdżający samochód do użycia hamulców i klaksonu.

– Myślisz, że Quinn zatrudni mnie jako doradcę technicznego, kiedy pojedzie do Hollywood? – zapytała Liska.

- Zdaje mi się, że doradzanie nie jest twoim prawdziwym celem – zauważył Elwood.
- To prawda. Wolalabym nieco bardziej aktywne zajęcie, ale nie przypuszczam, żeby do tego miało dojść. Coś go chyba gnębi. Nie sądzisz?
- Powiedziałbym raczej, że jest zaangażowany.

– Coś go gnębi i jest zaangażowany. Czyli podwójny pech.

– To bardzo romantyczne.

– Jeżeli się jest Jane Eyre – powiedziała Liska, kręcąc głową. – Ale ja nie mam czasu na zgnębionych ani zaangażowanych. Mam trzydzieści dwa lata i dzieci. Przydałby mi się taki Ward Cleaver.

– On nie żyje.

– Jak zwykle mam pecha.

Jechali przez labirynt ulic w kierunku Lyndale, trzymając się za furgonetką. Elwood spojrział w lusterko wsteczne i chrząknął niezadowolony.

– Wyglądamy jak kondukt pogrzebowy. Za nami wlecze się dziewięć samochodów z pismakami.

– Będą wszystko filmować. Trzeba schować pałki.

– Policyjna robota już nie jest taka przyjemna jak kiedyś.

– Pilnuj go teraz – powiedziała, gdy dotarli do najbardziej zawitej plataniny ulic. – Możemy go dorwać za złamanie przepisów. Ja łamię dziewięć przepisów za każdym razem, kiedy tędy przejeżdżam.

Gil Vanlees jednak nie złamał żadnego. Utrzymywał prędkość odrobinę poniżej dozwolonej, jadąc tak, jakby wioził transport jajek w kryształowych kieliszkach. Elwood siedział mu na ogonie. Podjeżdżał nieco za blisko tylnego zderzaka Vanleesa, usiłując go sprowokować.

– Jak sądzisz, Dzwoneczku? Czy to jest facet, którego szukamy, czy następna taka sprawa, jak bomba w Parku Olimpijskim w Atlancie?

– Pasuje do portretu. Coś ukrywa.

– Ale to nie czyni z niego zabójcy. Wszyscy coś ukrywają.

– Chciałabym się dowiedzieć, co, ale bez bandy reporterów za plecami. Byłby idiotą, gdy próbował teraz coś wykręcić.

– Może niedługo już nie będą za naszymi plecami – powiedział Elwood, zerkając znowu w lusterko. – Patrz na tego sukinsyna.

Od lewej strony zrównał się z nimi stary model mustanga. Dwaj siedzący w nim mężczyźni wpatrywali się w samochód Vanleesa.

– Ale mają tupet – Liska.

– Pewnie myślą, że jesteśmy ich konkurencją.

Mustang przyśpieszył, wyprzedzając ich i zrównując się z pojazdem Vanleesa. Szyba w oknie od strony pasażera obsunęła się.

– Sukinsyn! – wrzasnął Elwood.

Vanlees przyśpieszył. Mustang jechał równo z nim.

Liska chwyciła radiotelefon i przekazała ich pozycję, wzywając wsparcie i przekazując numer rejestracyjny mustanga. Elwood chwycił z siedzenia koguta, umieścił go na desce za przednią szybą i uruchomił. Pasażer jadącego przed nimi samochodu wychylał się z okna, trzymając w ręku aparat z teleobiektywem.

Vanlees nacisnął na gaz. Mustang nie poddawał się.

Błysk lampy był oślepiający.

Samochód Vanleesa zбочzył ku mustangowi, odbijając jego tył na sąsiednie pasmo, wprost przed maskę nadjeżdżającej taksówki. Nie było czasu nawet na pisk opon czy użycie hamulców. Rozległ się okropny dźwięk zderzających się ze sobą ton metalu. Siła uderzenia wyrzuciła fotografa przez okno. Potoczył się po ulicy jak szmaciana lalka. Jednocześnie kula ognia spowiła mustanga.

Liska widziała to wszystko jakby w zwolnionym tempie. Zderzenie, płomień, samochód Vanleesa zarzucający do krawężnika i uderzający maską w automat parkingowy. I zaraz czas wrócił do swej prawdziwej prędkości, gdy Elwood szarpnął kierownicę, omijając pojazd Vanleesa, zarył pod kątem w krawężnik, odcinając mu drogę ucieczki, i natychmiast wyskoczył na zewnątrz. Liska wzywała karetkę i straż pożarną, trzymając radiotelefon w drżącej ręce.

Niektóre z jadących za nimi samochodów zatrzymały się na poboczu, ale inne mknęły dalej, zmuszając Elwooda do gwałtownych uników, gdy biegi do płonącego wraku. Liska otworzyła gwałtownie swoje drzwi i rzuciła się do Vanleesa, który wytoczył się z pick-upa. Na metr czuć było od niego whisky.

– To nie moja wina! – zawołał, łkając.

Wokół rozjarzyły się lampy kamer, oblewając jego twarz jaskrawym białym światłem. Musiał uderzyć twarzą o kierownicę, gdyż krew spływała mu z nosa i z ust. Podniósł ręce, by zasłonić się przed blaskiem i obiektywami reporterów.

– Do cholery, zostawcie mnie!

– Chyba nic z tego, Gil – powiedziała Liska, biorąc go za ramię. – Oprzyj się rękami o samochód. Jesteś aresztowany.

– Już wiem, jak rozgryzają szpiegów przez pozbawienie ich snu – powiedział Kovac, idąc ku samochodowi Vanleesa, nadal stojącemu jednym kołem na krawężniku. – Jestem gotów przenieść się nawet do archiwum, żeby się trochę przespać.

– Przyleć mi się użalać, kiedy będziesz miał dziewięciolatka, który patrzy na ciebie zapłakanymi niebieskimi oczami i pyta, dlaczego nie przyszedłeś w Święto Dziękczynienia, na jego przedstawienie szkolne, w którym grał pielgrzymą i tak dalej.

– Jezu, Dzwoneczku – warknął Kovac, przylepiając papierosa do ust.

Dostrzegła w jego oczach nie wypowiedziane przeprosiny.

– Powinniśmy mieć zakaz rozmnażania się.

– Powiedz to moim jajnikom. A zresztą, co ty, do diabła, tu robisz? – zapytała, odwracając go od reporterów. – Chcesz, żeby cię całkiem wylali? Miałeś się nie wychylać.

– Przywiozłem ci kawę – odparł niewinnym tonem, podsuwając jej parujący styropianowy kubek. – Po prostu staram się pomagać zespołowi.

Nawet kiedy to mówił, nie odrywał wzroku od wozu Vanleesa. Pick-up był otoczony przez umundurowanych policjantów i fachowców z sekcji do spraw badania miejsca zbrodni, którzy przygotowywali się do swoich procedur. Przenośne lampy oświetlały samochód ze wszystkich stron i wszystko razem wyglądało jak scena z reklamy chevroleta. Stojące na środku ulicy rozbite samochody były właśnie odciągane przez pojazdy pomocy drogowej.

Reporterzy tłoczyli się wokół kordonu policjantów. Zainteresowanie wypadkiem było wśród nich jeszcze większe niż zwykle z powodu ich własnego udziału w tragedii.

– Wiadomo coś o twoim następcy? – zapytała Liska.

Kovac zapalił papierosa i pokręcił głową.

– Próbowałem polecić Fowlerowi ciebie.

Liska zrobiła zdziwioną minę.

– Ojej, dziękuję, Sam. Myślisz, że cię posłuchają?

– Nie ma szans. Pewnie to będzie Yurek, bo potrafią go przestraszyć. Jakie są najnowsze wiadomości?

– Vanlees jest w szpitalu. Oglądają faceta, zanim go ściągniemy za dupę do nas. Chyba złamał sobie nos. Poza nim mamy jednego zabitego, jednego w stanie krytycznym i jednego w dobrym – poinformowała, opierając się o samochód, którym przyjechała z Elwoodem. – Kierowca mustanga spalił się. Taksówkarz ma złamane obie nogi i rozbitą głowę, ale wyjdzie z tego. Fotograf jest na chirurgii. Podejrzewają krwiak mózgu. Nie byłabym zbyt optymistką. Ale prawdę mówiąc, skoro robił coś takiego, to chyba nie miał mózgu.

– Wiadomo, kim byli ci faceci?

– Kevin Pardee i Michael Morin. Wolni strzelcy, którzy chcieli zdobyć przebojowe zdjęcia. Życie i śmierć w epoce brukowców. Teraz sami trafili do nagłówek.

– Jak Vanlees wsiadł za kierownicę, skoro był tak pijany, że jechało od niego

alkoholem?

– Musiałbyś o to zapytać reporterów. To oni się tłoczyli wokół niego, kiedy wyszedł z budynku. Wszyscy nasi ludzie mieli obserwować go z odległości, żeby nie sprowokować oskarżenia o dręczenie.

– Zapytać reporterów – mruknął niezadowolony Kovac. – To oni pierwsi będą nam zarzucać zaniedbanie. Sępy. A jak tam Elwood?

– Nieźle się poparzył, jak próbował wyciągać Morina z samochodu. Jest w szpitalu. Osmalił sobie brwi i wygląda teraz cholernie głupio.

– Zawsze głupio wyglądał.

– Vanlees miał zero osiem promila na alkomacie. Mamy szczęście. Udało mi się zatrzymać samochód. Musimy spisać wszystko, co jest w środku – powiedziała, wzruszając ramionami i robiąc niewinną minę. – Nigdy nie wiadomo, co się w nim znajdzie.

– Miejmy nadzieję, że pod siedzeniem będzie zakrwawiony nóż – westchnął Kovac.

– On tak wygląda, jakby był w stanie zrobić coś równie głupiego, prawda? Jezu, ale zimno. I to jeszcze przed Świętem Dziękczynienia.

– Bingo! – rozległ się okrzyk jednego z policjantów.

Kovac odskoczył od samochodu.

– Co? Co znalazłeś? Powiedz mi, że jest na tym krew. Policjant cofnął się od drzwi samochodu Vanleesa.

– Uniwersalny zestaw do samoobsługi – powiedział, obracając się ku niemu.

W rękach trzymał egzemplarz magazynu „Hustler” i parę bardzo zanieczyszczonych jedwabnych majtek.

– To wersja dymiącego rewolweru według tego zbrojnego – podsumował Kovac. – Zapakuj to. Może właśnie znaleźliśmy klucz do jego myśli.

– Jakie są szanse, żebyśmy dostali nakaz przeszukania mieszkania Vanleesa? – zapytał Quinn, zrzucając płaszcz.

Miał na sobie ten sam co poprzedniej nocy garnitur, tyle że teraz okropnie pognieciony.

Kovac pokręcił głową.

– Na podstawie tego, co mamy, szanse są zerowe. Nawet jak przypnie się do tego nazwisko Petera Bonduranta. Przeszukaliśmy samochód Vanleesa cal po calu i nie znaleźliśmy nic, co wiązałoby go bezpośrednio z którąkolwiek z ofiar. Może nam się udać z majtkami, kiedy za parę tygodni dostaniemy rezultaty badań DNA. W tej chwili nawet nie

możemy ich wysłać do badania, bo są po prostu jedną z rzeczy, jakie przy nim znaleźliśmy. Nie wiemy, do kogo należały, i nie możemy stwierdzić, że je ukradł. A trzepanie kapucyna nie jest przestępstwem.

– Słyszałeś, Tippen? Jesteś niewinny – powiedziała Liska.

– Podobno to twoje majtki, Dzwoneczku.

– Dzwoneczek nosi majtki? – zdziwił się Adler.

– Bardzo śmieszne.

Cała grupa specjalna zebrała się w sali konferencyjnej siedziby policji. Brakowało tylko Elwooda, który odmówił pójścia do domu i teraz siedział z Vanleesem w pokoju przesłuchań na końcu korytarza.

– Dlaczego nie był na tyle tępy, żeby trzymać pod siedzeniem zakrwawiony nóż? – westchnął Adler. – Ma odpowiednio głupi wygląd.

– Tak – zgodził się Quinn. – I to mnie martwi. Nie mamy, niestety, do czynienia z jakimś mózgowcem, chyba że facet ma podwójną osobowość i to jego drugie ja rezerwuje sobie całą inteligencję. Co wiemy o nim poza niedawnymi wyczynami?

– Sprawdzam go – powiedział Walsh.

Prawie już całkiem stracił głos z powodu przeziębienia i wypalanej codziennie paczki papierosów.

– Ja i Nikki rozmawialiśmy z jego żoną – powiedziała Moss. – Mam sprawdzić, czy zechce tu przyjechać?

– Proszę – zgodził się Quinn.

– Ona musi wiedzieć, czy jej mąż jest aż do tego stopnia zboczony – powiedział Tippen.

Quinn pokręcił głową.

– Niekoniecznie. Wygląda na to, że w ich związku to ona jest dominującym partnerem. Prawdopodobnie utrzymywał swoje hobby w tajemnicy przed nią, częściowo ze strachu, a częściowo, żeby potwierdzić swój bunt. Ale jeżeli ma jakąś partnerkę, a sądzimy, że tak, to kim ona jest?

– Jillian? – rzuciła pytająco Liska.

– Być może. Czy jego żona coś sugerowała, że według niej, on może mieć dziewczynę?

– Nie.

Quinn spojrział na zegarek. Chciał, żeby Vanlees poczekał na niego wystarczająco długo, żeby się zaczął niepokoić.

– Dostaliście coś w związku z odciskami palców Michele Fine?

– Nic nie mają w Minnesocie.

– Czy Vanlees dzwonił po adwokata?

– Jeszcze nie – odparła Liska. – Próbuje zachowywać się według własnej logiki.

Mówi, że nie wzywa adwokata, bo niewinny człowiek go nie potrzebuje.

– Jezu – parsknął Tippen. – Jak się takiemu udało wydostać z St. Cloud?

– Przypadek. Powiedziałam mu, że na razie nie stawiamy mu zarzutu spowodowania wypadku, tylko że musimy usiąść razem i przedyskutować to, co się stało. Dopiero potem będziemy mogli stwierdzić, czy doszło do naruszenia bezpieczeństwa drogowego, ale że jednak zostaje zatrzymany pod zarzutem prowadzenia po pijanemu. Sam nie wie, czy czuć ulgę, czy się wkurzać.

– Bierzmy się do roboty, zanim się zdecyduje – polecił Quinn. – Ty, Sam, Dzwoneczek i ja. Przerabiamy go tak samo jak poprzednim razem.

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu, Sam – przestrzegł Kovaca Yurek. – Fowler, Mały Dick, Sabin i ten jego zastępca, Logan, wszyscy się będą przyglądać.

– Mogą mi naskoczyć – mruknął Kovac z niechęcią.

– Czy będziesz darzył mnie szacunkiem po czymś takim? – zapytała Liska.

– A czy teraz cię darzę?

Kopnęła go w kostkę w odpowiedzi.

– Wiesz, Luluś – powiedział Kovac. – Na twoim miejscu to w ogóle bym się w to nie mieszał.

Greer, Sabin, Logan i Fowler czekali na korytarzu przed pokojem przesłuchań. Na widok Kovaca Fowler zrobił taką minę, jakby dostał zawału, a Greer wytrzeszczył oczy.

– Co pan tu robi, sierżancie? – zapytał. – Przecież został pan oficjalnie usunięty z grupy specjalnej.

– Sierżant Kovac jest tutaj na moją prośbę – odparł pośpiesznie Quinn. – Już wypracowaliśmy pewien sposób postępowania z panem Vanleesem. Nie chcę w tej chwili nic zmieniać. To ważne, żeby mi wierzył.

Greer i Sabin spochmurnieli, a Logan zrobił zniecierpliwioną minę. Fowler wydobyl z kieszeni rulonik tabletek przeciwko nadkwasocie i włożył jedną do ust.

Zanim którykolwiek z nich zdążył wyrazić sprzeciw, Quinn uznał rozmowę za zakończoną. Otworzył drzwi do pokoju przesłuchań, przepuszczając Liskę i Kovaca, i wszedł za nimi do środka.

Gil Vanlees wyglądał jak monstrualnie przerośnięty szop pracz. Miał okolone czarnymi obwódkami oczy, rozciętą wargę i zaklejony szerokim plastrem nos. Stał przy stole, trzymając się rękami pod boki, z miną wyrażającą złość i niepokój.

Elwood siedział na krześle pod ścianą. Miał obandażowane obydwie ręce i zaczerwienioną od ognia twarz. Z powodu braku brwi wyglądał tak, jakby był czymś nieprzyjemnie zaskoczony.

– Słyszałem, że miałeś drobny wypadek, Gil – zaczął Kovac, siadając przy stole.

– Podam was do sądu – zawołał Vanlees, celując w niego wyciągniętym palcem. – Prześladowaliście mnie, pozwalaliście dziennikarzom, żeby mnie prześladowali...

– Wsiadłeś naprany za kierownicę – odparł Kovac, zapalając papierosa. – Może to ja ci stawiałem? Może wlewałem ci siłą do gardła?

– Wasi ludzie pozwolili mi wsiąść za kierownicę – odparł Vanlees ze świętym oburzeniem, godnym mistrza psychologicznej racjonalizacji.

Rzucił szybkie, nerwowe spojrzenie na Elwooda. Kovac skrzywił się.

– Zaraz mi powiesz, że to przeze mnie zabiłeś Jillian Bondurant i te inne kobiety.

Twarz Vanleesa poczerwieniła, a jego oczy wypełniły się łzami. Stęknął jak ktoś wyężdżający się na sedesie.

– Nie zabiłem ich! – zawołał i odwrócił się do Liski. – Powiedziałaś mi, że to w sprawie wypadku. Ty fałszywa cipo!

– Hej! – warknął Kovac – Sierżant Liska wyświadcza ci przysługę. Zabiłeś wczoraj człowieka, ty pieprzony opoju.

– To nie była moja wina! Ten sukinsyn błysnął mi lampą w oczy! Nic nie widziałem!

– Tak właśnie mówi sierżant Liska. Była tam. Jest twoim świadkiem. Masz jeszcze ochotę nazywać ją cipą? Na jej miejscu obciąłbym ci kutasa, ty zasrany gnojku.

Vanlees spojrzał na Liskę ze skruszoną miną.

– Liska mówi, że jesteś niewinny jak westalka – ciągnął Kovac – i że nie chcesz adwokata. Czy to prawda?

– Nie zrobiłem nic złego – odparł Vanlees z obrażoną miną.

Kovac pokręcił głową.

– Ojej. Masz elastyczne podejście do rzeczywistości, Gil. Przyskrzyniliśmy cię, jak prowadziłeś po alkoholu, co według prawa jest zakazane. Wiem, że zaglądałeś do okien Jillian Bondurant. To też jest uważane za niezgodne z prawem.

Vanlees usiadł na krześle ukosem do stołu, pokazując plecy Kovacowi i zgromadzonym za weneckim lustrem obserwatorom. Oparł przedramiona na udach i opuścił

wzrok. Wyglądało to tak, jakby postanowił siedzieć całą noc i nie powiedzieć już ani słowa.

Quinn przyglądał mu się uważnie. Wiedział z doświadczenia, że niewinni ludzie nie odmawiają przyjęcia pomocy prawnej, ale robią to ci, którzy mają coś na sumieniu.

– Więc czy te majtki pod twoim siedzeniem należały do Jillian? – zapytał bez ogródek.

– Nie – odparł Vanlees, nie podnosząc wzroku.

– To może do Lili White? Albo Fawn Pierce? Melanie Hessler?

– Nie. Nie. Nie.

– Wiesz, jesteś skomplikowanym człowiekiem, chociaż wcale na takiego nie wyglądasz, Gil. Masz wiele warstw, tak jak cebula. I kiedy się zdejmuje kolejną warstwę, to coraz bardziej cuchnie. Wyglądasz jak zwykły facet. Ale zdejmie się jedną warstwę, no i okazuje się, że zostawiła cię żona! Cóż, to nic takiego niezwykłego. Mnie zostawiły już dwie. Zdejmie się następną i, o Jezu, okazuje się, że twoja cię zostawiła, bo jesteś podglądaczem! Nie, chwila, nie jesteś tylko podglądaczem. Ty pokazujesz kutasa! Im dalej, tym gorzej. Jesteś pijakiem. Pijakiem, który wsiadł za kierownicę. Pijakiem, który wsiadł za kierownicę i doprowadził do śmierci człowieka.

Vanlees spuścił głowę jeszcze niżej. Quinn widział, jak drżą jego opuchnięte usta.

– Nie chciałem. Nie widziałem – wymamrotał. – Nie dają mi spokoju. To wasza wina. Nic nie zrobiłem.

– Oni chcą wiedzieć, co się stało z Jillian – powiedział Kovac. – Ja też chcę wiedzieć, co się z nią stało. Myślę, że było między wami coś więcej, niż nam mówisz, Gil. Zdaje mi się, że miałeś na nią ochotę. Pewnie ją podglądałeś. Pewnie ukradłeś jej majtki z szuflady, żeby się na nie spuszczać i fantazjować o niej, i ja to udowodnię. Już wiemy, że to jej rozmiar i jej marka – zblefował. – Jest tylko kwestią czasu, kiedy dostaniemy wyniki badań DNA. Parę tygodni. Lepiej by było, gdybyś się przyzwyczaił do tych reporterów, bo będą siedzieli na tobie jak muchy na padlinie.

Vanlees płakał bezgłośnie. Łzy kapały mu na grzbiet dłoni. Trząśł się, usiłując je powstrzymać.

Quinn spojrzał na Kovaca.

– Sierżancie, chciałbym zostać na chwilę sam z panem Vanleesem.

– No jasne, wyjdę. Nie mam nic lepszego do roboty – mruknął Kovac, wstając. – Wiem, o co chodzi, Quinn. Tacy federalni jak ty chcą, żeby wszystko szło na ich konto. Pieprzę to. To ja go dorwałem.

– Chcę tylko zamienić parę słów z panem Vanleesem.

– Akurat. Nie podoba ci się sposób, w jaki rozmawiam z tym gnojkiem. Siedzisz sobie

i myślisz, że powinienem być z nim delikatny, bo jego matka prostytutka łała go w gołą dupę metalowym wieszakiem i takie tam inne psychobzdury. Bardzo dobrze. Na pewno ci się uda trafić na pierwsze strony gazet.

Kiedy dwójka policjantów wyszła z pokoju, Quinn odczekał w milczeniu jeszcze długą chwilę. Wziął tabletkę tagametę i popił ją wodą ze stojącego na stole plastikowego dzbanka. Potem obrócił trochę krzesło, ustawiając je pod kątem prostym do krzesła Vanleesa, i wychylił się do przodu, opierając przedramiona na udach. Siedział tak, aż w końcu Vanlees podniósł na niego wzrok.

– Znowu ta zabawa w dobrego i złego policjanta – rzucił z obrażoną miną. – Myślicie, że jestem jakimś tępym gnojkiem?

– Myślę, że oglądasz za dużo telewizji. Tu jest prawdziwy świat, Gil. Sierżant Kovac i ja nie mamy identycznych celów. Nie interesuje mnie dostanie się do nagłówków. Miałem ich dużo. Wiesz o tym. To się dzieje już automatycznie. Wiesz, co mnie interesuje, prawda? Znasz mnie. Czytałeś o mnie.

Vanlees milczał.

– Prawda i sprawiedliwość. Nic innego. I nie obchodzi mnie, co się okaże prawdą. Nie podchodzę do tego emocjonalnie. Co innego Kovac. Wziął cię na celownik. A ja chcę znać po prostu prawdę, Gil. Chcę znać twoją prawdę. Mam wrażenie, że coś cię gnębi i może chcesz to z siebie wyrzucić, ale nie ufasz Kovacowi.

– Panu też nie wierzę.

– Na pewno wierzysz. Znasz mnie. Cały czas byłem z tobą absolutnie szczerzy i chyba potrafisz to docenić.

– Pan myśli, że to ja zabiłem Jillian.

– Myślę, że pod wieloma względami pasujesz do portretu zabójcy. Zgadza się. Poza tym, jeżeli spojrzysz na tę sytuację obiektywnie, to na pewno się ze mną zgodzisz. Analizowałeś takie sprawy. Wiesz, czego szukamy. Wiesz, że niektóre dotyczące ciebie elementy pasują do całej układanki. Ale to nie oznacza, że uważam, iż ją zabiłeś. Nie jestem do końca przekonany, że Jillian nie żyje.

– Co? – Vanlees spojrzał na niego tak, jakby podejrzewał, że Quinn postradał zmysły.

– Myślę, że prawda o Jillian jest o wiele bardziej złożona, niż się to wszystkim wydaje. I przypuszczam, że możesz mieć coś na ten temat do powiedzenia. Prawda, Gil?

Vanlees znowu opuścił wzrok. Quinn wyczuwał narastające w nim napięcie: rozważał argumenty za i przeciw szczerzej odpowiedzi.

– Jeżeli ją podglądałeś – powiedział bardzo łagodnym tonem – nie grozi ci to żadnymi

konsekwencjami. Nie to jest przedmiotem dochodzenia. Policja chętnie przymknie oko na tę sprawę w zamian za jakieś przydatne informacje.

Vanlees nadal się zastanawiał. Quinn był pewien, że myśli o tym, czy to coś, czego szuka policja, nie może być wykorzystane przeciw niemu. Myślał o Jillian, o tym, w jaki sposób mógłby pokazać ją w jakimś innym, niekorzystnym świetle i odwrócić zainteresowanie policji od własnej osoby. Ludzie zawsze robią coś takiego, gdy popadną w tarapaty: chcą zrzucić winę na kogoś innego. Przesłpccy zazwyczaj obwiniają swoje ofiary za popełnione przeciwko nim czyny.

– Pociągala cię, prawda? To nie przestępstwo. Była ładną dziewczyną. Dlaczego miałbyś się jej nie przyglądać?

– Jestem żonaty – wymamrotał Vanlees.

– Jesteś żonaty, ale nie jesteś nieżywy. Patrzenie nic nie kosztuje. Więc patrzyłeś. To mi w niczym nie przeszkadza.

– Ona była... inna – wymamrotał Vanlees, nadal patrząc w podłogę, ale, jak sądził Quinn, widząc Jillian Bondurant. – Taka... egzotyczna.

– Powiedziałeś Kovacowi, że cię nie podrywała, ale to nie do końca jest prawda, zgadza się? – drażył dalej Quinn.

Nadal mówił spokojnie, jakby prowadził poufałą rozmowę z kolegą.

– Zwracała na ciebie uwagę, prawda, Gil?

– Nigdy nic nie mówiła, ale patrzyła na mnie w taki specjalny sposób – przyznał.

– Tak jakby miała na ciebie ochotę – dodał Quinn, jakby nie pytał, lecz stwierdzał coś zupełnie normalnego.

– No, nie wiem – odparł Vanlees, próbując się wycofać. – Raczej jakby chciała, żebym wiedział, że mi się przygląda, i tyle.

– Takie trochę sprzeczne sygnały.

– Tak. Sprzeczne sygnały.

– Czy kiedykolwiek coś z tego wynikło?

Vanlees zawahał się. Quinn czekał, wstrzymując oddech.

– Chcę po prostu znać prawdę, Gil. Jeżeli jesteś niewinny, w niczym ci to nie zaszkodzi. Sprawa zostanie między nami. Rozmawiamy jak mężczyzna z mężczyzną.

Vanlees milczał.

– Ja... ja wiem, że to było złe – wymamrotał w końcu. – Naprawdę nie chciałem tego robić. Ale jednego wieczoru obchodziłem podwórko, patrolowałem...

– Kiedy to było?

– Tego lata. I... byłem tam...

– Przy domu Jillian?

Vanlees potwierdził skinieniem głowy.

– Grała na pianinie. Była ubrana w jedwabny szlafrok. Zsuwał jej się z ramienia. Widziałem ramiączko od biustonosza.

– Więc poprzyglądałeś się trochę – powiedział Quinn takim tonem, jakby to było całkiem normalne. Każdy mężczyzna by to zrobił. Nie ma w tym nic złego, zdawał się sugerować.

– Potem zdjęła szlafrok, wstała i przeciągnęła się.

Widać było, że Vanlees przeżywa tę scenę na nowo. Jego oddech stał się przyspieszony, a na twarz wystąpiły maleńkie kropelki potu.

– Zaczęła się ruszać, jakby tańczyła. Powoli i bardzo... zmysłowo.

– Wiedziała, że tam jesteś?

– Myślałem, że nie. Ale potem podeszła do okna i zsunęła biustonosz. Przycisnęła cycki do szyby i zaczęła się ocierać – powiedział niemal szeptem, zawstydzony i jednocześnie podniecony. – Ona... ona lizała szybę językiem.

– O Jezu, to musiało być bardzo podniecające.

Vanlees zamrugnął zakłopotany i odwrócił wzrok. Quinn rozumiał, że w tym miejscu jego opowieść nie będzie kompletna. Wiedział, że Vanlees nie powie mu, jak doznał erekcji, wyjął członek i onanizował się, wpatrzony w Jillian. Ale w końcu wcale nie musiał tego mówić. Quinn znał tę opowieść, znał schematy takich zachowań, spotykał je raz po raz od wielu lat, kiedy analizował kryminalne czyny na podłożu seksualnym. Nie dowiadywał się teraz niczego nowego o Gilu Vanleesie. Ale jeżeli jego opowieść była zgodna z prawdą, to dowiadywał się czegoś bardzo istotnego o Jillian Bondurant.

– I co potem zrobiła? – zapytał spokojnie.

Vanlees poprawił się na krześle.

– Ściągnęła majtki i zaczęła się dotykać między nogami.

– Masturbowała się na twoich oczach?

Vanlees zaczerwienił się.

– Potem otworzyła okno i ja się wystraszyłem i uciekłem. Ale potem wróciłem i zobaczyłem, że wyrzuciła te majtki przez okno.

– I to są te majtki, które policja znalazła w samochodzie? One jednak należą do Jillian?

Vanlees skinął głową, przykładając jedną dłoń do czoła, jakby chciał ukryć twarz. Quinn przyglądał mu się, usiłując go rozgryźć? Czy to jest prawda? A może tylko historyjka

zmyślona po to, żeby wyjaśnić, skąd ma bieliznę należącą do domniemanej ofiary morderstwa?

– Kiedy to było? – zapytał znowu.

– Tego lata. W lipcu.

– Czy coś podobnego wydarzyło się jeszcze raz?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek mówiła coś na ten temat?

– Nie. Prawie nigdy się do mnie nie odzywała.

– Sprzeczne sygnały – rzekł znowu Quinn. – Czy to cię nie wkurzało, Gil? To, że rozbierała się na twoich oczach, masturbowała na twoich oczach, a potem udawała, że nic się nie stało. Udawała, że prawie ciebie nie zna, tak jakbyś nie był dla niej wystarczająco dobry. Czy to cię nie denerwowało?

– Nic jej nie zrobiłem – odparł szeptem.

– Ona była prowokatorką. Gdyby jakaś kobieta mi to zrobiła, najpierw mnie podpuściła, a potem wykręciła się z tego, to byłbym wkurzony. Miałbym ochotę ją porządnie zerznąć, żeby zechciała mnie zauważyć. Czy ty nie chciałeś tego zrobić, Gil?

– Ale ja tego nie zrobiłem.

– Ale chciałeś się z nią pokochać, prawda? Czy jakaś częśćka ciebie nie miała ochoty dać jej nauczki? Ta ciemna strona, która jest w każdym z nas, w której drzemią żale i która planuje zemstę? Czy nie masz takiej ciemnej strony, Gil? Bo ja mam.

Odczekał znowu, tłumiąc w sobie napięcie.

Postawa Vanleesa wyrażała pogodzenie się z porażką, jakby dopiero teraz uświadomił sobie wagę tego wszystkiego, co ostatnio zaszło.

– Kovac będzie próbował przypiąć mi to morderstwo – powiedział. – Dlatego, że to są majtki Jillian. Z powodu tego, co właśnie panu powiedziałem. Chociaż, to ona była zła, a nie ja. Tak będzie, prawda?

– Jesteś dobrym podejrzanym, Gil. Sam to widzisz, prawda?

Vanlees wolno pokiwał głową.

– Jej ojciec tam był, w jej domu – wymamrotał. – W niedzielę rano. Wcześniej. Przed wschodem słońca. Widziałem go, jak wychodził. W poniedziałek jego adwokat dał mi pięćset dolarów, żebym nic o tym nie mówił.

Quinn przyjął tę informację w milczeniu. Czy Vanlees mówił prawdę? Było oczywiste, że tkwi po szyję w bagnie. Mógł w związku z tym powiedzieć cokolwiek. Mógł powiedzieć, że widział w pobliżu mieszkania Jillian kogoś obcego, włóczęgę albo jakiegoś jednorękiego

mężczyznę. Powiedział jednak, że widział Petera Bonduranta i że Peter Bondurant zapłacił mu, by trzymał buzię na kłódkę.

– Wczesnym rankiem w niedzielę – powtórzył Quinn.

Vanlees przytaknął ruchem głowy, nie patrząc na niego.

– Przed wschodem słońca.

– Tak.

– Co tam robiłeś o tej porze, Gil? Gdzie byłeś, żeś go zobaczył, a on zobaczył ciebie?

Vanlees pokręcił głową, reagując na pytanie, a może na jakieś myśli kłębiące mu się w głowie. Wyglądał tak, jakby w ciągu ostatnich dziesięciu minut postarzał się o dziesięć lat. Był żalosny w swoim mundurze ochroniarza. Niedoszły policjant, usiłujący grać twardziela. Nie było go stać na nic innego.

– Chcę się skontaktować z adwokatem – odezwał się cichym głosem.

Kate siedziała skulona w rogu starej skórzanej kanapy w gabinecie. Chroniąc się przed porannym chłodem starego domu, włożyła czarne legginsy, grube wełniane skarpety i rozciągniętą starą bluzę, której nie miała na sobie od lat. Dostała ją kiedyś od Quinna. Na piersiach bluzy widniała wyszyta nazwa sali gimnastycznej, do której uczęszczał. Fakt, że Kate przechowywała ją tak długo, powinien jej coś mówić, ale do tej pory miała selektywny słuch.

Wyciągnęła bluzę z szafy, kiedy Quinn udał się na spotkanie z grupą specjalną. Pottrzymała ją kilka chwil w suszarce do ubrań i włożyła jeszcze ciepłą, wmawiając sobie, że to jego ciepło. Nędzna namiastka dotyku obejmujących ją ramion. A jednak czuła się dzięki temu jakoś mu bliższa. Potrzebowała tego bardzo po nocy spędzonej w jego ramionach.

O Boże, co za niedogodny moment na odkrywanie na nowo miłości. Ale jaki mieli wybór przy takiej pracy i takim trybie życia? Oboje doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że nic w życiu nie jest zagwarantowane. Rozumieli dobrze, że z powodu obaw, dumy i bólu stracili już wiele czasu, którego nie da się odzyskać.

Wyobraziła sobie, że spogląda na nich oboje z innego wymiaru i śledzi ich losy w tym straconym okresie. Spędziła go, skwapliwie odbudowując „normalne” życie, w którym jest miejsce na pracę, hobby i towarzystwo innych ludzi, spotykanych przy okazjach służbowych i na urloпах. Nic głębszego. Mechaniczne działanie i udawanie, że nie przeszkadza jej odretwienie duszy. Chyba było to lepsze niż alternatywne rozwiązanie. Quinn zainwestował swój czas w pracę, pracę, pracę. Brał na siebie coraz więcej obowiązków, by wypełnić tę próżnię, aż do chwili, gdy ich ciężar groził mu unicestwieniem. Przeładowywał swój umysł kryminalnymi sprawami i faktami i zaczynał tracić nad nimi panowanie. Dawał z siebie tak wiele, że już nie był w stanie przypomnieć sobie, co w nim jest autentyczne. Wyczerpywał zasoby energii, które kiedyś zdawały się niewyczerpywalne. Zużywał wiarę we własne umiejętności i poprawność sądów, nie szczędząc jej, podobnie jak wnętrza swojego żołądka.

Oboje odmawiali sobie jedynej rzeczy, której potrzebowali najbardziej, by uleczyć się po tym wszystkim, co zaszło: odmawiali sobie siebie nawzajem.

Jakie to smutne, że ludzie potrafią wyrzucić coś takiego samym sobie i innym,

pomyślała Kate, spoglądając na leżące na ławie raporty. Cztery istnienia zniszczone i zrujnowane, zanim jeszcze te nieszczęsne kobiety spotkały Krematora. Razem z Angie było ich pięć. Zrujnowane, dlatego że potrzebowały miłości i nie mogły znaleźć nic poza jej wypaczoną, tanią namiastką. Dlatego, że pragnęły rzeczy, które były poza ich zasięgiem. Dlatego, że wydawało im się, iż łatwiej jest poprzestać na czymś mniejszym niż trudzić się nad osiągnięciem czegoś więcej. Dlatego, że uważały, iż nie zasługują na nic lepszego. Dlatego, że otaczający je ludzie też nie sądzili, by one zasługiwały na coś lepszego, chociaż to nie była prawda. Dlatego, że były kobietami, a kobiety niemal automatycznie wystawione są na cel w amerykańskim społeczeństwie.

Wszystkie te powody czyniły z nich ofiary.

Każdy jest w jakimś sensie ofiarą. Różnica między ludźmi polega na tym, że jedni ulegają, inni zaś pokonują problemy i prą dalej przed siebie. Kobiety, których zdjęcia leżały przed nią, już nie miały otrzymać żadnej szansy.

Kate nachyliła się nad ławą. Zadzwoiła wcześniej do biura, żeby wziąć wolny dzień. Dowiedziała się przy okazji, że Rob też nie przyszedł i w pracy huczy od plotek, że pobili się i teraz nie chcą, by inni zobaczyli ich siniaki. Kate odrzekła na to, że jest bardziej prawdopodobne, iż Rob pracują nad pisemną skargą, którą chce umieścić w jej teczce personalnej.

Przynajmniej na jeden dzień miała spokój od szefa. Byłoby to cudowne, gdyby nie fakt, iż musiała patrzeć na zdjęcia spalonych, okaleczonych ciał, co wprawiało ją jednocześnie w złość i depresję.

Każdy jest w jakimś sensie ofiarą.

Ofiary, których teczki miała przed sobą, były przykładem przygnębiającej listy problemów. Prostyucja, narkotyki, alkohol, pobicie, gwałt, kazirodztwo; to ostatnie, jeśli Kovac miał prawdziwe informacje na temat Jillian Bondurant. Ofiary przestępstw i ofiary wychowania, jakie odebrały.

Na pierwszy rzut oka Jillian Bondurant mogłaby się wydawać inna od reszty, ponieważ nie była prostytutką ani nie miała pracy związanej w jakiś sposób z seksbiznesem, ale pod względem portretu psychologicznego nie różniła się tak bardzo od Lili White i Fawn Pierce. Nie uporządkowane i sprzeczne odczucia, dotyczące seksu i mężczyzn. Niska samoocena. Braki emocjonalne. Mogłoby się wydawać, że nie miała tak ciężkiego życia jak uliczna prostytutka, ponieważ nie była narażona na podobnego rodzaju czyny przestępcze i agresję. Nie jest jednak łatwo cierpieć w milczeniu, tak samo jak nie jest łatwo ukrywać swój ból i rany po to, żeby chronić reputację rodziny.

Quinn powiedział, że istnieją poważne wątpliwości, czy Jillian nie żyje, ale to nie znaczyło, że nie jest ofiarą. Jeżeli była współniczką Joego Podpalacza, to też była ofiarą, chociaż innego rodzaju. Kremator również kiedyś nią był. Ciężkie przeżycia z dzieciństwa są jednym z wielu czynników, które doprowadzają do ukształtowania osobowości seryjnego mordercy.

Każdy jest w jakimś sensie ofiarą.

Wróciła do własnych notatek na temat Angie. Nie były zbyt bogate. Głównie domysły, rzeczy, które przez lata pracy w tym zawodzie nauczyła się dostrzegać w ludziach jako kształtujące ich umysł i osobowość. Angie DiMarco została ukształtowana przez złe traktowanie. Prawdopodobnie od bardzo wczesnego dzieciństwa. Oczekiwała po ludziach najgorszych rzeczy i prowokowała ich do takich zachowań, by dowieść, że ma rację. Z pewnością nieraz jej się to udawało, ponieważ ludzie podobni tym, jacy zaludniali świat Angie, bywają skłonni do spełniania tego rodzaju oczekiwań. Sama Angie też nie była inna.

Spodziewała się, że ludzie nie będą jej lubili, że nie będą jej ufali, że będą ją oszukiwać i wykorzystywać, i sama dokładała starań, by tak się działo. Ta sprawa nie była żadnym wyjątkiem. Sabin i policja też chcieli Angie tylko wykorzystać, a Kate posłużyła im jako narzędzie. Zniknięcie dziewczyny uważali za niewygodny incydent, ale nie tragedię. Gdyby nie fakt, że była świadkiem, nikt na całym świecie nie oferowałby nagrody za jej odnalezienie ani nie pokazywałby jej zdjęcia w telewizji z pytaniem: „Czy wiedzieliście tę dziewczynę?” Zresztą nawet w obecnej sytuacji policja nie wkładała w szukanie jej zbyt wielkiego wysiłku. Cała energia grupy specjalnej była skierowana na odnalezieniu podejrzanego, a nie świadka, który się ulotnił.

Ciekawe, czy Angie widziała te komunikaty w telewizji? Na pewno podobałoby jej się to, że jest osobą znaną, że przyciąga uwagę innych. Mogłaby w głębi duszy zacząć udawać, że wierzy, iż ktoś naprawdę się nią przejmuje.

„Dlaczego miałyby cię obchodzić, co się ze mną dzieje?” – zapytała ją Angie, gdy stały wtedy przed drzwiami do jej, Kate, gabinetu.

„Bo nikogo innego to nie obchodzi”.

Ale jednak nie dość mnie to obchodziło, pomyślała Kate z ciężkim sercem. Bała się. Podobnie jak bała się pozwolić Johnowi na powrót do jej życia. Bała się tak głębokiego uczucia. Bała się bólu, jaki mogło to ze sobą przynieść.

Co za parszywe życie. Nie, to nie było życie, tylko zwykła egzystencja.

Ale czy Angie żyje? – zadała sobie w myślach pytanie, wstając z kanapy, i zaczęła się przechadzać po pokoju. Czy nie żyje? Została uprowadzona? Czy po prostu sama uciekła?

Czy to, że zadaję takie pytania, dowodzi, iż straciłam poczucie rzeczywistości?

Sama widziała krew. Było jej za dużo, by można to było tłumaczyć w mniej dramatyczny sposób.

Ale skąd Joe Podpalacz mógł wiedzieć, gdzie ona jest? Czy istniała jakaś możliwość, żeby wypatrył Angie na policji i wysledził, iż odstawiono ją do Phoenix House? Wątpliwe. W takim razie znaczyło to, że znalazł ją w inny sposób. A to z kolei sugerowało, że ma jakiś związek z dochodzeniem... albo z Angie.

Kto wiedział, gdzie przebywa Angie? Sabin, Marshall, członkowie grupy specjalnej, kilku policjantów, Toni Urskine i jej mąż, adwokat Petera Bonduranta, no i, oczywiście, sam Peter Bondurant. Urskine'owie znali pierwszą ofiarę i mieli pewne pośrednie powiązania z drugą. Nie znali Jillian Bondurant, ale związek Jillian z morderstwami dał Toni Urskine podstawę do rozpoczęcia swojej kampanii.

Gregg Urskine był w Phoenix House w środę wieczorem, kiedy ona zostawiła tam Angie. Gregg i Rita Renner, która wyglądała na marionetkę w rękach Urskine'ów. Rita Renner, niegdyś przyjaciółka Fawn Pierce.

Kate знаła Urskine'ów od lat. Była skłonna przyznać, że Toni potrafi doprowadzić człowieka do morderczych zachowań, ale nie wyobrażała sobie, żeby oboje Urskine'owie uprawiali tego rodzaju hobby. Z drugiej jednak strony, nikt w Toronto nie podejrzewał zabójców znanych jako Ken i Barbie, a ta para popełniała tak okropne zbrodnie, że policjanci z wieloletnim stażem załamywali się podczas rozprawy i płakali.

Boże, co za okropna myśl: Urskine'owie mogli oszukiwać kobiety, używając dobroci i troskliwości jako przykrywkę dla sadystycznego polowania. Ale z pewnością nie byłiby aż tak głupi, by polować na kobiety znajdujące się pod ich opieką. W ten sposób stawaliby się automatycznie podejrzanymi. I jeżeli Angie widziałyby tamtej nocy w parku Gregga Urskine'a, to przecież rozpoznałyby go w Phoenix House.

Przypomniała sobie niejasny opis przestępcy, który przedstawiła dziewczyna. Jaki sens miał ten niemal nieczytelny szkic? Czy mówiła tak opornie, tak ogólnikowo, dlatego że się bała? Czy też dlatego, że – jak twierdziła sama Angie – było ciemno, przestępca miał na głowie kaptur i wszystko potoczyło się bardzo szybko? A może jej motywacja była jeszcze inna?

Kate wiedziała, że grupa specjalna wytypowała podejrzanego. Pewnie Quinn przesłuchiwał go w tej chwili. Dozorca z osiedla Jillian. Nie miał żadnego widomego związku ze sprawą zniknięcia Angie, ale Kate przypuszczała, że mógł znać dziewczynę, jeżeli szukała klientów w okolicach Target Center, gdzie pracował jako ochroniarz.

Jednakże teoria o związku Angie z zabójcą nie brzmiała sensownie. Jeżeli go znała i chciała, by został schwytany, to by go zdradziła. Gdyby zaś go znała i nie chciała, by został ujęty, to podałyby detektywom całkowicie zmyślony rysopis, żeby szukali wiatru w polu.

A gdyby w ogóle nic nie widziała wtedy w parku, to po co miałaby mówić, że widziała? Po to, żeby znaleźć dach nad głową? Żeby ściągnąć na siebie uwagę? W takim wypadku miałoby większy sens, gdyby wykazywała wolę współpracy, a nie opór.

Wszystko, co wiązało się z tą dziewczyną, było dziwne, tajemnicze i nieznane.

Dlatego nie zajmuję się dziećmi, powtórzyła sobie w myślach Kate.

Jednak Angie została powierzona jej opiece, więc ona musiała za wszelką cenę odkryć prawdę na jej temat.

– Niezbyt atrakcyjna perspektywa, Kate – mruknęła pod nosem, wchodząc na górę, by się przebrać.

Dwadzieścia minut później opuściła dom tylnymi drzwiami. W ciągu nocy spadło kolejnych kilka centymetrów śniegu, pokrywając okolicę świeżą warstewką białego puchu i przysypując schody, na których widać było ślady czyichś butów.

Quinn wyszedł rano frontowymi drzwiami do czekającej na niego taksówki. Poza tym ślady były za małe, by mogły należeć do niego. Rozmiarami wydawały się raczej zbliżone do śladów samej Kate, chociaż to nie musiało oznaczać, że zostawiła je kobieta.

Idąc obok, by ich nie zdeptać, Kate ruszyła wzdłuż śladów na dziedziniec. Minęła zamknięte drzwi swojego garażu, a potem przeszła wąskim przesmykiem pomiędzy jego boczną ścianą a płotem oddzielającym posesję sąsiada. Wreszcie dotarła do bocznych drzwi garażu. Też były zamknięte.

Przeszył ją zimny dreszcz. Przypomniała sobie ostatnią noc, kiedy ktoś dokonał defekacji w jej garażu, niespodziewanie przepaloną żarówkę i wrażenie, które odniosła w środę wieczorem, że ktoś ją obserwuje, kiedy szła z garażu do domu.

Rozejrzała się po pustej uliczce. Większość sąsiednich posesji ogrodzono płotami przesłaniającymi dolną kondygnację domów. Okna na piętrach były ciemne i puste. W okolicy mieszkało wielu urzędników, którzy w większości wyjeżdżali do pracy przed siódmą trzydzieści.

Z bijącym mocno sercem zaczęła się wycofywać spod drzwi garażu, szukając jednocześnie w torebce telefonu komórkowego. Wyjęła aparat i nie zatrzymując się, otworzyła go i nacisnęła przycisk zasilania. Nic. Bateria wyczerpała się przez noc. Przykra niespodzianka, typowa dla nowoczesnych urządzeń.

Wciąż się cofała, nie spuszczać oka z garażu, i wydało jej się, że przez jego boczne

okienko dostrzega jakiś ruch.

Złodziej samochodów? Włamywacz? Gwałcieciel? Rozżalony klient? Kremator?

Wrzuciła telefon z powrotem do torebki i wyjęła klucze do domu. Weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi i w końcu odetchnęła swobodnie.

– Potrzebne mi to jak zaraza – mruknęła, idąc do kuchni.

Postawiła teczkę i torebkę na stoliku i właśnie miała zdjąć płaszcz, gdy usłyszała ten odgłos. Niskie, groźne mruczenie kota. Thor siedział pod stołem z położonymi po sobie uszami.

Kate poczuła, jak włosy jeżą jej się na karku: ktoś ją obserwował.

Próbowała błyskawicznie przeanalizować sytuację. Nie miała pojęcia, ani jak blisko ten ktoś może być od niej, ani od drzwi. Telefon był na przeciwległej ścianie pokoju – za daleko.

Otworzyła z pozornym spokojem torebkę i zajrzała do środka, w nadziei że znajdzie jakąś broń. Niestety, pistoletu nie było. Pojemnik z gazem łzawiącym, który przez jakiś czas nosiła ze sobą, stracił ważność, więc go wyrzuciła. Miała tylko plastikową buteleczkę tabletek przeciwbólowych, opakowanie chusteczek higienicznych i obcas, który jej odpadł w tamten nieszczęsny poniedziałek. Wsunęła rękę trochę głębiej i znalazła metalowy pilniczek do paznokci. Włożyła go do kieszeni płaszcza. Wiedziała, jak uciekać. Musiała się odwrócić i sprawdziwszy, co jej zagraża, rzucić się w prawo lub w lewo. Mając gotowy plan, odliczyła do pięciu i odwróciła się.

Kuchnia była pusta, ale przez drzwi do jadalni zobaczyła siedzącą na jednym z dębowych krzeseł Angie DiMarco.

– Przyznaje się do tego, że ma majtki Jillian Bondurant, a ty uważasz, że to nie on? – zapytał Kovac z niedowierzaniem.

Jego nastrój, jak zauważył Quinn, miał bezpośredni wpływ na sposób prowadzenia pojazdu. Samochód mknął autostradą numer 94, kołyszac się niczym cyrkowy wóz. Quinn zaparł się nogami o podłogę, chociaż wiedział, że w razie kolizji trzasa mu jak patyki. Zresztą i tak nie miałoby to znaczenia, bo przecież z pewnością by zginął. Samochód bez wątplenia złożyłby się jak pusta puszcza po piwie.

– Po prostu mówię, że są pewne rzeczy, które mi się nie podobają – odparł. – Vanlees nie wygląda na człowieka, który by z kimś współpracował. Brakuje mu arogancji, żeby być przywódcą, a w zabójstwach popełnianych przez pary mężczyzna o skłonnościach sadystycznych bywał niemal zawsze dominującym partnerem. Kobieta jest mu uległa, to

ofiara, która uważa, że ma szczęście, bo on nie zabija jej samej.

– Więc tym razem sytuacja jest odwrócona – nie poddawał się Kovac. – To kobieta dyryguje całym przedstawieniem. Dlaczego nie? Moss i Liska mówią, że żona trzymała go pod pantoflem.

– I matka prawdopodobnie też. Rzeczywiście sadysta seksualny, mordując, symbolicznie zabija jakąś dominującą, manipulującą czy w jakiś inny sposób wywierającą na niego duży wpływ kobietę ze swojej przeszłości lub teraźniejszości. To wszystko pasuje, ale w tej teorii są też dziury. Chciałbym po prostu popatrzeć na niego i móc go sobie wyobrazić w tej roli, wiesz, żeby mnie nagle olśniło, ale jakoś nic nie przychodzi.

Przecież ta zdolność ostatnio prawie całkiem mnie opuściła, napomniiał się w myślach. Wątpliwość stała się bardziej regułą niż wyjątkiem, więc, co u diabła, co jeszcze wiedział? Dlaczego akurat teraz miałby wierzyć swojemu instynktowi?

Kovac przeciął trzy pasma ruchu do odpowiedniego zjazdu z autostrady.

– Wiesz co? On się całkiem podoba tym tam na górze. Mówisz coś o olśnieniu, ale w sprawie Vanleesa wszystkich już wystarczająco olśniło. Jest notowany, pasuje do portretu, miał powiązania z Jillian i kontakty z dziewczynami i nie jest Peterem Bondurantem. Jak im się uda znaleźć sposób, żeby go oskarżyć, to tak będzie. Jeżeli się da, zrobią to jeszcze przed dzisiejszą konferencją prasową.

A jeżeli się okaże, że Vanlees nie jest poszukiwanym przestępcą, to istnieje ryzyko, że zachęcimy prawdziwego zabójcę, żeby o sobie przypomniał, pomyślał Quinn.

– Vanlees mówi, że Bondurant był w mieszkaniu Jillian przed wschodem słońca w niedzielę, a w poniedziałek wysłał Noble'a z pieniędzmi dla niego, żeby trzymał buzię na kłódkę – powiedział, ściągając na siebie przeraźliwie uporczywe spojrzenie Kovaca.

Jego caprice zaczął przesuwac się niebezpiecznie blisko zardzewiałego escorta na sąsiednim pasie ruchu.

– Jezu, będziesz w końcu patrzył na drogę? – zirytował się Quinn. – Za co w tym stanie dają prawa jazdy? Zbiera się kapsle od butelek, czy co?

– Uszka od puszek po piwie – odciął się Kovac, spoglądając wreszcie przed siebie. – Więc to Bondurant posprzątał mieszkanie Jillian i skasował informacje w automatycznej sekretarce.

– Na to wygląda, jeśli oczywiście Vanlees mówi prawdę. Przypuszczam, że można bezpiecznie założyć, iż to właśnie dzięki Peterowi nie znalazłeś żadnych kompozycji Jillian. Mógł je zabrać, bo zdradzały coś na temat ich wzajemnych stosunków.

– Wykorzystywanie seksualne.

– Być może.

– Sukinsyn – mruknął Kovac. – W niedzielę rano. Joe Podpalacz zadziałał dopiero o północy. Po co Bondurant miałby wchodzić do jej mieszkania w niedzielę rano, wycierać odciski palców i zabierać kompozycje, skoro jeszcze nie wiedział, że ona nie żyje?

– Po co w ogóle miałby wycierać odciski palców? – zapytał Quinn. – Przecież jest właścicielem tego domu. Mieszkała tam jego córka. Jego odciski palców nie byłyby w takim miejscu niczym dziwnym.

– Chyba że to były odciski palców z krwią – rzucił Kovac, zerkając na niego.

Quinn zaparł się dłonią o deskę rozdzielczą, gdy sierżant nacisnął gwałtownie hamulce, by uniknąć uderzenia w jadący przed nimi samochód holowniczy.

– Skup się na prowadzeniu, Kojak, bo inaczej nie pożyjemy wystarczająco długo, żeby się tego dowiedzieć.

Z powodu pogłosek o zatrzymaniu podejrzanego dziennikarze znowu rozbili obozowisko przed domem Petera Bonduranta. Fotografowie włączyli się po bulwarze, robiąc zdjęcia posiadłości, a technicy przeprowadzali próby dźwiękowe sprzętu. Quinn wątpił, by którykolwiek z nich chociaż dzwonił do rodziców Lili White czy Fawn Pierce.

Przed bramą stało dwóch ochroniarzy z Paragonu z radiotelefonami w rękach. Quinn pokazał im legitymację i wszedł na teren posesji. Na podjeździe stał zaparkowany metalicznie błękitny mercedes, a obok niego czarny lincoln Edwina Noble'a. Kovac zatrzymał się tuż za lincolnem, tak blisko niego, że samochody niemal zetknęły się zderzakami. Quinn popatrzył na niego.

– Obiecuję, że będziesz grzeczny.

Kovac, który został zesłany na stanowisko kierowcy, zrobił niewinną minę. Kazano mu nie opuszczać samochodu i nie pokazywać się na oczy Peterowi Bondurantowi. Na wszelki wypadek Quinn zachował dla siebie część rewelacji Vanleesa. Nie chciał dopuścić do tego, żeby Kovac się w to mieszał.

– Nie śpiesz się, GQ. Posiedzę tu sobie i poczytam gazetę.

Wyciągnął egzemplarz „Star Tribune” spod szpargałów na tylnym siedzeniu. Połowę pierwszej kolumny poświęcono Vanleesowi, zamieszczając artykuł wstępny o nim, wypełniając boczną szpaltę i publikując słabej jakości zdjęcie, na którym wyglądał jak wróg Popeya – Bluto. Jednak zamiast czytać gazetę, Kovac skierował wzrok na okna domu.

Noble, który otworzył Quinnowi drzwi, spojrzał ponad jego ramieniem w kierunku samochodu. Kovac siedział z otwartą gazetą, trzymając ją tak, by pokazać mu wystawiony

środkowy palec ręki.

– Niech się pan nie przejmuj – powiedział Quinn. – Udało się panu doprowadzić do tego, żeby najlepszy pracujący nad tą sprawą policjant został kierowcą.

– Dowiedzieliśmy się, że Vanlees został zatrzymany – powiedział Noble, nie podejmując tematu, jakby Kovac nie był wart rozmowy.

Weszli do domu.

– Został aresztowany pod zarzutem prowadzenia samochodu po pijanemu. Policja przytrzyma go tak długo, jak się da, ale w tej chwili nie ma żadnych dowodów, że jest Krematorem.

– Ale on miał... coś należącego do Jillian – powiedział Noble z typową dla siebie pruderią.

– Ale, jak mówi, sama mu to dała.

– To oburzające.

– Vanlees opowiedział bardzo interesującą historię. Ma ona związek również z panem i z zapłatą za milczenie.

Na ułamek sekundy w oczach adwokata pojawił się błysk strachu.

– To absurd. On kłamie.

– Nie on jeden – odparł Quinn. – Chcę porozmawiać z Peterem. Mam do niego parę pytań na temat psychicznego i emocjonalnego stanu Jillian tamtej nocy i w ogóle.

Noble zerknął w kierunku schodów.

– Peter z nikim się dzisiaj nie chce widzieć. Nie czuje się dobrze.

– Ale ze mną się zobaczy – oświadczył Quinn i ruszył schodami w górę, tak jakby wiedział, dokąd powinien się kierować.

– Zdaje się, że pan mnie nie zrozumiał, panie Quinn. Ta sprawa fatalnie odbiła się na jego nerwach.

– Co pan chce przez to powiedzieć? Że jest pijany? Na prochach? Popadł w katatonię?

Obejrzał się przez ramię, by zobaczyć ponurą minę Noble'a.

– Jest u niego Lucas Brandt.

– To nawet lepiej. Załatwię dwie sprawy za jednym zamachem.

Zatrzymał się u szczytu schodów i dał Noble'owi znak ręką, by go poprowadził.

Hol przed apartamentem sypialnym Petera Bonduranta był popisowym dziełem dekoratora wnętrz, który prawdopodobnie wiedział więcej o samym domu niż o jego właścicielu. Zaprojektowane wnętrze byłoby odpowiednie dla osiemnastowiecznego

angielskiego lorda. Pełne mahoni, brokatów i obwieszane przedstawiającymi sceny myśliwskie obrazami w pozłacanych ramach. Obite złocistym adamaszkiem krzesła wyglądały na w ogóle nie używane.

Noble zapukał delikatnie do drzwi sypialni i wszedł do środka, zostawiając Quinna na zewnątrz. Po chwili wyszedł z pokoju w towarzystwie Lucasa Brandta. Brandt miał swoją pokerową, wystudiowaną neutralną minę. Pewnie tak samo wyglądał w sali sądowej, kiedy składał zeznania na korzyść tej osoby, która najwięcej mu płaciła danego dnia.

– A, agent Quinn – powiedział ściszym głosem, jakiego używa się w szpitalu. – Podobno zatrzymaliście podejrzanego.

– Być może. Mam kilka pytań do Petera.

– Peter w tej chwili nie jest całkiem sobą.

Quinn uniósł brwi.

– Naprawdę? To kim jest?

Noble spojrzał na niego z niechęcią.

– Chyba sierżant Kovac ma na pana zły wpływ. To nie jest odpowiedni moment na dowcipy.

– Podobnie jak nie jest to odpowiedni moment, żeby bawił się pan ze mną w ciuciubabkę, panie Noble – powiedział Quinn i zwrócił się do Brandta: – Muszę porozmawiać z nim na temat Jillian. Jeżeli chce pan być przy tym, to proszę bardzo. Nawet lepiej, jeżeli zechce pan wyrazić swoją opinię na temat jej stanu umysłowego i emocjonalnego.

– Już omawialiśmy ten problem.

Quinn skinął głową, robiąc uprzejmą minę, aby ukryć kipiący w nim gniew.

– Dobrze, więc niech pan nic nie mówi.

Ruszył ku drzwiom, jakby chciał obalić Brandta i przejść po nim do środka.

– Peter jest pod wpływem środków uspokajających – oświadczył Brandt, nie ruszając się z miejsca. – Odpowiem na wszelkie pytania, na jakie będę mógł.

Quinn przez chwilę przyglądał mu się spod przymrużonych powiek, a potem rzucił okiem na Noble'a.

– Zapytam tylko z ciekawości. Czy chronicie go dla jego dobra, czy dla własnego?

Żaden z nich nawet nie mrugnął okiem. Quinn pokręcił głową.

– To nie ma większego znaczenia, w każdym razie nie dla mnie. Interesuje mnie tylko pełna prawda – oznajmił i powtórzył to, co usłyszał od Vanleesa na temat incydentu z podglądaniem.

Edwyn Noble zaprzeczył prawdziwości tej relacji całym sobą: intelektualnie,

emocjonalnie i fizycznie. Chodził tam i z powrotem, cmokając i kręcąc głową, negując każdy szczegół z wyjątkiem tego, że Vanlees zaglądał w okna Jillian. Brandt z kolei słuchał Quinna uważnie, stojąc plecami do drzwi sypialni ze spuszczonej oczyma i splecionymi przed sobą dłońmi.

– Chcę wiedzieć, doktorze Brandt, czy Jillian była zdolna, czy też nie do tego rodzaju zachowania.

– I zamierzał pan opowiedzieć to Peterowi i zadać mu takie pytanie? Na temat jego własnego dziecka? – zapytał Brandt z oburzeniem.

– Nie. Zapytałbym Petera o coś całkiem innego – odparł Quinn, zerkając przy tym na Noble'a. – Na przykład o to, co takiego robił w mieszkaniu Jillian w niedzielę przed świętem, że było to warte przekupienia świadka?

Noble uniósł głowę z obrażoną miną, chcąc odpowiedzieć.

– Daruj sobie, Edwyn – rzucił Quinn i spojrzał znowu na Brandta.

– Mówiłem już panu – powiedział Brandt – że Jillian doświadczała wielu sprzecznych uczuć i że z powodu związku z ojczymem jej zachowania w sferze życia seksualnego były nie ustabilizowane.

– Więc odpowiedź brzmi: tak.

Brandt nie odpowiedział. Quinn czekał w milczeniu.

– Czasami zachowywała się niestosownie – dodał Brandt po chwili.

– Rozwiąże.

– Nie określiłbym tego w ten sposób. Nie. Ona... prowokowała reakcje. Rozmyślnie.

– Manipulacja.

– Tak.

– Okrutna?

Brandt podniósł głowę i wbił w niego wzrok.

– Dlaczego mnie pan o to pyta?

– Bo jeżeli Jillian nie zginęła, doktorze Brandt, to logiczne jest, że może odgrywać w tej sprawie tylko jedną rolę: rolę podejrzaną.

Ależ ta mała fatalnie wygląda, skonstatowała Kate.

Angie była blada jak śmierć, miała szkliste, przekrwione oczy i przetłuszczone włosy. Jednak żyła, i to już wystarczyło, by Kate poczuła ogromną ulgę. Nie musiała borykać się z poczuciem winy, że nie zapobiegła jej śmierci. Tak, Angie zdecydowanie nie była w najlepszym stanie, ale żyła.

W dodatku siedzi w mojej kuchni, dodała w myślach.

– Angie, o Boże, wystraszyłaś mnie jak diabli – wyrzuciła z siebie. – Jak weszłaś? Drzwi były zamknięte na klucz. Skąd w ogóle wiesz, gdzie mieszkam?

Dziewczyna milczała. Kate podeszła trochę nieco bliżej, by lepiej ją widzieć. Angie twarz miała poznaczoną siniakami. Jej pełna dolna warga była rozcięta i pokryta zaschniętą krwią.

– Hej, mała, gdzie byłaś? Niektórzy martwili się o ciebie.

– Widziałam twój adres na kopercie u ciebie w biurze – powiedziała Angie, patrząc przed siebie.

Jej głos brzmiał obojętnie i szorstko.

– Bardzo sprytnie – przyznała Kate, znów robiąc parę kroków. – Gdybyśmy tylko potrafili skłonić cię do wykorzystania twoich talentów dla dobra ludzkości! Gdzie byłaś, Angie? Kto cię pobił?

Stała już w drzwiach, ale Angie w dalszym ciągu ani drgnęła. Była ubrana w te same wyświechtane dzinsy, które miała na sobie, gdy się spotkały po raz pierwszy, teraz poznaczone na udach ciemnymi plamami, które wyglądały na plamy krwi, i tę samą brudną dzinsową kurtkę, na pewno za lekką na panujące chłody, oraz niebieski sweter, który Kate też już kiedyś widziała. Na szyi dziewczyny widniało kilka śladów pozostawionych przez czyjeś palce. Musiały zaciskać się wystarczająco mocno, aby uniemożliwić jej oddychanie i wstrzymać dopływ krwi do mózgu.

Cień gorzkiego uśmiechu ukazał się na twarzy Angie.

– Zdarzały mi się gorsze rzeczy.

– Wiem, że się zdarzały, moja droga – powiedziała łagodnie Kate.

Już chciała przykucnąć, żeby się jej lepiej przyjrzeć, gdy zobaczyła leżący na kolanach Angie nóż: lśniące jak brzytwa ostrze, osadzone w smukłej rękojeści z szarego metalu.

Wyprostowała się powoli i cofnęła o pół kroku.

– Kto ci to zrobił? Gdzie byłaś, Angie?

– W piwnicy diabła – powiedziała takim tonem, jakby to określenie ją bawiło.

– Angie, wezwę karetkę, dobrze? – powiedziała Kate, robiąc krok w stronę telefonu.

Nagle lzy wypełniły oczy dziewczyny.

– Nie. Nie potrzebuję karetki – powiedziała, jakby przerażona tą perspektywą.

– Ktoś wyciął ci niezły numer, mała.

Kto to mógł być? Czy Angie uciekła i przysłała tu sama, czy została przyprowadzona? Czy ten, kto ją wtedy zabrał ze schroniska, jest teraz w sąsiednim pokoju, obserwuje je i czeka? Gdyby mogła dotrzeć do telefonu, wykręciłaby 911 i za parę minut zjawiłaby się policja.

– Nie, proszę – jęknęła Angie. – Nie mogę tu po prostu zostać? Nie mogę po prostu być z tobą? Chociaż przez chwilę?

– Potrzebujesz lekarza.

– Nie. Nie. Nie – powtórzyła dziewczyna, kręcąc głową.

Zacisnęła palce na rękojeści noża i przyłożyła ostrze do wnętrza lewej dłoni. W miejscu, gdzie czubek noża zetknął się z dłonią, pojawiła się kropla krwi.

Nagły dzwonek telefonu przerwał napiętą ciszę. Kate aż podskoczyła.

– Nie odbieraj! – krzyknęła Angie.

Podniosła dłoń i przesuwając nóż centymetr po centymetrze, rozcięła wierzchnią warstwę tkanki. Pokazała się krew.

– Naprawdę się potnę – zagroziła. – Umiem to robić.

Gdyby rzeczywiście przesunęła ostrze kilka cali niżej, do nadgarstka, to mogłaby się wykrwawić, zanim Kate dodzwoniłaby się do 911.

Dzwonek telefonu umilkł. Automatyczna sekretarka informowała dzwoniącego, żeby zostawił wiadomość. Czyżby Quinn? A może Kovac z jakimiś informacjami? Rob, żeby powiedzieć, że ją wyrzuca z pracy? Na pewno nie wahałby się przekazać jej tej wiadomości przez telefon, podobnie jak zrobił pracodawca Melanie Hessler.

– Po co miałabyś się ciąć, Angie? – zapytała. – Jesteś teraz bezpieczna. Pomogę ci. Pomogę ci przez to przejść. Pomogę ci zacząć od nowa.

– Nie pomogłaś mi przedtem.

– Nie dałaś mi wielkiej szansy.

– Czasami lubię się ciąć – przyznała Angie, opuszczając w zawstydzeniu twarz. – Niekiedy potrzebuję tego. Zaczynam się tak czuć... Boję się. Ale jak się potnę, to to odchodzi. Wariactwo, prawda?

Popatrzyła na Kate wzrokiem tak pełnym rozpaczy, że ta omal się nie rozplakała.

Nie śpieszyła się z odpowiedzią. Czytała o dziewczętach, które robiły to, o czym mówiła Angie, i rzeczywiście, pierwszą myślą Kate było, że jest to zachowanie nienormalne. Czyż to możliwe, by ludzie sami się okaleczali, nie będąc przy tym niespełna rozumu?

– Mogę ci załatwić pomoc – powiedziała. – Są ludzie, którzy potrafią cię nauczyć, jak sobie radzić z takimi uczuciami, żebyś nie musiała się kaleczyć.

– A co oni wiedzą? – parsknęła Angie, patrząc na nią pogardliwie. – Co oni wiedzą o radzeniu sobie z czymkolwiek? Gównu wiedzą.

Ja też, pomyślała Kate. O Boże, dlaczego w tamten poniedziałek po prostu nie zadzwoniłam do pracy i nie zawiadomiłam, że jestem chora?

Zrezygnowała z chwilowego pomysłu, by odebrać dziewczynie nóż. To zbyt ryzykowne. Gdyby jej się udało podtrzymać rozmowę, to może w końcu zdołałaby ją namówić, by go odłożyła. Miały czas, pod warunkiem, że były same.

– Angie, czy przyszedł tu sama?

Angie patrzyła na ostrze noża, przesuwając go lekko po niebieskich konturach wytatuowanej koło kciuka litery A o wysoko zakreślonej poprzeczce.

– Czy ktoś cię tu przywiózł?

– Zawsze jestem sama – wymamrotała Angie.

– A tamtej nocy, kiedy cię odwiozłam do Phoenix? Byłaś wtedy sama?

– Nie.

Wbiła czubek noża w wytatuowane kropelki krwi umieszczone na ciernistej bransoletce otaczającej jej nadgarstek.

– Wiedziałaś, że on mnie potrzebuje. Przesłał po mnie.

– Kto cię potrzebował? Gregg Urskine?

– Anioł Zła.

– Kto to jest?

– Byłam pod prysznicem – powiedziała Angie ze szklanym wzrokiem, jakby patrzyła w przeszłość. – Cięłam się. Patrzyłam na krew i wodę. Wtedy przysłał po mnie. Jakby wyczuł moją krew czy coś takiego.

– Kto? – spróbowała znowu Kate.

– Nie był zadowolony – dodała dziewczyna ponuro i, ku zdziwieniu Kate, na jej

twarzy pojawił się chytry uśmiech. – Był wściekły, bo nie wypełniłam rozkazów.

– Widzę, że to długa opowieść – powiedziała Kate, patrząc, jak krew kapie z dłoni Angie na dywanik. – Lepiej wejdźmy do drugiego pokoju i usiądźmy. Rozpalę ogień w kominku. Ogrzejesz się. Co ty na to?

Musiała odwrócić uwagę Angie od noża. Odciągnąć dziewczynę od telefonu, podejść do drugiego aparatu i jakoś zadzwonić. Połączony z faksem telefon, który był w gabinecie, miał funkcję szybkiego wybierania numeru 911. Gdyby udało się jej usadzić Angie na kanapie, to sama mogłaby usiąść na biurku, zsunąć słuchawkę z aparatu i nacisnąć guzik. To się mogło udać. I byłoby bez wątpienia lepsze niż stanie i przyglądanie się, jak dziewczyna się wykrwawia.

– Zimno mi w nogi – powiedziała Angie.

– Chodźmy do drugiego pokoju. Możesz zdjąć te mokre buty.

Angie spojrzała na nią spod przymrużonych powiek, podniosła dłoń do ust i przesunęła językiem po jednej z ran.

– Ty idź pierwsza.

Świetnie, pójdzie pierwsza, mając za plecami psychopatkę z nożem w ręku. W dodatku może czeka tam na nią jakiś szalony seryjny morderca. Wspaniała perspektywa. Ruszyła w kierunku gabinetu, posuwając się niemal bokiem. Nie przerywając rozmowy z Angie, usiłowała jednym okiem zerkać na dziewczynę, a drugim przed siebie. Angie ścisnęła nóż w rękę, gotowa go użyć. Szła zgięta, przyciskając drugą ręką do żołądka, a więc coś ją bolało.

– Czy Gregg Urskine cię skrzywdził, Angie? Widziałam krew w łazience.

Angie zamrugnęła oczami.

– Byłam w Zonie.

– Nie wiem, co to znaczy.

– Nie, nie wiesz.

Kate weszła do gabinetu.

– Usiądź – powiedziała, wskazując na kanapę, na której tak niedawno kochała się z Quinnem. – Rozpalę ogień.

Przyszło jej do głowy, że mogłaby wykorzystać pogrzebacz jako broń, ale od razu odrzuciła ten pomysł. Gdyby udało jej się odebrać dziewczynie nóż podstępem, z wielu powodów byłoby to lepsze niż użycie siły. Stan umysłu Angie grał tu niepoślednią rolę.

Dziewczyna wcisnęła się w róg kanapy i zaczęła przesuwając czubkiem noża po krwawych plamach na dżinsach.

– Kto cię dusił, Angie? – zapytała Kate, podchodząc do biurka.

Był nowy faks. To ten telefon, którego nie odebrałam, – domyśliła się.

– Przyjaciół przyjaciele.

– Potrzebujesz zupełnie innych przyjaciół – powiedziała Kate, przysiadając bokiem na biurku i patrząc na faks: kopia artykułu prasowego z Milwaukee. – Znasz tego człowieka?

– Jasne – mruknęła dziewczyna, wpatrując się w ogień. – Ty też.

Kate prawie tych słów nie słyszała, gdyż cała jej uwaga była przykuta do przesłanej faksem przez sekretarkę z pracy kopii artykułu, na której widniał dopisek: „Pomyślałam, że zechcesz to natychmiast zobaczyć”.

Artykuł nosił datę dwudziestego pierwszego stycznia 1996 roku, a jego tytuł brzmiał: „Siostry uwolnione od zarzutów w sprawie śmierci rodziców w pożarze”. Uzupełniały go dwie słabej jakości ziarniste fotografie, które po przefaksowaniu wyglądały jeszcze gorzej. Mimo to Kate rozpoznała dziewczynę ze zdjęcia po prawej stronie: Angie DiMarco.

Peter Bondurant siedział w swojej sypialni na ustawionym przy oknie krześle, trzymając w ramionach czarną podróżną torbę. Miał na sobie te same czarne spodnie i sweter, w które był ubrany w nocy. Spodnie były brudne, a na swetrze widniały ślady wymiocin. Kwaśny odór torsji, potu i strachu unosił się wokół niego jak trująca chmura, ale on nie miał ochoty się przebierać. Nie chciał wziąć prysznic.

Wiedział, że jest blady. Czuł się tak, jakby wypompowano z niego całą krew, a w jego żyłach płynął palący nieznośnie kwas wina. Pomyślał, że może go wypalić od środka aż do samej skóry, obracając jego kości w proch.

Edwyn, który przyszedł wcześniej, żeby powiedzieć mu o aresztowaniu dozorca, zastał go walącego łyżką do opon fortepian w pokoju muzycznym. Zadzwoił więc do Lucasa, który przyjechał z czarną walizką, pełną fiolek i igieł.

Ale Peter odmówił przyjęcia leków. Nie chciał się czuć otępiały. Zbyt dużą część życia spędził w takim stanie, ignorując życie otaczających go ludzi. Może gdyby wcześniej ośmielił się coś czuć, nie doszłoby do tego. Teraz nie czuł nic poza palącymi, bolesnymi wyrzutami sumienia.

Spojrzał przez okno na samochód Kovaca, który potracił zderzak lincolna Edwyna, a potem cofnął i zawrócił. Jakaś część jego istoty czuła ulgę, że John Quinn odjeżdża. Inna część czuła rozpacz.

Słyszał ich rozmowę, która toczyła się po drugiej stronie zamkniętych drzwi. Noble i Brandt kręcili i kłamali w jego obronie. Quinn zapytał ich wprost: czy chronią go dla jego dobra, czy dla swego własnego?

Czas mijał, a on siedział na tym samym krześle cofając się w przeszłość, przeżywając wszystko na nowo, od dnia narodzin Jillian poprzez każdy swój okropny błąd, aż do tej chwili i wybiegając w przyszłość. Patrzył przez okno, nie widząc samochodów redakcyjnych ani reporterów czekających na jego pojawienie się czy jakąś wypowiedź. Obejmował ramionami torbę, kołysząc się z boku na bok, aż doszedł do jedynego wniosku, jaki miał według niego sens.

Spojrzał na zegarek i zaczął czekać.

Kate wpatrywała się w artykuł, czując, jak zimny dreszcz przenika jej ciało. Wychwytywała tylko najważniejsze słowa: śmierć w płomieniach, matka, ojczym, alkohol, narkotyki, opieka zastępcza, wykroczenia, wykorzystywanie.

– Co ci jest? – zapytała Angie.

– Nic – odparła mechanicznie Kate, odrywając wzrok od artykułu. – Po prostu zakreśliło mi się w głowie.

– Myślałam, że może i ty jesteś w Zonie – powiedziała Angie, uśmiechając się diabolicznie. – Ale by było śmiesznie, co?

– Nie wiem. Jaka ona jest?

Uśmiech zniknął z twarzy dziewczyny.

– Ciemna i pusta. Połyka człowieka całego. Czuję się wtedy tak, jakbym się miała nigdy z niej nie wydostać. Jakby mnie miał z niej nie wydobyć – powiedziała.

Jej oczy znowu były ponure. Nie puste, ale ponure, i pełne strachu. A więc zostało w niej jeszcze coś, co można było uratować. To, co się z nią działo w dzieciństwie, a czego kulminacją była podejrzana śmierć jej rodziców, nie zniszczyło w niej do końca człowieczeństwa. Jego resztki przetrwały też ostatnie dni w, jak to nazwała, „piwnicy diabła”.

– Ale czasami to jest bezpieczne miejsce – wyjaśniła spokojnie, wpatrując się w krew, która ściekała strumyczkami z całej jej lewej dłoni i nadgarstka. – Mogę się tam ukryć... jeśli się odważę.

– Angie? Pozwolisz, że ci przyniosę zimny kompres na rękę?

– Nie podoba ci się moja krew? Mnie się podoba.

– Wolałabym, żeby mi nie kapała na dywan – odparła Kate swoim normalnym, ironicznym tonem, bardziej po to, by wywołać jakąś reakcję Angie, niż dlatego, żeby naprawdę martwiła się o dywan.

Angie przez chwilę przyglądała się dłoni, a potem podniosła ją do twarzy i pieśczośliwym ruchem otarła krew o policzek.

Kate odsunęła się od biurka i zaczęła się wycofywać ku drzwiom.

– Chcesz mnie zostawić? – zapytała Angie, podnosząc głowę.

– Nie, moja droga. Nie zostawię cię. Po prostu przyniosę kompres – odparła Kate.

I zadzwonię pod 911, dodała w myślach, robiąc kolejny krok ku drzwiom. Bała się teraz zostawić dziewczynę ze strachu, o to co może sobie sama zrobić.

Wchodziła już do holu, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Zamarła bez ruchu. W jednym ze świetlików widać było czyjaś twarz. Ktoś usiłował zajrzeć przez na wpół przezroczystą firankę. Okrągła głowa wystająca z puchowej kurtki. Rob!

– Kate, wiem, że jesteś w domu – powiedział niecierpliwie, stukając do drzwi i w dalszym ciągu nie odrywając twarzy od szyby. – Widzę, że tam stoisz.

– Co tu robisz? – zapytała ochryplym szeptem, otwierając drzwi.

– Dzwonili do mnie z biura i dowiedziałem się, że nie ma cię w pracy. Musimy porozmawiać o tym...

– Nie potrafisz podnieść słuchawki? – zaczęła, ale zreflektowała się, rezygnując ze sprzeczki. – To nie jest odpowiednia pora...

Rob nie zamierzał ustąpić. Przysunął się bliżej.

– Kate, musimy porozmawiać.

Zacisnęła zęby i westchnęła z rezygnacją.

– Nie mógłbyś mówić ciszej?

– Dlaczego? Czy to tajemnica, że usiłujesz mnie unikać?

– Nie bądź głupi. Nie próbuję cię unikać. Sytuacja się trochę skomplikowała. Przyszła Angie, ale jest bardzo niezrównoważona.

Jego małe świńskie oczka zaokrągliły się.

– Ona jest u ciebie? Co tu robi? Dzwoniłaś na policję?

– Jeszcze nie. Nie chcę pogorszyć sytuacji. Ma nóż i jest gotowa go użyć przeciwko sobie samej.

– Mój Boże! I ty go jej nie odebrałaś, pani Superwoman? – rzucił ironicznie, przeciskając się obok niej przez drzwi do holu.

– Dziękuję, ale wolę pozostać cała.

– Pokaleczyła się?

– Na razie to powierzchowne rany, ale jedna będzie wymagała szycia.

– Gdzie ona jest?

Kate wskazała w kierunku gabinetu.

– Może uda ci się ją zająć, a ja tymczasem zadzwonię pod 911 – zaproponowała.

– Powiedziała ci, gdzie była? Kto ją uprowadził?

– Niezbyt dokładnie.

– Jeżeli zabrają ją do szpitala, to zamilknie na znak protestu. Mogą minąć godziny albo całe dni, zanim wydobędziemy z niej tę informację – powiedział stanowczym tonem. – Policja dokonała aresztowania. Niedługo zaczyna się konferencja prasowa. Jeżeli uda nam się nakłonić Angie, żeby powiedziała, co się stało, to będziemy mogli przekazać tę wiadomość Sabinowi przed zakończeniem konferencji.

Kate skrzyżowała ręce na piersi. Rozważyła w myślach sytuację. Widziała, że Angie nadal siedzi na kanapie i wodząc palcem po zakrwawionej dłoni, kreśli na niej linie. Gdyby przybył ambulans i zostałaby wyprowadzona, z pewnością nie zareagowałaby na to pozytywnie. Z drugiej strony, co oni mieliby z nią zrobić? Próbować wyciągnąć z niej to, co ich interesuje, patrząc, jak się wykrwawia?

Pomogliśmy schwytać zabójcę, odpowiedziała sobie w myślach.

– W porządku – zgodziła się z westchnieniem. – Spróbujemy, ale jeżeli ona coś zacznie z tym nożem na poważnie, to wzywam karetkę.

Rob spojrział na nią z cierpiętniczym uśmiechem.

– Wiem, że to cię wkurza, Kate, ale czasami to ja mam rację. Zobaczysz, teraz jest właśnie jeden z tych momentów, kiedy dokładnie wiem, co robić.

– Co on tu robi? – wyrzuciła z siebie Angie, jakby chciała pozbyć się nieprzyjemnego smaku z ust.

Rob obdarzył ją tym samym zgorzkniałym uśmiechem.

– Jestem tu, żeby ci pomóc, Angie – oznajmił, siadając na biurku.

Angie odpowiedziała mu długim, twardym spojrzeniem.

– Wątpię w to.

– Miałaś, zdaje się, jakieś drobne kłopoty od czasu, kiedy cię ostatnio widzieliśmy. Możesz nam o tym opowiedzieć?

– Chcesz o tym usłyszeć? – zapytała.

Jej szorstki głos miał teraz niemal uwodzicielskie brzmienie. Podniosła dłoń i znowu powoli zlizwała z niej krew, nie spuszczać wzroku z oczu Roba.

– Jesteś ciekawy, kto mi to zrobił? A może masz ochotę tylko posłuchać o seksie?

– O wszystkim, o czym zechcesz nam opowiedzieć, Angie – odparł spokojnie. – To istotne dla ciebie, byś o tym mówiła. Jesteśmy tutaj, żeby słuchać.

– Na pewno tak. Lubisz słuchać o cudzym bólu i cierpieniu. Chory palant z ciebie i

tyle.

Jeden policzek Roba zaczął drgać nerwowo. Marshall próbował nadal symulować uśmiech, ale wyglądało to raczej tak, jakby rozgryzał coś gorzkiego.

– Rzykujesz, że stracę cierpliwość, Angie – rzucił sucho. – Na pewno nie chciałabyś do tego doprowadzić. Prawda?

Dziewczyna odwróciła twarz i zapatrzyła się w ogień. Trwało to tak długo, że Kate pomyślała, iż już się nie odezwie. Może trafiła do tej Zony, o której mówiła. Trzymała w prawej ręce nóż, przyciskając do ostrza opuszki palców.

– Angie – powiedziała Kate, podchodząc od tyłu do kanapy i podnosząc z jej oparcia narzutę. – Próbujemy ci pomóc.

Przysiadła na wolnej poręczy, kładąc narzutę na kolanach.

Angie pokręciła głową, a jej oczy wypełniły się łzami.

– Nie. Chciałam, żeby tak było, ale tego nie robisz. Tobie zależy tylko na tym, co mogę powiedzieć. – Jej opuchnięte usta wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu. – A najdziwniejsze jest to, że myślisz, że ci się to udaje. Bardzo się mylisz.

– Powiedz nam, co się wydarzyło tamtej nocy w Phoenix House – podpowiedział Rob, próbując zwrócić na siebie jej uwagę. – Kate cię podwiozła. Poszłaś na górę wziąć prysznic. Czy ktoś cię tam zaskoczył?

Angie popatrzyła na niego, przeciągając powoli czubkiem noża tam i z powrotem po udzie.

– Kto przyszedł cię zabrać? – nie dawał za wygraną Rob.

– Nie.

– Kto przyszedł cię zabrać? – powtórzył, wymawiając z naciskiem każde słowo.

– Nie – powtórzyła, patrząc na niego gniewnie. – Nie zrobię tego.

Nacisnęła mocniej nóż. Jej skóra błyszczała od potu w świetle płomieni. Rozległ się trzask materiału i przy ostrzu noża wykwitła krwawa plama.

Kate poczuła, że robi jej się słabo.

– Rob, powstrzymaj ją.

– Ona tego potrzebuje, Kate – odparł. – Angie, kto po ciebie przyszedł?

– Nie – powtórzyła po raz trzeci Angie, i łzy zaczęły spływać po jej poobijanej twarzy.

– Nie zmusisz mnie.

– Zostaw ją – zaprotestowała Kate, wstając z poręczy.

Musiała coś zrobić, zanim dziewczyna potnie się na strzępy.

Rob wpatrywał się nieprzerwanie w Angie.

– Powiedz nam, Angie. Dość tych uników.

Angie patrzyła na niego z wściekłością, cała drżąc.

– Dokąd cię zabrał? Co ci zrobił?

– Odpieprz się! – wyrzuciła z siebie. – Nie będę się bawiła w te twoje gry.

– Będziesz, Angie – powiedział bardziej groźnym tonem. – Będziesz. Nie masz wyboru.

– Odpieprz się! Nienawidzę cię!

Poderwała się z krzykiem z kanapy, unosząc błyszczące ostrze noża.

Kate zareagowała błyskawicznie. Cisnęła narzutę, by zakryć nóż, i niemal jednocześnie całym ciężarem ciała zbiła Angie z nóg. Dziewczyna wrzasnęła, gdy obie runęły na podłogę, uderzając w ławę i zrzucając leżące na niej papiery.

Kate przytrzymała szarpiącą się dziewczynę, czując pierwszą falę ulgi. Rob wziął nóż, zamknął go i schował do kieszeni.

Angie łkała. Kate przyklękła i przyciągnęła do siebie dziewczynę, by ją wziąć w objęcia.

– Już dobrze, Angie – wyszeptała. – Jesteś bezpieczna.

Angie odepchnęła ją z wściekłym wyrazem twarzy. W jej wzroku widać było niedowierzanie.

– Ty głupia suko – wyrzuciła z siebie. – Teraz już po tobie.

– Rekiny czują krew w wodzie – zauważył Quinn, patrząc na tłum ludzi przybyłych na konferencję prasową.

– Tak, i trochę tej krwi wypłynęło ze mnie – mruknął Kovac, krzywiąc się.

– Sam, zapewniam cię, że skoro Vanlees jest pod kluczem, to ty ich gównem obchodzisz – odparł Quinn, wcale nie poprawiając w ten sposób nastroju Kovaca.

On sam również nie był zadowolony z rozwoju sytuacji. To, że ludzie Bonduranta przekazali do prasy informacje o Vanleesie, było wystarczająco negatywną okolicznością, ale fakt, że na tym etapie śledztwa policja ma rozmawiać na ten temat z prasą, wyglądało na niebezpiecznie przedwczesne działanie. Mówił to pani burmistrz, Greerowi i Sabinowi, nie mógł jednak nic poradzić na to, że woleli zignorować jego przestrogi. Czuł za to, że nerwy wypalają mu kolejną niszę w żołądku.

On sam przecież przedstawił wstępny portret psychologiczny, co do którego Vanlees pasował niemal w każdym punkcie. Analizując sprawę uznał, że nie powinien był tak szybko przedstawiać swojej opinii. Możliwość istnienia dwojga zabójców zmieniała wszystko. Jednakże prasa i notable mieli teraz Vanleesa i gotowi byli z rozkoszą zatopić w nim zęby.

Pani burmistrz wybrała na miejsce konferencji monumentalny hol przy wejściu od strony Czwartej Ulicy. Polerowany marmur, wspaniałe podwójne schody i witraże. Doskonałe miejsce dla polityka, żeby stanąć ponad głowami prostego ludu w blasku światła odbijanego od marmurów. Łatwo jest zrobić wrażenie na przeciętnym obywatelu, kiedy opromienia człowieka aureola władzy.

Quinn i Kovac obserwowali z zaciemnionej wnęki, jak ekipy telewizyjne rozstawiają swój sprzęt, a dziennikarze prasowi na wyścigi zajmują lepsze miejsca. Pani burmistrz Noble i Sabin stali na schodach pogrążeni w rozmowie, a sekretarka pani burmistrz zdejmowała pyłki z jej kostiumu. Gary Yurek rozmawiał z Greerem i Fowlerem oraz dwoma kapitanami, którzy najwyraźniej przybyli po to, żeby trafić do gazet i telewizji. Quinn miał zamiar włączyć się wkrótce do tego przedstawienia i wtrącić swoje trzy grosze, aby komunikat o zatrzymaniu podejrzanego nie brzmiał zbyt jednoznacznie, ale wiedział, że i tak prawie nikt nie będzie go słuchał. Zanosilo się na to, że ludzie będą raczej słuchali Edwyna Noble'a

snującego kłamstwa na temat Petera Bonduranta, co niemal na pewno robił już w tej chwili, rozmawiając z reporterem stacji MSNBC.

Nigdzie nie było natomiast widać samego Bonduranta. Quinn nie spodziewał się go zresztą po wizycie dzisiejszego poranka, zwłaszcza, że plotki dotyczące podejrzenia o kazirodztwo mogły już dotrzeć do dziennikarzy. Mimo to Quinn nie mógł przestać myśleć o stanie umysłu Bonduranta i o tym, dlaczego Lucas Brandt przybył do niego ze swą czarną walizeczką. Czy chodziło o domniemaną śmierć Jillian czy o ujawnienie tego, co być może zaszło wiele lat temu?

– Luluś – mruknął niechętnie Kovac, patrząc na Yureka. – Idealny kandydat do objęcia poważnego stanowiska. Będzie im się podobał tam u góry. Ma uśmiech za milion dolarów na ustach, ale chętnie ich użyje do całowania w dupę.

– Jesteś zazdrosny? – zapytał Quinn.

Kovac zrobił jedną ze swoich min.

– Ja jestem stworzony do tego, żeby kopać w dupę, a nie całować. Po co mi super gabinet, skoro mogę mieć parszywe biurko w zasranym boksie, gdzie nie ma nawet porządnej szafy na dokumenty?

– Przynajmniej nie jesteś rozżalony.

– Ja się już urodziłem rozżalony.

Rzęzący kaszel obwieścił przybycie Vince'a Walsh. Kovac odwrócił się w jego kierunku.

– Jezu, Vince, może byś w końcu wypluł to płuco.

– Przeklęte zimno – mruknął Walsh.

Jego cera miała żółtawy odcień zabalsamowanych zwłok. Podał Kovacowi papierową kopertę.

– Dokumenty z leczenia Jillian Bondurant, a raczej to, co zechciał przekazać LeBlanc. Jest parę zdjęć rentgenowskich. Chcesz je wziąć czy mam to zostawić u lekarza sądowego?

– Wypadłem z gry – odparł Kovac, biorąc mimo to kopertę. – Teraz szefem jest Yurek.

Walsh przełknął połowę zawartości swych zatok i skrzywił się.

– Tak, nie przesłyszałeś się – dodał Kovac, kiwając głową.

Peter zaczekał z wejściem do budynku, aż rozpocznie się konferencja. Wystarczyło zadzwonić z samochodu do Edwyna. Noble nie mógł w żaden sposób wiedzieć, że on nie jest teraz w domu. Wcześniej odesłał pracowników, których Edwyn tam umieścił, żeby mieli na niego oko. Wyszli bez oporów. W końcu to on był ich chlebodawcą.

Wszedł do holu trzymając w ramionach torbę i przyglądając się od tyłu kilkudziesięciu osobom. Greer, który stał przy mównicy, wychwalał w przesadnie teatralny sposób kwalifikacje człowieka, którego wyznaczył na miejsce Kovaca jako szefa grupy specjalnej. Peter nawet nie usiłował tego słuchać. Grupa specjalna już go nie interesowała. Wiedział, kto zabił Jillian.

Dziennikarze wykrzykiwali pytania, a lampy błyskowe migwały niczym eksplodujące gwiazdy. Peter przesunął się wzdłuż skraju tłumu, zmierzając ku schodom. Czuł się niewidzialny. Może tak rzeczywiście było. Może już był duchem. Całe życie czuł pustkę w duszy, pustkę, której nic nie było w stanie wypełnić. Może rozkładał się od środka od tak dawna, że istota tego, co czyniło go człowiekiem, zniknęła, czyniąc go niewidzialnym.

Quinn zauważył zbliżającego się Bonduranta. Najdziwniejsze było to, że najwyraźniej nikt inny go nie dostrzegł. Obecni skupili całą uwagę na mównicy i najnowszym steku bzdur, które mieli zamiar rozpowszechnić za pośrednictwem swoich programów informacyjnych i gazet. W dodatku Bondurant wyglądał dosyć niechlujnie: nie ogolony, potargany, zupełnie nie ten sam wymuskany Peter Bondurant, który nosił świetnie leżące garnitury. Skórę miał tak bladą, że niemal przezroczystą. Twarz mu wychudła, tak jakby jego ciało pożerało się samo od wewnątrz. Napotkał oczyma wzrok Quinna i zatrzymał się za stanowiskami kamerzystów, trzymając w ramionach czarną torbę.

Quinn poczuł instynktowny niepokój, ale akurat w tej samej chwili Greer poprosił go o podejście do mównicy.

Blask lamp uniemożliwił mu obserwowanie Bonduranta. Nie wiedział, czy Kovac również go dostrzegł.

– Chcę podkreślić – zaczął – że przesłuchanie potencjalnego podejrzanego nie zamyka śledztwa.

– Czy sądzi pan, że Vanlees jest Krematorem? – krzyknął jeden z dziennikarzy.

– Nie byłoby rozważne z mojej strony, gdybym w jakikolwiek sposób to komentował.

Usiłował stanąć tak, by znowu dojrzeć Bonduranta, ale ten zniknął z miejsca, w którym Quinn go ostatnio widział. Poczuł, jak napinają mu się nerwy.

– Ale Vanlees odpowiada profilowi. Znał Jillian Bondurant... – rzucił jeden z dziennikarzy.

– Czy to prawda, że miał przy sobie część jej ubrania, gdy został aresztowany? – rozległ się kolejny głos.

Przekłęte przecieki, pomyślał Quinn, w dalszym ciągu bardziej koncentrując uwagę na wypatrywaniu Bonduranta, niż na pytaniach reporterów. Co on tu robi całkiem sam?

Dlaczego wygląda jak włóczęga?

– Panie Quinn?...

– Bez komentarza.

– Czy ma pan coś do powiedzenia o sprawie Bondurant?

– To ja ją zabiłem.

Peter wyszedł spoza kamerzystów i zatrzymując się u stóp schodów, stanął twarzą do zgromadzonych. Przez moment nikt oprócz Quinna nie zorientował się, że to on wypowiedział te słowa. Dopiero gdy Bondurant przystawił sobie do głowy lufę pistoletu kalibru dziewięć milimetrów, wszyscy go dostrzegli.

– Ja ją zabiłem! – zawołał jeszcze głośniej.

Wyglądał na wstrząśniętego swym własnym wyznaniem: wytrzeszczone oczy, blada cera, otwarte usta. Spojrzał z przerażeniem na broń, jakby to ktoś inny przystawił mu ją do głowy, i bokiem ruszył schodami w górę, popatrując to na tłum dziennikarzy, to na stojących w pobliżu mównicy panią burmistrz, Greera i Teda Sabina. Wszyscy troje zaczęli się cofać, patrząc na niego, jakby widzieli go pierwszy raz w życiu.

Quinn nie ruszył się z mównicy.

– Peter, odłóż broń – powiedział twardo, a głośniki wzmocniły jego głos, tak że był słyszalny w całym holu.

Bondurant pokręcił głową. Jego twarz drgała i wykrzywiała się w grymasach. Przyciskał do siebie torbę lewą ręką. Za jego plecami Quinn dostrzegł dwóch umundurowanych policjantów. Stanęli za Bondurantem z pistoletami w rękach, lufy kierując w dół.

– Peter, wcale nie chcesz tego zrobić – powiedział cicho i spokojnie Quinn, odsuwając się nieco od mównicy.

– Zniszczyłem jej życie. Zabiłem ją. Teraz moja kolej.

– Dlaczego tutaj? Dlaczego teraz?

– Po to, żeby wszyscy wiedzieli – odparł zdławionym głosem. – Wszyscy będą wiedzieli, kim jestem.

Edwyn Noble zbliżył się do schodów.

– Peter, nie rób tego.

– Co? Bo narażę swoją reputację? A może twoją?

– Mówisz od rzeczy. Odłóż broń.

Peter nie słuchał. Jego cierpienie zdawało się niemal namacalne. Było w pocie, który ściekał po jego twarzy, w jego zapachu i w powietrzu, które pośpiesznie wydychał z płuc.

– To moja wina – powiedział.

W jego oczach pojawiło się jeszcze więcej łez.

– Ja to zrobiłem. Muszę za to zapłacić. Teraz i tutaj. Dłużej nie mogę tego znieść.

– Chodź ze mną, Peter – powiedział Quinn, podchodząc do niego i wyciągając lewą rękę. – Usiądziemy i będziesz mógł mi o wszystkim opowiedzieć. Właśnie tego chcesz, prawda?

Fotoreporterzy jak szaleni pstrykali aparatami przy wtórze silniczków przewijających filmy. Kamery też pracowały całą parą i prawdopodobnie niektóre z nich nadawały na żywo przekaz do macierzystych stacji. Wszyscy rejestrowali cierpienie tego człowieka, aby pokazać je swej widowni.

– Możesz mi zaufać, Peter. Od pierwszego dnia pytałem cię o prawdę. Nie chcę nic innego, tylko całej prawy. Możesz mi ją wyznać.

– Zabiłem ją. Zabiłem – powtarzał bełkotliwie Bondurant, a łzy spływały mu po policzkach.

Ręka z pistoletem dygotała coraz bardziej. Wystarczyłoby jeszcze kilka minut, by ją opuścił, zmęczoną ciężarem broni. Chyba że wcześniej strzeliłby sobie w głowę.

– Sprowadziłeś mnie tu – powiedział Quinn. – Sprowadziłeś mnie tu nie bez powodu. Chcesz powiedzieć mi prawdę.

– O mój Boże. Mój Boże! – załkał Bondurant.

Szalejące w nim emocje rozrywały go na strzępy. Teraz dygotało już całe jego prawe ramię. Odciągnął kurek broni.

– Peter, nie! – zawołał Quinn, rzucając się ku niemu.

Rozległ się huk wystrzału, a tuż po nim nerwowe krzyki obecnych. Ułamek sekundy za późno Quinn chwycił za przegub ręki Bonduranta i szarpnął nią do góry. Huknął kolejny strzał. Kovac podbiegł od tyłu i wyrwał Bondurantowi broń.

Peter osunął się na Quinna. Krwawił, ale był żywy. Quinn ostrożnie ułożył go na schodach. Pierwszy pocisk trafił go pod kątem w głowę powyżej skroni i wrył w ciele i włosach bruzdę długości pięciu centymetrów, zanim uderzył w sufit. Skóra wokół rany poczerniała od prochu. Bondurant opuścił głowę między kolana i zwymiotował.

W holu zapanował nieopisany hałas. Fotoreporterzy rzucili się do przodu, żeby mieć lepsze ujęcie. Edwyn Noble odepchnął dwóch z nich, żeby dostać się do swojego pracodawcy.

– Nic nie mów, Peter.

Kovac popatrzył na niego z obrzydzeniem.

– No wie pan, na to jest chyba odrobinę za późno.

Ted Sabin podszedł do mównicy i zaapelował o porządek i spokój. Pani burmistrz płakała, a Dick Greer rzucał ostre rozkazy swym kapitanom. Policjanci przystąpili do rutynowych obowiązków, zabezpieczając dowody rzeczowe, czyli rzeczy Bonduranta, i robiąc przejście dla ekipy ambulansu.

Quinn usiadł obok Petera, trzymając nadal dłoń na jego przegubie. Czuł szaleńczy rytm jego pulsu. Jego własne serce również biło pośpiesznie. Brakowało ułamka centymetra, nieco pewniejszej dłoni i Peter Bondurant rozwaliliby sobie głowę na oczach połowy kraju. Taką relację w wieczornych wiadomościach poprzedzałby następujący wstęp: „Ostrzegamy widzów, że sfilmowane sceny mogą być drastyczne...”

– Masz prawo milczeć, Peter – powiedział cichym głosem Quinn. – Wszystko, co powiesz, może być użyte przeciwko tobie.

– Musi pan to teraz robić? – zapytał Noble ochryłym szeptem. – Prasa patrzy.

– Tak samo patrzyli, kiedy się tu pojawił z załadowaną bronią – odparł Quinn, szarpiąc za torbę, w której Peter wniósł broń.

Bondurant usiłował tę torbę przytrzymać, łkając niepowstrzymanie, ale po chwili wypuścił ją i osunął się jak kłęb szmat.

– Moim zdaniem, i tak już naruszono zbyt wiele reguł, jeśli chodzi o Petera – rzekł Quinn.

Podał torbę Walshowi.

– Ciężka. Może mieć tam jeszcze jakąś broń.

– Ma pan prawo do obecności adwokata podczas przesłuchania – dokończył formułę Kovac, wyciągając kajdanki.

– Jezu Chryste! – rozległ się ochrypy krzyk.

Quinn podniósł głowę i zobaczył, że Walsh upuszcza torbę i z purpurową twarzą chwyta się za gardło.

Jak stwierdził przybyły wkrótce lekarz, Walsh nie żył, zanim jeszcze upadł na podłogę. Upadł tuż obok torby, w której znajdowała się głowa Jillian Bondurant.

Kate cofnęła się od Angie, nawet nie próbując zrozumieć, o co jej chodzi. Oddychała ciężko i bolał ją łokieć, którym uderzyła o ławę, gdy padała na podłogę. Zaczęła go rozcierać, usiłując zebrać myśli. Angie klęczała, wyjąc upiornie i uderzając się po głowie zakrwawionymi dłońmi. Krew przesiąkała przez materiał spodni na jej udach i wypływała z nacięć, które dziewczyna zrobiła nożem.

– Mój Boże – mruknęła Kate, wstrząśnięta tym widokiem. Cofnęła się do biurka i wyciągnęła rękę do telefonu.

Rob stał metr od niej, przyglądając się dziewczynie z jakimś szczególnym zainteresowaniem, jakby był przyrodnikiem obserwującym ciekawy egzemplarz.

– Rozmawiaj z nami, Angie – powiedział łagodnie. – Powiedz nam, co czujesz.

– Jezu Chryste, Rob – warknęła Kate, podnosząc słuchawkę. – Daj jej spokój! Idź do kuchni i przynieś mokry ręcznik.

Rob podszedł do Angie, wyjął z kieszeni płaszcza sześciocalową obleczonej skórą pałkę i uderzył ją w plecy. Dziewczyna wrzasnęła i upadła na bok, wyginając grzbiet, jakby próbowała uniknąć w ten sposób bólu.

Kate zamarła bez ruchu, patrząc na swojego szefa z otwartymi ustami.

– Cco... – zaczęła.

Przełknęła ślinę, żeby spróbować znowu wydobyć z siebie głos.

– Co z tobą, do diabła? – wykrztusiła, ledwie chwytając oddech.

Rob przeniósł na nią wzrok. Jego oczy niemal świeciły nie skrywaną nienawiścią. Przeszywał ją spojrzeniem jak nożem. Kate czuła nienawiść emanującą z niego gorącymi falami, czuła jej odór wydobywający się z każdego poru jego ciała. Zamarła bez ruchu, powoli uświadamiając sobie, że telefon nie działa.

– Nie masz dla mnie szacunku, Kate, ty pieprzona cipo – powiedział cichym mrocznym głosem.

Jego słowa i zawarta w nich nienawiść uderzyły ją niczym pięść, ogłuszając na chwilę. Wstrząśnięta, zaczęła dostrzegać, że brakujące elementy układanki trafiają na swoje miejsce.

„Kto cię dusił, Angie? Znasz tego człowieka?”

„No jasne... Ty też go znasz”

„Już dobrze, Angie. Jesteś bezpieczna”.

„Ty głupia suko. Teraz już po tobie”.

Rob Marshall? Nie, to było śmiechu warte. Prawie. Z wyjątkiem tego, że zanim się pokazał, telefon działał, a teraz on stał przed nią z bronią w ręku.

Odłożyła słuchawkę.

– Długo to znośłem – powiedział z wyrzutem. – Czepiałaś się i czepiałaś. Pyskowałaś. Poniżałaś mnie. Patrzyłaś na mnie z góry.

Stał na rozrzuconych po podłodze raportach wiktyologicznych.

„Każdy jest w pewnym sensie ofiarą”.

Myślała o tym kilka razy tego ranka, kiedy przeglądała raporty, a jednak nie przeanalizowała ich dostatecznie dokładnie.

Lila White została pobita.

Fawn Pierce zgwałcona.

Melanie Hessler: kolejna ofiara gwałtu. Każda z nich w jakimś momencie miała do czynienia z programem opieki nad ofiarami i świadkami.

Jedyną, która do tego nie pasowała, była Jillian Bondurant.

– Przecież jesteś opiekunem, na rany boskie – wykrztusiła wreszcie Kate.

Opiekun, który w ramach swoich obowiązków służbowych wysłuchiwał bez końca opowieści ludzi, przeważnie kobiet, o tym, jak byli wykorzystywani, bici, gwałceni, poniżani...

Ile razy musiała przez niego słuchać nagrań rozmów z Melanie Hessler? Słuchał uważnie, cofając taśmę i odtwarzając raz po raz niektóre fragmenty. Przypomniała sobie, jak siedziała w samochodzie Kovaca po znalezieniu ciała Hessler i słuchała mikrokasety, którą zgubił morderca. Melanie Hessler: zebrząca o darowanie życia, wrzeszcząca z bólu, błagająca o śmierć.

Przypomniała sobie, jak Rob poszedł zobaczyć zwęglone zwłoki i wrócił roztrzęsiony, wyraźnie zdenerwowany. Ale to, co mylnie wzięła za rozstrój, w rzeczywistości było podnieceniem.

O mój Boże.

Nagle zaczęły jej przemykać przez myśl wszystkie przykre słowa, jakie kiedykolwiek mu powiedziała. Poczowała, jak żółć podływa jej do gardła.

O Boże, już po mnie.

– Przepraszam, przykro mi – wykrztusiła, rozpaczliwie próbując coś wymyślić.

Drzwi wejściowe były tylko trzy metry od niej.

Rob skrzywił twarz w pogardliwym grymasie. Przymrużył oczy, niemal je zamykając i robiąc taką minę, jakby poczuł właśnie odór otwartego ścieku.

– Wcale ci nie jest przykro. Nie jest ci przykro z powodu tego, jak mnie traktowałeś. Jest ci przykro z tego powodu, że cię za to zabiję.

– Angie, uciekaj! – krzyknęła Kate.

Porwała z biurka faks, wrywając z niego przewód zasilania, i cisnęła nim w Roba. Uderzył sukinsyna w pierś, pozbawiając go równowagi.

Ruszyła do drzwi, ale potknęła się o jeden z leżących na podłodze raportów. Kosztowało ją to cenny ułamek sekundy.

Rob rzucił się za nią i chwyciwszy jedną ręką za rękaw jej płaszcza, zamachnął się wściekle drugą, w której trzymał pałkę.

Kate poczuła ciężar uderzającej ją w bark pałki. Nawet gruby, mięsisty kołnierz płaszcza nie był w stanie zamortyzować potężnego ciosu. Gdyby trafił ją w głowę, padłaby bez przytomności.

Szarpnęła się w bok i wykorzystując własny impet Marshalla, wepchnęła go do holu. Wykręciła mu do tyłu lewą rękę, popychając go na stół, i zanim jeszcze w niego uderzył, rzuciła się ku frontowym drzwiom, które nadal wydawały się o milę od niej.

Rob wydał z siebie głośny ryk i wpadł na nią od tyłu. Runęli oboje z impetem na podłogę. Kate krzyknęła, upadając na swą wykręconą nienaturalnie prawą rękę i czując ostre szarpnięcie mięśni w barku.

Ból przeszył ją całą jak ogień. Usiłowała go zignorować, próbując się uwolnić i dostać do drzwi. Rob chwycił Kate całą garścią za włosy i szarpnął jej głowę do tyłu, po czym uderzył ją pięścią w prawą skroń. Obraz jej się zamazał, a uszy wypełnił piekielny ból i huk. Jak cięcie noża, ból przeniknął twarz Kate, aż do szczęki.

– Ty suko! Ty suko! – wrzeszczał Rob.

Chwycił ją za gardło i zaczął dusić. Coraz słabiej słyszała jego wrzaski. Walczyła rozpaczliwie, chwytając go za ręce, ale jego krótkie palce były grube i silne.

Nie była w stanie oddychać. Czowała się tak, jakby jej oczy miały się rozerwać i puchł mózg.

Ostatnią resztką świadomości, jaką zdołała zmobilizować, zmusiła się do tego, by opaść bezwładnie. Rob dalej ją dusił przez kilka sekund, które trwały wieczność, a potem uderzył jej głową o podłogę. Wiedziała, że coś krzyczy, ale nie była w stanie rozróżnić słów. Krew z szumem napłynęła jej z powrotem do głowy. Usiłowała powstrzymać się przed

wdychaniem wielkich łyków powietrza, którego tak bardzo pragnęła i potrzebowała. Próbowała opanować zamroczenie umysłu. Musiała myśleć, ale nie o miejscach zbrodni, które odwiedziła, nie o zwęglonym ciele swej podopiecznej, nie o zdjęciach z sekcji zwłok czterech kobiet, które on torturował i okaleczył.

– Myślisz, że nic nie umiem! – wrzasnął Rob, podnosząc się z niej. – Myślisz, że jestem idiotą! Że jesteś lepsza niż wszyscy, a ja jestem po prostu zerem!

Nie widziała go, ale zaczęła niepostrzeżenie przesuwać rękę ku kieszeni płaszcza.

– Ty pieprzona suko! – wrzasnął i kopnął ją.

Był za bardzo pochłonięty własnymi wrzaskami, by dosłyszeć jęk bólu, gdy trafił ją w biodro. Kate zacisnęła zęby, przesuwając dalej dłoń centymetr po centymetrze do kieszeni.

– Ty mnie nie znasz.

Chwycił ze stołu jakiś przedmiot i rzucił nim. Kate nie wiedziała, co to jest, ale słyszała, że to coś rozbiło się w okolicach kuchni.

– Nie wiesz nic o mnie, o moim prawdziwym ja.

Rzeczywiście, to była prawda. Na rany boskie, pracowała z tym człowiekiem przez półtora roku. Ani razu nie przyszło jej do głowy, że jest zdolny do czegoś takiego. Ani razu nie kwestionowała jego motywacji co do wyboru zawodu. Przeciwnie nawet, praca Marshalla jako opiekuna była jedyną jego pozytywną cechą. Tak przynajmniej uważała. Był zawsze gotów słuchać ofiar przestępstw, przebywać z nimi.

– Myślisz, że jestem nikiem! – wrzasnął. – Ale ja jestem kimś! Jestem Aniołem Śmierci! To ja jestem, kurwa, Krematorem! Więc co teraz o mnie myślisz, suko?

Ukucnął przy niej i odwrócił ją na wznak. Spomiędzy rzęs przymkniętych oczu Kate była w stanie dostrzec tylko kolorowe plamy, ale już trzymała rękę w kieszeni, zaciskając ją na uchwycie metalowego pilniczka do paznokci.

– Zostawiłem sobie ciebie na deser – powiedział. – Będziesz mnie błagała, żebym cię zabił. A ja zrobię to z przyjemnością.

– Co się wydarzyło tamtej nocy, Peter? – zapytał Quinn.

Siedzieli w małym obskurnym pokoiku o białych ścianach w budynku władz miejskich. Niedaleko znajdowało się stanowisko rejestracji aresztu. Bondurant zrezygnował z pomocy prawnej i odmówił pójścia do szpitala. Jeden z członków ekipy ambulansu oczyścił mu ranę po kuli w tym samym miejscu na schodach, gdzie Bondurant usiłował położyć kres swemu życiu.

Edwyn Noble wpadł w prawdziwy szal, upierając się, żeby go dopuszczono do obecności podczas przesłuchania i nalegając na to, żeby Peter został wysłany wprost do szpitala, niezależnie od tego, czy sobie tego życzy, czy nie.

Bondurant jednak postawił na swoim, przysięgając przed tuzinem kamer, że chce zeznawać.

Oprócz Quinna obecny był w pokoju również Yurek. Bondurant chciał rozmawiać tylko z Quinnem, ale policja uparła się, żeby na przesłuchaniu znalazł się jej przedstawiciel. Nikt nawet nie wspomniał nazwiska Sama Kovaca.

– Jillian przyjechała na kolację – powiedział Bondurant.

Wydawał się mały, skurczony, jak ktoś od lat uzależniony od heroiny. Błady, o zaczerwienionych oczach i pustym wyrazie twarzy.

– Była w jednym z tych swoich nastrojów. W górę i w dół. Najpierw się śmiała i już zaraz wściekała. Taka po prostu była, zmienna. Jak jej matka. Nawet jako małe dziecko.

– O co się kłóciliście?

Wzrok Bonduranta zatrzymał się na różowej plamie na ścianie; mogła to być niestaranie zmyta plama krwi.

– O uczelnię, muzykę, terapię, jej ojczyma, o nas.

– Chciała odnowić swój związek z ojczymem?

– Rozmawiała z nim. Powiedziała mi, że zastanawia się nad powrotem do Francji.

– Byłeś rozgniewany.

– Rozgniewany – powtórzył z westchnieniem. – To nie jest odpowiednie słowo. Byłem zdenerwowany. Miałem ogromne poczucie winy.

– Dlaczego winy?

Bondurant odezwał się dopiero po dłuższej chwili, jakby musiał zaplanować każdy wyraz, który ma wypowiedzieć.

– Bo to była moja wina. To, co wydarzyło się między Jillian i nim. Mogłem temu zapobiec. Mogłem walczyć z Sophie o opiekę nad dzieckiem, ale po prostu poddałem się.

– Groziła, że ujawni, iż molestowałeś Jillian – przypomniał mu Quinn.

– Ona groziła, że będzie utrzymywać, iż molestowałem Jillian – poprawił go Peter. – Tresowała Jillie, co ma mówić i jak ma się zachowywać, aby przekonać ludzi, że to jest prawda.

– A to nie była prawda?

– Nigdy bym nie potrafił wyrządzić żadnej krzywdy własnemu dziecku. – Zamilkł. Było widać, że opanowanie zaczyna go opuszczać. Zasłonił usta drżącą dłonią i zaczął cicho płakać. – Skąd miałem wiedzieć?

– Znałeś stan psychiczny Sophie – zauważył Quinn.

– Właśnie byłem w trakcie wykupywania udziałów Dona Thortona. Miałem na głowie kilka poważnych kontraktów rządowych. Mogłaby mnie zrujnować.

Quinn zamilkł, pozwalając Bondurantowi zastanowić się nad tym samemu. Z pewnością robił to tysiące razy, również w ciągu ostatniego tygodnia.

Bondurant westchnął ciężko i opuścił wzrok.

– Oddałem moją córkę wariatce i pedofilowi. Lepiej bym zrobił, gdybym ją wtedy zabił.

– Co się wydarzyło w piątek w nocy? – powtórzył Quinn, wracając do terażniejszości.

– Pokłóciliśmy się o LeBlanca. Zarzuciła mi, że jej nie Kocham. Zamknęła się na jakiś czas w pokoju muzycznym. Zostawiłem ją w spokoju. Poszedłem do biblioteki, siadłem przed kominkiem, wypłem trochę koniaku. Około jedenastej trzydzieści weszła do pokoju za moimi plecami. Śpiewała. Miała piękny głos, niezwykle uduchowiony. To, co śpiewała, było obsceniczne, odrażające, perwersyjne. To było to wszystko, co Sophie wbiła Jillian do głowy wiele lat temu. Te wszystkie rzeczy, które podobno miałem jej robić.

– To cię rozgniewało.

– Źle się poczułem. Wstałem i odwróciłem się, żeby jej to powiedzieć, i zobaczyłem, że ona stoi naga. „Nie chcesz mnie tatuśku? – zapytała. – Nie Kochasz mnie?”

Widać było, że samo wspomnienie tej sceny jest dla niego nie do zniesienia. Nachylił się nad koszem na śmieci, który stał obok krzesła, i usiłował wymiotować, ale jego żołądek był pusty. Quinn czekał, spokojny i w wystudiowany sposób oziębły.

– Odbył pan z nią stosunek? – zapytał Yurek.

Quinn spojrzał na niego gniewnie.

– Nie! Mój Boże! – zaprzeczył, oburzony jego sugestią.

– Więc co się stało? – zapytał Quinn. – Pokłóciliście się. W końcu ona wybiegła.

– Tak – odpowiedział, uspokajając się. – Pokłóciliśmy się. Powiedziałem pewne rzeczy, które powinienem przemilczeć. Była taka wrażliwa. Ale ja czułem się zaszokowany, rozgniewany. Wybiegła z pokoju, ubrała się i wyszła z domu. Już nigdy nie widziałem jej żywej.

Yurek wyglądał na zawiedzionego.

– Ale powiedział pan, że ją zabił.

– Nie rozumie pan tego? Mogłem ją uratować, a jednak tego nie zrobiłem. Za pierwszym razem pozwoliłem jej odejść, żeby uratować samego siebie, swój biznes, swój majątek. To moja wina, że stała się tym, kim się stała. W piątek pozwoliłem jej odejść, bo nie chciałem stawić temu czoła, i teraz ona nie żyje. To ja ją zabiłem, tak samo jakbym jej wbił nóż w serce.

Yurek odsunął krzesło, wstał i zaczął chodzić po pokoju jak człowiek, który właśnie zorientował się, że został oszukany w grze w trzy kubki.

– Niech pan da spokój, panie Bondurant. Myśli pan, że w to uwierzmy?

Nie miał odpowiedniego głosu ani charakteru, żeby odgrywać złego policjanta, nawet wtedy, gdy tego chciał.

– Nosił pan ze sobą w torbie głowę swojej córki. Po co? Jako drobny upominek, który przysłał panu prawdziwy zabójca?

Bondurant nie odpowiedział. Wzmianka o głowie Jillian tak nim wstrząsnęła, że znowu zaczął zamykać się w sobie. Quinn widział, jak się odsuwa i pozwala, by jego myśli trafiały gdzie indziej, a nie do tej okropnej rzeczywistości.

Gdyby rzeczywiście tam trafiły, mógłby nie wracać przez długi czas.

– Peter, co robiłeś w mieszkaniu Jillian w niedzielę nad ranem?

– Poszedłem ją odwiedzić. Zobaczyć, czy wszystko w porządku.

– W środku nocy? – wtrącił Yurek z powątpiewaniem.

– Nie odpowiadała na moje telefony. W sobotę dałem jej spokój, bo tak mi doradził Lucas Brandt. Ale w niedzielę musiałem coś zrobić.

– Więc poszedłeś tam i otworzyłeś własnym kluczem drzwi – powiedział Quinn.

Bondurant opuścił wzrok na płamę na swoim swetrze i zaczął ją skrobać paznokciem.

– Najpierw myślałem, że jest w łóżku. A potem zastanawiałem się, w którym łóżku.

Czekałem na nią.

– Co robięś, czekając?

– Sprzątałem – odpowiedział, jakby to było coś absolutnie normalnego. – Mieszkanie wyglądało jak chlew – dodał, krzywiąc się z obrzydzeniem. – Ohydne, brudne, pełne śmieci i bałaganu.

– Tak jak życie Jillian – rzekł Quinn.

Oczy Bonduranta napełniły się łzami. Sprzątanie mieszkania było działaniem bardziej symbolicznym niż praktycznym. Nie potrafił zmienić życia córki, ale mógł posprzątać miejsce, w którym żyła. Zachowanie świadczące o skłonności do kierowania innymi i być może o uczuciu, pomyślał Quinn.

– Wymazałeś informacje z jej telefonu?

Bondurant skinął głową. Łzy spływały coraz rzęśściej po jego twarzy. Oparł się łokciami o stół i przyłożył dłoń do oczu.

– Było coś od LeBlanca?

– To sukinsyn! On też ją zabił. Tak samo jak ja!

Łkając, pochylił się jeszcze niżej nad stołem i nagle z jego gardła wydobył się okropny ryk. Quinn czekał myśląc o tym, jak podczas sprzątania Peter odnalazł piosenki Jillian. Być może one były najważniejszym powodem, dla którego tam poszedł po incydencie w piątek w nocy, chociaż teraz powodowany poczuciem winy twierdził, że kierował się przede wszystkim troską o Jillian.

Quinn pochylił się ku niemu i położył dłoń na jego ręce. Nawiązywał z nim fizyczny kontakt, usiłując przywrócić go do chwili obecnej.

– Peter? Czy wiesz, kto naprawdę zabił Jillian?

– Jej przyjaciółka – powiedział słabym głosem, krzywiąc twarz. – Jej jedyna przyjaciółka. Michele Fine.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Usiłowała mnie szantażować.

– Usiłowała?

– Do wczoraj wieczorem.

– A co się stało wczoraj wieczorem? – zapytał Quinn.

– Zabiłem ją.

Edwyn Noble natarł na Quinna, gdy tylko ten wyszedł z pokoju przesłuchań.

– Ani jedno słowo z tego przesłuchania nie będzie się liczyło w sądzie, Quinn.

- Sam zrezygnował z prawa do adwokata, panie Noble.
- On absolutnie nie jest w stanie podejmować samodzielnie takich decyzji.
- Niech pan się poskarży sędziemu – wtrącił się Sabin.

Obydwaj prawnicy zwarli się niby dwie kobry. Yurek odciągnął na bok Logana, żeby porozmawiać o nakazie przeszukania mieszkania Michele Fine. Kovac stał nieco dalej oparty o ścianę, nawet nie paląc papierosa. Samotny kojot.

– Podwieźć cię GQ? – powiedział z nadzieją w oczach. Quinn zrobił typową dla Kovaca minę.

– Teraz jestem zdecydowanym masochistą. Sam nie wierzę, że chcę to powiedzieć, ale odpowiedź brzmi: tak.

Na dworze wpadli na kordon dziennikarzy. Na każde rzucane pod jego adresem pytanie Quinn odpowiadał z kamienną twarzą: „Bez komentarza”. Kilku reporterów deptało im po piętach aż do zaparkowanego przy Czwartej Alei samochodu Kovaca. Quinn nie odezwał się do niego aż do chwili, gdy Sam wrzucił bieg i ruszył z rykiem silnika.

– Bondurant mówi, że zastrzelił Michele Fine i zostawił jej ciało w Ogrodzie Rzeźby. Usiłowała go szantażować za pomocą co wyrazistszych utworów Jillian i rzeczy, które Jillian rzekomo jej wyznała. Wczoraj wieczorem miało dojść do wypłaty pieniędzy. On miał przynieść forszę, a ona miała mu oddać piosenki, nagrania i tak dalej. Wtedy nie wiedział, że Fine jest zamieszana w morderstwo Jillian. Twierdzi, że zgodził się zapłacić, żeby sprawa nie wyszła na jaw, ale wziął ze sobą broń.

– Wygląda to na działanie z premedytacją – rzekł Kovac, umieszczając światło ostrzegawcze za przednią szybą.

– Zgadza się. Więc Michele przyszła z tymi rzeczami w torbie. Pokazała mu parę kartek z kompozycjami i kasety i zasunęła zamek torby. Wymienili się. Odwróciła się i odeszła, będąc pewna, że on nie zajrzy jeszcze raz do torby.

– Nigdy nie należy być zbyt pewnym – rzekł sentencjonalnie Kovac.

Quinn wyprężył się cały i przytrzymał drzwi, gdy samochód skręcił ostro w prawo na czerwonym świetle. Dookoła rozległy się dźwięki klaksonów.

– Ale on zajrzał. Strzelił jej w plecy i zostawił ją tam, gdzie upadła.

– Co ona sobie, do cholery, wyobrażała, kiedy dawała mu głowę?

– Myślała, że kiedy on zadzwoni na policję, nie będzie już po niej śladu. Kiedy parę dni temu byłem z Liska w jej mieszkaniu, zauważyłem wydawnictwa turystyczne. Na pewno miała pojechać od razu na lotnisko i wsiąść do samolotu.

– A Vanlees? Powiedziała coś o Vanleesie?

Quinn znowu wstrzymał oddech, kiedy Kovac wpełznął się pomiędzy miejski autobus i dostawczą furgonetkę.

– Nie.

– Ale ty nie uważasz, że ona działała sama?

– Nie. Wiemy, że nie zabijała sama. Podobnie nie próbowałyby na własną rękę szantażu. Dobrowolne ofiary seksualnego sadysty są prawdziwymi marionetkami. Ich partner ma w ręku władzę i steruje nimi poprzez wykorzystywanie fizyczne, psychologiczne i seksualne. Nie może być mowy o tym, żeby ona to sama zrobiła.

– Ale zanim to wszystko się stało, Vanlees już był w areszcie.

– Prawdopodobnie mieli gotowy plan. Realizowała go, nie wiedząc, co się z nim dzieje. Za bardzo się go bała, żeby nie wykonać planu. Oczywiście, jeśli to on jest mordercą.

– Znali się.

– My też się znamy. Ale nikogo nie zabiliśmy. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby Vanlees potrafił manipulować kimś w ten sposób. To nie pasuje do jego portretu.

– Więc kto?

– Nie wiem – powiedział Quinn, bardziej zły na siebie niż na Kovaca, który przycisnął gaz i omal nie uderzył bokiem w mikrobus. – Ale jeżeli mamy Fine, to dotrzemy po nitce do kłębka.

Cztery radiowozy przybyły na miejsce przed nimi. Miejski Ogród Rzeźby był czterohektarowym obszarem parkowym, usianym przez ponad czterdzieści prac prominentnych artystów. Dominującym dziełem była licząca szesnaście metrów długości łyżka, na której leżała wysoka na trzy metry czerwona wiśnia. Zdaniem Quinna, nawet w najbardziej normalnych okolicznościach to miejsce musiało wyglądać dość surrealistycznie. Jako miejsce zbrodni park musiał się kojarzyć z jakimś konceptem z *Alicji w krainie czarów*.

– Dostaliśmy raporty z miejscowych szpitali! – zawołał Yurek, wysiadając z samochodu. – Nie ma nikogo z ranami postrzałowymi, kto przypominałby Michele Fine.

– Mówił, że spotkali się przy łyżce – rzekł Quinn, gdy ruszyli w tym kierunku.

– Jest pewien, że ją trafił? – zapytał Kovac. – Było ciemno.

– Powiedział, że tak. Krzyknęła i upadła.

– Tutaj! – zawołał jeden z policjantów, machając do nich z miejsca przy czerpaku łyżki.

Jego oddech unosił się niby sygnał dymny w chłodnym powietrzu. Quinn ruszył ku

niemu biegiem razem z pozostałymi. Wiedzieli, że lada moment pojawią się reporterzy.

– Nie żyje? – zawołał Yurek.

– Nie żyje? – powtórzył policjant, wskazując na wiśniowoczerwoną plamę na śniegu. –

Nie ma jej, do diabła.

Rob chwycił ją za włosy i zaczął szarpać. Zaciśnęła palce na metalowym pilniczku w kieszeni. Czekwała. To była jedyna broń, jaką dysponowała. Musiała jednak wykorzystać ją precyzyjnie i w najbardziej dogodnym momencie. Szaleńcze myśli przebiegały jej przez głowę niby zagubione w labiryncie szczury, które panicznie szukają wyjścia.

Uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Poczowała wypełniający usta smak krwi.

– Wiem, że żyjesz. Nadal mnie nie doceniasz, Kate. Nawet teraz mnie drażnisz. To bardzo głupie z twojej strony.

Kate zwiesiła głowę, podciągając nogi pod siebie. On chciał, żeby była przerażona. Chciał to widzieć w jej oczach. Chciał to czuć w zapachu jej skóry i słyszeć w jej głosie. Na tym właśnie mu zależało. To tym się sycił, słuchając nagrań z opowieściami ofiar, swoich własnych i ofiar innych przestępców. Tak wiele osób otwierało przed nim serca, karmiąc jego chorą psychikę swym cierpieniem i strachem.

Teraz chciał, żeby to ona się bała i żeby była uległa. Chciał, żeby cierpiała za każdą chwilę, w której powiedziała mu coś przykrego, za każdy chwilę, w której mu się sprzeciwiła. Gdyby dała mu to, czego pragnął, poczucie tryumfalnego zwycięstwa jeszcze bardziej wzmocniłoby jego okrucieństwo.

– Będę dzisiaj twoim panem, Kate – powiedział teatralnym tonem.

Uniosła głowę i posłała mu długie, jadowite spojrzenie, zbierając w sobie odwagę i ssąc rozbite wargi. Wiedziała, że zapłaci za to, co za chwilę zamierzała zrobić, ale to wydawało się jedynym sensownym posunięciem.

Splunęła mu w twarz krwią.

– Jak cholera, ty parszywy gnojku.

Unióś z wściekłością rękę i zamachnął się pałką. Kate wykonała unik i poderwała się, uderzając go łokciem w podbródek, aż rozległ się trzask zębów. Wyrwała z kieszeni pilniczek i wbiła mu go cały w szyję tuż powyżej obojczyka. Rob wrzasnął, chwytając za pilnik i upadł, uderzając plecami o stół. Kate rzuciła się do kuchni.

Gdyby tylko zdołała się wydostać z domu, wybiec na ulicę! Na pewno w jakiś sposób uszkodził jej samochód albo go zablokował. Musiała wydostać się na ulicę, żeby uzyskać

pomoc. Przebiegła przez jadalnię, przewracając po drodze krzesła. Rob już biegł za nią. Jęknął, zderzywszy się z jakimś przedmiotem, i zaklął, wyrzucając z siebie słowa jak pociski.

Nie mógł jej doścignąć na swoich krótkich nogach i chyba nie miał broni. Ona musi tylko przebiec przez kuchnię i będzie wolna. Pobiegnie do sąsiada po drugiej stronie ulicy. Do tego projektanta, który ma studio na strychu. Zawsze jest w domu.

Wpadła do kuchni, zawahała się na ułamek sekundy i stanęła jak wryta. Serce zamarło jej w piersiach.

Angie stała tuż przy drzwiach z mokrą od łez twarzą. W rękę trzymała rzeźnicki nóż, skierowany wprost w klatkę piersiową Kate.

– Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam – łkała, dygocząc na całym ciele.

Nagle rozmowa pomiędzy Angie i Robem, którą usłyszała w swoim gabinecie, nabrała nowego znaczenia. Elementy układanki zaczęły trafiać na swoje miejsca, tworząc wypaczony, surrealistyczny obraz.

Jeżeli Rob był Krematorem, to właśnie jego Angie widziała w parku. Jednakże człowiek, którego zgodnie z jej instrukcjami narysował Oscar, nie przypominał bardziej Roba Marshalla niż Teda Sabina. Siedziała naprzeciwko niego w pokoju przesłuchań, nie zdradzając wcale...

Marshall wpadł za nią do kuchni i piętnaście dekagramów ukrytej w piasku i obleczonej skórą zetknęło się z jej potylicą. Nogi ugięły się pod nią i osunęła się na kolana. Ostatnim obrazem, jaki zarejestrowała, był widok Angie DiMarco.

Dlatego nie zajmuję się małolatami, przemknęło jej przez myśl. Nigdy nie wiadomo, co im chodzi po głowie. Potem wszystko spowiła ciemność.

Na ławie w mieszkaniu Michele Fine nadal leżały magazyny turystyczne. Niektóre strony były zagięte; zakreślono na nich nazwy atrakcyjnych obiektów turystycznych z dopisanymi ręcznie na marginesach komentarzami: „Można się opalić!” „Za drogo”. „Nocne życie!”

Morderczyni w roli turystki, pomyślał Quinn, kartkując czasopisma. Wiedział, że gdy policja skontaktuje się z biurami linii lotniczych, może się okazać, że Michele Fine, zarezerwowała bilety do jednego lub więcej z tych miejsc. Gdyby mieli szczęście, to mogliby też znaleźć odpowiednie rezerwacje, dokonane przez jej nieznanego partnera.

Biorąc pod uwagę ilość krwi w Ogrodzie Rzeźby, wyglądało na wielce nieprawdopodobne, by Fine wy dostała się z parku o własnych siłach. Gil Vanlees był w areszcie, a jednak Fine zniknęła, podobnie jak pieniądze, które przyniósł Bondurant.

Policjanci kręcili się po mieszkaniu, badając każdą szafkę, szczelinę i pęknięcie, szukając wszystkiego, co mogłoby dać im jakąś wskazówkę, kim był współnik Fine w zbrodni. Jakaś odręczna notka, nabazgrany numer telefonu, koperta, zdjęcie, coś, cokolwiek. Adler i Yurek obchodzili sąsiadów w poszukiwaniu przydatnych informacji. Czy ją znali? Czy ją widzieli? Czy miała jakiegoś przyjaciela?

Mieszkanie wyglądało identycznie jak poprzedniego dnia. Taki sam kurz i takie same przepełnione popielniczki. W szufladzie komódki Tippen odkrył fiolkę kokainy.

Quinn przeszedł przez przedpokój, zaglądając do łazienki, która pasowałaby akurat do jakiejś podrzędnej stacji benzynowej, i wszedł do sypialni. Łóżko było nie posłane. W całym pokoju leżały porzucane ubrania. Wyglądały jak kontury, rysowane przez policję kredą w miejscu, gdzie zostało znalezione ciało. Podobnie jak w innych pomieszczeniach nie było tu żadnego osobistego, ani dekoracyjnego akcentu. Z wychodzącego na południe okna, widać było tylną ścianę sąsiedniego budynku.

– Popatrzcie na te ozdoby w oknie – powiedziała Liska, przechodząc przez pokój.

Zwisały na haczykach umieszczonych w małych, przytwierdzonych do szyby przysawkach. Obręcze o średnicy około siedmiu i pół centymetra. W każdej z nich znajdowało się miniaturowe dzieło sztuki. Przeświecające przez nie światło nadawało żywość barwom, a wpływające przez wywietrznik powietrze poruszało nimi jak skrzydłami motyli i kołysało przymocowanymi do każdego z nich dekoracjami. Kawałek wstążki, perłowy guzik na nitce, kołyszający się kolczyk, precyzyjnie ułożony lok włosów...

Twarz Liski zamarła, kiedy policjantka, stając obok Quinna, uświadomiła sobie, co widzi.

Lilia Lili White. Oset Fawn Pierce. Usta z wysuniętym językiem. Serce z wypisanym na nim słowem „tato”. Było ich pół tuzina.

Tatuaże.

Tatuaże wycięte z ciał ofiar Krematora. Naciągnięte na małe obręcze i suszące się w słońcu. Pamiątki po zamordowanych kobietach. Pamiątki tortur i morderstwa.

Chwila tryumfu jest blisko. Ukoronowanie jego planu. Finał na teraz, w tym miejscu. Ułożył Sukę na stole wedle swych upodobań i przywiązał jej nogi i ręce do nóg stołu linką z tworzywa, którą podkradł z biura. Kawałek takiej samej linki jest owinięty wokół jej gardła, a końce spoczywają w jego dłoni. Żeby wytworzyć odpowiedni nastrój, przyniósł do piwnicy świece, które znalazł w innych pomieszczeniach domu. Płomień świecy jest dla niego czymś bardzo zmysłowym, ekscytującym, pełnym erotyki. Intensywny zapach benzyny, który wypełnia powietrze, jeszcze bardziej wzmacnia jego podniecenie.

Cofa się, by się przyjrzeć temu widokowi. Suka pod jego absolutną władzą. Nadal jest ubrana, bo on chce, by była świadoma swojego ponizenia. Chce, by przeżywała każdą sekundę. Nagra to wszystko na taśmie.

Umieszcza nową kasetę w dyktafonie i kładzie go na czarnym winylowym stołku barowym o pękniętym siedzeniu. Nie przejmuje się odciskami palców. Świat wkrótce pozna prawdziwą tożsamość Krematora.

Nie widzi powodu, dla którego miałby nie dopełnić swojego planu. Michele jest chyba wyeliminowana, ale on nadal ma Angie. Jeżeli dziewczyna zda egzamin, to może ją weźmie ze sobą. Jeżeli zawiedzie, to ją zabije. Ona nie jest Michele, czyli jego doskonałym dopełnieniem. Michele, która była gotowa zrobić wszystko, o co poprosił, gdyż myślała, że jej posłuszeństwo sprawi, iż będzie ją kochał. Michele, która wcielała w czyn jego pomysły wymyślnych tortur. Michele, która zachęciła go do palenia ciał i zachwycała się sztuką tatuażu.

Brakuje mu Michele tak bardzo, jak nikogo innego na świecie. Chociaż istnieje pewne pocieszenie. Pani Vetter będzie jeszcze bardziej brakowało jej obrzydliwego psiaka.

Angie przygląda mu się, gdy on rozwija skórzany pokrowiec ze wszystkimi ulubionymi narzędziami i rozkłada go na stole. Wygląda jak bohaterka thrillera dla nastolatków. Ma podarte ubranie, a nogawki dżinsów na jej udach są pocięte i przesiąknięte krwią. Nadal trzyma w dłoni rzeźnicki nóż, który zabrała z kuchni, i naciska jego czubkiem na opuszkę kciuka, spoglądając ukradkiem na wypływające z niego krople krwi. Stuknięta dziwka.

Patrzy na ślady duszenia na jej gardle i myśli o tym, jak opierała mu się w trakcie realizacji jego Wielkiego Planu. Podczas pierwszego przesłuchania zrobiła z niego głupca. Nie podała nazwy baru, z którego ją zabrał, co mogłoby dodać wiarygodności jej relacji. Sprzeciwiła się przedstawieniu rysownikowi takiego opisu Krematora, jaki kazał jej zaprezentować. Spędził sporo czasu, konstruując w myślach obraz tajemniczego zabójcy. Jednak ona podała rozmyślnie tak mętny opis, że mógłby pasować do połowy mężczyzn mieszkających w Twin Cities, nie wyłączając Vanleesa. Myśl o tym, że Vanlees mógłby zyskać sławę jako Kremator, wywołuje w nim wściekłość. I chociaż pobił ją wiele razy od środy, to i tak pozbawiła go możliwości efektownego zaprezentowania się w domu Kate.

„Kto przyszedł cię zabrać, Angie?”

„Nie”.

„Kto przyszedł cię zabrać?”

„Nie. Nie zrobię tego”.

„Angie, kto po ciebie przyszedł?”

„Nie. Nie zmusisz mnie”.

Uczył ją, by odpowiedziała „Anioł Śmierci”. Mniejsza z tym, że jej nie wykorzystał, że Michele uratowała ją przed pocięciem się na strzępy pod prysznicem, uprzątnęła cały ten bałagan i wymknęła się z nią tylnymi drzwiami domu. Udzielił jej instrukcji, a ona otwarcie mu się sprzeciwiła.

Postanawia ją zabić, nawet mimo to, że pomogła mu w kuchni. Jest zbyt nieprzewidywalna.

Zrobi to tutaj. Kiedy Suka już nie będzie żyła. Wyobraża sobie siebie samego w szale, pijanego euforią po zamordowaniu Suki.

Widzi już, jak rzuca dziewczynę na stół, na zakrwawione, okaleczone ciało, przywiązuje ją, pieprzy dusząc przy tym, a potem uderza raz po raz nożem w twarz. Karze ją dokładnie tak samo, jak zamierza ukarać Sukę.

Zabije oboje, a potem spali je razem, tu na miejscu, razem z całym domem. Już przygotował wszystko do pożaru, rozlewając benzynę z kanistra, który przyniósł do garażu Suki tej nocy, gdy nasrał jej na podłogę.

Podniecają go wyobrażenia o morderstwach, które ma zaraz popełnić. Zawsze go podniecają jego fantazje: intelektualnie, seksualnie, do głębi jestestwa. Tak funkcjonuje ten rodzaj umysłu: fantazja, fantazja pełna okrucieństwa, potem czynniki, które prowokują do działania, i wreszcie morderstwo. Naturalny cykl jego życia i śmierci jego ofiar.

Podjął już decyzję i teraz przenosi swe myśli na aktualny problem: Kate Conlan.

Świadomość wracała Kate w postaci oderwanych obrazów, jak program telewizyjny przy złym odbiorze. Najpierw słyszała, ale nic nie widziała. Potem zaczęła widzieć jakiś rozmazane kontury, ale w uszach rozległo się tylko okropne dzwonięcie. Jedynym wyraźnym, stałym sygnałem było łoskot rozsadzający tył głowy. Mdlilo ją z bólu. Nie mogła ruszyć ani rękami ani nogami, więc pomyślała, że Rob mógł jej złamać kark albo uszkodzić rdzeń kręgowy. Potem zauważyła, że nadal ma czucie w rękach, ale okropnie ją bołą.

Jestem związana!

Sufit, zapach kurzu, nieokreślone wrażenie wilgoci. Piwnica. Leżała na wznak, związana, z rozkrzyżowanymi rękami i nogami, na starym stole do ping-ponga w swojej własnej piwnicy.

Wykryła kolejny zapach. Nie pasował do tego wnętrza: gęsty, oleisty i gorzki. Benzyna.

O Jezu.

Spojrzała na Roba Marshalla, który stał przy jej stopach, wpatrując się w nią. Rob Marshall, seryjny morderca. Było to tak niewiarygodne, iż pragnęła uwierzyć, że to tylko senny koszmar, ale naprawdę wiedziała, że jest inaczej. Za wiele widziała, pracując w FBI. Miała tamte historie w pamięci jak ułożone w szafie kartoteki. Inżynier z NASA, który porywał autostopowiczów, a potem upuszczał im krew, by ją pić. Technik elektronik, żonaty, ojciec dwojga dzieci, który przechowywał wybrane części ciał swoich ofiar w zamrażarce. Młody student prawa, członek partii republikańskiej, który na ochotnika podjął pracę w telefonie zaufania dla osób ze skłonnościami samobójczymi i, jak się później wszyscy dowiedzieli, nazywał się Ted Bundy.

Teraz wystarczyło dodać do tej listy pracownika programu opieki, który wyszukiwał swoje ofiary wśród klientek biura. Czuła się jak idiotka z tego powodu, iż nie zorientowała się wcześniej, chociaż wiedziała, że taki wyrafinowany morderca jak Joe Podpalacz musi być kameleonem. Nawet teraz nie chciała przyznać, że Rob Marshall może być aż tak inteligentny.

Zdjął marynarkę, odsłaniając szary sweter, mokry od krwi w pobliżu miejsca, gdzie dźgnęła go pilniczką w gardło. Gdyby uderzyła tuż obok, trafiłaby w tętnicę szyjną.

– Czyżbym coś przegapiła? – zapytała ochrypłym głosem.

Nie mogła mówić inaczej, gdyż miała obolałe od duszenia gardło.

Dojrzała w jego twarzy zaskoczenie. A więc punkt dla ofiary.

– Dalej masz niewyparzoną gębę – warknął. – Niczego się nie nauczyłaś.

– A po co? Co zrobisz, Rob? Będziesz mnie torturował, a potem zabijesz? – powiedziała, rozpaczliwie usiłując ukryć swój strach.

Czuła, jak ten strach chwyta ją za gardło, gdy nagle przypomniała sobie ślady duszenia pętlą na gardłach jego ofiar.

– I tak to zrobisz. Mogę przynajmniej mieć tę satysfakcję, że powiem ci wprost w twarz, że jesteś gnojkiem bez jaj.

Angie, która stała obok stołu z nożem w ręku, wciągnęła głośno powietrze i jęknęła żałośnie. Przyciskała do siebie nóż, jakby to była jakaś miękka, pluszowa zabawka.

Twarz Roba stężała. Wyjął z kieszeni scyzoryk i wbił go aż po rękojeść w prawą stopę Kate. Od razu dowiedziała się, jaką cenę każe jej zapłacić za wybraną przez nią strategię.

Krzyknęła z bólu, szarpiąc się całym ciałem, walcząc z więzami wrzynającymi się głęboko w przeguby i kostki. Kiedy opadła, wydało jej się, że więzy nieco zelżały, dając jej odrobinę większą swobodę ruchu.

Starła się na nowo skoncentrować, myśląc o Angie, o wyrazie oczu dziewczyny, który zauważyła wcześniej, kiedy przyszło jej do głowy, że te oczy nie są puste, że jeśli w ciemnościach można dostrzec choćby najmniejsze światełko, to nadal istnieje nadzieja. Pomyślała o tym, jak Angie próbowała rzucić się na Roba z nożem w ręku.

– Angie, uciekaj! – wyrzuciła z siebie chrapliwym głosem. – Ratuuj się!

Dziewczyna wzdygnęła się i spojrzała nerwowo na Roba.

– Ona zostanie – warknął, ponownie wbijając nóż w stopę Kate.

Znowu krzyknęła z bólu.

– Jest moja – powiedział.

Oczy błyszczały mu z zadowolenia. Cieszyło go to, że zadaje jej ból.

– Nie wydaje mi się – wydusiła z siebie Kate. – Ona nie jest głupia.

– Nie, to ty jesteś głupia – odparł i cofnął się o krok.

Wyjął długą świecę z lichtarza, który przyniósł z jadalni, i postawił na suszarce do ubrań.

– Dlatego, że wiem, jakim jesteś żalonym, spaczonym nieudacznikiem?

– Naprawdę jestem teraz żalony, ty cholerna suko? – powiedział, przeciągając płomieniem świecy po palcach jej prawej nogi.

Kate szarpnęła się odruchowo, wytrącając mu świecę z ręki. Klnąc, Rob schylił się i zniknął jej z widoku za blatem stołu.

– Głupia suka! – wrzasnął. – Głupia pieprzona suka!

Woń benzyny wypełniła jej nos i usta. Wzdrygnęła się na myśl, że może spłonąć

żywcem. Strach gniótł ją w gardle jak pięść. Ból w przypalonym miejscu był niczym żywe stworzenie, tak jakby jej stopa zajęła się ogniem i teraz płomienie przesuwają się w górę po nodze.

– Co się stało, Rob? – zapytała, powstrzymując się od krzyku. – Zdawało mi się, że lubisz ogień. Boisz się go?

Podniósł się niezdarnie i wpatrzył w nią z nienawiścią.

– To ja jestem Krematorem! – wrzasnął, trzymając świecę w dłoni.

Zauważyła jego rosnące pobudzenie: coraz bardziej się pocił, a jego ruchy traciły płynność. Sytuacja nie rozwijała się zgodnie z tym, jak ją sobie wyobrażał.

– Stoję wyżej od ciebie! – wrzasnął, tocząc obłądnym wzrokiem. – Jestem Aniołem Zła! Trzymam twoje życie w swoich rękach! Jestem twoim bogiem!

Kate zdołała skumulować swój ból w gniewie.

– Jesteś gnidą. Pasożytem. Jesteś niczym.

Wiedziała, że może go sprowokować do tego, że zada jej grad ciosów nożem, a potem wytnie krtań i wyrzuci do kosza na śmieci. Przypomniała sobie fotografie jego innych ofiar, nagranie z głosem Melanie Hessler, rejestrujące godziny tortur, gwałcenia i powtarzającego się duszenia.

Musiała zaryzykować. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

– Niedobrze mi się robi na twój widok, ty parszywy mięczaku.

To była prawda. Rzeczywiście chciało jej się wymiotować na samą myśl, że pracowała obok niego dzień w dzień, kiedy jego myśli krążyły pośród fantastycznych obrazów przemocy, okrucieństwa i zabijania. Fantazjował dokładnie na temat tych samych rzeczy, o których jej podopieczni mieli się nauczyć pokonywać po to, żeby móc dalej żyć.

Chodził tam i z powrotem wzdłuż stołu mruczając coś pod nosem, jakby mówił do głosów, które słyszy w swojej głowie. Kate jednak nie sądziła, że coś słyszy. Nie przypuszczała, by Rob Marshall był psychopatą. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Jego działania były konsekwencją świadomego wyboru, chociaż gdyby został złapany, to prawdopodobnie próbowałby przekonać sąd, że jest inaczej.

– Nie staję ci bez dominacji, co? – nie poddawała się Kate. – Która kobieta chciałaby ci się oddać, gdybyś jej przedtem nie związał?

– Zamknij się! – wrzasnął. – Zamknij się, kurwa!

Rzucił w nią świecę, ale przeleciała o metr od jej głowy. Podbiegł, chwycił ze stołu nóż i przyłożył czubek ostrza do gardła Kate. Ona przełknęła odruchowo ślinę, czując, jak stalowe ostrze naciska jej skórę.

– Wytnę ci to! – wrzasnął jej prosto w twarz. – Wytnę ci to, kurwa! Mam dość twojego pyskowania! Twojego głosu!

Kate zamknęła oczy, usiłując nie przełykać śliny. Leżała sztywno podczas gdy on nadal naciskał ostrzem na jej gardło. Ogarnęło ją przerażenie. Instynkt podpowiadał, by się szarpnąć. Logika mówiła jej, by się nie ruszać. Nagle nacisk ustał.

Rob patrzył na dyktafon, który położył na stołku. Nie chciał słuchać, jak ona go poniża, ale przecież chciał słuchać jej krzyków, tak jak słuchał wrzasków, jęków i błagań wszystkich swoich ofiar. W gruncie rzeczy pragnął tego tym bardziej w jej przypadku. Gdyby pozbawił ją głosu, nie mógłby słuchać. Gdyby nie mógł słuchać, zabicie jej straciłoby swą atrakcyjność.

– Chcesz tego słuchać, co, Rob? – zapytała. – Chcesz potem słuchać, żeby ustalić dokładnie, w którym momencie wystraszyłam się i oddałam ci inicjatywę. Nie chcesz z tego zrezygnować, co?

Podniósł dyktafon i przysunął go blisko jej ust, a potem odłożył nóż, wziął szczypce i ścisnął w nich jej brodawkę piersiową. Pomimo swetra i biustonosza uszczypnięcie było bolesne, okropne. Krzyknęła przeraźliwie. Odsunął szczypce i cofnął się z jadowitym uśmiechem.

– No i proszę – powiedział, podnosząc dyktafon. – Udało się.

Kate miała wrażenie, że minęła cała wieczność, zanim odzyskała jasność myśli. Dyszała jak po biegu na czterysta metrów. Drżała, oblewając się potem. Gdy odzyskała jasność widzenia, jej wzrok padł na Angie. Dziewczyna stała nadal w tym samym miejscu, przyciskając do siebie nóż. Wyglądała tak, jakby popadła w katatonię. Angie była jej jedyną nadzieją, najłabszym ogniwem w scenariuszu Roba. Potrzebowała tej dziewczyny, potrzebowała jej w stanie jasności umysłu i zdolnej do działania.

– Angie – wycharczała. – On nie jest twoim właścicielem. Możesz mu się oprzeć. Już mu się opierałaś, prawda?

Pamiętała scenę, która rozegrała się w jej pokoju: Rob chciał, aby Angie opisała, co jej zrobił po uprowadzeniu jej z Phoenix House, ale dziewczyna odmówiła, sprzeciwiła mu się. Wcześniej zrobiła coś podobnego na spotkaniu w ich biurze.

Twarz Roba poczerwieniała.

– Przestań z nią gadać!

– Boisz się, że ona może się na ciebie rzucić, Rob? – zapytała Kate, chociaż daleka była od nastroju sprzed pięciu minut.

– Zamknij się. Ona jest moja. Ty też jesteś moja, suko!

Rzucił się do niej, chwycił dłońmi za wycięcie swetra i szarpnął nim, usiłując go rozerwać. Klnąc, pieniając się i wściekając, zaczął szukać kolejnego noża w zestawie narzędzi, które tak precyzyjnie rozłożył na stole.

– Nie masz jej ani trochę bardziej niż mnie – rzuciła Kate, patrząc na niego z nienawiścią i napinając więzy. – I nigdy, nigdy nie będziesz mnie miał, ty gnido.

– Zamknij się! – wrzasnął znowu.

Odwrócił się ku niej i uderzył ją w usta grzbietem dłoni.

– Zamknij się! Zamknij się! Ty pieprzona suko!

Rozległ się szcęk narzędzi i w rękę Roba pojawił się nóż z dużym ostrzem. Kate zaczerpnęła, jak jej się zdawało, swego ostatniego tchu. Rob chwycił znowu za dekolt swetra i rozciął go nożem, rozpruwając gwałtownie dzianinę wielkimi cięciami.

Czubek noża zaczepił o jej pierś, przejechał po brzuchu i zarysował biodro.

– Pokażę ci! Pokażę ci! Angie! – wrzasnął, odwracając się do dziewczyny. – Chodź! Chodź tu natychmiast!

Obiegł stół dookoła, chwycił ją za rękę i przywłókł do Kate.

– Zrób to! – powiedział jej wprost do ucha. – Dla Michele. Chcesz to zrobić dla Michele. Chcesz, żeby Michele ciebie kochała. Prawda, Angie?

Michele? A więc jakaś niespodzianka, pomyślała Kate, czując ogarniającą ją nową falę przerażenia. Kim do diabła jest Michele i co ma wspólnego z Angie?

Jak mogła walczyć z wrogiem, którego nie widziała?

Łzy spływały po twarzy Angie. Jej dolna warga drżała. Trzymała kurczowo rzeźnicki nóż obiema trzęsącymi się rękami.

– Nie rób tego, Angie – powiedziała Kate drżącym ze strachu głosem. – Nie pozwól mu, żeby cię tak wykorzystywał.

Nie wiedziała nawet, czy dziewczyna ją słyszy. Pamiętała, co Angie mówiła jej o Zonie, i przypuszczała, że teraz właśnie może się do niej przenosić, by wyrwać się z tego koszmaru. I co wtedy? Czy będzie działała automatycznie? Czy Zona jest stanem dysocjacyjnym? Czy pozwalała jej na udział we wcześniejszych morderstwach Roba?

Szarpnęła znowu więzy, poluzowując je o ułamek centymetra.

– Zrób to! – wrzasnął Rob w twarz Angie. – Zrób to, ty głupia cipo! Zrób to dla swojej siostry. Zrób to dla Michele. Chcesz, żeby Michele cię kochała.

Siostra! Jak błyskawica pojawił się w jej myślach tytuł artykułu. „Siostry uwolnione od zarzutów w sprawie śmierci rodziców w pożarze”.

– Zrób to! – wrzasnął Rob ze złością.

Podniósł nóż, a jego świńskie oczkaomal nie wyskoczyły z brzydkiej, okrągłej głowy.

Nóż opadł z błysnięciem ostrza, trafiając Kate w ramię, akurat gdy zdołała przesunąć ciało o kilka ratujących życie centymetrów. Czubek ostrza uderzył w kość, zsuwając się po niej. Poczwała taki ból, jakby została rażona piorunem.

– Zrób to! – wrzasnął Rob do Angie, uderzając ją w tył głowy ręką noża. – Ty nic niewarta kurwo!

– Nie! – krzyknęła dziewczyna.

– Zrób to!!

Łkając, Angie uniosła nóż do góry.

– Namierzyliśmy odciski Fine w Wisconsin – oznajmił Yurek, wchodząc do sypialni.

Technicy zdejmowali z okna fragmenty skóry z tatuażami, ostrożnie pakując każdy z nich w miękki papier i umieszczając je pojedynczo w małych papierowych torebkach.

– Naprawdę nazywa się Michele Finlow. Ma na koncie parę wykroczeń i przedawnione sprawy jako nastolatka.

Kovac uniósł brwi.

– Czy obdzieranie ludzi ze skóry jest w Wisconsin uznawane za wykroczenie?

– To ten sam stan, z którego pochodzili Ed Gein i Jeffrey Dahmer – zauważył Tippen.

– Hej, Tip, a ty nie jesteś przypadkiem z Wisconsin? – zapytał jeden z policjantów.

– Zgadza się. Z Menominee. Chcesz do mnie wpaść na Święto Dziękczynienia?

Quinn zatkał sobie palcem jedno ucho, wsłuchując się drugim w sygnał domowego telefonu Kate. Dzwonił już trzeci raz w ciągu ostatnich dwudziestu minut, lecz nadal nie odbierała. Przecież powinna się zgłosić przynajmniej automatyczna sekretarka. Rozłączył się i spróbował zadzwonić na jej telefon komórkowy. Po czterech sygnałach odezwała się poczta głosowa. Wiedział, że jej podopieczni dzwonią do niej na telefon komórkowy. Angie DiMarco miała ten numer. Kate na pewno nie pozwoliłaby sobie na to, by nie odbierać telefonu. Przecież czwała się tak odpowiedzialna za Angie.

Potał dłonią brzuchu, czując w nim piekący ból.

– Jedna z sąsiadek mówi, że widywała czasami Michele z pękającym, łysiejącym mężczyzną w okularach – oznajmiła Mary Moss, podchodząc do nich. – Nie zna jego nazwiska, ale mówi, że prowadzi czarny mikrobus, którym uderzył kiedyś w tył samochodu sąsiada spod numeru 3F.

– No to super – powiedział Kovac, wykonując triumfalny gest ręką. – Joe Podpalaczu, już po tobie.

– Hamill właśnie rozmawia z tym człowiekiem spod 3F, żeby uzyskać informacje na temat ubezpieczenia.

– Możemy przyskrzynieć Krematora, tak żeby zdążyć przed wiadomościami o szóstej i jeszcze załapać się do Patricka na tańsze drinki – oznajmił Kovac z szerokim uśmiechem. – To mi się zaczyna podobać.

Hamill wpadł do mieszkania, wymijając policyjnych techników.

– Nie uwierzycie mi – rzucił pod adresem członków grupy specjalnej. – Przyjacielem Michele Fine był Rob Marshall.

– Do cholery.

Quinn chwycił Kovaca za ramię i pchnął go ku drzwiom.

– Muszę się dostać do Kate. Daj mi kluczyki. Ja prowadzę.

– Zrób to! Zrób to!

Angie wydała przeciągły, zniekształcony wrzask, który dla niej samej brzmiał tak, jakby dobiegał skądś z daleka. Jak zawodzenie dochodzące z długiego, długiego tunelu. Zona narastała obok niej niby ziewająca czarna paszcza. Z drugiej jej strony Głos przybrał cielesną formę.

– Ty głupia dziwko! Rób, co ci każę!

– Nie mogę! – krzyknęła.

– Zrób to!

Strach gniótł ją w gardle, odcinając dopływ powietrza, dławiąc ją i dusząc.

„Nikt cię nie kocha, ty głupia suko!”

– Ty mnie kochasz, Michele – jęknęła, sama nie będąc pewna, czy rzeczywiście wypowiedziała te słowa, czy też zaistniały tylko w jej głowie.

– Zrób to!

„Zrób to!”

Spojrzała w dół na Kate.

Zona nasuwała się na nią. Angie czuła jej gorący oddech. Mogła w nią wpaść i nigdy nie wracać. Byłaby wtedy bezpieczna. Ale także samotna. Na zawsze.

– Zrób to!

„Wiesz, co masz robić, Angel. Rób, co ci każą, Angel”.

Trzęsła się całym ciałem.

„Tchórz”.

– Możesz uratować Michele, Angie. Zrób to dla Michele.

Popatrzyła na Kate, na to miejsce na jej klatce piersiowej, gdzie miała wbić nóż. Tak jak to robiła Michele. Widziała, jak jej siostra to robi. On zmusił ją do patrzenia, kiedy stali po obu stronach martwej kobiety, zadając na zmianę ciosy. Pieczętowali swój związek, deklarowali sobie nawzajem miłość. Przerazało ją to i przyprawiało o mdłości. Michele wyśmiała ją, a potem oddała jemu dla seksu.

Skrzywdził ją. Nienawidziła go. Michele go kochała. Ona kochała Michele.

„Nikt cię nie kocha, ty głupia dziwko”.

Niczego więcej nigdy nie chciała, tylko tego, żeby ktoś się nią interesował, żeby był ktoś, kto ochroniłby ją przed samotnością. Nigdy jednak nie zaznała niczego innego oprócz wykorzystywania i krzywdzenia. Nawet ze strony Michele, która kiedyś chroniła ją przed samotnością. Ale przecież Michele ją kochała. Miłość i nienawiść. Miłość i nienawiść. Miłośćnienawiść, miłośćnienawiść, miłośćnienawiść. Nie było pomiędzy nimi żadnej granicy. Kochała Michele, chciała ją uratować. Michele była wszystkim, co miała.

– Zrób to! Zabij ją! Zabij ją!

Patrzyła na Kate, która napinała więzy z wypisanym na twarzy przerażeniem.

„Dlaczego miałoby cię obchodzić, co się ze mną dzieje?” „Bo nikogo innego to nie obchodzi”.

– Przepraszam – jęknęła.

– Angie, nie!

– Uderz ją! Już!

Czuła w swym wnętrzu olbrzymie ciśnienie. Ciśnienie z zewnątrz było jeszcze większe. Czuła się tak, jakby jej kości miały ustąpić i jakby miała zostać zmiażdżona, a potem wchłonięta przez Zonę, by zniknąć na zawsze.

Może tak byłoby lepiej. Przynajmniej już więcej by nie cierpiała.

– Zrób to, bo jak nie, to zostawię twoją pieprzoną siostrę, żeby zdechła – wrzasnął. – Zrób to albo wykończę Michele na twoich oczach! Zrób to!

Kochała siostrę. Mogła ją uratować. Uniosła nóż.

– Niecee!

Kate wstrzymała oddech, naprężając ciało i nie odrywając wzroku od Angie.

Dziewczyna wydała upiorny wrzask, podnosząc obiema rękami nóż nad głowę, a potem skręciła się całym ciałem i wbiła ostrze w szyję Roba Marshalla.

Fontanna krwi bryzgnęła z rany, gdy wyrwała ostrze. Krew była na ścianie, na łóżku, na ciele Kate, tryskała jak z rozerwanego strażackiego węża. Rob zatoczył się do tyłu, chwytając się rękami za szyję. Krew przelewała mu się między palcami.

Angie wrzeszczała nadal, wymachując nożem. Wbiła mu ostrze w rękę i w klatkę piersiową. Ruszyła za nim, gdy zaczął się cofać, chcąc uciec. Usiłował wołać o pomoc, czy o litość, ale zadławił się własną krwią i jedynie jakiś bełkoczący odgłos uwiązał mu w gardle. Kolana ugięły się pod nim. Upadł, uderzając o suszarkę do ubrań i strącając na podłogę świecznik.

Angie cofnęła się i zatrzymała na nim przez chwilę wzrok, jakby nie miała pojęcia, kim on jest ani dlaczego upadł na podłogę, brocząc resztkami krwi. Spojrzała na ociekający krwią nóż, na swoje zakrwawione, lepkie ręce i powoli odwróciła się ku Kate.

Quinn prowadził samochód, lekceważąc przepisy ruchu drogowego i prawa fizyki, ponaglany przez wypełniające go coraz bardziej uczucie paniki. Siedzący obok niego Kovac zapierał się całym ciałem i krzyczał za każdym razem, gdy Quinn ryzykownymi manewrami wyprzedzał i wymijał samochody.

– Jeżeli nie jest głupi, to już prysnął z miasta – powiedział.

– Głupota nie ma nic do rzeczy – rzucił Quinn, przekrzykując ryk silnika. – Wciągnął Kate do tej sprawy w ramach swojej rozgrywki. Zabił Melanie Hessler, bo była jej klientką. Parę dni temu zostawił wizytówkę w garażu Kate. Nie opuści miasta, dopóki nie zakończy sprawy między nimi.

Dojeżdżając do domu Kate, Quinn nacisnął ostro na hamulce. Od razu dostrzegł, że w holu pali się światło. Widać je było przez zasłonki na tych przeklętych świetlikach, które powinna była dawno zamurować. Wrzucił pośpiesznie wolny bieg, aż zazgrzytała niebezpiecznie skrzynia biegów, i wyskoczył z jeszcze kołyszącego się samochodu. Ulicą nadjeżdżały już na sygnale dwa radiowozy. Wpadł na werandę i załomotał do drzwi. Szarpnął za klamkę. Zamknięte.

– Kate! Kate!

Przyłożył twarz do szyby świetlika. Stół w holu był przesunięty na ukos. Na jego blacie i na podłodze Quinn dojrzał porzucane rzeczy. Dywanik też nie leżał na swoim miejscu.

– Kate!

Jej krzyk, który dobiegł gdzieś z wnętrza domu, przeszył go jak stalowe ostrze.

– Neeee!

Zerwał ze ściany skrzynkę na listy i rozbił nią świetlik, akurat gdy dobiegł do niego Kovac. Po kilku sekundach już byli w środku. Wzrok Quinna padł na plamę krwi na ścianie.

– Kate!

Jej krzyk dobiegł gdzieś z głębi domu:

– Angie! Nie!

Angie obróciła nóż w zakrwawionych rękach, wpatrując się w ostrze. Przytknęła jego czubek do delikatnej skóry na nadgarstku.

– Angie, nie! – krzyknęła Kate, napinając więzy. – Nie rób tego! Proszę, nie rób tego! Chodź, uwolnij mnie. Załatwię ci pomoc.

Nie widziała Roba, ale wiedziała, że leży na podłodze koło suszarki. Z jego gardła nadal wydobywały się bulgoczące dźwięki. Upadając, strącił lichtarz, i płomień świecy odnalazły benzynę, którą musiał rozlać, kiedy ona była nieprzytomna. Zapaliła się z cichą zapowiedzią eksplozji.

Wiedziała, że płomień rozszerzą się w poszukiwaniu większej ilości paliwa. Piwnica pełna była łatwopalnych materiałów: pudeł z rupieciami, których ona sama zawsze miała zamiar się pozbyć, ale nie zdążyła się do tego zabrać, puszek z resztkami farby i innych niebezpiecznych chemikaliów.

– Angie! Angie! – zawołała Kate, usiłując zwrócić na siebie uwagę dziewczyny, która stała, spoglądając w twarz swej własnej śmierci.

– Michele nie będzie mnie kochać – wymamrotała patrząc na zabitego przez siebie człowieka.

Brzmiało to tak, jakby zawiodła się na samej sobie. Przypominała małe dziecko, które nabazgrało coś kredką na ścianie i dopiero wtedy zrozumiało, że poniesie przykre konsekwencje tego czynu.

– Kate! – dobiegł z góry krzyk Quinna.

Angie zdawała się nie słyszeć ani tego krzyku, ani tupotu męskich stóp. Przytknęła ostrze noża do znaczącej się niebieskawo żyły na przegubie.

– Kate!

Kate usiłowała odkrzyknąć: „W piwnicy!”, ale głos utknął jej w gardle. Ledwie się sama usłyszała.

Płomień ogarnęły karton z ubraniami, które odłożyła, by je oddać do Phoenix House, i ochoczo skoczyły dalej, niebezpiecznie blisko stołu. Szarpnęła więzy, ale tylko zacisnęły się jeszcze mocniej wokół jej nadgarstków i kostek. Traciła czucie w dłoniach.

Usiłowała oczyścić gardło, by móc mówić. Gęsty, czarny dym zaczął wydobywać się z kartonu.

– Angie, pomóż mi. Pomóż mi, a ja pomogę tobie. No jak, umowa stoi?

Dziewczyna nadal wpatrywała się w nóż.

Wreszcie rozległ się sygnał czujnika przeciwpożarowego, umieszczonego u szczytu schodów. Tupot nóg zaczął się przybliżać do źródła dźwięku.

Angie mocniej przycisnęła ostrze do nadgarstka. Małe kropelki krwi pojawiły się niby drobne brylanty w bransoletce.

– Nie, Angie, proszę – wyszeptała Kate, chociaż wiedziała, że dziewczyna nie usłyszałaby jej, nawet gdyby krzyczała.

Angie spojrzała jej prosto w twarz i po raz pierwszy od czasu, kiedy Kate ją spotkała, wyglądała na kogoś, kim była w rzeczywistości: na dziecko. Dziecko, którego nikt nigdy nie chciał, którego nikt nigdy nie kochał.

– Boli mnie – powiedziała.

– Zadzwoń po straż! – krzyknął Quinn ze szczytu schodów. – Kate!

– Jo... – usiłowała zawołać, ale głos jej się załamał i zaczęła kaszleć.

Dym przesunął się pod sufitem w kierunku klatki schodowej, szukając dopływu świeżego powietrza.

– Kate!

Quinn zbiegł po schodach z pożyczoną od Kovaca trzydziestką ósemką w ręku. Strach kazał mu zapomnieć o wszelkich zasadach ostrożności. Pochylił się, żeby mieć głowę poniżej chmury dymu, i od razu zobaczył Kate. Była przywiązana za nogi i ręce do stołu, miała rozcięty sweter, a na jej klatce piersiowej zbierała się krew. Od razu też dojrzał stojącą przy stole dziewczynę: Angie DiMarco z rzeźnickim nożem w dłoni.

– Angie, rzuć nóż! – krzyknął.

Dziewczyna spojrzała na niego mętniejszymi oczami.

– Nikt mnie nie kocha – powiedziała i jednym szybkim, gwałtownym ruchem przecięła sobie nadgarstek aż do kości.

– Nie! – wrzasnęła Kate.

– Jezu! – krzyknął Quinn, rzucając się ku dziewczynie.

Angie osunęła się na kolana. Z ręki tryskała jej krew. Quinn kopnął upuszczony przez nią nóż i przyklęknął przy niej chwytając ją za rękę żelaznym uściskiem. Krew pojawiła się między jego palcami. Angie oparła się o niego bezwładnie.

Kate patrzyła na to z przerażeniem, nawet nie zwracając uwagi na rozcinającego jej więzy Kovaca. Zsunęła się ze stołu, ale nie miała wcale czucia w stopach, więc osunęła się na podłogę i zbliżyła do Angie na kolanach. Jej ręce były jak martwe kikuty: opuchnięte i fioletowe. Nie była w stanie poruszać palcami. Mimo to otoczyła dziewczynę ramionami.

– Musimy stąd uciekać! – zawołał Quinn.

Płomienie przesuwają się już w górę schodów. Umundurowany policjant walczył z nimi za pomocą gaśnicy. Zdołał ugasić schody, ale płomienie nadal rozprzestrzeniały się po piwnicy, przesuwając się śladem rozlanej benzyny i ogarniając wszystko, co znalazły na swej drodze.

Wspierany przez policjanta Quinn wyniósł Angie po schodach z piwnicy, a potem na zewnątrz przez tylne drzwi. Z ulicy dobiegały odgłosy syren. Samochody były jeszcze o kilka przecznic stąd. Zostawił dziewczynę pod opieką policjanta i wbiegł z powrotem do domu, gdzie trafił na Kovaca wyprowadzającego opartą o niego Kate. Oboje kaszlali, a za nimi kłębił się gęsty, czarny dym. Powietrze wypełniała gryząca woń płonących chemikaliów.

– Kate!

Osunęła się na niego, więc ogarnął ją ramionami.

– Wracam po Marshalla! – zawołał Kovac, przekrzykując trzask płomieni.

Nagle płomienie przebiły się przez podłogę i odnalazły strumień benzyny, którą Rob rozlał po całym domu.

– On nie żyje! – zawołała Kate, ale Kovac już zniknął.

– Sam!

Jeden z policjantów rzucił się za nim.

Od frontu domu dobiegł głośny dźwięk syren zbliżających się wąską uliczką wozów strażackich. Quinn zniósł Kate z tylnych schodów i pośpiesznie okrążył budynek, wychodząc na frontowy dziedziniec. Układał ją właśnie na tylnym siedzeniu samochodu Kovaca, kiedy z wnętrza domu dobiegł huk eksplozji, a z okien na parterze posypały się odłamki szkła. Kovac i towarzyszący mu policjant wynurzyli się zza rogu domu i upadli na czworaka w śnieg. Strażacy i ekipa ambulansu rzucili się w ich stronę.

– Jak się czujesz? – zapytał Quinn, wpatrując się w oczy Kate i wpijając się palcami w jej ramiona.

Spojrzała na swój dom. Z okien na parterze wysuwały się języki ognia. Sanitariusze ładowali Angie do ambulansu stojącego za samochodem Kovaca. Strach i przerażenie, które Kate usiłowała powstrzymać podczas swojej męczarni, ogarnęły ją teraz oszalałającą falą. Drżąc cała, zwróciła twarz ku Quinnowi.

– Nie – wyszeptała.

Z oczu płynęły jej strumieniem łzy. Objął ją ramionami i przytulił do siebie.

– Nigdy go nie lubiłam – powiedziała Yvonne Vetter do policjanta, który stał na posterunku przed drzwiami garażu Roba Marshalla.

Otuliła się luźnym wełnianym płaszczem, który zniekształcał jej sylwetkę. Patrzyła na policjanta spod swego wesołego czerwonego beretu, unosząc ku niemu okrągłą, zgorzkniałą twarz.

– Dzwoniłam kilka razy do waszej gorącej linii. Myślę, że on skanibalizował mojego Bitsy’ego.

– Co takiego, proszę pani?

– Mojego Bitsy’ego. Moją kochaną psinkę!

– Chyba raczej zanimalizował – mruknął Tippen.

Liska szturchnęła go w bok.

Detektywi z grupy specjalnej mieli obejrzeć należącą do Roba komnatę strachu przed rozpoczęciem zabezpieczania dowodów rzeczowych. Tuż za nimi podążał policyjny kamerzysta. Zaledwie weszli do domu, po obu stronach ulicy zaczęły się zatrzymywać ekipy telewizyjne.

Był to ładny dom przy cichej ulicy w cichym osiedlu. Stał na bardzo dużej, obsadzonej drzewami parceli w pobliżu jednego z najbardziej popularnych w metropolii jezior i miał pięknie zagospodarowaną piwnicę. Handlarze nieruchomości wprost śliniliby się z podniecenia, mając perspektywę sprzedaży domu, gdyby nie fakt, że Rob Marshall torturował i zamordował tutaj przynajmniej cztery kobiety.

Zaczęli od piwnicy, gdzie najpierw obejrzeliby pokój techniczny z kilkoma telewizorami, magnetowidami, sprzętem stereo i regałem pełnym kaset audio i video.

– Nie filmuj jeszcze wieży – rzucił Tippen do kamerzysty. – Naprawdę jest mi potrzebny nowy tuner i magnetofon.

Kamerzysta od razu skierował obiektyw na sprzęt.

Tippen przewrócił oczami.

– Przecież żartowałem. Wy, od techniki, nie macie poczucia humoru.

Kamerzysta w odpowiedzi skierował obiektyw kamery na jego tyłek.

W jednym rogu pomieszczenia stał pozbawiony głowy manekin, ubrany w skąpy, przezroczysty biustonosz z czarnej koronki i czerwoną minispódniczkę ze spandeksu.

– Hej, Dzwoneczku, możesz sobie skompletować nową kreację! – zawołał Tippen.

Dostrzegł jakąś kleistą ciecz na ramionach manekina. Chyba krew, zmieszana z innym, bardziej przezroczystym płynem.

Liska nie zatrzymywała się. Zajrzała do pomieszczenia gospodarczego i ruszyła dalej korytarzem. Jej chłopcom podobałby się ten dom. Ciągłe mówili o tym, że chcieliby mieć taki dom, jak ich kolega Mark, z fajnym pokojem sportowym w piwnicy, gdzie można uciec spod oka mamy, ze stołem do bilardu i szerokoekranowym telewizorem.

Rzeczywiście, w pomieszczeniu na końcu korytarza znajdował się stół do bilardu. Był nakryty pokrławioną białą folią, na której spoczywało czyjeś ciało. Powietrze wypełniał gęsty odór krwi, moczu i ekskrementów. Odór gwałtownej śmierci.

– Tippen! – wrzasnęła Liska, rzucając się do stołu.

Michele Fine leżała na plecach dziwnie skręcona, patrząc wprost na świecącej jej w twarz żarówkę. Nie mrugała powiekami. Jej oczy miały martwy wyraz. Z otwartych ust ciągnęła się zasychająca na podbródku nitka śliny. Usta Michele poruszały się ledwie dostrzegalnie.

Liska pochyliła się i przyłożyła dwa palce do jej szyi. Nie mogła wyczuć pulsu.

– Pomocy... Pomocy... – dosłyszała strzępy słów wypowiedane resztkami tchu.

Tippen wpadł do pokoju i stanął jak wryty.

– O cholera.

– Sprowadź ambulans – poleciła Liska. – Może pożyje wystarczająco długo, żeby wszystko opowiedzieć.

– Nie chciałam pomagać – powiedziała cicho Angie.

W jej zamroczonej nieco lekami głowie pojawiła się myśl, że jej głos brzmi tak, jakby należał do kogoś innego. Mówiła głosem tkwiącej w niej małej dziewczynki, tej, którą zawsze usiłowała ukryć, ochronić. Spojrzała na bandaż spowijający jej lewą rękę. Gdzieś w ciemnej głębi duszy czuła chęć zerwania go, żeby rana zaczęła znowu krwawić.

– Nie chciałam robić, tego co mi kazał.

Spodziewała się, że Głos będzie się z niej naśmiewał, ale był dziwnie cicho. Czekwała, że zacznie ją pochłaniać ciemność, ale leki trzymały Zonę na dystans.

Siedziała przy stole w pokoju, który niby to miał nie wyglądać jak sala szpitalna. Krótkie rękawy niebieskiej koszuli nocnej, którą miała na sobie, odsłaniały przed wszystkimi jej chude, pokryte bliznami ręce. Spojrzała na blizny: jedna przy drugiej, niby pręty w drzwiach celi. Znaki, które nacięła we własnym ciele. Ślady, którymi życie naznaczyło jej duszę. Nieustające przypomnienie o tym, kim i czym była.

– Czy to Rob Marshall zabrał cię do parku tamtej nocy? – zapytała cicho Kate.

Ona również siedziała przy stole obróciwszy krzesło w ten sposób, by siedzieć twarzą do dziewczyny.

– Czy to on był tym klientem, o którym mówiłaś?

Angie skinęła głową, nadal patrząc na blizny.

– Jego Wielki Plan – mruknęła.

Chciała, żeby lekarstwa przyćmiły te wspomnienia, ale miała przed oczami ich wyraźny obraz, tak jakby widziała to w telewizji. Siedziała wtedy w samochodzie, wiedząc, że z tyłu leży ciało kobiety, świadoma tego, że zabił ją prowadzący wóz mężczyzna i że Michele miała w tym swój udział. Widziała wcześniej, jak zadają jej raz po raz ciosy nożami, jak z każdym ciosem rośnie ich podniecenie. Potem Michele oddała ją jemu. Wziął ją znowu tamtej nocy w parku, podniecony tym, że ma w furgonetce martwą kobietę, i podekscytowany swym Wielkim Planem.

– Miałam opisać kogoś innego.

– Jako mordercę?

– Kogoś, kogo on wymyślił. Ze wszystkimi szczegółami. Kazał mi je ciągle powtarzać.

Zaczęła skubać luźną nić na brzegu opatrunku, pragnąc, by krew zaczęła się przesączać przez warstwy białej gazy. Widok krwi by ją uspokoił, sprawiłby, że nie czułaby się tak okropnie, siedząc teraz obok Kate. Nie potrafiła spojrzeć jej w twarz po tym wszystkim, co się stało.

– Nienawidzę go.

Czas terażniejszy, pomyślała Kate. Tak jakby nie wiedziała, że on nie żyje, że go zabiła. Może nie wie. Może umysł Angie pozwala jej przynajmniej na takie pocieszenie.

– Też go nienawidzę – powiedziała.

Fakty dotyczące Roba i sióstr Finlow, napływające z Wisconsin, układały się w okropną, odrażającą historię, którą stacje telewizyjne serwowały w odcinkach w codziennych wieczornych wiadomościach. Wstrząsająca opowieść o kochankach-mordercach i o upadku miliardera była atrakcyjnym kawałkiem, podnoszącym oglądalność programów. Michele Finlow, która przeżyła jeszcze dziesięć godzin od chwili, gdy została znaleziona w piwnicy Roba, uzupełniła niektóre brakujące fakty. Angie też mogłaby to i owo dopowiedzieć, jeśli pozwoliłby na to jej zmałowany umysł.

Były córkami dwóch różnych mężczyzn i kobiety mającej na koncie nadużywanie narkotyków i związane z tym problemy. Michele i Angie co jakiś czas trafiały pod opiekę instytucji państwowych, ale nigdy nie otrzymywały takiej opieki, jakiej potrzebowały. Były dziećmi, gubiącymi się w lukach systemu, który w najlepszym wypadku mógł być określony jako słaby. Obydwie miały za sobą młodzieńcze wykroczenia, przy czym Michele odznaczała się większą i dłużej przejawiającą skłonnością do brutalnych zachowań.

Kate przeczytała relacje prasowe na temat pożaru, w którym zginęła ich matka i ojczym. Wszyscy prowadzący śledztwo zgadzali się co do tego, że ogień został podłożony przez jedną z dziewcząt lub obydwie, ale nie było dość dowodów na to, by skierować sprawę do sądu. Jeden ze świadków twierdził, że widział, jak Michele stała spokojnie na dziedzińcu, kiedy dom płonął, i słuchała krzyków uwięzionych w nim dwojga ludzi. W dodatku stała tak blisko, że została poparzona, kiedy okno wybuchło i ogień wylał się na zewnątrz. Ta sprawa za pośrednictwem systemu sądowego wprowadziła do życia sióstr Roba Marshalla. Potem to on ściągnął je do Minneapolis.

Miłość. Tak w każdym razie nazywała to Michele, chociaż było wątpliwe, czy potrafiła naprawdę zrozumieć sens tego słowa. Kochający mężczyzna nie mógłby zostawić swojej partnerki w piwnicy, by w samotności umarła straszną śmiercią, kiedy on ucieka z

kraju, a to właśnie miał zamiar zrobić Rob.

Wystrzelona przez Petera Bonduranta kula trafiła Michele w plecy, przerywając jej rdzeń kręgowy. Rob, który obserwował całą scenę z pewnej odległości, odczekał, aż Bondurant odejdzie, a potem zabrał Michelle z parku i przywiózł do domu. Każda rana postrzałowa pacjenta przyjętego przez szpital musi być zgłaszana policji. Rob nie miał zamiaru podjąć tego ryzyka nawet w tym celu, by uratować życie kobiety, która podobno go kochała.

Zostawił Michele na stole, na którym realizowali swe chore, sadystyczne fantazje i zabili cztery kobiety. Zostawił w szoku, umierającą, krwawiącą i sparaliżowaną. Nawet nie zadał sobie trudu, by ją nakryć kocem. Pieniądze, które wymusili na Bondurancie, zostały znalezione przez policję w samochodzie Roba.

Według Michele, Rob miał złe zamiary wobec Jillian z zazdrości, ale jej udawało się jakoś go powstrzymać. Potem, w tę fatalną piątkową noc, Jillian zadzwoniła do niej z automatu, gdyż wyczerpała się jej bateria w telefonie komórkowym. Chciała porozmawiać o kłótni z ojcem. Potrzebowała pomocy przyjaciółki, ale ta przyjaciółka dostarczyła ją Robowi Marshallowi.

– Michele go kocha – powiedziała Angie, skubiąc bandaż, i dodała krzywiąc usta: – Bardziej niż mnie.

Michele była wszystkim, co miała. Jej jedyną krewną i jej zastępczą matką, więc ona robiła wszystko, o co prosiła Michele. Kate nie wiedziała, co się stanie z Angie, kiedy w końcu się dowie, że Michele nie żyje i że została sama. Przecież niczego bardziej się nie bała niż zostać sama.

Delikatne pukanie do drzwi zasygnalizowało jej, że skończył się czas odwiedzin. Wiedziała, że gdy wyjdzie, będzie przepytwana przez ludzi siedzących po drugiej stronie obserwacyjnego okienka. Przez Sabina, porucznika Fowlera, Gary'ego Yurka i Kovaca, który wrócił do łask, kiedy media okrzyknęły go bohaterem po pożarze w domu Kate. Okładki większości gazet w Twin Cities, a nawet „Newsweeka”, ukazywały jego i Quinna wynoszących ją tylnymi drzwiami domu. Teraz tym ludziom wydawało się, że przyszła tutaj, bo ją o to prosili. Nie powtórzyła jednak Angie ich pytań ani nie nalegała, by usłyszeć odpowiedzi na pytania. Nie przybyła na ten zamknięty oddział psychiatryczny, by wykorzystać Angie Finlow. Nie przybyła też jako pracownik programu opieki na spotkanie z klientką. Przyszła, by zobaczyć kogoś, z kim razem przeżyła koszmar. Osobę, której życie miało być na zawsze w absolutnie niepowtarzalny sposób związane z jej życiem.

Wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Angie, usiłując zatrzymać ją w teraźniejszości, w

chwili obecnej. Jej własne dłonie były nadal przebarwione i obrzmiałe, a znaki zostawione na nadgarstkach przez więzy osłonięte nieskazitelnie białymi bandażami. Od zdarzenia w jej domu minęły trzy dni.

– Nie jesteś sama, mała – szepnęła cicho Kate. – Nie możesz najpierw ratować mi życia, a potem z niego zniknąć. Będę miała na ciebie oko. Masz tu coś, żebyś o tym nie zapomniała.

Ze zręcznością magika wsunęła w jej dłoń maleńkiego ceramicznego aniołka, którego dziewczyna ukradła z jej biurka, a potem zostawiła w Phoenix House.

Angie zapatrzyła się na figurkę. Anioł stróż w świecie, w którym takie rzeczy nie istnieją. Tak myślała, ale teraz odczuwała niezwykle silną potrzebę wiary, do tego stopnia silną, że aż ją to przerażało. Wycofała się więc do cienistego zakątka swego ja, by umknąć strachowi. Lepiej nie wierzyć w nic, niż czekać, kiedy nieuniknione rozczarowanie spadnie na człowieka jak topór.

Zacisnęła palce na figurce, jakby chciała ją ukryć. Zamknęła oczy i wyłączyła myśli, nawet nie zauważając, że łzy ściekają jej po policzkach.

Kate zamrugnęła, by powstrzymać własne łzy, i podniosła się powoli. Przesunęła dłonią po włosach Angie, nachyliła się i delikatnie pocałowała ją w głowę.

– Wrócę – szepnęła.

Wzięła kule i ruszyła niezdarnie do drzwi, mrużąc pod nosem:

– Może będę musiała przestać sobie powtarzać, że nie zajmuję się małolatami.

Ogarnęła ją tak wielka fala emocji, że nie miała siły stawić im czoła. Na szczęście miała przed sobą wiele dni na to, by sobie z nimi poradzić.

Gdy tylko znalazła się na korytarzu, otworzyły się drzwi pokoju obserwacyjnego i wyszli z niego Sabin, Fowler i Yurek. Wszyscy trzej wyglądali na niezadowolonych, tylko idący za nimi Kovac miał na twarzy ironiczny uśmiešek.

W tej samej chwili zbliżył się do nich niski, przystojny mężczyzna o włoskim typie urody, w smoliście czarnym garniturze za trzy i pół tysiąca dolarów. Towarzyszył mu Lucas Brandt.

– Rozmawiała z nią pani pod nieobecność jej adwokata? – rzucił Brandt.

Kate odpowiedziała mu lodowatym spojrzeniem.

– Nie możecie tego wykorzystywać, dopóki nie określi się stopnia jej poczytalności – zwrócił się Brandt do Sabina.

– Proszę mnie nie pouczać – odparł Sabin, poruszając ramionami, jakby za chwilę miał podnieść zaciśnięte pięści. – A pan co tu robi, Costello?

– Jestem tutaj na prośbę Petera Bonduranta, by reprezentować Angie Finlow.

Anthony Costello, najemnik sławnych i bogatych. Kate omal się nie roześmiała. Akurat gdy już myślała, że nic nie jest w stanie jej zadziwić, okazuje się, że Peter Bondurant wynajął adwokata dla Angie. Czyżby chciał zrekompensować dziewczynie to, że strzelił jej siostrze w plecy? Może kierował się troską o swój korzystny wizerunek, skoro miał sam stanąć przed sądem? A może, wyciągając Angie z kłopotów, chciał odpokutować za to, czym stało się życie jego córki.

– Wszystko, co ona pani powiedziała, jest objęte tajemnicą – rzucił ostro Costello, zwracając się do Kate.

– Przyszłam tylko odwiedzić przyjaciółkę – oświadczyła. I oddaliła się od nich, żeby rozwiązali problem między sobą.

Zanosilo się na to, że media będą miały nowy temat.

– Hej, Ruda! – zawołał za nią Kovac.

Zatrzymała się i odwróciła, żeby na niego poczekać. Wyglądał tak, jakby zasnął na plaży. Miał czerwoną, jak po ostrym poparzeniu słonecznym, twarz. Z brwi zostały mu dwie osmalone kreski. Obowiązkowy policyjny wąs zniknął, przez co Kovac wyglądał na łagodniejszego i młodszego.

– No i co na to powiesz? – wyrzęził, powstrzymując atak kaszlu.

Jeszcze do tej pory odczuwał skutki wdychania dymu.

– To wszystko jest coraz ciekawsze.

– Quinn już wrócił?

– Przyjeżdża jutro.

Powiedział jej, że jedzie do Quantico, żeby zdać raport, i poprosić o pierwszy urlop od pięciu lat: zbliżało się Święto Dziękczynienia.

– Więc przychodzisz dzisiaj?

Kate skrzywiła się.

– Nie sądzę, Sam. Nie mam zbytniej ochoty na towarzystwo.

– Kate – mruknął z dezaprobatą. – Przecież jest Święto Indyka, a ja będę robił za biskupa. Mamy powody do świętowania.

Przyznawała mu w duchu rację, ale nie bardzo ją pociągała gromadna impreza z udziałem tłumu pijanych policjantów i pracowników sądu. Po tym wszystkim, co się zdarzyło, po kontaktach z mediami, z którymi musiała rozmawiać w ciągu ostatnich dni, spotkania towarzyskie były ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła.

– Zobaczę to w wiadomościach – odparła. Westchnął z rezygnacją.

– To była cholerna sprawa – powiedział, tym razem serio. – Dobrze się spisałaś, Ruda. Jesteś niezła jak na cywila – dodał z cieniem swojego zwykłego cierpkiego uśmiešku.

Kate uśmiechnęła się szeroko.

– Pocałuj się w dupę, Kojak – odcięła się, ale podeszła do niego i pocałowała go w policzek. – Dziękuję za uratowanie mi życie.

– Drobnostka.

Dzień wcześniej nad terytorium Minnesoty nasunął się ciepły front, który przyniósł ze sobą słońce i temperaturę powyżej dwudziestu stopni. Śnieg już prawie zniknął, odsłaniając na nowo martwe, pożółkłe trawniki, pozbawione liści krzewy i śmieci. Obywatele Minneapolis, pamiętający dobrze, jak długo trwa zima, gdy się już raz zacznie, obudzili się z przedwczesnego snu zimowego i wylegli na ulice na rowerach i rolkach. Grupki starszych pań wędrowały nad jezioro, zwalniając obok domu Kate, by się pogapić na poczerwiałe ściany.

Zniszczenia spowodowane przez pożar ograniczały się w większości do piwnicy i parteru. Postanowiła uratować dom. Dokonać niezbędnych napraw i przywrócić go do użytku, a potem starać się nie myśleć za dużo o tym, co się w nim zdarzyło, za każdym razem, kiedy będzie wchodziła do piwnicy. Nie mogła stawać przy pralce i wyobrażać sobie leżących na podłodze zwęglonych zwłok Roba Marshalla.

Miała przed sobą o wiele trudniejsze zadanie niż jedynie wybór nowych szafek do kuchni.

Przedzierała się przez zwęglone rumowisko parteru. Jeden z kolegów Kovaca, który jako śledczy badał wiele pożarów, obejrzał dom i powiedział jej, gdzie może, a gdzie nie może wchodzić, i co powinna, a czego nie powinna robić. Dał jej też żółty kask, który teraz włożyła na głowę, żeby chronić głowę przed spadającymi płatami tynku. Na jedną nogę włożyła turystyczny but na grubej podeszwie, a obandażowaną stopę zabezpieczyła grubą wełnianą skarpetą, na którą naciągnęła worek na śmieci z grubej folii.

Zaczęła rozgrzebywać rumowisko długimi szczypcami, aby odszukać rzeczy warte zachowania. Było to tak nudne zajęcie, że nawet nie miała siły płakać. Mimo że straż pożarna szybko przybyła na miejsce, wybuch farb i rozpuszczalników w piwnicy zniszczył większość parteru. To z kolei, czego nie strawił ogień, zostało doszczętnie zalane przez wodę ze strażackich węży.

Nie martwiła Kate utrata pospolitych przedmiotów. Mogła sobie kupić inny telewizor. Sofa to po prostu była sofa. Jej ubrania przesiąkły na wskroś dymem, ale za pieniądze z ubezpieczenia mogła sobie kupić nowe. W rzeczywistości bolała ją utrata rzeczy, które były częścią jej wspomnień. Dorastała w tym domu. Coś, co teraz wyglądało jak dwa zwęglone

pniaki, było kiedyś biurkiem jej ojca. Pamiętała, jak wpełzała pod nie podczas zabaw w chowanego z siostrą. Fotel na biegunach, który przed pożarem stał w salonie, należał kiedyś do siostry jej dziadka. Pełne pamiątkowych zdjęć albumy spłonęły, stopiły się albo zostały rozmoczone, a potem zamarły i odmarzły na nowo.

Podniosła resztki albumu ze zdjęciami Emily i zaczęła go kartkować. Jej oczy wypełniły się łzami, gdy stwierdziła, że zdjęcia zostały w większości zniszczone. Było to tak, jakby na nowo traciła dziecko.

Zamknęła album i przycisnęła go do piersi, rozglądając się przez łzy po ponurym otoczeniu. Może rzeczywiście to nie był najlepszy dzień na taką pracę. Quinn usiłował odwieść ją od tego w rozmowie przez telefon, ale uparła się, że ma już wystarczająco dużo sił i musi zrobić coś konkretnego.

Jednak nie była wystarczająco silna. Nie w ten sposób, jakiego potrzebowała. Czuła się zbyt obolała, zmęczona, a jej emocje wciąż jeszcze buzowały tuż pod skórą. Miała wrażenie, że straciła więcej niż to, co zniszczył ogień. Jej przekonanie na temat własnej sprawności w kojarzeniu faktów uległo zachwianiu. Cały porządek świata został odwrócony do góry nogami. Powinna była zapobiec temu wszystkiemu, a jednak nie zrobiła tego.

Przekłętę poczucie winy. Biczowanie się po fakcie. Pretensje do samej siebie za brak panowania nad wypadkami. Problem polega na tym, czy człowiek potrafi się z tego wszystkiego otrząsnąć i znów ruszyć do przodu.

Wyniosła album na zewnątrz i umieściła go w kartonie stojącym na tylnych schodach. Dziedziniec był skąpany w żółtopomarańczowych promieniach zachodzącego słońca. Miękkie światło opadało jak mgiełka na uspięny na zimę ogródek w rogu dziedzińca i figurkę, którą zapomniała sprzątnąć przed zimą: krasnoludka siedzącego na pniaku i czytającego książkę. Wokół niego nie było nic oprócz nagich gałęzi, przez co wydawał się bardzo odsłonięty i narażony na uszkodzenia. Poczowała dziwne pragnienie, by go podnieść i przytulić do siebie jak dziecko. Chronić go.

Łzy wzruszenia znów wypełniły jej oczy, kiedy pomyślała o Angie. Wyglądała na tak młodą, bezbronną i zagubioną, kiedy siedziała w swej za dużej szpitalnej koszuli, ze wzrokiem utkwionym w trzymanej w ręku figurce anioła stróża.

Nagle usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodu. Wyjrzała zza rogu i zobaczyła Quinna, który właśnie wysiadł z taksówki. Serce podskoczyło jej momentalnie na ten widok. Przyglądała mu się, patrząc, jak się zbliża i pochmurnieje na widok domu, nieświadom tego, iż jest przez nią obserwowany. Szybko jednak poczuła, że jej napięcie powraca.

Nie widywali się wiele w okresie, który upłynął od pożaru. Dokończenie sprawy

zajmowało mu dużo czasu. Był ciągle nagabywany przez media, gdyż dziennikarze chcieli na nowo roztrząsać sprawę i analizować każdy jej aspekt. Potem nadeszło oficjalne wezwanie do powrotu do Quantico, gdzie kilka spraw jednocześnie zbliżyło się do punktu krytycznego. Nawet podczas krótkich rozmów telefonicznych oboje pomijali zasadnicze kwestie dotyczące ich związku. Przyjechał do Minneapolis z powodu konkretnej sprawy. Ta sama sprawa zbliżyła ich do siebie. Teraz była zakończona. Więc co dalej?

– Jestem tutaj z tyłu! – zawołała.

Quinn ruszył biegnącą wzdłuż ściany ścieżką, nie spuszczając wzroku z Kate. Wyglądała zarazem śmiesznie i pociągająco w kasku i zielonym, za obszernym, płóciennym płaszczu. Piękna, chociaż obolała i pokaleczona od wewnątrz i zewnątrz.

Omal jej nie utracił. Znowu. Na zawsze. Przychodziło mu to na myśl co jakieś pięć minut, uderzając w splot słoneczny jak młotem. Omal jej nie utracił, po części dlatego, że nie potrafił dojrzeć tuż przed bestią, którą powinien rozpoznać szybciej niż ktokolwiek inny na świecie.

– Cześć, piękna – powitał ją.

Postawił bagaże na ziemi, objął Kate i pocałował, nie namiętnie, lecz w taki sposób, który uspokajał ich oboje. Kask zsunął się na tył jej głowy i spadł na ziemię, uwalniając kaskadę włosów.

– Jak leci?

– Fatalnie. Mam tego dość – odparła we właściwy sobie szorstki sposób. – Lubiłam ten dom i moje rzeczy. Już raz musiałam zaczynać od nowa. Nie chcę tego robić jeszcze raz. Ale życie mówi: nie ma lekko, więc co na to poradzę? Trzeba przyjąć cios i iść dalej.

Wzruszyła ramionami i spojrzała, gdzieś w bok.

– I tak mam lepiej niż Angie. Albo Melanie Hessler.

Quinn ujął ją pod brodę i zwrócił jej twarz ku sobie.

– Czy teraz znów się biczujesz, Kathryn Elizabeth?

Skinęła głową, pozwalając, by starł kciukami łyż z jej policzków.

– Ja też – wyznał z ironicznym uśmiechem. – Jesteśmy dobraną parą. Pomyśl, jaki świat byłby wspaniały, gdybyśmy naprawdę nad nim panowali.

– Robilibyśmy to lepiej, niż ci, którzy rządzą nim w tej chwili – powiedziała, ale zaraz skorygowała swoje słowa. – Chociaż ja pewnie wszystko bym spała i ucierpieliby ci, na których mi najbardziej zależy.

– Wiesz, słyszałem dzisiaj paskudną plotkę: podobno jesteśmy tylko ludźmi. Błędy leżą w naszej naturze.

Kate zmarszczyła brwi.

– Ludźmi? – Ujęła go za rękę i podprowadziła do oblażącej z farby starej cedrowej ławki. – Ty i ja? Kto ci to powiedział? Pójdę i przesyję mu mózg promieniami śmierci.

Otoczył ją odruchowo ramieniem, gdy tylko usiedli. Kate podobnie odruchowo oparła głowę o jego ramię.

– Hej, ty. Pośpieszyłeś się.

– No cóż, nie chciałem przegapić imprezy na Święto Indyka – powiedział. – Cieszysz się, że mnie widzisz?

– Nie po takiej odpowiedzi.

Roześmiał się i musnął pocałunkiem jej skroń. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, patrząc na poczerwiałe tylne drzwi, przez które on i Kovac wynieśli ją z domu.

– Wróciłam tutaj i zbudowałam sobie jakie takie życie – powiedziała spokojnie Kate. – Myślałam, że jeśli tak zrobię, to potrafię nad nim panować i nie stanie się nic złego. Byłam naiwna, prawda?

Quinn wzruszył ramionami.

– A mnie się zdawało, że mogę złapać świat za jaja i oczyścić go ze wszystkich demonów. Ale to nie wychodzi. Zawsze pojawia się jakiś nowy demon. Już nie mogę ich zliczyć. Nie potrafię ich odróżnić. Do diabła, nie potrafię ich nawet dostrzec, kiedy są tuż przede mną.

Kate dosłyszała nutę rozpaczony ukrytą pod tymi twardymi słowami. Zrozumiała, że jego wiara we własne możliwości również ucierpiała. Wielki Quinn. Zawsze mający rację, zawsze pewien siebie, podążający do przodu jak strzała. Zawsze uwielbiała jego niezachwianą siłę i podziwiała energię. Tak samo kochała go za jego słabość.

– Nikt się tego nie spodziewał, John. Znienawidziłam tego faceta od jego pierwszego dnia pracy, ale nawet ja nie podejrzewałam czegoś takiego. Widzimy, co chcemy widzieć. To straszne, jeśli się pomyśli, co może się kryć pod powierzchnią.

Zapatrzyła się na ogród, brązowy i martwy, wyglądający jakoś nierealnie w przygasającym świetle.

– Pomyśl o tych wszystkich najstraszniejszych, najbardziej odrażających okrucieństwach, jakie jeden człowiek może zgotować drugiemu. Nawet w tej chwili ktoś gdzieś robi takie rzeczy. Nie wiem, jak jeszcze potrafisz to znieść, John.

– Nie potrafię – przyznał. – Wiesz, jak to jest, kiedy się zaczyna tę pracę? Wszystko człowieka przytłacza. Trzeba się znieczulić. Trzeba się ukryć pod stalowym pancerzem. W końcu dochodzi się do takiego punktu, kiedy już się widziało za dużo, kiedy nic do ciebie nie

dociera, i wtedy zaczynasz się zastanawiać nad swoim człowieczeństwem. Ale kiedy tkwi się w tym za długo, pancerz zaczyna korodować, zło zaczyna go przeżerać i jest się znowu w punkcie wyjścia, z tą tylko różnicą, że człowiek jest starszy, zmęczony i wie, że już nie da rady pozabijać wszystkich smoków, chociaż bardzo by tego pragnął.

– I co wtedy? – zapytała cicho.

– Wtedy człowiek się od tego odsuwa albo strzela sobie w łeb z własnej broni, albo pada przy pełnieniu obowiązków jak Vince Walsh.

– Pozornie wybór jest łatwy.

– Ale nie wówczas, kiedy się nie ma nic poza pracą. Kiedy człowiek zakopuje się w niej, bo za bardzo boi się odejść i zacząć prowadzić takie życie, jakie naprawdę chce. Tak było ze mną przez ostatnie pięć lat – powiedział. – Ale dość tego. Od dzisiaj jestem oficjalnie na urlopie. Pora pozbyć się napięcia i na nowo poukładać sobie wszystko w głowie.

– I powiedzcie sobie, czego się chce – dodała Kate.

– Wiem, czego chcę.

Odwrócił się do niej na ławce i ujął jej dłonie w swoje.

– Chcę w życiu czegoś dobrego, Kate. Czegoś pięknego i ciepłego. Potrzebuję ciebie. Nas. A czego ty chcesz?

Kate spojrzała na niego, widząc kątem oka swój zniszczony dom. Niespodziewanie przysłała jej do głowy myśl o feniksie wstającym z popiołów. Wydarzenia, które przywiodły ich do tej chwili i tego miejsca, były okropne, ale oto mieli szansę na nowy początek. Razem.

Po raz pierwszy od pięciu lat zamiast twardej, bolesnej pustki poczuła ciepło i słodki spokój. Spędziła te lata bez niego, zaledwie wegetując. Teraz nadszedł czas, by żyć. Po całej tej śmierci, dosłownej i metaforycznej, nadszedł czas, aby oboje zaczęli żyć.

– A ja chcę twoich ramion wokół siebie – powiedziała, uśmiechając się łagodnie. – Każdego dnia i każdej nocy do końca życia.

Quinn odetchnął z ulgą, a na jego przystojnej twarzy pojawił się uśmiech.

– Potrzebowałam dużo czasu na odpowiedź.

Wziął ją ostrożnie w ramiona, pamiętając o jej ranach, i przytulił do siebie. Wydawało mu się, że nawet przez grube płótno płaszczu czuje bicie serca Kate.

– Masz moje serce, Kate Conlan – powiedział, kryjąc zamarzniętą twarz w gęstym jedwabiu jej włosów. – Miałaś je cały ten czas. Zbyt długo żyłem bez niego.

Kate uśmiechnęła się, przytulona do piersi Quinna. Wiedziała, że to jest jej miejsce: jego objęcia, jego miłość.

– No cóż, trudno, Johnie Quinn – powiedziała, podnosząc na niego oczy w ostatnich

promieniach zachodu. – Nie oddam ci go.